

Bauer Josef Martin

Tak daleko jak nogi poniosa

PRZEŁOŻYŁ

Wojciech Szreniawski

Tczew

Tytuł oryginału SO WEIT DIE FÜSSE TRAGEN

Przekład z języka niemieckiego Wojciech Szreniawski

Redakcja techniczna Jarosław Bartosiński

Redakcja i korekta Beata Różańska

Projekt okładki © ANGEL FALLS FILMVERLEIH GmbH München

Przygotowanie okładki do druku Agencja Reklamowa ZENIT www.zenitreklamy.pl

Opracowanie graficzne, skład i łamanie GRAFIKO, Krzysztof Pałubicki

Druk i oprawa ARSPOL Sp. z o.o. Bydgoszcz

Copyright © by Verlagsgruppe Lubbe GmbH & Co. KG, Bergisch Gladbach

Copyright © for the polish translation by Wojciech Szreniawski Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SDK

Wydanie I Tczew Wydawca

Że też piekło może być tak piękne!

Krzyki wzdłuż pociągu nie są mniej głośnie niż zazwyczaj, a drzwi wagonów nie są otwierane mniej gwałtownie. Po dwudziestu sześciu dniach ucho nauczyło się jednak w potoku szorstkich rosyjskich słów odróżniać te najważniejsze, a mężczyźni, których ciała wypadają po nagłym otwarciu drzwi, po samym tylko dźwięku rozpoznają, co mają robić - wynieść martwych, by zostali wykreśleni ze spisu, nabrać śniegu do garnka, czy wziąć drewno ze stosu po drugiej stronie. Wprawdzie tylko kilka naręczy na każdy wagon, ale zawsze to drewno, a przecież od kilku dni nie można już palić w okrągłym żelaznym piecyku.

Po tamtej stronie otwartych na oścież drzwi jest wyraźnie zimny dzień, czerwieniejący miękko nadchodzącym wieczorem.

Pociąg zatrzymał się wśród płataniny torów dworca rozrządowego.

Droga do wieczności ma swoje stałe stacje, zaplanowane już wraz z nią samą, bez znajomości straconego czy zyskanego czasu. Nie wiadomo, czy pociąg stać będzie na każdej z nich trzy godziny czy cztery dni. Ta stacja nazywa się Omsk.

Dzień podróży dwudziesty szósty. Z wagonów na światło zimnego dnia wydobywane są zwłoki. Nawykłe do wyuczonych ruchów ręce kładą w zaroślach leżącego nieco wyżej sąsiedniego toru. Do wagonów zabierane jest drewno. A miasto po tamtej stronie martwych

ciał i torów jest piękne. Sylwetki wież i wieżowców posypane śniegiem jak cukrem na różowoczerwonym niebie nakreślone przez skłonego do romantyzmu rysownika kartek bożonarodzeniowych.

Długi aż do nieba mężczyzna z naręczem pełnym przydzielonego właśnie drewna uwalnia lewą rękę, żeby wskazać na miasto.

- Boże mój! Jakie piękne! O ile tu w ogóle coś może być piękne. Wieże. Kościoły.

Leibrecht zabiera długiemu drewno, rzucając je do wagonu.

- Kościoły zdają się szczególnie do ciebie przemawiać, Forell. Byłeś kiedyś pobożny? Czy może jesteś na dobrej drodze, żeby znów takim się stać? Jeśli właściwie na to spojrzeć, to stos drewna jest piękniejszy. Może byśmy tak spróbowali?

- Jestem za wysoki - śmieje się Forell. - Mnie już znają. Ale w zamieszaniu z wydawaniem drewna próbuje jeszcze raz. Ustawia się w kolejce, chcąc ponownie sięgnąć do stosu, kiedy przychodzi jego kolej. Jednak okutany w kozuch strażnik od razu zaczyna wrzeszczeć i nawet gdyby Forell nie rozumiał ani słowa po rosyjsku, z zestawu przekleństw musiałby wywnioskować, że wytrąci mu z rąk drewno, jeśli odważy się je brać po raz drugi dla wagonu numer osiem.

- Chłopak w kozuchu jest nawet na swój sposób pobożny - śmieje się Leibrecht, gdy Forell wraca do wagonu wyraźnie rozczarowany i z pustymi rękoma. - Znalazł piękne słowa i imiona ze starych czasów pobożności, kiedy cię odprawiał. Mimo to masz rację. Te wieże tworzą tu wspaniały widok.

- Przez całe dzieciństwo chodziłem w cieniu wież kościelnych. Ojciec był z zamiłowania botanikiem, który co niedziela wędrował przez góry. Potrafił nas, dzieci, zmuszone stale iść razem z nim, wytrwale uczyć, jak te same kwiaty wyciągają z innego kamiennego podłoża zupełnie inne barwy i gdzie góry mają swe najpiękniejsze kościoły. Znasz Ettal?

- Parę razy przejeżdżałem.

- Żebyś znał kościół. Dziś już nie wiem, czy jest tak piękny i wspaniały, jak mi się wydawał jako dziecku. Dlatego chciałbym jeszcze raz stanąć w rotundzie pod kopułą.

- I podziękować za szczęśliwy powrót do domu?

Oczy Forella zwiężają się, kiedy Leibrecht tak lekko i jakby drwiąco mówi o powrocie, którego nie ma już dla nikogo.

- Chciałbym jeszcze raz stanąć pod tą kopułą, rozglądając się i nasłuchując. W przyklasztornym kościele w Ettal nauczył mnie tego tata. To pomieszczenie bez akustyki. Jest

się samemu, gdziekolwiek się stoi, a zamiast całego tonu dobiega człowieka jedynie szept, ułamek słowa i muzyki. Chciałbym być tam z tatą.

- Zadowol się teraz Omskiem! Jak na te warunki też jest piękny. A co do twego ojca, to jeśli dobrze pamiętam twoje opowiadania, on już umarł.

- W czterdziestym, na wiosnę. Brak mi go będzie, z jego objaśnieniami. Będę więc sam.

- Chodź, Forell! Chodź! Po dwudziestu sześciu dniach w zamkniętym wagonie nie wytrzymujesz już zimnego powietrza.

- Więc wsiądźmy!

- Znam to, mój drogi. Tak samo zaczęło się z Emmesbergerem. Marzył o jabłkach na szafie w sypialni. U ciebie są to kościoły. Nie dałbym wiele za twoją pobożność. Ale z takich marzeń biorą się potem największe głupoty, starcza czasu, a sumienie odnosi szkody na mrozie. Emmesberger zaczął od jabłek, a potem całymi dniami przesiadywał z Danhornem, każąc sobie wyjaśniać, jak daleko jest mandżurska granica oddalona od linii kolejowej na najkrótszym odcinku. Pozbył się już troski o ucieczkę i może przez wieczność jadać jabłka z szafy w sypialni, już nie marznie, nie głoduje, nie musi sobie kazać opisywać gór wokół jeziora Bajkał. A jeśli go dotychczas całkiem nie przyprószył śnieg, to leży tak, jak go położyliśmy, wyniosłszy z wagonu pod Tobołem - ze sztywno zamarzniętą prawą ręką pod głową, jakby spał albo na wpół śpiąc, marzył o jabłkach.

- Zostaw biednego Emmesbergera w spokoju! To była dobra dusza. Ale ktoś taki nie ujdzie w razie konieczności nawet pięćdziesięciu kilometrów.

- Sądysz, że ty zaszedłbyś dalej?

Twarz Forella robi się zimna i kanciasta. Różowoczerwony wieczór staje się szarozółty, oświetlając ją tak, iż wydaje się, jakby była z wosku.

- O tym, że nie ma to sensu, wiem tak dobrze jak ty. Ale nie ma sensu straszenie mnie Emmesbergerem. On nie żyje. Był wyjałowiony i pusty. Chłód miał z nim łatwą sprawę. Rozniecona nagle nadzieja ma już w sobie przecież coś z euforii, która czasami tworzy przed umierającym iluzję nowego życia. Umarłym nie zdołasz mnie nastraszyć. Sam go wyniosłem i położyłem w śniegu. Dobrze, że mi o tym przypomniałeś.

Forell silnie ujmuje niższego o głowę Leibrechta za ramię.

- Pewnego niezbyt zimnego dnia trzeba będzie mieć odwagę umrzeć. To niebezpieczna gra. Wiem. Zupełnie małe szanse. Ale umarli mają swoją szansę w braku znaczenia. Zdejmuje się ich z listy, a kiedy są już wyksięgowani, nikomu nie przyjdzie na myśl, żeby ich szukać. Pozostaje tylko pytanie, jak długo ktoś wytrzyma udawanie trupa w

śniegu, gdy pociąg będzie stać dwie, trzy, cztery godziny? Oceniam siebie, że wytrzymam dwie godziny. Nie dłużej. Dłużej się nie da, niemożliwe. Nie mogę przecież całkiem zeszywnieć. Chodź Leibrecht! Wsiadamy!

Leibrecht i Forell pomagają sobie wzajemnie wspiąć się na górę.

Pachnie dalszą jazdą.

Żołnierze eskorty znów są ponurzy i używają chwyconych poprzecznie pistoletów maszynowych jak krupierzy w kasynie swych grabek. Wygranemu przysuwa się, co jego. Walory pieniężne czy ludzkie wraki bez wartości. Jeńców, szarą pulsującą masę, należy formalnie sprasować, żeby zamknąć drzwi. Ale gdy masa znów jest wciśnięta jak ciasto w formę, nikt nie zamyka wagonu. A więc w dalszą drogę pojedziemy później. Dopiero za godzinę albo dopiero jutro rano. Być może w ogóle za kilka dni. Dlaczego się spieszyć? Żaden z nich, stłoczonych tutaj, nie ma przed sobą mniej niż dwudziestu pięciu lat niewoli, a każda godzina, każdy dzień, każdy tydzień jazdy, postoju i przetaczania odejmuje się od tych dwudziestu pięciu lat. Jednak oczywiście jest to jak łyżka soli wydobywana z morza.

Nie przysłuchiwano się, co mówili Forell i Leibrecht. Słyszał było jedynie tyle, że Omsk wydaje im się piękny w wieczornym świetle. Gadali też o nastrojowości ojczystych kościołów. Forell i kościoły!

W czasie długich dni podróży nauczono się rozpoznawać, kiedy będzie roznoszone jedzenie. Drzwi wagonu pozostawiano wtedy otwarte. Teraz od strony, gdzie niebo przebarwiło się z szarozółtego w zieleń alg, tak iż wieże i wysokie domy stanęły jak przed zwierciadłem z wody, dociera dość światła, żeby matowo rozjaśnić twarze w ósmym wagonie. Twarze w szczególnym napięciu, jakby słuchające kaznodzieja przemawiającego do nich z nocy. Twarze jednolicie napięte i zastygłe nawet wtedy, kiedy stopy drepczą, żeby się rozgrzać. Zaczyna jeden. Po kilku minutach przytupuje już osiemdziesięciu sześciu mężczyzn, wybijając zimno z drętwiejących stóp. W wagonie ósmym nie wiedzą wcale, że to tupanie zaczęło się z przodu i przeniosło z wagonu do wagonu jakby na rozkaz. Potem gdzieś z przodu ktoś wrzasnął głośno, może dlatego, że oficera dowodzącego transportem rozdrażnił hałas. I jak przedtem tupanie przechodziło przez pociąg od przodu ku tyłowi, tak teraz z miejsca, gdzie stoi lokomotywa, podpełza milczenie. Znów wszystkie twarze zastygają, jakby musiały nasłuchiwać. Ale to, co wydaje się być zatopieniem w skupieniu, jest zastygłym oczekiwaniem na słyszalny znak, że dziś w końcu znów będą kartoszki.

O dziewiątej wieczór wydarza się to naprawdę.

Wiadro pełne ziemniaków, jak zawsze nie do końca ugotowanych i prawie zupełnie zimnych, z wielkim hałasem zostaje wysypane przez drzwi wagonu na podłogę. Wszyscy

stojący przy drzwiach cofają się - nie z szacunku dla jedzenia, które mogłoby inaczej zostać rozdeptane, lecz z nieufności. Ktoś mógłby szybko chwycić w ciemności ziemniaka, zabierając go tylko dla siebie. Na Leibrechcie spoczywa odpowiedzialność za prawidłowe i sprawiedliwe rozdzielanie. Zmuszono go, by się tym zajął, ponieważ rozkazy wydaje w ten sposób, iż brzmiąjak prośba, która nawet najbezwzględniejszego skłania do zastanowienia.

Leibrecht jest urzędnikiem bankowym o wyglądzie przypominającym nocnego portiera średnio dużego hotelu. Po pierwszej wojnie światowej wrócił do domu jako porucznik. Z tej drugiej do domu nie wróci. Niezdatnego już do innych zadań powołano go do strzelców rezerwistów. Dzielnie i skromnie dosłużył się stopnia kapitana. Podczas wielkiego obwiniania na Łubiance skazany został na dwadzieścia pięć lat, gdyż uczyniono go odpowiedzialnym za to, że jego batalion pilnował również wziętych do niewoli Rosjan. Ma pięćdziesiąt jeden lat, a jego bujne białe włosy jeszcze teraz wyglądają na wypielęgowane. To, że w wieku siedemdziesięciu sześciu lat miałby ponownie odbyć tak męczącą podróż w przeciwnym kierunku, wydaje mu się niedorzecznością. Swą władzę nad wagonem czerpie z dobroci właściwej prostaczkom. W żadnym wypadku nie brak mu inteligencji i dojrzałej mądrości, jednak wszystko to skrywa za twarzą nocnego portiera. Nikt nie wierzy w jego dolegliwości żołądkowe, a rezygnację z połowy racji półsurowych i zimnych kartofli wszyscy uznają za gest wielkoduszności. Przede wszystkim jednak każdy wie, że Leibrecht nigdy nie wsadziłby ziemniaka do swej kieszeni, a jego prawość może być nawet wyrażona w liczbach - zanim Emmesberger wyniesiony został z wagonu nad Tobołem, dzielił się z nim swymi ziemniakami, teraz korzysta z tego Puchta, który pewnie nie dotrze do przylądka na Wschodzie, bo już tylko je, nie przyswajając żarcia.

Leibrecht składa propozycję. Teraz znów wreszcie jest drewno i można, gdy żeleźniak jest rozgrzany, cały posiłek ziemniaków powiesić w kawałku jutowego płótna nad gotującą się wodą ze śniegu, żeby wszyscy w końcu mieli coś gorącego w brzuchu.

- A jeśli będziemy stali trzy dni? - odezwał się któryś z kąta. - Dopóki stoimy, nie możemy sobie pozwolić na rozpalenie ognia, bo tę odrobinę drewna potrzebujemy w czasie jazdy, kiedy niemożliwe jest utrzymanie ciepła w inny sposób.

Potrwa godzinę, zanim śnieg się stopi na wodę. Potem przygrzanie ziemniaków potrwa jeszcze minimum kolejną godzinę. Takich argumentów nie da się zlekceważyć. Każdy chce jeść od razu i zamiast marzeń o ciepłych ziemniakach woli wziąć niesmaczne, ale konkretne zimne kartofle. Leibrecht próbuje, choć jakakolwiek miara nie jest możliwa, być sprawiedliwym przy wydawaniu posiłku, o którym nikt nie wie, czy ma wystarczyć do rana, czy do początku następnego tygodnia. Jeszcze nikomu nie udało się zgłębić reguł wydawania

jedzenia w czasie transportu. Każdy jednak wie, że zawsze są to tylko zimne kartofle w niewystarczającej ilości.

Kilku mężczyzn uznało Omsk za piękny, zdaje się więc, że miasto chce odwdziżyć się za uznanie. Następnego dnia koło południa dzieje się coś zadziwiającego. Z przodu pociągu wciąż jeszcze stojącego na stacji rozrządowej podnoszą się gardłowo szorstkie okrzyki, które instynkt każe rozumieć tak, iż niebawem towarzyszyć im będzie gwałtowne otwieranie drzwi wagonów, a potem bezdźwięczny stuk wpadających do środka niedogotowanych ziemniaków. Ale cud jest zupełny - kartofle są jeszcze ciepłe.

Kiedy jeńcy są najedzeni, spostrzegają, że Omsk nie jest już tak piękny. Wraz z porankiem podniosła się zasłona mgły, rozpościerając pomiędzy wieże i wysokie domy. Oczy najedzonych widzą opary tam, gdzie głodni widzieli błyszczące kopuły.

Ponieważ nic nie wydaje się już godne uwagi, drzwi wagonów zostają zasunięte. Dopiero pod wieczór pociąg rusza. Jeszcze kawałek jedzie przez rozjazdy, ale już teraz jeńcy zaczynają czuć zimno otwartej przestrzeni, które dociera od ziemi, z boków, od dachu i przez oba wąskie otwory obserwacyjne. Otwory te, najwidoczniej nieodkryte jeszcze przez strażnika, musiały być kiedyś wywiercone tęnym narzędziem, choćby trzonkiem łyżki, lub ze straszliwą cierpliwością paznokciami.

- Kto może zapalić światło? - pyta Leibrecht. Z poziomu, z jakiego dobiega głos, wynika, że jeszcze stoi. - Chciałbym podsunąć drewno pod drzwi, żeby można było położyć się bliżej, nie marznąć.

- Puszka leży na piecu.

Światła nie musi być, a palić w piecu teraz nie wolno, bo nikt nie wie, kiedy znów będzie drewno. Prawdopodobnie w ogóle nie będzie. Teraz należy spać.

Koło pieca coś stuka, metal o metal. Ktoś dostał puszkę do ręki. Dwa razy strzela białawy snop iskier. Czuć przypalany knot. Potem wyciągnięci na podłodze mężczyźni widzą światło żarzące się wzdłuż wióra.

- Nie podpal nam ślicznego domku!

Kilka rąk pomaga Leibrechtowi zasłonić drzwi drewnianymi polanami. Nie trwa to długo i Leibrecht może się położyć obok. Nie jest to bynajmniej dobre miejsce, ale on taki już jest. Będzie zadowolony nawet z zimniejszego i jeszcze gorszego miejsca, jeśli tylko zachowa więcej swobody. Zanim wilgotnym palcem zgasi wiór, uniesie go nad sobą, by zobaczyć osiemdziesięciu u sześciu ludzi w czterdziestoosobowym wagonie. Leżą rzędami na tym samym boku, ponieważ jedynie w takim systemie mogą wykorzystać przestrzeń. Po kilku godzinach nadchodzi czas, kiedy w gęsto leżących ciałach pojawia się niepokój. Długo

trwało, zanim się nauczyli, żeby być niespokojnymi w mniej więcej tym samym czasie, a potem, wśród postękiwań i przekleństw, odwracać się wszyscy równocześnie na drugi bok. Leibrecht wstydzi się, że zawsze szuka pretekstu, by nie leżeć między nimi. Ale jeszcze nigdy w życiu nie zdołał spać inaczej niż na prawym boku. Gdy transport, wyruszał, było ich dziewięćdziesięciu jeden. Teraz jest osiemdziesięciu sześciu. Wiór, zanim zostanie zgaszony, oświetla wszędzie dookoła grubą na palec warstwę szronu, wyrastającą jeszcze wyżej i grubiej na śrubach i nitach. Za cztery tygodnie miejsca będzie pod dostatkiem.

Następnego dnia rano rozlega się zwykły hałas. Słychać skrzypiące głosy żołnierzy eskorty i gwałtowne otwieranie drzwi. Na sąsiednim torze kładą Puchtę, jest do wykreślenia z listy. O czwartej rano bez słowa odmówił wspólnego odwrócenia się i cały rząd musiał leżeć tak jak on. Kilka jego kartoszek podzielił się w przyszłości na osiemdziesięciu pięciu pozostałych. W śniegu nasypu kolejowego Puchta ma niemal niemowlęcy wyraz twarzy i wygląda jakby uśmiechał się we śnie. Ale dlaczego ktoś miałby się uśmiechać pośrodku Syberii?

Forell odciąga na bok szczupłego Danhorna.

- Kiedy będziemy najbliżej mandżurskiej granicy?

- Za cztery tygodnie - mówi Danhorn zrzędlawie.

- Mów rozumnie, chłopie!

- Liczę jedynie według tempa, w jakim dotąd jechaliśmy. Przynajmniej to miasto musi być ci znane. Nowosybirsk to „Chicago” Syberii. Miasto imiennik zawstydziłoby się. Ty jednak nie zdołałeś się jeszcze do tego przyzwyczaić, by nareszcie uznać coś za brzydkie.

Forell wie, że Danhornowi trzeba dać zrzędzić, czuje się wtedy lepiej. To miasto nie jest znowu tak brzydkie, na jakie wygląda. Danhorn patrzy przez swoje grube szkła okularów wąską szczeliną otwartych drzwi. Bóg raczy wiedzieć, jak mu się dotąd udało uratować okulary. Temu Danhornowi nie spadł nawet włos z głowy od czasu wzięcia do niewoli. Przesłuchujący nie namęczyli się z nim. Odpytywany chętnie opowiedział, jak można było w biurze map armii, w którym pracował przez całą wojnę, szybko wydać z niemieckimi opisami rosyjskie zdobyczne mapy w niezliczonych kopiach oddziałowi, który przedtem musiał pracować na trzystu tysiącach map.

Zrzędził w obozie, zrzędził na Łubiance, zrzędzi po drodze, zrzędzi na perspektywę dwudziestu pięciu lat pracy przymusowej - to cały Danhorn.

- Ile szkoły masz za sobą, Forell? Czyż ktoś z taką niewiedzą może zostać nadporucznikiem? Kto miał z wami lekcje geografii? Ile razy nie zaliczyłeś klasy? A jeśli tak, to dlaczego?

- Profesor Eibl zaniedbał ten obszar. Wiem. Z Rosją doszliśmy tylko do Uralu.

- Więc czas najwyższy nadrobić straty.

- Jeszcze na pewno nadarzy się dość okazji.

- Nic się nie nadarzy. Zamknięty wagon, otwierany tylko co kilka dni. A później, kiedy nas wysadzą na świeże powietrze, to będzie bardzo świeże powietrze. Ale cóż chciałbyś zobaczyć?

- Jeśli to możliwe, to granicę z Mongolią z drugiej strony.

- Spieprzyć?

- Tak. Wiesz, jak wygląda Syberia?

- Wiem tak samo mało jak ty.

Danhorn dalej zrzędzi. Czuje się jednak podłehtany, spoglądając przez grube szkła na kolegę, który ma więcej ciała, wzrostu, postawy i wytrzymałości niż on, ale jest bezradny i biedny bez jego wiedzy, bez jego znajomości mapy. Danhorn wie, jak wygląda Syberia na mapie. Jedenaście lat pracował w Lipsku w Instytucie Kartograficznym, a sieci siatek wryły się powoli w jego korę mózgową. Teraz musi je tylko wypełnić.

- Gdzie Przylądek Dieżniewa?

- Dla ciebie bez znaczenia. Jeśli już tam będziesz, to Bóg dawno wybaczył ci głupotę myślenia o ucieczce.

Chudymi palcami Danhorn wydrapuje w szronie na ścianie wagonu niepewną linię biegnącą mniej więcej z północy na południe.

- Ural. Na zachód od niego drobiazg, Europa, która już nas nie interesuje.

Palec rysuje dalej, a gdy Forell po śmiertelnym zbieleńiu poznaje, że ten palec nie wyrysuje mapy do końca, wyłamuje z bukowego polana szczapę - nieco prostacki rysik dla kartografa, ale to będzie też zapewne prostacka i jedynie niedokładna mapa.

- Spróbuj tym!

- Irtysz. Mamy za sobą. Omsk, jeśli łaskawie pamiętasz. Irtysz łączy się z Obem. Tu w tej chwili stoimy. Chwile są na Syberii długie. Tu Jenisej. Zapamiętaj, Duży: wszystko płynie, ciągnie się i wskazuje na północ. Także Lena. Reprezentacyjne wody. Nie mam pojęcia, jaką trasę wycieczki przewidział Intourist* dla naszej wyprawy w białą dal, ale mogę sobie wyobrazić, że dopływy wschodnie - bukowa szczapa skrobiać, kreśli wciąż nowe biegi rzek na lodowej skorupie ściany wagonu - bardziej będą zajmujące od dopływów zachodnich. To na przykład byłby, jeśli mielibyśmy go kiedyś zobaczyć, Witim. Potem odrobinę dalej na północny wschód Olekma. Odrobina to tutaj wszystko, co ma mniej niż tysiąc kilometrów. Ałdan wydaje mi się też niepozbowiony uroku.

- Nie starczy naszej części mapy, Danhorn.

- Resztę nakreślmy na suficie wagonu. Dla ciebie już bez znaczenia, bo ty dasz drapaką tu, na południe od jeziora Bajkał - ono ma mniej więcej ten kształt i rozmiar - lub w Górach Jabłonowych. Wybierzesz najkrótszy odcinek do granicy, zresztą niezbyt długi, jeśli ta linia to granica, gdzie pogranicznikowi pokażesz swoje dokumenty. Masz przecież?

- Czy takie granice są strzeżone?

- Należy tak przyjąć. A może widziałeś już w Rosji wyjazd z miasta, kołchoz, świniańnię albo pole kapusty, które nie byłoby strzeżone?

- Świństwo!

- Tak, tak. Mówię przecież, chlewnia. Wieża strażnicza. Czołg. Psy. Reflektory i bardzo żywo pracująca broń ręczna.

* W czasach Związku Sowieckiego państwowe biuro podróży, wyłączny touroperator dla cudzoziemców - przypis tłumacza.

Danhorn niezmiennie zrzędzi. Raczy żartować, ale żarty wychodzą mu jakby nasączone octem. A żółte oczy nieruchomo i ze złością patrzą przez zniekształcające szkła. Zęby szurają po zarośniętej dolnej wardze, cedząc powietrze.

- Przekroczenie granicy to sprawa inteligencji. Masz jej odrobinę, chociaż nie masz najmniejszego pojęcia o geografii.

- Tylko o geografii dalszych stron.

- Uczcie się za młodu, żebyście na starość wiedzieli, gdzie szukać ołowiu!

- Nie chcę kopać ołowiu.

- Nikt tego nie lubi robić. Ja też nie. Ale do takiej ucieczki jestem zbyt słabowity. Czegóż chcieć od kartografa! Mam inteligencję potrzebną do tego, żeby zrobić to, co ty chcesz zrobić, ale jestem tak niezdarny, że ściągnąłbym na siebie każdego łowcę ludzi. Chociaż to raczej ja mam bardziej niż ty rozmiary zwyczajne w tym kraju. Jesteś wyraźnie za wysoki. No dobrze! W każdym razie chcesz zwać i przejść przez granicę. Dziwi mnie tylko, że nigdy jeszcze nie słyszałem opowieści o człowieku, który wykonał ten inteligentny kawałek. Jeśli w tym przypadku, co należy założyć, inteligencja nic nie daje, to jak sądzę, w takiej okolicy ani nie ma zwyczaju, ani konieczności wykopania grobu. Podobno do maja natrafia to na trudności i twardo zamrażającą ziemię.

- Dziękuję!

- Proszę! Nie musi przecież zdarzyć się to najprostsze. Bardziej skomplikowany i gorszy jest inny przypadek, jeśli rzeczywiście przejdiesz przez granicę, z dwoma zimnymi ziemniakami w kieszeni, które podprowadziłeś z wyżywienia w pociągu z transportem.

Musisz wtedy dobrze podzielić. Pustynia Gobi jest bowiem tej wielkości, że rysując naszą mapę, musimy przejść na podłogę wagonu. Swoją drogą, nigdy nie będziesz po tamtej stronie granicy, nawet jeśli ją przekroczysz.

Forell robi się powoli zły i już się nie dopytuje. Ale Danhorn nie potrafi przestać, kiedy się rozgada.

- Związek Sowiecki jest na wszystkich mapach świata zielony. Może sobie przypominasz. Ten obszar tutaj jawi się na mapach bladozielony. Ma to swoje powody. To nie lubiany kolor.

Przerzucając się uszczypliwościami, obaj nie zauważają, że koledzy dookoła, rozbudzeni rozmową o ucieczce, podsunęli się bliżej i patrzą ze złością na mapę, której kontury zaczynają się już pokrywać nowym szronem. Leibrecht odgarnia białe włosy ze skroni gestem zbyt zwykłym, żeby go uznać za wytworny i mówi półgłosem, że odbiorą Forellowi połowę racji kartofli, skoro czuje się dość silny do próby ucieczki, która na pozostałych kolegów ściągnąć może jedynie nieszczęścia. Inni z tyłu za nim mówią to jeszcze wyraźniej.

- Trzymaj się z daleka od takich spraw! A może jesteś z tych, co próbują wciąż na nowo?

Forell pobladł jak wosk z przerażenia i wzburzenia natychmiast cofa się o krok, bo zapowiada się na prawdziwą kłótnię. Potyka się jednak i pada jak długi. Mężczyźni w tym momencie rozpoczynają przepychankę, w czasie której na zmianę dominują siła, rozpacz, odwaga, chęć zabawy, strach i bohaterstwo.

Nie trwa to długo. Nie starcza na to ani siły, ani cierpliwości żołnierzy eskorty. Otwierają się gwałtownie drzwi i w wagonie następuje dominacja szorstkich głosów i manier. Widocznie takie spory zdarzały się już w innych wagonach. Wobec prostackiej siły jeńcy niemal z zawstydzeniem uświadamiają sobie własną słabość. Sapiąc, uśmiechają się zakłopotani, a brutalna interwencja kończy kłótnię.

Dwa dni później, kiedy zapomniano już o zdarzeniu i wszelkie podniecenie zamarzło, ktoś znów zwraca uwagę na wyrytą w lodzie mapę. Forell leży, pozostając w swym kącie, a Danhorn wypytywany o to, gdzie leży Syberia wymieniana na Łubiance podczas ogłaszania masowego wyroku, zmuszony jest jeszcze raz objaśniać swoją mapę.

- Przylądek na Wschodzie?

Zrzędlawy Danhorn stoi bezradnie przed ostatnimi śladami, które pozostały z mapy nakreślonej szczapą. Pokazuje nieporadnymi rękoma, że dłuższa ściana wagonu nie wystarczy, żeby narysować jeszcze i to.

- Ludzie, tego nie da się narysować. Trzeba przecież wziąć pod uwagę również to, że Ziemia ma kształt kuli. Nie starczy miejsca. Ale może da się to przedstawić na suficie wagonu.

- Jeszcze dalej na wschód?

- To też. Jeszcze dalej na północ.

- Niemożliwe.

- Czy naprawdę sądzicie, że w tym kraju jest coś, co jest niemożliwe?

- Myślałby kto, że już tam byłeś!

- Dla mnie byłoby lepiej, gdybym nie wiedział tak wiele. Mam za krótką rękę, żeby to nakreślić. Forell, jesteś najwyższy. Chodź tu! Weź szczapę!

Forell ma w sobie jeszcze złość z powodu ponurej historii, jaką mu urządzili, bo odważył się mówić o ucieczce.

- Tylko cierpliwości, nawet jeśli oczekiwanie przychodzi wam z trudem! Wszyscy tam się znajdziecie. Aż do wyczerpania zapasu.

W kącie naprzeciwko Forella leży dwóch mężczyzn, którzy dziś zamarli. Skostniały strach wpatrzony w sufit. Zanim będzie się wreszcie tam, gdzie już nie starcza miejsca i ręki, żeby kontynuować mapę, wszelki zapas będzie wyczerpany, nikt nie będzie żył, nikt nie będzie planował ucieczki lub skarżył się na głód. Mapa nie będzie ukończona, choćby podróż trwała długo. I teraz wszyscy zamknięci nienawidzą chudego, wiecznie zrządzającego Danhorna, bo upiera się, iż wie, że za pełnym końcem dopiero zacznie się większa nieskończoność, a przyładek na Wschodzie jest tam, gdzie ta nieskończoność zwiesza się w pustkę i wieczność.

Gdy pociąg siedem godzin stoi w Krasnojarsku, a drzwi wciąż nie otwarto, buty zaczynają uderzać w ściany z desek upartym rytmem. Już dwa dni żadnych ziemniaków, nie mówiąc o chlebie czy innym wartościowym pożywieniu. Ale nawet ziemniaków. Jest przeraźliwie zimno. Na poły koło drzwi, żeby osłonić wagon od kąśliwego wiatru, ułożono sześć zwłok, jedno na drugich. Oddają w ten sposób ostatnią przysługę pozostałym przy życiu kolegom, ale one też nie zapewniają wystarczającej ochrony.

Ziąb zaczyna zmniejszać pomieszczenie grubym jak dłoń marznącym osadem. Mężczyźni unikają ścian. Nie mają dość słomy, żeby chronić się z boków. Wygląda na to, że o nich zapomniano, walenie w drzwi przeradza się w pełne złości krzyki, gdy minęły godziny, a Rosjanie nie interesują się swoimi jeńcami.

Ale ilu zdoła jeszcze krzyżeć? Nikt nie robi tego nawet przez pół godziny. Potem leżą w słomie i jęczą, wyczerpani, niezdolni do niczego. Danhorn, prześladowany przez

geografię, chucha i robi kółko w skorupie lodu, tam gdzie Krasnojarsk wyznacza mniej więcej połowę trasy przez Syberię, a następnie mówi sinymi wargami:

- Przecież oni wcale nie chcą dostarczyć nas do celu. Leibrecht, smukły i elegancki, którego nikt nie posądzałby o wytrzymałość, także wali buciorami w drzwi i daje radę jeszcze wtedy, gdy poza Forellem i jednym takim ze środkowych Niemiec o nazwisku Burger nikt już nie ma siły, by idiotycznie łomotać w drewnianą ścianę.

Na Rosjan, kiedy po kilku godzinach otwierają wreszcie drzwi, wypadają dwa z sześciu trupów. Zdaje się, że nie oczekiwali niczego innego, jedynie trupów i jest im to zupełnie obojętne. Zwyczajny rozkaz: wynieść trupy, nabrać śniegu do naczyń, zabrać wiadro z kartoflami!

Forell musiał chyba oszaleć. Jeszcze żołnierz eskorty nie wypuścił wiadra, gdy ten już je wyrzucił, wytrząsając ziemniaki. Zaparowało odrobinę w śniegu i kartofle leżą jak kawałki błota. Akurat dziś jedzenie byłoby jeszcze ciepłe.

- Zatrzymajcie sobie wasze kartoszki!

Wyczerpani ludzie w wagonie wstają i próbują pojąć, co się stało, choć umysł już dawno odmówił działania. Tego Forella z tym jego uporem nie da się całkiem zrozumieć.

Ale Leibrecht musi być chyba całkiem szalony.

Marny skok, ale jednak skok, i pięćdziesięciolatek, lekko tylko wspierając się ręką, wychodzi z wagonu.

- Zatrzymajcie panowie swoje ziemniaki i przekażcie, że chcemy mówić z oficerem dowodzącym transportem!

Siwowłose Leibrecht także i tu jest uprzejmy. W czystej prostocie wierzy, że w Krasnojarsku można złożyć zażalenie w formie raportu. Włosy urosły mu tak, że zawijają się za uszy, ale są białe, czyste i z przedziałkiem. Jak on to robi?

Przy całej uprzejmości tego „panowie” pozbył się wszystkiego, czym dysponował w głosie, a być może nadwerżył nawet kredyt sił i odwagi. Oczywiście osiągnął tyle, że z wagonu dziewięć także wyleciało wiadro z ziemniakami i podniósł się przeraźliwy krzyk. Trzy minuty najwyżej minęło i rebelia ogarnęła cały pociąg, a żołnierze zaczęli wywijać pistoletami maszynowi, siejąc przerażenie. Strzał następuje niezwykle łatwo, gdy palce są zeszytywniałe. A od ostrego zimna nie są ochronione nawet podwójnie osłonięte dłonie Rosjanina. Przychodzi otrzeźwienie. Żaden nie chce tak umierać. Żaden nie chce odebrać sobie szansy i powoli zamarznąć, żaden nie wierzy w to, że może być następnym, którego wyrzucą jako cudownie zastygłą karykaturę ludzkiego stworzenia.

Wszyscy wracają do wagonów, których tak czy inaczej nie wolno opuszczać. Nawet Forell uchyla się od pewności tak łatwej i podniecającej śmierci, idąc do wagonu, już przygotowany, że będzie musiał słuchać wyrzutów tych, których pozbawił posiłku, a zatem życia. Inni patrzą tępo na niego. Tak samo tępo, tylko bardziej pożądliwie patrzą na powoli rozdeptywane na zewnątrz ziemniaki. Nie da rady. Te kilka ziemniaków, słodkich i mdłych, to już nie jedzenie. To tylko kleista zwłoka w zagłodzeniu. Forell ma rację. Być może w oczach kolegów nie miałby racji, gdyby tam na zewnątrz nie było ciągle jeszcze krzyczącego Leibrechta.

- Tak dłużej nie możecie robić. Umieramy z głodu.

To ostatnie żołnierz rozumie. Spluwa wspianiałym łukiem na mroźnym powietrzu i potakująco kiwa głową.

- Dobrze!

Jego zdaniem to nawet całkiem dobrze, dlatego spluwa jeszcze raz. Zadziwiające pozostaje, dlaczego nie naciska na spust, żeby zakończyć rebelię. Umysł Leibrechta pracuje z drobiazgową precyzją. Ewentualna strzelanina pociąga za sobą kłopoty i powoduje konieczność sprawozdania. Gdyby się ruszył i pobiegł kilka kroków, strażnik na pewno z lubością pociągnąłby za spust. Nie chce strzelać do spokojnie stojącego jeńca, który tylko gestykuluje rękoma. I w ten sposób u siwowłosego pojawia się odwaga. Jeszcze raz żąda, by go zaprowadzono do oficera dowodzącego transportem.

Ponieważ widocznie dotąd tego nie żądano, żołnierz jest niezdecydowany. Dowódca transportu, porucznik, wybawia go z niejasnej sytuacji. Kilka zdań przelatuje w jedną i drugą stronę.

Nie można zrozumieć ani słowa. Zimna, gładka twarz mustruje krnąbrnego Leibrechta. Nagle porucznik mówi niemal bezbłędną niemczyzną.

- Czego chcesz?

- Godnego ludzi jedzenia dla całego transportu.

- Buntujesz się?

- Nie. Mówię w imieniu ludzi, którzy umierają z głodu.

- A więc ma tu miejsce konspiracja, którą zdusić jest moim obowiązkiem. Jak się nazywasz?

- Kapitan Leibrecht.

- Towarzyszu Leibrecht! Za dziesięć sekund wagon będzie zamknięty. Bez ciebie. Będziesz wtedy jednym z nich - pokazuje na zwłoki.

- To pańskie prawo, poruczniku. Ale pańskim obowiązkiem jest codzienne wydawanie żywności dla transportu. Wagon został załadowany w Samarze do pełna, pod sufit, a na stacjach jeńcy dostają tanie, na wpół zgniłe ziemniaki, przez co masowo umierają z głodu i osłabienia.

- O czym ty mówisz?

- O wagonie między wagonem eskorty a lokomotywą. Teraz jest pusty.

- Wsiadać! - lekko i groźnie uśmiecha się porucznik.

Nie jest to przyjemne wsiadanie, zwłaszcza że od ziemi do dolnej części drzwi jest do pokonania odległość połowy wzrostu człowieka, a niemal o włos znajduje się koniec szybkostrzelnej broni. Jednak Leibrecht ma poczucie, że musiał raz coś takiego powiedzieć. Bardziej oczywiście obawia się własnych kolegów, których los zapewne dopełni się teraz w zupełnej ciszy w ciągu kilku dni w zamkniętym wagonie.

Gdy drzwi się zatrzasną, zewsząd dookoła gapi się na niego ciemność.

Nie pada ani słowo. Nie mówią nawet o strachu, o nędznym, żalonym strachu o swe bezwartościowe życie, które Leibrecht przegrał dla nich wszystkich. Licytowane jest jeszcze wysoko, inaczej nie byłoby rebelii.

Głęboką nocą w świetle jasnych reflektorów, których przedtem nikt nie widział, znów zaczyna się rumor i krzyk wzdłuż pociągu, ów jednakowy, odprawiany z tak dużym natężeniem głosu rytuał gwałtownego otwierania drzwi, jaki zwykł towarzyszyć wydawaniu jedzenia. Światło wdziera się jak jasne kłujące pręty przez wzierniki do środka. Dla tego, kto poznał Rosję, reflektory oznaczają zawsze coś strasznego. Leibrecht pierwszy głośno jęczy. Mówił za innych, teraz musi przyjąć na siebie konsekwencje. Martwi go tylko jedno - to że żołnierze otwierają gwałtownie wszystkie wagony po kolei. Wszędzie była rebelia i wyrzucano kubły z ziemniakami, dlatego zapewne odwet dosięga każdego wagonu.

Białe, twarde światło wpada do środka, gdy gwałtownie otwierają się drzwi wagonu ósmego. Leibrecht próbuje się nie zachwiać.

I wtedy, z płytkiej waniенki, jakiej w ojczyźnie używają rzeźnicy do peklowania małych ilości pieczeni, strażnicy wysypują ryby wielkości dłoni, taką masę ryb, że dla każdego jeńca wypadają po dwie, a może trzy. Zamiast chleba żołnierze dodają wszystkie przekleństwa, jakich nauczyli się, począwszy od brzucha matki po trzydziesty rok życia. W przypadku dobrego Rosjanina jest to wiele przekleństw, które dziwnym trafem mają jakiś związek z matką. Ich zapas starcza od wagonu ósmego, skąd rebelia się zaczęła, po co najmniej trzy wagony dalej.

Po raz pierwszy, od czasu opuszczenia Łubianki, wytworny Leibrecht traci całe panowanie nad sobą. Robi się gadatliwy, co jest reakcją na przeżyty strach, oraz przesadnie ożywiony. Oczywiście nie jest sam w tym rozdarciu między śmiechem i płaczem, odprężeniem i przechwałkami, bo wszyscy reagują tak samo na napięcia ostatnich godzin, nie tylko w ósmym wagonie, lecz także przed i za nim. Ta noc jest głośna, a w upiornie brzmiącym śmiechu wybrzmiewa ta sama histeria, co wymyślone przez strach reflektory Rosjan.

W pociągu, gdy kilka godzin później odjeżdża, jakiś głos z ciemności pyta, czy wystarczająco napełniono śniegiem naczynia.

Noc jeszcze nie minęła, kiedy mocno solone ryby dają o sobie znać, a nikomu nie wolno nic więcej, tylko od czasu do czasu zanurzyć palec w topniejącej nad niezdecydowanie nagrzanym piecykiem wodzie uzyskanej ze śniegu przyniesionego w Krasnojarsku. Później, bo nawet bardzo dużo śniegu daje bardzo mało wody, spragnieni opierają się o ścianę wagonu i po zdrapaniu palcami osadu, który narósł w ciągu sześciu tygodni jak ogromny grzyb, zlizują szron. Pragnienie to męka o wiele większa niż głód.

Ryby z Krasnojarska pozostały przez całą długą drogę do Irkucka jedynym dodatkiem do jedzenia, które dalej składa się już tylko z ziemniaków. Jak się zdaje, z powodu ryb mniej ludzi teraz umiera. Mały zapas sił u tak skrajnie wygłodzonych trzyma zaskakująco długo, nawet jeśli wszystko połknięte zostaje od razu w ciągu jednej godziny. Dlaczego porucznik skapitulował, nikt nie waży się zgłębiać. Może w ten sposób, nieco przed czasem, zaczęto traktować skazanych jak Sybiraków, jak przyszłą siłę roboczą, której marnowanie jest przestępstwem, choć likwidacja bez słowa ludzkiego życia jest tu na porządku dziennym i wszyscy uważają, że wraz ze śmiercią któregoś z jeńców spełniony zostaje dobry uczynek.

Irkuck w niezatarty sposób wbił się we wspomnienia po wsze czasy.

Na Łubiance, gdy w końcu nastąpiło przyznanie się do winy, przesłuchujący dawał papierosy. W Irkucku żołnierze eskorty podczas postoju z łaskawą obojętnością wydają w każdym wagonie na każdego żywego więźnia paczkę machorki. Są to wąskie, brązowe paczuszki, jakie wchodzi w skład racji dla każdego żołnierza. Kto nie wie, jak wspaniale smakuje aromat pogardzanej często machorki, ten nigdy nie był za rosyjskimi drutami i nie uczestniczył w transporcie przez dwa bite miesiące przez pół Syberii aż po jezioro Bajkał. W każdym razie nie w miesiącach straszliwego zimy.

W wagonie, w którym nie ma nic poza słomą na legowisko i mizerną grupką ludzi, pojawia się nie wiadomo skąd w wilgotnych i pomiętych strzępkach papier gazetowy, który już dawno każdy nauczył się skręcać tak, by jako tako trzymała się w nich machorka, choćby

była gruba jak karma dla kur. Jeśli zwiniętą trzyma się do góry, póki żar nie zapiecze tytoniu, palenie może dalej odbywać się tak, jak gdzie indziej palenie ręcznie formowanych papierosów.

To szczególny dzień. Drzwi wagonów pozostają otwarte. Żaden z eskortujących nie próbuje na poważnie zapobiec temu, by więźniowie z różnych wagonów nie rozmawiali ze sobą. Ziąb dzisiaj nie jest już tym, czym był - szarym wrogiem wszelkiego życia, lecz jest częścią krajobrazu, który widziany poprzez dym machorki zdaje się być wart miłości. Jeśli więc to jest Syberia, to można ją znieść.

- Dzisiaj są dwa miesiące. - Co?

Mężczyźni odwracają się powoli, gdy student Willi Bauknecht z wagonu czwartego, chłopak z niedojrzałym jeszcze puchem na policzkach, pokazuje swoje wyliczenia.

- Wyjechaliśmy dwudziestego czwartego października.

- Zgadza się.

- Nie wolno nam stracić całkowicie rachuby z kalendarza. Dlatego zaznaczałem każdy dzień. Więc osiem dni przypada jeszcze na październik. Trzydzieści dni listopada. Resztę możecie policzyć.

Takie zbiegowisko wydaje się strażnikom niebezpieczne, dlatego je rozpędzają. Nie obywa się bez dwukrotnego policzenia dni wyskrobanych gwoździem w szarozielonym okuciu.

- Więc dlatego!

- Żadne dlatego! Rosjanie w ogóle o tym nie wiedzą. Przypadek, że dziś była machorka. To tak wypada w czasie jazdy, czy przejeżdża się przez Irkuck dziesiątego lipca czy dwudziestego czwartego grudnia. Nie Święty Chrystus, lecz święty Irkuck. Będziemy go wspominać, po tym jak przypadkowo Wigilia naszego roku czterdziestego piątego przypadła na ten radosny dzień.

Student powinien raczej wrócić do wagonu i tam wypłakać się z całego serca, że zwalono na niego dolę spędzania tu dnia Chrystusowego. Lecz żeby nie musieć płakać, zgrywa bezczelnego i udaje, że na policzkach urosła mu już gęsta broda, a wrażliwą duszę pokryła gruba warstwa doświadczeń.

Nie starcza tego na nic więcej niż zadumane milczenie, bo Rosjanie przygotowali na później jeszcze jedną niespodziankę. Mnóstwo hałaśliwych głosów i jedynie umiarkowana skłonność do robienia tajemnicy dają znać o sobie, gdy transport otrzymuje nowy wagon, a ten obsadę, która wykracza nieco poza zwykły styl. Żaden z jeńców nie zna faktów. Docierają do nich jedynie pogłoski o ładunku pociągu - Rosjanach, więźniach z wyrokami, których

miejsce docelowe jest takie samo jak transportu skazanych Niemców. Wyrok sądu opiewa u nich na taki sam okres, jaki według ludzkiej i nieludzkiej miary uważa się za dożywocie, niezależnie, czy jest to dwadzieścia, dwadzieścia pięć czy więcej lat. Czego się dopuścili, tego nikt nie wie. W kraju, który potrafi wszystko podzielić na kategorie, skazani tej kategorii nazywani sącalinnymi*. Należąc do klasy, do plemienia, do ludu calinnych, nie masz już widoków na to, że kiedyś znów zobaczysz wschodzące słońce na zachód od Uralu, nawet jeśli twoja kołyska stała na Białorusi lub na Kaukazie.

Jesienią czterdziestego piątego transport przyszedł z Tomska aż tutaj. Na ostatnim odcinku drogi przed Irkuckiem wybuchł wśród calinnych tyfus. Wzięto ludzi z pociągu, stu dwudziestu chłopca, żeby wyleczyć ich w barakach lazaretu. W dalszą podróż w Wigilię czterdziestego piątego roku rusza tylko czterdziestu.

Nie ma więzienia, jak się twierdzi, które byłoby równie pewne jak Osmita w mającym od stuleci duże znaczenie dla przeładunku ludzi mieście Czyta.

Jakież wspaniałe cele wytyczać może sobie ambicja! Najdłuższy wiszący most świata. Najpiękniejsze miasto świata. Najwspanialsza budowla wodna świata. Najlepiej zabezpieczone przed ucieczką więzienie świata. Ambicja wyszukuje wyżyny nie do pokonania w dziedzinie, która zależnie od kraju i obyczaju jest najpotrzebniejsza.

Położona na niedużym wzniesieniu poza miastem Osmita - twierdzi się, że znaczy to „Niepokonana” - próbuje zrobić wrażenie cyklopowymi murami, do których zbudowania trzeba było, jak się zdaje, azjatyckiej cierpliwości. To z zabezpieczeń, które demonstrowane jest za otaczającymi ją murami, robi wrażenie na człowieku, który jako narzędzie do rozsadzenia odwiecznego kamienia ciosanego nie ma niczego poza gołymi paznokciami. Budowla pochodzi z czasów, gdy Syberia nawet w tej części nie była

Z rosyjskiego calina = ugor, pracujący na ugorze, pionierzy. bezsprzecznie w rosyjskim posiadaniu, a swe najpomysłniejsze usługi oddała w okresie, w którym kolonizacja musiała utworzyć tu główny obóz dla dopływu z więzień Rosji europejskiej.

Tysiąc dziewięciuset pięćdziesięciu ludzi, wliczając w to czterdziestu calinnych, wysiada w Czycie z pociągu. Zakrojony na całą wieczność, a potem jednak po kilku godzinach udanie zakończony, apel dla policzenia stanu przy opuszczaniu pociągu nie wykazuje, ilu mężczyzn zostało po drodze. Nikt nie pamięta liczby wyjściowej. Jeśli przyjąć początkową liczebność transportu, opierając się na umieralności w jednym tylko wagonie, to mogło być grubo ponad trzy tysiące mężczyzn. Wagon ósmy w drodze do Czyty stracił trzydziestu sześciu ludzi z dziewięćdziesięciu jeden. Straty w innych wagonach w żadnym

wypadku nie były mniejsze. Eskorta nigdy nie zadała sobie trudu policzenia tych, co pozostali w drodze. Wystarczało im wykreślenie z listy martwych.

Teraz jednak liczą. Na drodze z dworca aż do Osmity trzymają więźniów razem, jak psy stado owiec, odczuwając ulgę dopiero w chwili, gdy olbrzymie mury sprawiają, iż każda myśl o ucieczce wydaje się śmieszna. Podwójne kraty okienne, o których Rosjanie z dumą opowiadają, że są ze stali, a nie tylko ze zwykłego żelaza, osadzone są w likach okiennych. Strażnicy jednak nie pokładają dostatecznego zaufania nawet w takim zabezpieczeniu, bo trwają nieustanne podchody, skradania i podsłuchy wokół ociekających kroplami wody kazamat. To zbytek zaszczytu dla tysiąca dziewięciuset pięćdziesięciu więźniów, z których wyszano ostatki sił fizycznych. Nawet mężczyzna taki jak Forell nie myśli już o ucieczce.

Naraz uwięziony człowiek jest tak ważny. Jeśli na czas transportu dano, jak się zdaje, hasło, by pozwolić umrzeć wszystkim, którzy są niezdatni dla Syberii, tutaj odczuwalne staje się dążenie, by zachować każdego, żadnemu nie pozwolić na ucieczkę lub śmierć, pielęgnować ludzi jak klejnoty, które - zachowane jak najlepszy wybór z heterogenicznej masy - nie zostaną dodatkowo zdziesiątkowane przez nieudolność tych, co za nie odpowiadają.

Pobyć w Osmicie nie będzie długi. Dla potrzebującej ludzi Syberii jest ona karawanserajem przeznaczonym do tego, by przygotować stado do marszu i przyzwycząić do nowych pasterzy. Czuje się, jak wraz z nowymi ludźmi pojawia się w Osmicie nowy, mocniejszy wiatr. Fizyczny ziąb, utrzymywany tu przez grube mury, dałoby się wytrzymać, gdyby tylko nie przelatywał każdemu po plecach inny zimny dreszcz, kiedy zobaczy nahażkę w rękach niskiego krępego faceta idącego przez korytarze jak ruchomy stojak na broń. Tu już nie ma obojętnych, niczym niezainteresowanych żołnierzy eskorty kolejowej, lecz są wyszkoleni poganiacze ludzi, którzy mają przetransportować fracht i najchętniej od razu w warowni przyzwyczajaliby się do niego, aby mieć potem łatwiejszą sprawę. Ich misją zdaje się być szerzenie wokół siebie strachu, wywoływanie obaw, przywracanie pejcem dyscypliny. I w ogóle batożenie, żeby zobaczyć, jak człowiek z nowego ładunku reaguje, gdy przeciągnąć mu straszliwym kawałkiem skóry przez szyję i plecy.

Ci żołnierze konwoju są poganiaczami ludzi z zawodu. Dostarczają na miejsce wszystko, co powierzone jest ich eskorcie. Mają doświadczenie oraz obowiązek zapobiec temu, by ktoś został po drodze. Żeby zapoznać się z podopiecznymi z dobrej i złej strony, już przed wymarszem stale są przy więźniach. Od czasu gdy Syberia stała się największym więzieniem na ziemi, znak ich cechu z twardej długiej skóry w całym świecie wywołuje trwożne uznanie.

Niewielki wzrost nie kłóci się z imponującym wrażeniem. Futra zawsze tworzą obraz. Futrzane buty z cholewami dają od dołu początek włochatemu obrazowi. Spodnie są futrem. Futrem są kurtki. Futrem jest fufajka, która tutaj nie jest po prostu półdługą stebnowaną kamizelką, lecz niemal rozrośniętym płaszczem sięgającym do połowy łydek, akurat na tyle, żeby nie przeszkadzała chodzić w śniegu. Na sznurze zawieszonym na szyi huśta się nagan, rewolwer używany w armii, podczas gdy pistolet maszynowy noszony jest, jak zwykle, na plecach.

Męski przepych futer i broni nie został wymyślony dopiero dla niemieckich jeńców wojennych. Również uprawnienia konwoju transportowego wywodzą się z dawnej specjalizacji. Żołnierzom eskorty normalnego typu wolno bić jedynie na polecenie oficera. Konwojenci transportowi mają prawo stosowania nahajki „po uważaniu”, gdzie wyda się im to konieczne. I w niektóre dni wydaje się to bez przerwy konieczne. A dla dopełnienia syberyjskiego obrazka ze szkolnego podręcznika dla dzieci, na głowie uzbrojonej najczęściej w skośne oczy siedzi czapka kozacka, dokładnie taka jak w podręczniku. Zielony krzyż na czerwonym suknie czapki jest oznaką syberyjskiego konwojenta transportowego. Denko czapki z baraniego futra staje się w ten sposób kokardą.

To, co się tu teraz dzieje, jest niezwykle, nawet dla ludności Czyty. Wprawdzie za szczelnymi murami nikt się nie dowie, jakie prace przygotowawcze prowadzi się w mieście pod reżyserską ręką konwojentów, zanim będzie można odtransportować więźniów, jednak rzut oka ujawnia, że dla niezwyklego celu, jeśli przypadkowo leży dość śniegu, muszą zostać zarekwirowane wszystkie sanie, jakimi miasto w ogóle dysponuje. Idzie o dwa tysiące ludzi, których trzeba odtransportować. Nawet jeśli chce się załadować po dwudziestu ludzi na sanie, co bynajmniej nie jest możliwe w każdym przypadku, potrzebne będzie sto sań.

Jednak największe wrażenie robi parada koni w dzień odjazdu. Jeszcze tylko na Syberii, gdzie koń pozostał niezbędny dla człowieka, wola władzy może z dnia na dzień zapotrzebować pięćset koni tak, że są na miejscu o określonej godzinie. Do każdego sań zaprzężono cztery.

Ranek paruje i tupie. Konwojenci zarządzają odjazd transportu w sile pułku z pomocą bogatej skarbnicy języka i siły pejcza. Na trzaskającym mrozie parują nozdrza i pyski koni. Znów kolejny raz nie zgadzają się listy z liczbą głów. Nigdy się nie zgadzają, kiedy jest zimno i kiedy ciała pod czterema warstwami futra bez trudu znoszą to, co dla źle odzianych więźniów jest męczarnią. Wreszcie po wielu godzinach, z których każda liczy się potrójnie, do szeregu włączane są sanie z zaopatrzeniem. Zaraz potem usadawiają się wiekowi muzycy*, a poganiacze ludzi zajmują miejsca we wszystkich saniach z jeńcami.

Skąpy śnieg kurzy się spod dwu tysięcy kopyt. Karawana rozciąga się, odznaczając w krajobrazie długą na kilometr chmurą

* Z rosyjskiego muzyk = chłop. oddechów i mieniącego się sypkiego śniegu. Tu i tam na więzienne blade twarze kolory lub uśmiech nakłada wybawienie z głuchej Osmity i powiew czaru nieznaney przygody.

To Syberia, budząca trwogę Syberia w swej brutalnej wspaniałości. Wprawdzie zimowe niebo, pod którym właśnie zerwana zostaje nić łącząca z ostatnimi ludźmi zjednoczonymi w mieście, promieniuje przerażeniem, a kierunek jazdy jest nieznanym, wiodąc pozornie bez kierunku w białą przestrzeń, jednak obrazu takiego jak ten, nie potrafi tak wspaniale pokazać żaden zakątek ziemi. Muzycy siedzą sztywno, mając na oku jedynie odstęp do poprzedzających sań. Konie i sanie wzbijają pył i śnieg, który kłuje w twarze. Twarze brodate, chłopskie, o takiej dobroci, jaka kładzie się na Rosji nawet tam, gdzie jest najstraszliwiej. Kolumna wije się wokół zboczy wzgórz i ginie gdzieś na początku. Jeśli ktoś spojrzy wstecz, jak spod ziemi wypęłza mu naprzeciw gra cieni końskich ciał i zapakowanych wysoko sań. Człowiek w całej swej żalności czuje się mimo to utulony, jakby nigdy już nie mógł się zagubić i nie mógł być zgubionym.

Kraina taka nigdy nie może stać się ojczyzną, nawet jeśli dwadzieścia pięć lat ćwiczyć się będzie dwa tysiące ludzi, żeby się z tym pogodzili. Ale nienawidzić jej, nienawidzić z przekonania, po tym wszystkim, co się wydarzyło - to dopiero niemożliwe. Stworzyła mężczyzn, którzy krzywym okiem zdają się nieprzerwanie badać każde drgnienie myśli na twarzach więźniów, chroniąc swój fracht, żeby premia transportowa nie uległa zmniejszeniu przez czyjąś śmierć. Ale stworzyła także brodatych starych woźniców i żywi ich w swej dobroci aż do starości. Na postoju po drodze nieśmiało pogryzają oni chleb, upuszczając z niego jakby mimochodem kawałek, by go potem nadgorliwie szukać i podsunąć biczyskiem pod buty wygnańca. Biada, jeśli któryś z krzyżem na czapce to zobaczy! Biada, jeśli Bóg zobaczy, że człowiek nie jest miłosierny!

Z miłosierdziem uprawianym urzędowo jest tak: dobrze, by nikt z powierzonych konwojentom nie umarł z głodu i wyczerpania. Wyznaczona została premia, a na tych wyklętych liczą w piekle, gdzie jest ich miejsce, liczą jak na kawał metalu. Kto zginie, ten już nie pracuje. Sensem piekła jest praca i wydajność, a do tego potrzebne są siły. W czasie transportu pod gołym niebem ciało potrzebuje więcej wyżywienia niż w czasie leżenia pod dachem wagonu kolejowego. Z tego rozsądnego rachunku wyrasta miłosierdzie dla głodnych.

Po długim dniu na saniach ludzie są zeszywniali i wytrzęsieni od szybkiej jazdy. Mają dość i są głodni. Konwojenci znają miejsca, gdzie można wypocząć i zostać na noc, nie

musząc się obawiać, że choćby jeden człowiek wpadnie na dumny pomysł ucieczki do lasu. Ze zwykłym hałasem, właściwym wszelkiemu syberyjskiemu porządkowi, przebiega zakończenie całodziennej podróży na mądrze wybranym miejscu. Z sań z zaopatrzeniem wyładowują, co potrzeba na ten dzień. Zawsze są to kotły do gotowania. Wypoczynek nabiera stałego rytuału. Wypakowują i rozstawiają trójnóg z wagonu zaopatrzeniowego i wieszają kocioł na hakach. Dla karawany potrzeba czterech kotłów. Muzyków nie dobiera się przypadkowo lub zależnie od humoru - muszą umieć powozić końmi i muszą umieć dobrze gotować.

Po odkrytej polanie leśnej rozchodzi się niebawem intensywny zapach zupy. Ognie palą się spokojnie, dokoła cudowna cisza.

Najłżejszy wiatr nie porusza powietrzem, chłód Syberii zamarł jak zaklęty. Trzydzieści pięć czy czterdzieści stopni przy wiejącym wietrze byłoby dla ludzi i zwierząt nie do zniesienia. Ale nie ma nawet najmniejszego podmuchu.

Dają chleb. Jest porządny i dobrze odmierzony. Każdemu więźniowi, gdy gotowanie przekształca się w nieznośną ceremonię, wrzuca się do blaszanej menażki porządną chochlę kaszy, czyli gęstego, rozgotowanego na breję prosa, zastąpionego później po drodze przez kukurydzę, kaszę, ziemniaki lub soję, czasami z odrobiną słoniny. Nie musząc zjadać całego chleba, który ma przecież wystarczyć na następny dzień, żołądek nie czuje się nareszcie oszukany, a niemal nasycony. I jeszcze więcej - posiłek rozgrzewa ciało, czyniąc je zdolnym do spędzenia nieruchomo nocy w namiotach o cienkich ścianach, a wzajemna wymiana ciepła uwalnia od lęku, że pod nocnym niebem Syberii nieuniknione jest zamarznięcie. Na pewno jest zimno, zimno aż do szpiku kości, jednak na wyspę z ludzi zasypiających w pospiesznie rozbitych namiotach pośrodku leśnej polany spływa nieomal rozgrzewający czysty spokój, lekko oszałamiające uczucie, że teraz są jedynie w boskich rękach.

- Powinieneś spać!
- Chętnie. Tylko nie mogę.
- Jeszcze jesteś niemożliwie młody, chłopie.
- Za miesiąc osiemnaście.
- Strach?
- W ogóle tylko strach.
- Tak bywa.

Potem znów są cicho. Ten, co tam tak głośno śpi, to musi być Danhorn. Któż inny z całej karawany mógłby tak zrzędliwie, drażniąco i niegrzecznie chrapać jak nie kartograf? Forell unosi się odrobinę, żeby zobaczyć, czy zrzęda rzeczywiście jest w pobliżu.

Konsekwentny zły humor kolegi, kiedy było się razem przez dwa i pół miesiąca w jednym wagonie, działa jak czyste, niczym niezmacone zimno. Człowiek radzi sobie z nim, bo jest czyste. Człowiek się z nim zaprzyjaźnia, bo nie da się go uniknąć. Daje pociechę, ponieważ jest niezachwiane i niezmiennie: coś gorzkiego, czemu przypisuje się działanie lecznicze, ponieważ ktoś lub coś nie może być jedynie samo przez się tylko zimne, gorzkie, zrzędlawe, twarde i szorstkie.

Ktoś klnie, bo Forell poruszył płachtę namiotową. To kosztuje wiele ciepła. Zgadza się. To Danhorn. Dobrze, że tu jest. Forell może się znów spokojnie położyć. I zrzęczenie znów usypia. Tylko chłopak nie potrafi wyłączyć się na kilka godzin snu z syberyjskiej niedoli. Jest przy tym tak odważny, że przyznaje się do swego strachu.

- Spróbuj teraz! Sen jest naszą własnością. Nie ma wypłaty za niewyśnione marzenia. A nawet jeśli jutro rano wszystko będzie tak jak dzisiaj, nikt nie odbierze ci tego, że w nocy uciekłeś i byłeś w domu. Tylko trzeba być z powrotem na pobudkę! Powrót do koszar zawsze był paskudny. Powrót na Syberię nie jest inny.

- No, dobra.

- Tylko strasznie uważaj, żebyś nie zrobił się mały i uległy! Bili cię?

Osiemnastolatek kręci głową. Bardziej słyhać, niż czuć. Worek, na którym leży chłopięca głowa, cicho szeleści.

- Parę pchnięć kolbą każdy kiedyś dostaje, gdy nie może iść tak szybko jak inni. Nic poza tym. Może nie powinienem był tego robić. Wszystko potoczyłoby się wtedy inaczej.

- Co?

- Ukradłem ziemniaki.

- Gdy już byłeś w niewoli?

- Tak. To były niemieckie ziemniaki, z Prus Wschodnich.

- Możesz się pocieszyć, mój drogi. Ja niczego nie ukradłem, nie byłem w żadnej organizacji, jakim ogólnie przypisują zbrodnie wojenne, nie pilnowałem też jeńców wojennych. Swoje wypracowanie o wrażeniach z socjalistycznej republiki radzieckiej napisałem na kolanie, tak że sam się potem tego wstydzilem i nawet się nie przyznałem, że już w roku uciekłem z niewoli. Nic to nie pomogło. Dwadzieścia pięć lat pracy przymusowej. Wiesz, co przyznałem? W przelotnej rozmowie, podczas której poczęstowano mnie nawet papierosem, wyrwało mi się, że rosyjskie koguty i gęsi smakowały nie gorzej od niemieckich. Czy za to zostałem skazany, nie wiem. Od tego wyznania już mnie nie wzywano, aż do ogłoszenia wyroku.

- Ziemniaki wziąłem z głodu.

- U mnie to nie był głód. Kuchnia oddziału - już ją przecież poznałeś w wieku siedemnastu lat - była monotonna, a kogut był prawem wojennym.

- Z głodu wziąłem ziemniaki - trwał w uporze osiemnastolatek. Za tym ograniczonym przyznaniem skrywa się coś niewyjaśnionego, co waży więcej niż drobna kradzież.

- Jak w tym wieku znalazłeś się w mundurze? - chce się dowiedzieć Forell.

- Rany boskie! Zamknijcie się wreszcie i śpijcie! - zagrział ktoś gardłowym tyrolskim dialektem.

Strażnik na swój sposób daje do zrozumienia, że tylko jemu wolno tu krzyżeć i kłać. Podziałało. Zamiast snu strach zamyka usta. Oczywiście, kto wie, jak wyglądają śpiący, ten czuje, że śpi mniej niż połowa.

Forell już zasypia, myśląc o czymś innym niż osiemnastoletni żołnierz, kiedy nagle słyszy, że ten jeszcze raz zaczyna cicho mówić.

- Sześć lat gimnazjum. Pomocnik w obronie plot. Ranny odłamkiem.

- Jeszcze i to? - Forell mamrocze, żeby w ogóle coś powiedzieć. Nie słucha, bo czuje jak sen, który pochwyił lekko i luźno, znów chce mu uciec w ziać utrudniający zaśnięcie.

- Sześć tygodni lazaretu. Potem ogień dział słyhać było już w szpitalu. Przeczesało teren. Znasz przecież to wyrażenie. Byłem żołnierzem, a dziewięć dni później jeńcem.

- To świństwo wobec tak młodych ludzi.

- Kilka otępałych tygodni. Ukradłem ziemniaki, ale naprawdę z głodu. Uwierz mi!

- Na Boga, tak! Młodzi są stale głodni.

Od tego momentu noc jest niema. Forell jest gotów zasnąć. Chłopak przestaje mówić. Zamierza pokonać coś w sobie samym, ale to coś kładzie mu się na ustach jak wielki czarny cień. Przez namiot widać czarująco piękne gwiazdy, jaśniejsze i jaskrawsze niż te w domu. Forell zaciska powieki, by teraz w końcu nie dać się przywołać do czuwania, ale w na siłę zamkniętym oku znów widzi osiemnastolatka. Nie zna jego imienia, widzi tylko twarz, upokorzoną, jak do płaczliwej prośby o wybaczenie, gdy występuje do przodu w wielkiej sali na Łubiance. Pod portretem Stalina, za stołem nakrytym krwistoczerwonym materiałem stoi sztywny i obojętny prokurator Michaił Uljanow. Mężczyzna po jego prawej w dobrej niemczyźnie odczytuje wyroki. To takie mgliste we wspomnieniach. Co tam się jeszcze zdarzyło? Każdy miał potwierdzić wyrok podpisem, jednak gdy jeden odmówił, wzbranił się wszyscy. Zamiast nich podpisywali panowie z sądu. Chłopak jako jedyny podpisał, skinął głową bladej, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, a potem wrócił z opuszczoną głową pod ścianę do ławki.

- Rozumiesz to?

Forell nic nie rozumie. Sądzi, że spał głęboko i miał męczący sen. A jednak nie może być dużo później, bo gwiazdy stoją na niebie jeszcze tam, gdzie przed zaśnięciem.

- Daj mi spokój!

- Więc ty też tego nie rozumiesz?

Chłopak pochyla się ku niemu wsparty na łokciach i szepcze coś bezładnie, z roztargnieniem, dziecięco podniecony, jak wąpiący, któremu przyszło na myśl, że niegodnie przyjął Boga.

- Ale cóż musiałbym ci powiedzieć? Ty się przecież nie boisz. Nie jesteś tchórzem. Obwiesili cię odznaczeniami, bo nie znasz strachu.

- Jeszcze jak się bałem! - mruczy Forell.

- Wy starzy tylko przechwalacie się, że też kiedyś się baliście i czuliście się kuszeni przez tchórzostwo.

Chłopak jest tak podniecony, że jego szept łatwo może przerodzić się w krzyk.

- No, co tam? - pyta Forell i stara się nadać swej sennej obojętności cieplejszy ton, po to tylko, żeby chłopak odzyskał znów panowanie nad sobą.

Potem leżą, czuwając, a gwiazdy przesuwają się po niebie. Teraz Forell także nie potrzebuje już snu.

Osiemnastolatek nazywa się Alfons Mattern. Urodził się gdzieś pod Lörrach. Jego niedola zaczęła się wtedy, kiedy przez odłamek bomby wojna właściwie powinna się dla niego skończyć. Ze zwykłego pomocnika w obronie przeciwlotniczej stał się na kilka dni żołnierzem, potem został wzięty do niewoli, a nieco później złapano go na kradzieży ziemniaków i zamknięto. Ci, którzy złapali młodego złodzieja, nie byli dla niego w żadnym wypadku surowi, wiedzieli, że nie ma pojęcia o szerszych powiązaniach, a ziemniaki ukradł z głodu. W każdym razie prokurator, który miał go przesłuchać, nie robił mu wielkich wymówek, ale pytał o sierżanta Heinza Dechanta, który musiał dowodzić plutonem w pstro poskładanej kompanii Matterna. Chłopak nie znał sierżanta Dechanta. Później przypomniał sobie, że być może go znał. Jeszcze później zdawało mu się, że sobie przypomina, że ten sierżant nie cieszył się dobrą sławą wśród żołnierzy. Ach tak, bał się Rosji i bardzo tęsknił za ciepłą ojczystą Badenią, bardzo, bardzo tęsknił, bo jego siostra nie wiedziała nawet, gdzie rzuciła go wojna.

- To nie było tak, że bardzo mnie przymuszali. Byli przyjaźni podczas przesłuchań. O tym sierżancie wiedzieli rzeczy, jakich ja nie wiedziałem. To nie były straszne rzeczy. Nie znałem tej gry, w jaką się wplątałem. Kilka razy za dużo powiedziałem: tak.

- Po prostu jesteś jeszcze młody i głupi.

- Nie. Obiecany powrót do domu wydał mi się tak piękny. Żeby tylko nie być długo w Rosji! Tylko nie za Ural!

- Co stało się z sierżantem Dechantem, którego - nazwijmy to uczciwie właściwym określeniem - zadenuncjowałeś?

- Jest tutaj. Wywołano go podczas odczytywania wyroków. Nie mogłem go zobaczyć, bo przede mną stali inni, zresztą nie znam go. Nic przecież o nim nie wiem, mówiłem tylko: tak. Jeśli nie zamarzył w drodze do Czyty, musi być na jakichś saniach.

Chłopak zanoszący się płaczem i Forell zaczyna go pocieszać, mówiąc, że jego zachowanie podyktowane było strachem i tęsknotą za domem.

- Źle ci odpłacili, co?

- Byli logiczni, konsekwentni. To, co robił sierżant Dechant, robił też jego pluton. Za co skazano Dechanta, za to musiano skazać też jego pluton. Dwadzieścia pięć lat.

Z płaczliwego szlochu wąty głos zmienia się w chory śmiech, przed którym cofa się nieczuły Forell, na ile pozwala zatłoczone legowisko.

- Przy tym nie mogę sobie przypomnieć Dechanta i nawet nie wiem, czy kiedykolwiek dowodził naszym plutonem. Tak czy tak mogły to być tylko dwa dni. Nie znałem go, ale zeznawałem na jego temat. Czy jest dobrym człowiekiem czy łajdakiem, nie wiem. W każdym razie jest dobrym dowódcą plutonu. Nie pozostawił żołnierza ze swego plutonu. Zabiera go ze sobą na Syberię. Jestem zadowolony, że mnie też skazano. Jeśli kiedykolwiek była w tym kraju odrobina sprawiedliwości, to w moim wyroku. Rozumiesz to? Możesz pojąć, że nie chcę do domu, zanim nie minie moich dwadzieścia pięć lat?

- Nie mów bzdur! One nigdy nie miną.

- Osiemnaście i dwadzieścia pięć to czterdzieści trzy. Mając czterdzieści trzy lata ma się jeszcze wiele życia przed sobą.

- Nie. Sądzę, że tu wszystko jest inaczej. Umiera się. Taki był zamiar. Być może przetrwasz żywy, ale wtedy zostaniesz, jeśli będziesz miał szczęście, płatnym robotnikiem tam, gdzie wcześniej byłeś więźniem karnym. Jednak wrócić do domu? Nie.

- Dwudziestoma pięcioma latami odpokutowane jest, przynajmniej najczęściej, nawet morderstwo.

- To, co zrobiłeś, wygląda przecież na morderstwo.

- Wiem o tym. To, że mnie skazali, jest, choć głupcy sami tego nie widzą, sprawiedliwe. Ale przecież nie na całe życie. Miałem siedemnaście i pół roku. Bałem się.

Ponieważ Mattern zaczyna mówić głośno, Forell pospiesznie kładzie mu dłoń na ustach. Strażnicy zaczęli chodzić szybciej. Mattern nie pojmuję, bo ma dopiero osiemnaście

lat i na swój sposób jest dzieckiem, że metody, którymi w razie konieczności zapewnia się spokój podróży, są brutalne. Odsuwa dłoń Forella na bok i mówi dalej, leżąc na plecach.

- Ukradłem tylko ziemniaki, a zrobiłem to z głodu. Odtąd już tylko się bałem. I tęskniłem. Tak. Chciałem wytrzymać rok. Ale potem chciałem być w domu. Rozumiesz to? Nie rozumiesz tego. Podziwiałem was, was starszych ludzi, bo umiecie być odważni. Ja się nigdy na to nie zdobyłem. Byłem tchórzem. Wiesz, co robi tchórzostwo? Wywraca żołądek na zewnątrz.

Futrzana czapka wciśnięta przez wejście do namiotu pochyla się nad chłopcem. Skośnie ustawione oczy przyglądają się twarzy, półotwartym ustom, z których padają słowa i zdania, niezrozumiały bełkot. Mówi przez sen. Dziecko. Dzieci już takie są.

Mężczyzna w kozuchu wychodzi z powrotem. Nie uderza.

Willi Bauknecht, student z cudownym wyczuciem kalendarza, stale pamięta, jak jest z czasem.

Transport saniami konnymi przez Syberię, postrzegany później jak niemal spokojna podróż, trwa czterdzieści dni.

Potem olbrzymi ładunek złomu ludzkiej niedoli przeładowany zostaje na sanie z psim zaprzęgiem. Zbiera się cała armia psów. Niewysokie, mądre i chyże w łapach nie nadają się zapewne do ciężkiej służby, bo jeśli odliczyć szarą jak ziemia wełnę, pozostaje jedynie chude ciało, które można wprawdzie posadzać o dużą szybkość i elegancję, ale nie o możliwość obciążenia ładunkiem liczoną w cetnarach.

Transport dzielony jest na pół. Połowa więźniów zostaje i będzie dostarczona później. Druga połowa rozdzielona jest na długą kolumnę psich sań. Ale psy mają co ciągnąć. Namioty, żywność i więźniowie z chorymi nogami. Wszyscy pozostali mogą się przysiąść na sanie przy zjeździe. Jednak gdy tylko droga robi się równa lub idzie pod górę, od razu pejcz z wyszkoloną zręcznością przekonuje ich, by dalej wlekli się na własnych nogach. Ten, kto jest na przedzie kolumny, ma ciężej, bo musi najpierw pomóc przecierać szlak w głębokim śniegu. Ten, kto jest z tyłu, ustawicznie ma na karku pejcz, jedyny instrument utrzymania pochodu razem, gdy zmęczenie i wyczerpanie wciąż wydłużają szereg. Psy nadają tempo, którego człowiek nie może dotrzymać. Ale żołnierze konwoju mają doświadczenie, i wiedzą, ile jest w stanie znieść wyczerpany człowiek.

Pejcz to straszne, ale jednocześnie miłosierne narzędzie. Pomaga znękanym dotrzeć do celu lub przynajmniej do mety dnia, uniemożliwiając przestój grożący śmiercią od nagana.

Cel jazdy psimi zaprzęgami nie jest żadnym celem, a tylko punktem wyjścia do jeszcze dłuższego marszu pieszego.

Najpierw jest spokój. Żołnierze konwojenci odjeżdżają, by dowieźć drugą połowę transportu. Mijają tygodnie. Miesiące wyciekają w topniejących wodach wiosny. Po dwu i pół miesiącach znów rozlegają się krzyki żołnierzy konwojentów. Od nowa wymachują pejcami. Znów jest się w komplecie, odliczając naturalnie tych, których utracono po drodze.

Po krótkim odpoczynku cały transport rusza na piechotę. Po wielu dniach marszu zmęczona kolumna mozolnie człapie przed siebie. Z tygodnia na tydzień coraz więcej ludzi opada z sił i traci wolę, by dalej żyć, by wdrapywać się na zbocza gór, by iść po zielonym mchu i marznąć w wilgotne noce.

Tak mija miesiąc.

W drugim miesiącu ludzie, o ile jeszcze żyją, zaczynają mieć nadzieję na koniec.

W trzecim miesiącu przestają wierzyć w cel.

Kto przeżył czwarty miesiąc marszu umarłych, przestawszy już tęsknić do czegokolwiek, ten w pierwszych śnieżnych podmuchach nowej zimy na wąskim płaskowyżu widzi dymy unoszące się nad dachami, a pod nimi szarobrązowe drewniane ściany z oknami, w których, dla całkowitego zmylenia, jakby było to miejsce odpoczynku i ojczyzna, błyskają żółte światła. Dzień jest tak szary, że oczy postrzegają ów obraz dopiero wtedy, gdy idący gęsiego smętny pochód prawie uderza w niego czołem. To stacja na, ku której wyruszono.

Po niemal płaskiej powierzchni niesie się czarnoszary strumień ludzi. A z baraków wychodzi, kto żyw: rosyjscy żołnierze, wracz*, kilku oficerów.

Od tej godziny, gdy wygnańcy stanęli do apelu z odliczaniem, już nie uniesie się nad nimi pejcz.

Nigdy już.

Tysiąc dziewięciuset pięćdziesięciu ludzi wyruszyło z Czyty do marszu pod koło polarne. Podczas apelu naliczono jeszcze tysiąc dwustu trzydziestu sześciu.

Odliczyć.

Odliczyć w blokach.

Dzielenie i jeszcze raz dzielenie. Cudowna biurokracja w śniegu odczuwana jest przez wygnańców jako dobroczynna, bo jutro rano nikt nie będzie wzywał do dalszego marszu, nie będzie wymachiwał pięściami i pejcami. Być może wielu z pozostałych przy życiu tysiąca dwustu trzydziestu sześciu ludzi nie stałoby teraz na tym miejscu, gdyby pejcz i kolby konwojentów wciąż na nowo nie przywoływały ich w tak potworny sposób do życia. Czy powinno się im za to dziękować? Po miesiącach, w których oczy nie widziały nic poza

mchem i skałą, nawet horyzontu, niemal uszczęśliwia poczucie, że na zewnątrz baraków nie ma wyraźnej linii ograniczającej widok, lecz opar, który każe temu co bliskie i temu co dalekie przenikać się bez granicznych konturów. Dachy są płaskie i mają na sobie śnieg. Dym z kominów naniósł na to warstwę sadzy.

- Już nie zamrzniemy, bo tu jest węgiel - mruży Leibrecht do mężczyzny obok siebie.

Jeńcy tę dobrą wiadomość przekazują dalej, trącając się łokciem, aż wszyscy zdolni jeszcze do obserwacji widzą, że również na końcu świata ogrzewa się węglem. Odliczanie i rozdzielanie odpornej masy ludzi nie ma końca, ale działa uspokajająco, udowadniając, że w śniegu między ponurymi skałami, gdzie wszystko wydaje się martwe, żyje jeszcze kochana znana biurokracja.

* Z rosyjskiego wracz = lekarz.

Rozkwita też nawet na glebie, której unika wszelka wegetacja. Cóż jeszcze może stać się człowiekowi między zabezpieczającymi ścianami z papieru?

Niezgrabne rękawice kiwnięciem kierują odliczone i losowo podzielone grupy: pierwsza w tym kierunku, druga nieco dalej na prawo, trzecia we mgłę, czwarta w zupełną szarość. Żadne tam baraki, żadne nawet pozbawione okien drewniane budynki. Potykający się z osłabienia na kamieniach, które po części zdają się świeżo nasypane, ludzie są wprowadzani do wnętrza ziemi, do wnętrza wydrążonej jak melon góry, która ukazuje się niczym Homburg*.

Wejście w otwartej skale i po kamieniach jest naprawdę dojściem do sztolni kopalni, lekko opadającym w dół, początkowo dość wysokim i obszernym, aż prześwit ustala się na około dwa metry wysokości i niewiele mniej szerokości, tak że można iść w parach obok siebie, w razie potrzeby czasem we trzech. Hałas słów i kroków odbija się głuchym echem w odcinkami tylko podstemplowanej sztolni. Potykając się, ktoś zmęczony mruknie jedynie przekleństwo lub obelgę, a inny powie „hej”, żeby tylko coś powiedzieć. To może być też ostrzeżenie dla tego z przodu, żeby szedł szybciej. Światło dzienne, mocno przytłumione przez tłum mężczyzn, stopniowo przestaje oddziaływać i potknięcia są częstsze.

Strażnik idący przodem mówi sam do siebie. Stopniowo zrozumiąły staje się sens tego głośnego dialogu wewnętrznego. Ma zastąpić światło i grupie ludzi pokazać mniej więcej dalszy kierunek. Stopy wyczuwają, że dno sztolni dalej się opuszcza.

Hopla!

Żołnierz stanął. Pozostali także się zatrzymują. Zmysły wyczuwają w ciemności obszerniejszą przestrzeń. Zręczne dłonie przyzwyczajone do manipulacji w ciemności

rozpalają światło, które trzymane jest w latarce ręcznej. Przez brudne szkło rozjaśnia ono pomieszczenie, w którym zaskakuje obecność stołu ze stołkiem. Od pierwszego światła zapalane jest drugie. Żołnierz

Koło tego miasta w Kraju Saary w górze z kolorowego piaskowca są największe w Europie jaskinie. daje znak, żeby ludzie szli za nim. Unosi trochę płomień i wychodzi z kawerny nieco w prawo, do sztolni.

Kiedy później jeńcy rozwiną w sobie zmysł orientacji, stwierdzą, że w żadnym wypadku nie jest to labirynt, lecz przynajmniej do tego miejsca niemal jak po sznurku równo wykuta w ciemnej skale sztolnia, która jeszcze raz rozszerza się w kawernę.

Żołnierz spokojnie opisuje słowem i gestem wszystkie szczegóły tego miejsca.

- Tu będziecie mieszkać i spać, to wasze światło, to miejsce waszego pobytu na przyszłość.

Niekomfortowo i mało przyjemnie, nawet dla kogoś o najprymitywniejszych wymaganiach. Goła podłoga. Niestety. Okazuje się, że nikt tu jeszcze nie mieszkał. To wszystko trzeba najpierw urządzić. Ale nie ma powodów do skarg. Jest ciepło.

Ludzie stoją niezdecydowani i rozczarowani. Przecież na zewnątrz góry na dworze są baraki, z pewnością bez luksusów, ale jest tam prawdziwy dach nad głową i może sienniki. Tu jest tylko goła skała, pomieszczenie wykute w górze.

- Urządźcie się! - ruchem dłoni żołnierz wskazuje kamienną podłogę.

Nie będzie zatem żadnych wygod. Do miejsca, gdzie rośnie zboże, jest w linii prostej sześć tysięcy kilometrów, osiem tysięcy kilometrów trasami transportowymi. Drewno z kolei oddalone jest o jakieś trzy tysiące kilometrów. Wariat musiałby uznać za wartę rozważenia uruchomienie ogromnego aparatu potrzebnego dla zaspokojenia potrzeb skazańców. Tak więc nigdy nie będzie słomy, krzesła, ławy czy stołu.

W mniejszej kawernie, przez którą musi przejść każdy, jeśli chce wyjść na światło dzienne, jest posterunek. Przy stole siedzi żołnierz z pistoletem maszynowym. Wzrok strażnika jest skierowany na sztolnię wiodącą do kawerny mieszkalnej. W ten najprostszy sposób rozwiązano cały problem pilnowania. Baraki wymagałyby systemu zabezpieczeń, nakładu sił i środków na warty, drutu kolczastego, wież strażniczych, psów i przede wszystkim reflektorów. Światło odgrywa w tym wszystkim ogromną rolę. Pilnowanie granicy, magazynów, blokady dróg, przetrzymywanie więźniów, przesłuchanie i pozostałe dolegliwe objawy władzy nadzorującej lub sądowniczej są w Związku Sowieckim nie do wyobrażenia bez naiwnie pięknej gry światła. Jeśli jednak zamknie się więźniów w górze, zarazem w ich miejscu pracy, to wystarczy, że zmieniany co dwie godziny jeden żołnierz z

pistoletem maszynowym będzie siedział przy swym stole w kawernie strażniczej, mając sztolnię na oku.

Po kilku pierwszych godzinach wewnątrz górotworu do kawerny mieszkalnej przychodzi nadporucznik, który już podczas apelu z odliczaniem dał do zrozumienia, że język niemiecki nie jest mu obcy. Lekko pochylony i nieco oszołomiony obwieszcza w kilku zdaniach, że następne cztery tygodnie są wolne od pracy. Każdy może i powinien w tym czasie wypocząć, starając się o to, by doprowadzić do porządku swoją odzież. O tym, jak ma to zrobić, nie mówi. Padają zwykle słowa z żołnierskiego słownika: porządek, dyscyplina, jedzenie, posłuszeństwo, praca. Nie ma nic o czystości.

Żaden z uwięzionych nie zabiera głosu i nie skarży się na warunki. Nie wiadomo jeszcze, jak tu mogą zareagować na takie przedstawienie sprawy. Ale nadporucznik rozgląda się i dostrzega, że ziemia jest goła. Pstryka palcami i mówi, że należy zadbać o to, by kawerna została nieco urządzona. W tonie, jakim to wygłasza, jest nie tyle poczucie chęci stworzenia porządku, co posłuszeństwa wobec przełożonych. Puste, nieco ogłupiałe twarze, widoczne wyraźniej tylko w pobliżu latarni, patrzą na oficera odchodzącego sztolnią.

- Co właściwie mamy o tym sądzić? - Leibrecht dokonuje próby przerwania milczenia i przypomina kolegom, że wyczekiwanie na dalsze niespodzianki ze strony Rosjan nie załatwi sprawy.

- Odczekać najedzenie - Danhorn burczy tyle zrzędlawie co złośliwie - i kierować się zależnie od jego jakości.

- Tego nie było w twoim atlasie, jakinosisz w swej głowie - Willi Bauknecht próbuje mizernego uśmiechu.

- W twoim kalendarzu także nie.

- W moim kalendarzu nic już nie jest zapisane.

- Bo też to niepotrzebne.

- Wcale nie niepotrzebne, jeśli pomyśleć, że z dwudziestu pięciu lat już prawie rok minął.

- Jak się to liczy? - chce wiedzieć Alfons Mattern. - Od dnia skazania czy od dnia naszego przybycia tutaj?

Pyta na poważnie i oblicza, gdy dookoła rozlega się rechot, że również i ten miesiąc bez pracy można odliczyć jako podarowany. Śmieją się z dziecięcej wiary osiemnastolatka. Gdy Mattern zawstydzony usuwa się pod ścianę, wyciąga go Forell.

- Chodź ze mną! Obejrzymy trochę teren.

- Zostaw wszystkie głupoty! - próbuje się włączyć Leibrecht.

- Żadne tam głupoty, Leibrecht. Mam ból brzucha po tym, jak zjadłem psom zaprzęgowym trochę z ich mrożonej ryby i strułem się tym. Mattern! Dalej! Nikt nam nie może zabronić mieć bólu brzucha. Jestem ciekaw.

Dziesięć minut później są z powrotem.

- Wypatrywaliście portu we Władywostoku?

- Akurat tego nie. Ale żeby powrócić do tematu ryb - jest zupa rybna i chleb.

Momentalnie wszyscy stoją wokół Forella i chłopca. Słowo „chleb” ma cudowne działanie na ludzi, którzy nie mogą się pozbyć uczucia, że chce się ich zamurować we wnętrzu góry.

- Skąd to wiecie?

- Chleb widzieliśmy, a zupę rybną się czuje.

- W dobrych domach takie kuchenne zapachy wychwytuje się i odprowadza przez komin.

Zręczliwy Danhorn robi się naraz dowcipny. Widoki na coś do jedzenia dodają mu zapału.

- Ten dom tutaj wydaje się być szczególnie dobry. Warunki toaletowe, mówię wam! Spłukiwanie wodą zastępuje ziąb. Nic sobie z tego nie róbcie! Cała sprawa funkcjonuje tu jak automat. Wychodzi się przez sztolnię na zewnątrz, a tam w kazamacie pistolet maszynowy Iwana podnosi się jak szlaban do góry. Dostojny chłop, który zdaje się ma za zadanie eskortować wszędzie. Kładąc obie dłonie na brzuchu, objaśniam mu, o co mi chodzi. Ten mały odgrywa to samo. Nie musimy wiele pokazywać, kiedy w brzuchu tak kipi. To mała wyprawa, Iwan przodem, my za nim. Na zewnątrz jest boczna sztolnia, tylko bez takich wskazówek, jakie są zwykle w domu. Iwan kiwa ręką w tym kierunku. I jak długo jesteś w pięknie wykafelkowanych bocznych sieniach, tak długo Rosjanin blokuje za rozgałęzieniem główną sztolnię. Bo inaczej droga na światło dzienne byłaby krótka. Muszę powiedzieć, że to wyrafinowany system.

- Uspokaja mnie to, ze względu na głupoty, jakich można się zawsze po tobie spodziewać - mówi Leibrecht, przeciągając dłonią po skroni. - Człowiek musi iść na koniec świata, żeby przekonać się w praktyce, jak prosto można zorganizować sprawy, które gdzie indziej dają powód do takich komplikacji. Gładko wystarcza im jeden strażnik do pilnowania stu osiemdziesięciu ludzi. Jeśli doliczyć zmiennika, wtedy potrzebują dwóch. Skoro podzielili nas na osiem grup, wystarczy szesnastu.

- Dokąd poszli inni?

- Czyja wiem? Góra jest duża. Kilka sztolni było widać z zewnątrz. A w którejs z nich, całkiem blisko powierzchni, gotuje się na ogniu z węgla zupa rybna. I to na dziś. Zobaczycie.

- Jak ty wszystko wiesz!

- To o chlebie Iwan potwierdził, kiedy pokazałem mu, jak jestem głodny. A to z rybą daje się stwierdzić za pomocą nosa. Dym ze źle ciągnącego ognia na węglu czuje się spory kawał w głąb sztolni. Więc musi tak być.

Potem jest trochę inaczej. Zupa nie jest rybna, ale z kaszy. Zapach, znany z uporczywości, zdaje się trzymać skały jeszcze od ostatniej zupy rybnej. Każdemu do menażki wrzucono dwie chochle wody z kaszą. Porcja kaszy jest mała. Ale wieści o chlebie potwierdziły się, nawet jeśli zapadnięte czarne bochenki są niezgrabnie ciężkie, bo użyta do pieczenia drożdżowa mąka została zmielona niedokładnie i nie zakwaszono porządnie ciasta. Być może w ogóle tu tego nie potrafią. Kiwnięciem palca strażnik przywołał dwa razy po dwóch ludzi do przyniesienia jedzenia. Aby rozpoznać miejsce, sąsiedztwo i atmosferę, a także zbadać, jak znaczne jest osiedle ludzkie, Forell od razu wsunął się między wyznaczonych do pracy. Wrócił rozczarowany. Światło dzienne ujrzał tylko w wylocie sztolni, nie mając okazji, by zetknąć się z jakimiś ludźmi z innej kazamaty.

No cóż, tutaj czas nic nie kosztuje. Nie dziś, to jutro. A pojutrze też jest jeszcze dzień. A dwadzieścia pięć lat składa się z wielu dni. Żadna pociecha, ale jedzenie jest wystarczające.

Jak psy, zanim się położą, gdy niedowierzają wyznaczonemu do leżenia miejscu, stu osiemdziesięciu mężczyzn zatacza w kawernie małe kółka, oglądając się nawzajem w świetle jedynej lampy oliwnej. Bronią się przed myślą, że wszyscy tutaj, tak jak ich los podzielił na grupy, będą musieli żyć w świetle olejówki aż po bezgłośnie umieranie, które ich rozdzieli. Łóżkiem będzie byle jak wygładzony kamień. Niebem będzie nieregularnie wyłupana skała. A ze świata, gdzie przynajmniej latem jest kilka słonecznych dni, nie będzie docierać nic, tylko czasami zimne poruszenie powietrza.

- Tu jest tak ponuro - mruczy któryś ze swego znalezionego pod ścianą miejsca, gdzie chodzący w kółko bez celu koledzy nie będą go potrącać ani kopać.

- Ciesz się z tego!

Odpowiedź przychodzi od cherlawego z wygłodzenia chłopaka gapiącego się nieprzerwanie w lampę olejną.

- Dostatecznie długo było zimno. Już tak jesteśmy wynędzniali w swym myśleniu i odczuwaniu, że zdaje nam się, iż nie możemy wytrzymać bez wiatru i śniegu.

- Jeśli nawet nie będzie od tego lepiej, to przynajmniej pięknie było powiedziane. Korzystało się ze szkół wyższych, co? To przynosi owoce. Przynajmniej wie się więcej o

porządku tego świata i ostatecznym przeznaczeniu człowieka do wydobywania ołowiu po kres góry albo życia.

Zewsząd słyhać głosy, ale nie wiadomo, kto mówi. Zresztą to obojętne. Czy się mówi, czyje, czy pracuje albo śpi - z tym lub z tamtym spędza się kawałek czasu. Najwięcej zajmie go oczywiście praca. A ten najpiękniejszy będzie mijał podczas snu.

Wyczerpani ludzie nie znajdują spokoju, nie potrafią odpoczywać. Czuwają, aż zużyje się olej w lampie. Potrafili spać w śnieżycy, nawet w burzy śnieżnej, źle opatuleni, zziębnięci do szpiku kości. U celu, wolni od niemiłosiernych poganiaczy, nie mogą usnąć. Dopiero gdy po zużyciu ostatniej kropli oleju gaśnie płomień i zapada ciemność, oddechy robią się dłuższe. Wreszcie kładzie się także ostatni z chodzących w kółko. Rozpina ubranie, zdejmuje wysokie buty i wsuwa sobie węzełek pod głowę.

W środku nocy Danhorn pyta, kto mógł wykopać sztolnię i poszerzyć kawerny.

- Zamknijże się!

- To robota, na którą potrzeba dziesiątek lat. - A nawet jeśli.

- Nie rozumiem.

- To śpij!

- Póki mnie to zajmuje, nie mogę spać.

- Najbardziej godne miłosierdzia dzieci boże, ostatnie popłuczyny wygnanych i skazanych na wypędzenie karne. Wiem równie mało co ty. Ale któż inny mógłby to być?

- Możesz mieć rację.

Po tej rozmowie zasnął także Danhorn.

Rano - fakt, że jest rano, ogłosili w jaskini strażnicy - Forell leży na swym węzełku i mówi o zepsutej rybie. Ale już dawno nie było ryby. Co pół godziny zrywa się, odsuwa gwałtownie stojących dookoła kolegów i biegnie, jakby go gonili, do ciemnego otworu sztolni, dalej sztolnią aż do kawerny strażniczej, a potem niecierpliwie za wolnym krokiem strażnika do rozgałęzienia sztolni z przeciągami. Bardzo jest ze swą dolegliwością uciążliwy dla strażnika, dlatego następnego dnia do kazamaty przybywa wracz, prymitywny rosyjski felczer o wysokim mniemaniu o sobie, które niemal zawsze jest właściwe głupcom. Sprawą otwartą pozostaje, czy mniej zna się na niemieckim, czy na medycynie. Forell spotykał już mądrych i biegłych felczerów, odkąd jest w niewoli, rutyniarzy tak doświadczonych, że mogliby pójść w zawody z niejednym lekarzem. Ale ten facet jest wręcz rozbijającą głupi, nawet nie opłaca się wpadać we wściekłość, kiedy naśladuje zachowanie lekarza i bada brzuch. Forell wyjaśnia gestami, jednak wracz niczego nie rozumie.

- Jakżeż mam ci wyjaśnić - mam biegunkę.

- Da, da.

- Krwawą biegunkę.

- Da, da.

- W tym ołowianym grobowcu zdechnę. Zresztą popatrz tam. Mamy co najmniej pięciu ludzi z tymi samymi objawami choroby.

Skoro nie daje się po niemiecku, Forell postanawia spróbować wyjaśnienia po rosyjsku. W ciągu tych lat nieco się nauczył, przyswajając sobie trochę gramatyki i słownictwa, żeby móc się porozumiewać. Ale w tej sytuacji brak mu słów, nie potrafi przedstawić historii choroby i w pewnym momencie lekarz śmieje się głośno. Otwiera swą skórzaną torbę i wręcza pacjentowi dwie tabletki, tylko po to, żeby coś się działo.

- Jeśli to nie jest aspiryna, ty bohaterze medycyny, to znaczy, że jeszcze nigdy w życiu nie łykałem aspiryny. Ale może zadziała.

Wcale nie pomaga. Nie pomaga też sześć tabletek, jakie wracz zostawił dla dalszej kuracji i na potem. Dwa dni później żołnierz mający służbę postanawia wtrącić się w dziedzinę medycyny i żeby móc z godzinę posiedzieć spokojnie przy swym stole, każe kolegom wyprowadzić z kazamaty cztery najcięższe przypadki.

Gdyby Forell czuł się choć trochę lepiej, na pewno cieszyłby się z wyjścia na światło dzienne. Ale jest tak słaby, że ledwie potrafi iść. Szczękając zębami i usuwając się co chwila w ramiona podpierających go mężczyzn, daje się prowadzić przez śnieg, lód i kamienie do dużego baraku. Marznie tak strasznie, że chciałby wrócić do jaskini. Nie ma dla niego znaczenia nawet to, że po raz pierwszy od lat leży na skonstruowanym przez ludzi i dla ludzi łóżku z siennikiem ze słomy.

Błąd niedouczonego medyka okazał się brzemienny w skutkach. Teraz do sali chorych przedostają się odgłosy wojskowego sądu nad Eskulapem, który jest obwiniany o to, że nie rozpoznał i nie zwalczał dostatecznie wcześniej oraz skutecznie tyfusu wśród więźniów. W dzisiejszej Rosji nie ma wpadki bez winnych, a winnym tyfusu jest w tej sytuacji ta żalсна figura, choć należy dodać, iż żaden geniusz nie złożył pocałunku na czole felczera. Takiemu typowi trzeba by wytoczyć proces i zesłać na Przylądek Dieżniewa, gdyby tam już nie siedział.

Tyfus nie tyfus, czerwotka nie czerwotka, ale wkrótce Forell umie docenić, że leży w lazarecie, którego okna są wprawdzie grubo okratowane, ale przysadziste żelazne piece, kiedy się już wykaszławszy czasie „dopalania”, wydzielają cudowne ciepło.

Z chorobą sprawa jest groźna, jako że wybuchła tak gwałtownie, iż stojące w poszczególnych pomieszczeniach sześć czy osiem łóżek już nie wystarcza i legowiska dla chorych trzeba rozkładać na podłodze.

Dla chorych jest także artykuł nieznan na całym obszarze obozowym, a mianowicie woda. Nie ma jej wiele, zaledwie tyle, ile potrzeba do mizernej czystości i zachowania minimalnej aseptyczności. Uzyskuje się ją głównie tak jak w epoce kamiennej, ze śniegu.

Kiedy okruciami zejdzie skóra, a jej resztki zostaną zmyte, pacjenci ujawniają ludzkie twarze. Są apatyczne i żółte. Wśród chorych jest też kobieta. To siostra, której imienia nikt nie zna. Tu, na końcu świata jej obecność oddziałuje pobudzająco i łagodząco. Ma blond włosy, choć teraz są bardziej popielate, a ładnie ukształtowane ciało ubrane jest w mundur. Sądząc z jej zachowania i wyniosłej surowości jest sierżantem. Komenderuje głosem pozbawionym nośnej dźwięczności, dba o czystość i żąda spokoju, gdy ozdrowieńcy próbują witać powrót do życia.

Włóczący się od izby do izby mężczyźni, którzy umiejają już całkiem dobrze rosyjskim sposobem uprawiać materiał informacyjny plotki, gdy na korytarzu baraku lazaretu usłyszą lżejszy, zwawszy krok siostry, od razu przyjmują postawę pełną respektu.

- Bacność! Idzie Pajęczyna!

Drzwi odskakują. Pajęczyna potrafi zrobić to władczo i męsko. Na brzegu łóżka ciężko chorego dostrzega siedzącego ozdrowieńca i marszczy czoło. Oznacza to: „Tutaj się nie wędruje! Tu nie szpital, w którym wolno stale przeszkadzać, odwiedzając chorych. Tutaj albo jest się chorym i leży w łóżku, albo zdrowym i wtedy nic innego nie pozostaje, jak wrócić do kazamaty”. Taka jest Pajęczyna. Ściąganie brwi i marszczenie czoła przemawiają językiem ogólnie zrozumiałym tam, gdzie granica wyznaczona przez obustronną nieznaną języka uniemożliwiłaby porozumienie. Siostra idzie z wysoko podniesioną głową, od legowiska do legowiska. Przeciąga palcem środkowym po krawędzi łóżka, potem podnosi palec do wysokości oczu. I teraz pada, wypowiedziane ze wstrętem i naganą, jedyne chyba niemieckie słowo, które zna: pajęczyna!

To jest zwykły kurz i sadza z dymiącego często pieca. Nikt nigdy się nie dowie, jak słowo, nie tak znowu często używane w Niemczech, dostało się na Przylądek Dieżniewa. Strach budzi słowo i strach budzi sama Pajęczyna, gdy ze wstrętem wyciąga przed sobą palec. Ale właśnie za pomocą żołnierskiej próby palca na surowych kantach łóżek zaczyna gościć czystość.

Wydaje się, że wracz nie jest człowiekiem, któremu uda się zapobiec rozszerzaniu ogniska zarazy, chociaż po zwymyślaniu przez komendanta stara się pilnie i rozdaje ludziom

swoje tabletki. Niewykluczone, że pośród przechowywanych i pomieszanych pigułek znajdzie się czasem antypyretikum, słabo działające na tyfus, lecz nieco skuteczniejsze niż łagodzące bóle głowy środki napotne, które dostały się tu z jakiegoś magazynu wojskowego.

Forell rozpowszechnia wśród chorych na tyfus nowy sposób leczenia. Zawsze po rozpaleniu ognia podpełza do pieca. To, co wypadnie przez ruszt jako węgiel z drewna na rozpałkę, wyciąga palcami i przeżuwa, kucając na podłodze przed popielnikiem. Z sąsiednich łóżek dobiega wtedy śmiech, ponieważ ten wysoki jak topola chłop, któremu sadza poczerniła język i podniebienie, wygląda jak chowchow. I żuje dalej, a wokół ust pojawia się czarny pierścień szerokości warg.

Kuracja samowolnego nadporucznika jest znana w całym baraku lazaretu, bo Forell wlecze się do sąsiednich pomieszczeń dla chorych i przeszukuje popiół, by znaleźć resztki węgla drzewnego. Przysięga, że to dobre na tyfus, i choć nie widać na nim żadnej oznaki zdrowienia, niebawem inni chorzy także z zapałem wyskubują niewielkie ilości węgla drzewnego.

Rzecz dziwna. Początkowo zmarło wielu ludzi, ale wkrótce liczba zachorowań wyraźnie zmalała. Jeśli nawet nie jest to zasługą żucia węgla drzewnego, to jest nią dobra - mimo wszelkich całorocznych niedostatków - forma mężczyzn i wola przetrwania. Odtąd trzeba będzie wytrzymać jeszcze życie we wnętrzu góry.

W lazarecie Forella nazywają Chowchow. Wciąż zdobywa węgiel i nawet Rosjanie mają z tego zabawę, dlatego przynoszą mu czasem kawałek drewna do wypalenia na węgiel. Wciąż ma ciemny język i podniebienie. Widać to, gdy klnie lub się śmieje. A jedno i drugie robi często.

Wzajemne odwiedziny chorych są zabronione. Nie są surowo ścigane, ale jeśli kogoś złapią, może zostać odesłany wcześniej do kazamat. Każdy chory na szczęście zna już przyzwyczajenia personelu strażniczego. Lazaret pilnowany jest stale przez jednego wartownika, zmienianego co dwie godziny. Jego kroki w butach wojskowych słyszalne są przez pojedyncze drewniane drzwi w pokojach. Strażnik najpierw idzie korytarzem, na jego końcu wchodzi po schodach na pierwsze piętro, na górze przechodzi wzdłuż korytarza i na przeciwległym końcu znów schodzi po schodach. Lazaret nie jest zwyczajnym lekkim budynkiem barakowym, lecz obszernym domem z drewna o znacznym komforcie. Kiedy więc wartownik na górnym piętrze kieruje się na schody, oznacza to moment pospiesznej zmiany pokoi. Strażnik idzie wolno, tak wolno, że każdy pacjent, byle tylko nie od razu uszedł z niego dech, może z ostatniego pokoju na przeciwległym końcu korytarza po schodach dojść na pierwsze piętro i tam dotrzeć do pierwszego lepszego pokoju, zanim

wartownik pojawi się na drugim końcu górnego korytarza. I tak etapami można się przedostawać aż do pokoju narożnego, a potem na górze znów stopniowo osiągnąć cel.

Próba takiego niewinnego zwodzenia nadzorców uszczęśliwia więźniów, urozmaica im też nudę, z kolei wizyty w sąsiednich pokojach pozwalają poznać nowych kolegów, usłyszeć o ich losach, podzielić się doświadczeniami. Nie jest to wiele, ale stwarza pozory bezpieczeństwa, gdy próbuje się stworzyć obraz świata, na jaki jest się skazanym.

Pośród tych około stu ludzi Forell stał się sławny, kiedy zaczął jeść węgiel. Na pierwszym piętrze leży taki, którego sława polega na tym, że wszyscy wiedzą, jak mało jest chory. Dwie izby dalej jest sierżant, o którym wszyscy sobie opowiadają, że już od tygodni suszy chleb na piecu, żeby mieć nieco zapasu, kiedy ucieknie. Na parterze w pokoju ósmym, bezpośrednio przy schodach, leży obłąkany, który umie pięknie śpiewać. Ciągłe mówi o czuwaniu i nie chce spać, póki nie zaśnie jego syn we Wrocławiu. Nikt już nie wierzy w istnienie tego syna, który miał zakopać srebra rodzinne, biżuterię i stare monety, i miał pozostać we Wrocławiu do powrotu ojca, żeby strzec skarbu, a potem ostatecznie uciec do świata, w którym da się jeszcze spokojnie żyć. Przy pierwszym i drugim opowiadaniu była to piękna historia. Potem zrobiła się przykra. Teraz historia o ojcowskiej miłości i o skarbie jest już nie do zniesienia.

Sierżant z suchym chlebem jest wdzięczniejszym celem. Gdy Forell wpada do izby, żeby go odwiedzić, ktoś z kąta śmieje się:

- Chowchow!

Ośmiu mężczyzn, każdy przykryty tylko cienkim kocem, zwraca się ku drzwiom, a na Forella sypią się pytania, czy to z węglem, to prawda. Rozmawiają więc o węglu, krwawej czerwonce, tyfusie i dwudziestu pięciu latach, o wszystkich i o każdym, żeby mówić o czymś długo i mieć czym wypełnić puste godziny. Forell przygląda się ośmiu twarzom, aby wybadać, który jest tym z suchym chlebem i zamiarami ucieczki. Nie może się zorientować, zatem nie pozostaje mu nic innego, jak zapytać wprost, który to ten od sucharów.

- No któryż? - mruczy czterdziestolatek.

- Ten w ostatnim łóżku. Ale skąd o tym wiesz? Forell idzie do kąta.

- Dziwiłoby mnie, gdyby Rosjanie jeszcze nie wiedzieli. Za dużo gadacie, ludzie.

- Już dobrze - śmieje się mężczyzna w ostatnim łóżku.

- Trzeba o tym gadać i całkiem głośno mówić, że ucieknie się przy okazji, to nikt tego nie weźmie na poważnie. Oczywiście, że ucieknę. Możecie być tego pewni!

- Forell.

- Dechant.

- No, co ci dolega? Masz nudności? Nie idzie się do cudzych komnat, żeby je zarzygać.

- Clemens Forell.

- Ach jacyż jesteście formalisci, panowie oficerowie! Heinz Dechant. Zdołałem dochrapać się jedynie sierżanta.

- Byłem nadporucznikiem. Ale to nie szkodzi.

- No to nie bądź taki formalista! Jesteś jeszcze chory?

- Powoli się uspokaja. Chcesz zwiąć?

- Tak ci to zalazło za skórę, że całkiem pobladłeś? Oczywiście. Moi towarzysze z pokoju szpitalnego są innego zdania i mówią, iż niemożliwe, żebym się przedostał.

Forell siada na brzegu żelaznego łóżka, dopiero teraz czując, jaki jest jeszcze chory.

- W której sztolni cię umieścili?

- One nie mają numerów. Liczne korytarze, kazamata, jeszcze raz korytarze, potem nasza kazamata. Nie wiem, która to sztolnia. Zdaje się, że wszędzie jest taki sam piękny krajobraz.

- Zdaje się. A ty, chcesz zwiąć?

- A ty może też?

- Nie widzę możliwości.

- Forell, uciekać trzeba stąd, z lazaretu, mój drogi. Tam wewnątrz góry wygląda to bardzo źle. Zresztą to znakomity pomysł chłopaków, by pilnować ośmiu dziur szesnastoma tylko ludźmi. Będę tu chorował co najmniej przez cztery miesiące, żeby wysledzić w tym czasie wszystko, co mogłoby się okazać niebezpieczne.

- Czegoś takiego jak drut kolczasty tutaj nie ma? - Forell chce zweryfikować swoje obserwacje.

Dechant opiera się na łokciach, patrząc przez chwilę na Forella, a potem spogląda przez okno.

- Nic nie mając okiem sięgnąć. Znam już wszystkie budynki, z tego, co należy do ochrony naszej niewoli. Gdziekolwiek Rosjanin postawił kiedyś stopę, tam jako najważniejsza powstaje komendantura. Jak na warunki polarne ta jest dość przyzwoita. Komendantura bez murów, bez brzęczenia drutu kolczastego, bez cel aresztanckich. Czy nie zauważasz, że znaleźliśmy się w cieplejszym klimacie?

Forell wskazał kciukiem, omijając komendanturę, na znaczny kompleks baraków. - Co to jest?

- Magazyn zapasów, zaopatrzenia i - ołów.
- Czy rzeczywiście to wszystko, jeśli chodzi o budynki?
- Jeśli pominąć ołowianą górę, tak.
- To wszystko razem nazywa się Dalstroj?
- Co do tego, nie mam całkowitej jasności. Czy Dalstroj jest określeniem miejscowości, wydaje mi się wręcz wątpliwe. Nazwa pojawia mi się coś za często.
- Troickoje też występuje często, o wiele częściej niż Dalstroj, a mimo to jest nazwą miejscowości.
- Wszystko jedno. Ważniejsze byłoby wiedzieć, gdzie leżymy. Jeśli ucho trochę przyłożyć do ściany, człowiek dowiaduje się najdziwniejszych rzeczy. Tak całkiem bezludna, jak nam się wydaje, to ta okolica jako żywo nie jest. I nie jest też tak, że jesteśmy całkowicie odcięci od świata. Gdzieś na Przylądku Dieżniewa, być może nawet w dwóch miejscach, sowieciarze osiedlili się wyraźnie na stałe. Wyszadzili lód aż do skały, a na skale osadzili się mocno, żeby nie zdmuchnął ich wiecznie wiejący wiatr. Tu w ziemi są jeszcze zupełnie inne rzeczy niż nasz nędzny ołów. W okolicy także w innych sprawach dzieje się więcej, niż widzimy.
- To dla nas obojętne.
- Nie, mój kochany. Trzeba to wiedzieć dokładnie, żeby w czasie ucieczki wybrać właściwą drogę. Inaczej wpadnie się prosto w ręce sąsiadom.
- Spytajmy naszego kartografa.
- Macie u siebie kogoś takiego?
- Taki ciągle smutny i zrzędlawy człowieczek, który z pamięci potrafi narysować na ścianie całą Syberię. Facet pracował w tej branży w Lipsku.
- Do trzydziestego dziewiątego. A w trzydziestym dziewiątym wiedziano w Lipsku o Związku Sowieckim mniej więcej to, co całkiem aktualne mogło być może w dwudziestym dziewiątym. Ach, nasze niemieckie prostactwo! Przyjrzyj się tej tam hałdzie węgla!
- No i co?
- Skąd pośród lodu kilkaset ton węgla? A propos, coś typowo rosyjskiego, nie sowieckiego, chociaż nie - to jest po prostu rosyjskie. Na rozkaz komendanta węglem wolno palić tylko w komendanturze, w której płonie w wielu piecach, oraz w celach kuchennych. Gotowanie odbywa się we wnętrzu góry.
- Dla nas, więźniów, wiem.
- Jest też dalszy ciąg rozkazu komendantury, że w lazarecie w każdym pokoju należy palić w dzień i w nocy. To po prostu rozkaz z rozsądku, ponieważ chorzy z jednym tylko

kocem na brzuchu potrzebują wiele ciepła. Węgla używać nie wolno. Drewno jest rzadkie jak złoto.

- Ogrzewamy izby, aż w piecach trzeszczy.

- Salomonowe wyjście, które chociaż jest przekroczeniem, pozostaje bez zastrzeżeń, dopóki sprawa nagle nie pójdzie komendantowi nie w smak. Węgiel rzucany jest przez siatkę. I to jaką siatkę! Widzisz? To, co przelatuje przez oczka siatki, nie jest już węglem, może być więc użyte dla naszych celów, o ile przez noc nie zostanie wydane inne zarządzenie interpretujące. Węglem, usypanym tam w górę, można palić przez dwa lata. Ale w trzecim roku musi nadejść nowy węgiel. Z pewnością nie psim zaprzęgiem. Powstaje zatem pytanie: Czy Rosjanie wydobywają węgiel na samym Półwyspie Czukockim, czy dostarczają statkami? W pierwszym wypadku znów jest w pobliżu więcej ludzi, niż by mi się to podobało. Co to za ludzie? Rosjanie wychowani na swobodzie? Więźniowie? Jeśli więźniowie - kto ich pilnuje?

- Im dłużej tak gadasz, Dechant, tym bardziej mi się podobasz.

Forell podsunął się bliżej do kolegi, ponieważ w izbie zrobiła się zupełna cisza, gdy w kącie całkiem otwarcie mówiono o możliwościach ucieczki.

- Jestem starym praktykiem i nigdy nie snułem rozważań wywodzących się z teorii ucieczki.

- Z samą praktyką daleko nie zajedziesz.

- Stopniowo się do tego przekonuję.

W izbie jest tak cicho, że już szept sprawiłby wrażenie głośnego krzyku. Dechant, podobnie jak Forell, boi się, czy pośród siedmiu pozostałych kolegów nie ma takiego, który jutro przekaze dalej przebieg rozmowy.

- Cholerna Syberia! - mówi Forell, przesadnie podkreślając jęczenie i kieruje rozmowę na sprawy codzienne, bo nasłuchiwanie innych pozbawiło go pewności.

Do ustawicznego złego wiatru człowiek już tak bardzo się przyzwyczaił, że jego wycie i brzęczenie szyb w oknach nie docierają do ucha, które poza tym odbiera każdy najcichszy szept. Rozmawiają więc o wietrze, o zimnie, o małych szansach człowieka, który miałby się na przykład odważyć wyjść na zewnątrz w tak barbarzyńsko surowym klimacie.

Kiedy Forell sądzi, że nareszcie dostatecznie odwrócił uwagę słuchających, zadaje Dechantowi pytanie, gawędząc o całkiem zwyczajnych sprawach, czy obaj mogliby się odważyć. Robi to, nie dobywając głosu. Pokazuje tylko palcem w pytającym gościu: Ty i ja?

Dechant z namysłem kiwa na to głową. Forell unosi ramiona: Czy to w ogóle będzie możliwe? Dechant odpowiada, ziewając, jakby mowa była o pogodzie i niczym innym:

- A jednak sędzę, lepiej jest tu w zimie niż w tak zwanym lecie.

Zgoda!

Etapami, zgodnie z obchodem strażnika, Forell wraca do swej izby. Chorzy dzielący z nim pokój dziwią się, gdy drugiego dnia niemal całą swoją rację chleba zaczyna w cienkich kromkach suszyć przy piecu. Ta metoda ma tu już niejaka sławę i nie trwa długo, a pogłoska, że również na parterze leży jeden taki, co suszy chleb do ucieczki, dociera przez ściany do każdego. Ale pogłoska, jak mowa murzyńskich bębnow, nie jest związana z żadnym językiem i wcześniej czy później zrozumieją ją też Rosjanie, o ile w ogóle zechcą posłuchać plotki i poważnie potraktować wysiłki chcącego stąd uciec szaleńca.

Aby nie wzbudzać podejrzeń, Forell odczekuje całe cztery dni, a następnie skokami jak pantera przedostaje się na piętro i niby mimochodem odwiedza Dechanta.

- Jak długo zamierzasz jeszcze chorować? - chce się dowiedzieć Dechant.

- Wracz jest dostatecznie głupi, żebym mógł zyskać kolejny miesiąc.

Forell ciągle źle wygląda, a czarne wargi to podkreślają.

- Za miesiąc uzbieram dużo chleba. Ale potrzebujemy także tłuszczu. Mam jednak rozwiązanie - wczoraj znów były te małe rybki.

- Wszyscy wrzuciliśmy je do pieca. Nie do przelknięcia. Obrzydlistwo!

- Ale tłuste. Będziemy musieli przeżyć czasy bardziej głodne niż te dobre tygodnie w lazarecie. Mogę sobie wyobrazić, że pewnego dnia te drobne tłuste rybki znakomicie przejdą nam przez gardło, nie wywołując obrzydzenia. U nas na dole też nikt ich nie je. Zebrałem je. Teraz są na dworze w urzędzeniu do zamrażania. Nie wrzucajcie ich do pieca, tylko przekazujcie mnie! Ja się już zatroszczę o to, żeby były zamrożone. Z rybkami przeżyjemy w razie potrzeby dwa tygodnie, a w największej biedzie jeszcze dłużej.

- Dobra. Trzeba przyznać, jesteś praktykiem. A więc ufam też, że wymyślisz sposób, jak się z tej chaty wydostać.

- Jedyne znaczący punkt w całej Rosji, w którym nie ma reflektorów. Jedyne miejsce, z którego możliwa jest ucieczka.

- Za to tak blisko niemieckiej granicy, że zwykle środki ostrożności robią się zbędne.

Dechant czuje się dziś źle. Znowu ma gorączkę, czuje wstręt do wczorajszej drobnej ryby i ma napuchnięty, obłożony język.

- Też powinieneś jeść węgiel - uznaje Forell.

- Nie chcę wyglądać jak piesek salonowy.

- To jedyne, co pomaga.

- To przynieś jutro dostawę węgla!

- Śmiejecie się z tego. A przecież nie ma rzeczywiście niczego innego, co może pomóc, zwłaszcza w tym obozie bez sensownych leków. Musisz przecież być zdrowy, jeśli tylko chcemy myśleć o opuszczeniu tego gościnnego miejsca.

Dechant mówi głucho przed siebie:

- Naturalnie, muszę być zdrowy. Wiem. W tej przeklętej chorobie niepostrzeżenie ucieka z człowieka także dusza. Potem ułożą mnie tam pod kilkoma skałkami, znam już to miejsce. I wtedy żegnaj powrócie do domu. A ja muszę wrócić.

- Ja też.

- A cóż to znaczy w twoim przypadku?

- Irenę ma teraz cztery lata. - Akurat Irenę!

- To moja córka.

- Głośnym hurą i odwagą dorobić się nadporucznika, a w trzecim roku wojny dać córce na imię Irenę! Macie panowie pomysły! Wojna musiała skończyć się przegraną.

- Kathrin tego chciała.

- Mówisz to tak, jak się mówi o świętej. Miłość? Forell zaciska czarne usta i milczy.

- Nie bierz mi za złe, Długi! Masz Kathrin i będziesz ją miał ze sobą, kiedy znów znajdziesz się w czarnej dziurze góry. U ciebie śpi Kathrin, kiedy inni chrapią, a kazamatę wypełnia cała zgnilizna ludzi, którzy muszą zmurszeć. Na skalnym suficie, niechby był nie wiem jak czarny, widać nocą wąskie łuki pojawiającego się i znikającego księżyca. To wszystko potrafi Kathrin. To cudowne nieszczęście mieć jakąś Kathrin. Zazdroszczę ci, Forell.

- Jesteś pierwszym, któremu w ogóle o tym powiedziałem. To nie jest tak z tym rycerzem bez strachu i skazy. Jestem dzieckiem, które dwa razy już ważyło się na ucieczkę. Raz rzeczywiście się udało. Gdy w czterdziestym trzecim znów mnie dostali, moje zdjęcie było już u przesłuchującego oficera. To przyniosło mi sławę, jakobym był zabijaką w imieniu ojczyzny. Te błazny nie muszą wiedzieć, że jest Kathrin. Popelniam tę głupotę na nowo. Teraz, kiedy jesteśmy tak daleko, robię to z lunatyczną pewnością.

Dechant leży płasko na plecach i gapi się w drewniany sufit. Jest tak mizernie blady jak ostatnio Forell, gdy usłyszał nazwisko Dechant.

- Gdybym wiedział, że po mnie jakaś Kathrin zapłacze tak głęboko i szczerze jak twoja po tobie, to pozostałbym i spełnił w ciszy, co dla nas zaplanowano: umarłbym bezgłośnie po kilku latach przymusowej pracy. U mnie wszystko już w gruzach. Jestem

inżynierem. Trzeba to sobie opowiedzieć, żeby się poznać. Żonę też kiedyś miałem. Prawda. Ale już dawno nie ma to znaczenia. A jednak muszę wrócić.

Nagle Dechant podnosi się i gapi na Forella rozgorączkowanymi oczami.

- Gdzie to w naszej ojczyźnie występuje nazwisko Mattern? A więc wie. Forell czuje, że język zeszywniał mu w ustach na wyschniętą podeszwę.

- Czy to miejscowość?

- Mattern powiedziałem.

- Tak. A ja pytałem, co to ma być.

- Jeśli ktoś nazywa się Jenikeit, musi być pewno z Prus Wschodnich. Habersetzer może nazywać się tylko ktoś z Bawarii. Gdzie ludzie nazywają się Mattern? Gadajże!

- Nazwisko czasem jest neutralne. Znam przynajmniej trzech ludzi w Bawarii o nazwisku Mattern.

- Sądziłem, że to nazwisko z całkiem konkretnej okolicy.

Forell postanawia zachować w tej sprawie dystans obserwatora. Nie zdradzi swej wiedzy, a jeśli miałby kiedykolwiek wrócić do wnętrza góry, nic nie powie chłopakowi o tym, co go tu spotkało.

- Szukasz konkretnego człowieka pod tym nazwiskiem?

- Ja go nawet znajdę.

- Nie może to być takie trudne. Każdy człowiek jest w jednym egzemplarzu. Jeśli znasz imię i wiek...

- Alfons. Alfons Mattern. Nie znam zawodu, nie znam wieku, nic. Wiem tylko, że go znajdę, jestem tego pewien. Zwieję stąd, wrócę do domu i znajdę tego pana Matterna.

Dechant zaczyna opowiadać, jak go przesłuchiowano, jak na niego naciskano i jak męczono, żeby przyznał się do rzeczy, o których nie miał najmniejszego pojęcia. Był sierżantem. Dowódcą plutonu w Prusach Wschodnich. Forell zna dobrze tę historię, opowiedział mu ją pierwszej nocy pod niebem i płachtą namiotu po wyjeździe z Czyty młody chłopak. Teraz mógłby to wyjawić, ale tylko kiwa głową, że słucha. Tymczasem Dechant mówi dalej.

- Sam siebie nie podejrzewałem o to, że mógłbym tak odważnie obstawać przy prawdzie. Ci ludzie mają mnóstwo metod, by kazać obwinionym mówić coś przeciwnego do prawdy. Aleja trwałem przy uczciwości, dopóki moje przyznanie się nie było już potrzebne, ponieważ jakiś Alfons Mattern wykupił sobie wolność tym, że zeznał na temat niepopelnionych przeze mnie czynów.

Może dla chorego byłaby to satysfakcja, gdyby Forell powiedział mu, że Alfons Mattern jest przepełnionym strachem chłopcem i leży z nim w sztolni tej samej kopalni. Wtedy ucieczka byłaby zbędna, bo nie chodzi przecież o dom, żonę czy dzieci, lecz o porachunki z denuncjatorem.

Rozmowa mężczy Dechanta. Opada na łóżko i leżąc z na wpół otwartymi ustami, zmachany i gorączkujący, na jawie i we śnie nieustannie myśli o ucieczce.

- To błazen - mówią z przodu izby do wychodzącego Forella.

- Dobry chłop. Skory do śmiechu, chętny do pomocy, kiedy sam jej nie potrzebuje. Tylko co z nim jest, że stale chce uciekać?

- No, mój Boże! Jeśli ktoś jest tu niewinnie!

- Jak my wszyscy.

Forell wraca do swej izby. Przez kilka dni ocenia, teraz sam dla siebie, jakie są szanse, bo z Dechantem nie da się rozmawiać. I suszy z lepkiego owsianego chleba zapasy na drogę. Przez mętne szyby okien przygląda się sennie napływającym mglistym i przewianym wiatrem dniom, które podpełzają ociężale, by po kilku popołudniowych godzinach odpełznąć tam, gdzie trudno odróżnić jasność od ciemności.

W czasie tygodni spędzonych w lazarecie trzykrotnie widział żołnierzy ustawiających kolumnę sań. Teraz już wie w jakim celu.

Między odjazdem a powrotem mijały tygodnie. Wtedy sanie były niebezpiecznie wysoko załadowane zielonym chrustem sosnowym lub podobną do kosówki tują. Przynajmniej przez jeden dzień nad obozem nie rozchodził się zapach ryby, lecz piękny, cierpki zapach igieł.

- Chrust ma zastąpić słomę w kazamatach. To jest tu we zwyczaju - mówi sąsiad z łóżka obok. - Rosjanie też od zawsze spali na chruście.

- Żołnierze w komendanturze?

- Rosjanie, nasi poprzednicy i towarzysze pracy. Czy może sądzisz, że sztolnie w górze wygrzebały myszy?

- Nie. To dawna robota, prawdziwie rosyjska, cierpliwa.

- Gdy tu przybyliśmy, w kilku sztolniach leżało już sześciuset calinników. To nie są skazani na krótkie terminy sztrafnicy*, lecz goście na dłużej. Nigdy ich nie widzimy, ale oni tu są i byli tu już przed nami.

- Skąd to wiesz?

- Wieść niesie. Połowa z nich jest nieprawdziwa. Jednak są wieści, które mają cechy tak pewne, że z wolna uznaje się je za zawieszistą prawdę. Lepiej, żeby żyjący jeszcze więźni

nie próbował wyliczyć, ilu calinników już tu w okolicy zginęło, zanim wryto w tej górze niezliczone dziury. Jesteśmy pierwszymi Niemcami, pierwszymi jeńcami wojennymi. Lecz nie ostatnimi.

- To tak jest?

* Z rosyjskiego sztrafnik = skazany, ukarany.

- Mniej więcej. Dokładnie nigdy się nie dowiesz. Uważaj, żeby twój chleb się nie przypalił! Szkoda wszystkiego, co sobie od ust odejmujesz.

- Czy komendantura ma połączenie radiowe?

- To powinno się wiedzieć, gdy ma się takie myśli jak ty. Żelazny maszt na baraku wygląda podobnie do anteny, ale zdaje się, że ma inne zadanie. Powstaje pytanie, czy uciekinier w ogóle wart jest radiowej wiadomości.

Na zewnątrz zajeżdża konny zaprzęg.

Na saniach żołnierz. Kiedy zdejmie futro, będzie można rozpoznać, czy jest oficerem. Wysiada jeszcze jeden mężczyzna. Potem wyładowują bagaż. Zdziwiająco wiele mieści się na takich saniach ciągniętych przez psy. Drugiego mężczyznę prowadzą od sań do komendantury, podczas gdy bagaż dostarczają do baraku lazaretu.

Jeszcze tego samego wieczora Forell rusza na zwiad. Nie może jednak dotrzeć po schodach na górę. Chodzi zbyt wielu strażników, a na piętrze z wielkim poruszeniem odbywa się wypakowywanie i urządzenie. Tłumacz z uprzejmością wypytuje o sprawy medyczne.

Zanim udaje się Forellowi wnikać w zawilości rozmowy, jest zmuszony wycofać się do pokoju, jednak nie traci nic z wydarzeń rozgrywających się w lazarecie. W czasie posiłków, obchodu kontrolnego Pajęczyny, przynoszenia węgla do palenia w piecu i niesienia śniegu do stopienia na wodę można zdobyć całkiem sporo informacji. To, co nie wydostaje się przez drzwi, przecieka w niewyjaśniony sposób przez ściany i sufity, dzięki czemu po niecałym dniu z kawałków mozaiki powstaje kompletny obraz.

Saniami przyjechały lekarstwa i lekarz. Medyk jest Niemcem. Dotąd był w Tomsku, w obozie. Lekarz sztabowy, wrocławianin z pochodzenia, chirurg i internista. Do czasu swego powołania do wojska pracował w Magdeburgu. Z nieznanых powodów został skazany na dwadzieścia pięć lat. W ramach złagodzenia kary pozwolono mu pracować jako lekarz wśród innych skazańców. Na Przyładku Dieżniewa nałożono na niego odpowiedzialność za wszystkich więźniów.

Jeszcze nikt z nim nie rozmawiał.

Następnego dnia rano rozpoczyna się obchód. Przychodzi lekarz w błyszczącym białą fartuchu, za nim wracz z pełną niewinności parą zadziwionych wolicz oczu, a na końcu

Pajęczyna. Forell składa meldunek, jak się nauczył, ale po raz pierwszy przed Niemcem. Analizowany jest przypadek po przypadku, lecz jeśli chodzi o konkretną pomoc, także nowy wzrusza ramionami. Wczoraj przywieziono saniami lekarstwa, ale wybierano je przypadkowo, niewiele mogą więc działać.

- Wygląda pan znośnie.

- Próbowałem leczenia węglem drzewnym. Lekarz uśmiecha się.

- Jak pan się nazywa?

- Forell, nadporucznik Clemens Forell.

- Niezbyt częste nazwisko, które już kiedyś obito mi się o uszy. Przepraszam pana, doktor Stauffer.

Jest gdzieś koło połowy stycznia. Forellowi pod krytycznym wzrokiem medyków coraz trudniej symulować chorobę, jako że węgiel drzewny najwidoczniej świetnie spełnił swoje zadanie. Ale na szczęście los mu sprzyja. Doktor Stauffer odnajduje w zakamarkach pamięci znajomego o nazwisku Forell, kolegę z czasów studiów w Tybindze lub w Wurzburgu.

- To mógł być mój brat, który studiował w Tybindze. Doktor Ernst Forell. Poległ.

- Jakież świat jest mały.

Forell od czternastu dni powinien być wewnątrz góry, ale miał brata, który studiował w Tybindze, dlatego wciąż leży w lazarecie. Dłużej nie da się jednak tego ciągnąć. Rosjanie wkrótce się zorientują i pozbawią lekarza stanowiska, zdając wszystkich chorych na żalną wiedzę felczera.

- Nie tylko jest pan zdrowy, lecz zdecydowanie silny.

- Wiem.

- Niestety.

Dokładnie tego dnia, gdy Stauffer z ciężkim sercem wypisuje pacjenta Forella, do lekarza przychodzi pieriewodczik* komendantury z informacją, że potrzeba dwóch zupełnie już zdrowych

* Z rosyjskiego pieriewodczik = tłumacz. ludzi, którzy będą w stanie znieść trudy zaplanowanej na jakieś sześć tygodni podróży. Doktor waha się, przekładając w rękach osiem świadectw.

- To i dla was ważne, towarzysze Stauffer. Mają gdzieś odebrać koce i lekarstwa. Wielokrotnie się uskarżaliście, że chorych przykryć można tylko jednym kocem. Są koce. Są tam także lekarstwa z niemieckich i amerykańskich zasobów. Sanie mogą załadować, ile psy uciągną. Proszę!

Tłumacz nie budzi zaufania, zupełnie możliwe, że zamiary Rosjan nie są takie, jakimi je przedstawia, a radosna odmiana, jaką stanowiłaby jazda saniami mimo najstraszliwszego zimna, ma inny cel. Po niejakiem zastanowieniu Stauffer wybiera dwa z ośmiu zaświadczeń zdrowotnych.

- Lothar Eisemann, dwadzieścia sześć lat. Silny i w pełni ozdrowiały. I Clemens Forell, dwadzieścia osiem lat, bardzo silny i także wytrzymały. To dwóch rzeczywiście przydatnych ludzi.

To, co dzieje się potem, następuje tak szybko, że Forellowi nawet nie udaje się pożegnać z Dechantem. I dziwna rzecz, zaskoczony wezwaniem strażnika, żeby się szykować natychmiast, nie myśli o ucieczce, tylko o wnętrzu góry, dokąd miał zostać zaprowadzony. Na dole pod łóżkiem leży w kartonie po konserwach ususzony chleb, który można by tam zjeść. Jednak strażnik nie odstępuje Forella ani na moment. Kiedy ten chce sięgnąć po swoje drobiazgi, mundurowy daje do zrozumienia, by związał wszystko razem i położył na łóżku. Chwilę później wychodzą.

To nadzwyczaj nieprzyjemne uczuciejeśli nie ma się w takich sprawach doświadczenia - gdy człowieka prowadzą w nieznanne miejsce. Forell idąc do komendantury, w pośpiechu bada wszelkie zdarzenia tych miesięcy spędzonych w lazarecie, z licznymi rozmowami o suszeniu chleba i ucieczce. Na korytarzu czeka już przyprowadzony przez strażnika nieznany mu współwięzień. Pod solidną strażą wychodzą na zewnątrz, po drugiej stronie budynku, który jest o wiele większy, niż oczekiwali. Wchodzą do drewnianego bocznego skrzydła. Obu Niemców uderza dobry humor strażników. W pomieszczeniu przesiąkniętym zapachem proszku na wszy ubierają wspaniałe kozuchy, dopasowują futrzane buty z cholewami, a na głowy wkładają futrzane czapki. Rękawice z futra uzupełniają całość, równie wspaniałą, jaką od czasu niewoli widywali tylko na rosyjskich strażnikach.

Po solidnym i smacznym posiłku jeńcy są odprowadzani do zakratowanego pomieszczenia. Tu będą spać. Zostaną obudzeni przed podróżą.

- Chłopie, co oni z nami robią?

- Może kierunek do domu.

- Jeszcze nawet nie odpracowaliśmy kosztów żarcia. Ale sądząc po ubraniach, jazda będzie daleka.

- Zobaczysz, Forell, pošlą nas do domu.

- Na wojnę poszedłeś zaraz z dziecińca, czy przedtem uczyłeś się jeszcze czytać i pisać, dzieciuchu?

- W Rosji wszystko jest możliwe. Mogli nagle odkryć, że jesteśmy niewinni.

- Odkrywanie winy kosztowało ich więcej trudu.
- W każdym razie, jeśli wyruszymy na południe, będzie to w kierunku ojczyzny.
- Jeśli droga poprowadzi na północ, będą musieli nas utopić. Czy sądzisz może, że

Cieśnina Beringa zamarzła?

- Co to za cieśnina?
- Taka, co trudno przeskoczyć. - I mamy to zrobić saniami?

Forell zazdrości temu dzieciakowi niewiedzy i zasypia niemal rozbawiony.

Jeszcze noc jest głęboka, kiedy ich budzą. Muszą pomagać w załadunku. Wielkie kożuchy utrudniają im poruszanie się. Na długich saniach przywiązują wszystko, co przyniesiono: suchary z chleba, rybę, puszki konserw i futrzany namiot, który będzie ich mieszkaniem przez następne tygodnie. Straszliwie zajęty Wasilij wiąże wszystko mocno rzemieniem. To przyjazny mężczyzna o niebieskich oczach dziecka. Stuka się palcem w piersi - Wasilij. Dookoła drepczą niespokojne psy. Sama niecierpliwość owinięta grubą wełną, umiejąca niepohamowanie cieszyć się zjazdy. Podczas zaprzęganania wiją się jak łasice.

Ho jaho!

Wasilij ma w rękach lejce. Wydaje z siebie przepięknie niosące się wołanie, rozpromieniony na całej twarzy, gdy śnieg kurzy się pod szybkimi nóżkami.

Zaczyna powoli dzień pod kręgiem polarnym.

Ludzie oglądają się i mają wrażenie, iż ten ponury kawałek ziemi z budynkami chowa się jak na huśtawce pod zwierciadłem krajobrazu i za chwilę już się ponownie nie wynurzy. Piętnaście psów uwija się w nienaruszonym śniegu, ciągnąc za sobą trzech mężczyzn i wyposażenie podróżne. To nie tak dużo, żeby mogło zmęczyć psy, nawet wtedy gdy jazda pod górę robi cię cięższa.

Wasilij drogę, jaką pokonali do wieczora, szacuje na osiemdziesiąt wiorst*. Ustala też, kiedy jest wieczór, odkładany na dość późną godzinę. Zdejmuje i rozwija namiot. Niewyobrażalnie zręczne ręce Rosjanina ustawiają namiot obok sań. Potem mężczyzna przygotowuje posiłek. Jeńcy w tym czasie do woli zajmują się podziwianiem wykonywanych przez niego czynności. Wasilij patrzy na nich chmurnie, bo zamiast pomagać, stoją jak głupi, jakby nigdy nie byli żołnierzami. Ale oni naprawdę nie wiedzą, co mają robić. Taki namiot widzą po raz pierwszy, dopiero tu, na końcu świata, nauczą się, jak się z nim obchodzić.

Przewieszony przez ramię pistolet maszynowy przeszkadza Wasilijowi we wszystkim, co robi. Przeszkadza także w czasie snu, gdy musi go brać między kolana. Kto jednak odważy się zaufać wojennoplennemu**, który za nieludzkie zbrodnie skazany jest na dożywocie w kopalni ołowiu? Mrukliwa rozmowa wieczorna w ciepłe futrzanych koców powoli łączy

trzech ludzi. Forell, który nauczył się już nieco po rosyjsku, nie potrzebuje tłumacza, gdy Wasilij przedstawia cel i sens podróży. W mieście nad morzem są do odebrania lekarstwa i koce dla kolegów. Dla dwóch tak złych facetów udział w tej wielkiej podróży oznacza zaufanie, zaszczyt i wyróżnienie.

Świadomi zaszczytu i wyróżnienia Forell i Eisemann zwijają rano namiot. To, co tak płynnie wykonywały ręce Rosjanina, jeńcom wychodzi znacznie gorzej. Wasilij musi rozwiązać pakunek namiotu i pokazać, jak można go zmniejszyć do jednej trzeciej objętości. W końcu ruszają z „ho jaho”, sypiąc śniegiem w nowy dzień, choć psy jadły coś tylko wieczorem.

* Wiorsta = ok., km.

** Z rosyjskiego wojennoplennyj = jeńiec wojenny.

Wasilij podczas podróży nigdy nie wyjmuje mapy i nie spogląda na kompas. Pewnie niczego takiego nawet nie ma. I nie rozumie zdziwienia towarzyszących mu więźniów, gdy ci pytają, jak się orientuje.

Po pięciu nocach żołnierz nie kładzie już sobie pistoletu maszynowego pomiędzy kolana.

Każdego dnia Wasilij podnosi się pierwszy, jednak jego towarzysze już od dawna chcą mu we wszystkim pomagać.

Eisemannowi z całą pewnością płomień światłości Ducha Świętego włosów nie osmalił, ale z gorliwością grzecznego dziecka uczy się tego, co na Syberii do podróżowania potrzebne, po to, żeby sprawić przyjemność Wasilijowi. Z zachwytem wali go obiema rękoma w plecy, mówiąc, że wspaniały z niego chłop.

- Wot czielowiek - próbuje tłumaczyć Forell.

Wasilij przeżuwał coś, z zadowoleniem kiwa głową. Cieszy się, że mu się coś takiego mówi.

„Wot czielowiek” nazywa go na koniec drugiego tygodnia podróży także Eisemann, z twarzą pełną promiennego podziwu. Ludzie i psy wspierają się, aby szybko przebyć trasę. Często zeskakują z sań, kiedy jest ostro pod górę. Żadnego dnia nie robią mniej niż osiemdziesiąt wiorst. Jednak któregoś dnia Wasilij podchodzi na wyjątkowo wysoki masyw górski. Jeńcy są tak pełni podziwu dla jego umiejętności, że nawet nie mają odwagi klepnąć Rosjanina w plecy. Długo trwa przejście tego odcinka i mimo całego zimna, wciąż robią się mokrzy od potu. Wasilij jednak ani razu nie zawraca. Bezbłędnie odnajduje przejście między górami zmieniającymi stale swą formę. Forell potrafi docenić, co znaczy tak mistrzowskie pokonywanie drogi w podzielonym głębokimi dolinami masywie górskim. Wasilij idzie jak

natchniony i tylko nie pojmuje, dlaczego inni go za to podziwiają i chwalą. Wszystko jest takie proste - wyrusza się z przylądka i dociera do drewnianego miasta nad morzem. Jeśli jest źle ze śniegiem, to trwa to dwa dni dłużej. Nie jest tak całkiem łatwo przy dużej ilości świeżego śniegu.

Są u celu.

- Jak często tu już bywałeś, Wasilij? Podniesiony kciuk pokazuje: „raz”.

Obu Niemcom miasto nie wydaje się duże, ale po licznych nawrotach wśród prostokątnie biegnących ulic nie odważają się już powiedzieć, w jakim kierunku jadą. Wasilij, który raz był w mieście, pozwala psom ciągnącym za sobą sanie na skręty jeden za drugim. Nagle powstrzymuje bieg sani, które zatrzymują się z dokładnością co do metra przed komendanturą.

Forell i Eisemann patrzą na siebie lekko zaskoczeni. Nie czują się dobrze. To jest koniec. Minał sen, czarownie piękny, minął na zawsze. Po przebudzeniu ręce chwytają pustkę.

Żołnierze popychają ich kolbami. Nawet Wasilij, kiedy przesuwają jeńców obok wartownika, grozi pistoletem. Gdy pokazuje papiery dotyczące swego zadania i ludzkiego ładunku, pchnięcia kolb na dobre rozdzielają potrójny zaprzęg przyjaźni. Idą przez kilka podwórz i wokół narożników budynków, Wasilij niemal smutno z boku, do lazaretu, gdzie ma nastąpić załadunek.

Jedzenie dla obu wojennoplennych jest dobre i obfite. W nocy są zamknięci w okratowanym pomieszczeniu, a następnego dnia rano wyprowadzani w ten sam szorstki sposób. Po przebytej przez bezludny kraj podróży, w czasie której byli traktowani przyjaźnie, to podejście żołnierzy odczuwają jak obelgę. Na każdym kroku są pilnowani, jakby w ogóle mogli pomyśleć o ucieczce, wlokąc sztaple koców i skrzynie do sań przez długie korytarze.

- Póki jest się jeńcem, jest się bydłem. Eisemann, słuchaj, co ci powiem. Zwiewam w drodze powrotnej.

- Nie gadaj byle czego!

- Dobrze, że nas tu jeszcze raz przeciwicyli. Inaczej zbyt łatwo by się zapomniało, że nasza dola zawsze pachnieć będzie kolbami karabinów. Nie, mój drogi. Gdy tylko nadarzy się okazja, znikam.

- Nie możesz tego zrobić Wasilijowi.

Forell wściekły wrzuca w siebie posiłek. Nie chce już, żeby mu smakował. Za trzy tygodnie, jeśli w drodze powrotnej nie zdarzy się nic zbawczego, będzie musiał zejść do sztolni, żegnając się ze światem, w którym jest Kathrin, w którym żołnierz o imieniu Wasilij

przeprowadził na wspaniałym śniegu Syberii demonstrację zwykłego człowieczeństwa, w którym przez trzy tygodnie można było mieć nadzieję, że nastąpiła przemiana. Nie.

- Chodź ze mną. We dwóch łatwiej sobie poradzimy.

- Trzy dni później znów będą nas mieli.

- I co wtedy? Myślisz, że nas dlatego rozstrzelają? Obchodzą się z nami troskliwie, żebyśmy pięć, sześć lat pracowali w kopalni. Dopiero wtedy się zamortyzujemy.

Otwierają się drzwi. Forell jeszcze szepcze do Eisemanna, że jeśli nie będzie współdziałał, niech trzyma buzię na kłódkę. Eisemann przytakuje głową.

Przed saniami, przy których Wasilij oczekuje na swych ludzi bez uśmiechu, są nowe psy. Małe cienkonogie zwierzęta z szarobrazową wełnistą sierścią i czarnymi oczami jak szpilki zostały wymienione. Zaprzęg składa się z piętnastu psów wielkości niemal bernardynów.

- Zaprzęgli nam cielaki z księżycą - Forell krzywi usta w uśmiešku.

Z tą rasą psów, które w drodze na przylądek rozciągnęły transport na dużej odległości, bo nie mogły dotrzymać kroku mniejszym psom, ma złe wspomnienia. Jednak to, co może powrót przeciągnąć lub utrudnić, zaczyna go teraz w ponury sposób cieszyć.

Sanie robią pętlę, a potem opuszczają podwórze, ponownie zatrzymując się jednak przed wejściem głównym z wartownikiem. Wasilij musi się jeszcze raz odmeldować. Dopóki nie wróci, dwaj żołnierze stoją obok niemieckich jeńców. Wasilij wychodzi przez bramę z workiem na plecach. Więźniowie lokują go szczególnie troskliwie, bo zawiera pocztę.

- Poczta - szepcze Wasilij i odważa się po raz pierwszy znów ostrożnie uśmiechnąć, jednak dopiero wtedy, gdy sanie się rozpędzają.

Poczta. Tak. Żołnierze tam u góry naprawdę nie mają przyjemnego życia. Jednak sami się zgłosili. A na koniec służby opłaci się, że wybrali miejsce oddalone od świata. Jeśli potrwa to dwa lata, właśnie dwa lata będą służyć. Jeśli trzy, to jeszcze długo nie jest to wieczność. Ojczyzna jest daleko, ale śle im pocztę z wieściami o najbliższych.

- Cieszylibyśmy się tak samo z brudnej koperty, ale Kathrin nie może nawet wiedzieć, że żyję i gdzie żyję. Każdy posiłek psuć solą niewiadomego, a niejasną pewnością śmierci dzielić na pół, żeby wszystko liczyło się podwójnie - to nam się należy jako podzięką za przywiezienie poczty.

Wasilij rozgląda się i uśmiecha do obu. Eisemann niezdarnie odpowiada tym samym. Forell uchyla się przed radosnym spojrzeniem i gapi wściekły przed siebie. Cielaki z księżycą, dobrze wypoczęte, robią swoje nie tak źle, jak się obawiał, tak więc wieczorem na nocleg sanie zatrzymują się dokładnie tam, gdzie był ostatni postój w pierwszą stronę. Kiedy

Wasilij każe się zatrzymać i rozstawić namiot, Forell jest w złym humorze. Żeby go rozweselić i uczynić znowu rozmownym, Rosjanin gada nieprzerwanie, chwali obu, że tak dobrze nauczyli się rozstawiać namiot, daje im machorkę i papier, rozdzielając jedzenie tak, by wszyscy najedli się do syta.

- Co jest? - pyta. Już się nauczył tego pytania. Eisemann milczy. Forell mruczy wściekły:

- Zostaw mnie w spokoju! - Co jest?

- Nie jesteśmy waszymi psami. Nie psami. Nie. Z psami obchodźcie się przyzwoicie. To, coś zrobił, tutaj, jest tylko wybrykiem, sztuczka jak ze świętym Mikołajem, o której dowiadujemy się potem, że ją zrobiono, aby nas oszukać. To był błąd, zabrać nas tylko po to, żeby pokazać, jak może być. Ale nie było błędem odstawić nas tam, u nich jak konie pocztowe. Tu, gdzie jesteśmy sami, jest pięknie. Ale jeśli jest przy tym choćby jeszcze jeden człowiek, także i ty boisz się, że cię złapią na ludzkim traktowaniu. Uważaj, co ci powiem: jeśli w czasie jednej, jedynej nocy będziesz nieuważny, to ja się urwę, dam nogę, zniknę.

Od tego momentu Wasilij znów śpi z pistoletem maszynowym między kolanami, leżąc u wejścia do namiotu. Forell jeszcze dwakroć naradza się z Eisemannem na temat swego zamiaru, nie może go jednak nakłonić do zmiany zdania. Poza tym omawiane jest tylko to, co konieczne. Milczenie zastępuje rozmowy tak wyraźnie, że Wasilij często całymi godzinami nie śpi w nocy, stale gotów na spotkanie cienia, który próbuje wyjść na wolność. Zasypia dopiero nad ranem i następnego dnia jest mrukliwy jak Forell. Wreszcie którejś nocy o trzeciej nad ranem Rosjanina ogarnia takie przemożne zmęczenie, że pojawiający się nad nim cień wydaje mu się senną zjawą. Nie budzi się. Tymczasem Forell zabiera koc z jagnięcego futra i nerwowo otwiera namiot, zastanawiając się - gdy futro trzeszczy tak natarczywie - czy nie powinien sięgnąć do gardła dzielnego żołnierza Wasilija, jeśli ten nagle się ocknie. Zamknięcie namiotu otwarte jest dostatecznie szeroko, by móc się wymknąć na zewnątrz. Siedem ostatnich dni i nocy Forell zastanawiał się, co zabierze z sań, by móc iść co najmniej dziesięć dni. Kiedy opuszcza namiot, wszystko robi inaczej, niż zaplanował. Bierze wprawdzie jakieś dziesięć kilo jedzenia, ale wszystko bez ładu i składu. Gdy mu się zdaje, że słyszy w namiocie szuranie, przyciska do siebie pod płaszczem zdobycz, zarzuca kozuch na plecy i bez namysłu zaczyna biec po śladach sań wiodących tam, skąd przybyli.

Dopiero później, kiedy jest już dzień, rozmieszcza ciężar tak, że wszystko może nieść w kozuchu, wieszając go jak worek na plecach. Wędrowiec, któremu naiwność pomieszała się z gniewem, a możliwe z niedorzecznością rzuca się w oczy. Aż do południa biegnie śladem sań mocno hamowany przez świeży śnieg. Ogląda się czasem na jakimś zbocz, czy Wasilij

nie zawraca z psami, by go schwytać, co byłoby niezmiernie łatwe. Psy zaprzęgowe są w głębokim śniegu cztery razy szybsze od człowieka.

Uciekinier w takich warunkach nie osiąga dużej szybkości, ale jeśli Wasilij sam nie podejmie pogoni, nieprawdopodobne, by szybko odnaleziono go na tym obszarze. Miną co najmniej dwa tygodnie, zanim jego brak będzie można zameldować w obozie. A od tego momentu, nawet jeśli Rosjanie dysponują radiostacją, miną jeszcze kolejne dni, nim poszukiwania wejdą na właściwy teren, nawet jeśli jest tu w pobliżu miasto, w którym mogą odebrać meldunek o zniknięciu.

Forell liczy na cztery tygodnie niezakłóconej wędrówki. Dziennie nie przejdzie ponad trzydziestu kilometrów, a do pokonania jest ponad tysiąc. Oczywiście to nic w kraju bez skali. Pytanie tylko, czy prowiantu starczy na tak długo. Forell przelicza skromne zapasy i wyczerpany zwija się pod przykryciem z jagnięcego futra. Idzie spać, kiedy remanent nie daje dobrych rezultatów. Najważniejsze to planowo pokonywać drogę i nie nadkładać zbędnych kilometrów, ale do tego musiałby mieć węch miejscowego Sybiraka albo kompas. Na dodatek kozuch z prowiantem jest znaczącym ciężarem.

Jeśli krajobraz ma się zmienić, przyjęte w programie trzydzieści kilometrów dziennie musi zostać wydeptane, uparcie i w ośpieniu, jak pensum zadaniowe, jak norma. Nawet jeśli bezsensowne, pozbawione orientacji krążenie w koło z trzydziestu kilometrów jedynie dwanaście. Jutro będzie już więcej. Pojutrze może będzie bardziej płasko. Jeśli nie pojutrze, to czwartego dnia! Tylko wytrzymać! I przede wszystkim nie oślepnąć od blasku śniegu! Byłoby dobrze iść z zamkniętymi oczami i tylko czasem ustalać na nowo kierunek według śladów z tyłu.

Jednak kraj, jak długo już Forell wędruje, nie chce zrobić się płaski.

- Para desek pod stopami - mówi wędrujący w śniegu pod nosem - a pójde osiemdziesiąt kilometrów na dzień, w dziesięć dni osiemset kilometrów, w miesiąc ponad tysiąc kilometrów. Nie. Więcej. Dwa tysiące. Trzy razy osiem jest dwadzieścia cztery. Dwadzieścia cztery tysiące kilometrów.

Uświadamia sobie, że rachunek musi być błędny, ale martwi go, że nie potrafi już liczyć. To z nartami to tylko wytwór wyobraźni. Musiałyby cudownie nieść w dół zbocza i jeszcze pod górę do jednej trzeciej następnego stoku bez jakiegokolwiek wysiłku, a potem szybko dalej.

- Stoj, kto idiot?! -

- Albo przynajmniej rakiety śnieżne - Forell chce jeszcze dokończyć myśl.

Zatrzymuje się jednak, ponieważ jest rzeczą zwyczajną, że jeśli się nie usłucha lub zlekceważy taki rodzaj wezwania, następstwem będą kule pistoletu maszynowego.

To jedenasty dzień, jeśli Forell dobrze pamięta. A małe psy zaprzęgowe, tylko jednaście przed lekkimi saniami, skręcają, schodząc przed nim ze zbocza w pięknym łuku. Tak. Trzeba by mieć narty albo taki zaprzęg psi. Psi zaprzęg byłby jeszcze lepszy. Ci ludzie tutaj mają psy i sanie lekkie jak zabawka. W ten sposób wszystko jest cudownie lekkie.

- Stoj, kto idiot?!

Przecież się nie wzbrania stanąć i poddać kontroli. Umysł pracuje mu powoli. Ten straszliwy blask śniegu! Jego mózg prawdopodobnie jest skurczony do jednej czwartej. Jeśli go wszystko nie myli, to obaj mężczyźni są żołnierzami. Nie noszą oznak jakiegóż specjalnej funkcji politycznej. Co ma im teraz powiedzieć?

Chcą znać nazwisko. Ruch ręki wzywający do podania dokumentów jest wszędzie, gdzie potrafią pisać i czytać, taki sam. Forell żałuje, ale nie ma papierów.

- Forell - przedstawia się.

Żołnierze mówią dużo i ten nadmiar płacze wszystko ze sobą, tak że uciekinier, któremu język rosyjski już od dawna nie jest obcy, nie może dosłuchać ani strzępka zrozumiałego słowa. Winna jest szumiąca czaszka. Ruch ręki, jakim policjant albo żołnierz w roli policjanta zabiera komuś wolność, też jest taki sam wszędzie na świecie. Dłoń chwyta go za ramię. Prowadzą go do sań. Jeden żołnierz zajmuje miejsce z tyłu na poręczu, drugi z przodu, żeby kierować lejczami. Forell siada pomiędzy nich.

Na Syberii musi być dużo hołoty, inaczej nieusprawiedliwione byłoby tyle podejrzliwości, gdy spokojny wędrowiec pojawi się w okolicy. Ale wędrowcy na Syberii wyglądają inaczej niż wojennoplennyj z kozuchem na plecach. Tego Forell nie pojmuje. Ale na saniach jest przyjemniej niż w śniegu po pas.

Jazda trwa dwie godziny.

Mała wioska z nieregularnie poustawianymi sześcioma drewnianymi domami dysponuje nie tylko dwoma umundurowanymi jak żołnierze policjantami, ale także małą stacją nadawczą, która wprawdzie nie jest niczym więcej jak przenośnym urządzeniem, jednak łączy samotny posterunek ze zwierzchnością, która - jak się zdaje - w ten sposób rozpościera swoje sieci łowcze nad całą Syberią. Oka sieci są duże. Ale w takim kraju widać także daleko. Żołnierze ciągle patrolują teren, a to, co przeoczą, wytropią psy. Traperzy, myśliwi polujący na futra i rybacy, jeśli taka jest pora roku, pozostawiają ślad nart albo rakiet śnieżnych. Gdy psy już znajdą, a mundurowi dojrzą obcy ślad wydeptany z trudem przez wyczerpanego piechura, wzbudza to uzasadnione podejrzenie.

Z pochwyconym nie obchodzą się nadmiernie przyjaźnie i nie bardziej nieprzyjaźnie niż to konieczne. Metody przesłuchania są proste. Najpierw wyczerpanemu podstawiają porządną miskę pełną kaszy. Jest gorąca. Początkowo Forell radzi sobie z trudem, ale potem z upodobaniem pracuje łyżką. Kiedy czuje się syty, ogarnia go błogość i traci instynkt samozachowawczy.

Pytania o to skąd i dokąd stawiane są tylko mimochodem. Po ostatniej łyżce kaszy Forell nie widzi już powodu, by ukrywać prawdę. Jest zbiegłym jeńcem wojennym. Niemcem. Tak. Mundurowi marszczą czoła, kiedy podaje swoje miejsce pobytu, jakby wątpili w to, że są tam jeńcy wojenni. Och tak. Tysiąc dwustu. Ciekawe, także dla Rosjan. Teraz Forell przedstawia - opowiadając wszystko rękoma i słowami - jak to było z jazdą po koce i lekarstwa. W drodze powrotnej, żeby nie musieć wracać do nieprzyjaznego miejsca we wnętrzu ołowianej góry, uciekł z namiotu.

Nie ma za dużo pojęcia o skomplikowanej grze policyjnych radiostacji, które jeszcze tego samego dnia zaczynają pracować z powodu jednego człowieka. Zostaje zamknięty obok wartowni, nawet nieszczególnie mocno zabezpieczony, pilnowany przez dwóch miłych strażników. Następnego dnia potwierdzają, że jego zeznania w przybliżeniu zdają się być wiarygodne. Wypytyują Forella, czy może z pomocą drugiego Niemca zamordował żołnierza.

Wasilij zabity? Nie. Wasilij z drugim Niemcem powinien w tym czasie być już w pobliżu miejsca stacjonowania.

Jeszcze przez cały dzień zbieg zajmuje policyjne radio. Potem jeńiec staje się dla pilnujących nieinteresujący i zaczyna im ciążyć. Nietrudno to wyczuć. Tęsknią za jazdą saniami, od czego muszą z powodu obecności obcego powstrzymać się jeszcze przez sześć dni. Siódmego dnia Forell zbudzony zostaje ze snu całkiem niezłośliwym kopniakiem. W wartowni, gdzie jeszcze raz dostaje jeść, jest teraz czterech ludzi.

Pożegnanie, mniej więcej zrozumiałe, brzmi: „Dobrej podróży! Niech bierze do siebie, kto chce”.

Dopóki są w drodze, wszystko przebiega znośnie. Forell pomaga przy rozbijaniu namiotu, zbierając nawet trochę pochwał. Rozmów nie ma. Nie ma sensu zadawać się z człowiekiem, który przysporzył tylu problemów. Ponieważ dwóch żołnierzy, z których jeden stale musi pilnować więźnia, mogłoby stanowić zbyt małe zabezpieczenie, podczas każdego wypoczynku jeńcowi zakładane są na kostki stóp cienkie łańcuchy. Nie pozwalają na krok dłuższy niż piętnaście centymetrów. Nie boją, nie przeszkadzają w spaniu, ale uniemożliwiają swobodne poruszanie się.

Powrót do obozu nie oznacza żadnej sensacji.

Forell zostaje zaprowadzony do komendantury.

Politinstruktor* wychodzi ze swego pokoju i oglądając uciekiniera zimno od góry do dołu, mówi tylko:

- Ach! Jest tutaj!

Ktoś ściąga mu z ramion kozuch i futrzaną czapkę z głowy.

- Paszo! Na, damoj! - mówi oficer ani gwałtownie, ani z rozdrażnieniem.

Czyżby miało się to tak łagodnie skończyć?

Drogę zna już z czasu lazaretu. Zna kierunek i sądzi, że wie, która sztolnia jest właściwa. Jest wieczór. Przed wejściem stoi około dwustu ludzi, najwidoczniej zaalarmowanych pospiesznie i szybko uzbrojonych. Forell wie, choć nigdy nie przeżył czegoś podobnego, co ma znaczyć ustawienie kolegów w dwóch szeregach, niecały metr jeden od drugiego.

Ścieżka zdrowia!

Forell nie zostaje rozebrany, jak do klasycznego biegu przez różgi. Pośród lodów nie ma też giętkich prętów wierzbowych. Zmienia to styl kary, nie łagodząc jej potworności. A wykonawcami nie są wcale Rosjanie, lecz swoi ludzie, koledzy, przyjaciele w tej samej niedoli. Skórzane rzemienie, zwykle podtrzymujące spodnie, z metalową sprzączką na końcu, drewniane pałki, kawałki okrągłych prętów żelaznych, krzywy kawał drucianej liny - skazaniec patrzy z przerażeniem na szeregi i cofa się.

- Paszo! - mówi jeden z dwóch rosyjskich wartowników.

Forell zaczyna błyskawicznie liczyć. Jeśli uda mu się przebiec aż do sztolni z największą szybkością, to po drodze dostanie trzydzieści lub czterdzieści ciosów, ale w samej sztolni już nic strasznego mu się nie zdarzy, ponieważ jest tam zbyt wąsko, żeby starczyło miejsca na paradę w dwóch szeregach.

- Paszo!

* Z rosyjskiego - zajmujący się szkoleniem politycznym i ideologicznym.

Rusza, jak szybko się da.

Nie mają zamiaru go oszczędzać. W oczach płonie prawdziwa nienawiść. I to mają być koledzy?

Ach tak, Forell też nie był kolegą i teraz za to pokutuje. Przy takich grubych narzędziach kary ubranie nic nie znaczy. Nie minął nawet czterdziestu par, kiedy leży na ziemi. Powala go straszliwe uderzenie w głowę. Cios nie jest wcale potrzebny, ponieważ już wcześniej chwając się, upadł na prawy szereg, odepchnięty znów się podniósł, położył ręce

na karku, krzyknął, padł na kolana i znów podniósł się, zataczając, aż cios w czaszkę rozciął skórę na głowie, powalając żalosny kłębek człowieka.

Już nie ma wątpliwości, że Forell jest nieprzytomny. Ale przytomność tracą chyba także bijący. Dwuzereg rozsypuje się. Spośród tych, którzy już uderzyli, część odrzuca z zadowoleniem kije. Ale inni, niezaspokojeni w rządy bicia, popychają co najmniej stu innych i walą z bezgraniczną wściekłością w to miejsce, gdzie leży Forell. Większość ciosów nie trafia, dosięgając innych kolegów. Bijący nie widzą już zbyt dokładnie, gdzie mają uderzać, by trafić Forella. A ten, jeśli nie jest już martwy, to za kilka minut będzie zabity uderzeniami i zdeptany.

- Czyście poszaleli? - krzyczy ktoś.

- Tak! - odpowiadają mu.

Nieważne, kto to powiedział. Już nie wiedzą, co robią. Chcą tylko faceta zatłuc.

- W ogóle jeszcze nie pracował! Próżniaczył się w lazarecie! Ale ucieka! Łajdak! Wieprz! Czekaście, przepuście!

- Stać! - krzyczy Leibrecht. - Naprawdę zwariowaliście! Siwa głowa Leibrechta ogolona na zero - tak jak poznali go na Łubiance, zanim w transporcie włosy mu odrosły, odzyskując właściwą godność - wciska się między ryczących. Nie ma zwyczaju, by sprzeciwiać się Leibrechtowi. Oczywiście nie ma takiej siły fizycznej, żeby rozplatać pięściami ludzki kłęb, jednak respekt toruje mu przejście, gdy z drugiej strony padają jeszcze ciosy na nieprzytomnego.

Leibrecht schyla się. I wtedy dostaje cios pałkową gałęzią przez plecy. Z jękiem osuwa się na ziemię. W tej chwili robi się cicho. Znikają kije i pasy.

Danhorn, zręczący i skurczony, niecieszący się uznaniem, stoi na rozkraczonych nogach nad Forellem i Leibrechtem.

- Która świnia to zrobiła?

Wszyscy się cofają, ale gdy Danhorn jeszcze raz pyta, Leibrecht zataczając się, wstaje powoli. Gdy Leibrecht opuszkami palców lewej ręki chce przygłodzić zgolone do zera włosy na lewej skroni, na twarzach ludzi maluje się dziwny grymas przypominający niewyraźny uśmiech.

- Nie denerwuj się, Danhorn! To była pomyłka. Ale w ten sposób nie uderza się nawet takiego, który się wyrwał.

Jeszcze raz przygląda włosy w miejscu, gdzie już nic nie ma. - Ale jak mogliście być tacy głupi!

Czterech ludzi próbuje podnieść nieprzytomnego. Ponieważ przelatuje im przez ręce, trzeba z kijów zrobić prowizoryczny stelaż. Wreszcie ośmiu ludzi powoli niesie na czterech kijach sponiewierane ciało do sztolni. Już nie jest znienawidzony i obsypywany wyzwiskami.

Godzinę później przychodzi do kazamaty doktor Stauffer, któremu Rosjanie kazali zobaczyć, co ze skazanym na bieg przez różgi.

- Czegoś takiego się nie robi, Forell. Czy już tego panu nie mówiłem? Pan nie myśli rzeczowo. Dokładnie tak samo spontaniczny i niepohamowany jak brat. Schować się i zniknąć może pan w wielkim mieście w domu, może nawet na całe życie. Ale nie na Syberii. Jeśli miał pan inne zamiary, jeśli chce pan zostać tutaj pochowany, to co innego. O wiele ważniejsze jest pozostać zdrowym. To tutaj - odwrócił ciało - to paskudne uderzenie. Prawa nerka.

Jedynie stojący dookoła słyszą, co mówi lekarz. Forell jest nadal nieprzytomny, nawet po tym, jak Stauffer oczyścił rany z zakrzepłej krwi i założył kilka opatrunków. Tego wieczora znów jest pełnowartościowe jedzenie i znowu herbata jasna jak prymula. Ponownie odwołane są zarządzenia karne wobec ołowianej góry.

Dopiero następnego dnia Forell wraca do przytomności. Początkowo nic nie pamięta. Nie wie, gdzie jest, macając badawczo wokół siebie. Lampa słabo rozjaśnia kazamatę, a ponieważ okrągłe pomieszczenie nie ma kątów, wszędzie jest tak samo ciemno. Boli całe ciało. Dłonie macają posłanie: niemieckie plandeki namiotowe, spięte ze sobą po skosie, tworzą razem przykrycie na szorstkiej, szeleszczącej warstwie chrustu. Więc w tym czasie o tyle się poprawiło w tej skalnej dziurze. Ale dlaczego leżenie jest tak bolesne? Wie, że przywieziono go z powrotem na saniach z psim zaprzęgiem i nie dziwi go miejsce. Ale nie pamięta tego, co było na samym końcu. Ach! Chciałby odwrócić się na drugą stronę i nie może. W głowie huczy potwornie.

Kiedy dłoń ostrożnie obmacuje czaszkę, trafia na opatrunek. Forell powoli przypomina sobie ostatnie zdarzenia, blokowane dotąd przez szok i przerażenie. Przyjęli go biciem. A potem... Znów luka w pamięci i jakaś pustka, aż światło kawerny robi się czarne.

Jacyś ludzie pozbawieni siły uderzają cienkimi igłami albo kłują paznokciami.

Potem nadchodzą kroki wywołujące głucho echo. Gdyby Forell miał siły, podniósłby się, żeby zobaczyć, co to. Ale nie ma nawet w pełni woli życzyć sobie tego, co miałyby zrobić jego ciało. Te kroki są dziwnie nierytmiczne, jakby ktoś szedł przy zwisającej ścianie skalnej. Potem przy chodzą jeszcze raz, jeszcze raz i jeszcze raz. Forellowi zdaje się, że wychodzą z wnętrza góry.

Mija jakiś czas, którego nie da się zmierzyć. Chory drzemie lub śpi. Kiedy na chwilę się budzi, pojmuje tylko tyle, że wewnątrz góry wszystko ma swój bezsensowny bieg w kółko, a kroki ciągle wracają od strony, gdzie jest dzień.

- Szaleniec jeszcze się nie zbudził - mówi ktoś, szurając nogami.

- Chciałbym być taki szalony jak on - mruczy drugi.

W półgodzinnej przerwie obiadowej, gdy stu osiemdziesięciu ludzi przychodzi do kazamaty, Forell znów leży bez przytomności. Zdaje mu się wprawdzie, że się zbudził i że przywiązanego opuszczają go gdzieś w mamrotanie i wrzaski jak w studnię. Potem nagle wyciągają w górę, przez sufit z czarnej skały i przez biało kipiące chmury, w miejsce, gdzie gromadzi się świętość.

- Teraz jeszcze zrywa sobie opatrunek! - mówi ktoś wprost w chmury.

- Więc przytrzymaj mu rękę! - odpowiada inny głos. Forell siedzi na wpół wyprostowany i trzymając kawałek opatrunku w rękę, mówi histerycznie głośno:

- Nigdy nie sądziłem, że uderzenie w chmurę może tak boleć. Wielu się śmieje, a Forell wstydzi się, nie wiedząc z jakiego powodu. Śmiech innych drażni go.

- Co z tobą?

- A! To ty, Leibrecht?

- Zdrowiej!

- Powiedz no, to wasza robota?

- Musisz jeść. Wyfasowaliśmy dla ciebie.

- Dobra. Choć nie musicie za mnie fasować. Sam pójde. Potem znów zapada w zamyślenie.

- Oczywiście, że mnie pobiliście. Co to ma być? Najpierw mnie bijecie, a teraz przynosicie mi jedzenie?

- Pogadamy o tym później.

Gwizdek hałasuje tak nieznośnie, że Forell musi zamknąć oczy. Dźwięk wywołuje straszliwy ból w skroniach.

- Robota idzie dalej.

Ktoś przechodząc obok, rzuca Forellowi kawałek chleba. Potem wszyscy są na zewnątrz i przez całe popołudnie Forell widzi to, co przed porą obiadową wyłowił uszami. Mężczyźni wychodzą parami z roboczej sztolni, trzymając między sobą wiklinowy kosz. Idą na ukośnie rozstawionych stopach przez obszerne piwniczne pomieszczenia, znikając po drugiej stronie. Kosze muszą być bardzo ciężkie, inaczej niosący nie stawialiby tak stóp. Forell żuje chleb leniwymi, bolącymi szczękami, tylko po to, by coś robić, żeby z chlebem

przeżuwać czas i wstyd, który czuje w momencie, gdy koledzy wychodzą z pełnymi koszami, a potem wracają. Wszyscy są tak zajęci, że nie spoglądają ku mężczyźnie na legowisku.

Pobili go. Nawet jeśli stało się to za pomocą pałek, żelaznych prętów i rzemiennych pasów - wychłostali go. Danhorn też tam był. Pewnie. Boże, tak to pasuje do niego, człowieka, który najchętniej sam by się sprął, żeby mieć nowy powód do niezadowolenia. Alfons Mattern? Forell go nie widział, ale dowie się, czy brał udział w linczu. Student Willi Bauknecht. Leibrecht ze śnieżnobiałą ogoloną głową. Tego widział z całą pewnością z kawałkiem listwy w dłoni. Ten ze szpiczastym nosem, który potrafi wywracać oczami jak śpiąca kura, bił drucianą liną. Forell widział go dość daleko z przodu w lewym szeregu.

- Ty! Chodź no tu!

Ostronosy ogląda się niepewnie na bok.

- Muszę wracać z koszem. Jesteśmy w parze.

- Ten drugi spokojnie też może tu przyjść.

- Nie można, naprawdę - lamentuje ostronosy i jak zmuszany zakłębieniem podchodzi wolno, ciągnąc za sobą kosz i tego drugiego.

- Wiesz, że zaraz musimy być w środku. Jak się czujesz?

- Tak właśnie jak człowiek, który pobity został do nieprzytomności przez kolegę takiego jak ty - z bólem w głosie mówi Forell. - Odwalić robotę kata za Rosjan! Elegancy panowie. Wyjątkowo dobrzy koledzy. Rosjanin Wasilij nigdy mnie nie uderzył.

- To było tak... - ostronosy chce się tłumaczyć.

Forell czuje klucie po prawej stronie piersi, wpada jednak tamtemu w słowo, wyrzucając potok pytań i pretensji:

- Jak się nazywasz? Gdzie już byliśmy razem? Skąd mnie znasz? Czy dałem ci powód walić we mnie? Ty pewnie jeszcze nigdy nie pomyślałeś o ucieczce, ty głupku, prostaku. To przecież ty waliłeś kawałkiem drucianej liny!? Tak czy nie? Możesz spokojnie mówić. Nie wstanę, by się z tobą porachować. Chcę tylko znać twoje nazwisko, na potem. Jeśli mi nie powiesz, zapamiętam twoją twarz.

Ten z nosem podchodzi tak blisko, że Forell mógłby go przewrócić, chwytając za nogę.

- Nazywam się Portschach, Simon Portschach. Możesz mnie w każdej chwili odnaleźć, kiedy znów będziesz zdrowy. To nie było właściwe, że tak przywaliłem, jeszcze do tego drucianą liną. Teraz tego żałuję.

- Jak to teraz? - Forell jest zdziwiony.

- Teraz znów dostajemy żarcie.

- Odkąd znów tu jestem?
- Odkąd cię przepuściliśmy między sobą.
- Więc z powodu jedzenia tak się zachowaliście?

- Od dnia, kiedy znów cię mieli, przestawili nas na zupę, przy takiej samej pracy. Poznasz tę pracę i sam spróbujesz, czy można ją wykonywać o łyżce zupy na dzień. Zupa była raz dziennie, ale dwa razy dziennie politinstructor opowiadał nam, dlaczego jest tylko zupa - bo ty zwiąłeś. Właściwie nie. Było tak, bo cię znów złapali.

Ten Simon Portschach nie jest taki głupi, żeby nie umieć odróżnić skutku od przyczyny.

- Kto was uzbroił w narzędzia do bicia? - chce wiedzieć Forell. - Przecież w sztolni nie ma tego wszystkiego.

- Daj sobie coś powiedzieć, Forell. Ty się dotąd pięknie wymigiwałeś. Miałeś rację. Tyfus czy nie tyfus - na górze jest lepiej. To że jest lepiej, też już dawno odkryliśmy. Ale na górę wyprowadzali nas co osiem lub czternaście dni na jedną tylko godzinę. To niedużo. Jednak odkąd wiedzieli, że zostałeś schwytany, a nas przestawili na zupę, wycieczka odbyła się pięć razy. Raz na cztery czy pięć dni. A te rzeczy do bicia leżały sobie dookoła. Co tam potrzeba. Wcześniej zawsze widziałem tylko śnieg, lód i kamień.

- Wkładali wam te przedmioty do ręki? - Nie.

- Ale doradzili wam zrobić mi ścieżkę zdrowia?

- To też nie. Rosjanie nic nie powiedzieli. Gadanina o biegu przez różgi pojawiła się u naszych ludzi. Tak. Całkiem dziwaczne. Głodni byliśmy do zdechnięcia. To wystawanie na górze dopiero wzmagало głód. Forell, człowieku, naprawdę nigdy nie chciałem cię bić. Całkiem o tym nie myślałem. Naraz jednak pomyślałem. To tak powoli narastało, bo w drugim tygodniu, potem jak cię schwytali, ten czy ów miał tu na dole kij. Do zwariowania mówiono, że trzeba ci dobrze odpłacić, skoro jesteś winien temu, że nam się z głodu żołądki wywracają na drugą stronę. Nikt do nas słowa nie powiedział, że mamy tak z tobą zrobić. Ale sam widzisz, odtąd znów jest porządne jedzenie, nawet bardzo porządne.

- Zrobiliście swoje ku ich zadowoleniu. Widać to po jedzeniu. Masz rację.

- Teraz się wstydzę. Inni też się wstydzą. Wiesz, gdyby Rosjanie nam powiedzieli, że mamy cię pobić, nie wstydziłbym się tak. Wymyśliliśmy to sami. Nie wiem tylko, kto był pierwszy. A potrzebne narzędzia znaleźliśmy. Na górze. Leżały dookoła.

Wcześniej nic nie leżało. Kiedy się tak zastanowię, to muszę powiedzieć, że jesteśmy głupie kundły.

- Ty, jak mi się zdaje, w szczególności.

- Tak, tak. Ale czas był wredny. Ten głód i ta wściekłość na ciebie, która wraz z głodem stawała się coraz większa. Mógłbym zabić cię sam jeden, bo nawiałeś. A jeszcze bardziej dlatego, że dałeś się znów schwytać.

- Zjeżdżaj!

Portschach, który w czasie rozmowy nie wypuścił z ręki uchwytu kosza, żeby w razie czego uskoczyć, pospiesznie odciąga swego współnika od kosza w głąb ciemnej dziury sztolni.

- Dzięki twej gadatliwości, ty prostaku, dowiedziałem się przynajmniej - mamrocze Forell - że największym grzechem nie jest uciec, lecz dać się na nowo schwytać.

Portschach jest tak gadatliwy, że jeszcze raz wraca i wsuwając głowę do kawerny, wyrzuca z siebie:

- Nie wszyscy byli takimi idiotami jak ja. Danhorn przykładowo. Nie lubi ciebie, jak powiedział, ale znowy nie lubi jeszcze bardziej. I Leibrecht. Powiedział, że jesteście świnię. Miał rację.

Na miejscu, gdzie jakiś czas daremnie czekano na Portschacha i jego kompana od kosza, mężczyźni witają ich wyzwiskami. Przerwali na kwadrans pracę, bo Portschach wymówił się tym, że zatrzymał go Forell. Teraz tłumaczy, że przy okazji opowiedział mu o całym zdarzeniu.

- Akurat ty!

- Tak, akurat ja.

- Ty jako dyplomata! Pomyśleć tylko - facet, który jest tak głupi, że mógłby łbem rozbijać skałę bez najmniejszego skaleczenia.

Portschach uśmiecha się przebiegle, biorąc napelniony kosz.

- Robiłem z siebie głupka.

- A bo ci to z trudem przychodzi!

- Robiłem z siebie głupka i opowiedziałem wszystko tak, jak było.

- No i?

- Człowiek rozumny musi to zrozumieć. A Forell jest całkiem rozsądny, kiedy nie dostaje od czasu do czasu bzika i chce biec do domu przez Wiedeń i Salzburg.

Długonosy Portschach przetaił drogę do swego rodzaju pokoju. Odtąd rozmowy z Forellem przebiegają prawie normalnie. Winni zajęcia w męski sposób wyrażają przeprosiny, troszcząc się o niego, bez wielkiego szumu, nakładając mu opatrunki, szmuglując w jego chochli zupy samotny zbłąkany kawałek słoniny, czy podtrzymując, gdy jest prowadzony w górę sztolni.

Mniej delikatnie sprawę załatwia rosyjski strażnik. Zdaje mu się, że istnieją normy czasowe dla powrotu do zdrowia pobitego do nieprzytomności człowieka. Piątego dnia strażnik uznaje, że Forell może pójść ze wszystkimi do pracy. Co będzie robił na miejscu, jest mu obojętne. Tam nikt nie nadzoruje. Wyniki pracy w pierwszych dniach nie mogą być jednak szczególnie imponujące, bo Forell z trudem utrzymuje się na nogach.

Kopalnie, o których opowiada Hiob, by ukazać, jak niewiele w porównaniu z mądrością ważą wszystkie ukryte w nich skarby, są dziś pewnie znacznie nowocześniejsze niż ta na Przylądku Dieżniewa. Skazani na dożywotnie wygnanie jakiś czas temu nawiercili górę i poprowadzili sztolnie pod kopułą skalną. Kiedy? Nie sposób ocenić, prawdopodobnie całkiem niedawno. Zapewne tak samo jak Forellowi, wetknięto im kilofy do rąk i kazano zacząć wydobywanie. W gniazdo kilofa wetknięto kawałek surowego drewna jako stylisko, a rosyjscy skazańcy dziwili się tak samo jak teraz niemieccy jeńcy, że od ich dłoni wymaga się pracy nieobrobionym kawałkiem drewna, którego nikt nawet nie próbował pozbawić krawędzi.

O piątej rano grupy robocze idą na miejsce. Mężczyźni w oddziałach znają tego, który niesie lampę, a także właściwy kierunek. W płataninie sztolni nie jest to łatwe. Szesnastu pracuje jako tragarze. Biorą swe kosze parami. Czterech ma za zadanie odbierać rudonośne kamienie. Ich szufle skonstruowane zostały przez sabotażystów. Resztę grupy stanowią ci z kilofami, którym polecono wykuwać sztolnię dalej w tym samym kierunku, w jakim ją wytyczono, na dwa metry wysoko i niecałe dwa metry szeroko. Nie ma za wiele miejsca, żeby mocno się zamachnąć kilofem, kiedy pracuje cała drużyna. Kiedyś kilofy były z pewnością zastrzone. Praca w skale je stępiała.

Forell ze zdziwieniem patrzy na instrument, jaki mu wciśnięto do ręki. Wymaga się od niego, żeby tym rozbijał skałę. Widzi, że inni radzą sobie ze ścianą z pewnym skutkiem. Na ile pozwala mu ból, próbuje i on. Nie jest mazgajem. Ale po pierwszym uderzeniu narzędzie wypada mu z dłoni. Od jednego jedyne uderzenia ręce odbite ma po łokcie.

- Jak tak będziesz robił, do południa całe dłonie pokryją ci się krwawymi pęcherzami - mówi ktoś obok niego.

- To wina tego kanciastego styliska.

- Wieczorem będziesz miał czas, żeby je nieco wyczyścić.

- Czym? Jest hebel albo nóż snycerski?

- Gdzie indziej na świecie tak.

- Mam drewno obgryzać zębami?

- To nie takie całkiem głupie pytanie, jak myślisz. Mamy tu ludzi, którzy rzeczywiście próbowali zębami. Ale są odłamki skały o ostrych krawędziach, a bywają nawet kawałki szkła.

Odwracając się do pary tragarzy czekających właśnie na załadowanie urobku, mówi:

- Lorenz, ty masz jako takie układy z Rosjaninem. Postaraj się, może dadzą nam pustą butelkę! Denkiem butelki z grubego szkła, jeśli uda się pęknięcie, można obrobić dziesięć stylisk od kilofów. Szkło i cierpliwość poradzą sobie ze wszystkim. Dlaczego taki pośpiech?

- A jeśli nie wyrobimy normy, zanim moje narzędzie nadawać się będzie do użytku?

- Zapamiętaj sobie, Forell. Tu jest raj. Tu nie ma norm. Gdy zostaniesz kiedyś tragarzem, ale po twojej próbie ucieczki możesz na to długo czekać, zobaczysz, że Rosjanie dokładnie zapisują każdy wyniesiony pełny kosz, bo personel nadzorujący codziennie musi meldować ich liczbę z urobkiem. Ale jeszcze nigdy, kiedy dzień był kiepski, nie nałożono kary odrobienia brakującego urobku. Jak to możliwe, że system norm nie dotarł do tego przyładka, pozostanie niezrozumiałe na wieki. Po prostu z Moskwy droga tu daleka. Zresztą sukces jest oczywisty - więźniowie pracują, jakby dostawali jeden osiemdziesiąt za godzinę. Pilnie, ze stopniowo wypracowaną zręcznością, z najlepszą wolą i tak płynnie, że tam na zewnątrz mają sporo roboty z odbieraniem urobku. Jesteś jeszcze niemowlakiem i ze ściany przez cały dzień nie zbierzesz nawet kosza kamieni. Za to wieczorem będziesz miał dłonie pełne krwawych pęcherzy.

Mężczyzna obok bez szczególnie mocnych uderzeń obluzowuje kawał skały, który przewraca się leniwie i upada na rumowisko.

- Już wczoraj go odkuliśmy. Teraz jest gotowe. To lekko licząc, czterysta kilo. Zaoszczędziliśmy całą robotę wykuwania kawałeczków ze ściany. Ale możesz się chwilkę tym pobawić. Hop! Zaczynamy!

W południe kawał skały ciągle nie jest rozkruszony tak, by wszystko można zebrać do koszy, ale Forell już liże sobie dłonie jak pies, bo pękają pierwsze pęcherze z krwią. Ręce ma wysoko po ramiona bez czucia. Jedynie swędzenie w poobijanych kończynach zmniejsza ból i powoduje, że przy jedzeniu menażka wypada między palcami, które pozornie trzymają całkiem mocno.

Ten, którego nazywają Lorenzem, mrugając okiem, przynosi butelkę po wódce. W sąsiedniej sztolni próbuje ją tak rozbić, żeby nie było żadnych nieprzydatnych odłamków. I z butelki powstaje kilka wspaniale ostrych kawałków.

- Tak się to robi! - objaśnia Portschach technikę precyzyjnego odcinania drewna.

Kiedy zaczyna zaokrąglać kanty styliska kilofa, wywraca oczami jak śpiąca kura. Forell z trudem utrzymuje w zeszywniałych palcach kawałek szkła. Ma jednak dostateczną zręczność, by jakoś radzić sobie z tą czynnością, a na koniec koledzy, którzy jeszcze przed pięcioma dniami niehumanitarnie go pobili, pomagają mu i nadają stylisku odpowiednią formę. Forell sprawdza, czy palce dobrze się wokół niego zamykają i tego wieczoru po raz pierwszy w skalnej jaskini cieszy się swoją przyszłością, chociaż to bardzo skromna radość.

Forell rozgarnia pod spiętymi plandekami chrust, z którego od dawna opadają igły. Na samym spodzie chowa kawałek denka butelki, który może się przydać w przypadku złamania styliska. Pierwsza rzecz z majątku wygnańca jest troskliwie chroniona. Jeszcze nie potrafi z pokorą przyjmować swojego losu, ale przypadł mu pierwszy podarunek, taka drobna ulga w mozole. Termometr życia jest znacznie poniżej zera. Czerwonej kreski ponad znakiem plus nigdy nie zdoła przekroczyć. Wszelki trud może służyć jedynie ulżeniu w wysiłku, wszelkie utrapienie może być mniejsze tylko dzięki pomysłowości. Od obrzydliwości należy się na tyle chronić, by przy pewnym szczęściu była trochę mniej obrzydliwa. Clemens Forell znalazł się wraz z setkami kolegów w szeregu wynalazców. Uprawiają zagmatwaną grę ze znakami plus i minus aż do osiągnięcia mistrzostwa.

To cudowny obyczaj rozpoczynać dzień o piątej rano. Pozwolić mu trwać dwanaście godzin, z półgodziną przerwą obiadową, choć nie oznacza to nic więcej, tylko cofnięcie się o jakieś sześćdziesiąt lat. Gdyby zakończeniem drogi pokonywanej przez rudę nie był dzień, który prymitywnie przerabia wywleczony rumosz, równie sensowne byłoby kazać zaczynać dzień o piątej wieczorem. Dla zamkniętych wewnątrz zawsze jest noc.

Upiornie jest, kiedy noc musi wystarczyć za namiastkę wszelkich innych stanów, kiedy w godzinie budzenia wszędzie w całej górze ludzie, którzy nie mają nawet okazji, by się spotkać, oddzieleni skałą, idą na miejsce w tym samym czasie, kiedy z kazamat ośmiu głównych kopalń zbudzeni dzielą się na grupy i wchodzi do swych sztolni, niosąc lampki oliwne, które nawet nie przypominają tradycyjnych lampek górniczych. Czasami - bo akustyka zdaje się być zależna od nieobliczalnych okoliczności - kują już gdzieś daleko w ołowianej górze, zanim własna grupa przyłoży kilof. To zdarza się rzadko. Potem jeden uderza, żeby niosło się jeszcze dalej, tylną stroną w skałę. Tamci powinni wiedzieć, że tutaj też jeszcze jest życie. Raczej nie odbierają pozdrowienia kilofem.

Gdzie grubo wylupany sufit zastępuje niebo, czasami ludzi ogarnia upiorny strach. Nocą ktoś rękami maca w ciemności i krzyczy: „Zapalcie światło! Duszę się”.

Forell musi się nauczyć obchodzić z utraconym niebem. Od czasu, gdy pod plandeką położył denko butelki z ostro tnącymi krawędziami, do pracy nie chodzi już w strachu. Odkąd

nauczył się odnajdywać miejsca, w których kamienie łatwiej poddają się uderzeniom tempo zaokrąglonego kilofa, poranione ręce goją się. Uczy się dzielenia własnych sił do pracy, tak by o trzeciej nie być wyczerpanym. Strach ogarnia go przy opuszczaniu sztolni. To strach przed nocą. Spanie przychodzi mu jeszcze z trudnością. Jeśli strażnik jest w dobrym i ludzkim humorze, na godzinę otwiera z przodu drzwi umieszczone w otworze wyjściowym sztolni. Wtedy po mniej więcej dziesięciu minutach dociera do wewnątrz świeże powietrze. Wygnani pod krąg polarny są głęboko wdzięczni za ten chłód, który wiatr wpędza przez otwarte drzwi. Zapylone płuca oddychają głęboko, gdy dostępują tej łaski. Jeśli żołnierz ma bóle pleców albo jest zły, drzwi pozostają zamknięte. Po symbolicznym wietrzeniu dzień nie ma już nic do zaoferowania. Herbata jest jasna, prawie zawsze całkiem gorzka, doprawiona cienkim osadem pyłu kładącym się na niej jak kozuch. Po herbacie, pitej małymi łykami, bo trzeba oszczędzać na noc, przychodzi gaszenie lampy. Jeszcze przez chwilę słychać pomrukiwania. Rozmowa zawisa przy znakach minus, które dają się przekłamać w plusy, o ile umysł jednego czy drugiego pozostał dostatecznie dziecinny, by odliczyć odrobiony czas od nałożonych dwudziestu pięciu lat. Codziennie tragarze od koszy donoszą o przejawach trwającej właśnie pory roku. Czasem przynoszą nawet dokładną datę. Dzisiaj jest czwarty kwietnia.

- Którego roku?

- Czterdziestego siódmego.

- Nonsens. Już dawno musimy mieć czterdziesty ósmy.

- Swoją drogą słusznie.

- Forell, jesteś tu od niedawna. Jaki mamy rok? Przecież nie dopiero czterdziesty siódmy.

- A który!?

- Z tobą też tylko utrapienie.

- Umiecie się za nie odpowiednio zrewanżować. Rozmowa, tak tylko mamrotana, może ciągnąć się godzinami.

Ale w końcu trzeba spać. A przed zaśnięciem Forell odczuwa lęk, którego inni już się pozbyli. Myszy skrobią drobnymi zębami. Uprawiają, jak się zdaje, nieustanną grę w piłkę skórką chleba. Zabawa jeszcze się nie kończy, gdy śpiący znów się budzi. Myszy i dysonans męskiego chrapania. Forell sięga w przestrzeń ponad sobą, by ją zmierzyć, czy wystarczy powietrza, żeby się wszyscy nie podusili. To, co uważa za „góre”, jest tylko bokiem jaskini od strony głowy. Nagle traci orientację. Jak podróżny siedzący w pociągu tyłem do kierunku jazdy, gdy naraz nie umie sobie na odwrót wyobrazić rzeczy znanych od dawna w krajobrazie. Traci poczucie kierunków. Wstaje i uderza w ścianę, bo zamieniły się strony

wokół niego. Zaczyna brakować powietrza. W półśnie chce wybiec z jaskini i uderza w skałę. Nasycona czerń zwisa poniżej szeroko rozwartych powiek. Robi to, co robili wszyscy w pierwszym okresie - krzyczy. Gwałtownie i niepohamowanie.

- Gorączka jaskiniowa! - burczy któryś.

- Połóż się, Chowchow! Nic nie pomoże.

Forell wstydzi się, że tak krzyczy. Ale przecież ryczy w nim nie strach przed ciemnością, lecz dławienie z powodu braku powietrza. Już go nie starcza. Czuje zupełnie wyraźnie, że się udusi.

Nagle leniwie rozpala się od krzesiwa z lontem lampa olejowa. Mizerne światełko, ale ma ten skutek, że zaciśnięta krtka znów łapie powietrze.

- Zgaś światło, łajdaku i daj nam spać!

- Nie. Ma się palić przez chwilę!

- Dziękuję ci.

- Nie ma za co.

Łajdakiem zwymyślanym za to, że zapalił światło, jest Alfons Mattern. Drugim, który aż dotąd zachował uprzejmość, jest Leibrecht. Łajdak znów się kładzie na swoje miejsce. Leibrecht udziela rady, jak można wyłączyć strach za pomocą własnej logiki.

- Połóż się teraz spokojnie i spróbuj oddychać zupełnie równomiernie! Kiedy uznasz, że jest już dobrze, to mi powiesz. Wtedy zgaszę lampę. A ty musisz sobie zapamiętać, gdzie ona wisi. Jeśli potem znów się pogubisz, w miejscu, w którym znajduje się lampa, będziesz miał punkt odniesienia. W razie potrzeby może się na tym zawiesić twoje wycucie przestrzeni. Oddychaj powoli! Uparcie wyliczaj: tam jest lampa, nawet jeśli się nie pali. Tutaj jesteś. Jaskinia ma pośrodku ponad dwa metry wysokości. Nie można się udusić. Nie można. Nie można.

Jeszcze przez kilka nocy Forella nawiedza uczucie strachu. Wymyślają mu, kiedy zakłóca spokój, jednak następnego dnia nikt nie wspomina o zdarzeniu. Kiedy mija kolejny tydzień, myszy grają w piłkę chlebem, lecz on się nie budzi. Pozbył się strasznego wyobrażenia, że pokrywą kamiennego sarkofagu ma nad sobą na wyciągnięcie ręki.

Sny na jawie są już prostsze, a na twarzy śpiącego kładzie się kurczowy uśmiezek złośliwego zadowolenia, ponieważ w nocy śni mu się dzienna praca kilofem. Ze ściany czołowej sztolni wyrąbuje kamień, wałąc i tłukąc, aż góra zostaje przerąbana w poprzek. Po drugiej stronie ludzie się dziwią, że z góry ktoś wychodzi i tłumaczą mu, że jest wolny, że dotarł ostatecznie na drugą stronę Ziemi. Śni mu się to uparcie dalej, nawet gdy leży obudzony. Znajduje w tym spokój. Już nigdy więcej nie będzie musiał wrzeszczeć w nocy.

Inni też walili tutaj młotami i rozbijali skałę. Nikt nie wie, dokąd poszli ci, którzy zaczęli drążyć górę. Być może przez nią przeszli.

Rozluźniony strażnik z pistoletem maszynowym na stole siedzi na stołku w małej kawernie. Jeśli późną godziną więzień nadchodzi przez sztolnię łączącą, wtedy wstaje i idzie do przodu, aż tam, gdzie dociera odczuwalnie już zimno, a boczna sztolnia służy swoim celom. Rzecz jest prosta jak drut. Strażnik zagradza wyjście. Kiedy człowiek wraca, idzie za nim i znów siada na swym stołku. Jak korek w szyjce butelki. Butelka jest zawsze zamknięta. Nigdy nic się nie zmienia w położeniu i gładkim funkcjonowaniu korka od butelki. Inna jest twarz o dziewiątej rano, a inna o pierwszej w południe.

W czasie pracy korek wysunięty jest aż do samego końca, bo tragarze z koszami wychodzą na zewnątrz ze wszystkich miejsc pracy. Noszący wysypują zawartość swych koszy, patrzą w niebo i wracają w ciemność. Jeśli ich spytać, jak tam na zewnątrz, potrafią powiedzieć jedynie, że zimno.

Kiedy Forell jest już trzy tygodnie wewnątrz góry, pewnego popołudnia pracę przerywają o godzinę wcześniej. Ze wszystkich sztolni więźniowie wracają do kazamaty. Rosjanin mówi coś i macha dobrodusznie ręką. Wszyscy mają iść za nim. Stu osiemdziesięciu ludzi rusza za pistoletem maszynowym.

- Już dawno była na to pora, ale od tej historii z Chowchow zarządzili totalny szlaban na urlopy.

Forell słyszy na własne uszy, że nadal robi się go odpowiedzialnym za wszystko, co nieudane. Ale też, że nazywają go chowchow. Zręczliwy humor uładza wszystkie sprawy po koleżeńsku, a wraz z widokami na godzinę pod gołym niebem nieporozumienia rozmywają się w lekkim grymasie uśmiezków. Sprawy znów mają swój zwyczajny obrót. Ta zwykła kolej rzeczy prowadzi raz na tydzień lub raz na dwa tygodnie na dwór, zależnie od kaprysu zwierzchności.

Pokazując palcem w kalendarzu, tę porę roku nazywa się w Niemczech wiosną. Na przyłasku stopy wchodzą w brudny śnieg. Niebo wewnątrz góry opuściło się na parę metrów, a na dworzu na pięćdziesiąt. Skazani słyszą jedynie szczekanie własnych zębów. Kłujący ostro wiatr z jękiem przelatuje obok góry wypluwającej ze swych szybów skulonych mężczyzn.

Ci ludzie mają niewiele fantazji: ten na przedzie spotyka dzień, krzyżując obie ręce na piersiach i pochylając głowę jak do ataku. Następny za nim naśladuje go. Każdy kolejny powtarza to samo. Rosjanie machają rękami: „Dawaj! Dawaj!”. Na miejscu, wewnątrz, nikt

nie popędza, nikt nie nakazuje pośpiechu. Właściwie w dusznej kazamacie - ale zuchwałością byłoby wypowiedzieć tę myśl - jest piękniej niż pod takim niebem.

Liczba pilnujących wydaje się niewielka i jeszcze niedbale pracują. Być może cały teren jest obstawiony, by wyłapać ewentualnego szaleńca, któremu przyszłoby na myśl pomylić wolne powietrze z wolnością. Ale kto w ogóle wpadłby na taki pomysł przy wietrze wyciskającym łzy z oczu i pozbawiającym widzenia? Więźniowie stoją razem, bo w ten sposób zasłaniają się nawzajem od wiatru. Przebierają nogami, oklepują się rękoma, wciągają głowy w kołnierze kurtek, zgrzytają zębami. Po kilku minutach głośno wrywa im się życzenie, by znów znaleźć się w środku góry, w ciepłe. W pobliżu stoją ludzie z sąsiedniego szybu i też wiszą na sobie jak winogrona. Załoga kolejnego szybu robi ćwiczenia gimnastyczne, dość niechętnie, ale jest popędzana przez obdarzonego donośnym głosem prowadzącego. W mglistym powietrzu można dostrzec co najwyżej dwa sąsiednie szyby. Na pewno wszyscy są w komplecie, bo nikt nie pozwoli, by umknęło mu święto wyjścia na powierzchnię. Po kilku pierwszych haustach powietrza, oznaczających mozolną pracę dla płuc, jeńcy zezują w kierunku otworu w skale i w kierunku Rosjan, którzy mogą przynieść wybawienie, pozwalając więźniom znów zniknąć w szybach.

Dobrze licząc, mija pół godziny od początku urlopu. Więźniom wydaje się to oczywiście wielogodzinną męką. Nadchodzi znak zbiórki. Najpiękniejszy gest litości. W pośpiechu, skuleni jak biegnący „ścieżką zdrowia”, pędzą do ciemnego otworu. Aby tylko daleko od wiatru i ziąbu, od wiszącego w powietrzu mętnego zamglenia!

- Paszo!

Strażnik uderza swym rozkołysanym pistoletem maszynowym w zgięte plecy więźnia, który przykucnął w śniegu obok głównego wejścia i rozpostarłszy plandekę, pospiesznie zagarnia na nią śnieg.

- Natychmiast. Już zaraz jestem gotowy. I proszę o wybaczenie. Ale Rosjaninowi nie podoba się stanie na wietrze z powodu jednego więźnia. Pociąga mocno nosem i zaczyna szybciej machać pistoletem. Mężczyzna pospiesznie chwyta za cztery końce plandeki i ucieka w kierunku wejścia, prosząc Rosjanina jeszcze raz o wybaczenie.

- Dziękuję! - mówi, kiedy szerokie drzwi zamykają się za strażnikiem i za nim.

Rosjanin kiwa głową. Zna już tego, który za każdym razem w ostatniej chwili przed powrotem rozkłada swoją płachtę i zabiera śnieg do jaskini, ile się go tylko zmieści.

Leibrecht nie lubi kolegów pouczać czy im rozkazywać. Węzełek ze śniegiem odstawia na końcu sztolni i gdy wszyscy próbują przywyknąć do dusznego powietrza kazamaty, rozbiera się. Zaczyna nacierać się śniegiem od góry do dołu. Naciera twarz, jakby

miał pieniące się mydło, a spływający strumykami wzdłuż ciała brud zmywa świeżym śniegiem.

- Może jeszcze porcję śniegu?

- Brrr!

- A wiecie, jak to rozgrzewa? I czyści? Nikt nie chce spróbować.

- Alfons! - Mattern kręci głową.

- Nie chcesz?

- Wolałbym nie.

Brzmi to obojętnie i twardo.

- No, gdyby twoja matka cię tak zobaczyła, chłopak cały czarny od góry do dołu!

Tym razem głos Leibrechta robi się rozkazujący.

- To przynajmniej umyj łapska, chłopie! Wiesz, gdzie jesteśmy? Wiesz, co robimy? Masz pojęcie, co to jest zatrucie łożowem? Kiedyś będziemy je wszyscy mieli. Ale nie po niecałym kwartale.

Alfons Mattern podchodzi, ściąga koszulę i spodnie. Leibrecht pokazuje mu wyłamane dno kosza z wikliny, na którym można stanąć podczas mycia, żeby potem mieć czyste stopy. Gdzie indziej nazywają to matą kąpielową, tylko jest to wtedy ładniejsze. Jeszcze nagi Mattern dziękuje zakłopotanym skinieniem głowy za ten przymus.

Woda wsiąka w kamienie. Potem Leibrecht chowa okrągły kawałek wierzbowej plecionki, radząc innym, by w przyszłości zbierali wyłamane denka koszy. Przykłada dłoń do lewej skroni, gdzie wśród śnieżnobiałej szczeciny odznacza się już niewielki kosmyk. Poruszony przez niego temat rodzi niepokój. Nie po raz pierwszy mówi o zatruciu łożowem. Dzisiejsza wieczorna rozmowa na nowo rozbudza obawę o życie. Wszystkich straszy ta zmora, gdy pomyślą, że wszędzie dookoła, nawet w nocy, ocierają się o blask łożowiu. To, co ich otacza w jaskini, w której mieszkają i śpią, to nie jałowa skała. W sztolni obok zdarzyło się, że przez tydzień wydobywano jedynie jałową skałę i Rosjanie kazali zacząć sztolnię poprzeczną. Kiedy celinni drążyli tunele, Rosjanie kazali wykopywać wielkie kawerny mieszkalne tylko tam, gdzie pozyskanie pomieszczenia oznaczało równocześnie wydobywanie rudy. Ucząc się swej mozolnej pracy, jeńcy niebawem dowiedzieli się, co jest pożądane z materiału wydobywanego ich tępych kilofami. Wiedzą, że śpią i żyją w przebitej żyłce rudy, dotykając łożowiu, gdy wieszają swe woreczki z chlebem na ścianach skalnych. Znają jałową skałę, którą także muszą wynosić na zewnątrz, i rozpoznają głucho uderzenie, gdy czubek kilofa wyczuwa ustępowanie materiału. Na górnictwie nikt nie zna się ani krzyty. Czasami, ponieważ ruda nie ma zwykłej miękkości łożowiu, wmawiają sobie, że ich praca

poświęcona jest innym metalom. Przyjmują to wbrew własnemu przekonaniu, nie chcąc myśleć, że na pewno i bezsprzecznie umrą z powodu ołowiu, zanim choć jeden z nich odpracuje dwadzieścia pięć lat i opuści górę.

Leibrecht, który coś tam słyszał o zatruciu ołowiem, sprawdza, czy zęby nie zaczynają robić się luźne. Żaden z kolegów nie wie, jak wielkie jest jego przerażenie chorobą. Leibrecht ma postawę wielkiego pana, a gdy jego chory żołądek nie może znieść prostych posiłków, dzieli się swojaporcją z nienasyconymi „dzieciakami” - studentem Willim Bauknechtem i dziesięcioletnim już Alfonsem Matternem. Nie wie, czy robi to z powodu bólu czy z litości. Czasem sądzi, że jego zęby stają się luźniejsze, a dziąsła mają nieczuły ołowiany nalot, ale zachowuje to dla siebie.

Jego manią jest czystość, prymitywna oczywiście, taka, jaką udaje się utrzymać na terenie bez wody. Rosjanie mu nie przeszkadzają, kiedy wlecze śnieg do kazamaty. Wiedzą, do czego go używa. Są cierpliwi, kiedy stopniowo robi się coraz więcej zbieraczy śniegu, bo Leibrecht wywiera nacisk na innych, by większą wagę przykładali do czystości i dbali o ciało.

Niemal równocześnie trzech ludzi schyla się nad zieloną plamką na śniegu.

Gdzieś koło południa Rosjanie zarządzają przerwę w pracy i pozwalają więźniom na urlop na świeżym powietrzu. Garbata wyżyna pełna jest szarych postaci. Więźniowie chodzą w grupkach, zachowując stu, dwustu, a może trzystumetrową odległość od wejścia do sztolni. Oglądają teren bez szczególnego zainteresowania. Czują się tak, jakby byli w domu w dzień listopadowy, nie za ciepły, ale jeszcze nie zimny, oczekując, aż wyjrzy słońce.

- Cóż to ma być? - pyta Lorenz, pochylając się nisko nad zieloną plamką w lodowym zagłębieniu.

- Mech - Forell dotyka palcami mizernego porostu. - Wybryk natury. W krajobrazie bez życia tak sensacyjny jak olbrzymie drzewo na stepie.

Simon Portsach ma dłonie jak niedźwiedź i tak niedelikatnie obchodzi się z biedniutką drobiną, że zieleń z jednej strony oddziela się od podłoża.

- Trzymaj że łapy z daleka!

- Chciałem tylko zobaczyć, z czego żyje ta malizna.

- My też żyjemy.

- Teraz uważaj, Forell. Jak mech może rosnać na lodzie? Ze wszystkich stron tylko lód, pod spodem lód, który jest może gruby na parę metrów, żadnego humusu, nawet nie ma resztek zwietrzalej skały. Jak mech może rosnać na gołym lodzie?

Forell poprawia nieśmiały porost w lodowym dołku i wygładza.

- Nie znam się na mchach, choć jestem synem wielkiego botanika, który próbował mi opowiedzieć o wszystkim, na co natykaliśmy się podczas górskich wędrówek. Być może mech przywyka do środowiska, tak jak człowiek. Wasilij twierdził, że latem okolica jest tu tak zielona od mchu jak w domu od trawy.

- Musimy powiedzieć to innym - mówi Lorenz.

Pół godziny później czterdziestu ludzi stoi wokół plamki mchu, która w lodowym dołku pokrywa powierzchnię mniejszą niż dłoń dziecka. Mówią bez ładu i składu, ale rozmowa przeradza się w krzyk, kiedy gromadzi się wciąż więcej ludzi. W końcu rzecz wydaje się jakiemuś Rosjaninowi podejrzana. Podchodzi pospiesznie, odsuwając kilku najbliższych stojących na bok, żeby zobaczyć, jakież to znalezisko może być taką sensacją. Ponieważ niczego nie odkrywa, daje kuksańca w bok Forellowi, który wciąż kucając, zajęty jest wygładzaniem cienkiej poduszeczki.

- Mech! - mówi Forell, okrążając palcem zielone miejsce. Wtedy Rosjanin potrząsa głową, uśmiecha się pod nosem bez zrozumienia i daje ludziom znak, żeby podeszli nieco bliżej w kierunku drewnianego budynku. Naprawdę nie warto takimi specjalnymi wycieczkami utrudniać widoczności.

Osiem tygodni później kraina rzeczywiście pokrywa się nalotem zieleni pomiędzy rumoszem skalnym i ciemną skałą. Cud mchu jednak, początkowo mocno podziwiany, nagle nie wart jest uwagi. Pewnego zimnego dnia lata znów urlopowani do świata na powierzchni jeńcy dostrzegają rzecz doprawdy niebywałą. Simon Portschach, który z podniecenia nieustannie wywraca i mruga oczami, wyciąga ramię i wskazuje na ścianę skalną za drewnianymi budynkami. Za grzbietem góry unosi się, niespokojna wprawdzie, ale nierozwiana jeszcze przez wiatr, ciężka chmura dymu.

- Ludzie! Dym!

- A cóż to jest?

- Statek.

- Też pięknie. Może nadchodzą nasi oswobodziciele.

- Nie rozśmieszaj mnie, Forell! Daruję ci twoje głupie uwagi, ale powiedz, jak sądzisz, czy to jest statek czy nie?

- Tylko zaraz nie przesadzaj! Mam nadzieję, że nie trzeba za każdym razem, kiedy jest się innego zdania niż wy, przechodzić ścieżki zdrowia. Wedle mnie to statek.

Jeśli jest to - jak twierdzi Portschach - dym parowca, to chmura po tamtej stronie skalnego grzbietu wskazuje miejsce, gdzie morze jest tak blisko, że wszystko nabiera innego wymiaru. Wtedy miasto jaskiń z jeńcami nie leży wysoko ponad poziomem morza.

- Statek! - krzyczy Portsach.

Lorenz, który pod ziemią szybko i pracowicie nauczył się podpatrywać wszelkie podstępny skały i błyszczącego ołowiu, ma nieskomplikowany umysł i dym statku nic mu nie mówi. Przytakuje tylko głową. Jeśliby Portsach twierdził, że dym pochodzi z lokomotywy pociągu towarowego, także kiwnąłby głową.

Lodowa mgła otacza wszystko dookoła, ale nie bliskich widoków, bo nie kładzie się tak gęsto jak listopadowa mgła w domu. Jednak wzrok nie przenika jej dalej niż na dwa kilometry, nawet jeśli chwilami zasłona mgły rozrywa się. Dym ze statku zaznacza więc miejsce po tamtej stronie grzbietu skalnego. W niewielkiej odległości musi być zupełnie inny świat.

- Chłopaki, statek! Tam na zewnątrz jest statek!

Z tą wieścią Forell biegnie od grupy do grupy, śmieje się, krzyczy, wskazuje i wznosi obie ręce do góry:

- Statek!

Chłop równie wysoki jak Forell, tylko nieco szerszy, odwraca się powoli i uśmiecha pod nosem.

- Daj spokój, Chowchow, zachowuj się jak człowiek rozsądny!

- O Boże! Dechant!

- Wszystko pięknie. Ale żadnych krzyków, Chowchow!

- Jednak jeśli statek...

- Czy to dla ciebie nowość?

- Nie miałem dotąd pojęcia.

- Więc bądź tak dobry i odejdz ze mną kawałek na bok!

- Cieszę się, że znów cię spotkałem. Ale po co ta ceremonia? Dechant drapie się po ogolonej na zero czaszce, rozglądając ostrożnie dookoła, zanim półgłosem przedstawi sytuację.

- Od ludzi, którzy pozwalają sobie na wakacje od kopalni, należałoby oczekiwać, że nie tylko kopią rudę w górze i wylegają się całkowicie pozbawieni wiedzy o sytuacji tutaj.

- Dotąd wychodziłem najwyżej sześć razy na zewnątrz góry. - Ach tak! Nie jesteś więc zatrudniony jako tragarz?

- Moja skłonność do tras specjalnych.

- Praca tragarza nie jest tak poszukiwana, żeby ciebie też któregoś dnia nie przydzielono. To zajęcie ciężkie i nie lubiane. Musisz się starać więcej wychodzić z jaskini.

Musisz nawiązać kontakty z ludźmi z sąsiednich szybów. To, że są tu statki, nie jest sensacyjną nowością. Już w lazarecie rozeznałem się najdokładniej w rozkładzie rejsów.

Forell jedynie mruga. To znak dla Dechanta, żeby swojej wiedzy nie ujawniał z takim hałasem. Przyplątuje się jakiś Rosjanin.

- Wyszedłeś wtedy z tyfusu bez poważniejszych skutków?

- Długo mnie trzymało. A twoja recepta, by jeść węgiel drzewny, nie wydawała mi się dość pewna.

Rosjanin oddała się.

- Jesteś naiwny, mój drogi Chowchow, jeśli sądzisz, że będą ci przynosić wieści do jamy. A więc, żeby sprawę skrócić, zgłoś się dziś, o ile się da, do pracy przeładunkowej!

Niczego nierozumiejący Forell staje się od stóp do głów jednym wielkim znakiem zapytania.

- Czy my mamy tam coś do roboty?

- Myślisz, że Rosjanie rozładują transporty? Węgiel, drewno, narzędzia, mąka, ziemniaki i co tam jest w takiej fajbie. Potem musi być załadowany ołów.

- Tak, tak - mówi niepewnie Forell.

- Myślisz wciąż o ucieczce, a potem odstawiasz tak dyletancką robotę, że sobolom syberyjskich lasów włosy stają dęba. Czy naprawdę dziś pierwszy raz zobaczyłeś bądź usłyszałeś o statku? - Dechant nagle mówi, świszcząc przez zęby. - Czy nigdy się nie zastanawiałeś, jak można wykonać ten żabi skok przez Cieśninę Beringa?

- Gdzie, w jakim kierunku leży Alaska?

- To znowu jest pytanie alumna z seminarium duchownego, który po raz pierwszy słyszy o grzechu. Tam w dole dwa razy do roku przybija statek. Czas zależny jest od warunków lodowych. Koniec czerwca, potem lipiec i sierpień. Sierpień to już jesień. Przypadek odgrywa znaczną rolę. Mimo to statki przypływają punktualnie, a muszą też wracać, więc po lipcu nie zobaczysz tu już dymiącego kotła parowca. Pytanie o Alaskę jest o tyle bez wartości, że nawet latem niemożliwe jest przepłynięcie wpław Cieśniny Beringa. Temperatura wody, odległość, sytuacja polityczna - Rosjanie i Amerykanie są sojusznikami. Ale trzeba rozeznać się, jak przebiegają granice tego świata. Przede wszystkim musisz dostać się aż do kei, aż do wody. Nie patrz z takim niedowierzaniem!

Forell rzeczywiście patrzy dość niedowierzająco. Dał się skołować czarowi unoszącego się dymu i nie potrafi ocenić, jak wizję zza skalnego grzbietu da się połączyć z myślą o wolności.

- Byłeś już tam w dole przy kei?

- Jak bym tam doszedł? Najpierw tyfus, potem kopalnia.

- Musisz przecież mieć informatorów.

- Pogłoska. Gadanina. Podszepty wiatru. Przyrodzona każdemu człowiekowi zdolność kombinowania. Niezlamana jeszcze dotąd siła, by niezliczoną ilość razy codziennie przechodzić z koszem pełnym rudy i kamieni w górę długiej sztolni, aż pod wolne niebo. Patrzyć, nasłuchiwać, czatować. Studiować kierunki świata, także gdy nie ma słońca. Jesteś marzycielem, Forell. Dobra, wiem, że koledzy pobili cię do nieprzytomności. Z powodu tej ceremonii wyprowadzono nas ze wszystkich sztolni na zewnątrz. Ale Chowchow, czy nie stanąłeś ponownie na równych nogach?

- Nie.

Forell zauważa, stojąc przed tym facetem o szerokich ramionach, że w życiu bez światła nauczył się już wiele: z głodu ceni posiłki, wypędza ze swych nocy myśli o innym świecie, przyzwyczajają się do wieczności, sumiennie wykuwa z góry kamień i ołów, nawet Kathrin powoli usuwa z rachuby reszty swego życia. I właśnie wtedy pojawia się statek.

- Wszystko dobrze, Dechant. Ale jeśli Rosjanie nie podejmują żadnych środków, by nas jakoś uczciwie pilnować, to nie ma tam dojścia. Inaczej zabezpieczyliby teren drutem kolczastym i reflektorami.

Dechant patrzy na kolegę mocno zmrużonymi oczami.

- A ja właśnie na ciebie stawiałem.

- Ja swój wkład wniosłem.

- Dostatecznie spartaczony. Sądzisz, że potoczyłoby się to w taki sposób, gdybym ja był tym drugim człowiekiem na medycznych saniach? Ale nie! Musiałem być chory. Całkowicie niezdolny. Wzięli tego Eisemanna i ciebie. Jeden głupi jak wół, drugi tak niekonsekwentny jak niewiasta, zawsze pół zamiaru i pół skruchy z tego powodu. A co z miłością, Chowchow? Ma na imię Kathrin, jak mi opowiadałeś. Czy jest ładna ta twoja Kathrin?

- Tak - mówi Forell, nie wiedząc, co odpowiada. Słyszy dopiero wypowiedzianą sylabę, jakby na ułamek sekundy zawisła echem w powietrzu.

- Jest ładna i czeka, póki twoje milczenie jej nie uświadomi, że nie musi już czekać, nie powinna czekać, nie może czekać.

- Bądź cicho! - napada na niego Forell.

Dechant mówi jednak dalej. Robi to dobitnie, a na jego wargach gości błady uśmiezek.

- Ale wy tam z tą waszą miłością, Chowchow! Niewiele więcej niż przyzwyczajenie do odzwyczajania. Najpierw umieracie w każdej samotnej godzinie z tęsknoty i oddalenia, potem zaczynacie przeceniać odległość, a przecenianiem usprawiedliwiać to, że tęsknotę trzeba odsunąć na potem, póki gwiazdy nie będą pomyślniej sze. To, co nazywacie miłością...

- Nazywacie, mówisz? Siebie z tego wyłączasz?

- Tak. Jeśli znów pojawi się do tego okazja, to niczego nie odrzucę, ale na to nie liczę. To, co nazywacie miłością, jest zbyt mdłe, by pozwolić ci jutro dźwigać ołów z magazynu za komendanturą wzdłuż grzbietu górskiego i w dół po drugiej stronie, gdzie w skałe wyrąbane są stopnie aż do kei. To daje po kościach, mówią. I po nogach. Ale muszę zobaczyć statek i wodę. I rozeznac drogę, jaką wybiorę, zanim się tu z wami pożegnam. Alfons Mattern z pewnością nie jest przygotowany na moją wizytę, bo z tamtego świata nikt nie wraca, chyba że zaniechał uregulowania czegoś na tym świecie. Wy z waszą miłością! Co byś powiedział na odrobinę nienawiści, Chowchow? Nie masz nikogo w ojczyźnie, z kim chciałbyś się za coś policzyć? Nie masz w pamięci niczego, co cię ożywia, porusza? Może ktoś, kto się rozpanoszył w domu w twoich pokojach, twoich prawach? Twoja Kathrin jest ładna, mówisz? I nic nie ma. Małżeństwo z miłości. Takie sądy są często jednostronne. Tak, tak. A tam za górskim grzbietem dymi statek.

Wiosna zaczęła się od podziwiania mchu. Lato, o wiele bardziej pobudzające, zapowiedziało swoje nadejście chmurą dymu. O tym co pomiędzy więźniowie nie dowiedzą się zbyt wiele, ponieważ rzadko wychodzą na powierzchnię ziemi. Tego dnia spotkanie ze światem na górze też nie jest długie. Teraz Rosjanie dają znak, że tysiąc dwustu ludzi urlopowanych na powierzchnię ma powrócić do ciemności.

- Jeśli będą szukać ochotników do wyładunku, natychmiast się zgłoś! - woła Dechant oddalony już o jakieś dwadzieścia metrów.

Forell powoli idzie w kierunku swojej sztolni, która jak drzwi małego wiejskiego kościółka stopniowo przyjmuje do środka tłoczących się przed wejściem ludzi. Wchodzą powoli i z wyraźną niechęcią, woleliby zostać jeszcze na powietrzu. Strażnik liczy więźniów jak owce. Idzie za Forellem, który nie bez ważnego powodu postanowił zamknąć pochód. Ale Rosjanin nie pyta, czy ktoś chce dobrowolnie pracować na zewnątrz. A więc inni będą pomagać w rozładunku statku. Jeśli jest to drugi statek latem czterdziestego siódmego...

Na Boga! Człowiek uczy się podlej rachuby czasu, która z czasem nie ma już nic wspólnego! Jeśli statek po tamtej stronie górskiego grzbietu jest drugim tego lata, a strażnik jutro nie będzie wpisywał na listę ludzi do pracy wyładunkowej, przypadnie ostatnia w tym roku szansa, by zobaczyć coś więcej niż tylko baraki komendantury, lazaretu i magazynu

gospodarczego. Czekać przez rok, zanim w ogóle nadarzy się kolejna okazja! A tymczasem patrzeć jedynie na garby skalne, które tak wryją się w pamięć, że nie będzie można już ocenić najrozsądniejszego lub najmniej szaleńczego kierunku ucieczki.

Jednak następnego dnia rano, na dwie godziny przed zwyczajnym początkiem pracy, u wejścia do sztolni pod przyniesioną lampą stoi Rosjanin i budzi jeńców: „Dwudziestu ludzi!”.

Zanim pozostali się zbudzą, Forell wstaje i zgłasza się. Ale, stop! Nie tak! Strażnik nie może zauważyć zamiaru ani pośpiechu! Żując więc gałązkę chrustu, podsuwa się z rękami w kieszeniach i unoszeniem ramion daje do zrozumienia, że nie ma specjalnej ochoty próbować nieznaney rzeczy, ale w razie potrzeby nie będzie się wzbraniał. Ludzie się rozumieją, nawet jeśli słabo znają swoje języki. Rosjanin kiwa głową. Forell niecierpliwie przestępuje z nogi na nogę, kiedy śpiący z trudem i niezbyt spieszenie odrywają się od legowisk. Już dawno jest dwudziestu, ale wydaje się, że strażnikowi zależy na wybraniu ludzi podług siły fizycznej.

Dwóch, czterech, sześciu, ośmiu - omija Forella w liczeniu. Ten przesuwa się do następnego szeregu za dwoma mężczyznami, gdzie nieuchronnie musi zostać wyliczony. Jednak Rosjanin jest najwidoczniej innego zdania niż długi jak do nieba facet, który z pewnością wytrzymałby dźwiganie skrzyń lub innych ciężarów przez dwanaście godzin. Z zabójczą uprzejmością pomija go w odliczaniu, robi to z premedytacją, bo bierze dwiętnastoletniego Alfonsa Matterna, który nie wygląda na silnego i zdolnego do wysiłku. Ledwie zaznaczający się uśmiezek na prostej rosyjskiej twarzy mówi: „Lepiej żadnych niedogodności z tobą, długi! Raz zwałeś i przy pracy na otwartej przestrzeni przysporzysz nam co najwyżej trudności. Nie, mój kochany!”.

Przez cały rok nie nadarzy się już okazja, pracy na zewnątrz, niezależnie od tego, czy Forell będzie kłął, czy się modlił, czy swoje zamiary wywodzi z pędu do wolności, czy nagle zbudzonej miłości, czy chęci zobaczenia czegoś więcej niż surowy płaskowyz.

Okazuje się, że poszczególne grupy muszą być na nowo przydzielone do pracy na miejscu - do ładowania koszy i do noszenia. W sztolni dziś w ogóle nie będzie pracy.

Forella przydzielają do pracy z Willim Bauknechtem. To nie zastąpi rozładowywania statku. Ponadto noszenie jest najcięższą pracą, o której każdy opowiada, jedynie narzekając, a dowodzą tego niezliczone kawałki porozrywanych wiklinowych koszy. Jednak Dechant z naciskiem doradzał inne spojrzenie na sprawy. Żadna praca we wnętrzu góry nie jest przyjemna. Ani ładowanie do koszy biblijnymi szuflami, ani nieporadne wydłużanie sztolni.

Kiedy przed mężczyznami staje niedostępny i niedający się zaatakować mur skalny, a kilofy odskakują nawet po pięćdziesięciu uderzeniach jak od stalowej ściany, to do dyspozycji są teraz ciężkie oburęczne młoty i metrowe żelazne kliny Instynkt szuka dla tępych klinów

rysy, a oburęczny młot wbija je, by potem z boku spróbować z nieco większą nadzieją wyłamać skałę. Kiedyś w końcu się udaje, czasem dopiero po wielu godzinach, a tragarze wynoszą potem na zewnątrz jałowy kamień, aż do momentu, kiedy jeńcy znów trafiana żyłę. Dziwna jest wydajność góry, która po dniach bezskutecznej pracy w skałe, ponownie ukazuje żyły rudy. A nie obniżając wydajności, można by ją wybierać, pozostawiając tylko system filarów.

- Dlaczego więc nie wysadzamy? - pyta Forell studenta Willego Bauknechta, gdy wychodzą z pierwszym koszem.

- Nie sądzisz przecież, że dadzą nam chociaż spojrzeć na czarny proch.

- No więc powinni sami wysadzać!

- Ale wtedy, oczywista, pod naszą nieobecność!

- Tak czy tak. Moglibyśmy podprowadzić nieco materiału wybuchowego i dopuścić się czegoś złego. A propos, to jest strasznie ciężkie. Postawmy!

- Już kiedyś przez kilka tygodni nosiłem i znam sprawę. Bauknecht wyciera sobie pot z czoła. Od miejsca urobku do kazamaty mieszkalnej droga jest już tak długa, że trzeba dwa razy stawiać kosz. Kawalek przez kawernę jeńców, sztolnię pośrednią i kazamatę dla strażnika można, przy odpowiedniej sile fizycznej, pokonać na raz.

- Przecież to nie musi być żadną sztuką tak poszerzyć sztolnię, żeby dało się położyć szyny dla wagoników.

- Skąd wziąć wagoniki i szyny do kolejki?

- W Rosji wszystko jest możliwe.

- Może wagoniki i szyny do kolejki tak. Ale wysadzanie materiałem wybuchowym nie. Nie ma pomieszczeń dla sił roboczych poza jaskiniami. Jak dalece można ufać skałe, tego nie wiem. W każdym razie my śpimy beztrosko wewnątrz góry, nie wiedząc, kiedy ona zemści się za to, że wyrobiska zostawiono od początku na olbrzymie pomieszczenia mieszkalne. Prawdopodobnie

Rosjanie mają rację, obawiając się, że pierwszy silny wybuch doprowadziłby do zawalenia się kawern.

- Przecież ładunki wybuchowe można dokładnie regulować według ich skutków.

- Można bez wątpienia. Ale...

- Dostatecznie długo pracowałem w branży. Przez to wpadłem tym typom w ręce. Gdyby każdy ładunek wybuchowy miał spodziewany i wyliczony skutek, byłibyśmy bardzo zadowoleni, a niepozorne mosty pozostały niezawalone. O poważniejszych skutkach nie byłoby mowy.

- Być może nic by się nie zdarzyło. Rosjanie kalkulują jednak inaczej. Człowiek jest tani. Ołów jest sprawą pewną, a srebro jeszcze pewniejszą. Sześciuset calinnych i tysięcy dwustu jeńców wojennych nie osiąga wprawdzie tego, co można by osiągnąć przy lepiej zorganizowanym wydobywaniu, ale produkują bezpiecznie. W tych okolicznościach potrzebują niewielu strażników. W otwartych wagonach na szynach kolejki polowej da się wydobyć z góry pięćdziesiąt razy więcej albo też przez kilka lat nic, jeśli kazamaty się zawalą. W górze trzeba by wydrążyć nowe sztolnie, a dla ludzi nie byłoby już pomieszczeń mieszkalnych i nie można by wyrobić tego rodzaju jaskiń, ponieważ wysadzanie w powietrze znów doprowadziłoby do ich zawalenia. Baraków dla dwóch tysięcy ludzi - do tego wystarczająco ciepłych - nie da się przywieźć na saniach z psim zaprzęgiem. Drogą morską... no, nie dowierzam za bardzo połączeniu po wodzie.

Wloką dalej swój kosz, wysypują ładunek na zewnątrz na drewniany zsyp, nieco z boku od wyjścia ze sztolni, ale nie mają czasu, by odetchnąć. Nie ma żadnego wystawiania.

Forell już po pierwszym koszu nie potrafi wyobrazić sobie tej pracy przeliczonej na dwanaście godzin. Nie jest przecież słabeuszem, a wiekiem nie odbiega tak znacznie od studenta, żeby miało to oznaczać spadek wydolności. Bauknecht śmieje się, kiedy Forell wyciera sobie pot rękawem.

- Musisz się znów przyzwyczaić do powietrza, a wtedy od razu pozbędziesz się trudności. Noszenie to najcięższa praca. Wiem. Kiedy mnie po raz pierwszy przydzielili do noszenia koszy, też spływałem potem. A wieczorem padłem na chrust jak sponiewierany pies. Jutro będzie już lżej.

Idąc za radą Bauknechta, Forell za każdym razem, gdy opróżniają kosz do drewnianego zsypu, bierze kilka głębokich oddechów.

- Obróbka jest interesująca - mówi Bauknecht.

Ale Forell widzi tylko zsyp, płataninę ustawionych maszyn, dym, pilnującego żołnierza, a na krawędzi, zanim teren opadnie na hałdę rumoszu, znaczne nagromadzenie robotników, którzy w żadnym wypadku nie robią wrażenia jeńców wojennych lub więźniów karnych.

Wieczorem pada na plandekę jak nieżywy, mając zamiar zaraz spać. Jednak nagle podnosi się zupełnie rozbudzony, bo wraca tych dwudziestu, którzy skierowani zostali do rozładunku statku.

- Jak było?

- Mozolnie.

- To faktycznie statek?

Danhorn nie ma ochoty opowiadać więcej niż to konieczne. Wyciąga się jak długi, przysłuchując obojętnie temu, co mówią inni. Żadnemu nie wolno było wejść na statek. Jeńców nie dopuszczono nawet do kei.

Portschach, którego geografia Syberii jeszcze ani przez chwilę nie zmusiła do myślenia, potrafi rękoma zarysować z grubsza wszystko, co zmieści się na takim stosunkowo małym statku. Łakomie opisuje nieprzebraną ilość żywności.

- Z tamtej strony, a raczej tam w dole, jest jeszcze okazały budynek, także z drewna. Najpierw wszystko zanosimy do jego wnętrza. Wyliczyłem sobie już, że pracy będzie jeszcze na kilka tygodni, zanim statek odpłynie, zanim wszystko będziemy mieć w magazynie i w szopach za komendanturą.

- Niczego nie przyniosłeś z tych wspaniałych rzeczy?

- Rosjanie pilnują jak szpicle, ale nakarmili nas tak, aż nam się spodnie zrobiły za ciasne. To ich upewnia, że nie weźmiemy czegoś z głodu.

- A jak tam w dole wygląda? - chce się dowiedzieć Forell. Portschach nie umie opisać nic poza rzeczami wartymi zjedzenia. Przewraca łakomie oczami i wylicza wszystko, od mąki do konserw. Forell chciałby się dowiedzieć więcej i wciąż czeka na opis sytuacji.

- Nic dla podróżujących po świecie - burczy Danhorn. - Niebo niewysoko, a do Alaski daleko by płynąć.

- Widać Alaskę? - Forell już nie czuje, że jest zmęczony.

- Nie. Prawdopodobnie nie widać jej z tego punktu w ogóle, nawet przy sprzyjającej pogodzie, która chyba tutaj nie bywa. Woda jest czarna, lód brudny, statek nie jest oceanicznym parowcem zdolnym do pływania po dalekim morzu, któremu można by zawierzyć podczas tajfunu, chociaż ma za sobą kilka tysięcy kilometrów pływania. Mąka, jaką wyładowaliśmy, jest syberyjska. Czy parowiec przejął ją gdzieś u ujścia Leny czy na Jeniseju, nie odważę się twierdzić. Prawdopodobieństwo przemawia za Jenisejem. Wtedy jednak muszę z uszanowaniem zdjąć kapelusz przed marynarzami i kapitanem.

Odkąd się znają, jeszcze nigdy Danhorn nie wypowiedział na raz tylu powiązanych ze sobą zdań. Jest dziś tak nakręcony, jakby dopadł gdzieś alkohol. Nie wydaje się zupełnie wykluczone, że ktoś z personelu strażniczego przytknął mu butelkę wódki do ust. Jednak jego sucha, zawsze zgnębiona twarz promienieje zachwytem nie z powodu wódki i nie z powodu kilku dni pracy na zewnątrz, lecz dlatego, że naraz odkrył respekt wobec Rosjan, którzy swych jeńców pędzili przez piętnaście stopni szerokości geograficznej po śniegu i lodzie, a

sami wybrali drogę owianą historycznym tchnieniem czasów odkrywców. Ołów, antymon i srebro, jeśli dobrze spojrzeć, także są budzącym respekt motywem.

Forell chciałby koniecznie wiedzieć, czy istnieje jakieś uregulowane połączenie ze światem, ale postanawia zapytać o to później. Wiecznie zrzędlivy Danhorn szczerzy się. Leibrecht sądzi, że odkrył przy tym nową lukę w jego zębach trzonowych.

- Znow popadłeś w recydywę w myślach, słowach i życzeniach, Forell.

- Nie. Chcę tylko wiedzieć nieco więcej, niż wiem dotąd.

- Jesteś dzieciak, Forell. Gdy tylko sine pręgi na tyłku już nie boją, wymyślasz nową psotę.

- Nie przypisuj mi cudzych zamiarów!

- Nie musisz mi nic mówić, stary uciekinierze. Tak samo jak ty nie mogę znieść dymu ze statku. A przy tym przez cały dzień widziałem go z bliskiej odległości. W myślach i rozważaniach od wczoraj uciekałem niezliczoną ilość razy, aby potem wrócić do przemyśleń narzuconych przez fakty.

Forell czuje się zrozumiany. I to właśnie przez takiego faceta. Danhorn jest człowiekiem, nie tylko chodzącą mapą. Wie, co to tęsknota.

- Podobasz mi się, Danhorn.

- Ty mi już dawno. Nie zmienia to faktu, że podczas twego następnego powrotu z kolejnej nieudanej ucieczki będziemy musieli zatłuc cię zupełnie. By temu zapobiec, dam ci dobrą radę. Przestań zezować ku Alasce!

- Nie zezuję w tamtą stronę.

- Bo nie można. Nie masz szlachetniejszych motywów. Byłem przez dzień w pobliżu statku. Czarną wodę widać tylko do jakichś stu metrów za statkiem. Lodowa mgła. Prawie zawsze lodowa mgła, choć w czerwcu i lipcu, jak się twierdzi, bywają czyste dni. Żadnej widoczności i żadnych widoków. Chciałbyś popłynąć wpraw. Szlachetne i odważne przedsięwzięcie. Jeśli przejdiesz jeden jedyny raz z koszem wiklinowym od wyrobiska aż na zewnątrz, siły cię opuszczą. Czy wiesz, jak szeroka jest Cieśnina Beringa? Jeśli ją przepłyniesz, Sowieckie Towarzystwo Geograficzne nie tylko uzyska twoje ułaskawienie, lecz zaproponuje przemianowanie Cieśniny Beringa na cieśninę twojego imienia. Vitus Bering świętej pamięci, którego imieniem cieśnina jest nazywana, nie przeżegłował konsekwentnie do ujścia Kołomy, żeby ostatecznie udowodnić istnienie cieśniny. Dla żaglowców była to sprawa ryzykowna. Clemens Forell dokona tego wpraw.

- No, to nie.

- Tylko tak mówisz. Ale ostrzegam cię.

Daremny trudem okazuje się naciskanie Danhorna, co chce przez to powiedzieć.

Kiedy grupa robocza wraca następnego wieczora do kawerny, brakuje studenta Willego Bauknechta, który jedynie przypadkiem zabrany został do pracy zamiast innego mężczyzny. Bauknecht wrywał się do przodu. Forell to wie. Tylko jego strażnik cofnął, znów tak samo, jak poprzedniego dnia rano.

Leibrecht opowiada, jak Bauknecht zdołał ich wszystkich ograć. Jest z tego powodu przygnębiony.

- Była to sensacja dzisiejszego przedpołudnia. Kiedy dotarliśmy tam na dół, przy kei stał drugi statek. Jedynie mały parowiec rybacki, co do którego nie sędzę nawet, żeby łowił. Czy o tej porze roku uprawia się rybołówstwo? Nie mam pojęcia. Nasz pieriewodczik, po tym długotrwałym i pełnym nerwowości bieganiu tam i z powrotem między statkiem a komendanturą, wykrzyczał pytanie: „Kto umie gotować?”.

- Czy z tym pytaniem nie przyszedłeś do nas już wczoraj? - ktoś przerywa opowieść.

- Miewa się w tym czy w tamtym przeczucie - mówi Leibrecht i nie drga mu ani jedna zmarszczka.

Nikt nigdy się nie dowie, co Leibrecht już wczoraj wiedział o przybiciu statku. Nie zwróciło ich uwagi również to, że rozumie po rosyjsku, bo nigdy z tego nie robił użytku.

- I co było?

- Student podobał im się najbardziej. Nie odbyło się próbne gotowanie, a Bauknecht z łobuzerskim uśmiechem przedstawił się jako kucharz, twierdząc, że pływał jako smutje na niszczycielu. Jeśli w swych młodych latach widział ze statku więcej niż to, co oferuje parowiec na Jeziorze Bodeńskim, to ja w całym swoim życiu nie dodałem prawidłowo pięciu liczb do siebie. Sprawa miała się tak: smutje...

- Co to jest smutje?

- Po rosyjsku to samo co po niemiecku kucharz statkowy. Słowo daję, chłopaki, podłapałem wczoraj kilka urywków zdań o smutje, który umarł w drodze na parowcu rybackim. Rosjanie postanowili pomóc załodze i dać na statek jeńca, który zastąpi kucharza. Długo zastanawiałem się, czy mam się zgłosić. Może za długo... Bauknecht nie jest nawet w połowie w moim wieku, lubiany przez strażników z powodu swego młodzieńczego śmiechu. Wzięli go.

Ta historia w ustach Leibrechta brzmi jak spowiedź. Musi ją z siebie wyrzucić. A z każdym słowem lżej mu się robi na sercu.

- Zazdrość mu. Zobaczymy Bauknechta dopiero za rok, kiedy statki znów będą mogły tu przybijać. Czy należy zazdrościć Rosjanom, którzy muszą jeść, co on ugotuje, to inne zagadnienie.

Zazdrość przynosi długie milczenie w jaskini. Szczęśliwy los mógł się trafić tylko jednemu. Nonsensowne jest sprzeczać się o to. Forell pierwszy przerywa milczenie.

- Miejmy nadzieję, że młody latawiec pojmie, gdzie się znajduje. Danhorn! Czy Bauknecht brał udział w twoich lekcjach geografii? Czy ma pojęcie, jak podzieleni są w świecie sprawiedliwi i niesprawiedliwi, przynajmniej w świecie, po jakim pływa taki parowiec rybacki?

Danhorn, wczoraj nakręcony jak po butelce szampana, jest w tak złym humorze, jak nigdy dotąd.

- Gdyby ten łotr słowo powiedział i dał narysować mapę! Ale odejść po prostu, bez jednej rozsądnej porady?

Spojrzał przez okulary o grubych szklach w lampę i zamruczał przed siebie:

- Jeśli umiałoby się jeszcze, jak w dzieciństwie, trzeba by się za niego modlić.

Z początkiem września na Przylądku Dieżniewa zmienia się wiatr.

Rosjanie mają nagle lodowato zimne twarze i tak wyraźnie pokazują swoją pogardę dla jaskiniowego motłochu, że nie da się opacznie zrozumieć zmiany pogody. Noszący kosze dzielą się swoją wiedzą w sztolni, mówiąc, że musiało stać się coś przeraźliwego, bo nawet Innokentij, najprzyjaźniejszy ze strażników, spogląda w zimny krajobraz, omijając wzrokiem tragarzy, gdy przechodzą obok niego i opróżniają kosze. Żadnego zbędnego słowa. Żadnego otwierania drzwi na pół godziny. Żadnego urlopu na świeżym powietrzu. Urywane rozkazy są rzucane ostro jak cięcia.

Strażnicy odwołują wy daną jeszcze niedawno zgodę na to, by osiem par noszących kosze z każdej grupy roboczej nie musiało biegać z urobkiem bez przerwy przez dwanaście godzin, lecz by ludzie mogli się zmieniać w dwóch grupach po cztery pary co dwie godziny. Dzienna liczba wynoszonych koszy rudy nie staje się wskutek tego mniejsza, Rosjanie postanawiają jednak zlikwidować to ułatwienie.

- Należałoby im praktycznie zademonstrować, że w ten sposób wydobyć tylko się zmniejsza - mówi Lorenz.

Ale nikt nie ma odwagi w celu tej demonstracji zwolnić tempa. Każdy boi się Rosjan. Zdaje się, że przyszły nowe rozkazy albo też zapowiedziana jest inspekcja obozu. Rębacze stoją złani strumieniami potu w sztolniach i walą młotami, jakby chcieli przerąbać górę jednym uderzeniem. Ładowacze wrzucają do koszy gołymi rękami to, co wyłamywane jest z

wnętrza góry, żeby nie wstrzymywać pospiesznego chodu noszących. Tragarze zataczają się wyczerpani przez chodniki i upadają przez przeszkody na zewnątrz jak ślepi, bo kosze muszą być szybko opróżniane. W pędzącym wietrze bijącym ostro w twarz śniegiem noszący kosze z sąsiednich sztolni widoczni są jako szare cienie, które pracują z takim samym pośpiechem. Dawniej tragarze stawali na kilka chwil, by przyjrzeć się działaniu pras do kamieni, poznać system pierwszej obróbki rudy, a przy tej okazji pochwycić słówko z boku. Teraz nikt tego nie robi.

Już przez cztery tygodnie żadnego urlopu na ziemi. Pięć tygodni. Jest październik i pełna zima. Klimat tego przeraźliwego napięcia pozostaje niezmienny i nikt nie zna przyczyny.

Jeńcy bez powodzenia próbują nawiązać kontakt z załogą sąsiedniej sztolni. Może ktoś od nich wie, jakie są powody lub zamiary tej nienawistnej pyszałkowości Rosjan.

Naraz przez ściany przechodzi wieść i przecieka dalej ze sztolni do sztolni, choć grupy nie mają ze sobą łączności - Willi Bauknecht znów jest tutaj.

Forell nie rozumie rosyjskiego tak dobrze jak Leibrecht, za to jest lepszy w kombinowaniu. Dokopywanie się do wieści jest cięższe i bardziej uzależnione od przypadkowego szczęścia niż kopanie złota. Co osiemnaście minut Forell razem z drugim niosącym wychodzi na zewnątrz góry, idzie wzdłuż hałdy urobku do zsypu, przewraca kosz i zawraca. Trwa to pół minuty. Bywa, że w tym czasie strażnicy i robotnicy specjaliści przy maszynach nic nie mówią. Jeśli jednak mówią, to ich słowa zagłuszają urządzenia zgniatające, które rozdrabniają skałę, oraz sita roztrzaskujące, na których lekki kamień oddziela się od cięższej rudy. Kilka poszatkowanych urywków rozmów, które w tym czasie chwytają ucho, to za mało. Na razie nie ma z nich pożytku. Trzeba nasłuchiwać dalej. Może więcej zdobytych informacji da się jakoś ze sobą powiązać. W końcu Forell zbliża się do prawdy i z przybliżonych faktów zestawia obraz.

- Bauknecht znów tu jest - opowiada w kawernie, gdy jedzą swoją ziemniaczaną zupę.

- Czy wiesz to jednak z całą pewnością?

Leibrecht pozwala opaść menażce i czuje swoje dawne bóle żołądka. Ta przeklęta zupa ziemniaczana zrujnuje mu zdrowie do reszty. Teraz, zanim zima całkowicie zniszczy ziemniaki, które od mrozu zrobiły się słodkawe, codziennie jest zupa ziemniaczana. W każdej menażce pozostawia warstwę piasku, straszliwie zgrzytając między zębami. Dla jeńców nie ma przecież wody. Żeby zrobić herbatę, ludzie z kuchni wynoszą ze sztolni na powietrze wielkie kotły, napelniają je śniegiem, a potem roztopiają go nad otwartym ogniem z węgla. Nie ma możliwości wypłukania ziemniaków. Wrzucane są do kotła w łupinach i ze skorupą

brudu. Nikt już nie chce jeść tej ziemnej zupy, ale zanim nie zostanie zjedzona ostatnia resztką ziemniaków i humusu, nie będzie temu końca.

- Zdaje się, że Bauknecht nie miał szczęścia.

- Zazdrościłem mu i równocześnie go żałowałem. Może był za młody, żeby wykorzystać szansę.

- Wykorzystał ją. A gniew Rosjan jest straszny. Bauknecht jeszcze nie wyszedł z komendantury. To wszystko, co wiem.

Leibrecht spogląda na gromadę kolegów stojącą wokół niego. Nie jest żadnym bohaterem i jeszcze w kazamacie czasem sobie z niego drwią, bo dochrapał się jedynie komendanta batalionu obrony kraju. Ale potrafi działać zdecydowanie i bywa bezkompromisowy. Kiedy musi być energiczny, za każdym razem traci cały kolor z twarzy.

- Czy tego młodego chłopaka też tak pobijecie, jak się od was oczekuje?

Ludzie odchodzą na swoje miejsca, stukając menażkami i przypominając sobie mozolnie, że Forella też nie chcieli pobić tak haniebnie, a jednak na koniec to zrobili. W tej okolicy panują surowe obyczaje, a rosyjska uporczywość w milczeniu, chłodzie, wstręcie i przede wszystkim niemym wyrzucie uczyniła już wielu wrogami sprawcy.

Leibrecht dosięga ręką do skroni, opiera się o ścianę skały i po chwili dodaje:

- Gdybyście znów mieli uważać to za słuszne, ja pójdę z Bauknechtem przez szpaler. Czy mnie zrozumieliście?

Dwa tygodnie później Rosjanie zmniejszają ilość jedzenia, a ton rozkazów jest ostrzejszy. Ludzie są coraz głodniejsi i coraz bardziej czują puste żołądki. Forell myśli, że przyjdzie politinstruktor i wezwie do osądu. Tak się jednak nie dzieje. Gniew podsycany jest tylko przy okazji i jest tym większy, im mniej jeńcy dostają do menażek. To krecia robota przeciwko ludziom, których z ludzkiego i politycznego punktu widzenia spisano już na straty. Przy całej swej grubości ściany skalne między więźniami a Rosjanami nie są tak szczelne, żeby nie przedarła się do wewnątrz historia zbiega. Nie są dostatecznie grube, żeby Rosjanie nie poczuli, w jak niewielkim stopniu koledzy chcą się uznać za gotowych do powitania Willego Bauknechta biciem. W małym kręgu wrze, choć Leibrecht położył swą delikatną dłoń na stu osiemdziesięciu ludziach. Każdy o tym wie i zna szacunkowo siedmiu kolegów, którzy chcieliby za pomocą sądu i kary dla Bauknechta wykupić się od głódówki i męczarni przeciąganej pracy. Dopiero gdy skąpa racja wywołuje prawdziwy i niedający się niczym opanować głód, mściciele zyskują więcej zwolenników. Mężczyźni, którzy z osłabienia przy noszeniu koszy zataczają się raz na lewo, raz na prawo i nawet zaczynają tęsknić za ziemistą ziemniaczanką jako smakołykiem, nie są już mężczyznami.

Leibrecht trzyma jeszcze swoją załogę kazamaty pod łagodnym panowaniem, ale jasne jest dla niego, że stracił już jedną czwartą ludzi. Wydaje się, że nie może stracić ich więcej, zwłaszcza że Forell jak żywa przestroga milcząco znosi cierpienie. Forell, człowiek od tamtego czasu okaleczony, którego wzrost nie idzie już w parze z siłą fizyczną, ponieważ wpadł w ręce kolegów rozdrażnionych głodem jak wilki.

Nikt nie wie, ile jeszcze wytrzymają ludzie, zanim nie zaczną szukać połamanych stylisk kilofów lub zbierać porozrzucanych niby przypadkowo pałek. Coraz więcej jest ponurych i rozdrażnionych twarzy.

Wtem staje się coś nieoczekiwanego.

- Ruskim trzeba pokazać - mówi Forell - że nie jest się gotowym do ustępstw. Wtedy skapitulują.

Pewnego wieczoru otwarte zostają drzwi wejściowe do sztolni i do kawerny strażnika. Wtłaczane przez ostry północny wiatr zimno wpełza do jaskini i mężczyźni zaczynają oddychać spokojnie i głęboko.

Następnego dnia jest znów normalne jedzenie, porządna zupa, gęsta kasza i pół litra złotawej wody z kilkoma okruszynami listków herbacianych. Wydawana jest machorka, wąska papierowa paczuszka na jednego, a strażnik po przeczytaniu „Prawdy”, numeru z początku maja, wyrzuca papier, nie poświęcając mu więcej uwagi. Oznacza to wiele gilz na bezwartościową w innym przypadku machorkę. Od kiedy kamienne twarze Rosjan mimo ostrego zimna odtajały, tempo prac górniczych znów zwalnia lub się normalizuje.

Strażnik przy zsypie podczas opróżniania kosza rudy wydaje z siebie tradycyjne „dawaj! dawaj!”, bardziej jednak dla rozrywki niż dla popędzania, gdyż nie zabrania noszącym kosze robienia godzinnej przerwy dla ośmiu ludzi. Jeśli któryś, trzymając pusty kosz w ręce, nie chce biec do dającej schronienie od wiatru sztolni, lecz z ciekawością przygląda się obróbce rudy, Rosjanie, żołnierze oddziału strażniczego i spece przy maszynach pozwalają na to, a nawet czują się mile połechtani. Z cudem graniczy też to, co z prymitywnego urządzenia obróbki rudy zbudowano pod kręgiem polarnym. Praca musi się odbywać, a zgniatarki nie mogą działać puste. Ale maszynom stale nasypuje się, ile potrzeba, nawet jeśli jakaś para nosząca kosz stanie na trzy minuty, podziwiając urządzenie do przygotowywania rudy pod gołym niebem. Ponad wszystko inne trzeba podziwiać silniki diesla, które to napędzają, zgniatarki, które rozdrabniają kawały skał często wielkości głowy dziecka, sita roztrzasczy, które oddzielają kamień od rudy, pas transportujący dalej to, co jest już urobkiem w surowym stanie, podczas gdy drewniane zgarniacze, lekko jak dla zabawy, kierują bezwartościowe kamienie do zsypu dostarczającego je na hałdę odpadów. Im więcej

wychodzi z wnętrza góry, tym więcej nasypywane jest tu jako hałda wyrobiskowa. A przez lata płaskowyż powiększa się coraz bardziej w kierunku północnym. Jaki duży będzie za dwadzieścia pięć lat?

Odzyskana poczciwość Rosjan nie posuwa się tak daleko, by pozwolić jeńcowi opuścić miejsce koło zsypu. Jeśli wiatr nie wieje zbyt wściekle nad płaskowyżem, a więc śnieg nie przesłania widoku, bez trudu można zobaczyć system do obróbki urobku. Człowiek grzebiący we wnętrzu góry dostrzega wówczas inny sens swej pracy. Z niejaką przyjemnością przygląda się, jak pracuje druga zgniatarka rozdrabniająca rudę wielkości orzecha oddzieloną od skały i jak ją podaje dalej taśmociągiem do stojących w jednym rzędzie kotłów o co najmniej dwumetrowej średnicy osadzonych w betonowych pierścieniach, takich jakie stosowane są w ojczyźnie w celu osadzania urządzeń do odsączania. W nich kotły grzane są od dołu. Jak zdołano siłami ludzkimi bez dźwigów dostarczyć tu poszczególne części z Magnitogorska lub Kuzniecka, pozostaje zagadką. Czy pierścienie wylewano z betonu tu, na miejscu?

Zaledwie kilka metrów dalej północnosyberyjska zima cofa się przed ogniem rozpalonym przez człowieka. W piecach topi się metal, a z błyszczącej płynnej powierzchni ściągane są zanieczyszczenia, dopóki specjaliści nie uznają surowy ołów za dostatecznie czysty. Wtedy można go odchylanymi rynnymi odlewać w specjalnych formach w sztaby.

W kopalni, jeśli skała nie prezentuje się jak nienaruszalna ściana, kilof w rękę więźnia wypracowuje dziennie przestrzeń co najwyżej jednego metra. Przy normalnej wysokości i szerokości sztolni wyrobiskowej oznacza to około trzy metry sześciennie skały i rudy. Rosjanie, którzy prowadzą buchalterie wynoszonych z wnętrza góry koszy, wiedzą, ile ich trzeba wynieść z jednego miejsca, żeby był to jeden metr sześcienny. Jeńcy dawno zaprzestali liczenia, może dlatego że wpadliby w przerażenie, widząc dysproporcję między nakładem ich pracy a efektami. Rosjanie zdają się jednak zadowoleni ze swych robotników i swojej góry, ponieważ każdego dnia sanie jadą do budynku magazynu, w którym układane są w stosy bloki ołowiu. Latem znów przypłynie statek, aby zabrać to wielkie bogactwo.

Wiklinowe kosze, skoro tylko się przetną, wymieniane są z olbrzymiego zapasu ułożonego przy budynku magazynu, wciąż uzupełnianego. Kosze z tak mało odpornego materiału są po prostu nieodpowiednie do dźwigania kamieni rudy. Niczego innego, nie mówiąc o sensownym systemie transportowym, Rosjanie jeszcze nie wymyślili. Wydaje się, że kosze nie przedstawiają dla nich żadnej wartości. Trochę to dziwne, bo jeśli transportuje je statek, trzeba na nie tracić na niebezpiecznej trasie sporą powierzchnię ładunkową. Bardzo prawdopodobne więc, że zapasy nigdy się nie zmniejszają, bo oddalona o tysiąc kilometrów,

tam właśnie, gdzie jest już karłowaty las i krzewy, równie tania jak tu siła robocza wycina latem jakieś dziko rosnące gałęzie i potem przez cały rok wyplata z nich kosze.

I znów jest zima. Ziąb, w którym wiatr pędzi zlodowaciały śnieg, atakuje z zewnątrz, wewnątrz, po całym ciele, jak rozpleciona drucziana lina. Dziury w odzieży jeńcy uszczelniają kamiennym proszkiem. Ubrania leżą na nich jak niestarannie opróżnione worki cementu, które zetknęły się z wodą. Trzeba mieć odwagę Leibrechta, żeby na wietrze mozolnie rozkładać plandekę i przed wejściem do kazamaty nakładać do niej śnieg. Czystość w tych okolicznościach przejmuje zgrozą. Niemniej Leibrecht znajduje naśladowców i tak jak kucharze swoje kotły, tak koledzy z sąsiednich sztolni napełniają, jak okiem sięgnąć, kilka plandek śniegiem. Oczywiście już jeden dzień pracy wystarcza, żeby na twarzach znalazła się nowa gruba warstwa kurzu.

Czasami po wycieczce na zewnątrz ktoś się rozchorowuje. Leżąc na chruście i łapiąc z jękiem krótki oddech, prosi pozostałych, by nie zmuszali go do wstawania. Pierwsi niosący kosze zgłaszają to strażnikowi, który czasem melduje o tym dalej. Wtedy, może koło południa, zjawia się wracz z wolimi oczami i w najwyższym stopniu zdziwiony. Bada na dystans cierpiącego człowieka. Termometr zastępowany jest przez cztery miękkie jak kiełbaski palce, które medyk przykładają do zagłębienia w szyi, tuż nad mostkiem. Przez moment jego głowa kiwa się jak u zwierzątka w oknie wystawowym. Nic nie wskazuje na jego lekarskie umiejętności. Jeśli wracz po takim mierzeniu temperatury odmawia odesłania do lazaretu, stwierdza, że chory jest albo symulantem, albo cierpi na coś, co nie wyraża się wysoką gorączką. Symulanci udają się pół dnia później do pracy. Chorzy z umiarkowanie podwyższoną temperaturą chorują dalej i stają przed wyborem - wyzdrowieć bez pomocy lub znaleźć się na granicy śmierci z wymaganą gorączką.

Jeśli wracz palcami zmierzy trzydzieści dziewięć stopni i siedem kresek, to termometr Pajęczyny z całą pewnością pokaże tyle samo.

Jeśli wracz zarządzi transport do lazaretu, to reszta całymi dniami mówi o szczęśliwcu, który jednak sam najczęściej nie potrafi docenić tego skromnego szczęścia. Drogę transportu każdy chory odbywa na piechotę, wspiera go jedynie dwóch kolegów i dla większej pewności eskortuje strażnik. Od obowiązującej w tym miejscu zasady, że każdy ma obowiązek sam się poruszać, zwalnia człowieka dopiero śmierć.

Tak jest w marcu czterdziestego ósmego.

Alfons Mattern wracając wieczorem z bocznej sztolni, zaczyna się trząść i skarżyć na gorączkę, a w nocy mówi bezsensowne rzeczy. Forell próbuje dwa razy, jak lekarz, rozpoznać temperaturę, ale stwierdza tylko, że młody chłopak jest mocno rozpalony.

Przy pierwszym spotkaniu z dziennym strażnikiem Forellowi udaje się przedstawić sytuację. Rosjanin o nazwisku Innokentij chętnie przysłuchuje się mówiącemu niemal pełnymi zdaniami więźniowi, który podejrzewa u swojego kolegi zapalenie płuc. Strażnik obiecuje przekazać wiadomość wraczowi. Ucieszony z korzyści, jakie przynosi znajomość języka, Forell niemal z przyjemnością przystępuje do pracy, kilkakrotnie jeszcze zwracając się do Innokentija w różnych błahych sprawach, by ćwiczyć się w konwersacji. Zapomina przy tym, że wracz nie zatroszczył się jeszcze o leżącego w kazamacie chorego.

W południe, w czasie półgodzinnej przerwy w pracy, Forell przedstawia prośbę nowemu strażnikowi, bo Innokentij zostaje zmieniony. Daje Matternowi, który nie przyjmuje pożywienia, trochę herbaty, czekając niecierpliwie, podobnie jak gorączkujący chory, na misjonarza wiedzy medycznej. W jaskini ludzie są już przyzwyczajeni, że w tych sprawach Rosjanie nie traktują ich poważnie. Jednak z Alfonsem Matternem wieczorem jest na tyle źle, że Leibrecht odważa się o tak późnej porze naprzykrzać strażnikowi i przedstawia chorobę młodego chłopaka. Ten zapewnia, że nie tylko on po południu, ale już Innokentij rano przekazał wiadomość do lazaretu, tam jednak wszystko jest trochę poprzestawiane, ponieważ wracz sam złożony jest chorobą. - A doktor Stauffer?

- Doktor przyjdzie, gdy tylko czas mu pozwoli.

Dawno jest już pora spania, gdy Stauffer, ubrany jak jakiś Rosjanin, przyprowadzony zostaje do jaskini. Jest cisza. Z powodu gorączkującego pali się jeszcze olejowa lampa. Kilku ludzi wciąż czuwa.

- Gdzie jest chory? - pyta cicho doktor.

Leibrecht prowadzi go do legowiska. Żeby nie przeszkadzać innym, położono go przy ścianie skalnej koło wejścia.

Podczas gdy lekarz klęcząc na gołej skale, zaczyna badać Matterna, Forell wstaje, przechodzi nad śpiącymi kolegami i ustawia się tak blisko, że Stauffer musi go widzieć. Strażnik nie rusza się z miejsca. Wracza, felczera czy sanitaria Rosjanie puszczają bez obstawy do kazamaty. W przypadku lekarza sztabowego Stauffera jest inaczej. Jest Niemcem i skazańcem. Forell zdejmuje Matternowi przez głowę strzępy swetra, umożliwiając lekarzowi dokładniejsze badanie.

- To macie tu takiego zielonego?

- Niestety - burczy Leibrecht.

Doktor Stauffer bada i sprawdza puls. Pacjent zaczyna bić wokół siebie rękami, tak że Leibrecht i Forell muszą go przytrzymać i unieruchomić.

Hm? - słychać ciche mruczenie lekarza.

Opukuje klatkę piersiową i spogląda przed siebie, jakby nasłuchując dźwięku pukania palcami.

- Cóż chcecie z tym biedakiem? Zapalenie płuc. Powiedźcie strażnikowi potem, nie teraz, że ma dać czterech ludzi do transportu!

Kątem oka obserwuje Rosjanina, próbując odwrócić chorego na bok. Na sprawę transportu przez czterech ludzi nie zareagował najmniejszym gestem. Może, na co należy mieć nadzieję, nie rozumie ani słowa po niemiecku.

- Macie tu w korytarzach robactwo? Nie? Trzeba myśleć o wszystkim możliwym, niezależnie od zapalenia płuc. Cholerna sprawa, jeśli byście dostali tu duru plamistego lub innej tyfusowej zarazy.

Rosjanin stoi nieporuszony na swym miejscu. A więc nie rozumie po niemiecku. Z doświadczenia wiadomo, że jeśli wspomnieć dur plamisty lub coś podobnego, Rosjanin się odsuwa. To nie żarty, zarazić się czymś takim i być zdanym na łaskę własnego wracza lub niemieckiego lekarza, przy bardzo ograniczonych środkach leczniczych. A więc nie rozumie wystarczająco po niemiecku.

Przyłożywszy stetoskop do pleców chłopaka, lekarz nasłuchuje, ostukuje między zwinnie poruszającymi się palcami całe płuca, mruczając czasem jakiś urywek zdania, jakby do siebie samego.

- Tego młodego, jeśli go wyciągnę z choroby, zatrzymam na jakiś czas. To, że student jest z powrotem, wiecie już dawno. Do was go nie puścili. Dla władców jasne było po pewnym czasie, że nie pobijecie go aż do kalectwa. Został więc oddany pod pieczę innej sztolni. Co spontaniczny gniew ludzi z nim uczynił, możecie domyśleć się po tym, że nagle wszystko zrobiło się normalne. Władcy byli zadowoleni. Do leczenia dopuszczono jedynie wracza, nie mnie.

Alfonsa Matterna znów kładą na plecach. Lekarz na nowo opukuje klatkę piersiową.

- Zobaczmy, co się da dla niego zrobić. Mam, zdaje się, kogoś, kto takiego chłopaka przeprowadzi. Potrzebna do tego więcej niż dobra wola. Macie tu, o ile wiem, kartografa. Czy jednak nie będzie za wiele fantazjował, kiedy zacznie rysować na kartce papieru pół kuli ziemskiej jedynie z głowy?

Strażnik daje znak, że jeśli byłby lekarzem albo chociaż wraczem, nie potrzebowałby tyle czasu na diagnozę. Wyraża to niecierpliwym ruchem.

- Może wasz kartograf mógłby zachorować? Potem wstaje i zwraca się do Rosjanina.

- Wiem, że najpóźniej jutro rano pójdę pod nóż, jeśli zrozumiałeś choć słowo. Ale nasz język jest dzięki Bogu trudny. Zrozumiano?

Rosjanin kiwa głową i pyta:

- Lazaret?

- Tak. Lazaret.

Leibrechtowi i Forellowi wolno zanieść kolegę tylko do wyjścia. Potem przejmują go Rosjanie, którzy mają nawet koce i coś przypominającego nosze. Wolą nie ryzykować ucieczki więźniów, chociaż każda taka próba skończyłaby się następnego dnia rano tragedią w odległości nie więcej niż trzy kilometry od obozu. Chcą mieć pewność, że żaden więzień nie znajdzie się na wolności.

- Wysłuchałem wszystkiego - mówi Danhorn, szepcząc do Leibrechta.

- Są ludzie, których wolałbym nie mieć przy tym jako świadków. Jak sądzisz, kto oprócz ciebie jeszcze nie spał?

- Hagelin.

- Ufasz mu? - Nie.

- To niedobrze.

- No cóż. Pozostaje jeszcze mieć nadzieję, że nabrał odrobinę charakteru, a jeśli nie, będzie milczał z innych powodów. Nie jest właściwie łajdakiem, choć za bardzo tańczy pod bałajkę, ciągle pełen idiotycznej nadziei, że w podziękowaniu za to wyślą go przed czasem do domu. Kiedy zauważy, że i dla niego nie odjeżdża żaden pociąg, opamięta się. Niemniej potrzebna będzie ostrożność.

- Pomyśl przy okazji o mapie!

- Czy poza „Prawdą”, którą zużyliśmy do palenia machorki, widziałeś w tej okolicy papier?

- Ach tak! Z całą pewnością jest w lazarecie.

Alfons Mattern ciągle jest bliższy śmierci niż życia. Jego chude ciało leży pod kocami. Póki trwa kryzys, lekarz kładzie się w ubraniu na swym składanym łóżku i noc w noc nasłuchuje, czy nie trzeba natychmiast wkroczyć.

Czwartej nocy w swoim pokoju na pierwszym piętrze Stauffer słyszy, że ktoś otwiera drzwi do izby Matterna. Wstaje, by zobaczyć, co u chorego, czy nie stało się coś niezwykłego, czy przypadkiem nie przestał oddychać.

Przy łóżku chłopca siedzi Pajęczyna. Na nieheblowanej desce koło łóżka stoi lampa.

- Co jest, siostrze?

- Dobrze. Śpi.

- Ładnie, że pani do niego zajrzała.

Pajęczyna chyba w ogóle nie rozumie, co doktor mówi. Przechyliła głowę lekko na bok, jakby chciała lepiej słyszeć. Dobrze. Chory śpi.

- Gdy coś będzie, powie mi pani! - Nic nie jest.

Pajęczyna wstaje, odsuwa taboret na bok i opuszcza izbę. Nie ma nic do powiedzenia i nie można sobie nic powiedzieć, skoro każdy mówi innym językiem. Lekarz nie jest zdziwiony, a Pajęczyna nie jest skonsternowana. Tam, gdzie chodzi o chorych, pomaga się razem. Pajęczyna asystuje przy najprymitywniejszych operacjach, do których brakuje wszystkiego, od narkozy po klamry do ran. Pacjenci jęczą z bólu, ale Pajęczyna stoi obok niewzruszona z zimną twarzą. A po operacji doktor Stauffer mówi uprzejmie: „Dziękuję, siostró”.

Rozstają się na korytarzu. Wydaje się, że Alfons Mattern ma spokojną noc. To bardzo uprzejme ze strony Pajęczyny, zimnej jak kamionka, że nocną porą zajrzała do Matterna, który w tym momencie jest najpoważniejszym przypadkiem.

- Dziękuję, siostró.

Drzwi słyhać także następnej nocy.

Stauffer już chce wskoczyć w buty z cholewami i zejść na dół. Ale kładzie się na powrót. Więc i to jest pomiędzy ołowianą górą a morzem koło przylądka, tam gdzie żyją jedynie przekłęci? Jednak poza ciałem nic ze sposobu bycia i postawy nie pasuje do obrazu kochanki, raczej do obrazu matki. Matka w mundurze? Wiejący wokół drewnianych budynków wiatr, którego ponure wycie wdziera się aż do nocnych snów chorych, staje się melodyjnym śpiewem. Mruczenie naczyń na żelaznych piecykach wypełnionych do połowy wodą z topniejącego śniegu nabiera tonacji, jakiej nie zna żaden inny kraj na Ziemi - herbacianego śpiewu samowara. Pomieszczenie z desek otula ludzką tajemnicę, o której nikt nie wie. Lekarz ciągle myśli o swojej ostatniej nocnej wizycie przy łóżku chorego.

Kiedy pacjent leży nieprzytomny po mękach operacji, Pajęczyna z krzepą szeregowego sanitariusza bierze całkiem nagie ciało mężczyzny na ręce i kładzie je na powrót do łóżka. Chłopięce ciało Alfonsa Matterna, skurczone przez ciężką chorobę, nie wymaga takiej siły. Siostra musi je tylko przykryć za każdym razem, gdy lekarz skończy opukiwanie szczytów płuc. Dni są już dłuższe, gdy Mattern wreszcie opuszcza twarde łóżko, przynajmniej na kilka godzin. Zachowuje się cicho jak wracające do zdrowia dziecko. Ponieważ nogi nie chcą go jeszcze nosić, najczęściej siedzi. Na początku odwilży kilku Rosjan szerokimi drewnianymi szuflami zrzuca z dachów zimowy śnieg i zaostrzonymi drągami odkuwa popękany lód, żeby woda nie ściekała tygodniami po ścianach, wdzierając się między deski.

Ponad krawędzią śnieżnej hałdy widać głowy zdrowych, którzy wypuszczani są na kilka godzin ze swych skalnych komór.

Lato czterdziestego ósmego.

Zmęczony umysł Matterna nie robi jeszcze użytku z tego, co widzi oko. Znane wcześniej obrazy odbierane są jako coś obcego. Z bardzo dalekim hałasem zgniatarek łączy się wyobrażenie noszenia koszy. Urlop kolegów nie kojarzy się z czasem swobody, lecz oczekiwaniem na przeraźliwy gwizdek i powrotem do kazamaty. Gdyby Alfons Mattern miał siłę myśleć, zapewne planowałby ucieczkę. Był nieprzytomny, gdy doktor Stauffer opowiadał o losie studenta Willego Bauknechta. Tu w lazarecie tak wiele powtarza się różnych historii o chorych, że jedynie czujny umysł potrafi je od siebie oddzielić. Z podniosłego nastroju, jaki panował krótko ostatniego lata, w pamięci Matterna pozostało jedynie przeświadczenie, że nawet w tym beznadziejnym punkcie Ziemi musi być jakaś droga do wolności. Ale wewnątrz góry nikt już o tym nie mówi, a w lazarecie, o ile Mattern dobrze rozumie urywki rozmów, mówi się o tym z całkowitym obrzydzeniem. To zapewne straszliwa droga.

Pajęczyna przychodzi raz na dzień do izby i przeciąga końcami palców po wysokich krawędziach łóżek. Powinna powiedzieć:

„pajęczyna!”, jednak słowo nie pada. Może jednak wydaje się jej za twarde, dopóki wszyscy chorzy leżą, a jedyny ozdrowieniec, chłopiec z pierwszymi kępkami brody, siedzi wychudzony na krawędzi łóżka. Alfons Mattern uśmiecha się słabo z wdzięczności. Pajęczyna nie odwzajemnia uśmiechu.

Z kamiennym spokojem, niezdolna do współczucia zarówno dla niemieckiego przestępcy, jak w ogóle do wzruszenia, siostra asystuje przy operacji ślepej kiszki. Zna chorego więźnia. Potrafi nawet odpowiednio twardo wymówić jego nazwisko: Dechant. Nie lubi go od czasu, gdy przed zimą czterdziestego szóstego leżał tu z tyfusem. Jej niesmak wynika z niechęci do wielkiej siły i niezłomności tego skazańca. Dechant nic jej nie zrobił, jest kulturalnym człowiekiem, uprzejmym, ale zbyt samodzielnym i zbyt mądrym, a to bywa niebezpieczne.

Doktor Stauffer może jedynie przytłumić ból operacyjny, stosując niezbyt głęboko działającą anestezję lokalną. Niczym więcej nie dysponuje. Ale Dechant ani drgnie, gdy skalpel rozkrawa mu ciało na długość palca.

Jak ubierają się kulturalnyje ludzie Pajęczyna jeszcze się nie dowiedziała, inaczej Niemcy nie śmialiby się z niej wtedy zimą czterdziestego szóstego, gdy na przylądek dotarła bielizna, buty i damskie dodatki z jakiegoś zdobytego terenu, a ona wybrała sobie brokatowe balowe buty i uroczą halkę. Ubrana w nie pokazała się pewnego dnia bardzo dumna i bardzo

niedoświadczona, bo halkę nałożyła na wierzch. Niewiele z tego rozumiała, jak widać. Ale wyrostek Dechanta potrafi bardzo dobrze ocenić. Uległ jedynie drobnemu podrażnieniu, w żadnym wypadku nie ostremu zapaleniu i z całą pewnością nie dojrzał do pęknięcia.

Dechanta odesłał tu wracz. Pomylił się. Często się myli, bo jest głupi. Pajęczyna w gruncie rzeczy cieszy się, że wracz się pomylił: „Dobrze tak temu Niemcowi”. Gdyby jednak trochę się nad tym zastanowiła, nabrałaby zapewne podejrzeń, że Heinz Dechant znów celowo odwiedza lazaret, żeby wiele tygodni spędzić w spokoju i bez ciężkiej pracy. Ale jej myśli zatrzymują się w pół drogi.

- Na co mi ślepa kiszka, która raz o każdej porze roku daje o sobie znać? - pyta Dechant lekarza godzinę po operacji.

Lazaret jest umiarkowanie obłożony. W tej samej izbie co Dechant leży tylko dwóch ludzi, którzy akurat śpią.

Doktor Stauffer informuje pacjenta poważnym tonem:

- Taki drobiazg nie daje w żadnym wypadku więcej niż dziesięć dni lazaretu. Potem musi pan wracać.

- Dobra. Ale pozbyłem się ślepej kiszki. Kiedy rzecz zdarzyłaby się po drodze, gdzie najbliższy wracz oddalony jest o tysiąc kilometrów, a lekarz o dwa, to trudziłbym się na próżno - Dechant mówi o ucieczce jak o odniesieniu kosza.

Poinformowany jest o wszystkim, co się tu dzieje. Nadzwyczajnie wsłuchuje się w każdą rozmowę, obserwuje nastroje Rosjan, zestawianie jedzenia, wprowadzane środki ostrożności.

- Alaska nie jest już aktualna. Czy wolno mi zwrócić na to uwagę?

- To bardzo zależy. Czy słyszał pan już, doktorze, jak Rosjanie mówią teraz o Amerykanach?

- Panuje zły nastrój.

- Wystarczy mi, że słyszę od pana potwierdzenie. A mimo to, tak się nie da - jęcząc, Dechant sięga do swojego ubrania wiszącego w nogach leżanki i wyciąga wehrmachtowski zegarek.

- Jak pan zdobył zegarek, Dechant?

- Sam siebie pytam. Zegarki Wehrmachtu nie są panu nieznane. Ale to, co tu jeszcze mam, to kompas, jaki każdy z takich zegarków miał w obudowie. Wy, panowie oficerowie, dostawaliście prawdziwe szwajcarskie zegarki. Wodoszczelne i antymagnetyczne. Jednak żaden z nich nie miał kompasu. Dla jedyne go człowieka tutaj, który uratował wehrmachtowski zegarek, kompas był bezwartościowy. Podzieliliśmy się: ja dostałem

obudowę i kompas, on zegarek, do którego wielomiesięczną pracą zrobiłem nową obudowę. Jemu zależy na tym, żeby mierzyć czas, a mnie kompas pomoże odnaleźć i utrzymać kierunek.

- Czy o tych swoich zamiarach opowiada pan właściwie każdemu?

Dechant się dziwi.

- Każdemu? Czy pan, lekarz sztabowy, jest jakimś każdym? Stauffer przytakuje głową. Trochę sztywno, po żołniersku.

- Jako że ma pan do mnie tak wiele zaufania, to może opowie mi pan jeszcze szczegóły. Dokąd to prowadzić ma podróż?

- Mniej więcej na zachód.

- Zakładałem, że pan, Dechant, jest kimś więcej niż laikiem. Czy rzeczywiście marzy pan tak lekkomyślnie?

Bardziej otwarcie dałoby się mówić, gdyby leżał tu Forell albo najspolegliwszy ze wszystkich spolegliwych kapitan Leibrecht, z którym Stauffer rozmawiał raz krótko w kawernie, ale wiedział o nim od Rosjan, że załogę swojej jaskini trzyma tak silną ręką, iż udało mu się powstrzymać stu osiemdziesięciu ludzi przed wymaganą od nich chłostą kolegi. Heinz Dechant jest jednak zbyt mądry i zapewne z powodu tej mądrości poniesie ostatecznie fiasko. Jest, niezależnie od szerokiej piersi, zbyt wrażliwy, by wygrać ze śmiercią. Tego może dokonać jedynie ktoś o mocnych nerwach.

- Niech mi będzie wolno mówić z panem otwarcie, Dechant. Jest tu tylko jeden człowiek, który miałby szansę na uciezkę. Ale on z niej nie korzysta, bo zna siebie zbyt dobrze. Ma pan do mnie zaufanie. Wolno je panu mieć. Mnie mogą powiesić, przyjmę ten los. U mnie omawiano już niektóre plany uciezki. Wiem o planowanych drogach. Mówię lepiej po rosyjsku niż pan myśli. Fizycznie mam odwagę niejedno wytrzymać. Ale nie podejmę próby, by kiedykolwiek samemu uciec. Rosjanie mnie nie zatrzymują, kiedy obchodzę cały teren, stoję przy maszynach, przez skały schodzę w dół aż do pirsu albo też wdzieram się do kancelarii komendantury, by domagać się czegoś, co ma mi umożliwić dalsze wykonywanie mojego zawodu. Pewnego dnia Rosjanie wiedzieć będą, że z niektórymi pacjentami nie tylko omawiałem plany uciezki, ale i wyraźnie je wspierałem. Co wtedy, mogę sobie wykalkulować. To kiedyś nastąpi. Mimo to uciekać, Dechant? Ludzie, którzy to potrafią w dwudziestym wieku, hodowani będą nawet na Syberii tylko w szklarniach. My, ludzie intelektu, zwłaszcza po latach niewoli, nie jesteśmy w stanie wytrzymać trudów, nawet jeśli na trasie co najmniej dziesięciu tysięcy kilometrów, które musi pan liczyć wraz ze wszystkimi

obejściami, nie przetnie panu drogi żaden wrogo nastawiony człowiek, kończąc przygodę, zanim się ona na dobre rozpocznie.

- Trzeba włożyć w to więcej niż gołą odwagę i więcej niż wymagane zdrowie - wiecznie śmiejący się Dechant marszczy brwi. - Dałem się panu oporządzić nożem, żeby mnie po drodze taki prosty przypadek nie rzucił do lodu. Uprzejmie dzięki niech będą panu za trud, jaki panu zgotowałem! I niech pan spróbuje mnie zrozumieć, gdy proszę o tyle pomocy, ile pan może i uzna za słuszne, nie narażając siebie samego.

Doktor Stauffer zastanawia się intensywnie, spoglądając krytycznie na silnego mężczyznę na łożku, który nie stracił jeszcze ani sylwetki, ani zdrowia i woli.

- Pańskie szanse są jak jeden do dziesięciu tysięcy. W takie przedsięwzięcia wchodzi jedynie desperados, którzy nie mają nic do stracenia poza własnym życiem, ale w przypadku powodzenia wracają z ładunkiem brył złota. Kozak Dieżniew, jako że dobrze sobie radził, ryzykując dla futer, zębów mamuta i złota sześć koczy i dziewięćdziesięciu ludzi, wliczając w to siebie, otrzymał za to pomnik w postaci swego imienia na tym miejscu na mapie. Zupełnie nieupiększana i zupełnie nieganiona żądza bogactw pozwoliła mu daleko przed Beringiem odkryć tę cieśninę. Siemion Iwanowicz Dieżniew nie chciał przecież rozwiązywać zagadek słynnych rzeczy nieodkrytych, lecz szukał bogactwa. Jak wielka jest liczba ludzi, którzy umierali, ponieważ on chciał odkrywać kraj zębów mamucich, nie gra tu roli. My dobywamy złoto. To tylko ołów. Ale dobre złoto. Dieżniew odkrył to w obu pozostałych rodzajach surowców - jako futra i kły. Za nie można, prosto licząc, zgodzić się na szkorbut i odmrożenia. Dostatecznie wiele sukcesu wypisane musi być na niebie. Ale sam powrót do domu? To wyłącznie wyrównanie niepełnego bilansu. Zbyt mało treści dla żadnego przygód, na którym śmierć z góry odcisnęła kontrolny stempel, jeśli nie ma natury kozaka. Dechant, wie pan za wiele i chce zbyt mało. Pańska dusza urządzona jest zbyt wytwornie. Pańska żądza, a niech by była żądzą złota w jakiegokolwiek formie, jest już zbyt okiełznana i uformowana. Ludzie tacy jak pan mają dekoracyjnie aranżowane wyobrażenia, gdy myślą o złocie. Ale pan przecież nie chce złota. Chce pan tylko do domu. Nieokreślone życzenie zamiast jednoznacznej żądy. To wiedzie do rowu i do grobu.

Jeszcze do późna siedzi doktor Stauffer przy pacjencie Heinzu Dechancie, a w nocy każe przywołać Pajęczynę do asystowania, bo Dechant zachowuje się jak wariat. Wyskoczył z łożka i ze świeżych miejsc pooperacyjnych pozrywał klamry.

Stauffer niechętnie rozmawia z siostrą o czymś więcej niż najprostsze sprawy służbowe. Teraz jednak wydaje mu się konieczne powiedzieć słowo. Gdy Dechant leży w swej izbie dla chorych i wraca spokój, zatrzymuje Pajęczynę i zbierając całą swoją gorszą

ruszczyznę, wyjaśnia, jak potrafi najlepiej, więcej rękoma niż słowami, że ten Dechant jest szaleńcem i zamierza z zemsty zamordować młodego kolegę. Pajęczyna jest oburzona. Nie obchodzi jej, co Niemcy mają zamiar zrobić sobie nawzajem. Nie reaguje też, kiedy Stauffer mówi jej, że zamiar Dechanta odnosi się do dwudziestoletniego Alfonsa Matterna. Bardzo zdyscyplinowana niewiasta ta siostra. Nie drgnie jej nawet powieka.

Doktor tłumaczy, że długo potrwa, zanim wariata będzie można zdrowego wypuścić z lazaretu, bo po tym napadzie nieodwołalnie muszą wystąpić komplikacje, choć rany zostały ponownie zamknięte.

Odtąd Alfons Mattern nazywa się Alosza. Jego prawdziwe nazwisko i tak najczęściej wychodziło z błędami z ust Pajęczyny. Alosza jest lepszy, zwłaszcza że siostra zna ciekawstwo Dechanta.

Z powodu Rosjan niemożliwa jest całkowita izolacja Matterna, ale Dechant leży w tak złym stanie, że nie potrzebuje żadnego zajęcia dla swej ciekawości, a zanim stanie się na nowo niebezpieczny, Alosza będzie znów we wnętrzu góry.

Pajęczyna bardzo tego żałuje. Ale jej twarz niczego nie zdradza.

Jakie piękne, wietrzne, zimne, monotonne, mokre lub przyjemne jest lato na Przylądku Dieżniewa, większość więźniów we wnętrzu góry dowiaduje się przez swych tragarzy.

Po nerwowości, jaka zapanowuje, kiedy trzeba odstawić większą kolumnę skazańców do prac transportowych, wszyscy więźniowie dowiadują się o przycumowaniu do pirsu statku. Latem czterdziestego siódmego nie wydaje się rzeczą korzystną zabranie z jednej sztolni dziesięciu ludzi, a z innej dwudziestu.

Mądrzejsze jest - Rosjanie wiedzą to po sprawie z młodym jeńcem, którego przyjęto jako kucharza na statek - zamknąć całą sztolnię, a załogę w komplecie poprowadzić do prac załadunkowych. W ten sposób innym pozostaje jedynie wiadomość o dymie i pewność, że przez wiele tygodni będzie tylko zupa z ziemi i ziemniaków.

Latem czterdziestego ósmego cztery razy wyjmowany jest korek z szyjki butelki. Szarzy mężczyźni, z obciętymi brodami i włosami, wypuszczani są na zewnątrz zawsze na kilka godzin po południu. W dziennym świetle łzawią im oczy i mają trudności, by chłodne powietrze odczuwać jak ciepło.

Leibrecht, fanatyk czystości, umie znaleźć dla swych ludzi miejsce, gdzie do zagłębienia naciekło tyle wody z topniejącego lodu, że oszczędnie jej używając, każdy może się odszorować od góry do dołu. Wydarza się cud, który wymaga od Stauffera całej jego sztuki przekonywania - mężczyźni dostają kilka kostek brązowego mydła. I w pierwszej od roku pianie mydlanej marznący czują, jak dokoła nich robi się cieplej. Leibrecht jest wyraźnie

utwierdzony w przekonaniu, że brud znaczy chłód. Rosjanie wcale nie są tacy jak w złości o nich mówią. Uważają za rozsądne, że więźniowie zachowują czystość. Ponieważ jednak nigdy nie było wody w wystarczającej ilości, więc nie przyszło im na myśl, żeby wydawać mydło. A nagle więźniowie mają kogoś w swych szeregach, kto nie daje im gadać po próżnicy, tylko znajduje odrobinę wody i prowadzi swych ludzi do mycia.

Dzień pod koniec czerwca jest przepiękny. Lodowa mgła, która zawsze ogranicza widoczność, odsuwa się stopniowo z lekkim wiatrem i chwilami pojawia się nawet słońce. Inne dni, tak opowiadają tragarze, wypadają jeszcze bardziej słonecznie, ale wtedy dla większości jest noc, rozświetlana bardzo skąpo przez nieporęczną i słabą lampę kopalnianą.

W środku wielkiego mycia, gdy wszyscy stoją nadzy, Leibrecht daje kuksańca łokciem swemu sąsiadowi, Forellowi.

- A cóż to?

Forell podąży oczyma za zdziwionym wzrokiem Leibrechta, spoglądając poniżej prawej piersi.

- Kula piechotna utkwiała - patrzy w dół po sobie. - A to są takie zwyczajne nacięcia, jakie się robi, kiedy trzeba znów uzupełnić żołądek.

- Pięknie - mówi Leibrecht z uśmiechem. - Jeszcze nigdy nie widziałem cię tak rozebranego. Najwidoczniej odgrywałeś rolę tarczy stojącej przy ćwiczeniach strzeleckich batalionu. Nie. Nie. Chciałem zwrócić twoją uwagę na coś innego.

A potem mówi ciszej:

- Nie trąb głośno, odwróć się i popatrz na prawo od komendantury! Masz? Nie oślepnij zaraz.

- Rany boskie! - wrywa się drugiemu.

- Nic dla dzieci. Bo będzie tylko niepotrzebnie mnóstwo podniecenia. Buzia na kłódkę!

Patrząc pod światło, zwłaszcza tak korzystne światło, widać gładką, spokojną i bez lodu Cieśninę Beringa. Woda jest tu taką rzadkością, że człowiek dziwi się, gdy widzi jej tyle naraz.

Forell wciąż jeszcze nie całkiem się opanował. Ta równa powierzchnia musi być niewątpliwie wodą. Ale skalna narośl z tyłu za budynkami pozwala widzieć morze dopiero w odległości mniej więcej piętnastu kilometrów od lądu. Nerwowo i pospiesznie mydlą się obaj, żeby nikt nie zwrócił uwagi na ich zdziwione twarze.

- Czy w Cieśninie Beringa są wyspy?

- Danhorna pytać.

- Lepiej nie. To tylko zwróci uwagę.

- Ten tam garb wielbłądzi leży, już sądząc po kolorze, znacznie bliżej.

- Może być przylądek.

- Mógłby, ale to wyspa. Zastanów się, jak garb także w kolorze odcina się od najciemniejszego niebieskiego z tyłu! W kolorach odznacza się o wiele większa odległość.

- Chodź! Namydl mi plecy! Przy tej okazji będziemy mogli obaj przez chwilę pogapić się na to чудо, nie zwracając uwagi innych.

Mydlą się i rozmawiają, nie zauważając, że mają już słuchacza. Hagelin stojąc obok, zupełnie otwarcie podejmuje temat.

- Zdaje się, że jeden z nas już tam był.

Leibrecht natychmiast zamyka się w sobie. Niedowierza Hagelinowi od czasu przywitania Forella po ucieczce. Męczyzna zachowuje się tak, jakby był nadzorcą, a nie jeńcem. Ale Hagelin słyszał, co Stauffer wymruczał wtedy jak diagnozę choroby.

- Trochę trudno osiągalne, Hagelin.

- Stąd tak.

- Hagelin, ostrzegam cię! - Leibrecht przyjmuje służbowy ton. - Nie chcę tego rozumieć w ten sposób, jakbyś miał zamiar stąd zwiewać i jeszcze próbował przepłynąć morze.

Takiego faceta można splawić, przypisując mu własne myśli i w ten sposób oczyścić się z podejrzeń. Splukuje się go jednym chluśnięciem.

- Niemożliwe, by się tam przedostać - odpowiada Hagelin zakłopotany.

Jest zły i nie może sobie darować, by jeszcze raz nie nawiązać do sprawy Willego Bauknehta.

- Głupoty tego rodzaju pozostawiam innym, którzy wpędzają swoich kolegów w najgorsze gówno, knując rzeczy, które szkodzą nam wszystkim.

- Za to każdy musi nadstawić swój kark - głos Leibrechta tnie jak nożem.

Ale Hagelin czuje, że jego na wierzchu. Nie pozostawia żadnych wątpliwości, iż w odniesieniu do zamiarów ucieczki jest innego zdania niż większość. Powstrzymuje się jednak od decydującego słowa. Nie chce powiedzieć, że coś wie, lecz pozostawia sprawę otwartą.

W tym czasie nagi i namydlony Danhorn, którego uwagę zwraca rozgrywająca się scena, spogląda na rozmówców zza grubych szkieł okularów, a po chwili podchodzi do nich.

- Co tu takiego interesującego? Czyżby któryś z panów zamierzał uciekać? Może ty, Hagelin? To, co panowie widzą przed sobą - przybiera plugawy uśmiezek - to najprawdopodobniej jedna z Wysp Diomedesa. Głęboki błękit za nią należy do

amerykańskich barw narodowych. Wyspy Diomedesa zresztą także. Ale jeśli chcesz do nich dopłynąć, Hagelin, to muszę cię ostrzec. Idzie o dziewięćdziesiąt kilometrów do stałego lądu i bardzo niewysoką temperaturę wody. Nie powinieneś być nigdy dać poznać swego zamiaru wyrwania się stąd i wyjścia tam na ląd. Nie zgadza się to z twoją zwykłą koleżeńskością.

Hagelin się złości, lecz widać, że się wycofuje.

- Czy nie zabiegałeś u mnie, żebym ci narysował z głowy mapę?

Hagelin nie waży się zaprzeczać, iż wyraził takie życzenie po jednej z nocnych rozmów. Mógł to zrobić dla zdobycia dowodu rzeczowego na wypadek rozprawienia się z pozostałą załogą kazamaty, ale w tej chwili czuje się tak, jakby rzeczywiście przyszła mu wtedy do głowy myśl o ucieczce. Teraz go to męczy. Okazuje złość. Danhorn jest jeszcze twardszy. Ostatecznie sprawę zamykają gesty porywczosci. Wydają się niegroźne, ale w czasie powrotu do sztolni wszyscy są przygnębieni.

Obawa przed człowiekiem, który nie jest pewny, sprawia, że wokół Hagelina narasta atmosfera większego rozgadania, jednak dla wszystkich jest jasne, że udawana koleżeńskość nie może dać złudzenia serdeczności.

Po trzech tygodniach ponownie wyprowadzają jeńców z kazamaty. Znowu jest ładna pogoda i dobra widoczność, ale nikt nie odważa się na uwagę o widoku na otwarte morze. W powietrzu wisi jeszcze niedawna kłótnia. Grupa mężczyzn po pospiesznym myciu rozpierzcha się po okolicy. Niepewność i ciekawość sprawiają, że próbują oni poznać szczegóły o sprawie Willego Bauknechta.

Forell sądzi, że przeczuwa mniej więcej, gdzie na płaskowyżu są ludzie ze sztolni Bauknechta. Pyta o kolegę:

- Znacie człowieka, który nazywa się Bauknecht?

Każdy z zapytanych przynajmniej słyszał to nazwisko. Niektórzy wiedzą nawet, w jakim kontekście. Na szukanie nie ma wiele czasu. Rosjanie mogą, jeśli ludzie z różnych szybów zaczną się zbyt bezładnie kłębić, zwołać zbiórkę do powrotu. Tak czy owak nie przewidują w swym programie dzielenia i wzajemnej nieufności ponownego łączenia tego, co udało im się rozdzielić.

Robi się późno. Wreszcie Forell trafia na poszukiwanego mężczyznę. Okazuje się, że już dwa razy go minął, ale nie poznał.

- Hola! Willi!

Na kamiennej płycie sterczącej ukośnie z ziemi siedzi ogolony na łyso mężczyzna o nieokreślonym wieku oraz rodzaju i stopniu inteligencji, z wąskim czołem, głęboko

osadzonymi oczami i ostrym jak klinga nosem. Na zawołanie Forella jego twarz nieco się unosi, nie okazując żadnego wyrazu zdziwienia czy radości.

- No, co z tobą? Znasz mnie przecież. Forell. Nosiliśmy razem kosze, a ty pokazałeś mi, co znaczy być młodym.

Bauknecht patrzy na niego bez wyrazu. Prawą ręką wspiera się na kamieniu, jak starzec potrzebujący pomocy, żeby się podnieść. Potem znów pozwala dłoni się osunąć.

- Powiedz, co u ciebie! Nie wyglądasz dobrze. Byłeś chory?

W oczach, które spoglądają na Forella bez żywszego zainteresowania, nie ma nic, co można zinterpretować. Twarz jest pusta jak obraz bez konturów. Chyba w ogóle nie rozumie, co znaczy to spotkanie i o co Forell pyta.

- Ja przecież także już raz zaryzykowałem i zostałem złapany. Ale nie porzuciłem zamiaru. Jak w ogóle do tego doszło, że znów im wpadłeś w ręce? Chodź!

Bierze Bauknechta za ramię, chcąc go otrząsnąć z apatii. Willi tylko słabo zsuwa jego rękę. Wtem słycać pierwszy gwizdek. Robi się zimno. Strażnicy zmęczeni się stanem i ogłaszają koniec urlopu.

- Jeśli nie da się z tobą rozmawiać, to muszę dać spokój. Postaraj się, żebyś znów przyszedł do nas. Przy Leibrechcie wszystko jest bardziej przyzwoite. Wszędzie jest kilku drani. Nie powinno cię to martwić.

Gwizdek przynagła i Forell musi przejść w poprzek placu, żeby jeszcze na czas dotrzeć do swej grupy. Oglądając się, widzi, jak dwóch jeńców bierze Bauknechta pod ramiona, aby postawić go na nogi i jak potem chłopak odchodzi w kierunku swojej sztolni, ciężko powłócząc nogami.

W kazamacie, gdzie Forell opowiada o spotkaniu z Willim Bauknechtem, inni wiedzą już więcej.

- On nie mówi - relacjonuje Forell. - Robi wrażenie zupełnie nieobecnego i zidiociałego. Stary człowiek. Kiedy wstawał ze swego miejsca, musiało mu pomagać dwóch kolegów.

Leibrecht ze smutkiem macha ręką.

- Panowie koledzy, gdy los wydał go w ich ręce, bo myśmy nie chcieli, biciem zrobili z niego kalekę. Zwykła kara za próbę ucieczki. Wciąż na nowo znajdują się ludzie, którzy tym się zajmą. Znasz te sprawy z doświadczenia.

- Kiedy myślę o tym nieszczęśniku, zastanawiam się, czy nie powinienem jeszcze wam dziękować, że obeszlście się ze mną tak łagodnie.

Leibrecht uśmiecha się z miną tego, który wie. To smętny, słaby uśmiech na przerażająco zapadniętej twarzy.

- Ale ty się zadowoliliś zrobieniem wycieczki w śniegi Syberii, podczas gdy Bauknecht z większym znanstwem rozegrał swoją sprawę aż do wolności. To bardziej niewybaczalne. Musiał za to odpokutować. A zresztą, wiecie dlaczego Rosjanie trzymali go tak długo po powrocie w areszcie w komendanturze, oglądając jak eksponat muzealny? Musiał jeszcze dotrzeć wyższy oficer, który chciał usłyszeć od niego cuda z wolności.

- Jak się zdaje, znasz całą historię tej wyprawy?

- Nic, co by opowiedział sam Bauknecht. On nie mówi. W ogóle nie mówi już ani słowa. Z początku, po strasliwym pobiciu, chyba nie mógł, a potem już nie chciał, unikając w ten sposób kontaktu z otaczającym światem. Ty ułatwiłeś nam powrót do przyzwoitości, nazywając nas świniami i Bóg wie jak jeszcze. Zwymyślanie jest dobrą podstawą do pogodzenia się. Bauknecht milczy i nie powiedział jeszcze ani słowa od czasu tych wydarzeń. Jako siła robocza jest już bezużyteczny. Jeśli inni pomogą mu wstać z legowiska, może powlec się na przodek i kilka godzin napelnić kosze. Jego obecność nieustannie pokazuje oprawcom skutki ich nikczemności. Wiele daliby za to, żeby poszedł do innej kazamaty. Nie chce. A jak to było z jego wyprawą na małym parowcu rybackim? Wszystkiego nie wiem, a to, co mi wiadomo, przedstawia się tak:

Willi Bauknecht usprawiedliwiając swoje wtargnięcie w strefę kuchni, wykazał się dużym sprytem. Od zawsze roztaczał wokół siebie atmosferę wesołości. Kambuz był równocześnie jego miejscem do spania. Na początku Rosjanie zachowywali się nieufnie i wysyłali z nim kogoś do pilnowania. Na dłuższą metę wydało im się to zbyt błazeńskie. Było dla nich jasne, ponieważ znali klimat, pływając wzdłuż wybrzeży Alaski, a robili to zapewne już od lat, że nawet w stosunkowo łagodnym klimacie niemożliwe jest dotarcie na brzeg wpływ. Może wytrenowany sportowiec podołałby takiemu brawurowemu wyczynowi, gdyby nasmarowany tłuszczem od stóp do głów codziennie wchodził do wody i ćwiczył. Ze strony człowieka, który dług odpracowywał w kopalni ołowiu, nie obawiali się czegoś takiego. I tak sami uśpili swoją czujność.

Rosjanie byli dobroduszni i łatwowierni i w rozmowach ze smutje nie robili tajemnicy z tego, gdzie obecnie są. Pewnej nocy Willi Bauknecht spakowawszy jako tako wodoszczelnie swoje ubranie, a ciało natarłszy śmierdzącym tranem, zszedł po wywieszanej za burtę plecionej drabince. A noc była tak przyjazna, że w niecałkowitej ciemności pokazała osiągalny dla dobrego pływaka brzeg.

Udało się Bauknechtowi dotrzeć do brzegu, gdy dniało. Odzież nie była na tyle dobrze zapakowana, żeby się nie zamoczyła. Musiała wysychać na ciele, kiedy Willi wyruszył w drogę, by znaleźć ludzi, którzy ulitują się nad nim i dadzą mu jeść.

Następnej nocy, gdy dzień nie pokazał nigdzie zamieszkałego miejsca, zobaczył w oddali światło i poszedł w jego kierunku. Weszło i niefrasobliwie wszedł w jasność i znalazł się wśród zdziwionych amerykańskich żołnierzy, którzy porządnie nakarmili mężczyznę. Bauknecht fantastycznie łamanym językiem ze śmiechem i elokwencją opowiadał, jak tutaj dotarł. Życie na odległej placówce żołnierskiej nie było urozmaicone i wszyscy cieszyli się z przybycia, którego opowieść musieli oczywiście przekazać przez radio do najbliższej placówki nadrzędnej.

Bauknechta nakarmiono, przesłuchano, znów nakarmiono, znów przesłuchano i tak przez kilka dni, do znudzenia powtarzając jedno po drugim, aż wkrótce mu to zbrzydło. Ciekawiej zrobiło się, kiedy Amerykanie wsadzili go do gazika - nazywali to coś jeepem - i zawieźli, pokonując nieprawdopodobne przeszkody terenowe, do jakiejś kwatery sztabowej, zapewne po to, by niezliczoną ilość razy powtarzał swoją historię o zesłaniu i ucieczce.

Nie musiał jej powtarzać. Kiedy wszedł do budynku, obok dwóch amerykańskich oficerów stało trzech oficerów rosyjskich, którzy przez tłumacza kazali go krótko zapytać o wszystko, co dostatecznie wiele razy już opowiadał. Potem podpisali, potwierdzając przejęcie przekazanego regulaminowo zbiegłego skazańca Willego Bauknechta.

Jakie są połączenia lądowe i morskie między Alaską a Przylądkiem Dieżniewa, Willi Bauknecht nie umiałby powiedzieć, nawet gdyby chciał mówić. W pamięci pozostały mu nie widoki, lecz odczucia, że transportowano go samochodem terenowym, potem załadowano na zastanawiająco mały statek. Po kilkudniowej podróży dostarczony został na Syberię, lecz nie tutaj, a do znacznie lepiej rozbudowanej przystani. To wszystko, co wie. Przypomina sobie jeszcze mgliście lodowatą uprzejmość, jaka mu towarzyszyła, póki znów nie zobaczył znanych sobie baraków.

Leibrecht zna tylko część tej historii. Resztę dopowiadają inni. Koledzy z sąsiednich sztolni uzupełniają i zmieniają zdarzenia według własnego upodobania, aż z całego kolorowego splątania faktów i w dużym stopniu wymyślonych szczegółów tylko jedno pozostaje pewne - Amerykanie wydali uciekiniera bez problemów, powodując, że każda próba ucieczki na tamtą stronę musi okazać się beznadziejna.

- Teraz jednak nie jest już tak jak przed rokiem.
- Sojusznicy pozostają sojusznikami.

- Ton, jakim dziś mówi się u Rosjan o przyjaciółach po tamtej stronie, stał się bardzo szorstki. Przypisują Amerykanom wszystko, co kiedyś nam przypisywali.

- W ogóle nie warto strzepić sobie gęby. Nikt nie może dotrzeć na tamtą stronę.

- Byłoby to zarówno głupie, jak i niekoleżeńskie - daje się słyszeć Hagelina.

O nim nie pomyśleli, gdy rozgoryczeni rozmawiali o Willim Bauknechcie i jego historii. Każdy jeszcze raz zastanawia się nad swoją częścią rozmowy z kolegami. Żaden nie sądzi, by powiedział nieprzemyślane słowo.

Zasypiając, wielu zastanawia się niespokojnie, czy rzeczywiście są powody, by obawiać się tego dwuznacznego typu. Może to tylko taki nałóg szukania w swych szeregach parszywca, symptom psychozy obozowej. Bez wątpienia takich Hagelinów jest tu więcej. Za mało jednak uczestniczą w cichych rozmowach, żeby móc ich zidentyfikować.

Jeszcze przed końcem lata Alfons Mattern wraca z lazaretu. Wygląda dobrze, zdrowo, choć wciąż jest bardzo szczupły. Trzeba będzie troskliwie się z nim obchodzić. Kiedy chłopak wychodzi na parę minut, Leibrecht podaje reguły: nie dać zauważyć, że chce się go chronić, ułatwiać powrót do twardych reguł gry kopalni bez jakiegokolwiek wyraźnej jednostronności, nie używać go do noszenia, lecz pozwalać mu trochę pętać się jako dodatkowemu człowiekowi przy kopaczach na przodku. Następnie przełamując wewnętrzne opory, prosi Hagelina, by miał oko na dwudziestolatka. Kiedy chodzi o surową pracę, Hagelin jest koleżeński. Przydzielony razem z nim człowiek ma lżej niż pozostali, ponieważ nie używa swej wielkiej siły prymitywnie, a z dobrym wyczuciem.

- Mattern ma skazę na duszy, której my starsi tak nie odczuwamy, przy naszym stopniu zmysłów. Jeśli będziesz się z nim obchodził nieco troskliwiej, chłopak odplaci ci przyjaźnią. Bądź tak dobry, zajmij się nim! Zjedzeniem dopomożemy - mówi do Hagelina.

Poproszony o pomoc Hagelin przygotowuje młodemu koledze miejsce do spania obok swojego.

- Halo, Alfons! Tu jest miejsce i spokój po nerwowych czasach na górze!

- O, Hagelin! Nie nazywam się już Alfons, tylko Alosza.

- Już zrusyfikowany?

- Przechrzczono mnie, prawdopodobnie dla odróżnienia. Zasluga Pajęczyny, która wzruszająco się mną zajęła.

- Ajajaj! - przez oblicza mężczyzn przechodzi uśmiezek, dobrotliwy uśmiezek.

Większość nie wie nawet, jak Pajęczyna wygląda, bo los nie podarował im jeszcze nigdy kilku tygodni poważniejszej choroby. Gadanina powracających z lazaretu tak ją przedstawiła, że żadnemu nie wydaje się godna pożądaniam. Jednak Alfons, któremu nowe

pieszczotliwe imię wyrwało się przez nieuwagę, czerwieni się tak dziecinnie i tak intensywnie, że koledzy przyzwyczajeni do nędznego światła jedynej lampy nie mogą tego przeoczyć.

Jakiś czas potem rozchodzi się pogłoska, że Heinz Dechant spróbuje ucieczki na początku jesieni. Krąg tych, którzy wiedzą o niej na pewno, jest mały. Większa jest liczba przeczuwających mające nastąpić wypadki, ale odstrasżające lekcje Rosjan sprawiają, że boją się o tym myśleć i rozmawiać.

Zręczliwy Danhorn musi znaleźć dobry powód, by wrócić na pewien czas do lazaretu. Będąc w nim ostatni raz, zapewnił doktora Stauffera, że jest gotów narysować mapę Syberii w przybliżonej skali. Kto potem z nią ucieknie, jest mu obojętne. Danhorn nie potrzebuje takiego rysunku, ale nie ma dość zaufania do siebie, nie widzi bez okularów, a w okularach za bardzo rzuca się w oczy. Nie ma skłonności do ucieczki, tylko do życia, jakie ma jeszcze przed sobą. Gdy Leibrecht pyta go, jaką chciałby przypisać sobie chorobę, pokazuje zawinięty w papier gazetowy garnuszek soli kuchennej.

- Ależ Danhorn, sól nie powoduje choroby!

- Dlaczego więc Rosjanie kazali w obozie barbarzyńsko karać tych, u których znaleziono sól kuchenną? Chciałbym, żeby wracz stwierdził u mnie wysoką gorączkę.

Nawet Forell nie wie, kiedy nadejdzie czas choroby. Tak jest lepiej, mniejsze niebezpieczeństwo, że się coś wyda. Danhorn jak zawsze zajmuje się swoją pracą. Nikomu nie musi rzucać się w oczy, że pozostawia nieruszoną zupę, kaszę i herbatę, tak samo jak kleisty chleb. Na przodku jak zawsze dobywana jest ruda. Tragarze wymieniają się co godzinę. Napelnicze z długim doświadczeniem oceniają ciężary w koszach z dokładnością co do kilograma. Nic się nie zmieniło. Zupełnie nic.

Ale Hagelin, który umie ustawić pracę racjonalnie i oszczędzać siły, tak aby chronić Matterna, mówi jakby sam do siebie:

- Ma przecież czas. - Kto?

Pyta Alfons, chociaż w taki sposób, że nie jest pewien, czy rzeczywiście zadał pytanie.

- Dechant.

- Nie mówimy o Dechancie!

- Właśnie się mówi. Dzień jest długi.

- Doktor Stauffer radził mi nie rozmawiać przy pracy. Od tego pył dostaje się do płuc.

Mattern sprytnie broni się przed tematem.

Ale Hagelin jest tak samo uparty jak Mattern sprytny.

- Lato się kończy. Latem się nie ucieka. Nie tutaj. W innej okolicy byłoby inaczej.

Hagelin ostrożnie wraca do tematu i po raz pierwszy Mattern spostrzega, że gotowy do niesienia pomocy Hagelin jest przerażający. Wszyscy mówią o nim, że jest nieprzyjemny i niebezpieczny. Nawet Leibrecht nie całkiem potrafi postępować z tym człowiekiem. Takiego zachowania Hagelina jeszcze Alfons Mattern nie widział. Przychodzi mu na myśl, że zna historię, którą chłopak podczas śnieżnej nocy za Czytą opowiedział Forellowi. Ale od kogo? Leibrecht może ją znać od Forella. Doktor Stauffer wie od Dechanta. A on?

- Sądzę, że Dechant jest na to dostatecznie zdrowy i życzę mu, żeby się przedostał.

- Myślisz, że pójdzie sam?

- Nigdy nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa. Mnie powiedziałyby coś jako ostatniemu. Mattern nie chce za dużo mówić i wykręca się.

- Za młody jestem, żeby ze mną ktoś omawiał coś poważnego.

- To chyba możliwe. Z drugiej strony zakładam, że nie pójdzie sam.

Rozmowa staje się dla Matterna coraz bardziej denerwująca. Nie jest dla niego jasny ani jej zamiar, ani kierunek.

Trzeciego dnia rano Danhorn leży z gorączką na legowisku. Hagelin uśmiecha się pod nosem z otwartym zadowoleniem, robi żarty podczas dreptania przez sztolnię na miejsce pracy, a nawet gwizdże, kiedy wbija długi żelazny klin w szczelinę skalną.

- Danhorn pójdzie dziś do lazaretu.

- Jest chory?

Mattern chce wiedzieć, prawdziwie zdziwiony tą wiadomością.

- Jak to zrobił, tego też nie wiem. Chcesz się ze mną założyć o dzisiejszą porcję kaszy, że już w południe go nie zastaniemy? Musi przecież do lazaretu, prawda? Narysować mapę dla Dechanta. To już dawno ustalono.

- Tak? Ciekawe. Ale nie chcę tego wiedzieć. Mogliby potem łatwo ze mnie wycisnąć, czy o tym wiedziałem. Hagelin, proszę, nie mów nic więcej o tej historii, czy to prawda, czy nie! Proszę cię! Wyłącz mnie z gry!

- O ile chcesz być wyłączony z tej gry.

Porcja kaszy, gdyby Alfons się założył, byłaby przegrana. Przed południem powiadomiony przez strażnika wracz spogląda ogromnymi oczami na nowego pacjenta i sięga do wycięcia przy szyi.

- Lekko licząc, czterdzieści stopni.

Forell i Leibrecht dźwigają gorączkującego pod nadzorem Innokentija pod drzwi lazaretu. Stauffer zupełnie sam przejmuje pacjenta. Nie mając jasności co do znajomości

niemieckiego przez strażnika, nie ryzykuje ani jednego zbędnego słowa: „Dziękuję!”. Nic poza tym.

Danhorn potrzebuje dwa razy po pół dnia, aby narysować mapę. Reszta jest spokojnie spędzaniem urlopu, bez nieprzyjemności prawdziwej choroby, ponieważ dla wytrawnego internisty ugaszenie gorączki w ciągu kilku dni nie stanowi żadnego problemu. Mapa powstaje zgodnie z planem, tylko Pajęczyna chodzi po izbach jak przemieniony w kobietę wykrzyknik porządku i zakłóca rytm pracy. Z braku innych źródeł papier musi dostarczyć komendantura, ale i tam nie ma odpowiedniego formatu. Danhorn rysuje więc na papierze, który ma mniej więcej wielkość raportów, a doktor Stauffer podkleja kawałki gazy opatrunkowej, dzięki czemu całość daje się łatwo składać i będzie odporniejsza na zużycie.

Gdy mapa jest już gotowa, obejmuje całą Syberię od Półwyspu Czukockiego po pustynię Karakorum, od Przylądka Dieżniewa do Hankau, od Kurylów aż po Ural. Ostatnim obiektem wartym narysowania na zachodzie jest Jezioro Aralskie, a w najbardziej na północ wysuniętym jego punkcie miasto Kazalińsk.

- Dlaczego nie pociągnął pan mapy dalej na zachód? - chce się dowiedzieć Stauffer.

- Jeśli Dechant po wykorzystaniu całej mapy nie znajdzie okazji, żeby przejść przez granicę, to będzie już dawno martwy.

- A jeśli będzie zamierzał przedostać się gdzieś indziej?

- To, jak zakładam, bardzo będą mu przeszkadzać ludzie.

- Dechant mówi już całkiem dobrze po rosyjsku.

- Jego rosyjski dla Rosjan brzmi jak gwara saksońska chińskiego studenta z pierwszego semestru w Lipsku.

Ani jednym słowem nie wspomina Danhorn, że jego życie będzie przegrane, jeśli posiadający tę mapę napotkany zostanie choćby cztery tysiące kilometrów od Przylądka Dieżniewa. Po gazie opatrunkowej zastępującej płótno będzie też można odkryć współdziałanie lekarza. Ale i Stauffer nie wspomina o swym szczególnym położeniu. Chce żeby przynajmniej jeden, który znajdzie w sobie odwagę, zaryzykował ucieczkę i wrócił do domu.

- Idzie o temat, o myśl przewodnią, jeśli komuś się uda. Fantasta, żyjący tylko tak ogólnie tęsknotą, nigdy się nie przedostanie. Ktoś kochający, być może. Ktoś nienawidzący, z dużym prawdopodobieństwem. Dechant robi to z nienawiści i dla zemsty. W tym moja nadzieja. Inaczej próba nie byłaby warta kawałka chleba. Choć będzie się dziwił, kiedy dotrze do domu - mówi lekarz, a po jego szerokiej twarzy, która umie ukryć wszelkie uczucia,

przelatuje cień uśmiechu. - W ten sposób Alosza będzie mógł przynajmniej spokojnie umrzeć - kończy.

Doktor Stauffer ordynuje rysownikowi mapy kolejne trzy tygodnie pobytu w łóżku. Danhorn sam ma zadbać o gorączkę, a wręcz będzie ją umiał łagodzić. Lekarz uważa, że mając mapę, lepiej unikać wszelkiego kontaktu z Danhornem, żeby w ten sposób zamaskować wzajemne powiązania, które Rosjanie będą śledzić, jeśli któregoś dnia jeden z jeńców opuści obóz.

Danhorn jest z tego zadowolony. Napawa się chorobą i ubolewa nad powrotem do zdrowia.

Człowiek, który zrzędlivością i szorstkością maskuje swą prawdziwą naturę, w sprzyjających okolicznościach pozwala sobie na spontaniczność. Tak robi Danhorn. Gdy inni w izbie już śpią, rozmawia z samym sobą, niezłe się przy tym bawiąc.

Potem czasy będą tak czy inaczej smutne.

Powitanie w kazamacie zdrowego i jak zwykle ponurego Danhorna wypada chłodno. Leibrecht spogląda na niego z dobrze zagrany brakiem zainteresowania i burczy coś o obibokach, a Danhorn odpowiada na to równie mruklawie.

Praca na przodku wre. W lazarecie nie zadano sobie trudu, by zwalnianego wysłać do sztolni na początek pracy. Danhorn rzuca swój węzełek, rozgląda się, sprawdzając, czy Leibrecht znów przydzieli go do napełniania, potem waży w ręce kilof i w końcu decyduje się tępy narzędziem wypróbować odzyskaną siłę.

Jeńcy nie pokazują, że cieszą się z powrotu kolegi, ponieważ nie chcą dać po sobie poznać, jak bardzo czekają na wiadomość z zewnątrz i na potwierdzenie, że praca, z powodu której urządzono całą tę komedię z chorobą, została wykonana. Boją się takiej otwartości. Przedtem, gdy ktoś choćby po tygodniu w lazarecie wracał do jaskini, witało go ponure „halo”, a Leibrecht pilnował, aby na początek nie pracował zbyt ciężko.

Danhorn dołącza jako czwarty na przodku. Żyła rudy jest chwilowo bardzo wydajna, nie wymagając od kopaczy wiele wysiłku. Lorenz, Hagelin, Alfons i Danhorn dobrze i lekko wyrabiają swoją normę, którą przedtem osiągnąć musiało trzech. Ale pracowało tu już sześciu, a nawet ośmiu ludzi, przekazując jeden drugiemu młot, ponieważ po trzydziestu uderzeniach dłoń były zupełnie poobijane. Teraz praca jest znacznie lżejsza, tak że zostaje czas na pogadanie mimochodem. Alfons Mattern kilkakrotnie próbuje przerwać to pozornie pozbawione zainteresowania milczenie żartem, który pozostaje bez echa, bo wychodzi zbyt niezgrabnie i niepewnie. Leibrecht i Forell, którzy dokładnie znają misję Danhorna, potrafią prawidłowo ocenić sytuację i czekać, aż on sam opowie im, czy z jego strony wszystko jest w

porządku. Jednak pozostali, których lepiej nie wciągać w sprawę, żeby podczas ewentualnego przesłuchania swobodnie mogli powiedzieć, że o niczym nie wiedzieli, nie powinni być obciążeni żadną wiedzą na ten temat.

Obojętność rzuca się w oczy. Jeśli już samo przypuszczenie czy pogłoska mogą przeniknąć przez skałę na odległość ośmiuset metrów, to w przypadku takiego wydarzenia, które na dodatek jest lodowato przemilczane, wszyscy będą wietrzyć, że zaszło coś szczególnego, a coś jeszcze ważniejszego ma się zdarzyć.

Leibrecht otrzymuje meldunek przekazany niewidocznym dla nikogo mrugnięciem oka zza grubych szkieł okularów, że dotąd wszystko jest w porządku. Czegoś bliższego będzie można się dowiedzieć za osiem lub czternaście dni. Przy następnej zmianie kosza przekazuje wiadomość Forellowi. Leibrecht jest wyraźnie uradowany. Gdy ma napelniony kosz, daje parze tragarzy pstryknięciem palców znak do odejścia i lekko gwizdże. Ale takie rzeczy u Leibrechta?

Po dwóch dniach w całej jaskini szepcze się tylko o tym, że Danhorn w lazarecie załatwił sprawę, która musi być związana z ucieczką. Z pamięci wyciąga się wydarzenia mniejszej wagi z minionych tygodni i porównuje ze sobą. Nagle wzrasta respekt wobec stetryczalego Danhorna.

Znanych jest sześć przypadków, w których spróbowano ucieczki w sposób dobrze przemyślany.

Tak więc jest Forell, który wykazał się zuchwałością, ale nie taktyczną zręcznością. Jest Bauknecht, który przyłożył do wolności błędne wzorce. Dwóch ludzi odnaleziono czterdzieści godzin po opuszczeniu obozu, w odległości niecałych dziesięciu kilometrów. Uciekli spontanicznie podczas niedzielnego urlopu. I jeszcze opowiada się o dwóch wypadkach, które nie wzbudziły dużego poruszenia, bo zakończyły się szybko powrotem prosto do sztolni pod kilkoma ciosami kolb. W naiwności całego przedsięwzięcia nawet Rosjanie nie dostrzegli wystarczających powodów do karania. To, że nie udała się jeszcze ani jedna próba, nie odbiera wiary w możliwość powodzenia. Danhorn cieszy się u kolegów zaufaniem. To byłby chyba ten człowiek, z którym można by się na to poważić. Ile sam Danhorn nie wniesie siły fizycznej i wytrzymałości, tyle oczywiście w zdwojonej ilości muszą wnieść partnerzy. Ale temu upartemu typowi, który z powodu okularów nie wygląda na mądrzejszego tylko na bardziej naiwnego, każdy przypisuje dobrą znajomość mapy. A w obcym kraju to najwartościowsza część wyposażenia.

Danhorna dopada rozprzestrzeniająca się jak zaraza ciekawość, kiedy, jak i w jakim kierunku miałyby się odbywać ucieczka. Skoro pogłoska jest już na ustach wszystkich,

Danhorn postanawia nie uchylać się od odpowiedzi, lecz wyjaśnić, że on sam nawet w najmniejszym stopniu o czymś takim nie myśli. Jeśli jednak ktoś inny chciałby spróbować, to służy mu całą swą, niestety niedostateczną, wiedzą.

- A zresztą, jeśli nie będzie to nikt z naszej sztolni, niepotrzebnie się podniecamy. Ścieżkę zdrowia przeprowadza się każdorazowo wśród własnych ludzi.

- Przy Bauknechte było inaczej.

- To jest sprawa ludzkiej przyzwoitości. A w naszej sztolni jesteśmy, co sobie poczytuję za zaszczyt, przyzwoitymi ludźmi. Wyjątki potwierdzają regułę.

Dla wszystkich jest zresztą jasne, że Danhorn włączy się w sprawę nie dlatego, że sam tego chce, lecz dlatego, że ktoś inny go potrzebuje.

Tylko jeden zmierza w tej kombinacji do innego celu. Hagelin jest zbyt mądry, by dać się okpić mętными rozmowami. Od dawna przeczuwa bezpośredni związek między małym Alfonsiem Matternem a Heinzem Dechantem. Gdy Mattern śpi już od dawna, puka go w ramię.

- Jak to planujecie, Alosza? Ty i Dechant?

- Czego chcesz ode mnie?

- Chciałbym się czegoś dowiedzieć. Ale jeśli chcesz teraz spać, to mam czas, do jutra lub pojutrze.

Alfons jest tak rozbudzony, jakby go wytarzano w śniegu. Ale Hagelinowi rzeczywiście się nie śpieszy. Nie. Może poczekać kilka dni, nie przegapiając oczywiście właściwego momentu. Nie pyta już o nic i wkrótce zasypia. Alfons boi się następnego dnia, bo znów będą razem pracować, a Hagelin będzie przy nim czyhać, bardzo długo czyhać, zanim na nowo wystrzeli pytaniem. Ze strachu nie może zasnąć, a ze zmęczenia czuwać. I unosząc się w niepewności między jawą a snem, trzyma w dłoniach gardło silnego sąsiada z legowiska. Ale nie w rzeczywistości. Kiedy dwudziestolatek otwiera zbudzony oczy, żeby sprawdzić, gdzie się znajduje, Hagelin śpi po swej stronie głęboko i głośno. Żeby go udusić, musiałby przyjść ktoś silniejszy. Gdyby go jednak udusić, nie zawisłoby już między nimi niejasne pytanie o powiązania. Późno i bez spokoju dającego odprężenie zasypia znowu. Już nie śnią mu się zaciśnięte na szyi dłonie.

Leibrecht nie chce spełnić życzenia Matterna i przydzielić go do tragarzy. Uważa, że Mattern jest na to zbyt słaby. Alfons z kolei nie ma odwagi powiedzieć o chęci uwolnienia się od Hagelina. Boi się, że mogłoby to do niego dotrzeć i zostać źle odebrane. W końcu Hagelin, jeśli patrzeć na sprawy tylko powierzchownie, jest dla niego dobry. Dzieli się z nim swoją porcją chleba, bierze na siebie, gdziekolwiek razem pracują, cięższą część pracy. Ale jest

męczący i ciągle wypytuje. Chce być ważny. Wie, że większość ludzi mimo braku zaufania szuka z nim kontaktu, bo się go obawia. A on się tą obawą napawa.

Mattern czuje się zagrożony, a Hagelin bawi się jego strachem. Zapewne nie opowie Rosjanom ani o swoich domysłach dotyczących chłopca, ani o przeczuwanych planach ucieczki Dechanta. Także boi się konsekwencji. Ale prowadzi perfidną grę w tej sprawie.

- Czy nie chciałeś mnie dziś jeszcze o coś spytać, Alosza?

- Nie - odpowiada Alfons powściągliwie. - Raczej sędzę, że ty chciałeś mnie o coś zapytać, o coś, czego nie wiem.

- A tak! Sprawa z tym Dechantem - Hagelin udaje niezainteresowanego i dalej uderza kilofem w kamień. - Dlaczego chciałeś dziś, żeby przydzielili cię do tragarzy?

Alfons jest zakłopotany, nie znajdując prawdopodobnej odpowiedzi.

- Myślałem, że ta praca jest na dłuższą metę zdrowsza.

- Moglibyśmy we dwóch zamienić się z parą tragarzy. Stwierdzenie to pada dość nieoczekiwanie i zanim Alfons się spostrzeża, mówi „nie”. Wyrywa mu się to nawet dość gwałtownie z ust.

- Byłoby wtedy łatwiej porozmawiać ze sobą, i to bez świadków.

- Jeśli tak sądzisz?

Alfons chciałby powiedzieć nie, ale boi się Hagelina i akceptuje propozycję.

Para tragarzy zamienia się z nimi na pół dnia. Mattern i Hagelin noszą kosze napelniane ciężkim materiałem przez Leibrechta, który chce ich oduczyć specjalnych kursów. Są też inne powody. Chociaż Leibrecht nie chce się do tego przyznać, boi się Hagelina i jego gry, w którą ma być wplątany Mattern.

- Chodzi o Dechanta i jego plan ucieczki - nawiązuje po drodze bezpośrednio do sprawy Hagelin.

- Nic nie wiem o żadnym planie ucieczki. Naprawdę nic.

- Zwieje. To pewne.

- Jeśli chce, to mu pozwól! Nie mogę mu przeszkodzić. Nie mogę mu przemówić do rozumu. Ze mną się czegoś takiego nie omawia.

Alfons jest bardzo nieszczęśliwy. Przeczuwa tę ucieczkę i życzy jej sobie, i chciałby, jak to potrafił jeszcze przed laty, modlić się o to, by ucieczka się udała. Nieszczęśliwie jednak Hagelin o niej wie i nie może przestać o tym rozmawiać.

- Kiedy cię wyciągną?

- Mnie? - pyta Mattern zdziwiony. Teraz nic już nie rozumie.

- Chodzi przecież o ciebie. Wiem. Nie da się przede mną nic ukryć, nawet gdyby ludzie zrobili sobie węzeł na gardle, żeby im się słówko nie wymknęło. Ty jesteś z Leibrechtem, Forellem i tymi ludźmi. To wiem także. Oni ci oczywiście pomogą wyjść z kazamaty. Ale nie wiedzą, że popełnią tym samym na tobie zbrodnię.

Alfons nic już nie pojmuje. Hagelin pojmuje, ale myli się.

Kiedy wieczorem w zupie ma być ryba, każdy jeniec wie o tym już dwie godziny wcześniej. A potem nie zawsze jest ryba. Jeśli jakiś jeniec chce uciec, a przedtem nie mówi się na ten temat ani słowa, wszyscy czują to nosem. Najczęściej jednak do tego nie dochodzi. Hagelin zwierzył, że Dechant chce uciec. Kiedyś Forell wypowiedział imię Alfonsa w powiązaniu z nazwiskiem Dechanta. Doktor Stauffer zabrał Matterna z kopalni tamtej nocy. Był nieostrożny, bardzo nieostrożny.

Ale dlaczego Hagelin nie potrafi znieść myśli, że Alfons mógłby uciec z Dechantem? Być może sam tego nie wie. Pachniało rybą, a była zupa na samych krupach. Czasami tak jest z plotkami. Mówiono równocześnie o Dechancie i Matternie, a więc jeśli jeden chce uciekać, plany ucieczki dotyczą też drugiego.

- Możesz zaprzeczać, ile chcesz. A ja wiem.

- To nieprawda, Hagelin. Od czasu, kiedy usłyszałem o Willim Bauknechcie, nie mam ani krzty odwagi na coś takiego.

- Tak tylko mówisz.

- Nie powiem nic więcej. Jestem zmęczony. Nie chcę, żebyś tyle mówił o Dechancie.

- Jak będzie trzeba, będę mówił jeszcze więcej.

- Co masz na myśli? - Alfons czuje, jak mu się uginają kolana.

- Są środki, by zapobiec ucieczce, sprowadzając na wszystkich największe nieprzyjemności.

Wieczorem dla Leibrechta jest oczywiste, że Alfons Mattern nie może wykonywać pracy tragarza. Przerywa samowolę i znów przydziela Hagelina oraz chłopca na przodek. Mattern jest błądliwy i niespokojny, a do pracy zabiera się dziwnie niezgrabnie, cofając przed każdym odłupującym się kawałkiem kamienia. Nie mówi już ani słowa.

Nie rozmawia z Hagelinem przez jeden dzień, przez drugi, przez trzeci.

Dwie godziny przed końcem pracy trzeciego dnia ze sklepienia odrywa się poluzowany kamień skały. Hagelin stoi pod plafonem i woła:

- Przerwać! Nie uderzać!

Jednak dokładnie w tej chwili Alfons Mattern uderza w klin rozwierający.

Z bliskiej odległości w skąym świetle Leibrecht widzi, z jakim pośpiechem i siłą Alfons bierze zamach młotem. Oderwany kawał sklepienia ma jakieś półtorej tony. Uderzając w ziemię, rozpada się na dwie części. Hagelina już nie widać. Alfons Mattern, jedynie draśnięty przez mniejszy kawałek, upada na kolana. Musi dopiero opaść pył, żeby dało się rozpoznać, co znaczył jego przeraźliwy krzyk.

Kiedy na miejsce wypadku przybywają Rosjanie, oficer z trzema ludźmi, kamień jest już na tyle podniesiony, że można spod niego wyciągnąć Matterna. Ma od kolan w dół połamane nogi. Groźniejsze jednak wydaje się zranienie spowodowane odłamkiem kamienia, który uderzył Alfonsa w ramię. Oficer decyduje o odprowadzeniu rannego do lazaretu, a pracę pozwala kontynuować dopiero wówczas, gdy spod większego kawałka skały wydobyte zostaje zmiażdżone ciało jeńca Hagelina. Jest już po północy.

Ponieważ człowiek ma tu swoją wartość, sporządzany jest obszerny protokół. Pracującym na przodku może grozić postępowanie sądowe. Leibrecht melduje, że jest jedynym współwinnym, ponieważ w chwili nieszczęścia nie było na miejscu nikogo innego. Oficer patrzy mu w oczy, zaciskając ciasno wargi i daje znak, że może odejść. „I takie coś chce być niemieckim oficerem” - mówi jego pogardliwe spojrzenie. Facet płacze.

Nie pozwalają pogrzebać Hagelina kolegom z kazamaty. W ten sposób nigdy się nie dowiedzą, gdzie jest pochowany. A ci, którzy się go bali lub nienawidzili, nie muszą się martwić, że pod piachem i kamiennym żwirem będzie dzielił miejsce ostatniego spoczynku z Alfonsem Matternem, który następnego dnia rano umiera w lazarecie w wyniku ciężkich obrażeń wewnętrznych.

Leibrecht sądzi, że jest jedynym, który w chwili katastrofy przejrzał zamiar Matterna. Przypuszcza, że zna powody, jakie pchnęły chłopaka do tak rozpaczliwego czynu. Nie należy go o to pytać.

Wiadomość, że również Alfons nie żyje, potrzebuje trzech dni, żeby przedostać się do więźniów. Doktor Stauffer, jak się twierdzi, rozmawiał ostatniej nocy z ciężko rannym, a u Rosjan jeszcze długo nie było spokoju z mnożącymi się przesłuchaniami. I jak zapach nieistniejącej ryby przedostaje się do nich, że Hagelin świadomie i z premedytacją zabił młodego Matterna, przy czym sam wpadł pod kamień. Szukają przyczyn tego przerażającego zamachu, ale ich nie znajdują.

Hagelin był niebezpieczny i w pewnym stopniu szalony. Chorobliwie dążył do tego, by zwrócono na niego uwagę i obdarzono uznaniem. Nie potrafił znieść, że ktoś inny młodemu i bezradnemu Alfonsowi Matternowi mógłby zaoferować więcej ochrony, pomocy i męskiego patronatu niż on sam.

Gdyby wiedział lub choćby przeczuwał, jak się sprawy miały!

Pod koniec września, kiedy Rosjanie zamykają swoje akta w sprawie winy i podejrzeń, doktor Stauffer zawiadamia Heinza Dechanta, że musi działać. Nie da się z dnia na dzień zaaranżować choroby i dostatecznie szybko wyzdrowieć, żeby przetrzymać trudy ucieczki.

Dechant przeszedł już niemal wszystkie zwykłe choroby obozowe i nie chce budzić podejrzeń o wymigiwanie się od roboty, dlatego tym razem postanawia doprowadzić do wypadku. Odkąd rozeszło się, że w jednej ze sztolni dwóch ludzi znalazło śmierć pod kawałkiem odlupanego sklepienia, wypadki mogą budzić szczególną czujność Rosjan. Dechant weźmie zatem jako świadka albo nawet jako winnego Rosjanina. Wówczas będzie to wyglądało wiarygodnie.

Hałda żwiru i kamieni obok zsypu rudy obiecuje piękny upadek ze znakomitymi ranami na skórze. Może jest nawet za wysoka i za stroma, grożąc usunięciem się większej masy rumowiska, ale Rosjanie, na co Dechant liczy, i tak pomogą. Nie wiadomo jednak, ile potrwa, zanim strażnik zrobi Dechantowi przysługę, potknie się i zatoczy na jeńca, kiedy ten będzie przechodził obok z pełnym koszem w pobliżu krawędzi.

Rosjanin robi swoje znakomicie. Potykając się, chwyta powietrze, a Dechant wchodzi mu dokładnie pod rękę, krzyczy, wypuszcza ucho od kosza i robi fałszywy krok w rumowisko. Nie wyobrażał sobie tego tak gwałtownie, boleśnie i niebezpiecznie. Kamienie mają ostre krawędzie i rozdzierają waciak oraz spodnie, rozcinają dłonie, uda i twarz, tak że przewrócony robi wrażenie poważnie rannego. Rosjanie, jak oczekiwał, spieszą na pomoc z prawdziwym współczuciem. Wśród jęków i posykiwań Dechant podciąga się na zamrożonej ziemi, próbując podnieść o własnych siłach. Nie da rady. Pewnie by się udało, bo żadna kość nie jest złamana, lecz kontuzja musi wyglądać na poważniejszą.

Rosjanie wnoszą go na górę okrężną drogą, a czas akcji ratunkowej powoduje, że po gołej skórze płynie krew. Ranny wygląda wspaniale, ale też, co przyznają Rosjanie, w porządku z niego chłop, bo kiedy strażnik, którego Dechant tak umiejętnie wrobił, zabiera się do przepaszania, ten uśmiechając się, z wykrzywioną i posmarowaną krwią twarzą mówi tylko: „Szkodzi nic.”

Szkodzi nic - to od dawna część wspólnego języka. Dechant wprawdzie straszliwie jęczy i dla większego efektu raz za razem utyka, kiedy dwaj Rosjanie dostarczają go do lazaretu, ale kiedy przejmuje go doktor Stauffer, jeszcze raz z uśmiechem mówi: „Szkodzi nic.”

- Tanim kosztem pan tego sobie nie załatwił - stwierdza sucho doktor Stauffer, kiedy czyści zranione miejsca. - Ktoś inny zginąłby przy takim upadku.

- Czy stało się coś poważniejszego?

- Pan ma kości z żelaza. Trzy dni lazaretu.

Wracz zgadza się, że części odzieży, które zostały rozcięte przez ostre kamienie oraz te, które rannemu trzeba było rozcinać na ciele, nie nadają się na nadchodzącą zimę. Stara się więc w komendanturze o inne, wprawdzie nie nowe, ale wciąż dobre do noszenia. Wśród pociętych rzeczy są też buty z cholewami.

Dechant ma nadzieję, że zostaną wymienione na lepsze. Niestety, gdy odzyskuje siły, przy łóżku stawiają mu taką samą parę filcaków. W tych butach nie może pójść w daleką podróż na piechotę.

Dechant już wie, jak unikać strażnika, przechodząc do innego pokoju i po dwóch dniach ręczo, choć w bólach, przebywa drogę po schodach aż do pokoju lekarza.

- Dobry wieczór, Stauffer.

- Dechant, to pan?

Jeszcze nikt, odkąd doktor tu przybył, nie odważył się tak do niego zwracać. On sam pozostaje wobec każdego przy „pan”. Doktor Stauffer nawet do śmierci, gdyby weszła którejś nocy przez drzwi, zwróciłby się formalnym „pani”. Lubi dystans i nawet ludzi, dla których ryzykuje głową, trzyma od siebie z daleka, na odległość wymaganą przez szacunek.

Zabiera się za płytę sklejkową ze ściany, wyjmując ją z listew, oglądając się dla ostrożności na drzwi.

- To coś niech pan najlepiej nosi na gołym ciele, trzeba uważać nawet we własnych szeregach.

- Aha! Mapa!

- Czyściutko wyrysowana. Danhorn nie może wziąć odpowiedzialności za niedokładność skali. Rzeka, która w tym miejscu płynie mniej więcej takimi zakolami, niekoniecznie musi tak wyglądać, jak narysowano. Mówię w imieniu Danhorna. W zimie nie będzie pan mógł czasem znaleźć ani kawałka lodu tam, gdzie narysowano rzekę. Ale latem powinien pan się liczyć z tym, że dojdzie do potężnych rzek, które nie są zaznaczone. Czasem zdarzy się, że będzie pan sądził, iż dotarł do morza, które w rzeczywistości jest rzeką. W takich wypadkach, jeśli jest pan cierpliwy, najlepiej czekać tak długo, aż z morza znów stanie się rzeka, najlepiej do najbliższej zimy.

- Oszalał pan, doktorze? Przecież ja chcę do domu!

- Panuję nad swymi zmysłami.

Stauffer odpowiada ostro. I Dechant przeprasza.

- To przechodzi ludzkie możliwości, chciałem powiedzieć. Doktor Stauffer otwiera ścianę jeszcze kawałek szerzej.

- Jak zanieś pan te rzeczy do sztolni?

- Proszę pana o położenie tego wszystkiego na dworze, w dniu, który jeszcze uzgodnimy. Na przykład tam koło kamieni. Wiem, że proszę o wiele.

- Dobrze. Ile ciężaru może pan ponieść? Musi być bardzo dużo ususzonego chleba, spora ilość machorki, a przede wszystkim suchy spirytus. Jest pan bardzo silny. Niestety, na początku, kiedy będzie pan pokonywał najdłuższe odcinki dzienne, ciężar musi być największy. Poniżej trzydziestu kilo nawet nie ma pan co zaczynać.

- Poniosę, co pan uzna za konieczne.

- Nigdy nie podchodzić w pobliże wybrzeża! Poczuj pan po wietrze, kiedy się zbliży do wybrzeża.

Doktor Stauffer sucho wygłasza swoje porady. Dechant słucha i rozumie tylko tyle, że szansa na niego nie czeka.

- A propos, Dechant, jeszcze coś. Nawet najlepszym przyjaciołom nie może pan dawać do zrozumienia, że idzie. Nie wie pan, kto zechce zasłużyć sobie na przykład na butelkę rozcieńczonej wódki, meldując Rosjanom o pańskim zamiarze. Raz był pan już bardzo blisko tego, żeby ze swym planem wpaść im w ręce.

- Do takich łajdactw jestem przyzwyczajony. Siedzę tu za taką podłóżką.

Doktor Stauffer wciska powoli płytę sklejkę pod listwy ramy.

- Wiem. Młody mężczyzna nazwiskiem Alfons Mattern.

- Młody? To wie pan więcej niż ja.

- Alfons Mattern nie miał jeszcze siedemnastu lat, kiedy wyprawił pana swymi zeznaniami na Syberię.

- Być może.

- Czy mówi coś panu nazwisko Hagelin? Nie? Mężczyzna około trzydziestki. Zdrowy, silny, o ile po trzech latach w kopalni ołowiu można jeszcze być silnym i zdrowym. Nie znał go pan? Nie? On pana też nie znał. Ale wietrzył jak dziki zwierz i pewnego dnia wiedział, że chce pan dać nogę, że Danhorn narysował dla pana mapę. Przyznaję, byłem nieostrożny. Ale najdziwniejsze, że ten Hagelin wiedział więcej niż my wszyscy. Kiedy otwarcie przyznał, że zamelduje Rosjanom o pańskim zamiarze ucieczki, na łeb spadł mu kawałek sklepienia jaskini o ciężarze kilku ton. Leży pochowany gdzieś tam na zewnątrz. Tu jest zapisany adres jego rodziców. Nie wiem, czy to rodzice. Jeśli nawet nie możemy szanować jakiegoś

człowieka, to najbliżsi nie zasługują, by wciąż nie wiedzieć, co myśleć, kiedy zadają sobie pytanie, czy syn, mąż lub brat jeszcze żyje, czy może zakończył życie.

- Wezmę ten adres ze sobą i, jeśli wrócę do domu, zawiadomię jego bliskich.

- A propos, adres Alfonsa Matterna, żeby panu ułatwić poszukiwanie, też mogę dać.

Twarz Dechanta, zniekształcona ranami ciętymi, robi się blada. Usta ma otwarte. Właśnie chciał powtórzyć nazwisko i nie zamknął ust.

- To jest, sądzę, adres jego siostry.

- A on sam? - Dechant wstaje. Lekarz sadza go na powrót na stołku.

- Szkoda, że mamy noc. Inaczej mógłbym panu w przybliżeniu pokazać przez okno dokładne miejsce, gdzie leży. Zna pan przecież Rosjan. Z grobami i kultem zmarłych nie robią sobie wiele kłopotu, nawet jeśli umiera ktoś z nich. I tak położyli Alfonsa Matterna po prostu obok Hagelina, który chciał Rosjanom zameldować o planie ucieczki sierżanta Heinza Dechanta i zdaniem Matterna nie można go było zmusić do milczenia inaczej niż kilkutonową skałą. Co chce pan jeszcze wiedzieć o swojej trasie i moich życzeniach na niebezpieczną drogę?

Heinz Dechant opuszcza izbę doktora dopiero nad ranem. Ciągle myśli o tym, co powiedział Stauffer o swojej rozmowie z Matternem w jego ostatnią noc.

- Niech mi pan poda dokładny dzień, w którym zamierza wyruszyć! Niech pan dobrze schowa mapę. Niech pan się strzeże zbyt dobrych kolegów! A kiedy pana zatrzymają, niech pan nie podaje od razu mojego nazwiska jako pańskiego pomocnika. Jeśliby jednak bardzo pana torturowano - wie pan przecież, Rosjanie mają talent do takich spraw i dowiadują się też rzeczy, jakie się nie zdarzyły - to jeśli mnie pan wyda, z pewnością nie uznam tego za tchórzostwo. Przy odrobinie szczęścia zostaną posłany do kopalni, w przypadku mniej korzystnym także i pan nie będzie mógł powiadomić mojej rodziny, że skończyło się źle. Gdyby pana ucieczka się powiodła, niech pan będzie tak dobry i przedstawi mojej żonie życie tutaj tak znośnym, jak mi przypadło. Tylko jedno - niech jej pan lepiej nie robi nadziei na mój powrót. Dechant, mój drogi, dużo szczęścia!

Kiedy Dechant z zaleczonymi bliznami wraca do kazamaty, doktor daremnie czeka na znak, że ma w nocy wyłożyć wyposażenie do ucieczki.

Stauffer odznacza się wielkim spokojem, chociaż wie, kiedy dotknie rozpiętej na swojej drodze pajęczyny śmierci. Rak. Pacjentom wielokrotnie stawiał tę diagnozę. Przez lata pracy zawodowej nauczył się upiększać prawdę, bo trudno człowiekowi tak po prostu przyjąć wyrok śmierci. Sam też dostatecznie długo szedł drogą na skraj płaczliwej żalności, zanim

zebrał się w sobie i opanował. Sądził, ale jedynie sądził, że choroba nieszczególnie się spieszy. Ale ten Dechant nie powinien za długo czekać.

Dechant jest w kawernie i nie zgłasza się. Nie można by mu wziąć za złe, gdyby stchórzył. Prawdopodobnie i tak nie jest człowiekiem z dostatecznie barbarzyńskimi cechami pierwotnymi, żeby przetrwać to ryzykowne przedsięwzięcie. Raz już mu to wszystko powiedział.

Wreszcie chory z kazamaty Dechanta przynosi wiadomość:

- Dechant każe panu powiedzieć, że zostaje.

Dopiero dużo później pojawiają się szczegóły. W chwili, gdy nie ma już nienawiści do Alfonsa Matterna, psuje się sprężyna napędowa mogąca prowadzić Dechanta przez całą półkulę i zawodzi go zaufanie do samego siebie. Inteligencja, wyłączona po zawarciu spowodowanym nienawiścią, znów podejmuje swoją funkcję. Jego prostacki śmiech, służący za maskę dla nieśmiałej w gruncie rzeczy osobowości, traci na dźwięczności i staje się rzadszy. Koledzy nie całkiem go rozumieją, ale uspokaja ich to, że z jego słownika znika słowo ucieczka. Właściwie chcieliby powiedzieć, że stał się tchórzliwy, ale nie uda się tego tak uprościć, jeśli ktoś rezygnuje, bo spostrzega, że ma niewystarczające siły. Zresztą ludzie intelektualnie wrażliwi są chyba mniej odważni.

Szkoda pięknych zapasów na drogę, które wciąż leżą przygotowane za ścianą ze sklejki.

Przy okazji Dechant każe dostarczyć lekarzowi kompas i zwrócić mapę. Jeśli ktoś inny miałby się odważyć, to z całego serca dołącza swoje najlepsze życzenia.

Wiosną, kiedy śnieg znika i odsłaniają się pierwsze połacie ziemi, jeńcy wychodzą ze swych jaskiń. Stoją w bladym słońcu, jeśli przebiją się przez chmury, i myją śniegiem, by znów wyglądać jak ludzie. Dechant wstydzi się odwiedzić doktora, ale nie wstydzi się pytać o miejsce, w którym pochowani są Hagelin i Mattern. Nikt nie umie mu go wskazać. Willi Bauknecht, mniej utykający niż ostatniego lata, uparcie odwiedza swój kamień, żeby w słabym cieple oczekiwać na nim na dźwięk gwizdka sygnalizującego powrót do jaskiń. Wciąż jeszcze milczy i marnieje. Prawdopodobnie utracił zdolność mowy.

Leibrecht pędzi swych ludzi do mycia w resztkach śniegu i wciąż ma oparcie w swym geście, który stał się niemal mechaniczny. Wewnątrz jaskini i w porze nocnej, kiedy czuje, że ruszają mu się zęby, przyglądanie gładko wygolonych włosów na skroni nie zawsze pomaga.

Ludzie chorują częściej niż przed rokiem. Wielokrotnie obywa się jednak bez gorączki i wracz odmawia przyjęcia do lazaretu. Szkodzi nic.

Jednego z kazamaty Leibrechta musi zabrać, bo gorączka jest wyraźnie wyczuwalna.

Clemens Forell do końca lipca nosi kosze. Potem prosi, by przynajmniej jeden dzień poza kolejnością mógł poleżeć na chruście. Dwa dni później przychodzi lekarz.

- Forell, co z panem robimy? - doktor Stauffer stoi przy łóżku i spogląda po badaniu na silną muskulaturę ramion pacjenta.

- Pasuje mi wszystko, co na długo da mi dyspensę od pracy.

- Zapalenie płuc.

- Jeśli osiągnie to cel, niech będzie zapalenie płuc. Nie jestem ciekaw kazamaty. Skazani zostaliśmy w gmnie czterdziestego piątego. Teraz mamy... teraz mamy...

- No, no Forell! Pamięć słabnie?

- To tylko to świńskie samopoczucie, gorączka.

- Czterdziesty dziewiąty.

- Zgadza się. Czterdziesty dziewiąty. A już też nieważne. Potem gapi się w drewniany sufit i przejmując tym, że doktor

Stauffer opuszcza izbę.

Latem czterdziestego siódmego stało się to z Willim Bauknechtem. Latem czterdziestego ósmego Alfons Mattern doprowadził do tragicznego końca przypadek Dechanta, jeśli chce się nazwać tragicznym to, co jakiemuś człowiekowi zapewniło życie. Oczywiście życie w warunkach, które mogą wydawać się niewarte życia. Latem czterdziestego dziewiątego dla takiego człowieka jak Forell, dla którego kiedyś nawet niebezpieczna przygoda wojenna oznaczała męską przyjemność, dostatecznym wybawieniem jest kilkutygodniowy urlop od kazamaty i przyjemne łóżko dla chorych. Rachunek ważny jest tylko przez te trzy, może cztery tygodnie. Potem wszystko znów zniknie w ołowianej dziurze, która swoje światło czerpie z olejowej lampy.

Życie w ołoiu też jest życiem.

Rosjanie są w najwyższym stopniu nieobliczalni, ale przy wszystkich swoich humorach nie są ani niesprawiedliwi, ani twardzi poza ludzką granicę. Kuchnia, dotąd obsługiwana przez nich, jest od ostatniej zimy sprawajęców wojennych, którzy gotują smaczniej, gdyż otrzymywane środki żywnościowe oceniają rozsądniej i znajdują dość wody, żeby umyć przed gotowaniem ziemniaki przybyłe pierwszym letnim statkiem.

Nie ma bicia. Nie ma kopania. W pracy nie jest wymagana żadna norma, której niewykonanie mogłoby zmniejszyć rację chleba. Ale chleb, pieczony nie z mąki, lecz z pokruszonego ziarna, jest wewnątrz tak mokry i kleisty, że pozbawienie go nie mogłoby pobudzić do zwiększonej wydajności. Nowy, ostrzejszy ton pojawia się czasem, gdy wśród Rosjan widać nowe twarze. Jak się odbywa wymiana, nikt nie wie. Najpóźniej po trzech

latach znikają wszyscy znani strażnicy, a przychodzą nowi. Kiedy już nauczą się kilku słów po niemiecku, ich wyszlifowane przez doktrynę kanty lekko się zaokrągłają. I potem zaokrągłają się wciąż bardziej. O ile któryś więzień nie próbuje nieudanej ucieczki, nie stosuje się brutalnej siły. Praca jest mozolna i z czasem coraz bardziej tak się ją odczuwa, aczkolwiek rutyna pozwala ją jakoś znieść. Skała nigdy nie jest nienaruszalna, choć czasami wydaje się gładka i niedostępna. Klimat nie jest tak syberyjsko straszny, zwłaszcza po pierwszym załamaniu zimowego chłodu. Da się żyć, ale łatwiej da się umrzeć.

Ociężałe, niemal sprawiające przyjemność zmęczenie objawia się nie w mięśniach, a w mózgu, w ospałości myślenia, zupełnie bezsensownym liczeniu wyniesionych koszy, w ciągnących się godzinami wieczornych rozmowach o rzeczach banalnych. Przeradza się to w spanie na jawie, a śpiący coraz trudniej podnoszą się rano nie całkiem jeszcze zbudzeni przez pierwsze godziny dnia.

Lekarz codziennie przychodzi do więźniów. Bada ich dotykiem i za zdrowych uznaje tych wszystkich, których stan nie objawia się temperaturą. Jeśli więc jedynie gorączka kwalifikuje do lazaretu, starzy praktycy temu pomagają. I tak trwają kolejne turnusy, na których każdy co kilka lat może spędzić co najmniej trzy lub cztery dobre tygodnie.

Forell trafia tam poza kolejnością. Jego zapalenie płuc jest mu obojętne, ale lekarzowi już nie. Wiele dla niego zrobić nie może. To, czym dysponuje podręczna apteczka, to środki uśmierzające ból i mikroskopijne ilości sulfonamidów. Pacjent jest jakieś dziesięć dni przypadkiem krytycznym. Doktor Stauffer całymi nocami leży ubrany na łóżku, zaglądając do niego co godzinę. Kiedy spogląda na rosnącego mężczyznę, na jego dziwnie żółtą twarz z silnie zaznaczonymi kośćmi policzkowymi, widzi w nim znów jego brata, kolegę ze studiów w Tybindze. Dla tego chorego trzeba zrobić coś więcej niż zazwyczaj, zatrzymać go tydzień dłużej w lazarecie, być odrobinę stronniczym.

Jako tako zrównoważona rozmowa z Forellem możliwa jest dopiero po trzech tygodniach.

- Jaki ma pan właściwie rozmiar butów, Forell?

W izbie dla chorych jest przyjemnie, bo już od południa świeci słońce. Wprawdzie Pajęczyna dostrzegłaby najdrobniejszy kurz, ale jak często w końcu zdarza się, że promienie słoneczne przedzierają się przez morską mgłę? Forell spogląda na odkryte, oparte o kant łóżka stopy, bo tylko to mogło być powodem pytania Stauffera. Jego stwardniałe od ukośnego podchodzenia z koszami podeszwy stóp są blade jak pergamin. Śmiejąc się, odpowiada:

- Czterdzieści cztery.

- Hm. Czterdzieści cztery.

- Wiem. To niezły rozmiar! Ale nie chcę narzekać na ten spadek po moim ojcu. Był wielkim wędrowcem wśród górskich kwiatów i urodziwych kościołów. Od młodych lat nauczył mnie, jak trzeba chodzić, żeby się nie męczyć.

- Hm. A jak się pan czuje?

- Jak Mongoł. Pajęczyna dała mi wczoraj zajrzeć w odłamek lustra. To robota pańskiego prontosylu.

- Czymże innym miałbym się dobrać do pańskiej historii? W każdym razie było to lepsze niż nic. Ale to nie jedyna przyczyna pańskiego żółtego koloru. Już wcześniej zaobserwowałem u pana to woskowe świecenie jako oznakę choroby lub wyczerpania.

- Dobry kolor maskujący na wypadek, gdyby wracz znowu chciał zwolnić łóżka.

- Na razie nie potrzebujemy jeszcze koloru maskującego.

Doktor Stauffer spogląda przez okno na piękny sierpniowy dzień. W słońcu nawet kraina wygnanych wydaje się czarodziejska. Nigdy dotąd nie zauważył, że ta mokra szarość jest prawdziwą zielenią. Miłosierna iluzja słonecznego dnia ukazuje grzbiet płaskowyżu tak, jakby całą okolicę porosła mocno zwarta trawiasta blizna, przzerwana gdzieniegdzie przez głaz narzutowy. To tylko mech. Ale łąki w domu, kiedy przejdzie po nich mróz zimowy, oszraniając soczysty kolor, nie wyglądają inaczej. Łąki w domu...

Forell czuje na rękach, jak słońce grzeje przez szyby.

- Niedługo będzie zimno.

- Ostatniej nocy był już lekki mróz.

O czymże oni rozmawiają? O rozmiarze butów, lekarstwach, kolorze choroby, słońcu, marznięciu i znów o rozmiarze butów. Wreszcie pierwszy raz pada imię Kathrin.

To dobry znak. Ale ten olbrzymi chłop o żółtej twarzy to już nie dawny Forell, który nawiał dzielnemu żołnierzowi Wasilijowi, a pojmany sądził jeszcze, że koledzy będą symulować ścieżkę zdrowia. Wówczas, jak się wydaje, zabito w nim skłonność do przygód. Forell przyjął format robotnika dniówkowego, który w polu widzenia ma zupę, herbatę i chleb. Kathrin byłaby znów innym życiem. Mój Boże, tak! Myśleć tylko o Kathrin, usuwając odległość i uważając ją za nie do pokonania tylko dla ciała, które stało się leniwe.

Kathrin to dobry znak.

Doktor Stauffer idzie do swoich spraw. Być może podczas kolejnej wizyty Forella w lazarecie troszczyć się o niego będzie już inny lekarz albo felczer.

W swoim pokoju lekarskim na górze Stauffer zdejmuje płytę sklejkę ze ściany i wyciąga worek przypiekanego chleba, próbując, czy czasem nie rozmiękł lub nie zaczął pleśnieć. Już czas, skoro znów zacznie się palenie w piecach, żeby usunąć wilgoć z domu i z

chleba. Te przeklęte zamglenia przez całe lato! Ale jutro ozdowieńcy przyniosą węgiel i napalą w piecach.

Rok się przecież kończy.

Opieszale i jakby nieobecny odwiedza doktor Stauffer dwa razy dziennie każdą izbę i każde łóżko, często zjadliwie formułując odpowiedzi na pytania chorych. Jego nastrój jest jak zawsze raczej ironiczny. Czasami u jego boku idzie Pajęczyna, brudząc sobie palec o zakurzone krawędzie łóżek, podczas gdy Stauffer rozmawia z pacjentami. Pajęczyna lubi go takim. W jej szarym życiu także cień lekarza pada szary. Każdego podejrzewa o plany urwania się i ucieczki, tylko nie doktora Stauffera. Jego można bez wątpliwości wypuścić na świat, na powierzchnię, ponieważ zupełnie nie jest zdolny do czegoś innego niż myślenie lekarskie.

Ale w ścianie za sklejkową płytą leży przygotowany zapas, który mógłby przeprowadzić zuchwalca przez głód i surowy klimat. Czy banknoty rublowe coś znaczą w kraju reniferów, tego doktor Stauffer nie wie dość dokładnie. Przypuszcza, że nie. Inaczej Rosjanie, kiedy bywali chorzy i dzięki wysiłkom lekarza lub własnej odporności znów powracali do zdrowia, nie dokładaliby do rubli wsuwanych doktorowi do kieszeni jeszcze kilku paczuszek machorki. Dawanie pieniędzy więźniowi jest zakazane, ale tanie. Dawanie machorki nie jest zakazane, przynajmniej wyraźnie, ale bardziej się liczy. Stauffer stopniowo nagromadził jednego i drugiego, zarówno banknotów, jak i machorki. Jest też chleb, suchy spirytus i niemiecka składana kuchenka do noszenia w kieszeni.

Wnyki na Syberii wyglądają jak wszędzie. Tylko drut jest chyba twardszy. Kruchy, elastyczny mógłby się otworzyć, gdyby złapane zwierzę zachowało spokój. Jednak takim spokojem charakteryzuje się tylko człowiek. Ale od ciągłego czekania tępieją zmysły.

- Cóż pan tam ma?

Ktoś inny myśląc, że jest sam w pokoju, przestraszyłby się przy tak nieoczekiwane zadany pytanie. Doktor Stauffer obejrzał się tylko.

- To pan, Forell?

- Tak bardzo był pan zajęty tym drutem, że nie usłyszał, jak wchodziłem. Co to za drut?

- Nic dla pana. Wyjąłem kiedyś wnyki tam, gdzie nastawił je Rosjanin. Możliwe, że chciał dostać zająca. Dechant chciał mieć to coś. Wtedy. Później, kiedy sprężyna napinająca jego nienawiść przestała działać, wnyki zostały u mnie. Dla więźnia zbędny kawałek wyposażenia.

- Interesujące.

- Interesujące, tak. Czy również użyteczne, to inne pytanie. Dobrze, iż pan przyszedł. Na dole, przy reszcie chorych nie mogę tak otwarcie mówić. Za miesiąc najpóźniej sprawy zajdą tak daleko, że nie będę już mógł pana trzymać w lazarecie. Wtedy przyjdzie czas powrotu do kopalni. Co panu jest? Wciąż tak samo żółty?

- To by było na początku października.

- Niestety.

- Czy to już musi tak być?

- Tak. Inni też chcą kiedyś wyjść na świat tu na górze.

Forell zaskoczony wysuwa się na zewnątrz za drzwi i nasłuchuje kroków strażnika, który na drugim końcu korytarza powoli wchodzi na górę. Potem szybko wskazuje do izby chorych.

Początek października. Od tego momentu będą musiały upłynąć dwa lata, zanim znów otworzy się dla niego sztolnia. Minie sześć lat od początku pobytu w kopalni i pozostanie jeszcze dziewiętnaście. Forell nie jest jeszcze śmiertelnie chory, przynajmniej tak się nie czuje. Ręce ma sprawne. Teraz nieco osłabły od wypoczynku, ale to się znów poprawi. Jednak tylko przy noszeniu koszy. Nie. Nie.

Gdy Forell następnego wieczora przychodzi do pokoju lekarza, pyta, czy widać na nim oznaki zatrucia ołowiem.

- A kto już nie ma na sobie takich oznak? - odpowiada mu doktor niemal zrędliwie.

- Ale to niechybnie prowadzi do śmierci?

- Z pewnością. Przede wszystkim, jeśli brak środków, żeby temu przeciwdziałać.

- Co pomaga?

- Zecerom zaleca się zmianę zawodu.

Kathrin działa już tylko wątłą siłą blaknącego zdjęcia. Wolność przestała być pożądana, bo oddziela ją trud dwóch kontynentów. Ale jama w górze i kamienna ściana z olejową lampą każą wpatrywać się z przerażeniem w przyszłość. A pewność, że pewnego dnia ołów przyniesie śmierć, prześladowa aż po sny. Niemal każdej nocy Forell budząc się, czuje, jak palcami sprawdza zęby, czy jeszcze mocno siedzą w szczękach.

Doktor Stauffer nie jest zdziwiony, gdy Forell mówi o ucieczce, zapewniając, że jest zdecydowany na wszystko, niezależnie od warunków.

Jeśli przyjdzie mróz, to dobrze.

Stauffer nawet nie wysiła się na razie, żeby powiedzieć coś ponadto. Siedzi przy stole i pisze. Tam za ścianą jest wszystko, co w ograniczonych warunkach można było odłożyć na wypadek ucieczki. Ale dopóki Forell nie przekona go o swojej determinacji, nie będzie się

opłacało powtarzać wysiłku podejmowanego dla Dechanta. Musi z egzaltacją rwać się do tej awantury. Nocami musi widzieć siebie uciekającego po otwartym kraju, a za dnia myśleć o przemierzonej we śnie drodze. Dopiero wtedy opłaci się chociaż pokazać mu mapę.

Mężczyźni leżący z Forellem w tej samej izbie mrugają do siebie porozumiewawczo: „To symulant!”. Forell robi się chorobliwie nerwowy. Raz mówi histerycznie o zatruciu ołowiem, pokazując swoje zęby, o których nikt nie może powiedzieć, czy rzeczywiście są luźne, potem przeklina, złorzecząc na Rosjan chcących dać mu tu zdechnąć. Gapi się przed siebie, jego błada jeszcze od choroby twarz nabiera woskowego odcienia, a głęboko osadzone oczy spoglądają niespokojnie na wszystko dookoła.

Mimowolnie przygryza dolną wargę i przerzuca się uwagami z chorymi, którzy nie tak paskudnie postrzegają sprawę.

Dwudziestego szóstego października, kiedy doktor Stauffer zadowolony jest z pacjenta, w pokoju służbowym na górze wyjęta zostaje mapa.

Przy sztucznym świetle, kiedy obaj stoją pochyleni nad mapą Danhorna, wydaje się, jakby na lodowatej twarzy lekarza zjawił się uśmieszek. Ale Stauffer w żadnym wypadku nie jest rozradowany, ponieważ podekscytowany Forell nie widzi już skali. Przelicza biegi rzek, dochodząc do tuzina, wylicza sobie dzienny odcinek marszu rzędu pięćdziesięciu kilometrów i jak na wycieczce dociera do wiosny na mandżurską granicę.

- Jeśli przez zimę dotrze pan do Leny, to może uklęknąć w tajdze i podziękować Bogu za jego dobroć.

- Przecież mam jako tako siły i zdrowie.

- Ale czy ma pan pojęcie, jak wyglądają te okolice, które trzeba przewędrować?

- Chcę do domu.

- Palcem po mapie. Tu w dół przez drzwi i hop na zachód, bo przecież tam musi być zbawienie.

- Nie mogę już. Już nie chcę. Muszę do domu.

- Nieco ciszej, proszę!

Forell już pięknie dojrzał. Doktor rzeczywiście się uśmiecha. Rozsądek, mądrość, wyrachowanie, znajomość kraju i język - to wszystko nie jest ważne i nic nie jest warte. Uparta wola w takim rozmiarze, nieobciążona wiedzą o zagrożeniach jest ważniejsza. Od zawsze miał doktor Stauffer na myśli ten żelazny łeb, jeśli uważał kogoś za zdolnego do poważania się na ucieczkę. Dechant był za bardzo intelektualny, choć w jego przypadku nienawiść równoważyła wszystko. Kiedy wygasła, musiał siłą rzeczy odpaść. Forell wie tylko, że w kopalni czeka go śmierć. On ma witalność mężczyzny, który chce się przebić do

swojej Kathrin. Jest ponadto mniej wrażliwy, zarówno psychicznie, jak i fizycznie. Fantazja nie maluje mu na mapie żadnych innych światów, on widzi trasy, rzeki, góry i miasta, nie widzi nawet ludzi. Nie narysowano ich na mapie Danhorna, a więc ich tam nie ma.

- Jak pan chce bez ludzi ominąć śmierć z głodu?

- Iść tylko w ich pobliżu, a potem brać to, co mieć muszę.

- Ci ludzie widzą lepiej od pana. Ci ludzie biegają szybciej od pana. Mają broń i mogą strzelać, a pan będzie tylko tarczą.

- No właśnie zobaczę, co będzie.

- Będzie tak, że jeszcze zechce pan wrócić do kopalni ołowiu.

- Doktorze, czy ma pan jeszcze te wnyki, które ostatnio widziałem?

- Dostanie je pan.

- To przerażające uczucie być wydanym bez wyjścia tym typom jako fracht zwrotny do biegu przez różgi. Więc potrzeba mi czegoś, żeby się uwolnić.

Doktor patrzy na niego. Rozumieją się.

- Gra jest jak jeden do tysiąca.

- Wiem.

- Niech pan nie mówi. Słyszę tu na górze więcej od pana, a nic nie wiem. Jaki jest ten kraj za nami, nie wiedzą nawet Rosjanie. Ale jeśli będzie miał pan szczęście, to spróbuje pójść przez niezbadane tereny, żeby na początku być daleko od ludzi. Proszę uważać, żeby nie trafić na kopalnię węgla brunatnego. Tam może pan od razu dalej pracować.

- Jeśli już się odważę, nie dam się więcej złapać żywcem.

- To może stać się szybko. Nagle pojawi się kilku ludzi, a pan nie będzie mógł się nawet zastrzelić.

Doktor siedzi na krześle przedziwnie skulony, jak ktoś, kto ma potworne bóle. Forell jeszcze nie widział tej twarzy tak szarej i zapadniętej. A im bardziej Forell zapalony jest do ucieczki, tym uporczywiej Stauffer próbuje mu wyperswadować ten zamiar.

- Pańskie fantazje, Forell, są bardzo pięknymi fantazjami. Tyle że pan, niestety, nie ma fantazji, tego wewnętrznego bogactwa obrazów, żeby móc sobie wyobrazić, co pana czeka, więc dwa dni po wyjściu będzie pan wszystkiego gorzko żałować. Ludzie tacy jak pan, nie kończą z sobą. Boże, no cóż, no to znów będzie ścieżka zdrowia, a potem ponowna próba ucieczki. Tak pan kalkuluje?

- Zostać jeszcze raz pobitym do nieprzytomności? Nie! Nie! Leibrecht mnie wtedy uratował, inaczej od razu zostałbym na placu. Tym razem nie posłaliby mnie do własnej sztolni. Nie.

Widziałem Bauknechta. Nie. Ludzie nie biją już tak mocno jak wówczas, ale bity nie wytrzymał już tyle co wtedy. Nawet bez tej morderczej tortury nie wytrzymam tu nawet dwóch lat. Widzi pan to po mnie i po innych, doktorze, jak staliśmy się podatni.

- Po pierwszym biwaku w śniegu pozbędzie się pan swej dolegliwości. Tam na zewnątrz nie ma doktora Stauffera.

Pojawia się między nimi wyraźnie wrogi nastrój. Rozstają się rozeźleni. Stauffer schodzi rosłemu typowi z drogi, ale po dwóch dniach Forell wraca do pokoju lekarza i z uporem zaczyna od nowa rozmowę o ucieczce. Na zewnątrz budynku jest potwornie zimno, a od kilku godzin pada śnieg. Wielkie jak krupy płatki dziwnie mocno biją w okna.

Forell sprawia wrażenie obłąkanego. Mówi bez związku, robi lekarzowi mnóstwo wyrzutów, potem go prosi, chce krzyknąć, wyklina, żeby sobie ulżyć, a na koniec znów wraca do próśb.

Wszystko zdaje się nie robić wrażenia na doktorze, który siedzi przy swoim stole i ciężko oddycha. Nagle pyta:

- Kiedyż miałoby to być?

Tym ostro rzuconym pytaniem Forell jest tak zaskoczony, że musi najpierw spytać: - Co?

- Pańska zwariowana ucieczka.

- Jutro.

- Nie. W niedzielę.

- Dlaczego w niedzielę? I kiedy jest niedziela?

- Powiem panu, kiedy będzie niedziela. Wtedy Rosjanie są w lepszym nastroju, jak już mają w sobie więcej wódki. Więc pojutrze.

Forellowi zamigotało przed oczami. Cholera! Nie powie doktorowi, że w chwilach podniecenia wciąż widzi tańczące kolorowe koła. Nie jest już tak zdrowy jak przed pobiciem. Zbyt wiele czasu minęło i zbyt wiele było ołowiu. A więc pojutrze jest niedziela. Wieczorem, gdy na wszystkim położy się lekki alkoholowy woal, zniknie z lazaretu.

- Potrzebował pan dużo czasu, by dojrzeć - uśmiecha się doktor Stauffer i otwiera drewnianą ścianę. - Co pan będzie potrzebował z wyposażenia?

Forell nie rozumie. Wciąż jeszcze nie rozumie, dlaczego doktor podsycił w nim ogień tak długo i tak mocno, aż stał się grubiański, aż stracił wszelkie zahamowania i zaczął myśleć i śnić tylko o ucieczce, dlaczego rozbudzał w nim zwierzęcy popęd do wolności. Nie rozumie, ale cel jest osiągnięty. Forell myśli już jak zwierzę: chce jeść, żyć i odzyskać wolność. Zupełnie nieskomplikowanie i o tyle tylko logicznie, o ile najbrzydliwsza wegetacja po

tamtej stronie klatki wydaje się bardziej godna pożądaniami niż schorzałe lenistwo w niewoli. Z pomocą rozsądku i zastanawiania się, to doktor wie, uciekinier nie przejdzie nawet stu wiorst. Instynkt zwierzęcia wyszukuje najkrótszą i najmniej niebezpieczną drogę, żeby wydostać się przynajmniej z obszaru najbliższych zagrożeń. Potem instynkt będzie oczywiście nieprzydatny.

- Jeśliby niewyobrażalna seria korzystnych przypadków miała sprawić, że w jakimś miejscu wydostanie się pan z otoczonej murem Rosji, to proszę mi oddać małą przysługę - odwiedzić moją żonę i powiedzieć jej, gdzie jestem. Magdeburg może pan zapamiętać. Adres wydrapię w menażce. Niech mi pan ją jutro przyniesie na górę!

- Ulicę i numer domu mogę przecież bez trudu zapamiętać.

- Niech pan sobie zbytnio nie ufa! Nawet najinteligentniejsze zwierzęta cyrkowe potrafią liczyć najwyżej do dziewięciu. A panu okoliczności tak dalece nie sprzyjają - Niebawem będzie pan tylko bydlęciem szukającym właściwej ścieżki i omijającym wnyki. Zanim minie rok, nie będzie pan miał już pamięci do innych spraw niż droga i zagrożenie. Chcę mieć pewność, że moja żona dostanie wiadomość. Niech więc pan jutro przyniesie swoją menażkę! To przedmiot, który wyrzuci pan jako ostatni. Zwierzę chce zjeść.

„Jakby mnie posyłał w drogę tylko dlatego, żeby zawiadomić jego żonę!” - zastanawia się Forell. Zaraz jednak wraca do zwykłego myślenia i w pokoju chorych zaczyna wyliczać, ile trzeba zapasów, żeby przetrzymać dwa tygodnie marszu. Od kiedy do jedzenia są tłuste małe rybki, których z powodu posmaku tranu nikt nie chce jeść, żebrze o nie jak niegdyś Dechant. Zamraża je między oknem a kratą. Przy prawdziwym głodzie w czasie wędrówki przejdą już przez gardło. Wyszuszony chleb wystarczy na mniej więcej ten sam czas co tłuszczy ryb. Lekarz oczywiście, Forell to wie, planuje trochę dalej.

Jest sobota przed południem. Forell idzie korytarzem i myślami jest już poza obozem, kiedy zatrzymuje go strażnik, mówiąc, że ma się natychmiast zgłosić do komendantury.

Nie ma siły, żeby utrzymać sztywno kolana, gdy melduje się w kancelarii, chcąc strzelić obcasami. Dawniej nie znał przecież strachu w takim wymiarze. To nie może przecież być nic wielkiego, bo nawet nie eskortował go strażnik. Ale kolana nie mają już sztywności.

- Jesteś zdrowy - mówi tłumacz.

Rany boskie! Stało się! Ale dlaczego doktor tak upierał się przy niedzieli! Zaprowadzą go do ołowianej jamy, bo nie uciekł zgodnie ze swoim zamiarem wczoraj. O dwadzieścia cztery godziny za późno!

- Chodź ze mną!

Chorobliwie wytężony umysł gorączkowo zastanawia się nad wszystkimi możliwościami, które mogłyby oznaczać rychły powrót do lazaretu. Forell robi się przy tym tak woskowaty na twarzy, że tłumacz przytrzymuje go na wypadek, gdyby miał się przewrócić.

- Chodź ze mną!

A! Zna już tę drogę?

Nie wie, co się z nim dzieje, kiedy w szopie, która służy za magazyn odzieży, rzucają mu nową fufajkę, pikowane wata spodnie, z wyglądu nierosyjskiego pochodzenia, i prostą bieliznę. Wszystko to są rzeczy, jakie czasem daje się ozdrowieńcom, kiedy muszą powrócić do kopalni, a ich dawna odzież składa się już tylko ze strzępów. Walonki, filcowe buty z cholewami, które Forell dostaje, też są wprawdzie wydeptane od długiego noszenia, ale o wiele lepsze od starych, które dla porządku zostają odebrane. Zwlekając, ale zapewne tylko dlatego że nie ma już władzy nad swymi nerwami, Forell ubiera się w nowe rzeczy. Tłumacz mówi, zanim strażnik odprowadza go do lazaretu:

- Jutro jest niedziela. W poniedziałek znów pracujesz.

W poniedziałek. Jutro jest niedziela. Więc niedzielę może jeszcze spędzić w lazarecie.

- Jeśli przy pierwszym zaburzeniu programu od razu tak pan zwiotczał, to mogę tylko życzyć, żeby nigdzie nie napotkał pan funkcjonariusza MWD lub niedźwiedzia himalajskiego. Te ostatnie są rzadkie. Z pierwszą kategorią musi się pan liczyć także tam, gdzie z powodu samotności nie rosną nawet drzewa - mówiąc to, doktor Stauffer uśmiecha się.

Przemawia niemal dobrotliwie do swego podopiecznego. W taki sam sposób zwraca się do niego wieczorem, kiedy Forell skacze po schodach, by dostać wszystko, co leży przygotowane za drewnianą ścianą.

- Chłodna sytuacja na zewnątrz może panu dobrze zrobi. Ufam, że znów odzyska pan władzę nad swymi nerwami. Niech pan siada, Forell! Tu jest pańska menażka. Widzi pan adres? Niech pan nie wyrzuca menażki, żeby nie zgubić adresu! Zna pan ten rodzaj i tę formę? Austriacka. Z pierwszej wojny światowej. Jak się ta rzecz uchowała i jak się tutaj dostała, tego nie da się wyjaśnić. Może panu uda się ta sama droga w odwrotnym kierunku.

Stauffer, nadstawivszy najpierw ucha na korytarzu, otwiera drewnianą ścianę i wygrzebuje już zapakowany prawie czterdziestofuntowy lniany worek, tak zasznurowany od dolnych rogów po górny otwór, że można go nosić jak plecak.

Forell ocenia wagę i bierze na próbę na plecy.

- To chleb i tłuszcz. Pierwszego dużo, drugiego mało. Machorki będzie ze dwa kilo. Nieprawdopodobna ilość. Ale ja już bardzo długo robię tu za lekarza. Ciężki do niesienia jest suchy spirytus, który jest konieczny jak chleb. Niech pan nie pali! Niech pan oszczędza machorkę, aż napotka ludzi, od których będzie można za nią coś przehandlować! Pan, stary jeniec, wie, co można osiągnąć dzięki machorce. Tę puszkę niech pan od razu wsadzi do kieszeni, tak samo ruble w banknotach. Jak puszką przenosić żar na lont, także przy wiejącym wietrze, nie jest zapewne dla pana nowością. Niech pan w żadnym wypadku nie zgubi tego skarbu, nawet jeśli będzie pan musiał uciekać! Banknoty rublowe, no tak. To prawie sześćset rubli. Nie wierzę, żeby tu w okolicy można było na serio coś za to kupić.

Doktor Stauffer jest tak przedziwnie pobudzony, że Forell wciąż na nowo musi przyglądać się poszarzałej twarzy.

- To, co pan zaczyna, to moja własna ucieczka. Forell jest zdziwiony.

- Czyżby pan też chciał kiedyś uciekać?

- Już przed wami wszystkimi. Ale teraz niech pan się martwi o swoje sprawy! W tej części odzieży niech pan wskakuje od razu tutaj.

Nie da się nie dostrzec, że chudy, wysoki mężczyzna rozrasta się w ten sposób w szerz. Ale Stauffer wypycha go tak, że nawet oddychanie zaczyna sprawiać Forellowi trudność.

- Niczego nie wyrzucać! Niczego tu nie zostawiać! Nie ma pan futra, a musi spać pod gołym niebem. Za dnia, nawet jeśli wyciskać to będzie poty, niech pan nosi to na sobie. W nocy niech pan zdejmie kilka powłok i użyje ich do przykrycia. Całkiem luźnego przykrycia, żeby powstały przestrzenie z powietrzem. Przykrywać także uszy, także nos! Musi pan tylko wszystko bardzo luźno położyć na sobie, żeby działało jak namiot. Jeśli się gdzieś znajdą drzewa, z gałęzi da się zrobić podpórkę do namiotu.

Sięga głęboko do schowka i wyjmuje długi nóż w drewnianej pochwie.

- Zna pan tę rzecz? Mieszkańcy Syberii mówią na to kandra. Stal jest doskonała. Klinga szlifowana dwustronnie. Zobacz pan, że praktyka potwierdzi, iż są ważne powody, dla których mieszkańcy Syberii zamiast sztywnego noża w kieszeni ciągną ze sobą to długie coś, co przypomina oszczep na dziki, ale jest znacznie mocniejsze.

Pod łóżkiem lekarza stoi para dziwacznych butów. Forell widzi je od chwili, kiedy znalazł się w pokoju. Teraz doktor Stauffer postanawia je wyciągnąć.

- Niestety, nie mam czegoś lepszego dla stóp. Ale gdy wszystko będzie na panu mokre, ze sznurowanych wysokich butów wydostanie się pan o wiele łatwiej niż z butów z cholewkami. Ponadto nogawki od spodni może pan zasznurować w cholewkach i nigdzie nie

dostanie się śnieg. Amerykańskie. Nie zna pan? Osobliwy rodzaj butów. Rosjanie dostali całe mnóstwo dla swojej kopalni. Ale ich nie noszą. Mam rozmiar czterdzieści dwa. Nie wie pan, dlaczego pytałem o pański rozmiar? Zamiana była mozolna, ale tu ma pan rozmiar czterdzieści cztery. Pański rozmiar.

Uważa pan, że te buty są takie praktyczne?

- Nie mówiłem. Ale na tych gumowych podeszwach - to właściwie nie jest guma - pochodzi pan pięć razy dłużej niż na skórzanych. Może pan spokojnie zabrać to, co wydaje mi się słuszne. Moja ucieczka została tak dobrze przygotowana i wyposażona, jak to tutaj możliwe.

- Dlaczego, pozwoli pan na pytanie prostaka, pan nie uciekł?

- Byłem zbyt dokładny w przygotowaniach. Na przykład nie miałem kompasu. Dechant mnie w tym wyprzedził. Proszę. Niech pan weźmie jego kompas! Nosić należy go na rękę jak zegarek. Nie jest zbyt pewny. Mapa zresztą też nie.

Doktor Stauffer mówi i mówi, wyjaśnia, uśmiecha się, jest tak rozluźniony, jak nigdy dotąd. Opowiada, co wie o geografii Syberii. Jak się tego wszystkiego dowiedział, pozostaje dla rozmówcy zagadką. Forell czuje, że jego pamięć nie jest na tyle świeża, by zachować wszystko z wiedzy, jaką jest zasypywany. Ale czuje się wyróżniony olbrzymim zaufaniem, jakim obdarzył go człowiek, który z pedantyczną dokładnością już od lat ma gotowy plan swojej ucieczki i teraz odstępuje go z całym wyposażeniem i wszelkim doświadczeniem właśnie jemu.

Gdy noc się wydłuża, a Forell wciąż nie chce się położyć spać, bo napięcie wypełnia go do ostatniego nerwu, lekarz powoli słabnie. Tryskający strumień mowy stopniowo cichnie, a uśmiech staje się rzadszy. Lekarz robi się wyraźnie zmęczony, a jego siła zaczyna przybywać drugiemu, jak krew w czasie transfuzji. Język płacze się Staufferowi coraz bardziej, jakby wypił całą butelkę wódki, którą wetknął do worka Forella.

- Zna pan ten kamień krzywo sterczący z ziemi i ze śniegu. Jutro, gdy tylko noc będzie dość ciemna, położę tam pański bagaż. Wyjdzie pan o dziewiątej z lazaretu, punktualnie o dziewiątej. Nie ma pan zegarka? Nie? Skąd miałby pan mieć zegarek! Będę rozmawiał ze strażnikiem na schodach z przodu i zatrzymam go. O tej porze wszyscy mają być w swoich pokojach. Z chorych nikt więc nie zobaczy, że opuszcza pan budynek. Czy już panu mówiłem, że czasem musi pan po drodze śpiewać? Że musi pan rozmawiać sam ze sobą? Kiedy zobaczy pan drzewo, niech pan z nim rozmawia! Nie mówiłem panu tego?

- Tak, mówił pan już wiele razy.

- Inaczej straci pan głos. To jest duże zagrożenie.

Wtem doktor Stauffer wyjmując z kieszeni garść amunicji do pistoletu.

- Zna pan to?

- Amunicję do pistoletu?

Forell nie ma odwagi po nią sięgnąć.

- Niech pan bierze! Sam nagan musi pan oczywiście nosić między udami pod ubraniami. Będzie to przeszkadzać w chodzeniu, ale jeśli pana złapią w ciągu pierwszych dwudziestu czterech godzin, mogą znaleźć wszystko, tylko nie nagan. Za to pana rozstrzelają.

Forell wciąż jeszcze nie ma odwagi wziąć do ręki tych okrągłych błyskotek. Wtedy doktor Stauffer rozpinając ubranie i wyciąga pistolet na wąskim rzemieniu.

- Niech pan dopilnuje, żeby ta rzecz zniknęła, a pan mógł dziś spać mimo tej przeszkody! Dalej! Tak się to robi!

Stauffer wsuwa mu pistolet za pas spodni, przeciągając rzemień pod koszulą, tak że mocno przewieszony jest przez prawe ramię.

- Skąd pan ma...?

- Niestety tylko szesnaście strzałów. Skąd mam pistolet, to nie pańska rzecz. Może się pan domyślić, że go nie zmagistrowałem. Niech pan sobie zapamięta - złapanie z naganem to dla pana pewna śmierć. Ze mną nie byłoby inaczej. W żadnym wypadku nie zastrzeliłbym się sam. Tak, broniłbym się. Przez szesnaście strzałów. Z panem jest inaczej. Pan jest jednym z tych, którzy rodzą się już w męskiej postawie. W beznadziejnej sytuacji przystawi pan sobie lufę do skroni. Czasami prowadzi to tylko do oślepienia, jeśli strzelec nie zna się na anatomii.

Słowa Stauffera brzmią przerażająco, ale Forell, kiedy czuje już pistolet, a w kieszeni między palcami przetacza naboje, zaczyna napawać się barbarzyńskim bezpieczeństwem płynącym z posiadania broni.

- Nie mam rezerwowego magazynka.

- Nie musi być. Będę sobie umiał poradzić.

Każda wystrzelona gilza musi zostać natychmiast zastąpiona. Wtedy w krytycznej sytuacji ma się osiem strzałów do dyspozycji.

To daje cały pas bezpieczeństwa i wsparcie dla sił, których może brakować ciału po czterech latach uwięzienia i pracy przymusowej.

Nagle Forell czuje pewność, że nic mu się nie stanie. Strzał, huk, odbicie i ogień z wylotu lufy dają posiadaczowi broni, już tylko jako wyobrażenie ich gwałtowności, inne spojrzenie na otaczający świat i zagrożenie. Pozbawiony praw więzień zna inną wagę broni. I posiadając taką rzecz, doktor Stauffer nie uciekł?

- Niech pan się kładzie spać, Forell! Musi pan być wypoczęty. Proszę, niech pan po drodze nie wyrzuci menażki. Moja żona ma prawo do wiadomości. Ile czasu będzie pan potrzebował? Roku? Dwóch lat? Powie pan mojej żonie to, co musi wiedzieć - że już w Tomsku próbowałem się wyrwać i że tu również wszystko przygotowałem, aż po zdobycie nagana. Do pana wiadomości - chciałem uciec z Dechantem, bo trzeba to robić we dwóch. Ale Dechant odpadł. Stracił swoją nienawiść i chce tu skończyć. Mogłem przed nim ukryć historię Alfonsa Matterna. Jednak po co? Już wtedy zacząłem przeczuwać to, co później wiedziałem na pewno. Moi koledzy nie są tak odważni w stawianiu sobie samym diagnozy raka, gdy oznaki stają się jednoznaczne. Każdy zna przerażającą reakcję pacjenta, kiedy trzeba mu oznajmić, że tak jest. Ja sam siebie nie okłamywałem dłużej niż dwa miesiące, a jednak przez dwa miesiące pacjent Stauffer bronił się z rozpaczą przed diagnozą lekarza prowadzącego doktora Heinza Stauffera, że to rak odbytu. Niech pan sobie niczego nie wyobraża co do mojego wyboru, Forell! Wśród samych ludzkich ruin wydał mi się pan jedynie najmniej zrujnowanym, najbardziej kościstym i najtwardszym. Ale nawet panu ciężko było wmówić ucieczkę. Pańska żona ma na imię Kathrin? Ją też proszę pozdrwić. A jeśli potrafi pan powiedzieć jej, co to miłość, to niech pan spróbuje to zrobić! Do miłości i do zrozumienia miłości człowiek potrzebuje owej ułaskawiającej wyobraźni cierpienia, której posiadanie czyni wszystko tak nieznośnie ciężkim.

Przerywa i przez długie minuty zamyka się w swoich bólach. Szara jak popiół twarz zapada się, jakby za skórą policzków nie było zębów. Dłonie zgiętego w pół mężczyzny zaciskają się na surowej płycie stołu.

- Co panu jest?

- Można to tak wyrazić, że życzę panu udanego powrotu do domu. Zanim podejmie pan jakieś działanie dla swego przyszłego życia, niech pan odwiedzi moją żonę i powie jej, że pana przysyłam. Pana zamiast mnie. Uciekałem w Tomsku i tutaj odłożyłem wszystko, co potrzebne do ucieczki, aż po ostatnią okruszynę chleba. Ale zmarłem po zimie z czterdziestego dziewiątego na pięćdziesiąty. W lutym, niech pan powie. Żona jest prawdziwie i czynnie wierząca. Niech jej pan opiszę to miejsce za barakami, gdzie najczęściej grzebie się zmarłych i powie, że wprawdzie przez dziewięć miesięcy w roku jest tam śnieg, ale na grobie postawiono mi krzyż. Ach nie, niech pan raczej powie, że umarłem w marcu, w marcu pięćdziesiątego, niech ujrzy ten obraz bardziej wiosennie.

Kiedy dokładnie o dziewiątej Forell wychodzi na zewnątrz, burza z impetem uderza go drzwiami.

Z przodu na drugim końcu drewnianego budynku, w połowie wysokości schodów, stoi strażnik wciągnięty przez doktora Stauffera w rozmowę o burzy, niedzieli i wódce. Nie może widzieć ani górnego, ani dolnego korytarza. Żołnierz wypił już kilka stakanów*. Forellowi muszą wystarczyć dwie minuty, jak było wyliczone. Ale przy otwieraniu drzwi do korytarza wpada duża ilość nawianego śniegu. Drzwi się nie zamkną jeśli śnieg nie zostanie jak najspieszniej wyrzucony, a na to nie ma nawet minuty. Forell zrywa rękawiczki i wygrzebuje gołymi rękoma śnieg na zewnątrz, czubkami palców odskrobuje szparę i próbuje zamknąć drzwi. Ale znowu na próg spada śnieg.

Jeszcze rozmawiają. Doktor Stauffer zdaje się czuć, że drzwi są otwarte, jest przecież trzeźwy. Jeśli żołnierz nie dopełnił w znacznym stopniu swej powinności picia, świętując uroczysty dzień, to nie ujdzie jego uwadze, że lodowaty przeciąg wciska się do całego budynku. Forellowi nie jest łatwo zginać się tak bardzo, bo jest grubo ubrany, jak tylko mogła to osiągnąć

* Z rosyjskiego stakan = szklanka, kieliszek. zapobiegliwość Stauffera. Musi usunąć starannie do ostatniej resztki śniegu wszystko, co mogłoby go zdradzić. I wreszcie dociąga drzwi z zewnątrz gołymi rękoma, żeby czuć klamkę i nie robić hałasu.

Koledzy w sztolni nawet nie wiedzą, jak zimno jest na górze i jak wiatr smaga człowieka mokrym śniegiem, tak że już przed drzwiami baraku mogłaby go opuścić odwaga. Ktoś krzyczy. Ale to tylko krzyk w pijaństwie, daleko, w komendanturze.

Na rogu wiatr porywa Forellowi rękawicę, której jeszcze nie naciągnął na dłoń. Przeklinając, sięga po nią, jednak dała się potoczyć wiatrowi tak daleko, że mężczyzna pada jak długi, gdy chce za nią skoczyć. Kiedy znów ją ma, jest mokra w środku. Mimo to wkładają, bo gołe ręce od razu zamarzają.

A jednak burza jest dobrym towarzyszem. W kilka minut ślad każdego kroku znów zostaje zawiany, a jak daleko sięga wzrok, nigdzie nie stoi cień, który miałby kształt człowieka.

Kierunek do kamienia Forell tak wbił sobie w pamięć za dnia, że nawet burza i zła widoczność go nie zwiodą. Kamienia nie można minąć, nawet jeśli leży śnieg, bo sterczy jak ciemny blok na białym tle. Noc nie jest tak straszliwie ciemna, jeśli oczy już się przyzwyczają. A czego oczy nie zobaczą, to namacają dłonie: wypełniony lniany worek ze sznurami do noszenia, wetknięta w zawiniątko kandra i... A cóż to za rzecz z drewna? Żeby wymacać, Forell znów musi ściągnąć rękawicę, a potem ściąga nawet drugą. Do pakunku Stauffer dołożył mu parę syberyjskich nart.

Takie mieli żołnierze eskorty pod butami, kiedy decydowali o szybkości, z jaką powinni iść więźniowie. Matką wynalazku była przydatność. Podwiązane wysoko w dzioby z przodu i z tyłu końce cienkich brzozowych desek połączone są od czubka do czubka przez długie struny jelitowe. Pośrodku zamocowanych jest kilka rzemieni. But noskiem wchodzi w pętlę, a inny rzemień daje się zawiązać od pięty ponad podbiciem stopy. Uciekinier nie łamie sobie teraz głowy, czy jest to absolutna doskonałość. Pospiesznie ogląda się, czy wśród burzy nie majaczą cienie, ale w zawiewającym śniegu widać jedynie kilka słabych i bladych świateł w oknach.

Na brzozowych deskach stoi się dość pewnie. Obcas nie daje się unieść. Ale deski są tak cienkie, że reagują na podniesienie stopy. Mając co najwyżej sześćdziesiąt centymetrów długości, narty są jedynie przedłużonymi, mogącymi ślizgać się butami. Tam gdzie śnieg jest nawiany, stopa zapada się tylko trochę. Nie trzeba jej przy każdym kroku unosić. Ślady nie wcinają się tak głęboko i już niebawem nikt nie zobaczy, gdzie poruszał się jakiś człowiek. Mężczyzna w śniegu szykuje się do drogi tak ostrożnie, jak to możliwe, wypróbowując narty, najpierw bez obciążenia, potem z całym ciężarem podróżnych zapasów na plecach.

Z dwumetrowymi nartami z domu fraszką byłoby przebiec w ciągu jednej nocy sześćdziesiąt kilometrów. A te narty są na początku utrudnieniem. Mężczyzna próbuje chodu z ciężarem, ale kiedy dwa razy upada na twarz, dostając workiem w głowę, przestaje pochylać się do przodu bardziej niż przy zwyczajnym chodzeniu. Upadki, zwłaszcza gdy ostre kamienie tylko lekko przykrywa nawiany śnieg, są dość nieprzyjemne. Skoro jednak Stauffer uznał za słuszne wyposażenie go w te dziwaczne deski, to zapewne miał po temu powody. Forell, kiedy sądzi, że zaszedł na tyle daleko, iż uszedł z bezpośredniego obszaru obozu, jest już zlany potem. W czasie prób marszu, które kosztują go wiele wysiłku, przynosząc niewiele zysku na trasie, bo jeszcze po pół godzinie widzi za sobą światła okien, uczy się, krok za krokiem, jak musi ułożyć ciężar i jak odmierzona powinna być długość kroku. Ale martwi go, że wedle swego wyczucia nieznacznie tylko ruszył się z miejsca.

Wpatruje się w igłę kompasu.

Widzi dobrze kierunek, ale przy jednakowej długości obu połówek igły nie da się rozróżnić, gdzie jest północ, a przez marsz, szamotanie się, padanie i męczarnię z nartami może już zaczął chodzić w koło. Zdejmuje rękawiczki. Uderza w szeroki krzemień puszki. Kierunek jest dobry. Dokładnie zachód. Ale w białej od śniegu burzliwej nocy nie ma żadnego znaku orientacyjnego i możliwości ustalenia kierunku marszu. Po kilkuset krokach znów musi krzesać iskrę i jest bardzo zadowolony, ponieważ kierunek marszu wciąż pozostaje zachodni.

Właściwie dlaczego zachód?

Rozsądek przemawia za ogólnym kierunkiem zachodnim. Ale Stauffer powiedział: „Zachód dla pana jest zawsze tam, pomijając kompas, gdzie wolno panu podejrzewać najmniejsze przeszkody i możliwie niewiele zagrożeń. Na początek musi pan tylko iść, żeby wy dostać się z obszaru poszukiwań obozowych. Potem musi pan iść, żeby po prostu złapać pod nogami inną ziemię, inny śnieg. Dopiero kiedy już rozgrzeje się pan sześciotygodniowym marszem, może sam sobie ustalić kierunek”.

Forell, który przeszedł już Syberię od Czyty aż po Przylądek Dieżniewa, łapie się na myśli i chłodnej nadziei, że następnego ranka, stając na palcach i wyciągając szyję, zobaczy już inny kraj. Na początek tylko to nie jest ułudą że idąc w śniegu, odczuwa swą wędrówkę jak ciężką pracę, że biała pokrywa niedefiniowalnego krajobrazu ustawicznie lekko się wznosi. Z obozu wyglądało to nieco inaczej, chyba jako wzniesienie na początku, jednak po drugiej stronie wzniesienia jak nieznacznie pofalowana, kamienista kraina z blokami przeszkód, z których w rzeczywistości niewiele daje się zauważyć. Wprawdzie czasami pojawia się obok wędrowca ciemne żebro, jednak zawsze obok, nigdy na wprost niego.

Po gołej czaszce pod futrzaną czapką sływa pot. Luźne nauszники są nieprzyjemne, bo burza uderza nimi o kości szczęki. Forell zakłada je do góry pod brzeg futra, jednak teraz śnieg przykleja się mocno do uszu, spuszcza je więc i zawiązuje pod brodą. Z wiatrem nie jest już tak całkiem źle jak na początku, choć w nieprzyjemny sposób wciąż na nowo pojawia się złudzenie, jakby podmuchy nadchodziły raz z prawej strony, a raz prosto w twarz, nigdy zaś od strony pleców.

Czasem stopy w nartach chcą umykać szybko i kiedy ciało właśnie już chce to robić, bieg staje się chodem jak w wacie. Przed każdą nartą zbija się śnieg, a idący ostrożnie unosi głowę do tyłu, bo sądzi, że widzi przed sobą spiętrzoną biel. Nie. Nic nie ma. Z wysiłonego oddechu staje się jasne, że grunt się wznosi.

Forell wyrusza o dziesiątej.

Gdyby teraz była siódma rano, gdyby zaczęło się lekko przejaśniać, gdyby nadszedł dzień, wędrówka z pewnością osiągnęłaby jakieś czterdzieści kilometrów. Niektóre odcinki drogi trzeba mozolnie przedreptać krok za krokiem, ale potem brzożowe deski idą lżej, w godzinę może piętnaście kilometrów lub nawet więcej.

Forell myśli inaczej. Z brzasku, gdyby wreszcie nadszedł, będzie wnioskował, że już dużo przeszedł. Ponieważ jednak nie chce się jeszcze przejaśnić, ocenia trasę jako krótką i nieznaczącą. Wypompowane ciało szacuje, że nocny wysiłek został już wykonany, podczas

kiedy mózg musi zachować surowy porządek między życzeniami i uczciwymi rozważaniami. Bo gdzieś tam z tyłu, jeśli zauważono jego brak, mogą nagle pojawić się sanie z psami.

Forell upewnia się, że ma nagan, chociaż nie musi tego robić, bo cały czas obciera go bardzo nieprzyjemnie. Stauffer postawił przeciw warunek, że pistolet przez dwie noce marszu musi pozostać dobrze schowany.

No dobrze. No przecież słusznie. Jest zmęczony, bo idzie bez wytchnienia. Musi tak być. Musi bardzo długo trwać, nim noc zmurszeje, bo długa noc oznacza długą drogę, a długa droga pozwala z każdym kilometrem odrobinę zmniejszyć zagrożenie. Forell zaczyna się przestawiać na otepiałe wydeptywanie kilometrów. Zajmuje umysł tylko liczeniem kroków od jednego do tysiąca, i znów od początku. W ten sposób widząc, że wysiłek starań jest na swój sposób nagrodzony, gdy jest kolejne tysiąc kroków, uzyskuje spokój. Potem nie wie już, ile razy naliczył tysiąc kroków, ale to też jest łaską. Bo od tej chwili znów zajęty jest przez co najmniej tysiąc kroków wyliczaniem wstecz, czy było to siedem, czy osiem razy tysiąc kroków.

Tylko dalej! Znów tysiąc. I jeszcze raz tysiąc. I jeszcze raz tysiąc. Przy długich nogach Forella taki krok musi mierzyć metr, więc tysiąc to kilometr. Hopla! To był kawałek skały. Brzozowe deski wydają piękny, kołyszący dźwięk. To struny z kiszek. Dlaczego oczy nie zobaczyły tej skały wysokości człowieka? Jest przecież czarną plamą w białą zabarwionej ciemności.

Forell jest przerażony, gdy wysilając wzrok, dostrzega igłę kompasu.

Czy to już robi się dzień?

Zaczyna pospieszać.

Tutaj nie ma ukrycia. A jeśli to rzeczywiście dzień, jeśli burza zelżeje, to Rosjanie, którzy wyruszyli w pościg z psami i saniami, z dużej odległości zobaczą ciemny zarys jego sylwetki. Stauffer dostatecznie często mówił mu, że ludzie tego kraju zobaczą go dużo wcześniej niż on rozpozna choćby cień. Zbieg musi pospiesznie pokonać jeszcze kawałek dystansu, żeby przycupnąć za ciemną skałą, która odpowiednio go osłoni.

Znajduje skałę dwa razy wyższą od człowieka, omiecioną przez wiatr i z nawisem śnieżnym. Stwierdza z zadowoleniem, że śnieg nawiany pod nią i niesiony ponad nią przez wiatr jest dość głęboki, żeby człowiek, który się skuli, mógł całkowicie zniknąć z widoku.

Używając nart jak szufli, odrzuca wzdłuż kamienia jeszcze więcej śniegu na bok, robiąc sobie dość miejsca, żeby zniknąć z powierzchni. Burza, niemal już niesłyszalna, niesie dalej nad skałą drobno prószący śnieg, który opada niemal nieporuszenie. Ale zanim Forell postanawia ostatecznie, żeby tu pozostać, upewnia się, czy rzeczywiście prószący śnieg dość

szybko zasypuje ślady. Jednak tak. Dobrze. Dzieje się to szybko. Jeszcze z godzinę opiera się plecami o skałę, wysunawszy przed siebie nogi w śnieg, wreszcie zbiera się na odwagę, rozsznurowuje zeszywniały worek i wydostaje coś do jedzenia.

Oszczędzać! mówił Stauffer.

Dzielić! przykazywał wciąż na nowo.

Ramiona bołą od sznurów worka, a nogi drżą od wysiłonego marszu. Ale takie dolegliwości nie mogą zagłuszyć głodu. Dzielić! powiedział Stauffer. I Forell żuje tylko chleb. Suchą skórkę. Drugą. Jeszcze jedną. Na to może sobie pozwolić. Ciężar zapasów dosyć go uwiera.

Żując, co chwila przestaje. Boi się, że chrupanie ususzonego na twardo chleba może go zdradzić, jeśli inni słyszą je tak głośno jak on. Ach, a w zaciszu od wiatru jest tak przyjemnie ciepło, jakby nie była już od dawna zima.

Herbata Stauffera zapakowana jest w skórę, zapewne dla ochrony przed wilgocią, która coraz bardziej przesiąka worek. Forell posłuchawszy, co dzieje się na powierzchni, rozgrzebuje dalej swoje rzeczy. Udeptał do równa miejsce dla wątego stelaża do kochera, nie większego niż paczka papierosów, i zaczyna topić śnieg, bo po częściowym zaspokojeniu głodu odczuwa pragnienie. W czasie dalszego marszu będzie się musiała znaleźć tańsza woda, bo uzyskanie tak niewielkiej jej ilości z takiej masy śniegu kosztuje zbyt dużo suchego spirytusu. Ale herbata, zaparzona do jasnego wywaru w starej menażce, jest wspaniałością po nocy pełnej wysiłków. Daje inne ciepło niż pozerający kilometry marsz na ciężkich i prymitywnych brzozowych deskach, które przysparzają stopom wiele bólu, nadwerężając mięśnie łydek.

Gdyby zeszywniałe ciało potrafiło spać, byłoby pięknie. Skróciłoby to dzień, który uciekinier inaczej musi spędzić nieporuszenie w ciasnocie pomiędzy skałą a śniegiem, skazany na osiem godzin bezruchu i nasłuchiwania. Narty położone ponad kryjówką zatrzymują świeżo padający śnieg i pomagają zamaskować to miejsce. Clemens Forell leży pod spodem w niemal absolutnym zaciszu od wiatru, pozwala, by dzień przeminął. Widzi pędzące przez okolicę psy, które poszukują zbiegłego skazańca, myśli o lekarzu z Magdeburga, który swój los, kiedy przestał być losem dla niego, podarował Forellowi, po to tylko, żeby jego żona dostała wiadomość o miejscu, w którym jest pochowany.

Miłość.

Czy któryś z tych w ołowianej górze w ogóle wie, co to miłość?

Forella budzi hałas. Jest przestraszony. Nie wie, co się z nim dzieje. Pamięta tylko sen, z którego przed chwilą się zbudził. Śniła mu się kwitnąca łąka, po której jechał na nartach. W

pewnej chwili ziemia rozstąpiła się i Forell zaczął z wysoka spadać w głąb do kawerny ołowianych grobów.

Ale co stało się naprawdę?

Zdejmuje ze swej lekko zakrwawionej twarzy worek z zapasami. Ach tak, to narty wysunęły się ze śniegu i spadły na śpiącego. Dookoła jest już noc.

Gdzież zginął szary dzień?

Trudno w ciemności zapakować rzeczy, zawiązać worek z zapasami, zarzucić go na ramiona i przywiązać deski do butów. Noc zaczęła się chyba niedawno, a burza śnieżna wciąż jeszcze sypie śniegiem na skały. Puszka błysnęła kilkoma iskrami nad kompasem, aby wędrowiec wiedział, w którą stronę ma pójść. Ciało jest boleśnie sztywne. Jeszcze wczoraj wszystkie stawy były ruchome, choć zbyt mało naciągnięte dla dużych wysiłków. Dziś wszystko jest jak skóra na rzemienie, która zmokła i musiała być wysuszona. Ale kto umiał się stopniowo rozgrzewać, chodząc z koszem rudy, temu uda się rozluźnić stawy, idąc ku wolności.

Forell wychodzi ze swej kryjówki, przywiązuje deski do butów i zarzuca na plecy bagaż podróżny. Do kieszeni wkłada nieco chleba na śniadanie. Przy wyjmowaniu chleba musiał mu wpaść w ręce wysuszony kawałek słoniny, bo czuje jej zapach na palcach. Z miną zwycięzcy wsuwa dłonie do futrzanych rękawiczek. Jest dumny, że nie uległ pokusie. Jak nałogowy palacz, który zdołał włożonego już między wargi papierosa wsunąć z powrotem do kieszeni. Kawałek słoniny jest bowiem bardzo mały, a doktor Stauffer przykazywał wstrzeźliwość. Chwilami oczywiście ręka wysuwa się z rękawiczki i porusza koło nosa.

Rano, jeśli wszystko dobrze pójdzie, odetnie mały, zupełnie mały kawałek słoniny.

Prawy but uwiera nieco w piętę, ale gdy stopy rozgrzewają się i rozluźniają, ten drobny ucisk znika niemal całkowicie. Jeśli but nie chce się dopasować do stopy, stopa musi się dopasować do buta.

Zachód. Zachód. Zachód.

Marsz według małego kompasu na lewej ręce odchyła się z pewnością w ciągu nocy nieco od zakładanego kierunku. Noc jeden jedyny raz pokazuje ciemny cień jako punkt kierunkowy. Gdy Forell będzie się trzymał na lewo od niego, pomaszeruje dokładnie na zachód. Ale cień znika, gdy Forell sądzi, że już do niego dotarł, a jako gra złudzeń pojawia się gdzieś po prawej nowy cień. Już nie tak trudno iść na syberyjskich nartach. Skoro Stauffer chciał, żeby ich użyć do ucieczki, miał po temu dobre powody. Stauffer chce, żeby jego żona dostała wiadomość. Stauffer polega na nim. Jego zdaniem wiadomość najpewniej dotrze do

Magdeburga, jeśli posłaniec będzie używać takich brzożowych desek. A więc deski są dobre i można na nich polegać.

Żeby człowiek umiał tak rzeczowo mówić o własnej śmierci i tak sformułować wiadomość, jakby już umarł i jako zwłoki rozporządzał własnym spadkiem.

Osiemdziesiąt dwa, osiemdziesiąt trzy, osiemdziesiąt cztery. Forell znów zaczyna liczyć swoje kroki. Takie otępienie ma wiele dobrych stron. Pozwala nieco zapomnieć o okolicznościach i nigdy nie daje zapomnieć, że w noc marszu należy zrobić co najmniej pięćdziesiąt tysięcy kroków. Są wśród nich serie zupełnie krótkich kroków, gdy płuca muszą ciężiej pracować, bo idzie się pod górę.

Trzynaście, czternaście, piętnaście. Setki odlicza Forell na palcach, trzymając w rękawiczkę palec odchylony tak długo, aż przy następnej pełnej setce można odchylić następny. Tysiące liczone są za pomocą tabletek suchego spirytusu. Osiem z nich Forell ma w lewej kieszeni fufajki. Kiedy dojdzie do tysiąca kroków, przekłada tabletkę do prawej kieszeni. Szkoda, że śnieg dostaje się do kieszeni, bo nie da się całkiem uniknąć upadków. Tabletki źle się będą palić.

Ale liczą razem z nim, ile razy mężczyzna przeszedł tysiąc kroków. Po ośmiu tysiącach następuje zmiana turnusu tabletek, z prawej do lewej.

Teraz nagle deski biegną same. A Forell wątpiąc, czy każdy krok z góry miał jeden metr, robi wielkie ustępstwo wobec swego systemu liczenia i zalicza całe zejście w dolinę jako jeden metr. Tym samym poprzednie mniejsze osiągi zostają szlachetnie wyrównane, jeśli tylko ogólny kierunek jest utrzymany. Oczywiście z pięćdziesięciu kilometrów, jak sądzi Forell, dziesięć musi odliczyć na obejścia. Siedemdziesiąt siedem, siedemdziesiąt osiem, siedemdziesiąt dziewięć, osiemdziesiąt.

Jak daleko Rosjanie mogą prowadzić swoje poszukiwania?

Stauffer liczył się z promieniem osiemdziesięciu kilometrów. Tych osiemdziesięciu kilometrów nie przekroczył jeszcze po drugiej nocy. Więc szybciej! Szybciej! Szybciej!

Leibrecht, jeśli już dowiedział się o ucieczce, nie puści na ten temat ani słowa w kawernie, o ile pogłoska nie przeniknie skały. Dopiero tydzień po ucieczce więźnia wolno liczyć się z tym, że zbieg albo umknął bezpośredniej pogoni, albo został gdzieś w śniegu, gdzie nikt go już nie znajdzie. Śmierć w syberyjskim rachunku życia jest prostym rozwiązaniem.

Dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery.

Forell chce wybrać inne, trudniejsze rozwiązanie.

Kiedy noc mija, próbuje zrobić jeszcze kilka tysięcy kroków, częściowo dlatego, że okolica tu jest zbyt widoczna i po ustaniu śniegu bezlitośnie ukazałaby pojedynczego człowieka, a częściowo z zamiarem przekroczenia wyniku sześćdziesięciu tysięcy kroków.

Nagle jeszcze raz idzie w dół.

I wtedy nocny wędrowiec stwierdza zaskoczony, że pod butami ma goły lód, głucho dzwoniący, reagujący na jego kroki śpiewnym trzaskiem.

Strumień?

Forell ogląda się lękliwie. Tu można go zobaczyć jedynie z najbliższej odległości. Oczywiście miejsce nie nadaje się do biwakowania, jednak osłona przed ludzkim wzrokiem daje chwilowe złudzenie bezpieczeństwa. Uciekinier nie zastanawia się nawet, że po ustaniu śniegu każdy krok całymi dniami pozostanie widoczny, zdradzając go i prowadząc oddział poszukiwawczy wzdłuż śladów aż do jego legowiska. Odmiała butami lód, żeby przez przezroczystą pokrywę rozeznąć, w którym kierunku płynie strumień. Każda woda płynie do morza. Nad morzem, po tej czy tamtej stronie, zachodzi niebezpieczeństwo kontaktu z ludźmi, większe niż w głębi lądu. Tak przynajmniej objaśniał doktor Stauffer. A więc uciekinier musi się trzymać kierunku w górę strumienia.

Jednak ten kierunek to według kompasu wschód, kierunek obozu, kierunek kopalni ołowiu, skąd dokładnie przybył Forell. Wyczerpany i dręczony wątpliwościami zbieg musi przejść jakiś odcinek wzdłuż ciekłu wodnego, żeby się przekonać, iż strumień kapryśnie zmienia kierunek i nie wyda go łapaczom, jeśli marsz przez jakąś część następnej nocy trzymać się będzie lodowej pokrywy i prowadzić w górę, z daleka od ludzi, którzy są, być może, w dole.

Pośród ciągłego myślenia i coraz wyraźniejszego szumu odkrytej wody Forell nie słyszy, że lód pod jego krokami staje się niespokojny. Przy ostatnim wyraźnym pęknięciu jest już za późno, by opuścić bieg strumienia, na dodatek brzegi są dość strome. Gdy lód ustępuje, mężczyźnie przychodzi do głowy stara rymowana historyjka o chłopczyku, który mimo surowego zakazu ojca odważył się wyjść na lód sadzawki. Nawet kiedy lodowatą wodę czuje już do kolan, nie przestaje przypominać sobie słów wiersza. Instynktownie robi jednak to, co należy i kładzie się płasko. Pozwala mu to utrzymać się na niepołamanym lodzie, ale zanim dotrze do brzegu, nie będzie sposobu, żeby usunąć wilgoć z ubrania.

Lód pęka jeszcze dwa razy. Na szczęście Forell trafia na masywny głaz i chwytą się go, nie mocząc nóg powyżej kolan. Brodząc, wychodzi i wspina się na brzeg. Dopiero teraz widzi strumień w całej szerokości, jak spada po luźnych kamiennych stopniach i w miejscach sterczących nad wodę pokrywa je grubą lodową skorupą.

Człowiek w bezludnej krainie bez drzew, domów i ogrzewającego schronienia wie w tym momencie, że przez głupi drobiazg przegrał życie. Sili się mokrymi palcami rozwiązać rzemienie desek, ale i w drewnie, i w skórze woda zamarza już mocno, a chłód zaczyna wchodzić w stopy. Igła kompasowa wskazuje teraz, perfidnie i drwiąco, zachód tam, skąd płynie strumień.

Nie trzeba tu wiele wyobraźni - a doktor Stauffer wielokrotnie zarzucał Forellowi, że nie ma wyobraźni - by zrozumieć, co oznacza takie położenie. Na dodatek miejsce jest widoczne z daleka.

Ziąb nie jest ostrzejszy niż jakieś piętnaście stopni, ale w mokrym po kolana ubraniu i butach da się, przy braku wiatru, wytrzymać dwie albo trzy godziny, jeśli stopy nie przestaną maszerować, a za kilka godzin napotka się schronienie. Ciało jest zmęczone i domaga się snu, ale sen w tym momencie to śmierć.

Forell łapie się na życzeniu, by przygnało teraz trzynaście psów ciągnących sanie z dwoma żołnierzami. Ale nie byłby to ratunek, co najwyżej inny rodzaj śmierci, nie tak cichy. W nogawce tkwi nagan. Można by nim odstrzelić tych dwóch, tylko że pewnie oni przedtem załatwią sprawy pistoletami maszynowymi. Ale z pomocą dobrotliwego losu psi zaprzęg i sanie mogłyby stać się jego własnością.

Stan całkowitego paraliżu trwa nie dłużej niż kilka minut, choć Forellowi zdaje się to nieskończonością.

Szuka miejsca, gdzie będzie mógł odłożyć swoje rzeczy na kamień, zdejmując spodnie i buty. Ze śmiercią nie ma negocjacji. Wygląda to na błazeński żart, kiedy człowiek pod zimnym niebem północnej Syberii na zaśnieżonym bagnie obok strumienia zdejmuje ubranie, jakby chciał wziąć kąpiel. Gryzący chłód chwyta go za nogi. Zdejmuje fufajkę, zawijając dobrze wywatowane okrycie wokół nóg. Stopy wtyka do czapki, potyka się, staje obok na śniegu, a gdy ten wydaje mu się daleko mniej zimny niż zamarzająca wilgoć, postanawia od razu rozgrzać stopy, nacierając je śniegiem.

Wyciśnięcie wody z watowania przychodzi już ciężko. Ale zgrabiałe palce, o ile mają jeszcze czucie, wyczuwają przy dotknięciu spodni, że po nowym i niespranym materiale woda spłynęła, przez co spodnie mokre są wewnątrz i na zewnątrz, ale wypełnienie z waty nie zostało nasączone. Za to kalesony i skarpety wchłonęły wszystko, co się dostało od dołu.

Skoro tak, to można targować się ze śmiercią o termin.

Pieskie zimno dla ciała, jeśli rzeczy, które pozostały suche, mają teraz wystarczyć do owinięcia nóg i stóp. Ciało potrzebuje jedzenia i snu. Głód i potrzeba snu ustępują jednak przed strachem, a ten każe działać. Niepewne dłonie próbują krzesać ogień z puszki. Na

niemal pionowo wznoszącym się kawałku skały Forell odkrywa miejsce, na którym, jak sądzi, zdoła tak umieścić ogień, że działanie ciepła przejdzie na mokre części ubrania. Mija już pół godziny i wreszcie tabletką suchego spirytusu przyjmuje płomień, rozpalony na loncie przez iskry. Poświęcić trzeba kawałek papieru, i jeszcze jeden kawałek, i znowu jeden. Forell nie ma go przecież wiele, a to, co ma, potrzebuje, żeby od czasu do czasu skręcić w nim machorkę. Palenie nie jest konieczne, ale życie tak. Życie jest konieczne, a jeśli cały zapas suchego spirytusu zostanie poświęcony na wysuszenie kilku sztuk ubrań, jutro przegrane zostanie to, co dziś udało się uratować.

Gdy pierwsze tabletki ustawione jak domek z kart płoną wreszcie, przynajmniej dłonie się grzeją, bo muszą nieustannie machać nad płomykiem tym, co ma wyschnąć. Machać tak blisko, żeby ta odrobina ciepła nie uniosła się w swym zabiedzeniu ku syberyjskiemu niebu.

Bosy mężczyzna, któremu robi się coraz zimniej, długo zastanawia się, czy swym nożem, którego wartość i znaczenie zdaje się tu po raz pierwszy pojmować, nie powinien rozciąć brzożowych desek na długie wióry, by uzyskać więcej ciepła. Ale ciepła chwila mogłaby okazać się bardzo kosztowna. Forell nie jest jeszcze poza obszarem poszukiwań. Będzie musiał biec, całymi dniami dalej biec, zanim wyjdzie z niebezpiecznej strefy, wciąż biec, jeśli w ogóle będzie jeszcze kiedyś biegł. Będzie znów biegł.

Nogawki spodni, najmniej przepuszczające wodę, rzeczywiście ukazują kilka suchych miejsc. Na początek i wobec bezpośredniego zagrożenia śmiercią musi wystarczyć uzyskanie wysuszenia przynajmniej zewnętrznego kawałka i ogrzanie od wewnątrz zmoczonych butów, jeśli nie mogą już zostać wysuszone. A potem trzeba zniknąć z tego miejsca, które widoczne jest z daleka.

Wygląda na to, że się uda!

Półdługie skarpety będzie musiał poświęcić. Nagle są tak złe, kiedy dopiero co były dobre i ciepłe. A wełna? To mieszanka, która już pięć razy zawarła znajomość z szarparką do wełny! Nędzny towar! W domu Forell nigdy nie nosiłby czegoś takiego! Przy dokładniejszym obejrzeniu nie są jednak takie złe. Ale musi pociąć koszulę, żeby dwakroć owinąć stopy. Bardzo jej będzie mu brakować. Oczywiście nosi cztery koszule, jedna na drugiej, jednak ten początek zimy jest przecież dopiero skromną zapowiedzią mrozu, jaki nazywany jest syberyjskim. Wysuszenie skarpet jest niemożliwe. A więc w myślach ponownie zleje ocenia, żeby ułatwić rozstanie.

Z długimi kalesonami suszenie wydaje się trwać nieskończenie długo. A jeśli trwa to za długo, jeśli marznący mężczyzna ściąga na siebie niebezpieczeństwo, że go tu napotkają to raczej i tę sztukę ubrania wyrzuci. Spodnie są rzeczywiście suche, choć dopiero po kilku

godzinach. Ale tabletki spirytusu się wypaliły, dołożył nowe, znów się wypaliły, znów musiał dołożyć nowe. Na czym człowiek, zdany na samego siebie w kraju bez drewna, ma zagotować herbatę, żeby raz dziennie rozgrzać się od wewnątrz? Forell wskakuje w spodnie, odważywszy się przedtem mocno natrzeć stopy śniegiem.

Nie robi to tak źle. Teraz musi iść, dreptać, biec, żeby uzyskać przekrwienie.

I musi jeść. Chleb. Tak, teraz też kawałek słoniny.

A jeśli już Stauffer dał, na wszelki wypadek, wódkę, właśnie na wszelki wypadek, do najoszczędniejszego użycia, to przecież w takiej sytuacji wolno wziąć łyk. Niecały łyk. Taki łyk to właściwie tylko pół łyku. Licząc kroki, Forell też przecież dokładnie tak postępował, licząc krótkie za pół kroku, rozliczając je za pomocą długich odcinków biegnących w dół. A więc ma prawo wziąć od razu drugi krótki łyk.

Z tego powodu kalesony niemal przypaliłyby się w jednym miejscu. Ale tylko przypaliły, nie tak całkiem mocno, żeby się tkanina rozeszła.

Dlaczego człowiek nagle bawi się naganem? On też się zamoczył. Ponadto pistolet wisi między udami dość niewygodnie, kiedy trzeba przejść takie dalekie odcinki. W takim miejscu przeszkadza po prostu, jak niewłaściwie umieszczona kieszeń w spodniach, w której nosi się dwadzieścia kluczy domowych. Taki pistolet jest rzeczą ważną dla życia.

- Ważną też dla śmierci, mawia doktor Stauffer - Forell rozmawia sam ze sobą. Jak to chropawo brzmi!

- Prawie by się źle skończyło - mówi potem jeszcze głośniejszym głosem, i brzmi to równie chropawo. Ale podoba mu się rozmowa z samym sobą. - Stauffer mi to tak czy inaczej zalecił. A propos, bardzo piękny pistolet! Kompletny nonsens nosić nagan ukryty. Zwłaszcza na wypadek schwytania muszę mieć go przecież pod ręką. Stauffer podchodzi do tego za dokładnie, za pedantycznie. Lekarze muszą tacy być. To słuszne. Ale nie może przecież zaszkodzić, jeśli przydzielę pistoletowi teraz inną kwaterę.

Rzeczywiście dreptanie rozgrzewa stopy.

Tylko buty bez wkładek wokół stóp są tak cholernie zimne. Wchłonęły wilgoć i można na nich zauważyć, co się z nimi stało w lodowatej wodzie. A więc Forell poświęca jedną z czterech koszul. Nóż tnie wspaniale.

- Daj nie cztery, a sześć pięknych szmat wokół stóp. W tych czterech koszulach tak czy tak zbyt się pocilem. Skarpety mogę zostawić, niech leżą jako zdobycz dla lisów. Czy tu są lisy? A jeśli są lisy, to gdzie są zające, żeby sobie mogły wzajemnie mówić dobranoc?*

Ludzie, jestem pijany! Co znaczy: ludzie? Ja tu jeden jestem człowiekiem. Te rogate woły mnie nie znalazły! Ludzie! A jednak to jest paskudne, tak zupełnie samemu musieć

* Po niemiecku dobranoć mówi nie diabeł, a lisy - przypis tłumacza. reprezentować ludzkość w tak ogromnym kraju. Być człowiekiem jest dobrze, ale bez suchego spirytusu szybko się skończy.

Dwa łyki wódki - i od tych dwóch próbek, które razem dały jeden cały łyk, ten mężczyzna, ten wielki chłop, zrobił się pijany?

Mówi i chodzi wkoło, i suszy, i szczerą ręką rzuca jeszcze raz kilka tabletek suchego spirytusu na ogień. Mruczy coś sobie pod nosem. Pijany. Zupełnie pijany, tak że język zaczyna się na trudnych słowach. Potem mówi rękoma i wybija sobie takt do półgłosem wymrukiwanych rozważań. Stauffer mu przecież powiedział, że ma sam ze sobą rozmawiać, skoro musi być sam. Wszystkiemu winien jest ten przeklęty strumień. Nawet nie mają porządnego lodu, tu na Syberii, takiego lodu, po którym człowiek mógłby iść beztrąsko.

Przebieranie się sprawia mu niejaką trudność. To jest ciepło. To jest miłe. Stopy zamknięte w amerykańskich butach czują się sucho. I właściwie nie da się zauważyć, że pikowane spodnie były mokre, czuć tylko tyle co w schronisku górskim, kiedy zapomniało się powiesić przez noc ubranie na drążku przy piecu. Dzień musi się już kończyć, a z pięknego zapasu suchego spirytusu nie została nawet jedna trzecia w worku, który Forell zarzuca sobie na ramiona po przymocowaniu desek do butów.

Tyle jeszcze sobie uświadamia, jakkolwiek jest jego stan, że nie wolno mu dłużej być tu, gdzie zostawił mnóstwo śladów. Marsz przychodzi mu trudniej. Nie spał. Wystraszył się śmiertelnie, a potem zmarł. Robił głupstwa i zachowywał jak pijany.

Niechaj liczy kroki, kto chce! Forell jest zbyt zmęczony. Umysł pracuje tak leniwie. Teraz tylko odejść stąd, na jakiś poszarpany teren, który skryje przed wzrokiem! Musi przecież w końcu nadrobić sen. W głowie mu brzęczy. Oczy bolą od przyćmionego światła, które odbija śnieg. Stauffer zapakował do worka coś na kształt okularów słonecznych, taką nieco wymęczoną konstrukcję, która tylko na połę spełnia zadanie. Forell nie może się jednak zdecydować na mozolną operację zdejmowania worka z pleców i szukania w nim tak mało wartościowego przyrządu. Prędzej czy później znajdzie się przecież odpowiednio zakryte miejsce do spania.

Teren wznosi się bardziej stromo.

Forell już nie może.

Dość nisko na krawędzi zbocza leżą niezgrabne, dziwacznie ociosane kamienie, jedne tuż obok drugich. Musi się wreszcie przespać, zanim pójdzie drogą pod górę, bo igła kompasu wskazuje mu ten kierunek.

Dobrze się składa. Jeśli przekroczy kilka z tych głazów narzutowych, będzie się mógł między nimi położyć, a dookoła, z wyjątkiem jednej otwartej strony, będzie miał potężne skalne twory, wysokie jak dom, które cudownie go osłonią. Pierwsze miejsce rzeczywiście ciepłe. Zmęczony człowiek musiałby sobie ugotować herbaty, żeby pozbyć się pragnienia. Ale gotowanie herbaty przysparza tyle pracy i znów zużywa spirytus. O wiele piękniej byłoby położyć pod siebie deski, worek z machorką pod głowę, zdjąć buty, by móc je luźno i bez uciskających sznurowań wetknąć do worka i po prostu zasnąć. Wódka budzi w nim obrzydzenie. Tylko herbaty chciałby się napić. Nie może i nie chce już gotować. Nieco śniegu dla nawilżenia podniebienia. Potem skrzyżowanie ramion na piersi.

Co z nimi, że tak wrzeszczą? Nie chce wstawać ani iść na przodek. To nieszczęsne noszenie koszy przez cały dzień wychodzi mu już bokiem!

Nagle Forell budzi się i podsuwa na kolanach do wąskiego otworu między kamiennymi blokami. Wstrzymuje oddech.

Teraz chodzi już tylko o to, czy i kiedy przetnajego ślady. Piętnaście psów ciągnących za sobą żelazne sanie z dwoma żołnierzami.

Forell zna ten rodzaj sań, nawet jeśli w migoczącym kurzu śnieżnym nie może dostrzec, jak ci dwaj wyglądają. To są żołnierze z obozu.

Jeśli to nie jego poszukują, zostawi nagan owinięty w szmacie, ale jeśli szukają właśnie jego i jeśli psy utrzymają kierunek jazdy, sanie zaraz zakręcą na śladach, napotykając świeżo zbudzonego ze snu więźnia. Tylko nie tak, jak to sobie wyobrażają żołnierze, lecz uzbrojonego w pistolet, który może oznaczać, iż pozbawione kierującego sanki wrócą puste do obozu. A może Forell zdobędzie kompletny zestaw psów i sanie?

W głowie już nie brzęczy. Dla obleganego w kamiennej twierdzy staje się naraz jasne, że od zaśnięcia minęła reszta nieszczęśliwie rozpoczętego dnia i cała noc. Wie, że albo jest jeszcze w odległości osiemdziesięciu kilometrów od ołowianej góry, albo że poszukiwania w tym przypadku przesunęły się dalej w teren.

Lepiej byłoby wziąć obu chłopaków na muszkę. Ale jak chybi, wtedy nie podejną tak swobodnie do kamiennych bloków, jeśli w ogóle nabrali podejrzeń, jeśli przetnajego ślady z wczoraj, jeśli jakiś znak na śniegu powie im, gdzie znajdą zbiega. Po przecięciu śladów nart podchodzić będą z gotowymi do strzału pistoletami maszynowymi. A wtedy Forellowi pozostanie przystawić sobie do skroni pistolet.

Wszystko rozgrywa się w ciągu kilku sekund. Żołnierze rozmawiają, krzycząc. W czasie jazdy saniami zawsze się krzyczy. Psy zdają się bardzo dokładnie znać kierunek. Być może Forell też go znał od czasu, gdy gdzieś tu jechał z Wasilijem. Najwidoczniej saniami nie

jedzie się tak, jak Forell szedł wczoraj. Psy biegną pod urwiskiem, skręcają nieco na lewo i śmigają jakieś siedemdziesiąt metrów obok kamiennych bloków.

Jeśli teraz jeszcze nie zmienią kierunku jazdy, przejadą obok śladów w odległości stu dwudziestu metrów.

Mijają dwie minuty od przebudzenia. Z bardzo daleka słychać pokrzykiwania na psy i strzępki męskiej rozmowy. Więc tam, gdzie właśnie kładzie się chmura śnieżnego pyłu, wiedzie droga do obozu. Forell z tego wszystkiego rozumie tylko tyle, że musiał iść dużym łukiem. Bo do tych bloków kamiennych w miejscu swojego wypadku doszedł z zupełnie innego kierunku, a do strumienia dotarł z tamtej strony. Rosjanie znają strumień. Unikają go. Pewnie wiadomo im, że można tam wpaść i stracić życie, gdy ziąb zamrozi wszystko na ciele.

Dłonie próbują być zupełnie spokojne, kiedy Forell zawija pistolet w szmaty i wtyka do kieszeni. To, że drżą, nie świadczy o bohaterstwie, ale już jakiś czas temu uczył się obchodzić z tym instrumentem. Możliwe, że strzelałby bardzo źle, gdyby stało się to konieczne.

Teraz, kiedy Rosjanie najwidoczniej zawrócili, nie ma sensu czekać do nocy, by kontynuować marsz. Może jest dziewiąta albo dziesiąta rano. Światło wskazuje na tę mniej więcej porę dnia.

Forell zbiera swoje rzeczy, wkłada chleb do kieszeni, żeby móc jeść po drodze, i wychodzi ze swej kamiennej budowli, wyrzuciwszy przedtem deski nad kamiennym blokiem.

Noc nie za bardzo mu posłużyła. Tak kosztownie suszone rzeczy nie są całkiem suche. Całe ciało jest nieprzyjemnie wypełnione mokrym marznięciem. Buty zrobiły się lodowato zimne, ciepło stóp na skutek wilgoci oddają bez efektu do zimnej ziemi.

Samotny śnieżny piechur, którego przyroda się nie lęka, bo niczego żywego, co mogłoby się zląknąć, nie ma dookoła, idzie, nie troszcząc się na razie o kierunek, wzdłuż śladu sań, jaki zostawili Rosjanie. Tam, gdzie ci ludzie jechali, droga jest mniej więcej bezpieczna. Równie pewne jest, że w tej okolicy nie będzie już nikogo, kto wyruszyłby go szukać.

Powoli, jak turysta, siada na kamieniu, gdy z głodu wydaje mu się, że dawno już minęło południe, i wypakowuje to, co zaplanował dziś jako posiłek: wysmarowaną paczuszkę z tłustymi rybkami, które w obozie smakowały tak potwornie. Tylko głód może dawać złudzenie, że są smaczne. Znów nie są dobre. Ale z takim pożywieniem, jak liczy zupełnie realnie, daleko zajdzie się na zimnie. Bo przewidziane są jako żarcie dla psów zaprzęgowych, a psy potrzebują tłustego jedzenia, żeby wytrzymać swoją ciężką pracę.

Potem idzie dalej, bez trudu i bez kompasu znajdując miejsce, gdzie trzeba odejść od śladu sań żołnierzy, żeby znów przyjąć ogólny kierunek na zachód. Rosjanie musieli przecież, według rozważań Forella, w czasie swoich poszukiwań zataczać duże koło, za którym nie wolno mu iść, jeśli nie chce wrócić tam, skąd uciekł.

Wieczorem, kiedy wyszukuje sobie nieszczęśliwie miłe miejsce na nocny biwak, bo akurat nie daje się znaleźć niczego lepszego, przełamuje się, żeby włożyć głębiej w worek słoninę i jeszcze raz spożyć obrzydliwe rybki, obawiając się marznięcia w noc pod gołym niebem.

„Umieranie też jest sprawą przyzwyczajenia” - powiedział mu kiedyś doktor Stauffer z tak ponurą powagą, jakby objawiał jakąś prawdę wiary. Gdy Stauffer rzucił jakiś dowcip, zawsze była to tragiczna powaga.

W ciągu trzech urozmaiconych tygodni wędrówki, które wydawały się w sumie krótsze niż trzy pierwsze dni po ucieczce, Forellowi weszła w nawyk gra szczęściem i przypadkiem. Nauczył się bez zagrożenia kłaść spać w nocy przy straszliwym mrozie, rozstawiając swoje rzeczy tak wokół siebie, że powstawał ochronny płaszcz z powietrza. Żeby nie zdechnąć z nudy, wybierał najdziwniejsze pory do marszu, raz wyruszając na wiele godzin przed brzaskiem i maszerując do popołudnia, potem znów idąc tylko nocą w księżycowej mgle, zawsze jednak nie troszcząc się o to, kto i co może go napotkać.

Teraz jest mu obojętne, co z nim będzie. Jego wyobrażenia o tej części Syberii są takie, że robi nieprawdziwe wyliczenia co do drogi swego marszu, niewolniczo sumuje liczby, tworząc przekonanie, że niebawem znajdzie się w przyjemniejszych stosunkach klimatycznych. Tysiąca kilometrów, jak sądzi, nie da się i na mapie Syberii pominąć, a tysiąc kilometrów, jak wierzy, jest dawno za nim.

Już nie leży tyle śniegu, żeby w każdym wypadku cieszył się ze swych nart, ale według jego pamięci, która zawodzi, musi tu późną zimą spaść bardzo dużo śniegu. Wtedy będzie potrzebował desek, zakładając, że wytrzymają tak długo, żeby dotrzeć do celu. Ale do jakiego celu?

Gór nie ma. Na mapie Danhorna ich pasma narysowane są jako cienkie kreski, wszystko tylko cienko i mniej więcej. Tam, dokąd teraz idzie, miały być góry, ale to, co wyczuwa pod zmarzniętym śniegiem, to mokre bagno, mocno zmarznięte i bezpieczne o tej porze roku. Oko już z daleka widzi brudne i wodniste miejsca, które wchłonęły i rozpuściły jesienny śnieg, zanim pokrywa mrozu zupełnie się zamknęła. Od czasu, kiedy Forell przechodzi istotne odcinki marszu za dnia, jest w stanie z biedą utrzymać kierunek od jednego punktu orientacyjnego do drugiego.

Od wielu dni nie ma już żadnych punktów do namierzenia.

Cały kraj, jak daleko sięgnąć wzrokiem, jest straszliwie jednostajny, niezdolny do żadnej przemiany. Przed wieloma dniami, kiedy krajobraz był jeszcze bardziej poruszający, raz zdarzyło się inaczej i Forellowi udało się urządzić nocleg pod drzewami. Choć były gorsze niż w domu, bardziej kalekie w swym wzroście, z dziwnie rozwichrzonymi gałęziami, to wędrujący Europejczyk mógł do nich przemówić jak do znanych drzew swojej ojczyzny. To były olchy. Dwa dni później wyciął sobie z wierzb rosnących w bagnistej ziemi kilka cienkich gałązek. Nosi je ze sobą w swym już dawno lżejszym pakunku, żeby na równej powierzchni rozstawiać te patyki i wieszać na nich kilka rzeczy z materiału, których nie nosi na sobie.

Czy kosze na rudę pochodzą z tej okolicy? Nie jest to wielce prawdopodobne, ponieważ między dzisiejszym miejscem biwakowania a kopalnią ołowiu rozciąga się wielki szmat syberyjskiego bezdroża.

Przez cały dzień marszu oko szuka punktów zaczepienia. Od jednego rozczarowania do drugiego, gdyż ciemne wzniesienie na granicy widoczności po godzinach marszu rozpada się w sobie jako chmura, jak załamanie powietrza. Męczy się tym wzrok, który nie potrafi już ocenić, co rzeczywiście widzi.

Potem jednak śnieżny piechur zdejmuje z twarzy swoje dziwnie uformowane okulary, które nie mają szkielec, lecz dwie pokrywy dużych rybich skrzel z wyciętymi poziomymi szczelinami, żeby nieuzbrojonym okiem zbadać, czym rzeczywiście jest kulisa z przodu.

Jeśli jest to las - święty Boże, daj, żeby tak było! - to zaczyna się tam inny świat, w którym człowiek może jeszcze żyć, nawet jeśli nie ma nic ponad swój starannie podzielony głód i napomnienia Stauffera, znów żyć, nie tak całkowicie i wyłącznie skazany na kamień i śnieg.

Jeśli to są drzewa...

Forell wbija w ziemię z całą siłą długi kij, którym od pewnego czasu ułatwia sobie balansowanie na brzożowych deskach i zmienia upartą wędrówkę w szybki bieg, bo po raz pierwszy w czasie swej ucieczki nie widzi, żeby pejzaż na horyzoncie przed nim uciekał. Zakłada okulary i wciąż widzi rosnące drzewa. Potem zrywa je futrzanymi rękawicami z twarzy i gołym okiem rozróżnia drzewa, rozgałęzione, nie gorzej wyrosnięte niż w domu. Ziemia pod deskami jest nieco bardziej chwytana i nie wykazuje już nieregularnych powierzchni gołego lodu. Czyż na skraju świata są jeszcze, poza mchem i wyrastającymi jak wysepki kępami trawy, takie rośliny jak drzewa?

Przerażająca jest najwyżej nagłość, z jaką całe grupy drzew przesuwają się w okolice, gdzie brak jakiegokolwiek śladu intensywnego wzrostu. Wygląda to nienaturalnie i zaskakuje. Forell kuli się, gdy wpada między drzewa.

- Ho! - woła ze zdziwieniem i powtarza swoje wołanie. - Ho! - wołanie ginie wśród gałęzi.

Ojciec Forella już z odległości wielu kilometrów potrafił powiedzieć, jakiego rodzaju są szeroko rozgałęzione drzewa. Ale ojciec zmarł w czterdziestym pierwszym. Był jednym z tych mędrców, którzy o drzewach chcą wiedzieć, dlaczego są takie, ale nigdy, do czego jeszcze mogą posłużyć, kiedy człowiek je powali. Syn Forella patrzy w górę pni i dotyka kory. Wygrzebuje trochę liści z luźnego śniegu i sądzi, że ma przed sobą osiki. Z osiki robi się zapalki i pudełka do zapalek.

Zapalki?

Drewno. Suche drewno gałęzi. Zapalki. Ogień. Ogień chłopaków na stoku góry.

Aczkolwiek nie może być później niż około drugiej po południu, Forell zsuwa swój podróży worek i wyszukuje jakieś względnie suche miejsce. Teraz dla niego jest wieczór. Dotąd wieczór był zawsze wtedy, kiedy zaczynało się marznięcie.

Mężczyzna zbiera liście spod drzew i znosi dużo gałęzi. Wiatr jest z lewa. To tylko lekki wiatr. Ogień trzeba więc rozpałić od strony wiatru. W czasach chłopięcych, kiedy zabierano się do rozpalania ognia, sprawdzano, czy nie ma w pobliżu dorosłego. Forell też rozgląda się, trzymając już puszkę w ręce, jak chłopak przy rozpalaniu. Doświadczenie samotnego wędrowca.

Puszka z lontem na więcej niż pół metra to wspaniała rzecz, która nigdy nie zawodzi. Lecz dopiero umiejętność mężczyzny przekształca żarzenie w buchający płomień. Z mchem idzie średnio. Z liśćmi o wiele lepiej.

A potem uciekinier wstaje rozpromieniony, odsłaniając słabemu wiatrowi ognisko, żeby mógł dostać się do liści. Po raz pierwszy cieszy się, że nadchodzi wieczór. Ogień dostaje się pod gałęzie. Zaczyna mlaskać, traskać i pękać. W drewnie, nawet kiedy jest suche, zawiera się dużo wilgoci, z której nad ogniem unosi się krzywa smuga dymu, pomiędzy konary drzew i wyżej, ponad korony. Forell ustawia się tak blisko ognia jak pozwala gorąco, obracając się i wykręcając, żeby wreszcie raz wygonić upartą wilgoć.

Człowiek i ogień. Cóż niedobrego może jeszcze zdarzyć się uciekającemu, kiedy znów jest drewno do rozpalenia ognia, żeby wygrzać ciało?

Zebrane drewno szybko się wypala. Mężczyzna idzie dalej na jego poszukiwanie. Wchodzi na najbliższe drzewo, rąbie kandrą w grube jak udo konary, a te odłamują się z

krótkim wystrzałem i spadają w dół. Takie drewno, połamane na dole na mniejsze kawałki, pali się mniej chętnie i na nowo daje olbrzymią smugę dymu.

Ziemia pod ogniskiem rozmraża się, więc ogień syczy i świszczy. Około godziny czwartej nadchodzi noc. Forell, aby raz wreszcie spać zupełnie koło ciepła, przycina sobie z odłamanych konarów długie kawałki mające mu służyć jako łóżko, które w razie potrzeby da się przysunąć bliżej ognia. Podsycanie płomieni nie jest już kłopotem.

Mężczyzna ściąga z siebie całą odzież i grubą warstwę bielizny, wiesza zdjęte rzeczy na skośnym konarze tuż nad ogniem i wybiega w śnieg, żeby się barbarzyńsko natrzeć. To nie wyziębia. Rosjanie dobrze to wiedzą, a Finowie wazą się na przeskok temperatury około stu stopni. Wspaniale jest natrzeć się śniegiem, a potem wysuszyć tak blisko ognia, jak to tylko możliwe. Pot i kurz, które mocno wzarły się we włosy i brodę, zostają wymyte, a Forell znów biegnie od ogniska w śnieg, jakby chcąc umyć się na całe tygodnie naprzód.

Na koniec tego ceremoniału siedzi ubrany koło ognia, nie zakłada tylko butów. Między kolanami ma worek podróżny, żeby przygotować sobie posiłek. To chleb i tłuszcz zdobyty przez Stauffera z jakiegoś ciemnego źródła. Ale w taki wieczór nie można sobie odmówić odcięcia przedostatniego cienkiego plasterka słoniny. Jest spokojnie i prawie przytulnie. Do zwykłego obrazka brakuje jedynie gazety z ostatnimi wiadomościami i małą notatką, że niejaki Clemens Forell, skazany przez Sowietów na dwadzieścia pięć lat przymusowych robót, uciekł i po całorocznej szaleńczej podróży przez Rosję szczęśliwie powrócił do domu.

Z braku innej gazety zastąpi ją „Prawda”, poręcznie pocięta na strzępki, żeby człowiek musiał ją tylko bardziej skrócić, napelnić machorką i przypalić żarzącą się gałązką.

Po czterech godzinach w stosie konarów zbiera się tyle żaru, że mężczyzna w tę pierwszą od dawna noc nie będzie marznął. Zadowolony człowiek, który nie tylko chce szczęśliwie przejść drogę, ale też wierzy, że podoła.

Jeszcze rano pod popiołem jest resztką żaru, żeby w czworokątnej menażce z magdeburskim adresem Stauffera zagotować herbatę.

Osiki nie rosną tak gęsto i bogato, żeby udawać las. Może latem im się to udaje, kiedy pokrywają się listowiem. Któż w to wierzy, że tu kiedyś może być listowie? Jak nieregularnie gęsto i nieuporządkowanie rosną drzewa, tak planowo rozmieszczone wydają się grupy drzew na płaskim jak talerz terenie, jakby miały zasłaniać jakąś tajemnicę, którą chcą w operetkowo zaskakujący sposób na długo zachować dla siebie.

To, co w ten mglisty wczesny ranek pojawia się niespodzianie przed ruszającym w drogę mężczyzną, odbiera mu na moment oddech. Kilku uzbrojonych w pistolety maszynowe

Rosjan, wyczarowanych nagle w samotni pośród drzew, wywołałoby dalece mniejszy strach niż nowy widok - morze.

Zamarznięte gładko, pokryte śladem śnieżnego puchu. Teraz tylko lód i niepomarszczona powierzchnia leżą przed samotnym człowiekiem, który futrzanymi kulkami obciera sobie spotniałe skronie. O morzu Forell wie tyle, że jest niebezpieczne, ponieważ nad morzem nawet tak straszliwy kraj nadaje się do zamieszkania, choć tylko dla naukowców, rybaków, poszukiwaczy węgla, geografów czy skazańców. Wszystko jest nie tak, bo tutaj to morze. Naturalnie zadziwiająco spokojne morze. Morze, które już o tej porze pokryte jest lodem? Czyż morze zamarza na całej swej powierzchni? Czyż nie ma w nim tyle soli, że chłód przed zimą nie da mu rady?

O morzu, o tym jak wygląda w tych szerokościach, Forell wie tylko ze słyszenia. Kiedy skazańcy na przylądku urlopowani byli co osiem czy dwanaście dni, wychodząc z wnętrza góry na światło dzienne, Danhorn za każdym razem najpierw spoglądał na niebo. Najczęściej było szare, a widoczność przesłonięta lodową mgłą. Czasami jednak, w dni wolne od mgły, niebo skrzyło się, oślepiając swajasnnością. Danhorn zwykł wtedy mówić: „Idzie kra, będziemy mieli zimne dni”. Ale były też inne dni. Wtedy niebo było aż do granicy widzialności ciemne, czarniawe i ponure. Dziwnym trafem były to ładniejsze dni. Danhorn oglądał niebo i mawiał, że niebo jest ciemne, bo morze jest otwarte i bez lodu. Pojawia się cieplejsze dni. Niebo, jak twierdził Danhorn, odzwierciedla na dużej odległości morze, pokazując nieomylnie, czy idzie kra, czy cała powierzchnia jest odkryta.

Ach, ten Danhorn twierdził tyle rzeczy niedających się udowodnić.

Mężczyzna wyjmuje mapę i wpatruje się w cienkie kreski oznaczające raz góry, a raz bieg rzek. To jest morze i to też. Stauffer ostrzegał przed morzem w prosty sposób: „Iść na zachód!”. Szedł przecież, odliczając odchylenia, na zachód, ciągle na zachód. I w ten sposób znalazł się nad morzem.

Mapa również nie daje wiarygodnego wyjaśnienia, Forell wtyka jąwięc do kieszeni w podbiciu fufajki i przysposabia się do całkowitej zmiany kierunku, żeby tylko odejść od morza i znów znaleźć się pośród lądu.

Wraz z dniem, który zbliża się już do swej połowy, wysoko na niebie pojawia się jaśniejsze, matowo oświetlane przez słońce pasmo. Opar uniesiony zostaje przez nieco żywszy wiatr. Poniżej, daleko, daleko pojawia się drugi brzeg morza.

A ten brzeg, jeśli oczy nie mylą jest zalesiony.

Więc zatoka morska, szeroka na wiele kilometrów?

Albo też to, co ukazuje się tam jako łąd i drzewa, jest wyspą. Mężczyzna zastanawia się. Jeśli tamten łąd jest wyspą i już tak wczesną zimą ma połączenie ze stałym łądem twardą powłoką lodową to wraz z postępowaniem zimy będzie istniała droga powrotna po tym samym lodzie, po którym teraz chce pójść, nakłuwając go dla próby. Tak czy tak musi próbować po lodzie, ponieważ nie ma żadnego sensownego pomysłu, czy ma iść dalej na lewo czy na prawo, skoro nie wie, nad jakie morze przywędrował. Jeśli wybierze niewłaściwy kierunek, to wielomiesięczna wędrówka, na którą zupełnie nie jest prowiantowo przygotowany, poprowadzi go do obozu, z którego uciekł. Oznacza to wręcz nedorzeczny rachunek. Tak więc Forell sprawdza lód, czy ten go utrzyma. Od nieszczęścia owego ranka w strumieniu całe ciało przepelnia nieufność przed zamrożoną wodą, ale w tym przypadku musi zmierzyć się z lodem, który na swej powierzchni wydaje czasem burczący ton głuchego pęknięcia. Na nartach iść się nie da. Ale narty zabezpieczają odrobinę, gdy mężczyzna pełzną, wysuwa się z kandrą w dłoni i nacina lód. Potrzebne są głębokie nacięcia, zanim uwidocznią się choćby cienie wody. Gdy nóż wreszcie przebija lód, Forell mierzy jego grubość dłonią i nie może jej objąć. Na takim lodzie można próbować.

Gdy powierzchnia zaczyna śpiewać pod ciężarem kroków, mężczyzna staje, tak trzymając deski, żeby od razu móc oprzeć się na nich połową ciężaru ciała, gdyby śpiew przerodził się w groźne pęknięcie. Żeby odwrócić uwagę od swojego strachu, znów zaczyna liczyć kroki. Z ostrożności są to małe kroki, dlatego wlicza po pięć na cztery metry, jednak dość szybko wypada z rytmu skomplikowanego liczenia, ponieważ wyspa zbliża się szybciej, niż pierwotnie przypuszczał.

Mężczyzna wlecze się w kierunku brzegu i opuszcza lód. Kiedy jest już na łądzie, uznaje za słuszną iść wzdłuż brzegu na zachód, według kompasu. Ogień, jaki rozpała na wieczór, nie jest radośnie płonącym ogniem. Dziś nawet suche drewno nie chce się tak szybko zapalać jak wczoraj to zielone, które mieczowatym nożem wyrąbywał z konarów drzew. Jedynie rozleniwia i powoduje, że uciekinier powtarza mechanicznie to, co wczoraj sprawiło mu tak wiele przyjemności.

Nawet sen nie chce nadejść pośród zmęczenia.

- Hej! Hej!

Siada, bo sądzi, że nawołuje go ktoś z ciemności. Ogień powoli się dopala.

Pośród drzew jest dziwny niepokój. Niepokój skradający się na tysiacych nóg.

W bladoczerwonym świetle słabo pełgającego ognia pojawia się straszliwa twarz, kanciasta i owłosiona. Na jego krzyk przestraszona twarz znika. Dookoła wszystko jest tak ruchome i tak wypełnione obcym życiem, że mężczyzna siedzący na ziemi czuje, iż może

namacać to rękoma. Musiałby się podnieść, żeby nie być wystawionym na napad w tak bezbronny położeniu, jednak nie chce też wystawiać na atak całej sylwetki. - Hej! Hej!

To okrzyk, który Forell już słyszał. Skądś z daleka woła jeszcze jeden.

Jakżeż przerażająco potrafi zniekształcać najłagodniejsze i najmniej groźne rzeczy dogasające ognisko! Co właśnie przed chwilą było paskudnym widokiem, teraz zmienia postać. Ponad włochatą kryzą szyi pokazuje się całkiem przyjemny pysk jelenia, któremu nawet potężnie rozgałęzione poroże nie jest w stanie nadać przerażającego wyglądu. Zwierzę zdaje się dziwić człowiekowi, który leży koło swego ognia. Za porożem wyłania się postać człowieka. Mężczyzna chyba siedzi na zwierzęciu.

Mężczyzna - jedyne, co uderza w jego głosie, to wyraźnie wysoki ton - mówi coś w kierunku biwakującego. Modulacja pozwala rozpoznać, że niezrozumiałe słowa oznaczają pytanie.

- Jestem w drodze - mówi Forell - i rozpałem sobie tutaj ognisko, żeby nie zamarznąć.

Wstaje, by zobaczyć coś więcej. Mężczyzna rzeczywiście siedzi na zwierzęciu jak na osłe, ale nad przednimi nogami, nie na środku grzbietu. Język, którym mówi, to nie rosyjski.

Z ciemności wychodzi jeszcze jeden mężczyzna, młodszy od jeźdźca, i przygląda się z zainteresowaniem.

- Śmieszni ludzie jesteście - mówi Forell. - A cóż to za zwierzęta, na których jeździ się, siedząc tak nisko?

W odpowiedzi jeździec mówi całkiem sporo, spoglądając czasem w bok na swego towarzysza, jakby chciał go zachęcić do potwierdzenia swoich słów. Potem wyjmuje prawą dłoń z futrzanego futerału, by się głośno wysmarkać trzema palcami. Forell stoi plecami do ognia i teraz widzi więcej.

To są renifery!

Naturalnie, są to renifery. Poroże jak jelenie. Włochate, z grzywami i pochylonymi głowami. W ich oczach ognisko budzi zielonkawę refleksy.

Młodszy, stojący obok renifera, próbuje po rosyjsku.

Forell bardzo dobrze rozumie, ale odpowiadanie na pytania wydaje mu się niebezpieczne. Nie ma pojęcia, gdzie jest i jacy ludzie znaleźli jego nocny obóz. Stauffer ostrzegał przed ludźmi na wybrzeżu. W razie wątpliwości lepiej wcale nie budować mostu porozumienia, lecz gadać mimo uszu pasterzy reniferów, którzy ze swej strony mogą postępować z nim tak samo.

- Diabli wiedzą czy mogę wam braciszku wierzyć. Wy tu jesteście panami w tym kraju i możecie mnie jutro wydać Rosjanom - mówi Forell.

Co pasterze słyszą w jego słowach, jest dla niego tak samo mało jasne jak treść ich ożywionej rozmowy, która ma zastąpić odpowiedź.

Forell im przerywa:

- Nie róbcie mi kłopotu, dzieciaki, i idźcie lepiej swoją drogą! Nie możecie mi powiedzieć tego, co chcę wiedzieć. Wyrwałem się gdzieś i sam nawet nie wiem gdzie. Chciałbym dostać się dokądś, gdzie żyje się przyjemniej niż w tej obrzydliwej okolicy. Chcę do domu! Zrozumiano?

Pasterze reniferów kiwają głowami, jakby wszystko pojęli.

- Na dodatek jeszcze zablądziłem. Chciałem wędrować dalej przez krainę, a ludzi waszego rodzaju spotykać tak mało jak to możliwe. Teraz zabrnąłem i nie znam już drogi, nie znam kierunku.

Nagle staje się porywczy.

- Jeśli chcecie, wiedźcie dokładnie, kim jestem. Rosjanie, a raczej bolszewicy, posłali mnie dożywotnio do ołowiu i nie puszczają mnie do domu, co należy się jeńcom wojennym. Może znacie to pojęcie: jeniec wojenny. Nie rozumiecie? Wojennoplennyj Teraz już to powiedział, a pasterze kiwają głowami tak głęboko i wytrwale, jak dotąd jeszcze tego nie robili.

- Niemiec. - A! A! A!

- Giermanskij. - A! A! A!

Całe stado reniferów zdaje się przy tym oświadczeniu zaniepokojone. Starszy jeździec wysmarkuje nos z wielkim hałasem, a jest to smarkanie wysokiego uznania. Jego dłonie, teraz bez rękawic, gestykują z ożywieniem, formułując słowa nieskończenie sprawnymi palcami, które potrafią mówić, a czasem, jakby dla namysłu, przerywają swą ożywioną grę, by potem mówić dalej, pstrykając i formując słowa. Skoro już ludzie ci przedstawiają tak uprzejmie swoje zdanie, Forell nie może uchylić się od obowiązku i również z ożywieniem kiwa głową, a przy triumfującym uśmiechu mówiącego odpowiada: - A! A! A!

Pehtak lub jakoś tak nazywa się jeździec, ten starszy. Laatmai zdaje się nazywać mężczyzna obok, który rozumie trochę po rosyjsku. Może nazywają się inaczej, a słowa te oznaczają coś zupełnie innego. Młodszy, o imieniu Laatmai, poucany jest o czymś przez jeźdźcę, który teraz zsiada z grzbietu zwierzęcia i znika za drzewami. Pehtak, sprawniejszy w użyciu syberyjskiego noża od Forella, odrąbuje z godną podziwu szybkością konary i znów doprowadza ogień do mocnego palenia. Oznacza to więc, że nie mają zamiaru zabrać się

gdzieś ze stadem, lecz chcą zostać z obcym, aby potem wziąć go z sobą i - wydać Sowiecom. Forell niezauważenie maca pistolet. Jest jeszcze na miejscu.

Laatmai wraca rozpromieniony, jakby odkopał żyłę złota i podaje Forellowi sztywny skórzany worek do picia. Ponieważ ten zwleka, Pehtak go zachęca. Dłonie obejmują nieco niezdarnie ofiarowany dar, bo skórzany worek ustępuje pod naciskiem. Przecież to mleko.

- Mołoko?

Pasterze kiwają głowami, śmiejąc się i pokazując mu, jak ma wlewać w siebie mleko.

Mleko renów? Nie wolno być nieuprzejmym. Forell gwałtownie bierze próbny łyk, przytrzymując potężny kubek przy ustach. Smakuje o wiele lepiej niż kozie mleko, jakiego kiedyś popróbowował niechętnie podczas górskiej wędrówki.

Odstawianie nieopróżnionego worka sprzeciwia się chyba miejscowym zwyczajom, bo Pehtak także popija, a potem podaje do Laatmai, a ten znów do Forella. No, popijanie tymi pyskami nie robi sprawy bardziej apetyczną, ale kto ma odwagę do takiej ucieczki, musi też czasem nie patrzeć na okoliczności.

Forell zastanawia się, czy byłoby dobrze, żeby wypakował i zaproponował teraz swoją machorkę. Coś takiego żaden naród na świecie nie odbiera jako obrazy. Te typy jednak nie muszą od razu widzieć, że tak nędznie wyposażony jest w jedzenie, a tak bogato w machorkę, dlatego długo grzebie w worku, zanim na zgiętej dłoni wyciąga tytoń, który wygląda jak karma dla kur. Pochwała za taką propozycję jest obfita. W pewnej chwili Laatmai chwyta go za przegub prawej dłoni, żeby okazać swą radość, potem Pehtak kładzie mu dłoń na kolanie, a w towarzyszące temu niezrozumiałe słowa wkłada tak wiele serdeczności, że Forell zupełnie nie czuje, jak niewiele mogłoby brakować, by walnąć go w kark syberyjskim nożem. Podzielić się zapasem machorki, a ze sobą zabrać jego odciętą głowę, za którą Sowieci z pewnością gotowi byłiby dać dobre kilo machorki.

Pasterze śmieją się, kiedy Forell szykuje się do spania. Powstrzymują go i pokazują jak to się robi.

Laatmai wyskrobuje w dole, pod drzewami, gdzie korzenie wybiegając daleko, zagrzebują się w ziemi, dużo mchu, po czym wypełnia nim wielkie rozwidlenie korzeni. Tak śpi się ciepłej, mówi jego szeroki uśmiech. Rękoma i słowami Forell chce wypytać pasterzy, jak należy postępować przy budowaniu łoża w okolicy bez mchu. Gesty pokazują cały kraj dookoła, a odpowiedzi nie da się źle zrozumieć - mech jest wszędzie. W razie potrzeby na przyjazne pstryknięcie podejdzie kilka zwierząt, z których jedno, przeżuując powoli, położy się za człowiekiem jak krowa w oborze.

Niewiele pomaga, że Forell postanawia spać możliwie płytko. Na mchu śpi się lepiej niż na warstwie konarów i kiedy jest rano, pasterze reniferów muszą najpierw obudzić swego nowego przyjaciela workiem pełnym mleka i zaproszeniem, by skorzystał z podanego sera.

Och, ten ser!

Jeśli jedzący wmówi sobie, że to czarne w środku to pieprz, połknie także taki ser. Ale czy gorgonzola ze swym zielonym marmurkowaniem wygląda bardziej zachęcająco?

Pasterze patrzą w niebo. Dzień nie jest szczególnie zimny. Nie będzie też dużo wiatru. Można zostać. Można iść dalej. Forell nie, ma wątpliwości co do sensu rozmów.

To wszystko jest takie proste. A kiedy on sam między dwadzieścia długich zdań wplecie raz rosyjskie słowo, rozmowy stają się niemal nieskomplikowane.

Teraz musi zorientować się, przy pomocy obu mężczyzn, co do swej dalszej drogi. Stado znalazło dostatek mchu pod śniegiem i nie muszą wędrować dalej. Mężczyźni mają z osiemset zwierząt w stadzie. Laatmai wyjaśnia, że w najbliższych dniach dołączą do nich jeszcze dwa stada, większe i mniejsze, a wtedy pójdą do wioski. Po raz pierwszy pada słowo, które Niemca napawa strachem - kołchoz.

Jeśli sprawy tak się mają, jeśli nawet dla swobodnie wędrujących hodowców reniferów gdzieś tam jest kołchoz, to dla człowieka, który uciekł z niewoli, wynikają wszelkie nieprzyjemne konsekwencje spotkania z wysuniętym na koniec świata posterunkiem reżymu.

Forell chce się dowiedzieć, dokąd poprowadzi wędrowka ze stadem. - Tam!

To według kompasu wschód. A wschód oznacza tyle co powrót na Przylądek Dieżniewa.

- Jak daleko?

Gestami pokazują jakieś trzysta wiorst.

- Dzięki!

Forell chce przez kilka dni trzymać się przy stadzie, bo wydaje się to na razie bezpieczne. W tym czasie ma nadzieję dowiedzieć się dość, by poznać przynajmniej kierunek, w którym musi podjąć dalszą podróż.

Wskazuje na odnogę morską i chce, żeby mu to wyjaśnili.

Laatmai wzrusza ramionami. Nie rozumie pytania. Ale może się z nimi zabrać.

Gdyby nie zimno i gdyby Bóg nie dał Europejczykowi wrażliwego nosa, a także gdyby nad tym wolnym, leniwym spędzaniem życia nie wisiało daleko i bez nadziei słowo kołchoz, to Forell chciałby zatrzymać się na zawsze pomiędzy ołowianą górą a cywilizacją.

Spisać na straty cieniutkie pasemko nadziei na przyszłość, dzieląc z pasterzami reniferów ich los, wyznaczany wędrówką zwierząt.

Uzbrojony w karabin Pehtak oddala się gdzieś, a Laatmai wyrusza na ryby. Zabiera ze sobą Forella i objaśnia sztukę łowienia. Siekierą rozrąbuje lód, tworząc czysty prostokąt, a potem wyjmuje każdą kruszynkę lodu z małej powierzchni wody. Następnie wiesza kilka haczyków rybackich na jelitowych strunach. Napomina Forella, żeby zachowywał się cicho. Ponieważ Laatmai kuca w oczekiwaniu na piętach, Forell robi to samo.

Opiekun reniferów nie ma więcej niż dwadzieścia osiem lat i przepełniony jest tęsknotą za kołchozem. Kiedy jego oczy przymykają się jakby sennie w wąskie szpary, wtedy myśli są w kołchozie przy jakiejś kobiecie. Mówi tak przed siebie, cierpliwie, bez ciepła, a jego wysoki głos staje się nieco ciemniejszy. Forell potakuje. Potakiwanie nie jest jednak odpowiadaniem. Tak więc musi, bo ten drugi tego oczekuje, również opisać, że tęskni za kołchozem, nie, za miastem, w którym tak samo czeka na niego kobieta. Laatmai domaga się, żeby za pomocą palców pokazał kształty swojej kobiety.

Dwaj mężczyźni składają sobie wstydlive i zmysłowe sprawozdania. Pierwotny Azjata z płonącymi oczami, Europejczyk ze wstydlivością której nie oduczył się nawet w szorstkich czasach żołnierskich.

Wtem na jedną ze strun bierze ryba. Obaj spostrzegają że w otworze znów utworzył się lód. Laatmai uderza o niego długą jak ramię rybą jeszcze z haczykiem w pysku. Opisywanie kobiety uszczęśliwiło pasterza i obudziło w nim coś jakby przyjaźń do obcego mężczyzny, który ma tak daleko do domu. Jego gesty mówią: zostań!

Laatmai łapie sześć ryb, a Europejczyk długo i cierpliwie marznie w tym czasie. Kiedy obaj wracają na brzeg, stada już nie ma na miejscu. To oczywiste, daje do zrozumienia Laatmai. Bo zwierzęta chodzą. Każdego dnia przechodzą kawałek drogi w kierunku wsi. Na wiosnę idą w kierunku gór, kiedy płaski tutaj kraj robi się bagnisty.

Wieś oznacza kołchoz. Forell teraz to wie. Do wsi chętnie by poszedł. Do kołchozu nie.

Forell podziwia mężczyznę, który w swym języku zgromadził tylko kilka słów po rosyjsku, a przemawia wiele i szeroko.

W obrazowości ruchów rąk, uśmiechu, marszczeniu brwi i wyrazie twarzy umie jednak wszystko wypowiedzieć w sposób pozwalający na zrozumienie.

Mężczyźni z rybami późno docierają do stada. Pehtak właśnie oprawia małe zwierzę futerkowe, którego Forell nie umie rozpoznać. Obok stoi rozbity już namiot. Po chwili te same ręce, które sprawiały śmierdzące zwierzę futerkowe, zabierają się za ryby. Forell

obiecuje sobie, że nie tknie z tego ani kęsa, ale kiedy sięga gołymi rękoma po kawałek przygotowanej na popiele pierwszej ryby, żeby nie sprawić przykrości gospodarzom, zdziwiony jest podwójnie. Ryba jest znakomicie przesmażona i smakuje wspaniale. Ale przede wszystkim nie ma smaku morza. To przecież jest słodkowodna ryba znakomitej jakości.

Przy rybie udaje się Forellowi, choć jest to nadal trudne i zabiera trochę czasu, wyjaśnić, że odnogę wodną po tamtej stronie uważa za morze. Pasterze z uciechy biją się po udach. Nawet Pehtak, który jest bardziej małomówny i nieusposobiony do śmiechu, parska białym mięsem ryby nad ogniem, gdy wyraża swoją pogardę dla głupoty Europejczyka.

Nie chcą słyszeć o Lamu - tak lub jakoś podobnie brzmi słowo, jakim ci ludzie określają morze. Lamu jest złe, mokre, wietrzne, mgliste i obrzydliwie wielkie. Pierwszy raz pada nazwa wody, co do której Forell ciągle nie chce wierzyć, że jest rzeką Anadyr. Niech mu nie opowiadają. Przecież na jego mapie zaznaczony jest cienką kreską co najwyżej długi na palec potoczek o tej nazwie. Jeśli nie chce wierzyć, to mężczyźni z tego kraju jeszcze więcej muszą śmiać się z jego europejskiej głupoty, która rzekę uważa za morze. Zdaje się bawić ich to, że znaleźli człowieka tak mało wiedzącego, iż muszą mu dopiero wyjaśnić za pomocą rozłożonych ramion, że w dole rzeki wszystko staje się jeszcze większe. Najczęściej z jednego brzegu nie widać drugiego.

Forell krzywo patrzy na to, że mają go za tak głupiego. Tego wieczoru mówi już niewiele i dopiero wyraźnie przymuszany daje kompanom trochę machorki. Wiedzą co oferują swemu gościowi i mogą domagać się w zamian małego daru.

Spotkanie z pasterzami reniferów jest dla Forella miłe i pouczające, ale obawia się, że uprawiają z nim jakąś grę, że zanim dotrą do kołchozu, sprzedadzą go Rosjanom. Sznuruje więc swój węzełek i zamierza oddalić się w nocy. Ale kiedy chce opuścić namiot i poszukać sobie na zewnątrz miejsca do spania, mężczyźni wpadają w dziwne podniecenie i nie chcą mu na to pozwolić. W taką noc nie śpi się na zewnątrz! Czy chce zginąć? Czy nie widzi, co nadchodzi? Czy może sądzi, że rozbili namiot tylko dla żartu? Pehtak szarpiąc za pałaki namiotu, pokazuje, jak burza obejdzie się z nimi wszystkimi dziś w nocy.

Forell podejrzewa, że to wszystko kłamstwo. Chcą go przez noc zatrzymać pod nadzorem, żeby już nie umknął.

Jednak w nocy rzeczywiście przychodzi straszliwa burza. Kiedy nie są już w stanie utrzymać pałaków namiotu z rozpiętymi skórąmi, Forell musi zaprzeć się nogami o podłozę, z plecami przypartymi do ściany namiotu, która naciska na nich, podczas gdy nad nimi słychać wycie nawałnicy. Forell zastanawia się, czy nie byłoby lepiej podczas takiej burzy leżeć

plasko na zewnątrz, ale ostatecznie woli nie sprzeciwiać się miejscowym, którzy już wieczorem wiedzą o nadejściu żywiołu.

Burza szaleje już ze trzy godziny i w podmuchach wiatru Pehtak rozpoznaje pewną równomierność. Kładzie się na swoich futrach i wskazuje dwóm pozostałym, że teraz jest czas na spanie. Na twarzy Forella pojawia się pytanie, czy za chwilę nie będą leżeć pod gołym niebem, bez namiotu? Żyłasty stary pozostawia pytanie bez odpowiedzi.

Znajdują sposób na zabezpieczenie futrzanych przykryć - wszyscy trzej kładą się blisko siebie, ciasno zawijają skóry i obciążają je ciężarem ciał. Nie jest to radosna perspektywa, bo Pehtak przepowiada trzy takie ożywione dni. Jednak przenikliwy zapach pasterzy jest lepszy niż zamrażanie na zewnątrz, w płaskim jak talerz terenie, niedającym żadnego schronienia. Burza i chrapanie działają usypiająco.

Rano Forella budzi ruch w namiocie. Pasterze przy częściowo poluzowanym sznurowaniu wyskakują na zewnątrz. Obcemu nie pozwalają wyjść. Kiedy wracają po mleku, które chcieli przynieść, widać tylko małe wspomnienie na dnie skórzanego worka. Ale z głodu się nie umrze. A zwierzętom też wiedzie się znośnie. Ustawiają się na zewnątrz jak płoty przeciw burzy.

Kiedy Forell otwiera jeszcze raz namiot na szerokość szpary, może je dostrzec.

Burza trwa trzy dni, jak założył stary. Potem cichnie. Przez ten czas wszelka rozmowa jest tylko krzykiem, który we wzajemnie niezrozumiałych językach nie ma jakiegokolwiek sensu, więc jeszcze intensywniej niż zazwyczaj mężczyźni rozmawiają za pomocą rąk i mimiki. Mają sobie więcej do opowiedzenia, niż sami mogli sądzić. I stopniowo uznają się za tak dobrych w tej formie konwersacji, że znajdują w niej coraz więcej przyjemności.

Forell przestaje sam wyszukiwać drogę ucieczki. Kierunek, w jakim idą, jest zły i oznacza tyle co powrót do miejsca, skąd przyszedł, ale Laatmai uważa, że na razie nie powinien go zmieniać.

Od czasu burzy jest więcej śniegu. Na wyciąganie ryb i chodzenie na polowanie pozostaje mało czasu. Jakiś tydzień po nawałnicy do stada Pehtaka dołącza inne, nieco mniejsze, pilnowane przez trzech mężczyzn. Zamiast spodziewanego hałaśliwego powitania odbywa się pełna przygnębienia narada, która daje Forellowi do myślenia. Pehtak pokazuje wszystkim nowego człowieka i wyjaśnia, gdzie go znalazł i w jakich okolicznościach, potem wzrusza ramionami i grzmiąco wysmarkuje nos palcami. Nowo przybyli wiadomość i obecność Europejczyka przyjmują z widoczną niechęcią. Obok czterech pozostałych Laatmai ma niewielkie znaczenie, ale buduje płaszczyznę porozumienia, chwalać machorkę gościa.

Poza tym, tak wyjaśnia Forellowi, marny nastrój pasterzy spowodowany jest tym, że latem i jesienią wskutek choroby padło wiele zwierząt. Na dowód może zobaczyć skóry.

Pośród trzech nowych jest jeden o zadziwiająco pociągłej twarzy. Jeśli nie jest Rosjaninem, to na pewno ma rosyjskich przodków. Forell w jego obecności czuje się mniej obco. Laatmai niechętnie patrzy na to, że ten człowiek kradnie sympatię Forella. Ostatecznie jednak nikt już nie troszczy się o niego, ponieważ są dostatecznie zajęci innymi sprawami.

Forell nie pojmuje czynności mężczyzn, którzy po drodze wciąż na nowo zadrapiują śnieg butami. Gdy człowiek tak szurnie butem, zaraz podbiega kilka reniferów i z miejsca, gdzie jest odkopany śnieg, wydobywa mech. Zwierzęta same potrafią o wiele lepiej rozgrzebywać śnieg, ale wydają się traktować gest człowieka jako napomnienie, że tu powinny się paść.

Ten o pociągłej twarzy zapytany przez Forella o sens takiego działania, nie potrafi niczego wyjaśnić. Wtedy przychodzi Laatmai i na swój inteligentny sposób pokazuje, że są już niedaleko wsi. W takim rozległym obszarze wokół kwatery zwierzęta muszą znaleźć paszę na dalszą zimę. Jeśli śnieg jest za wysoki lub stwardniały na lód, aczkolwiek szreń niewiele przeszkadza reniferom, to może się okazać konieczne wędrowanie dalej w dół rzeki. Wtedy nici z kobiet i dzieci. A bliżej morza, jeśli musiałoby się tam pociągnąć, śnieg jest najczęściej wyższy, ale i zwierchność bliżej, zwierchność w jakiegokolwiek postaci, na przykład z czapką na głowie.

Spotkanie z trzecim stadem następuje dopiero u celu i Forell dość niespodziewanie dla siebie samego razem ze wszystkimi wchodzi do wsi, chociaż planował odłączyć się od pochodu.

Chaty we wsi są okazałe. Ich konstrukcja przypomina namioty, a szczelność ścian wobec nadzwyczajnych zim osiągnąta jest dzięki futrom z renów. Na gładkiej stronie skór z dumą prezentują się liczne malowidła o symbolice zwierzęcej.

Kiedy nadchodzą pasterze, z dziewięciu domów wysypują się dobrze odżywione dzieci. Jeszcze nigdy Forell nie czuł się tak niepotrzebny. Podczas wzajemnych serdeczności i gorącego powitania w ogóle się go nie zauważa.

Pehtak jest zakłopotany, gdy musi przedstawić obcego mężczyznę. Kobiety przyglądają mu się z ciekawością. Ten o pociągłej twarzy zachowuje się tak, jakby chciał zabrać Europejczyka do siebie do domu, ale jego żona wydaje się być temu przeciwna. Forell próbuje rozbawiony zgadywać, która kobieta należy do którego mężczyzny, bo skromnie utrzymują do siebie dystans. Laatmai mówi zbyt wiele. Przykrywa tym zmieszanie. Nagle

wszyscy gadają bezładnie, jeden przez drugiego. Potem Pehtak odlicza coś na palcach i za każdym razem pokazuje w kierunku innej kobiety.

Bez zrozumienia słowa dla Forella staje się jasne, że ma być co jakiś czas przekazywany od domu do domu. Laatmai jest pierwszym, który przyjmie Europejczyka.

Laatmai właściwie tego chciał. Kiwa głową i śmieje się całą szerokością twarzy:

- Dobrre!

Odpowiada mu wielki śmiech. Forell ma swoje imię. Mężczyźni, z którymi od tygodni wędrował, pamiętają, że wiele razy przy pokazywaniu jakiejś rzeczy rękami, kiwał głową i mówił: dobrze.

A więc Dobrre wprowadza się do Laatmai. Przy wejściu potyka się o nieporządnie porozkładane futra reniferów. Potem, kiedy oczy przyzwyczajają się do półmroku, dostrzega rzeczy i kolory na ścianach, a gospodarz pokazuje mu swoją kobietę.

- Ankhahta - mówi Laatmai.

Czy to imię kobiety? Niech się nazywa Ankhahta. Gdyby zdjąć z niej te skóry, nie musiałaby wcale być brzydka. I gdyby nie biegało koło niej całe stado dzieci! Dwoje, czworo, pięcioro - nie, policzył teraz jedno z tych, co już raz policzone. Laatmai pokazuje na palcach, że jest ich sześcioro.

Forell musi podziwiać potomstwo Laatmai, jeść przygotowywane przez jego żonę posiłki, spać w jednym pomieszczeniu z rodziną i z całą siłą wciąż na nowo przekonywać gospodarza, że dom, żonę i dzieci znajduje wspaniałymi.

Kolektywizacja z dziesięciu stad reniferów będących w prywatnym posiadaniu zrobiła kolchoz! Az każdego kolchozu, nawet jeśli prowadzony jest na skraju świata, biegną nitki do Moskwy. Ci ludzie mogą go wydać, dostarczyć wiadomość, że mają tu Niemca i powiedzieć, że jest jeńcem, skazanym dożywotnio, wrogiem klasy pracującej, sabotażystą i faszystą.

Każdego dnia, ilekroć Forell idzie z innymi łowić ryby, liczy głowy mężczyzn. Jest dziewięciu. Zawsze było dziewięciu. Żadnego nie brakuje. Żaden nie udał się w podróż, by powiadomić zwierzchność. Dobrze.

Dni są piękne. Popołudniami Forell i Laatmai idą nad rzekę, by przebijać lód i wykladać wędki. Dzień składa się tylko z kilku skąpo rozjaśnionych godzin, a potem, aż po następną jasną przerwę, jest noc, podczas której przed każdą dziurą w lodzie płonie pochodnia, a obok trwają nieporuszenie dwaj mężczyźni z trójzębem o cienkim trzonku w ręce. Oczekują na podejście ryby. Nie mogą marznąć. Odziani są dostatecznie ciepło, a ich rzemiosło nie pozwala na ogrzewanie nóg tupaniem. Wszystko cichnie. Trzonek trójzębu trzymany jest ukośnie oburącz przez pół godziny, tak jakby człowiek już zamarznął. Nie

wywołuje bąbli i jest niemal bezgłośny, kiedy nagle wpada do wody jak wystrzelony. Ale kiedy człowiek cofa trzonek, na środkowym, skróconym szpicu wisi ryba, długa jak ręka, trafiona dokładnie w środek grzbietu, mocno przytrzymywana przez pozostałe szpice z prawej i lewej.

Którejś nocy także obcy dostaje trzonek do ręki. Dobrze ma spróbować! Och, to dziecinnie łatwe.

Forell stoi spięty koło dziury w lodzie, trójząb ma w obu rękach, jak dopiero co widział. Ryba zbliża się prosto na pochodnię. A cios trafia w próżnię. O załamaniu światła przez wodę pasterze reniferów wiedzą więcej niż mądry Europejczyk, a im bardziej niezdarnie zachowuje się Forell przy polowaniu na ryby, tym popularniejszy robi się we wsi. Mężczyźni, dumni ze swej sprawności, dobrodusznie spoglądają na niego z góry.

Forell nie odnosi chwalebnych sukcesów w rybactwie. Szybciej uczy się garbowania skór reniferów. Folarstwo to praca kobiet, a mężczyzna, który im tę pracę odejmuje, staje się lubiany. Z odpychających twarzy znika stopniowo twardość, a kiedy Forell każe powiedzieć przez Laatmai, z którym najlepiej potrafi się porozumieć, że nadszedł czas, by samemu dalej odbywać podróż, pasterze machają rękami. Jeszcze nie. Czas jeszcze nie jest korzystny, a zima będzie trwała długo. Brzmi to ucziwie, ale dla zbiega nie może być pocieszeniem, że jeszcze w styczniu jest blisko, na kilkaset wiorst, od punktu wyjściowego ucieczki. W lutym nie jest ani trochę dalej, godząc się stopniowo ze złymi zwyczajami żywymi i zapachami, ze straszliwym przygotowywaniem mięsa i z myślą, że nie odrzuci zaproszenia na dłuższy pobyt.

Hodowcy reniferów mają jednak prostą metodę, żeby zasugerować mu odjazd, kiedy uznają czas za właściwy. Laatmai znajduje odpowiedni uśmiezek, by zachęcić do wyruszenia w drogę. Co Europejczykowi wydaje się nie sprawiać radości, dla niego jest najwidoczniej czystą przyjemnością. Będzie daleka podróż, wyjaśnia pokrętną wymownością swych palców. A plan jest znakomity. Bo przecież Forell chce do domu, przez góry.

Forell niczego nie chce, prawie niczego. Gorliwość, z jaką przygotowuje się jego odjazd, nie zachwyca go. Mogłoby tu być prawie pięknie. Kiedy gorączkowość poprzedzająca wyjazd staje się nerwowa, Forell zaczyna sądzić, że chcą jego dobra. Dla niego oczywiście niepotrzebne byłyby, jak oblicza, takie solidne sanie i przecież nie dla niego pakują bagaż w takiej zatrważającej ilości.

Zdaje się, że tu - jak Forell widzi te sprawy - inscenizuje się nie całkiem legalną podróż handlową o której ewentualne władze niekoniecznie muszą się dowiedzieć. Uprawiający handel przeważnie wybierają drogę przez morze lub przynajmniej nad morze.

Ale w tym przypadku łąduje się masę towarów, przede wszystkim futra, które mają być transportowane łądem.

Forell dopiero teraz uświadamia sobie, że hodowcy reniferów, pomijając kobiety, które odnoszą się do niego z zupełną indyferentnością darzą go prawdziwie i uczciwie jakiegoś rodzaju przychylnością. Podczas pożegnania serdecznie klepią go po plecach i przez każdego z mężczyzn jest wspinałomyślnie obdarowywany. Dają mu tłuszcz, ser, suszoną rybę i ziarniste coś, co jadło się niemal jak chleb. Wie z góry, że połowy prowiantu nie zdoła zabrać, kiedy tylko znów zdany będzie na własne nogi. Nie zmniejsza to jednak radości z wielkiego gestu gospodarzy. Najpiękniejszy prezent daje mu uśmiechający się okrągłą twarzą przyjaciel Laatmai - fufajkę uszytą z dwóch najcieplejszych części reniferowego futra. Można się nią przykryć w nocy, użyć jako śpiwora albo zrobić z niej namiot. Lekkie wyposażenie do spania. Forell sam pomagał w garbowaniu i dziwił się, że z takich twardych, trzaskających skór daje się uzyskać lekki i miękki materiał.

Wyjazd odbywa się we wspinałych okolicznościach, przy jakimś rodzaju religijnego rytuału, który dla lepszego działania wzmacnia się wódką. Forell ma ciężką głowę, kiedy wsiada na sanie. Laatmai siedzi z przodu i w ręce ma rzemienie od czterech renów. Jasny dzień i wesoły furman śmieją się do siebie.

Forell jest dobrej myśli, bo ufa swemu przyjacielowi. Nie byłoby przecież niezamąconym szczęściem, gdyby pozostał u hodowców reniferów i poświęcił swoją tęsknotę za domem.

Szesnastego dnia spędzonego w drodze Laatmai staje się widocznie nerwowy, a po południu zagrzebuje Forella pod ładunkiem futer. Kiedy dość nieprzyjemna jazda dobiega końca, od dawna jest noc.

Sanie zatrzymują się co najmniej pięć razy. Niewygodnie ułożony w swym schronieniu podróżny słyszy rozmowy, potem Laatmai każe zwierzętom iść dalej, dając spokojną rozmową z reniferami poznać, że wszystko jest w porządku.

- Dobrze! - mówi Laatmai, uwalniając swego pasażera z leżących na nim skór.

Forell siada i jest zdziwiony, widząc dwóch mężczyzn, którzy przyglądają mu się z uśmiechem.

- Paszoł!

Pierwsze rosyjskie słowo od opuszczenia obozu, i akurat to słowo, które zazwyczaj poprzedza pchnięcie kolbą w plecy. Więc tak go sprzedano. Mężczyzna, który powiedział „paszoł!”, popędza pospiesznym ruchem ręki do szybszych kroków. Forell widzi otwarte drzwi i wchodzi. Za nim pospiesznie wchodzi obaj mężczyźni. Otwierają się gwałtownie

drzwi z boku. To jest pomieszczenie, z którego pada światło na podwórze. Forell wchodzi do niskiej izby, w której poza ławką nie ma mebli. Ławka zdaje się służyć innym celom niż siedzenie, bo jest na to o dwie dłonie za wysoka.

Laatmai wchodzi razem z nimi. Forell rzuca mu złe spojrzenie. Ale pasterz reniferów tylko się uśmiecha.

Rozkazy wydaje tu bez wątpienia Rosjanin.

- Skąd przybyłeś?

- Z kopalni ołowiu. Skazany na dwadzieścia pięć lat.

- Jesteś Niemcem? - Tak.

- Dokąd chcesz się dostać?

- Do domu.

- Oszalałeś. - Nie.

- Jeśli ci pomogę, pójdę jako sztrafrik tam, skąd ty przyszedłeś. A więc nie chcą go zatrzymać, przynajmniej póki nie przyjdą mundurowi. Forell od razu idzie na całość, na wszelki wypadek, gdyby z jego egzystencji miał być zrobiony interes handlowy.

- Będę panu wdzięczny, jeśli mi pan pomoże w dalszej drodze. Nie mam nic do zaoferowania.

Drugi mężczyzna, który przysłuchuje się i przypatruje bez słowa, śmieje się szorstko.

Obaj są przebiegli, robią interesy i tylko interesy. Ale w tej chwili są lekko zdezorientowani, ponieważ mężczyzna z rozbijającą otwartością daje do zrozumienia, że z niego nic nie można wygospodarować.

- Jutro rano - Rosjanin zdaje się być zdecydowany. - Jesteś szczery? Nie kłamiesz?

Pyta o to człowiek, którego rzemiosło możliwe jest tylko dlatego, że kierując nieszczerze swoją uprzejmą twarz ku panom kraju, równocześnie za plecami zawiązuje najciemniejsze manipulacje. Ale w chwili niebezpieczeństwa człowiek widzi więcej i Forell dostrzega, jak rzeczywiście sprawy się mają. W wiosce reniferów już tyle szeptano, że cel podróży jest oczywisty, a i mężczyzna, któremu poświęcona jest podróż, został odpowiednio scharakteryzowany.

- Czy mam pokazać ciało? Rosjanin macha ręką.

Od tej chwili Niemca już nie ma dla tych trzech. Wniesione zostają futra. Cudownie ciężkie futra. W ciągu miesięcy spędzonych z reniferami Forell nabrał dobrego wyczucia, jak lekko nosi się kilka futer na rękach. Ale tu najwidoczniej dźwiga się ciężary. Co tam jest ukryte, nigdy się nie dowie. Twarz Laatmai, która tak wymownie potrafi wszystko wyrazić,

jest nieruchoma i zastygła. Wypowiadane słowa omijają uszy czwartego mężczyzny. Orientuje się tylko, że zapłata też nie następuje w pieniądzech.

Milczący towarzysz Rosjanina, kiedy handel jest zakończony, przynosi wódkę, chlebowy placek i długi kawałek mięsa. Jedzą siedząc na wysokiej ławce między futrami. Rosjanin uważa, iż to w porządku, że Forell zachowuje się tak jak powinien Europejczyk, a Laatmai resztki posiłku wydłubuje długim nożem spomiędzy zębów.

On sam je z nimi tylko z uprzejmości, ale pije ostro, a zna się na rzeczy.

Do spania rozkładane są na podłodze futra. Drzwi do sąsiedniego pomieszczenia, które pełne jest towarów, a Rosjaninowi i temu drugiemu służy za miejsce do spania, pozostają w nocy otwarte. Nie przeszkadza to Laatmai, który leży obok Niemca, jeszcze godzinami do niego przemawiać. Założywszy ręce pod głowę, opowiada, coś przedstawia, raz się cicho śmieje, a potem przyciska obie swoje brudne ręce do twarzy Forella - teraz ma spać. Jest to głęboko przejmujący monolog, z którego Niemiec nic nie rozumie i wszystko pojmuje.

Następnego dnia, kiedy Laatmai musi wyruszyć w podróż powrotną nie potrzeba sceny pożegnalnej, żeby Forell pojął, że uśmiechający się hodowca reniferów zaprzysiągł mu przyjaźń. Laatmai jest wzruszony, kiedy swój policzek, szorstki i brudny, pociera o twarz Forella.

- Dobrze!

Towarzyszący Rosjaninowi jak cień człowiek jest już ubrany i gotów do odejścia. Podczas kiedy Laatmai gdzieś na zewnątrz szuka swych zwierząt, Forellowi każą zebrać bagaż, bo już za pół godziny zaczną szarżyć i będzie musiał podążać za przewodnikiem.

Nie pojmuje, w jakim kierunku i jak właściwie odnajdywana jest droga przez płataninę ciemnych domów. Dość ma roboty ze swym ciężarem i nie chce przeszkadzać spieszącemu się towarzyszowi.

Kiedy jest już jasny dzień, obaj mężczyźni schodzą w dół dość stromej brzozy lodowej powierzchni rzeki, po której przechodzą na drugą stronę. Jednak nie da się już bardziej rzeczowo i sucho prowadzić obcego ku szczęściu czy nieszczęściu. Po mniej więcej godzinie marszu towarzysz mu człowiek przystaje i daje do zrozumienia, że jego służba jest zakończona. Rozgląda się, co sprawia, że Forell także ogląda się na dużą rozproszoną wieś, która może mieć co najmniej pięćset domów. Dłoń wskazuje gdzieś pomiędzy nimi w kierunku, z którego przyszli, a niemy zwykle mężczyzna mówi:

- Dwieście rubli.

Ma to oznaczać „dwieście rubli to nie za dużo za moje starania”.

Cóż, mój Boże! Jeśli coś takiego da się tu załatwić pieniędzmi. Najpewniej ten typ tylko próbuje, ale Forell tak mało ceni sobie pieniądze, które ma ze sobą że rozplątuje bagaż i ze zwitka banknotów odlicza dwieście rubli.

- Trzysta! - mówi teraz, widząc, że Niemiec ma jeszcze więcej. Jeśli ten łobuz umie docenić wartość banknotów rublowych, to Forell nie jest już tak daleko od żadnej pieniędzy ludzkości i nie może lekkomyślnie oddawać tych skrawków papieru, z którymi jeszcze wczoraj rozstałby się bez zastanowienia.

- Nie, przyjacielu. Tak się nie umawialiśmy.

- Dwieście pięćdziesiąt.

- Też nie. Masz tu dwieście.

Człowiek, któremu głos zdaje się być dany tylko do wymieniania sum pieniędzy, śmieje się do siebie zakłopotany. No to się nie udało. Prawdopodobnie Laatmai zapłacił za wszystko, a to, czego ten tutaj się domaga i co dostał, jest jego dodatkowym honorarium. Jak się nie da, to się nie da i tyle. Facet w żadnym razie nie martwi się z tego powodu. Robi tak, jak mu polecono i pokazuje Forellowi kierunek. Tam powinien iść. Forell namierza kompasem. To dokładnie kierunek zachodni. Zresztą po prawej w dole błyszczy jako szeroki pas utrzymujący ten sam kierunek zamrznięta rzeka, której pewnie jeszcze czas jakiś będzie mógł się trzymać, zakładając, że starczy sił, żeby z taką ilością bagażu pokonywać duże odcinki na wyslizganych śnieżnych butach. Przewodnik, bez wrogości z powodu częściowo nieudanego interesu gotówkowego, gestem życzy mu powodzenia. Potem zawraca.

Forell rusza w drogę, mocno obciążony i zeszywniały w stawach z powodu długiego lenistwa, ale nawet przy ponurym chłodzie pewien swego życia. To czy w dalszej drodze zginie, obojętne jest tym, którzy na nowo posyłają go do dziczy. Tylko nie Laatmai, złotemu przyjacielowi ze stale brudnymi policzkami.

Umie już rozpalać ogień mchem, gdy nie ma drewna. Ale przede wszystkim wie, że nie wolno mu unikać ludzi, lecz musi ich szukać, aby pozostać przy życiu. Kilku ludzi przy jego drodze znaczy więcej dla kierunku niż kompas.

Czasami, zależnie jak wiedzie droga, na widoku pojawia się lód rzeki. Wydaje się, że jest to wciąż ta sama rzeka, która miejscami zeskakuje ze skalistego tarasu odkryta, bez lodowej pokrywy. Dienne osiągi wędrowca z dużym bagażem są niewielkie. Jeśli dochodzi do trzydziestu kilometrów, to już jest dużo.

Trafia na stado reniferów.

Wiodący byk naciera na niego potężnie, bardziej z powodu zaskoczenia niż gniewu. Jednak Forell potrafi rozmawiać i obchodzić się ze zwierzętami, a pasterzowi umie

wytłumaczyć, że przez tereny pasterskie idzie z dobrymi zamiarami. Niewyjaśnione jest dla niego, jak całe stado może żyć tutaj, gdzie śnieg nawet na płaskich, niezawianych miejscach leży na wysokość trzydziestu centymetrów. Namoknięty śnieg zmarznięty jest na kość i potrzeba silnego uderzania obcasem butów, żeby go skruszyć. Jednak renifery, którym długo się przygląda, bez kłopotu rozbijają zamrożony śnieg kopytami. Pasą się na warstwie mchu pod spodem, a potem przechodzą cały długi kawałek, zanim na nowo zaatakują. W miejscach omijanych obojętnie przez zwierzęta Forell robi czasem próby swym długim nożem, ale śnieg tam jest zbyt gruby, by dostać się do mchu. Zdarza się, że renifery widząc, jak skrobie, nadbiegają klusem. Wchodzą przednimi nogami do wygrzebanego dołu w śniegu, jednak niebawem znów odchodzą w swoją drogę. Forellowi zdaje się, że rozumie ich potrząsanie głowami: ty niedoświadczony, głupi człowieku!

Może rozsądnie byłoby oswoić silne zwierzę i używać je do jazdy wierzchem. Nie jest to pewnie miła jazda, ponieważ stopy ocierają się po bokach o śnieg. Poza Pehtakiem Forell nie widział nikogo jeżdżącego na renie, a Pehtak nie trzymał się, co Forella dziś jeszcze dziwi, na środku grzbietu, lecz zwieszał nogi całkiem z przodu, obok przednich nóg zwierzęcia. Nie ma wiele widoków na to, że renifer wytrzyma dłuższą podróż jako wierzchowiec. Ale można by wpakować na renifera worek podróżny i - stracić go, gdy zwierzę pójdzie swoją drogą.

Dobrze jest oprzeć się takim pokusom.

Pewnego dnia zwierzęta zostają z tyłu, a kilka dni później Forell dostrzega przed sobą wioskę, kołchoz z namiotów sterczących tylko nieco powyżej usypanego wokół nich śniegu. Przegapiłby tę grupę namiotów lub wdepnąłby w nie, gdyby nie głosy ludzi. Ale nie krzyczą z jego powodu i nie ściszą swych wrzasków, kiedy go widzą. Zbliża się do namiotów uliczką wśród wysokich ścian śniegu. Jest słoneczny, jasny dzień. Ludzie są na zewnątrz i oddają się jakimś swawolom, które zdają się traktować nieskończenie poważnie.

U człowieka z nieczystym sumieniem takie spotkanie wywołuje ściskanie w żołądku. Ale Forell od dawna miał na to nadzieję i nie robi uniku, pomimo to dziwne uczucie w żołądku pojawia się.

Ludzie są zaskoczeni. Patrzą na niego i kiwają głowami.

Niech wejdzie, zdejmie bagaż i uważa się za gościa. Gesty dłoni także tutaj nie mogą być zrozumiane inaczej. Człowiek, który wszystkim tu dysponuje i na swój sposób zdaje się sprawować władzę, wygląda bardzo dostojnie. Wspaniała męska twarz z wysokim czołem, które widoczne jest mimo obficie rosnących włosów, i szeroko otwarte oczy pozbawione jakiegokolwiek skośności. Wygląda niemal jak car i takie wrażenie robi na przybyszu.

Car mówi nieco po rosyjsku.

Skąd wiedział o mającym przybyć Forellu, nie wyjaśnia i pewnie nie wie, jak to wytłumaczyć. Nie pyta, kiedy Forell zamierza wyruszyć dalej, ale najwidoczniej chciałby się dowiedzieć. Jest miejsce w jakimś namiocie. Wystarczy, że obcy się rozejrzy, jeśli chce zostać na dłużej.

Przybyszowi trudno się oswoić z tym, że ma leżeć w wąskim namiocie między brudnymi dziećmi. Car otwiera mu wejście. Forell cofa się o krok, jakby zderzył się ze ścianą tłustego powietrza, potyka się i pada wraz z bagażem na plecy, ponieważ kilku małych ludzi próbuje wtargnąć równocześnie. Dla dzieci staje się to powodem do podniesienia wielkiego wrzasku radości, a dorośli śmieją się z nimi wstrzemięźliwie.

Jeszcze dwa razy próbuje się przezwyciężyć, by wejść do namiotu. Dym, tłuszcz, amoniak, zjełczały łój, ryba, ser i jeszcze raz dym tworzą tak gęstą mieszaninę, że Forell na nowo dziwi się temu, że w podobnie gęstym powietrzu tak długo wytrzymał u Laatmai i innych. W domach, jeśli dym odprowadzano także przez otwory w dachach, było nieco inaczej. Otwór w namiocie jest celowo tak mały, żeby nie za wiele uciekało z niego ciepła.

Forell zostaje, chociaż znów jest to bardzo trudne. Wewnętrzne lenistwo jest jednak silniejsze niż przenikliwy zapach rodziny Korjaków, a car to z gruntu dobry władca, który wybór między pozostaniem a odejściem oddaje w ręce gościa. Jednak gdy tylko Forell wyraża zamiar odejścia, przedstawia całą masę zastrzeżeń. Jest głęboka zima i należy trzymać się ludzi.

Wiosną będzie czas, by wędrować, kiedy śniegi puszczą i tajga się odsłoni.

Wbrew wszelkim założeniom Forell wytrzymuje do kwietnia i tylko w godzinach, kiedy nachodzi go zwątpienie, zdaje sobie sprawę, że w namiocie śmierdzi jak wśród świń, a ryba jeszcze raz podnosi się z żołądka, kiedy siedząca dookoła na futrach rodzina oblizuje ościsty grzbiet aż do gołego szkieletu. Nigdy nie wróci do domu. Jest tego niemal pewien. Jeszcze rok, a upadnie tak nisko, że schowa zamiary do kieszeni i pozostanie gdzieś na Syberii. Teraz przywykł do tak wielu rzeczy, że nie zastanawia się nad dalszym upadkiem. Ludzie są przyjaźni i mają dobre zamiary, kiedy brudnymi rękoma podsuwają mu to, co jedzą.

Potem jednak z mocniejszym słońcem nadchodzi czas, kiedy śnieg na namiotach robi się luźny. Topnieje i nawet nie ma z niego wody. Co było zimą, po prostu znika.

Pewnego dnia renifery, o których dotąd tylko się mówiło, stoją wokół namiotów. Nikt ich nie widział. Nikt nie wiedział, gdzie dokładnie są. A może znali miejsce pobytu zwierząt, tak jak wiedzą wszystko, co dotyczy zwierzęcego i ludzkiego życia. Ich nadejście wita krzyk i przez kilka dni ludzie krzyczą w podnieceniu i porządkują jakieś rzeczy, które już dziesięć

razy porządkowali, sprawdzali i pakowali. Wreszcie przywiązują do grzbietów kilku zwierząt to, co potrzebne do stawiania namiotów, do gotowania i do życia. Ciężary nakładane są bardzo starannie nad tylnymi i przednimi nogami renów. Zresztą niewiele nakłada się na zwierzę.

Forell też nie potrzebuje sam nieść swojego bagażu i uzupełnionych zapasów. Ale Korjacy dokładnie sprawdzają wszystko z jego wyposażenia, czy jest chronione przed deszczem.

A przy tym kraj i pogoda są takie piękne. W namiotach wędrownych śmierdzi tylko tyle, na ile duszne powietrze wsiąkło w futra namiotowych ścian. Wszystko w takiej wędrownicy uszczęśliwia: kierunek podróży, nadchodzący rok, doświadczenie hodowców reniferów i pospieszne znikanie zimy. Tylko dzienne odcinki są krótkie, ustalone przez reny. Czasem do dyspozycji stada jest zaledwie wąski pas wiszącego terenu. Wówczas zwierzęta po krótkim popasie płynnie ruszają dalej. Jeśli jednak renifery natrafią na jakiś rozleglejszy obszar, zdarza się, że wiosenny pochód nie rusza się przez trzy dni z miejsca.

Forell stracił tak wiele czasu i tak mało przeszedł, że nie czuje się szczęśliwy z powodu powolnej podróży. Żeby wypełnić czas, chętnie przejąłby jakąś pracę. Ale cóż miałby robić, skoro inni tak dobrze wychowali zwierzęta lub z takim wyczuciem dopasowali się do swych dzikich przyzwyczajęń, że nie ma pracy, nie ma żadnych zajęć poza obserwowaniem i ochroną zwierząt oraz skromnym polowaniem obok trasy wędrowniki.

Latem człowiek, który przedsięwziął przejście przez Syberię, musi wyznaczać sobie krótkie cele, inaczej przyroda wyznaczy mu granice. Car bardzo dobrze widzi niecierpliwość swego gościa, ale zawsze ma pocieszenie na podorzędziu. I kiedy Forell rozpościera przed namiotem mocno podniszczoną mapę, żeby wyjaśnić, jak daleko - jak sądzi - zawędrował i jak daleko musi jeszcze podróżować, ten mądry człowiek załatwia sprawę, która nie całkiem jest dla niego zrozumiała, pstryknięciem palców. Sens jego przedstawienia jest mniej więcej taki, że człowiek powinien tylko to zaczynać, czego będzie mógł dożyć przy normalnej długości życia. Ucieczkę z takiego kraju uważa za nonsens. To piękny kraj z dobrymi ludźmi. Trzeba tu przyłączyć się do kogoś albo u kogoś wynająć, to najlepsze, co człowiek może osiągnąć. Pójście z myśliwymi, z dobrymi syberyjskimi myśliwymi przynosi dużo pieniędzy. Rosjanie i Amerykanie - właściwie dlaczego Amerykanie? - wystrzelali już niektóre obszary do cna, ale zwierzęta futerkowe nie muszą przecież jak renifery przy nadchodzącej zimie schodzić w doliny, gdzie panoszą się Rosjanie. Do dobrych zwierząt myśliwy musi dotrzeć. A któż odważy się na to w górach albo w tajdze? Polowanie jest niebezpieczne, ale piękne. Nie nadaje się do tego lato. Wtedy futra nie mają wartości. Niemniej...

Duże, europejsko szerokie oczy cara przymykają się wieloznacznie w dwie wąskie szpary, a Forell jest dość mądry, żeby już się nie dopytywać. Mogłoby to przytłumić gotowość Korjaka do udzielania informacji. Dla cara Forell jest człowiekiem godnym uwagi. Kto z taką ilością bagażu przychodzi w górę rzeki do wsi, musi być bardzo dobrym piechurzem. Jeśli ktoś ucieka Rosjanom i nie zostaje złapany przez poszukujące psy już po czterdziestu wiorstach, musi być mądrzejszy od Rosjan i psów. Musiał wybrać drogę, której rozważnie myślący człowiek wcale by nie zaryzykował. Car ani nie pyta, jak Forell szedł, ani dlaczego koniecznie chce wrócić do Europy.

- Chodź, Niemiec! Przejdziemy się kawałek!

Idą, car z flintą na ramieniu, Forell z prowiantem w worku.

Przechadzają się kawałek - trwa to dziewięć dni i jest dość mozolne. Flinta jest, tak wydaje się Forellowi, raczej męską ozdobą niż bronią myśliwską, aczkolwiek nowoczesną, a car ma tuzin naboju w kieszeni.

Chodzą tylko wokół. Czasem Niemiec zezuje na swój kompas, odczytując kierunek, bo nie czuje się całkiem dobrze przy takim bezcelowym wędrowaniu na boki i wyszukiwaniu coraz bardziej górzystych terenów. Kompas nie daje informacji. Miejscami na zboczu stoją, nie tworząc nigdzie prawdziwego lasu, chłostane wiatrami modrzewie, potężne pnie, które widać z daleka i można je obrać dla zbadania kierunku marszu. Car także potrafi korzystać z takich drzew, jednak bez kompasu. Nigdy nie daje się stwierdzić, czego się trzyma i według jakich punktów widzenia - punktów widzenia w dosłownym tego słowa znaczeniu - zmienia lub koryguje swój kierunek. Tego, co car odczytuje z terenu, jego towarzyszowi nie powie żaden kompas. Jeśliby mały, przerobiony na kompas zegarek był ciężki i nie dał się nosić bez przeszkód na ręce, Forell wyrzuciłby go, bo w sposób nieprzyjemny uświadamia sobie, że nie ma on znaczenia.

W czasie tego przechadzania się car dwukrotnie strzela. Raz pada ptak podobny do kruka, z którego myśliwy zabiera sobie tylko nogi. Nie wyjaśnia dlaczego. Takiego ptaka po prostu się nie je. Drugim razem to mało ruchliwe zwierzę drapieżne, które Forellowi wydaje się łagodne i bezradne. Temu zwierzęciu - sprawione waży mniej niż trzy kilo - car z godną podziwu sprawnością zdejmuje skórę przez głowę, patroszy i przygotowuje do jedzenia. Robi to bardzo pieczołowicie. Forell z obrzydzeniem przygląda się pieczeniu na rożnie. Kiedy mięso jest gotowe, przewodnik mlaskając smakowicie, zaczyna dzielenie. Sól dla poprawienia smaku wyjmuje z nieprawdopodobnie zabrudzonego skórzanego worka. Posmak drapieżnika przełamują jednak włożone do ognia mchy i drewno.

Polowanie okazuje się jedynym sensem i celem tego dalekiego wędrowania. Po dziewięciu dniach car i Forell wracają do stada, które w międzyczasie zmniejszyło się. Część zwierząt i kilku pasterzy wyruszyło na swoje szlaki.

Mężczyźni i stada ciągną dalej wolno jeszcze z pięć tygodni. Zwierzęta same wyszukują sobie drogę, a góry zawsze są trochę obok.

Pewnego dnia car daje Niemcowi do zrozumienia, że znowu przejdą się kawałek. Na wypadek, gdyby miało się to przeciągnąć, Forell ma wziąć na plecy swój bagaż. Car zadawała się małym workiem z prowiantem i zarzuconą na ramię flintą. Wraz z pokonywaną odległością, drogi są coraz gorsze. Na stosunkowo wysokich miejscach zalegają płaty stęchłego bagna. A wszędzie, nawet kiedy minie się szeregi takich sadzawek, powietrze nasycone jest meszkami. Car smaruje sobie twarz, kark i dłonie straszliwie śmierdzącą masą, którą niesie ze sobą w skórzanym worku. Jeśli ma to pomóc, bardziej wrażliwy Niemiec także postanawia się tym pomazać, chociaż zapachu nie pozbędzie się już nawet we śnie. Meszki o wiele mniej przejmują się zapachem, ale przynajmniej omijają te miejsca, na których smarowidło utworzyło skorupę.

Nocami mężczyźni przykrywają twarze staranniej niż resztę ciała, ale budząc się, Forell czuje, że wargi ma dwa razy grubsze niż opuszki kciuków, że obrzydliwie brzęczące komary przedarły się również przez brodę, a oczy z trudem mogą dostrzec najbliższe rzeczy, bo powieki zrobiły się ciężkie.

- Dokąd jeszcze pójdziemy?

Car uspokaja swego towarzysza, któremu ubranie dobrze służące zimą przy mdłym i dusznym cieple mocno daje się we znaki. Wleczenie takiego ciężaru na grzbiecie i dotrzymanie ostrego tempa temu drugiemu staje się z dnia na dzień trudniejsze. Na rozmiękłą od potu twarz, z której zmywa się maź, z ochotą rzucają się komary. Na dodatek car, który dotąd był pewien swojej drogi, wydaje się niezdecydowany. Niespodzianie urządza długie przystanki. Forellowi dobrze one robią, ale martwi go to dziwne przedsięwzięcie. Ostatecznie okazuje się, że poszli trochę za daleko i muszą czekać nad płynącą rzeką, by tocząca się woda po czterech dniach odsłoniła przejście. Forell chce się wykąpać.

No, jeśli ktoś koniecznie chce - car nie rozumie tego życzenia, ale nie sprzeciwia mu się. Lodowato zimna woda dobrze robi i na krótko łagodzi swędzący ból niezliczonych ukłuc komarów.

Czwartego dnia - car najwidoczniej wie już od rana, że zdarzy się coś szczególnego - nadpływa rzeką tratwa z trzema mężczyznami. Wołają na zmianę jakieś słowosygnal i Korjak podchodzi całkiem blisko wody, żeby pokazać się w nadbrzeżnych chaszczach. Wołanie

ustaje. Gwałtowne pchnięcie i tratwa uderza w korzeń drzewa, ale mężczyźni zdają się takich niewielkich wypadków nie brać poważnie. Podprowadzają swój pojazd, który już tak czy inaczej nie wytrzyma długiego transportu, do miejsca, gdzie można przycumować i wychodzą na brzeg, sucho pozdrawiając cara.

Wszyscy trzej są Rosjanami. Forell, nieco z tyłu, ma czas, żeby ich sobie dobrze obejrzeć. Wychudzone, z zapadłymi oczami, naznaczone wyrzeczeniami postacie wyglądają tak źle i podejrzanie, jakby swoje życie zawdzięczały zerwaniu się ze stryczka. Z takimi ludźmi ma do czynienia car, dzielny hodowca reniferów, który z powodu zdradzającego go smrodu nie może zaprzeczyć swej obecności na dwadzieścia kroków pod wiatr.

Anastas, Grigorij i Siemion - to ich imiona. Anastas liczy się najbardziej. Wskazuje głową na Forella. Car macha ręką. Znaczy to: ten jest w porządku. Zostawcie go! Jeśli car za kogoś ręczy, to jest w porządku.

Rozmowa toczy się po rosyjsku. Forell ma wprawdzie nieco trudności, żeby pojąć związek, ale tyle jest dla niego jasne, że ci trzej obwiesie są bezdomnymi typami i nigdzie nie mogą natknąć się na władze. Przez zimę polują, a przez lato z tego żyją. W promieniu dwóch tysięcy kilometrów znają każdy ślad drogi dostępnej dla ludzi i latem mają coś do roboty w tej okolicy. Raz pod koniec zimy, ale z rozmowy można wywnioskować, że było to przed laty, wszyscy trzej byli we wsi pasterzy reniferów jak teraz Forell. Pytają o mężczyzn i znają każdego po imieniu.

- Ten tu jest Niemcem. Możecie go dostarczyć dalej?

- Niemca? - Anastas śmieje się szeroko i grzmiąco.

- Uciekł.

Anastas patrzy na Forella nieufnie.

- Jak daleko?

Forell sam daje odpowiedź:

- Chcę do domu.

- My też - śmiech staje się złowieszczy. - Nie.

Car żałuje decyzji, ale nie przekonuje obwiesiów. Rozmowa znów dotyczy interesów.

Potem Anastas przekazuje carowi mały skórzany woreczek, który waży zadziwiająco dużo. Forell widzi wyraźnie, jak coś pada na dużą dłoń.

- Chcemy móc na tobie polegać - burczy Anastas, który prowadzi rozmowy zupełnie sam. - Co tam masz?

Car wypakowuje. Nie pokazał po sobie w drodze, jak ciężki nosi pakunek. Naboje mają znaczną wagę, a jest ich osiem nizinowych paczek. Jest jeszcze więcej porcji amunicji puszkowej.

Proszę!

Trzej obwiesie przeliczają, co tam wymienili i wydają się zadowoleni. Forell już wie, co znajduje się w sakwie. Wyciąga rękę, żeby car przekazał mu ją na chwilę. Rosjanie są zdziwieni, że Korjak bez wahania z uśmiechem wyższości podaje woreczek Niemcowi.

To jest to, co Forell podejrzewał - złoto, wypłukane złoto.

Car zaopatruje więc łajdaków w amunicję i opłacany jest czystym złotem. Drogi amunicji i złota wydają się być bardzo daleko rozgałęzione. Prowadzą - w ten sposób zrozumiała staje się pozbawiona zagrożenia podróż Forella - od Anadyru aż tu do tajgi, aż po stada Pehtaka, aż po jakieś miasta, aż do Rosjan. Więc to tak. Car przekazuje jeszcze swoją flintę. Złoto dużo waży i także wędrownemu Korjakowi otwiera wrota na świat. Flinta wyprodukowana jest w Ameryce.

Kiedy wymiana jest zakończona, car po raz drugi proponuje przekazanie im swego podopiecznego.

- Niemiec ma machorkę i jest znakomitym piechurem.

W tym wypadku Anastas nie odważa się decydować sam. Grigorij i Siemion zdają się być entuzjastami machorki.

- A ty mógłbyś następnym razem też przynieść nam machorki.

- Jeśli go weźmiecie.

Forell zostaje przehandlowany. Nie ma pytać, dokąd zaprowadzi go podróż. Kołchoz hodowców reniferów nie jest w stanie zaoferować dożywotniej posady.

Car zachęca go, by skorzystał z okazji, a trzech mężczyzn namawia, by w żadnym razie nie rezygnowali z tak pilnego piechura i znakomitego strzelca, i dla uproszczenia ceremonii żegna się wylewnie z Forellem. Temu nie można się już sprzeciwić, nawet leśni ludzie nie mogą. Anastas życzy Korjakom dużo szczęścia. Potem z dwoma pozostałymi i Forellem schodzi w dół do tratwy.

Z góry żegna ich jeszcze gospodarz wioski z prostodusznie dobrą twarzą. Trzy smukłe brzoze belki odsuwają tratwę od brzegu. Rzeka nie jest mężczyznom w żadnym razie obca. Pewnie kierują swoją tratwą odpychając się żerdziami. Po co najwyżej pół godzinie są na drugim brzegu. Piaszczyste urwisko pozwala miękko wylądować, a cztery powiązane ze sobą pnie można pozostawić w wodzie, gdzie więzną pod zwisającymi w powietrzu korzeniami drzewa.

Nikt nie zadaje sobie trudu, by z nowym rozmawiać, coś mu wyjaśnić, być wobec niego uprzejmym, czy chociaż przez chwilę ponieść jego ciężar. Forell idzie jako ostatni w rzędzie, poci się i pastwią się nad nim komary. Nie raz ma pokusę, żeby się odłączyć, bo nie może nadążyć za tempem gburowatych towarzyszy wędrówki. Robi się wieczór, zanim docierają do celu. A wieczór nadchodzi dopiero gdzieś koło dziesiątej.

Namiet, z trzech stron zbudowany między drzewami, zrobiony jest ze skór renifera. A więc dotąd sięgają ślady zapobiegliwej ręki cara.

Przynieść drewna. Nanosić wody w skórzanych workach. Wszystko to spychane jest na Forella. Żeby mógł pracować, dostaje siekierę. A trzej obwiesie, rzuciwszy się wygodnie na zdeptaną trawę, przyglądają mu się z zainteresowaniem. Nie pada ani jedno słowo. Forell czuje spojrzenia na karku, kiedy ustawia ognisko i rozpala puszkę. Ma szczęście. Drobne drewno poprzycinał na małe szczapki i całkiem dobrze wie, jak wiesza się kociołek nad ogniem. Żeby się nie dopytywać, gdzie są rzeczy, z których można przygotować jedzenie, wszystko, co uważa za odpowiednie, wyciąga ze swego podróznego worka i przygotowuje ciężki posiłek jak dla drwali. Przez to plecak robi się pusty.

Je się barbarzyńsko, ale nie bez wychowania. Forell tak bardzo przyzwyczył się już do mlaskania, pryskania śliną, mówienia i śmiania się równocześnie, że przygląda się towarzyszom po kolei i próbuje zgadnąć, skąd mogą pochodzić.

- A teraz machorka! - mówi Anastas po jedzeniu.

To pierwsze słowa skierowane do Forella. Woreczek nie jest tak okazały jak dawniej. Korjacy byli dobrymi palaczami. Ale nawet w przyszłości dla czterech wystarczy na trochę palenia. Forell ma pokusę, żeby wysypać garść machorki na strzęp papieru, jednak wyjmując cały woreczek i stawia go pośrodku.

- Proszę!

- Jesteś Niemcem?

- Już była o tym mowa - Forell wchodzi w ostry ton.

- Zamknij się i nie bądź bezczelny! - Anastas nie robi sobie z obcym wiele ceregieli.

- Pracowałem w ołowiu i zbiegłem.

- To potrafi każdy. Nam tym nie zaimponujesz.

- Czy się wam podobam, czy nie, to mi za jedno. Nie potrzebowałem was dotąd i dalej nie potrzebuję.

Dziwi się swojej bezczelności nie mniej niż całkiem znośnej ruszczyźnie, przy całej jej chropowatości. Ponadto obwiesiom ton wcale się podoba. Można z nimi rozmawiać, jeśli tylko opanuje się ich grubiański sposób mówienia.

- Umiesz rozpałić ogień, widzieliśmy. Gotować też umiesz. Potrafisz strzelać?

- Na pewno tak samo dobrze jak wy, bandyci.

Na słowo bandyci wszyscy trzej skaczą na równe nogi, by zaatakować Forella. Poczucie godności zmusza ich do reakcji. Podczas wyciągania machorki Forell dokonał jednak ostrożnie remanentu swego stanu posiadania i odwinął szmatę z naganą, aby w razie czego trzem tak nieokrzesanym prostakom móc przeciwstawić jakiś argument. Odwaga do mówienia w bezczelności znacznie wzrosła, od kiedy wiedział, że ma pistolet pod ręką. A teraz, zanim którykolwiek zdołał podejść zbyt blisko, ma go w ręce. Czuje się paskudnie, ale w razie konieczności strzeli.

- Cofnąć się! - O!

W tym dźwięku wyraźnie pobrzmiwa też uznanie. Ten Niemiec jest mężczyzną, jak trzeba. Jeśli strzela tak szybko, jak wyciągnął pistolet, to można na niego liczyć.

- Masz naganę?

- Jak widzicie.

- Może jeszcze do tego naładowany?

- Mam wziąć twoją czaszkę na cel?

- Zostaw! Ale ty byłeś jeńcem. W obozie jeńcowi ciężko zdobyć pistolet.

Forell ma poczucie, że teraz musi kłamać, co się zowie, żeby zdobyć uznanie, jakie u mężczyzn tego pokroju ma jakąś wartość.

- Ponieważ uzbrojeni byliśmy tylko w kilofy, a wartownicy mieli i pistolety maszynowe, i naganę, nie widziałem dla siebie innej możliwości, jak powalić wartownika kilofem i wziąć sobie jego broń. Pistolet maszynowy posłużyłby lepiej, ale co miałbym robić z czymś tak nieporęcznym? W międzyczasie naganę dobrze mi posłużył.

Powiedział to tak ogólnie i nieprecyzyjnie, że obwiesie sami mogli wstawić sobie liczbę zabitych Rosjan do swych niejasnych podejrzeń, według fantazji. Żebyż braciszki mieli pojęcie, jak nieprzyjemnie ocierał się pistolet między udami, jak potem też zawsze był tylko ciężkim kawałkiem metalu, na wyrzucenie którego Forell nie mógł się zdecydować! Nie oddał jeszcze ani strzału, ale bandyci liczą się z człowiekiem, który w taki sposób pokazuje swoją wizytówkę i zdaje się mieć opanowany ich język.

- Schowaj naganę!

- Jeśli będziecie zachowywać się przyzwoicie.

- Dobra. Jesteśmy razem!

Anastas podaje mu rękę. Grigorij i Siemion naśladują go. Forell puszcza mimo uszu, że Siemion chce obejrzeć pistolet i chowa go do kieszeni po prawej stronie, na której sypia. W nocy nie będzie można tak łatwo mu go wyciągnąć.

Kiedy następnego dnia grupa idzie dalej, namiot pozostaje. Może być od czasu do czasu potrzebny, uważa Anastas. I tak każdy z mężczyzn jest dostatecznie obładowany.

Po drodze mówi się niewiele. Dzięki bogatemu doświadczeniu nocne legowiska wybierane są tak sprytnie, że nawet intensywny deszcz nie jest w stanie ich przemoczyć. A pada dość obficie. W stęchłej duchocie lasu morderczo atakują meszki. Kiedy Forell pod ukłuciami zachowuje się jak szalony, inni tylko czasami zgarniają gęsto obsiadające komary i zasmarowują swe szyje i twarze krwią z rozgniecionych owadów.

- Popatrz, popatrz!

Obwiesie są wspaniale urządzeni, by mieszkać w syberyjskich warunkach. Na stoku, zaoszczędzając na jednej całej długiej ścianie i częściowo na dwóch bocznych, zbudowali sobie wygodną chatę. Forell czuje, że kiedy i jemu przypadnie stałe miejsce do spania w chacie, trzech łotrzy nic złego już mu nie zrobią. Cała okolica wokół chaty jest sucha, nie za bardzo nawiedzana przez komary, za wyjątkiem potoku przecinającego raźnie czystą wodą jasny piasek. Z tym strumieniem jest jeszcze specjalna sytuacja, którą Anastas chce nowemu wyjaśnić, kiedy obchodzą teren szerokim kręgiem.

- Płuczecie tutaj złoto?

- Wiesz?

- To widać.

- Więc nie muszę nic więcej mówić. Znajdziesz tu dużo pracy.

Po rodzaju systemu można poznać, że swoją wiedzę wykorzystał człowiek mający doświadczenie w płukaniu. Ludzie, którzy nie mają do dyspozycji ani jednej deski z tartaku, muszą potrzebne części wyrębać z drzew siekierą i w tym prymitywnym urządzeniu zdaje się tkwić cierpliwa praca wielu lat. Woda strumienia musiała zostać spiętrzona, żeby wpuszczać ją w złoże według potrzeby. Jak widzi Forell, strumień jest skierowany inaczej. Woda w czasie bez pracy lub powodzi nie powinna wymywać piasku i zabierać złota.

Anastas swój warsztat płukania złota pokazuje jak ksiązę.

- Co się umie, to się umie - uśmiecha się Forell.

Nie zwraca zupełnie uwagi, że mówi po niemiecku. Ale ten drugi zdaje się go rozumieć.

- Dostałem dwadzieścia lat i trzy z nich pracowałem w złocie. Potem uciekłem - pokazuje na Siemiona, który przygotowuje kilka łopat, by jutro mogła się zacząć praca. -

Trzeba by mieć jego zdrowie. Żył z rabunku i skazano go na dwadzieścia pięć lat. Od niego pochodzi plan ucieczki. Grigorij dostał tylko osiemnaście lat. Własność państwowa. Wszystko jest własnością państwową a Grigorij był naczelnikiem. Więc mógł lepiej kraść. Jest głupi, ale pracuje najlepiej z nas wszystkich.

- A ty?

- Dwadzieścia lat. Już ci mówiłem.

- Polityczny?

- Dlaczego? Jestem członkiem partii komunistycznej, czynnym komsomolcem. Zarabiałem moją żonę i jej przyjaciela. Małżeństwo jest chronione przez państwo, nieprawdaż? Nie ochronili mi małżeństwa, pomogłem więc sam sobie, a potem mnie porzucili.

Anastas jest typem człowieka, który siłą rozwiązuje to, czego nie da się rozwiązać inaczej. Najbardziej prostolinijny ze wszystkich trzech i najmniej podstępny. Ale jego brutalność zatrzymuje się jedynie przed odbezpieczonym pistoletem.

Wieczorem opowiadają o swym życiu i swoich losach. Są rozgadani, czują się jak w domu.

- Cóż chcecie osiągnąć z politycznymi? - zapytuje Siemion. - Pozwalają się bić do nieprzytomności i deptać, ale żaden nie zbierze odwagi, żeby uciec. Ja czekałem tak długo, aż mnie jako tako nauczyli płukania złota. Kopalnia jest paskudna. Praca przy płukaniu też jest paskudna, ale to rzecz dla zwykłego człowieka. Ja przez całe swoje życie byłem zwykłym człowiekiem. Myślisz, że z politycznych choć jeden byłby gotów zaryzykować ucieczkę? Anastas się odważył. A Gregorijowi trzeba tylko powiedzieć: „Zrobisz to tak”, a on tak robi.

Forell chce wiedzieć, gdzie to było z tym złotem.

- Znasz Kołymę?

- To rzeka, zdaje mi się.

- Także góry. Kołyma to piekło, gdzie cię nie smażą tylko zamrażają.

- Gdzie to jest?

- Jak będziesz grzeczny, pozwolimy ci przyjrzeć się raz lub posłuchać, jak pracują. Da się zrobić w kilka tygodni pieszo. Nie latem. Wtedy się w tajdze ginie.

- Ci ludzie z kopalni złota nie giną?

- Jesteś dzieciak, nawet jeśli masz pistolet.

Anastas wprowadza nieco porządku do bezładnego i wyraźnie samochwalczego opowiadania opryszka Siemiona. Między politycznymi rzadko bywa podobno taki, który ma odwagę sam skończyć z życiem w piekle. W ich szeregach czasami tylko występują

samobójstwa, kiedy skazańcy, jak mówią nie mogą już znieść zwierzęcego życia, kiedy odpadają im odmrożone palce u rąk i nóg i załamują się resztki oparcia psychicznego.

- To są ludzie godni szacunku, wprowadźcie kontrrewolucjoniści, ale tak wprzęgnięci w jakąś pracę, że już podczas aresztowania się załamują. Zasańcy, którzy potem zdychają w rozpacz, bo gorzej jest gnić, pracując w kopalni, niż stać przy desce kreślarskiej za dwa tysiące rubli na miesiąc. Naturalnie samobójstwo można różnie popełnić. Można wypełznąć z oślizłego schronienia prosto w ręce ludzi z MWD. Wtedy najpóźniej następnego dnia rano wszystkim zajmują się już żołnierze. Ale kiedy było się profesorem na politechnice i naraz jest się śmierdzącym szczurem w kopalni złota, a po ucieczce jeszcze wieczorem przychodzi wiadomość, że następnego dnia rano nastąpi rozstrzelanie, człowiek zaczyna zmieniać zdanie na temat zamierzonego samobójstwa i przez całą noc drze się ze strachu jak bydle.

Forell ustawiwszy kompas na zachód, oswaja się z marzeniem o bezludnym kraju. Kładzie na kolanach mapę i pozwala, żeby Anastas objaśniał mu, gdzie państwo prowadzi swoje kopalnie złota.

- To olbrzymia przestrzeń. Na przykład my uciekliśmy stąd. - Nie jesteśmy zbyt oddaleni?

- Masz rację. Ale zimą nie jesteśmy tutaj.

- Tutaj są ludzie wydobywający złoto? W tej niemożliwej okolicy? Nie, macie mnie za głupca.

Forell broni się przed wyobrażeniem, że w bliskości pięciuset wiorst jest tak wielu ludzi, że jego droga pozostaje w ten sposób zagrodzona.

- Na jesieni będzie rok, jak jestem w drodze. Muszę iść dalej, jeśli w ogóle chcę kiedyś znaleźć się w domu.

- Wrócić do domu! Niechże się pośmiej! - Anastas rechocze tak szyderczo, że Forella to przeraża.

Ironiczny śmiech Syberii grzmi w uszach Niemca.

- Myślisz, że my nie chcemy do domu?

- Ja nie - wtrąca sucho Grigorij. Anastas wyrzuca z siebie ze złością.

- Nas nie pytają czy chcemy. Ty także, idioto, zapamiętaj sobie - z Syberii nie ma powrotu do domu. A tak przy okazji, jak się nazywasz? Mam na myśli imię.

- Peter.

- Jeszcze słabo kłamiesz. Ale bądź spokojny! Ja też nie nazywam się Anastas. A ci także nazywają się inaczej. Nie przypominaj sobie nigdy swojego imienia! Zawsze całkiem prosto! Nie dodawaj nawet imienia ojca! Piotr Jakubowicz, czy jak tam chcesz się nazywać,

zbyt mocno przypomina o życiu, którego już nie będzie. A w tajdze zupełnie nie ma czasu na długie imiona. Zanim powiesz Stiepan Filipowicz, ten drugi już strzeli. Zrobi tylko to, co jest rozsądne. I nikt nie pociągnie go za to do odpowiedzialności. Jeśli ty nie potrafisz zrobić tego, co rozsądne, idź w swoją stronę! Czterech mężczyzn razem to bardzo duże zagrożenie. Widziałem, że szybko sięgnąłeś po nagan. Ale musisz jeszcze szybciej, synu! W tym czasie powinieneś być już strzelić. A więc, jeśli spotka cię ktoś i zapyta, jak się nazywasz, to strzelaj, a potem mów: Piotr! Idzie o kolejność. Zrozumiano?

- Tak - mówi cicho Forell.

Anastas w ogóle nie umie żartować. U niego wszystko jest śmiertelną powagą.

- Weź teraz swoją mapę do rozpalenia ognia!

Forell nie chce, ale mapa jest spalona, zanim zaczynają jeść.

- To dziecinada, która psuje charakter. Piotr, jeśli przestaniesz mnie drażnić głupotą będziemy dobrze się rozumieć. Lubię ludzi, którzy coś ryzykują. Może kiedyś, gdy byłeś młody, czytałeś książki o awanturkach, którzy zdołali od Harbina przewędrować do Wilna. Do połowy lat dwudziestych mogło coś takiego się zdarzyć. Mówisz zupełnie przyzwoicie po rosyjsku, ale każdy stary menel powie ci prosto w twarz, że jesteś Niemcem. A nawet gdybyś sto razy był Rosjaninem, nie wejdiesz do żadnego miasta i nie wyjdiesz z żadnego bez przepusku. Ale przepustka nie może być z wczoraj, raczej z jutra. Nigdzie nie pojedziesz pociągiem nieskontrolowany. Masz może w kieszeni mapę, na której zaznaczone są nie tylko miasta, ale i wioski? Tam, gdzie mapa pokazuje trawiasty step lub lesistą tajgę, nagle wchodzisz do miasta, którego jeszcze osiem lat temu nie było. W odległych okolicach Syberii natykasz się na ludzi, którzy pracują w kopalni albo ją planują. Znajdziesz drogi, gdzie nie przypuszczałbyś, że są zajęte. Nieustannie się planuje, buduje, bada i kolektywizuje. Tak dziś jest w Związku Sowieckim.

Anastas promieniuje dumą, prawdziwą dumą, kiedy chwali wszystko, co dzieje się wielkiego i niepokojącego. Za podwójne zabójstwo skazano go w imieniu porządku, który wychwala, na pracę przymusową. Od tego porządku uciekł i żyje w bezprawiu. Ale do głębi jest poruszony, że tak trudno, niemal niemożliwe jest żyć w ogromnej ojczyźnie bez prawa i wbrew porządkowi. Siemion jest dostatecznie złośliwy, by zaśpiewać pod nosem pieśń komsomolców, a Anastas nie pojmując szyderstwa, cicho włącza się w śpiew i wpatruje w wieczór, który sprowadza szwadrony komarów.

- Będzie padać.

Jakkolwiek następnego dnia pada, czterech obwiesiów zabiera się do pracy, choć jest nie później niż szósta.

Ze strumienia zabierają belkową zaporę. Ostukane do czysta pnie zostają ze sobą połączone. Spadek jest nawet wielokrotnie zmieniany, żeby nie wypływało dosyć skąpo osadzające się złoto. Kiedy zaczynają szufłować piasek, siąpi deszcz. Najpracowitszy w roboczej kolumnie jest Siemion rozbójnik. Ten człowiek to same mięśnie, siła i wytrzymałość. Gdyby miał choć cień talentu organizacyjnego, jakim dysponuje Anastas, dawno decydowałby tu o wszystkim. Grigorij dużo błaznuje i nieustannie robi rzeczy, które dają mu powód do śmiechu. Ale nawet Anastas bierze go takim, jaki jest, ponieważ pozostali chwalą jego godną podziwu pomysłowość w nieprzyjemnych sytuacjach. Nie jest właściwie głupi, bo inaczej nie dochrapałby się naczalnika. Forell nasypuje i odsypuje szuflę, zdziwiony, że po wielu godzinach jeszcze nie robią przerwy. Wreszcie pojmuje, że Anastas z wydajności zadowolony jest najwyżej wtedy, kiedy pracują przez dwanaście godzin nieprzerwanie.

To harówka jak w kopalni ołowiu! Narzucony sobie samemu czas pracy, odpowiadający zwyczajom w obozach karnych, odrabiany jest bez sprzeciwu, póki Anastas przy nisko wiszącym słońcu nie daje znaku do zakończenia dnia. A potem do wykonania są jeszcze „domowe” prace zaopatrzenia w jedzenie. Na koniec zmordowani jak psy czterej mężczyźni stoją wokół urządzenia do płukania i wyskrobują resztki szarego złota. Wszyscy od dawna wiedzą, że to bardzo skąpa płuczka, ale nie mogą całymi miesiącami robić gdzie indziej próbných wykopów, by trafić na wydajniejsze miejsce. Lato jest krótkie. Grigorij pierwszy zaobserwował w pływającym piasku mdłe błyski, jakich nie zauważyliby inni ludzie, którzy jeszcze nigdy nie musieli pracować za karę w kopalni złota. To błyszczenie jest bowiem pozbawione blasku i nie zobaczy go niewyszkolone oko.

Dopiero po pracy poszukiwacze złota wyruszają z flintami, by przynieść coś do zjedzenia. Kiedy pada pierwszy celny strzał, pozostali od razu rozładowują swoją broń i kierują się do obozu. Nie mogą sobie pozwolić na wystrzelenie zbędnego naboju, ale także nie mają zwyczaju przynosić zapasów na więcej niż jeden dzień.

Jeśli któregoś dnia nie upolują dziczyzny, to słabe są widoki na kolację. A zasoby zwierzyny naprawdę nie są bardzo bogate. Nierzadko myśliwych musi zadowolić to, co da się zdobyć w powietrzu. Czasami jednak trzeba uwolnić Grigorija od płukania złota i posłać go na polowanie. On jest najlepszy z nich wszystkich i zawsze po kilku dniach wraca z mięsem młodego renifera. Na łowienie ryb nie ma czasu, zresztą mały strumień i tak niczego nie oferuje.

Nie ma czasu. Trzeba wypłukiwać złoto, głodując przez lato, aż zebra sterczą.

Forell pyta sam siebie, przeżywając z obwiesiami mijające skąpe i wypełnione ciężką pracą ciepłe dni, dlaczego ci trzej przymusowi robotnicy nie pozostali w kopalni złota, gdzie jedzenie było równie złe, a pracy było w nadmiarze.

Anastas uparcie wymaga od wszystkich dwunastogodzinnej pracy każdego dnia i przy każdej pogodzie. A kiedy czasem sprawdzają swoje woreczki z wypłukany złotem, żadne ziarenko nie jest większe niż główka od szpilki. Urobek całego lata mógłby zmieścić w dwóch szerokich dłoniach jeden mężczyzna. Ta płuczka jest zbyt nędzna. Ilość złota znaleziona przez czterech mężczyzn w przeliczeniu na amunicję, sól, ubranie czy broń nie przynosi więcej niż zarobek czterech niewykwalifikowanych robotników. Ale to jest złoto. A złoto ceni się wyżej niż banknoty. Ludzie przyjmują od nich złoto jako zapłatę, a za banknoty nie daliby niczego oberwańcom z lasu, najwyżej kulkę między zębra.

We wrześniu zaczyna być nieprzyjemnie zimno.

W październiku Forell przypomina sobie, że minął już cały rok od czasu, jak opuścił kopalnię ołowiu, żeby w końcu znaleźć się u trzech zbiegłych przestępców, którzy z zastrzeżeniami przyjęli go do swojego bractwa i wykorzystują do płukania złota.

Potem wszystko zamarza tak mocno, że ostatecznie można zakończyć pracę przy płukaniu.

- Dokąd pójdziemy?

Forell często zadawał sobie to pytanie, ale jeszcze nigdy nie odważył się zapytać Anastasa. Teraz musi spróbować. Anastas mówi, jakby był śpiący i zmęczony życiem.

- W rowach odwadniających państwowych zakładów płukania złota ucieka go więcej, niż znajdziemy w piasku, którego jeszcze nie dotknął żaden człowiek. Nie potrzebujemy już dalej prowadzić tej lichoty tutaj. Co myślisz, Piotr?

- U was pierwszy raz w życiu płukałem złoto. Czy gdzie indziej wychodzi więcej, nie wiem.

- Związek Socjalistycznych Republik Sowieckich nie może marnować swej siły roboczej, pozwalając czterem ludziom wydobywać taką ilość złota, która nie starczy im na żarcie. Musimy ruszyć dalej i całkowicie przestawić się na polowanie.

- Jak uważasz. Ja i tak jestem za ruszeniem dalej.

- Do Niemiec, tak? - Anastas uśmiecha się. Nie jest zagniewany, nie wyśmiewa się z głupca, który ciągle jeszcze nie porzucił myśli o powrocie do domu. - Jeśli sądzisz, że to rozsądniejsze, to będziemy się trzymać twojego kierunku.

- Jak uważasz.

- Nie drażnij mnie swymi unikami! To, co mamy zamiar robić, nie będzie tak piękne jak dotychczas. Różnie już próbowaliśmy, bo w końcu sześć lat kręcimy się w okolicy. Jeśli chcesz iść z nami polować, nie wolno ci pytać o kierunek. Musimy mieć z czego żyć dalej.

Forell musi się pogodzić ze wszystkim, co Anastas uważa za dobre. Anastas z kolei musi podporządkować się temu, co jego towarzysze uznają za wydajne. A towarzysze zdecydowali się na mniej grzeczną egzystencję.

Pewnego rana wejście chaty zostaje zasłonięte pniami drzew. Pożegnanie przebiega nieformalnie. Jeśli się tu powróci, wszystko powinno nadawać się do zamieszkania. Jeśli się już nie wróci na to miejsce, ktoś inny znajdzie schronienie. Ten inny ucieszy się z dobrego zapasu przykryć ze skór renifera, ponieważ na myśliwską wędrówkę każdy z czterech może zabrać jedynie to, co ma na sobie i co potrzebuje na noc. Do tego karabiny, zapas amunicji i mocne noże. Forell, który sądzi, że opanował jako tako chodzenie i sunięcie na krótkich nartach, przeżywa wielkie zaskoczenie, kiedy towarzysze uciekają przed nim lekkim krokiem. Pojawia się niezadowolenie, gdy obwiesie wciąż muszą na Niemca czekać. Na twarzy Siemiona, jako że w jego sercu nie ma wielu zakamarków, daje się łatwo odczytać, co myśli: „Nie umie chodzić, nie nauczył się jeszcze przewracać z karabinem na plecach, szybkość podróży zostaje zahamowana - trzeba typa bez ceregieli zostawić po drodze, gdzie tak czy siak zginie”.

Forell czuje nienawiść, jaką budzi jego powolny marsz i wie, że musi przyspieszyć. Nie daje jednak rady. Ciągłe idzie jako ostatni w znacznej odległości od pozostałych. Dociera do trzech współtowarzyszy jedynie po śladach, które ci pozostawiają dla niego, odrywając kawałki kory z drzew. Po drodze mężczyźni troszczą się jeszcze o posiłki na kolację. Trzeciego dnia wieczorem, gdy Forell kilka godzin później dociera do obozu, informują go o swej decyzji.

- Tak dalej być nie może.

Forell jest wyczerpany. Podnosi garść śniegu, żeby zwilżyć wargi. Nie chce kolacji. Czuje tyle samo głodu co wstrętu przed półkrwistą dziczyzną. Grigorij już od dawna go wyśmiewa, bo zrobiły mu się odstępy między siekaczami.

- No to nie może i już.

- Potraktowaliśmy cię uczciwie.

Nie da się zaprzeczyć, że według ich miary traktowali go uczciwie. Zgorzkniały dosiada się do ognia.

- Spaliliście moją mapę, bo z wami mapy nie potrzebuję. Teraz zostawiacie mnie samego. Bez mapy.

- Zatrzymasz swój karabin i masz swój pistolet. Damy ci tyle amunicji, ile na ciebie wypada. Resztę musisz załatwić sam ze sobą - Anastas pozostaje całkiem rzeczowy i wyciąga skórzany woreczek z wyplukanym złotem. - Z tego też dostaniesz swoją jedną czwartą. Wprawdzie tyle na ciebie nie przypada, bo trzeba pamiętać, że my przez lata pracowaliśmy nad tą płuczką, ale dostaniesz dokładnie ćwierć.

Gołymi rękoma rozdziela zawartość futrzanego woreczka, pouczając, co można dostać za tę garstkę złotego pyłu - zaprzęg reniferów z saniami, broń, amunicję, ubrania europejskiego kroju, w razie konieczności fałszywy propusk, który jest tak prawdziwy, że żołnierze MWD będą przed nim salutowali.

- Ale gdzie? - pyta Forell.

Wszyscy trzej obwiesie śmieją się i tłumaczą, że kiedy natknie się na ludzi, to każdy będzie chętny na ziarnisty proszek, nieraz może nazbyt chętny i gotów do brania. Wtedy oczywiście pewnego dnia rano nie będzie miał już głowy na szyi. Siemion śmieje się zachwycony z własnego dowcipu. A Forell próbuje sobie wyobrazić, jak ten Siemion po drodze zawraca, znajduje towarzysza wędrówki z Niemiec leżącego, wyczerpanego w bezdrożach tajgi i z miłosiernym uśmiechem przeciąga mu nożem po szyi aż do kręgow. Potem wyjmuje martwemu woreczek z ćwiartką złotego piasku z kieszeni.

Anastas pozwala mu wybrać między czterema ćwiartkami. Forell bierze jedną, odkłada z powrotem i bierze następną. Są równe, sprawiedliwie podzielone bez wagi. Potem nawet je. Z trudem przychodzi mu odrywanie półsurowego mięsa od kości.

Kiedy następnego ranka wstają o pierwszym brzasku, nikt nie traci wielu słów. Rosjanie życzą Forellowi dobrej drogi, Anastas zaś ze współczującym uśmiechem powrotu do domu. Potem ruszają, pozwalając Niemcowi jeszcze przez chwilę dotrzymywać im tempa. Szkoda złotego piasku, który niesie w kieszeni! Nikt go bowiem już nie znajdzie, żeby mieć z tego korzyść. Z futrzanym ubraniem na ciele zgnije także woreczek. Wtedy złoty proszek wypłynie na ziemię.

Ślad za nimi pozostaje wyraźny. Drzewa przy drodze wciąż nacina pewnie Anastas. Dlaczego Forell chce próbować biec z taką szybkością, żeby mniej więcej późnym wieczorem dogonić pozostałych? Nagle spostrzega zająca i ze spokojem myśliwego zabiera się do sprawy. Nie wolno mu wystrzelić żadnego naboju w próżnię, bo przez miesiące życia będzie zależeć od tego, czy wystarczy mu amunicji. Zając pada od jednego strzału.

Zające w domu nie są takie duże. Obdzierając zwierzę ze skóry i patrosząc je, Forell chwali porastający tłuszcz. Szklisty tłuszcz zająca nie smakuje za dobrze, przynajmniej nie w domu. Tu jednak sprawa ma się inaczej. Ten zając, wyłuskany ze swego jasnego szarobiałego

futra, to posiłek na co najmniej sześć dni. Teraz Forell potrudzi się i przypiecze mięso nadziane na patyk tak, by chwiejące się zęby mogły je przeżuć. Nic już nie goni. Nie ma już czasu i nie ma towarzyszy czekających z wyrzutem.

Ten sam człowiek, który całymi dniami i tygodniami liczył kroki, kiedy jeszcze wierzył w sens swojej ucieczki, je powoli posiłek, podsyca ogień i kładzie się. Kiedy ogień się wypala, dokłada nowego drewna i znowu kładzie, żeby wypocząć. Chce spać i nie myśleć o tym, że wszystko było nadaremno.

Żeby cokolwiek się działo, nawet bez celu, następnego dnia trzyma się śladu obwiesiów, odpoczywa wedle woli, zawczasu szykuje się na noc, a kolejnego dnia dalej depcze z nowym zapalem i zręcznością po śladach. Kraj robi się mniej pofalowany i zdaje się stopniowo opadać. Po otwartej przestrzeni idzie się lepiej, bo nie zmusza gęsto rosnącymi drzewami do ich wymijania. Ale drogę trzeba tak wybierać, żeby nie zabrakło drewna na nocny obóz.

Hola! A cóż to?

Na szerokim odcinku śnieg jest całkiem rozdeptany aż do ziemi, mizerna i wysuszona blizna trawy.

Stado musiało liczyć - na tyle Forell potrafi już ocenić - co najmniej czterysta zwierząt. Kierunek przejścia nie daje się łatwo odczytać, bo zwierzęta z oferowanej paszy korzystały wedle woli, pasąc się to tu, to tam, póki nie poczuły ochoty na inną okolicę. Tam gdzie jest stado, tam są ludzie.

Ślady obwiesiów zostały stratowane niezliczonymi kopytami. Nie szkodzi.

Stada reniferów idą powoli, a pora roku jest kluczem do kierunku. Zwierzęta musiały ciągnąć ku dolinie.

W szeroką przesiekę wciska się znowu ciemny drzewostan i zwężają. Z obu stron zwarta tajga. Forell sądzi już, że się pogubił, gdy nagle ktoś go woła. Staje z bronią wycelowaną z biodra w stronę, skąd dochodzi wołanie.

- Piotr!

- O mój Boże! Anastas! - Chodź tu!

Akurat teraz, gdy Forell oswoił się z sytuacją i ma nadzieję w ciągu niewielu dni natknąć się na ludzi, te ciemne typy muszą zatrzymywać go jak zbójnicy!

- Co jest? - zachowuje się uprzejmiej, niż ma na to ochotę.

- Możesz znów zostać z nami.

Forell wiesza flintę na ramieniu. Robią mu miejsce. Uprzejmość jest nieudawana. Lepiej iść z nimi, czy maszerować samemu? Nie wie przecież, jakie niespodzianki kryje daleka droga.

- Wypłaciliście mi moją część, nie chcieliście mnie wśród siebie, bo jestem zbyt wolny.

Anastas wyciąga rękę. Chce dostać z powrotem woreczek ze złotym proszkiem. Ale Forell woli przedtem wiedzieć, na czym stoi. Robi się biały na twarzy. To przecież napad. Chcą mieć na powrót złoto i w najprostszy sposób przywrócić stan porządku. Ale dlaczego zostawili go i nie dokonali mordu w jakimś miejscu, które stopa ludzka dotyka tylko raz na piętnaście lat? Faceci dobrze czytają w jego bladej twarzy i dokładnie wiedzą, co myśli. Anastas macha leniwie ręką. Zaprasza Forella, żeby usiadł i wyjaśnia, że stado sześciuset reniferów jest może o dwa dni drogi przed nimi.

- Wiem - mówi Forell z dumą.

- A to też mi wielka sztuka - Anastas natychmiast go osądza. - Tylko bez głośnych przechwałek! Rozpoznać stado renów po śladach, zwłaszcza jeśli rozchodzi się na szerokość kilometra na otwartej przestrzeni, potrafi tutaj każde niemowlę. Możesz przecież iść za nimi.

- Tak zrobię.

- Zapamiętaj sobie jedno, Piotr. Nie stado reniferów idzie tam, dokąd chce człowiek, ale człowiek idzie tam, dokąd podąża stado. A tam, gdzie renifery znajdują dość paszy, nawet podczas najgłębszej zimy, człowiek zbudował wieś. Założmy nad rzeką. Rzeki zimą są piękne i nie tak niebezpieczne. Ale gdzie nie jest niebezpiecznie i szatańsko zimno, tam jest zbyt wiele porządku. Tam mogliby zażądać od ciebie propusku. Od ciebie, od nas wszystkich. Stado będzie tak szło być może do końca grudnia. Pójdiesz za nim i wpadniesz w zasadzkę. Ty głupku!

Kiedy Anastas ma takie dobre i uczciwe intencje, wtedy ma szczególną manierę przeklinania. Jest z pewnością o wiele młodszy od Forella, ale swój autorytet opiera na doświadczeniu. Mruga i przedstawia przybyszowi położenie, które zrobiło się interesujące. Jeszcze kilka tygodni można łatwo iść za stadem reniferów, zabierając sobie czasem krowę.

- Tunguzi, którzy nie potrafią liczyć, wiedzą jednak dokładnie, kiedy braknie jednej sztuki. To widać po zachowaniu jeleni. Przy stadzie jest tylko dwóch ludzi. Moglibyśmy dokonać tego siłą ale nie postąpimy tak. Grigorij, stary naczelnik złodziei...

Nie kończy, bo Grigorij uderza go kantem dłoni w kark. Anastas stęka i upada. To jest tylko żart i Grigorij się śmieje, ale takie uderzenie boli paskudnie. Uderzony mężczyzna reaguje wściekłością. Rusza na uchylającego się Grigorija. Początkowo chwieje się i czuje,

jak mu się uginają kolana, ale po chwili znów jest panem swoich sił i tłucze go bez opamiętania.

- Jeszcze ktoś? - pyta, oglądając się na dwóch pozostałych mężczyzn.

Nie. Nikt nie ma na to ochoty. Ze względu na autorytet należało pokazać siły, jakie Anastas nosi w swym niemal zgrabnym, ale żyłastym ciele. Grigorij, kiedy wreszcie znów może wstać, podchodzi do nich z wyraźną nienawiścią w oczach.

- Grigorij, stary naczelnik złodziei - Anastas spokojnie kończy zdanie - wpadł na pomysł, żeby od stada odłączyć sześć czy siedem zwierząt, a potem obierać inną drogę. Spróbujemy tego dziś w nocy.

Dwa dni wędrówki stada reniferów, jeśli brak paszy nie daje się we znaki, oznaczają najwyżej dwadzieścia wiorst. A dwadzieścia wiorst wyćwiczeni mężczyźni przebiegają w cztery godziny. Ruszają przed zapadnięciem zmroku i koło północy są tak blisko stada, że pasterze stają się niespokojni. Dwaj mężczyźni siedzący przy ognisku wiedzą od dawna, że w pobliżu są ludzie. Tak jest już od kilku dni. Jeszcze ich nie widzieli, bo obwiesie mają swoje powody, żeby się nie pokazywać. Z niepokoju jeleni pasterze dowiadują się, że ludzie znów są całkiem blisko. Może podejść do ogniska, chcąc się ogrzać i zaproponują coś do palenia. Anastas widzi, jak jeden z mężczyzn wstaje i rozgląda się. Pasterz zachowuje się jednak na tyle obojętnie, że złodzieje podchodzą jeszcze bliżej.

Jelenie zaczynają być coraz bardziej niespokojne i obaj pasterze opuszczają ognisko, żeby przyjrzeć się przyczynie tego zachowania. Wtedy jest już jednak za późno. Leśni tak wpełznąli się w stado, że grupa co najmniej dwudziestu sztuk zostaje oddzielona. Zwierzęta biegną niezdecydowanie i nerwowo, próbując ominąć ludzi i dotrzeć do stada.

Forell współdziałała tak, jakby od zawsze żył z okradania stad. Zastępuje drogę jeleniowi, ale zostaje przewrócony, chociaż trzyma przed sobą przyniesioną belkę, jak to widział u Grigorija. Jeleń bierze przeszkodę, potyka się i kopnięciem odtrąca człowieka, który nie uchyla się dość szybko. Zanim Forell podnosi się z ziemi, za jeleniem galopuje kilka krów w obranym przez niego kierunku. A potem Anastas robi Niemcowi wyrzuty, że właśnie w jego miejscu przeszły oddzielone zwierzęta, a całe przedsięwzięcie przyniosło tylko sześć renów. Ale to jest już wiele godzin później, po tym jak Siemion podniósł z ziemi podeptanego Forella i zamknął lukę tak, że ucieczka zwierząt nie stała się całkowita.

- Powinien cię zostawić leżącego! - burczy Anastas. - Może ci dwaj podcięliby ci żyły albo zabrali ze sobą. To zresztą byłoby równie straszne.

Anastas jest wzburzony, ale w gruncie rzeczy zadowolony i z sześciu zwierząt, jeśli rano pasterze nie podejmą próby, by odzyskać stracone zwierzęta.

- Przynajmniej teraz pomóż, idioto!

W głównym stadzie nie ma już spokoju przez całą noc, a sześć zdobywczych zwierząt zachowuje się bardzo opornie. Rano czterej złodzieje spędzają je do wąskiej palisady z belek i zaczynają obserwację terenu. Pasterze mogą podjąć próbę odzyskania swojej własności.

Okradzeni po śladach poznają, że złodziei jest czterech. Bardzo ostrożnie podchodzą do miejsca przetrzymywania reniferów i wielokrotnie się zatrzymują. Potem jednak po krótkiej naradzie wycofują się.

- Niech ktoś dowierza tym Azjatom! - mówi z powątpiewaniem Anastas.

Ciągle niespokojny przez pół dnia obserwuje, czy ci dwaj rzeczywiście odchodzą ze stadem. Dopiero potem uważa sześć zwierząt za swoją własność.

Leśne zbiry nie mają wiele radości ze swej zdobyczy. Zwierzęta wybierają inne drogi niż ich nowi właściciele. Oczywiście powoli ludzie i renifery przyzwyczajają się do siebie i przechodzą każdego dnia dłuższy kawałek drogi, ale wciąż są zbyt blisko miejsca kradzieży stada. Czterech mężczyzn z sześcioma renami wygląda bardzo podejrzanie i nie wzbudza zaufania.

Pierwsi ludzie, na których się natykają mieszkają w porządnie zbudowanych drewnianych domach.

- To źle - mówi Anastas.

Wolałyby kołchoz z namiotami. Gdyby to było takie łatwe, zawróciłby jeszcze w ostatniej chwili. Ale ludzie w domach już widzą przybyszy. Tak więc pędzą kłusujące zwierzęta ku nim, wykrzykując tak wiele z nazbieranych zwrotów pasterzy reniferów, jak to możliwe.

- Można tu zostać na noc, towarzysze?

Sześciu mężczyzn, z których część grała w karty, część leniuchowała, przerywa swoje miłe zajęcia, żeby przyjrzeć się wchodzącym. Nie są nimi bardzo zdziwieni. Na środku pomieszczenia żelazny piec buzuje ciepłem w rozżarzoną rurę, która uchodzi do murowanego komina. Anastas, zazwyczaj ostrożny, złości się, że nie zauważył z zewnątrz tej oznaki łączności z cywilizacją.

- Jeśli zadowolicie się podłogą u nas ciepło - mówi mniej więcej czterdziestoletni mężczyzna, prawie tak wysoki jak Forell, szczupły inteligent, czysto ogolony, a w tej chwili w dobrym humorze. - Skąd to jesteście?

Głębiej niż tu włóczędzy nie mogli wdepnąć w nieszczęście. Anastas chętnie oddałby szczyptę swego złotego proszku, żeby wiedzieć, co ludzi takiego pokroju skłoniło do osiedlenia się w drewnianych domach w tej odludnej okolicy.

- Jesteśmy na polowaniu, jak widzisz. Chcemy nad morze, a straciliśmy trzy pary sań. Renifery i broń, poza tym nie mamy niczego.

- Siądźcie tu, towarzysze! - inteligent rozdaje nową grę.

- Nie chcemy wam przeszkadzać. Jeśli moglibyście nam powiedzieć, gdzie jest najbliższa baza dla myśliwych.

- Nie mamy pojęcia.

- Potrzebujemy dwoje nowych sań, podwójnego zaprzęgu. I damy za to dwa z naszych sześciu reniferów.

- Daj towarzyszom jeść, Amplany!

Mężczyzna nazywany Amplany nie okazuje się skąpy. Na stół przynosi tyle, że niemal wydaje się to zbyt, szczególnie ludziom, którzy od tygodni nie mieli w żołądkach nic poza półsurowym mięsem. Karabiny, odstawione tylko na tyle, że w razie konieczności natychmiast są pod ręką budzą duże zainteresowanie.

Przy stole toczą się rozmowy i choć Anastas niewiele dowiaduje się z tego, co go interesuje, to w ciągu następnych godzin okazuje się, że inteligent jest kimś w rodzaju inżyniera mierniczego, którego zespół od ponad roku wędruje przez okolicę na odległość kilkuset wiorst.

- Inni dołączają - mówi Amplany.

- Wieczorem będzie tu towarzysz Lederer - inżynier nie tryska radością kiedy o tym wspomina.

- Kim jest towarzysz Lederer? - chce wiedzieć Anastas.

- On nas dogląda. Dziś jest niedziela.

A więc ludzie muszą się obawiać towarzysza Lederera, który dogląda, rewiduje, bada i gani, przenosząc zapewne nienadających się ludzi gdzie indziej, gdzie może nie być drewnianych domów i żelaznych pieców. Towarzysz reprezentuje na takim odludziu władzę. A jeśli obawia się go inżynier, to stanowi on władzę polityczną, reprezentację partii, w tym wypadku MWD. Pozostali mężczyźni obawiają się go najwidoczniej jeszcze bardziej, zwłaszcza w kontekście przeniesienia do pracy, jaka przypada skazańcom. Przynajmniej trzech mężczyzn, jak oceniają myśliwi, to skazańcy.

Brzmi to jak rozmowa mimochodem, kiedy przybyli pytają o najbliższy kołchoz i o niebezpieczny kontakt z ludźmi. Inżynier macha tylko ręką. Najbliższy kołchoz oddalony jest o dwieście wiorst. Ale ludzi ma być wielu, choć rozsianych w różnych punktach po okolicy. Budowa odgałęzienia drogi wymaga bowiem mnóstwa ludzi.

Nie są to najpomyślniejsze wiadomości dla myśliwych. Anastas mówi, że musi zajrzeć do reniferów, ale zwierzęta oddaliły się już kawałek i potrzebuje wszystkich swoich ludzi. Powinno to wyglądać na zakorzeniony nawyk, gdy wszyscy wieszają przez ramię swoje karabiny. Bagaż muszą oczywiście zostawić.

- Pozostań głuchoniemy! - sapie Anastas do Niemca. - Jeśli będzie konieczne, powiem, że naprawdę jesteś głuchoniemy. A wy dwaj, jeśli nie uda nam się stąd zniknąć, zanim pojawi się ten Lederer, będziemy działać bezwstydnie. Zawsze lepiej stanąć naprzeciw kilku ludzi niż z głupotą niewinnych dziatek popędzić prostą drogą do obozu namiotów z kilku setkami skazańców. Dalej! Nie podganiajmy zwierząt zbyt blisko!

Wtem rozlega się niezwykle hałas. Czterej myśliwi odwracają się i widzą ciężarówkę. Nadjeżdża jak w pijanych podskokach.

- Ford. Trzyosiowy. Bieg terenowy - Anastas podaje dane techniczne wozu, przy czym nawet on, który twierdzi, że nigdy się nie boi, czuje, jak wiązanie futra pod szyją robi się ciasne.

Odtransportowanie może odbyć się zaraz ciężarówką.

Towarzysz Lederer jest osobą znaczną i potężnym dowódcą, inżynier wychodzi mu zatem naprzeciw sześćdziesiąt metrów w śnieg i składa meldunek. Po kwadransie towarzysz Lederer jest w oczach Anastasa postacią godną podziwu. Na siodełku zbyt mocno wyrosniętego nosa błyskają okulary na złotym stelażu, bez oprawek. Szare oczy za nimi czerpią od tych okularów swój blask. Wyprężony mężczyzna idzie lekko pochylony do przodu. To nie jest brak postawy, lecz sposób bycia hetmana, który właśnie wspina się na wzniesienie dla dowódcy, by kilkoma rozkazującymi gestami całkowicie wygrać bitwę, na wpół już wygraną. Wielkiemu człowiekowi wyraźnie przeszkadza, że nie ma żadnego wzgórze. Rozgląda się badawczo na wszystkie strony, podczas gdy inżynier jest już w połowie raportu.

- Co to za ludzie?

- Myśliwi, towarzyszu Lederer. Stracili swoje sianie.

- Będą za to musieli odpowiedzieć.

Kierowca i czterech z eskorty Lederera wyciąga papierosy, częstując uprzejmie również myśliwych. Na zewnątrz jest zimno, a w drewnianym domu przyjemnie ciepło. Z bezpośredniej bliskości niebezpieczeństwo nie wygląda na tak przerażająco wielkie, jak sądzili. A więc Anastas idzie za nimi do domu. Siedzi milcząco i podziwia towarzysza Lederera, który surowo i lodowato rozlicza wyniki pracy oddziału ludzi, przedstawiając ostrym głosem swoje zastrzeżenia. Ze znanstwem materii i zaciśniętymi ustami stawia

precyzyjne pytania, na które od razu chce poznać precyzyjne odpowiedzi. Takich ludzi potrzeba Związkowi Socjalistycznych Republik Sowieckich.

Towarzysz Lederer zdaje się czytać uznanie w oczach siedzącego naprzeciwko Anastasa. Kiwa głową. Anastas także potakuje. Towarzysz Lederer uśmiecha się. Anastas sądzi, że winien mu jest uśmiech w odpowiedzi.

- Wstydzicie się! Straciliście swoje sanie?

- Tak. To było tak, towarzyszu Lederer...

- Jak to było, nie interesuje mnie. Będziecie musieli odpowiedzieć przed kierownikiem bazy myśliwych, a stracone sanie odliczy się wam od zarobku. Głupota jest najpowszechniejszą formą sabotażu.

Anastas musi wyglądać na głupiego poczciwca, kiedy tak słucha Lederera. Wtem towarzysz Lederer śmieje się. Sprawia mu przyjemność wzbudzanie strachu wśród ludzi wokół siebie. Używa strachu jako środka autorytetu, ale gdy dość przerażenia wzniecił, gotów jest śmiać się z ludzi, którzy się go boją. Jest, jak ocenia Anastas, nieobliczalny.

- Sami zbudowaliśmy nasze sanie.

Towarzysz Lederer, nazywany przez inżyniera towarzyszem komendantem, błyska ostrymi spojrzeniami szarych oczu po całym pomieszczeniu, żeby nikt nie poczuł ulgi.

- Nieprzydatne marnotrawstwo czasu pracy! Chcecie przesiedzieć jeszcze połowę zimy, nie polując? Każecie sobie dać dwie pary nowych sań. Zostaną wam policzone. Ty jako naczelnik potwierdzisz odbiór i będziesz za nie odpowiedzialny.

- Gdzie...?

- Zróbcie, jak chcecie! Pociągnę was do odpowiedzialności, jeśli choć jeszcze przez jeden dzień będziecie się tu pętać - towarzysz Lederer wypisuje kwit. - Najbliższa baza jest oddalona o dwieście wiorst. Każecie sobie wydać, co potrzeba, z magazynu koncernu Dalstroj, trzydzieści wiorst w górę rzeki. Towarzysz Dajgniew. Jutro wieczorem, po powrocie, sprawdzę. I biada wam, jeśli będziecie się tam jeszcze wałkonić!

Wtedy Anastas, wcielenie subordynacji, waży się na ostatnią beczelność.

- Będziemy jednak musieli iść do bazy myśliwskiej, ponieważ potrzebujemy amunicji i prowiantu, namiotu i na wszelki wypadek trochę narzędzi. Tego w magazynie nie dostaniemy.

- Ile amunicji strzeleckiej? - pyta towarzysz Lederer.

- Czteryście śrutu strzeleckiego w dwóch kalibrach, sto pięćdziesiąt amunicji pociskowej.

- Dobrze. Namiot ze skór. Cztery siekiery. Cztery szpadle. Uprząż. Wasze zwierzęta wszystko zrzuciły, jak widziałem. Tu jest kwit. A teraz jazda! Kierowca pokaże wam drogę! - uśmiezek pokazuje przyjemność, jaką sprawia mu wypędzenie czterech myśliwych w noc.

Anastas bierze kwit.

- Jutro wieczór nie ma was w okolicy!

- Tak jest, towarzyszu komendancie.

- Dajcie im jeszcze jedzenie na drogę! - śmieje się Lederer.

Chodzi wokół buzującego pieca jak hetman na wzgórzu dowodzenia, lekko pochylając wprzód górną połowę ciała. Musi być ruch. Musi być praca. Człowiek nie może odpoczywać.

- Ja już im sprawię. Przecież to niesłychane wałkonić się w ciepłych pomieszczeniach tylko dlatego, że jest niedziela!

Krytyka pracy oddziału mierniczego wypadnie zapewne nieco łagodniej po tym, jak potężny towarzysz swoją władzę przeciwiczył dostatecznie na głupawych myśliwych.

Czterech obwiesiów pozwala wyposażyć się w zapasy na drogę, którą pokazuje im kierowca trój osiowego pojazdu. I ruszają w noc.

- Gdzie zejdziemy z drogi? - pyta Forell, któremu nieco przeszła bladeść.

- Zejdziemy z drogi? - Anastas nie rozumie.

- Czy chcesz iść do jaskini lwa bez propusku?

- I jeszcze jak pójdziemy! Towarzysz Lederer jest znacznym człowiekiem, komendantem całego rejonu. Każe nas wyłapać, jeśli się nie zgłosimy i nie odbierzemy rzeczy.

Czterej myśliwi z sześcioma reniferami, nieco śmieszny pochód, melduje się obowiązkowo następnego dnia około jedenastej w zbiorowisku baraków i namiotów. Kierują ich do naczelnika magazynu.

- Kim jesteście?

- To nieważne. Tu jest kwit wypisany przez towarzysza komendanta. Podpiszę, a ty w tym czasie każesz przygotować rzeczy. Jedne sanie do poczwórnego zaprzęgu i jedno do podwójnego, namiot, śpiwory, amunicja.

- Nie mogę tego wydać.

- Do wieczora towarzysz Lederer będzie tu znowu. Wtedy szybko będziesz mógł, tak jak jeszcze nigdy w życiu nie mogłeś.

- Przecież towarzysz komendant miał wrócić dopiero za cztery dni.

- Powiedz swoim ludziom, że on już dziś wieczorem tu będzie! Chcieliście pewnie wszystko zostawić i urządzić sobie kilka przyjemnych dni? Chcę waszego dobra.

Dwie godziny później myśliwi mają to, co nakazał Lederer. Anastas każe sobie wypisać listę wszystkiego, co mu przekazano i naczelnik musi mu potwierdzić, że przekazał wymienione przedmioty wyposażenia dla celów polowania, przy zobowiązaniu, że jego wartość odciągnięta zostanie przy rozliczeniu po sezonie.

Gdyby renifery, które po raz pierwszy znalazły się w zaprzęgu, były posłuszniejsze i reagowały na wołanie i lejce, łatwiej byłoby zniknąć z niemile ludnej okolicy. A tak mężczyźni, których dziesiątki powychodziły ze wszystkich kątów, mają zabawne przedstawienie. Nawet jeśli zwierzęta przyzwyczajone są do uprzęży, nie należy do przyjemności siedzieć na obciążonych sankach ciągniętych po mizernym śniegu i wyboistym terenie. Nawet Anastas bezradny jest wobec zwierząt i wylatuje wysokim łukiem ze swego niskiego siedzenia furmana, kiedy reny lekceważą dyscyplinę. Ostatniej zimy Forell miał dość okazji, by nauczyć się prowadzenia reniferów. Pasterze nad wielką rzeką poświęcali całe tygodnie swej cierpliwości na przyuczanie zwierząt, a nie każdy ren nadawał się do ciągnięcia sań i nie każdy był posłuszny. Jak osiągnąć to tutaj w ciągu paru godzin, zanim pojawi się towarzysz Lederer, tego sobie nie może wyobrazić.

Anastas wyjaśnia śmiejącym się gapiom, że zwierzęta już od miesięcy nie były w zaprzęgu i przez to zdziczały. Ale ludzie są gotowi do pomocy. Nieposłuszeństwo zwierząt próbują razem złamać w ten sposób, że przeciążają sanie ponad miarę, a Forell prowadzi je w określonym kierunku. Jednak bardziej prawdopodobne jest to, że sanie odłamią się od płóz niż na to, że renifery nabiorą rozumu. Cztery razy wielkie sanie muszą być załadowane na nowo, ponieważ przewracają się podczas nieokreślonej jazdy wokół budynków. Potem jednak, gdy przywieszony do sań pień drzewa stopniowo staje się za ciężki dla zwierząt, reny uznają że lepiej poddać się woli ludzi, przy czym kierunek wybierają same.

Dzień mija na próbach jazdy prawie do zmierzchu. Forell zmusza zwierzęta do posłuszeństwa i w zaprzęgu jako tako utrzymują kierunek. Potem jednak, kiedy zadowoleni pomocnicy ryzykują odpięcie wiszącego pnia drzewa, cztery renifery nie idą wokół budynków, lecz obierają sobie drogę na wprost. I bieżną! Forell wie, co się wydarzy. Renifery tak ominą pierwsze lepsze drzewo, jakie stanie im na drodze, że dwa spróbują przejść z prawej, a dwa z lewej strony. Sanie roztrzaskają się na drobne kawałki.

Wydaje mu się, że zwierzęta odrobinę trzymają się rozkazu lejców. Teren stopniowo wznosi się i obciążenie coraz bardziej przeszkadza. Zmęczone renifery zaczynają wyszukiwać drogę do pastwiska.

Forell ocenia przebyty dystans na co najmniej dwadzieścia kilometrów. Schodzi z sań, mówi do zwierząt, jak nauczył się od pasterzy, głaszcze je trochę i próbuje dać im do

rozumienia, że w ten sposób w przyszłości dobrze im będzie ze sobą. Jeśli pozostałym powiedzie się tak jak jemu, znów się spotkają, może jutro, o ile w tym czasie towarzysz Lederer nie wróci do obozu i nie wyciągnie konsekwencji. Śnieg nie pada, więc ślady zachowają się długo.

Aby dać jakiś znak podążającym za nim, rozpala ogień. Następnego dnia po południu pozostali trzej docierają do Forella. Są tak rozbawieni, jakby brali udział w jarmarku.

- Towarzysz komendant jest człowiekiem, na którym można polegać - krzyczy Anastas z daleka. - Już o siódmej był na miejscu.

Zeskakuje z sań, a koledzy za nim i są w tak samo dobrych humorach jak on.

- Aha, Piotr, nie skłamałeś. Z reniferami potrafisz obchodzić się lepiej niż my. Towarzysz Lederer potrafi oczywiście jeszcze lepiej.

Towarzysz Lederer potrafi wszystko. Jest jak pies gończy. Napada na leniwych i niedbałych swym blaszanie grzmącym głosem. Wie wszystko o rejonie, jakby od lat tu urzędował. Wie, jak jeździ się małą furką z psami i potrafi obchodzić się z reniferami, jakby uczuł się tego od podstaw.

- Nauczył się. Nasz rząd na takie stanowisko na Syberii nie postawi jakiegось człowieka z Odessy, który przywiezie ze sobą brak pojęcia o życiu tutaj. Taki ktoś musi się sprawdzić i zasłużyć, nawet jeśli czasem będzie miał ręce pełne reniferowego gnoju. Znakomity znawca sprawy ten towarzysz Lederer. Kiedy przybył, ludzie zrobili się o pół głowy niżsi. Zresztą wszystko mu w tym dystrykcie podlega, wszelkie planowanie, każdy projekt, budowa dróg równie dobrze jak złotonośne pola, transport rzeczny, a także polowanie. Nie mogliśmy trafić na lepszego człowieka.

- Też jestem tego zdania - mówi sucho Forell - choć nie dowierzam jego znajomości ludzi.

- Mimo to zabierzemy się stąd tak szybko, jak to tylko możliwe. Zupełnie tak, jak chcesz Piotr - na zachód. Później możemy jeszcze zdecydować inaczej.

Zawczasu, jeszcze przed brzaskiem, składają namiot i ruszają. Z niewyszkolonymi reniferami to ciągle mordęga. Kiedy niewiele dni później docierają nad potężną rzekę, na lodzie na szczęście leży śnieg. Na goły lód nie wszedłby żaden renifer. Łajdackie towarzystwo myśliwskie z trudem przejeżdża dwanaście wiorst po lodzie, gdy wreszcie nawis brzegu otwiera się na niemal płaski wyjazd.

- Tu latem pływają głęboko zanurzone parowce idące z Oceanu Arktycznego.

Skoro Anastas twierdzi takie rzeczy, nikt mu nie zaprzecza, choćby jego mądrości brzmiały najbardziej nonsensownie. Niebezpiecznie łatwo wpada w gniew.

Zimowe polowanie w kraju pełnym śniegu w żadnym wypadku nie jest piękne, ale Niemcowi wydaje się, że od co najmniej dziesięciu lat jest to jego najpiękniejsza zima.

Najtrudniej znieść Forellowi mróz. Gdy tylko rano mężczyźni odchodzą od ognia, buty robią się twarde jak kość. Jeśli ręka szybko po coś sięga, zimne powietrze szumi jak zgniatany papier. Grigorij twierdzi, że powietrze zamarzło i pęka. Ale Grigorij to prostak, dobry tylko w kradzieży. Dopiero wieczorem, kiedy rozpali się ogień, życie w takim zimnie staje się znośne. Wtedy zamrożone na sztywno pokrycia futrzane znów robią się miękkie, a buty dają się ściągnąć z nóg.

Po czternastu dniach podróży wreszcie wydostają się ze strefy ludzkich siedlisk. Trzy razy napotykają grupy myśliwych. Każdą z nieufnością. Nie brak kompanom wyposażenia i myśliwskiego wyglądu, ale prawdziwi myśliwi dzięki swemu doświadczeniu z ludźmi i zwierzętami wyczuwają w tych czterech piechurach amatorów, którzy nie należą ani do zawodu, ani do krajobrazu.

Skąd i dokąd? Jaki punkt wyjścia i jaki kierunek?

Anastas umie tylko ogólnie odpowiadać i wskazywać kierunek. Czasem podaje przybliżoną trasę. Jeśli prowadzi w bardziej uczęszczane okolice, myśliwi są źli, bo stany zwierząt są już dosyć przetrzebione. Jeśli pojawia się zamiar pójścia w osławiony obszar, wtedy istnieje groźba, że jakaś grupa zechce się przyłączyć. Takie przedsięwzięcia łatwo mogą doprowadzić do śmierci, chociaż mają swój smak, bo przynoszą dziesięć razy więcej futer. Anastas świadomie prowadzi swoich ludzi na tereny odludne. Nie chce niepotrzebnie ryzykować.

Dni są pełne strapienia i nie przynoszą zbyt wiele myśliwskiej zdobyczy. Mężczyźni potrzebują futer, jeśli na wiosnę chcą mieć pieniądze. Ale kiedy mocno obciążeni przez sześć reniferów i dwoje sań przedzierają się przez poźłobiony stok górski oraz puszczańskie ostępy przewróconych drzew i połamanych przez wiatr konarów, okazuje się, że nieubłaganie zbliżają się do zamieszkałych obszarów.

Głodu nie znają. Jeśli potrzeba, pada dzika owca czy renifer. Jest dość zajęty, a kuropatwy stoją jak perełki w łańcuszku, okrągłe jak pierzaste kulki i z bardzo smacznym mięsem.

To nie głód sprawia, że mają dość przygody myśliwskiej, lecz niecierpliwość, jaka w nich wzbiera, im dłużej bez widocznego powodzenia prowadzą swoje życie w dziczy. Od ciągłego unikania ludzi stracili poczucie rzeczywistości. Wyszukują przeszkód, zamiast unikać ich z niewielkim wysiłkiem. Za dobre uważają to, co trudne. Czasem mają ochotę zostawić wszystko za sobą i pójść dalej piechotą.

To wspaniałe uczucie, kiedy wilki wywołują niepokój reniferów.

Jeszcze długo nie słyhać żadnego dźwięku, a wśród wysokiego drzewostanu nie można dostrzec zielonkawych światełek, gdy renifery, które zwykle pasą się daleko wokół, podchodzą do namiotu i w bezgłośnym podnieceniu naciskają na jego ścianę, wsuwając głowę od dołu pod sznurowanie. Niebezpieczeństwo!

Księżyc stoi na niebie i pozwala zimnu kapać między drzewa. Noc skrzypi, każąc od czasu do czasu czemuś pęknąć, może tylko powietrzu. Jeśli igra lekki wiatr, to nie ma trudności z określeniem kierunku ataku, ponieważ zbójcy zawsze podchodzą pod wiatr. Anastas upomina towarzyszy, by zachowali spokój. Wilki nie są rozszalałe, bo swój głód mogą zaspokoić także gdzie indziej, ale w gruncie rzeczy postępują jak ludzie - idą stadem i próbują zabierać, co im się po drodze nawinie.

Najbardziej wilczy instykt ma Siemion. Najciszej wysuwa się z namiotu. Drapiąc po łbie renifera, który trwożliwie się do niego przyciska, podsuwa się powoli do wilków, aż spostrzeżga warowanie cieni. Jego dłoń daje pozostałym znak, by trzymali się nieco z boku. Obie strony czyhają na siebie. Długo trwa, zanim pada pierwszy strzał. Myśliwy niechętnie niszczy nawet wilczą skórę, dlatego strzela w głowę.

Czterem tak dobrze uzbrojonym mężczyznom nie grozi niebezpieczeństwo ze strony wilków płowych, ale muszą zapobiec ucieczce reniferów, które mogłyby potem zostać rozszarpane. Groźnie robi się dopiero, kiedy wiatr niesie zapach krwi.

- Piotr, ty uważaj na zwierzęta!

Każdy ruch musi być wykonany bez pośpiechu. Forell wyraźnie słyszy bicie bojaźliwych serc zwierząt. Przemawia do reniferów.

- Przecież nic się nie może stać, kiedy pozostaniecie koło mnie. Przyciśnijcie się do mnie! Cóż może te dwadzieścia wilków przeciw czterem mężczyznom i przeciw wam? Naturalnie! Przecież się nie boicie. Nie.

Pada strzał i jeden z wilków wyje przeraźliwie. Jeszcze jeden strzał.

- Same sobie zaszkoździecie, jeśli uciekniecie. Ten jest już martwy. Tak, śmierdzi. Wilki śmierdzą paskudnie. To prawda. Ale martwy wilk nic wam już nie zrobi.

Znów strzał.

Wilki wydają się głodniejsze, niż oczekiwali.

- A jakie tchórzliwe są te wilki! Oczywiście, wy też jesteście strachliwe. Nie chcę wam niczego ujmować. Ale musicie być tak strachliwe, że będziecie nadal stać. No więc!

Znów strzał, i jeszcze jeden.

Musiał paść przewodnik, bo reszta stada po trzygodzinnym oblężeniu wycofuje się. Myśliwi o brzasku chętniej przygotowaliby coś na śniadanie, niż ściągali skóry z wilków. Nie są wiele warte. Ale skoro na saniach wiozą naprawdę niewiele, dobre i to. Gryzący smród, wstrętny dla wszystkich, tak że wyruszają bez rannego posiłku, ginie szybko, gdy skóry rozpięte na kilku gałęziach zamarzają na twarde szkło. Renifery wciąż jeszcze drżą. Jeśli polowanie wypadnie dobrze, będą musiały przywyknąć do zapachów różnych drapieżników.

Ich niepokój pokazuje myśliwym, kiedy należy zwiększyć czujność. Ludzkie oczy, które po godzinach jazdy w śniegu wszystko widzą jednakowo, nie zauważą być może pierwszego odcisku niedźwiedziej łapy, ale renifery natychmiast zaczną szarpać rzemieniami i rozglądać się dookoła.

Ślady nie są całkiem świeże. Mają dzień. Może dwa. Czy oplaca się za nimi podążać, tego czterej myśliwi nie wiedzą ale próbują. Niedźwiedziowi przychodzi łatwiej podejść w górę wąskiej przecinki niż człowiekowi, który dla swych sań potrzebuje przetartej drogi. Niedźwiedź, jak twierdzi Grigorij, bez trudu odgina na bok grube jak ręka drzewo, żeby otworzyć sobie drogę, a potem pozwala mu wrócić na miejsce. W ten sposób stawia zasłony na drodze, którą szedł, utrudniając poszukiwanie. Czy tak właśnie jest, nie wiadomo. Grigorij dużo zmyśla.

Myśliwi dają się owładnąć zapałowi, bo niedźwiedź to zyskowna sztuka dzikiej zwierzyny i jeszcze po trzech dniach nie rezygnują z tropienia, tym bardziej że ślady stają się wyraźniejsze i mogą mieć nie więcej niż kilka godzin. Forell, który czasem spogląda na kompas, ostrzega Anastasa przed tym tańcem wśród gęstwiny, bo zdaje mu się, że od kilku dni, ogłupiali od niedźwiedzich śladów, chodzą w kółko, mordując się bez sensu odkładaniem na bok drzew, żeby sanie i renifery miały przejazd. Nikt nie zaprzecza słuszności opinii Forella, ale też na nią nie reaguje, nawet on sam właściwie nie chce rezygnować z tropienia niedźwiedzia. I gdy wreszcie myśliwi po kilku dniach trafiają na miejsce, które wydeptane jest jakby w ciągłej zmianie starych i nowych śladów, zapał przeradza się w pasję.

Z namiotem i saniami mężczyźni chowają się na noc pod zaroślami w kształcie podkowy, uważając, by ślady ich kroków nie krzyżowały się ze śladami niedźwiedzi. Żeby renifery zatrzymać jak w zagrodzie, chętnie wbiliby kilka belek i położyli je w poprzek otwartej strony miejsca obozowania, ale rozsądniejsze wydaje im się unikanie wszelkiego hałasu. W pobliżu wydeptanej ścieżki śladów Anastas umieszcza swych uprzywilejowanych towarzyszy polowań z poprzednich zim, a Forellowi każe pilnować reniferów koło namiotu. Niemiec nie jest zadowolony, ale wobec gwałtowności kogoś takiego jak Anastas, musi ulec. Zostaje w namiocie i czasami robi bezgłośnie swój obchód, czekając, aż usłyszy strzał.

Towarzysze polowania stoją dobrze ukryci. Jak długo tak wytrzymają to sprawa temperatury. Nie ma tupania dla rozgrzewki. Anastas nakazał całkowity spokój, bez ruchu.

Kwadrans po brzasku Anastas, Grigorij i Siemion przychodzą do namiotu, wszyscy trzech wściekli i tak zmarznięci, że niemal wlewają w siebie gorącą herbatę Forella.

- Gównno!

- Nic nie przyszło pod lufę?

- Gównno! - wrzeszczy Anastas i najchętniej walnąłby Forella kolbą w łeb. - Może myślisz, że spałem? Całą noc czuwałem, żeby zobaczyć, jak już się zrobiło jasno, co niedźwiedzie mają nam do pokazania. Przez całą noc żadnego dźwięku, żadnego kroku, żadnego niedźwiedzia. Ale jak myślisz, co się stało? Dziesięć metrów ode mnie, na wprost, niedźwiedź posadził swoje łajno, dokładnie na wydeptanej ścieżce.

- To może być z wczoraj - próbuje pocieszać Forell.

- Z wczoraj? - szaleje Anastas. - Czy coś takiego na Syberii trzyma ciepło przez cały dzień?

Przespawszy tylko kilka godzin, przeczesują koło południa las i skały. Poszukują tropów w dół i w górę, żeby odkryć jakąś jaskinię albo kryjówkę i nigdzie nie mają szczęścia, żeby natrafić na niedźwiedzia. Wiedzą tylko jedno - przynajmniej jeden z niedźwiedzi rano albo wieczorem chodzi tą ścieżką i tej nocy znów wystawionych będzie trzech ludzi, żeby go spotkać. Byłoby niesprawiedliwe skazywać Forella dwa razy na tabor.

- Piotr! Dziś idziesz z nami! Grigorij zostanie przy renach. Anastas, Siemion i Forell ostrożnie zajmują swoje miejsca późnym wieczorem, doświadczając, jak przeraźliwie długie stają się zamrożone godziny, kiedy wokół nie ma nic, tylko ziąb i czas, który nie może upływać, bo też zamarzł.

Wieczorem nie przychodzi żaden niedźwiedź. Nocą także. Pewnie rano znów pójdą do namiotu, nawet nie zobaczywszy niedźwiedzia. Forell zazdrości naczelnikowi złodziei spokojnej nocy w ciepłym namiocie.

Grigorij jest wściekły, bo skazano go na nocną wartę. Najpierw śpi trzy godziny, a potem robi małą rundę wokół zwierząt, które wczoraj miały niewiele mchu i z głodu są niespokojne.

Może być koło drugiej w nocy.

Grigorij idzie do zwierząt, jednak nic niepokojącego się nie dzieje. Reny są na pewno tylko głodne. Mężczyzna wraca i kładzie się do swego futrzanego śpiwora.

Dlaczego znowu wstaje, niejasne jest dla niego samego. Nie można, do diabła starego, trzymać sześciu reniferów w takiej małej zagrodzie, należałoby pozwolić im paść się dłużej niż tylko kilka godzin.

Kiedy drugi raz opuszcza namiot, ma przez ramię przewieszony długi nóż, ale karabin wisi w namiocie na rzemiennej pętli.

Odgłos kroków długo jest niesłyszalny, bo renifery są głośniejsze niż zazwyczaj. Po chwili jednak Grigorij widzi zawiniętego w swoje futra i oglądającego się za siebie Anastasa.

„Anastas!” - chce mówić Grigorij, ale już nie powie.

Człowiek robi się nagle mniejszy i szerszy.

To niedźwiedź, chociaż nie tak duży, jak sobie Grigorij wyobrażał. Z badawczą ciekawością stoi wyprostowany i właśnie chce się powoli opuścić na przednie łapy, gdy mężczyzna nie mówiąc ani słowa i nie wydobywając z siebie żadnego dźwięku, klepie go w ramię.

Niedźwiedź jest tym spotkaniem nie mniej przerażony niż człowiek i jakby zdziwiony unosi się w obrocie. Grigorij sięga ręką do noża i sam się dziwi temu, że w ułamku sekundy jeszcze zastanawia się, jak wykonać pchnięcie, żeby trafić w serce.

Do powrotu trzech myśliwych z kolejnej nieudanej zasadzki mija jeszcze trochę czasu. Siemion, który pierwszy zbliża się do namiotu, widzi Grigorija i czarnego niedźwiedzia leżących przed wejściem do namiotu. Niedźwiedź, już martwy i stygnący, jest tylko trochę oddalony od człowieka, a śnieg wokół naznaczony jest krwią. Grigorij krwawi po lewej stronie twarzy i zdaje się być jedynie nieprzytomny.

Nie potrafi opowiedzieć, co mu się przytrafiło. Dopiero kiedy w śniegu znajdują nóż, przypomina sobie z trudem, że zobaczył Anastasa stojącego przed namiotem i klepnął go w ramię dla zaczepki. Ciosu nożem już nie pamięta. To, co tak gwałtownie odznaczyło się na jego twarzy, mogło być policzkiem wymierzonym błyskawicznie przez przestraszonego niedźwiedzia. Uderzenie łapą na szczęście nie całkiem trafiło.

Grigorij może jeść dopiero po kilku dniach, ale znosi to z rozkoszą, bo cały czas pławi się w słońcu podziwu, jako że nie tylko napotkał w obozie niedźwiedzia, czego inni nie dostąpili, ale też zabił go nożem. Wielkimi słowami opowiada o przerażającym piekle, jakie przeżył. Zwyczajna prawda byłaby zbyt mało bohaterska. Jednak blask jego chwały matowieje przez to, że w ciągu czterech dni pozostali mężczyźni kładą kolejne dwa niedźwiedzie.

Myśliwi nie są w stanie zjeść tak wiele mięsa, chociaż niedźwiedzie nie należą do szczególnie wielkich egzemplarzy. Tak więc wycinają tylko najlepsze kawałki i zamrożone

pakują na sanie towarowe. Nie chcą zabierać zbyt dużego ładunku, ponieważ drogi są ciężkie. Trudności w czasie jazdy świadczą o tym, że grupa w ostatnich tygodniach odniosła tak niespodziewaną korzyść, bo przypadkowo weszła w obszar, który z rzadka tylko nawiedzany jest przez myśliwych. Wciąż nowe przeszkody sprawiają jednak, że mężczyźni zastanawiają się nad opuszczeniem tego obszaru.

- Trzeba - mówi Anastas - na sprawę spojrzeć właściwie i możliwie jak najdalej przejść przez kraj.

Mówi to, spoglądając z boku na Forella, ale Niemiec, jeszcze przed pół rokiem spragniony powrotu do domu, odkrywa w sobie ochotę do zyskowej przygody polowania i im większy staje się stos niegarbowanych skór na saniach z poczwórnym zaprzęgiem, tym mniej czuje ziąb, obcość, zagrożenie i beznadziejność. Najwidoczniej nie da się zrobić tak, by mieć zdobycz, a jednocześnie pokonywać drogę w sensownym kierunku.

Wszelkie rozczarowania z początku zimy przestają się liczyć, kiedy w jednym tygodniu można ściągnąć skóry z dziewięciu lisów, a myśliwskie szczęście okazuje się coraz bardziej szczodre. To powodzenie trzeba jednak wydzierać losowi nadludzkimi męczarniami. Drogi są coraz podlejsze. Pewnego dnia przed czterema mężczyznami otwiera się strome urwisko, za którym nie ma żadnej przejezdnej drogi. Na prawo wspinanie się nawet z lekkim obciążeniem jest niezwykle trudne, a na lewo są tak gęste zarośla, że przejście przez nie z reniferami i saniami jest prawie niemożliwe.

Leśni włóczędzy ruszają. Udaje im się przedrzeć kilkaset metrów w górę. Wtedy renifery i ludzie ulegają pokusie, żeby wykorzystać nieporośniętą powierzchnię i szybko pokonać sześćdziesiąt wiorst w dół, gdzie martwe kamienisko zastępują pokryte śniegiem mchy tundry. Niebawem jednak znów stoją na bezdrożu i zaczynają wątpić, jako że zaczął się marzec, iż kiedykolwiek wydostaną się z tej matni żywi.

Trzej kompani i Forell z zaprzęgiem oraz ładunkiem mozolnie posuwają się do przodu. A może nie do przodu, lecz po wymuszonym kole? Nie chodził tu chyba jeszcze żaden człowiek. Po niejakiem czasie do niebywale męczącej drogi dołącza nowe utrudnienie - z cisy porośniętych lasem uskoków górskich nadchodzi chłoszcząca burza śnieżna.

Zimno daje się znieść pod dobrymi futrami, ale burzy śnieżnej nikt długo nie przetrzyma. Żaden z mężczyzn nie waży się przyznać przed drugim, że jeśli pogoda się nie zmieni, to pozostało im niewiele, może kilka dni życia. Tu już nie ma polowania. Z takiej okolicy ucieka nawet zwierzyna.

W tych dniach reny znów stają się ratunkiem. Ludzie muszą zastrzelić jednego i już zastanawiają się, kiedy zrezygnują z sań. Renifery szukając paszy, rozbijają kopytami

naniesioną wiatrem szreń. W miejscach, gdzie wyczuwają mech, wymuszają postoje. Myśliwi w śnieżnym chaosie próbują stawiać namiot chroniący ich nocą przed burzą a potem nasłuchują czy wiatr nie porywa go razem z nimi.

Znajdzie ich zapewne jakaś zabłąkana grupa, która przyjdzie w te okolice. Krótkie lato odsłoni nieznanne ciała. Syberyjski los. Dawniej jakimś odważnemu nieszczęśnikowi mogła przypaść w udziale wieczna pamięć i kawałek syberyjskiej mapy nazwano jego imieniem. Te czasy minęły.

Dobrze, że w targanym przez burzę namiocie nie da się nawet przypalić machorki, bo inaczej każdy by znalazł w oczach drugiego przerażającą pewność, że nadzieja już zgasła. Ogień zapalą znów jutro, może w jakiejś osłoniętej muldzie, żeby upiec na nim kawałek zamrożonego mięsa. Na dziś musi wystarczyć coś z worka podróżnego.

Jutro znów rozpalą ogień. Chyba że odmrożone dłonie nie zdołają go skrzesać.

Jeśli nie jutro, to pojutrze. Jeśli nie rozpalą to umrą.

Któregoś jutra lub pojutrze porzucą jednak myśl o umieraniu i znów myślą o rozpaleniu ognia.

Wychudzone renifery wyszukują drogi i ślad sań na nowo biegnie wśród drzew. Tam, gdzie rosną gęsto drzewa i kraina nie leży już tak wysoko, burza zadaje się tylko wiatrem, który zgina pozbawione igieł wierzchołki.

Ludzie i zwierzęta są u kresu sił. Gdy Grigorij, czując, że są uratowani, chce się śmiać, odmrożone policzki formują jedynie grymas na jego twarzy. Potem staremu złodziejowi płyną łzy. Anastas mówi mu, że powinien się wstydzić, jeśli nie potrafi już znieść odrobiny wiatru. Siemion i Piotr milczą - Siemion, ponieważ znów wierzy w życie, a Forell, ponieważ jest za słaby, żeby wiedzieć, iż odtąd znów możliwe jest coś więcej niż umieranie.

Kiedy rozpalają ogień, o którym dostatecznie długo marzyli, a zwierzęta zaczynają jeść, Anastas mówi:

- Zima minęła - brzmi to jakoś niewyraźnie, bo jego wargi zrobiły się zbyt niezgrabne od ciągłego marznięcia - i musimy patrzeć, żebyśmy dobrze zeszli w dół, jeszcze póki lód na rzekach, i z ostatnim śniegiem dotarli do jakiejś miejscowości, do miasta, gdzie odbierają futra. Jesteśmy bogatymi ludźmi.

Podzielone na czterech myśliwych, jak Forell przeliczył, nie będzie to akurat wielkie bogactwo. Ale do jakiejś wsi lub do miasta muszą się udać, nawet bez propusku, zaopatrzeni tylko w listę wyposażenia myśliwskiego, która jest przecież dostateczną legitymacją bo nosi podpis towarzysza Lederera. Jego podpis załatwił im wyposażenie. Jego nazwisko ważne jest w całej Syberii.

Zanim jednak mężczyźni zejną niżej, do ludzi, odpoczną kilka dni. Zwierzęta też tego potrzebują. Na dłużej nie pozwala pora roku. Śniegu jest coraz mniej, a wtedy sanie ślizgają się na brzuchu i ciągnięcie jest dla reniferów ciężką pracą.

Anastas popędza kolegów, którzy nie chcą jeszcze iść i nie zamierzają związać ani namiotu, ani futer.

- Pamiętajcie o tym, że to niebezpieczne! Jutro musimy ruszyć.

- Tak. Jutro.

Cokolwiek Anastas mówi, ginie w próżni, bo ludzie są jak okaleczeni i z wyczerpania nie chcą się zbudzić. Zmęczenie staje się groźne.

Rozliczenie wyników zimowego polowania będzie równocześnie rozliczeniem ludzkiej egzystencji. Może się zdarzyć, że ciekawscy w bazie myśliwskiej zechcą dowiedzieć się więcej, a nie tylko poznać różnicę między zdobyczą a wyposażeniem. Wtedy mężczyźni powiedzą, że wszystkie papiery zaginęły, z wyjątkiem listy podpisanej przez Lederera. Jeśli się powiedzie i liczba futer zrobi mocne wrażenie, może znajdzie się w komendanturze jakiś pisarz gotów wystawić nowy dowód każdemu z nich. Ale najpierw musi się jeszcze znaleźć nadmiernie zajęty komendant, który pospiesznie podpisze odbiór.

Na to liczy Anastas. Dlatego naciska, żeby jechać dalej. Pozostali nie mającego beczelnej odwagi i chcąjeszcze przeciągnąć swoje leniwe życie.

Mężczyźni nabrali myśliwskich nawyków. Z miejsca biwaku robią obchody na odległość osiągalną za dnia, żeby upolować jeszcze kilka zwierząt i równocześnie rozeznaczyć, jaki kierunek najkorzystniej utrzymać w czasie dalszej jazdy. Żaden nie wie, gdzie w tej chwili obozują. Długotrwałe burze utrudniają rozpoznanie. Przyroda o tej porze roku pozwala sobie na takie zjawiska jedynie tam, gdzie jest morze. Ale wędrówka w stronę morza z pewnością doprowadzi do spotkania z ludźmi. Jeśli ci ludzie okażą się surowymi egzekutorami sowieckiego porządku, zima może się dla nich zakończyć za grubymi kratami. Gdy tylko Anastas zaczyna mówić o ewentualnym spotkaniu z władzami, Siemion i Grigorij widzą te grube kraty. Ich zdaniem zdobycz należy sprzedać nielegalnie, nawet gdyby zysk z tego był mniejszy. To rozwiązanie przemawia także do Forella. Oznacza wędrowanie z dala od ludzi, co w jego przypadku jest korzystne, ponieważ słaba znajomość języka rosyjskiego demaskuje go. Niemiec przeciąga Siemiona i Grigorija na swoją stronę, tłumacząc im, jakie skutki grożą wszystkim, nawet gdyby podejrzenia wysuwano tylko wobec niego.

Mężczyźni muszą podjąć decyzję, dokąd jechać. Anastas jest za kierunkiem południowym, podczas gdy trzej pozostali są zdania, że należy trzymać się bardziej na

zachód, możliwie daleko od morza. Trzeba iść w stronę wielkich rzek, które potem określą nowy kierunek.

Po sprowadzeniu reniferów, kiedy namiot jest złożony, Grigorij stwierdza, że jednego z nich nie da się zaprząć. Zwierzę opada na kolana i mimo poganiania leży obojętnie. Po tym wszystkim, czego wymagali od zwierząt, jego stan nie może dziwić. Żaden z mężczyzn nie zna się za bardzo na renach, ale dyszenie, zwieszenie języka i nadchodzące wraz z falami bólu podciąganie tylnych nóg do ciała nie pozostawiają wątpliwości, że to bliski koniec.

- Zrób to ty! - mówi Anastas do Forella. - Ty masz pistolet. Forell nie potrafi. Już niejedno zwierzę pociągowe dobijał strzałem, ale zabicie wiernego renifera po takich ciężkich tygodniach, które wszyscy mogli przetrwać tylko z pomocą zwierząt, jest dla niego niemożliwością. Niech to zrobi Siemion. Ale Siemion jest tak blady, jakby sam właśnie został skazany na strzał w potylicę. Grigorij, któremu Anastas podaje flintę, żeby z całkiem bliskiego dystansu umieścił ładunek śrutu pod porożem, robi to posłusznie, gdyż boi się Anastasa. Potem płacze, aż łzy płyną mu widocznymi strumieniami do brody. I płacze jeszcze, kiedy inni już od dawna radzą, jak się podzielić dodatkowym ciężkim ładunkiem skór. Renifer, którego czaszka tak się rozpekła, że szeroko otwarte oczy zdają się ciągle żyć, leży przed Grigorijem, który nie może odwrócić wzroku.

- Grigorij i Piotr weźmiecie małe sanie i jednego rena. Jeśli coś się zdarzy, jeden człowiek sobie nie poradzi, dlatego będziecie dwaj. Cały ładunek zostanie przeładowany z małych sań na duże. Ja z Siemionem pojedziemy na saniach z ładunkiem w wolniejszym tempie.

We wspólnocie myśliwych Forell ma najmniejsze prawa. Nie może się bronić przed decyzją. Grigorij przyjmuje wszystko obojętnie.

- Stale trzymać się naszych śladów! Wieczorem rozstawimy namiot, zanim przyjedziecie. Stale po naszych śladach!

Anastas wybiera niezbyt trudną drogę i rozmyślnie zapuszcza się w objazdy, żeby następne sanie nie zostały po drodze. Pomimo tego Forell, który nie potrafi tak dobrze obchodzić się z reniferem jak Grigorij, musi czasem schodzić z sań i iść piechotą po śladach. Dopiero jak droga zaczyna opadać, znów może wsiąść i jechać. Wtedy przez jakiś czas mężczyźni siedzą obok siebie i snują rozważania, jak całe myśliwskie przedsięwzięcie rozpadłoby się, gdyby renifer musiał być zastrzelony na początku zimy.

Jeszcze nie zapadła całkowita noc, gdy Anastas i Siemion stawiają namiot. Miejsce jest przyjemnie ciche. Nie jechali tak całkiem powoli, wiedząc, że potrzebują dużo czasu, by umieścić namiot na belkach, obciążyć go dookoła, a potem naznosić drewna na ognisko.

Jest już przynajmniej dziesiąta, kiedy opieczony kawałek mięsa wywołuje u dwóch mężczyzn niezdecydowanie, czy mają jeszcze czekać z jedzeniem na Grigorija i Piotra. Anastas robi w mięsie długie nacięcia, aby w pieczeniu rozerwało się głębiej, kosztuje z odciętego paska i chce soli.

- Przecież już wystarczająco nasoliliśmy - uważa Siemion. - Nie. Mięso smakuje jeszcze mdło.

- To była reszta mojej soli.

- Grigorij zawsze ma w tajemnicy nieco soli w swym worku. Otwórz i poszukaj! Nie mogę teraz przeszukiwać sań za naszym woreczkiem soli.

Siemion przynosi bagaż Grigorija i zaczyna w nim przewracać.

- Zabiłby nas, gdyby wiedział, że grzebiemy w jego spiżarni.

- Grigorij wszystkich ma za złodziei. Tylko nie siebie. Każdej nocy, o ile wiem, spał na tym worku. Niewygodna poduszka.

- Nie ma soli.

- No to pilnuj, żebyś wszystko schował w worku według porządku Grigorija!

Wtem Siemion gwizdże przez zęby.

- Co tam? - pyta Anastas.

- Chodź tu!

Anastas obchodzi ognisko.

Kiedy Siemion kładzie mu brudne zawiniątko na rękę, on także gwizdże przez zęby. Dłoń mu opada. Tak ciężki jest tylko kamień, a kamienia Grigorij ze sobą nie nosi.

- Otwórz!

- Nie da się. Materiał jest nie tylko zasnurowany rzemieniem lecz i zaszyty. Jeśli rozpruję szew, jutro rano Grigorij będzie wiedział, że byliśmy ciekawi.

- Będzie lepiej, jeśli jak najszybciej wszystko odniesiesz na miejsce. Jadą.

W krainie bez ludzi wie się zawczasu, że ktoś się zbliża. Człowiek ogłasza się już z dużej odległości przez niewidoczne i niesłyszalne znaki. Dopiero później coś słysząc, a na końcu widać. Anastas wie, że zbliżają się sanie. Siemion słyszy je po pewnym czasie i kiedy renifer ciągnie mozolnie sanie pod lekkie wzniesienie, worek z zapasami Grigorija leży znów zagrzebany pod innymi rzeczami.

- Macie łatwo - mruczy Forell. Siemion uśmiecha się.

- Macie jeszcze łatwiej i możecie się od razu przysiąść do jedzenia. Szybko zwolnijcie zwierzaka z uprzęży! Głodni jesteśmy od rozstawiania namiotu, od przynoszenia drewna i od topienia śniegu na herbatę. A jak wam szło po drodze?

Późni przybysze są mrukliwi.

Robią się weseli w momencie, kiedy Anastas wyjmuje blaszaną butelkę z zapasów. W najgorsze dni nie wyciągał wódki, bo jest zdania, że tylko mami, jeśli człowiek sądzi, że w najniebezpieczniejszych sytuacjach może się nią odświeżyć.

- Potem nadchodzi śmiertelne zmęczenie - mówi. - A na bycie zmęczonymi możemy sobie pozwolić dopiero teraz.

- A możemy teraz?

- Mam nadzieję, że możemy.

- Na dłuższą metę nie da się ciągnąć tego małego teatru. Mam dość.

- Dajmy sobie jeszcze tydzień czasu! Wtedy będziemy mieli gotówkę.

- Bardzo dużo zależy od tego, w jakiej walucie ludzie będą płacić.

- Poglówne - uśmiecha się Siemion.

- Zagłówne.

Anastas uważa, że dużo zależy od tego, jak zachowają się towarzysze.

- Potrzebujemy papierów, żeby znów znaleźć się w miejscu, w którym przed laty przestaliśmy być.

- Przecież znajdziemy kogoś, każdy innego łapownika, kto wystawi fałszywy propusk, a będzie on tak prawdziwy, jak tylko mogą być fałszywe papiery.

- A wy wciąż z tą przekupnością! - Anastas wścieka się, kiedy tylko poddaje się w wątpliwość czystość reżymu. - Przekupstwo spowodowało zawalenie się systemu carskiego i nasi ludzie nauczyli się, że nigdy nie może do tego dojść.

- Gdy tylko my, każdy na swój sposób, dostaniemy nasz propusk, system może stać się tak prawy i grzeczny, jak to sobie wyobrażasz! - Siemion też umie się wściec. - Ileż korupcji doświadczyliśmy w kopalni złota! Połowę twojego żarcia brali paserzy, tak samo jak naszego, Anastas.

- Cóż ty możesz o tym wiedzieć!

- Dostawaliśmy gówna. Zgniłe ryby, wszystkie tak nieapetyczne, jakby już raz wyrzygane. Gdy były pieniądze na baraki mieszkalne, to te psy kupiły za to coś innego, a my znów musieliśmy przez zimę mieszkać w namiotach.

- Wypraszam sobie!

- Wypraszaj sobie, kiedy znów utkniesz w kopalni! Czy spotkałeś chociaż jednego uczciwego człowieka?

- Lederer.

- Lederer jest, jak go poznałem przez kilka godzin, krwiożerczym okrutnikiem. Prawy i czysty, tak jest, ale wszystko w podły sposób.

- Zadbał o to, żebyśmy dostali pełne wyposażenie myśliwskie.

- Tygrysowi, kiedy jest syty, sprawia przyjemność z dziesięć razy podrzucić dziką owcę, zanim jej łapą złamie kark. Lederer był akurat syty, kiedy mu wpadliśmy w ręce. Być może w sobotę wieczór zjadł dwunastu albo dwudziestu naszych dawnych towarzyszy pracy. Po takich zabawach te złośliwe zwierzęta stają się tak podstępnie ludzkie, że pomagają kilku głupim myśliwym zaprząć renifery. Wszystko tylko z wesołym zamiarem załatwienia czterech myśliwych po powrocie. Łapą w kark.

- Przecież nie jesteśmy dość głupi, żeby zameldować się na powrót akurat tam, skąd wyruszyliśmy.

- No to ze mnie musicie zrezygnować - mruczy pod nosem Grigorij. - Kupię sobie fałszywy propusk i będę potem znów żył jak człowiek, jako kupiec futrzany albo co.

- Jeśli potrafisz przestać kraść.

- Kradnę tylko dlatego, że oni wszyscy kradną.

- Zamknij pysk!

- Nie chcesz tego słyszeć. Wśród tych facetów spotkałem więcej złodziejstwa, niż słyszy się opowieści w więzieniu, gdzie siedzi stu złodziei.

- Grigorij ma rację - dorzuca Siemion. - Te typy, które w płucce złota trzymały nas w karchach, były tak diabelsko złe, że w porównaniu z nimi my, skazani, byliśmy jeszcze delikatni. Tu czy tam dostaliśmy premię, kiedy przez miesiąc cały wyszarпалиśmy więcej niż normę. Pół kilo chleba dziennie więcej. Za większe kawałki złota też miały być premie, zależnie od wagi. A co dostawaliśmy? Pół butelki rozwodnionej wódki zamiast trzech butelek pełnowartościowej. Potem te grube kawałki, kiedy pojawił się taki egzemplarz, jakieś osiemset gramów, zsypywaliśmy z rumoszem. Niech oni też nie mają tego złota, skoro byli tacy wredni i skorumpowani!

Chyba jeszcze bardziej wredna niż metody traktowania ludzi w kopalniach złota jest metoda wódki i kłótni, za pomocą której Siemion i Anastas chcą wyciągnąć tajemnicę worka kolegi. Grigorij jest zwykłym lumpem, być może wartym tylko szczypty prochu, jaką system gotów jest zapewnić każdemu obywatelowi, przystawiając mu nagan do podstawy czaszki, ale nie jest aż tak głupi, jak myślą pozostali. Udaje pijanego od chwili, gdy rozmowa dotyczy złota.

Siemion i Anastas chcą doprowadzić Grigorija do gniewu i wydobyć z niego jakąś wskazówkę. Obaj grzebali w jego bagażu, odkrywając bryłę złota, którą do dziś udawało mu się trzymać w tajemnicy.

Dlatego wódka.

Dlatego te docinki.

Trzeba będzie się rozstać.

Ilekoć blaszana butelka dociera kołem do Grigorija, ten zwilża sobie nią jedynie wargi i udaje rozsmakowanego pijaka. Jeśli towarzysze od wódeczki mają swoją przyjemność z głośnego śmiechu, to i on śmieje się rubasznie. Jeśli zależy im na kłótni o prawość systemu, chętnie też się pokłóci. Ale nigdy, choćby nie wiem jak często podawali mu butelkę, nawet nie wspomni o sporej grudzie złota. On nic nie wie. Jest przecież głupi. Zresztą nie umie sobie już tak dokładnie przypomnieć szczegółów niewolniczej pracy przy złocie.

Wódka w blaszanej butelce starcza dziwnie długo, bo poza Piotrem nikt przecież nie żłopie.

Następnego ranka Forell budzi się z ciężką jak ołów głową jest mrukliwy i wymyśla Grigorijowi, który od jednego renifera oczekuje, że pociągnie jeszcze dwa dodatkowe worki podróżne. Już wczoraj renifer szedł źle. Obie przednie nogi ma poranione od zamrożonego śniegu. I stawia kroki bardzo ostrożnie.

- Zwariowałaś, Grigorij. Tak nie ruszymy z miejsca.

- Jesteś pijany, Piotr. Nie pije się wódki jak wodę.

- Zostaw rzeczy u tamtych!

- Nie, Piotr. Jesteś głupi, ale jesteś moim przyjacielem. Kiedy umrę, w testamencie będzie napisane, że po mnie dziedziczysz.

- Twój spadek? Dzięki!

- Oooch, Piotr! Mogłoby się opłacić.

- Nasz renifer nie pociągnie już długo.

- Obawiam się nawet, że mu się coś przydarzy. Miałeś kiedyś takie małe narty. Bardzo praktyczne. Dlaczego ich już nie masz?

- Nie były wiele warte.

- Ale twoja kandra tnie dobrze? To uważaj, żeby ci nigdy nie wypadła z pochwy! Ile masz amunicji?

- Najwyżej dwadzieścia naboju śrutowych.

- To dobrze. Ja, na wszelki wypadek, zabezpieczyłem się lepiej.

- Co z tobą Grigorij? Powinieneś wczoraj mniej chlać.

- Stawiam ostatnią koszulę, że dziś wieczorem nie natkniemy się już na Anastasa i Siemiona, choćbyśmy jechali do samego rana. Możesz postawić przeciw trzy szczypty soli.

Grigorij jest w błędzie. Kiedy docierają do obozu, choć dopiero w całkowitej ciemności, znajdują wszystko jak zwykle.

Namiet postawiony, koledzy w złych humorach, kawałek mięsa zatknięty nad ogniem, ognisko przypilnowane i legowisko na noc przygotowane. Zły humor jest prawdziwy. Co się przydarzyło za dnia tym dwóm? Forell na podstawie dziwacznych rozmów Grigorija przeczuwa jedynie, że ten wietrzy niebezpieczeństwo. Sam Grigorij, wychowany nad mętłą wodą, ma każdego przyjaciela i kolegę za zdolnego do rzeczy, które sam miewa w zwyczaju. W każdym razie wydaje się, że cały dzień był wypełniony kłótnią między Anastasem a Siemionem. I ta kłótnia pobrzmiwa jeszcze w nastroju przy ognisku.

Kiedy Anastas wyciąga blaszaną butelkę, by zaproponować swą dotąd starannie strzeżoną wódkę, Siemion odmawia. Grigorij jak poprzedniego wieczoru zwilża sobie brodę, podając butelkę dalej. Tylko Forell pije. Renifery pasą się gdzieś dokoła, podchodząc czasem bliżej do ogniska, do ponurych ludzi.

- Kładę się spać - burczy Grigorij, podchodzi z głośnym ziewaniem do małych sań i wyciąga worek.

- Piotr, wniosę od razu twój worek do środka.

- Dzięki.

Anastas, Siemion i Forell zostają i siedzą milcząco przy ogniu. Ceremoniał chodzenia spać jest znany. Grigorij gwizdże. Pozostali trzej wiedzą aż za dobrze, że mu nie do gwizdania. Ponieważ i tak żadna rozmowa się nie klei, wszyscy po kolei idą spać.

- He, Grigorij! Posuń się! Nie potrzebujesz połowy namiotu tylko dla siebie.

To zwykły ton. Forell nie bierze swarów zbyt poważnie. Za osiem albo dziesięć dni będzie tam, gdzie trzeba. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, rozstaną się. Jeśli pójdzie źle, tak czy owak pozostaną razem, oczywiście w nędznych warunkach. Na razie lepiej jest spać niż się kłócić. Worek podróżny przydaje się na poduszkę.

Tylko Grigorij śpi bardzo płytko i budzi się, kiedy któryś z kolegów mocniej chrapnie. Ręce ma splecione na worku. Leży i patrzy w ciemność. Myśli, jakie go męczą są proste. Dlaczego braciszkwowie musieli poznać jego tajemnicę? Wszyscy byli dobrymi kumplami, Siemion nie mniej niż Anastas, nie mówiąc już o Piotrze, który zawsze posłusznie wykonywał to, co dwaj pozostali robili niechętnie. Teraz nagle jest to nieważne, ponieważ ma kawałek złota, który wyłowił w napływającej wodzie i odłożył na bok. Dopiero od tej chwili ucieczka stała się sensowna i z widokami na powodzenie. Gruda złota ma mu otworzyć drzwi do życia,

jeśli przemyci ją do ludzi. Oni tę bryłę wymienią na rzeczy, których zaoferowanie może przekonać sumiennego zazwyczaj urzędnika do wypisania propusku na nowe nazwisko i nowe życie. Mógłby to być bardzo dobry propusk, a jego posiadacz mógłby równocześnie stać się znaczącym człowiekiem. A kiedy Grigorij będzie miał już stanowisko o jakimś znaczeniu, stracone złoto dość szybko znów się pojawi. Ale teraz kumple od polowania chcą mieć jego bryłę złota i najwidoczniej cały dzień kłócili się o to, kto ją dostanie, jeśli jemu, Grigorijowi, coś się przydarzy. Okolica jest tu paskudna, człowiekowi łatwo może stać się krzywda, żeby nie wiem, jak głośno wołał o pomoc. Najbliższy człowiek oddalony jest o jakieś sześćset wiorst. A nawet jeśli jest bliżej, zwierzęta też krzyczą i często ich głos podobny jest do ludzkiego.

Rano o zwykłej porze zbierają namiot, mocując to, co posiadają, na dużych saniach. Anastas bierze Grigorija na stronę. Człapią każdy z przewieszoną flintą kawałek w bok, jakby wybierali się na lisa. Ranek jest dość mglisty.

- Muszę z tobą pomówić, Grigorij.

- Lepiej było zrobić to koło namiotu.

- Lepiej tu. Nie muszą nas słyszeć.

- Nie mamy tajemnic.

- Poza bryłę złota w twoim worku. Siemion o tym wie. Grigorij wzrusza ramionami, żeby wszystko to nie wydało się tak ważne.

- Czy Siemion nie pracował w tej samej płuczce co ja, w tej samej brygadzie, w tym samym gównie, oszukiwany przez tego samego brygadzystę na premii, kiedy miesiącami złoto szło tak obficie jak nigdy?

Anastas przemawia mu do rozumu.

- Co myślisz o podziale, Grigorij?

- Podzieliliśmy dokładnie wszystko, co razem zdobyliśmy, odrobinę naszego wypłukanego złota, wymienione rzeczy, futra. Podzielimy oczywiście także trofea myśliwskie z tej zimy. Wszystko, co zdobyliśmy razem. Ale ta mała rzecz w worku należy do mnie.

- Tak być nie może.

- Dokładnie tak może być.

- Wszystko należy do nas wspólnie. Tylko Piotr jest wyłączony. On przyszedł do nas później i nic mu się nie należy, poza pokotem z tej zimy. Piotra musimy tak czy inaczej odsunąć przy najbliższej okazji. Jest dla nas tylko obciążeniem.

- Ja teraz jestem dla was tym samym co Piotr - obciążeniem. Piotra moglibyście przy okazji zostawić i dać mu zginąć. Ze mną nie jest to takie łatwe. Co chcecie zrobić? Zastrzelić

mnie? Ograbić i zostawić bez niczego w śniegu? Naradzaliście się przez cały dzień i z pewnością już to ustaliliście. Kto musi strzelić do mnie? Ty czy Siemion? Przecież tak rozumiesz ten podział?

Zazwyczaj łatwo wpadający w gniew Anastas jest zadziwiająco spokojny. Patrzy zmartwiony na towarzysza i próbuje mu wyjaśnić, że Siemion jest za prostym rozwiązaniem, za strzałem z odległości dziesięciu metrów. Teraz już poczuł złoto i chce je mieć. Grigorij powinien być rozsądny i przystać na podział!

- Zrozum mnie dobrze. Ja tak samo jak Siemion nie mogę znieść, że wiem, iż w naszych rzeczach jest drogocenna bryła, której nie można podzielić, która właściwie może należeć tylko do jednego. Wyzwoliłeś w nas tą grudą paskudne instynkty. Powiedz przynajmniej, że podzielimy się potem!

- Kupię sobie za to propusk do nowego życia. Na trzy przepustki nie wystarczy. Nie starczy na trzy życia.

- Jeśli nie wystarczy na trzy życia, to twoje będzie tym, na które zabraknie. Siemion uważa, że powinno wystarczyć tylko dla niego. Więc jesteś zbędny. Więc prawdopodobnie ja też jestem zbędny. Musisz zaproponować podział, żeby zapchać Siemionowi gębę. Podział jest przecież z gruntu słuszny.

- Zachowaj te swoje wyuczone gadki dla siebie! To jest komunizm i najbrutalniejszy łajdak będzie miał na koniec żółty kawałek. Jak Siemion chce mnie odstrzelić, dobra. Wtedy nie będę już potrzebował tego żółtego kawałka. Ale spróbuję strzelić wcześniej niż on.

Anastas jest przygnębiony, stoi oparty o drzewo i żałuje, że nie zawiąły ich wszystkich śnieżne burze. Takiego kolegi Grigorij nie zna. Czy Anastas się boi? Takiego Anastasa Grigorij jeszcze nigdy nie widział. Złodzieja Grigorija, taniego łajdaka, któremu płyną łzy, gdy trzeba zastrzelić śmiertelnie chorego renifera, boli serce, kiedy tak wspaniałe męczyzna traci swą gwałtowność.

- Zatrzymaj swoje złoto! - mówi Anastas. - Ja go nie potrzebuję. Jak to obaj załatwicie, ty i Siemion, to wasza sprawa. Nie chodź już z nim na polowanie! Pilnuj, żebyśmy zawsze byli wszyscy razem! Śnieg jest głęboki, a pod wysokimi nawisami płynie latem woda. Zwłoki w tej krainie nie budzą wielkiego podniecenia, jeśli w ogóle je ktoś znajdzie.

Wracają do obozu. Obok pustych mniejszych sań leży renifer z podcięтым gardłem.

Siemion i Niemiec zniknęli. Nie ma sań z poczwórnym zaprzęgiem i plonem całej zimy. Grigorij wrzeszczy jak zwierzę:

- Mój bagaż! Cały mój bagaż! Moje złoto! Siemion i Forell odjechali sami.

- Tę zmięę dobrześmy hodowali - burczy Anastas.

Grigorij szaleje i wrzeszczy, aż chrypcie. Anastas zaś nie zadaje sobie trudu, by go uspokoić, lecz w połamanych gałęziach dookoła szuka takich, z których można by zrobić rakiety śnieżne. Gdyby się miało namiot nad głową dałoby się wyciąć narty biegówki z drewna brzoźowego, wyginając je nad ogniem. Ale teraz można jedynie wypleść rakiety śnieżne, a ze skóry martwego renifera wyciąć rzemienie, by przywiązać je do butów.

Grigorij snuje fantazje, że pobiegnie za reniferami i dogoni je, by zastrzelić Siemiona.

Nagle Anastas podnosi palec. Gdzieś padł strzał. Siemion nie będzie strzelał. A więc w okolicy jest ktoś inny, jakiś obcy człowiek.

- Musisz odpowiedzieć! Jeden strzał!

Grigorij powinien liczyć się z nabojami, ale zaryzykuje jeden strzał.

Po kwadransie obcy jeszcze raz podaje swoją pozycję wystrzałem. Tym razem całkiem blisko. Obaj odpowiadają krzykami. Wtedy przez pofałdowanie terenu z karabinem przy biodrze nadchodzi Niemiec. Człapie tak mozolnie, że Anastas i Grigorij ponownie wieszają na ramionach wzniesione już karabiny. A więc Siemion zostawił też jego. Dla Anastasa pozostaje niepojęte, co Grigorij wyprawia, krzycząc z radości i biorąc Niemca w ramiona, skoro dopiero co go przeklinał. Obejmowanie trwa dość długo, a Grigorij w tym czasie pospiesznie, ale dokładnie obmacuje worek na plecach Forella.

Sprytny jest, stary złodziej. Przeczynał, jak może wyglądać rozwiązanie, jeśli Siemion zechce się urwać i wejść w posiadanie bryły złota. W worku noszonym przez Piotra jest ona najbezpieczniejsza, dopóki ten nie przeczyna, co uratował dla Grigorija.

- Siemion jest łajdak.

- Jestem tego samego zdania, Piotr.

Forell rozumie całkiem dokładnie, co tu jest grane.

- To bydle ma teraz nasze sanie, nasze futra, renifery i wszystko sobie spienięży. Nie mam nawet dwudziestu nabołów, tylko tyle, ile tam było, kiedy Siemion rzucił mi z jadących sanów worek. Życzył mi powodzenia i szczęśliwego powrotu do domu.

- A ty próbowałeś biec za nim?

- Tak. A dokąd by indziej?

Anastas ponuro rozgląda się po okolicy. Potem spogląda jeszcze bardziej ponuro na bagaż Forella.

- Tak. Uważam za słusne, żebyśmy poszli w zupełnie innym kierunku.

- Musimy jak najprędzej napotkać ludzi.

- Nie za wcześnie. Chodź tu, Piotr! Zdejmij skórę z zabitego renifera i wytnij z niej rzemienie. Nie będą trzymały długo, ale nie ma niczego lepszego. My mamy więcej doświadczenia z wyplataniem rakiet śnieżnych. Dalej! Tylko szybko, szybko!

- Przy małych saniach są jeszcze przecież lejce.

- Dobra. Są za grube do naszych celów. Spróbuj wyciąć węższe pasy!

Anastas i Grigorij mają mnóstwo wprawy w wyplataniu rakiet śnieżnych. Po dwóch godzinach każdy jest w nie wyposażony. Nie jest wygodnie iść w taki sposób, zwłaszcza przez dłuższy czas, bo rakiety nie są zrobione idealnie i nogi nie mogą iść blisko siebie. Stawianie stóp w jodełkę męczy, jednak nie tak, jak ustawiczne zapadanie się w wysoko nawianym śniegu. Poza Piotrem nikt nie ma bagażu. Grigorij jest pierwszym, który oświadcza, że poniesie worek przez godzinę. Później niesie go Anastas. A idą bez odpoczynku, bo Anastas pogania. Grigorij sądzi, że rozumie, dlaczego narzucone zostaje takie ostre tempo.

Są podobno wygodniejsze drogi, na których można zrobić sześć wiorst w godzinę. Jednak Anastas wbił sobie do głowy, żeby maszerować przez dość trudny do przejścia i naszpikowany krzakami teren. Nie ma sensu zacierać śladów sześciu rakiet śnieżnych, bo i tak bezcelowe byłoby podążanie tymi śladami na saniach zaprzężonych w poczwórny zaprzęg, jeśli ustawicznie prowadzą pomiędzy gęsto stojącymi przeszkodami lub zeskakują dwa metry w dół ponad skalnym urwiskiem.

Dzień jest zimny, a noc będzie pewnie jeszcze straszniejsza. Piotr jako jedyny ma w worku futrzane przykrycie, jeszcze ze swych cięższych czasów. To wystarcza dla jednego, akurat żeby nie zamarznąć. Pozostali będą mieli trudniej, nawet jeśli postawią prowizoryczne schronienie z lekkich drewnianych kijów i chrustu. No cóż, bywało już źle. Najgorzej jednak, że Anastas nie pozwala rozpalić ogniska. Jutro znów się coś ściągnie z powietrza i wetknie na patyk. Dziś posiłek wypadnie skromnie.

- To jest dobre, żeby oszukać żołądek - Anastas uśmiecha się i z popękanego drzewa, które nadgryzło jakieś zwierzę, wyciąga kawałek żywicy. - Żołądek burczy jeszcze bardziej, jeśli się to żuje, ale jest z nim tak jak z człowiekiem: przyzwyczajają się do niespełnionych obietnic.

Bez sprzeciwu Grigorij oświadcza swoją gotowość, by przejąć wartę w pierwszych godzinach nocy. Forella trzeba zmusić, by go później zastąpił.

- Mój Boże! Ileż nocy spędziłem już pod gołym niebem i nie było nikogo, kto by mnie zbudził! To niepotrzebne.

- Ale jeśli Siemion nagle tu stanie i do ciebie wymierzy?

- Mógłby to łatwiej zrobić na odjeźdźnym. I dlaczego miałby chcieć nas, którzy nic już nie mamy, jeszcze zabijać?

- Ja też nie wiem - mówi Anastas tak obojętnie, jak to możliwe.

- Może żałuje, że tak postąpił i byłby w stanie przyjechać w środku nocy i zaprosić nas znów do jazdy z nim. Bierzesz drugą wartę. Ja biorę trzecią. Teraz śpij!

Grigorij jest nerwowy, kiedy Forell go zmienia.

- Ciągle patrz w tamtym kierunku, Piotr! Jeśli coś nadejdzie, to z tej strony. Nie spać! Jest niebezpiecznie.

To nie jest już ten Grigorij, który klepnął niedźwiedzia po ramieniu. Życie Sybiraków jest krótkie, zbyt szybko się zużywa. Nic nie przebiega po śniegu. Nie wyje żaden wilk. Nigdzie, nawet w największej oddali, nie słychać suchego szczekania lisów. Ale jeśli tak doświadczeni ludzie jak Anastas i Grigorij obawiają się nocy, to i Forell musi się bardziej w nią wsłuchać. Cieszy się, kiedy go wreszcie zmienia Anastas.

Rano idą dalej i w południe odważają się, zmuszeni głodem, rozpalic ogień. Przypiekają zajęcia i po południu najedzeni mogą maszerować dalej. Ponieważ zostało trochę mięsa, Anastas znów nie pozwala na ognisko, choć wszyscy tak potrzebują ciepła. W nocy robią się nerwowi. Grigorij pali ze swej flinty między dwa zielone ślepie, budząc towarzyszy ze snu. Anastas wychodzi, by zobaczyć, co to było. Nie ma jednak ani śladu żywej istoty. I tak przez cztery noce.

Piątej nocy rozpalają ognisko i wrzucają tyle drewna, że stos żaru pod popiołem trzyma ciepło dla wartownika. Nie mogą już znieść marznięcia i poczucia, że są ścigani.

- Czego się boicie? - chce wiedzieć Forell. Anastas nie jest nastrojony do rozmowy.

- Nie boimy się, ja się nie boję. To Grigorij.

Ale ten sam Anastas, który nie zna lęku, wali w nocy strzał w ciemność, bo już tak samo jak Grigorij widzi parę ślepi patrzących na niego. Po strzale rozrzuca popiół nad żarem ogniska. Jest wściekły, kiedy obaj kumple śmieją się z niego i w niepohamowanym gniewie mierzy z karabinu do Grigorija.

- Nie rób głupot! - Forell odsuwa mu flintę na bok.

Po takich napadach Anastas niechętnie przyznaje, że nie miał racji i złości się na Grigorija, bo to z jego powodu przyszły na nich kłopoty. To przekłete złoto!

Koło południa następnego dnia, kiedy grupa trzech mężczyzn właśnie opuszcza się w dół stoku, Grigorij nagle zatrzymuje się i wyrzuca ramiona w górę, jakby postrzelono go w pierś. Podniesione ręce mają znaczyć: ani kroku dalej! Jego twarz przypomina maskę.

- Tu!

Od góry skosem biegną po stoku ślady nart. Z rwącej się długości kroku i braku rowka można wyczytać, że człowiek zjechał na bardzo prymitywnych, prawdopodobnie odłupanych tylko i ostruganych kandrą, nartach z zielonej brzozy, które muszą być bardzo krótkie. Przed ostrym urwiskiem znów skręcił pod górę w skos.

- Siemion jest tutaj!

Anastas bada ślady dokładnie. Przez lata w dziczy nauczył się odczytywać z nich wagę człowieka i wyliczać wzrost narciarza.

- Nie wierz w to! Dziś jest szósty dzień, odkąd się od niego oderwaliśmy. Specjalnie wybieraliśmy złe drogi. Nie może jechać za nami na saniach. Wszystko inne oznaczałoby dla niego zbyt dużą stratę czasu. Jesteśmy blisko ludzi. Bez wątpienia. Ale to nie jest Siemion.

Anastas może sobie mówić, ile chce, uspokajając wymachującego rękami Grigorija. Ten i tak wie, że Siemion znalazł ich kierunek marszu po śladach rakiet. Musi być w każdej chwili gotów na strzał.

- Chodź Piotr! Ty ponieś przez chwilę worek!

- Przecież wziąłeś go dopiero przed kwadranssem.

- To nic. Weź go! Widzisz, jak mi ciężko iść. Jestem chory. Czuję się podle. Weź już wreszcie i nie wymiguj się od małego wysiłku!

Forell przejmuje worek i nie pojmuje nawet, jakie są rachuby Grigorija. Nie wie, skąd ten strach przed Siemionem, ale jest nim zarażony przez innych. Dostatecznie często przeżywał swoje godziny warty w lęku, wciąż przygotowany na to, że opuchnięta od mrozu twarz Siemiona wyłoni się z nocy. Żeby od śladów nart odejść możliwie daleko, Anastas każe zmienić kierunek. Zawracają, a potem idą przez bardzo ostro opadający w dół stok.

- Weź znów worek, Grigorij!

Forellowi coraz bardziej doskwiera ciężar. Dotąd, kiedy inni nie mogli już nieść, za każdym razem worek przejmował na jakiś czas Anastas. Teraz nie słyszy, że Forell prosi, by Grigorij wziął od niego worek. Objuczyli go, a sami dyktują tempo, każdy obciążony jedynie strzelbą, która dla myśliwego nie jest balastem. Pomimo pośpiechu ciągle muszą przystawać, bo Anastas wybiera drogę. To powoduje zdenerwowanie. Idą. Rozmawiają.

Wrzeszczą i obrażają się. Wpadają na siebie, bo żaden nie chce stać spokojnie, lecz każdy pędzi w innym kierunku, póki nie sądzą, że znów znaleźli zejście z nagle urywającej się stromizny.

- Tam na zewnątrz! - komenderuje Anastas.

Forell czuje, jak paraliżuje go przy skręcie. Powinien rzucić się na ziemię i ukryć, ale nie może.

Tak wstrętnej i zniekształconej pęcherzami odmrożeń twarzy Siemiona Forell nie pamięta. Dwaj pozostali jeszcze go nie widzą, aczkolwiek odstęp wynosi najwyżej czterdzieści metrów od miejsca, gdzie Siemion wysunął ponad połowę ciała z ukrycia, złożony do strzału.

Dzieje się to w tempie nastawionej na czas mechaniki. Forellowi udaje się paść dokładnie w chwili, gdy rozlega się strzał. Nie jest to jednak skutek dojrzałego namysłu. Ponad nim odłupuje się kamień. To był strzał kulą na dużego zwierza. Klatka piersiowa trafionego nią człowieka ukazałaby otwór wylotowy wielkości kapelusza. Forell wie, że jedynie ułamek sekundy trzeba, żeby zarepetować.

Rany boskie! Jak długo Anastas zdejmuje strzelbę z ramienia! Niechże wreszcie strzeli! Siemion nie stara się nawet ukryć. Jego policzki, popękane jak droga podczas topnienia zimowych mrozów, są niebieskie. W środek tego śliwkowego grymasu musiałby walnąć ładunek śrutu, by Forell mógł dostrzec choćby maleńką szansę na powstanie z tego miejsca.

Siemion strzela wcześniej niż Anastas.

A potem, z ukosa za Forellem, pada jeszcze jeden strzał.

Napuchnięta od mrozu maska rozrywa się i Siemion pada.

Dopiero potem Forell słyszy to, o czym zdawało mu się, że zapomniał od wojny - umieranie człowieka, mokre chrapanie, coś między mówieniem a oddychaniem. To Anastas, którego trafił Siemion, zanim twarz mu się rozpadła pod grubym śrutem.

Forell wstaje.

Czuje, że odłamek kamienia rozpruł mu udo. To niewielka szkoda, bo Siemion przewidział go jako pierwszego do śmiertelnego trafienia.

- Widziałeś? - krzyczy Grigorij.

- Tak. Dostałem odłamkiem. Pierwszy strzał Siemiona.

- Nie ośmieszaj się! - sapie Grigorij. To ten sam Grigorij, który tak pięknie płakał nad martwym reniferem. - Pomóż mi!

Nie troszcząc się o to, że smaruje się krwią, wyciąga ostatecznie Siemiona z ukrycia za skałami, rzuca ciało na zdeptany śnieg i pochyla się nad twarzą zabitego.

- Jesteś świnią, Grigorij!

Potem powoli opróżnia kieszenie zabitego, jedną po drugiej.

- Tak sobie myślałem - mruczy, kiedy dochodzi do futrzanego woreczka ze złotym proszkiem. - Wszystko chciał mieć. Teraz wszystko należy do mnie - wkłada woreczek do kieszeni na piersi pod kożuchem. - Nie będziemy się o to kłócić, Piotr. Nie radziłbym ci. Gdybym to ja leżał tu, gdzie Anastas, cały spadek byłby dla ciebie.

Grigorij zaciąga ciało Siemiona do kamienistego urwiska skalnego i spycha je w przepaść. Potem także opróżnia kieszenie Anastasa. Nie chodzi o nic innego jak o skórzany woreczek z jedną czwartą złotego piasku, którą każdy dostał jako swój udział z pracy ostatniego lata.

- Był porządnym facetem, jeśli o nas idzie. A poza tym był durniem, który wierzył w to, co głosili inni. Komsomolcy umieściliby mu na grobie czerwoną gwiazdę, gdyby wiedzieli, gdzie leży. Lepiej, żeby leżał nieco głębiej. Okolica jest surowa. A jeśli przyjdą wilki, niech lepiej spotkają tę świnię, która chciała nas wszystkich pozabijać.

Po tych słowach ciągnie Anastasa aż na skraj skały i pozwala mu się z niej stoczyć.

To jest naczałnik złodziei, który przez tydzień znosił tak wiele strachu, że już choćby z tego powodu powinny mu być wybaczone wszelkie winy. Jest szalony. Działa, cokolwiek robi, w oszołomieniu. W swej chciwości już nie pamięta, że nawet Siemion, gdy wspólna niedola była wielka i nieznośna, okazywał się kolegą.

Forell rozsznurowuje wiązanie futrzanego ubrania i ogląda miejsce, gdzie zranił go odłamek kamienia. Z resztek koszuli odrywa dwa długie pasy i zakłada sobie opatrunek. Z taką raną nie może się wiele wydarzyć. Zimno źle jej robi, ale trzeba po prostu utrzymywać nogę w cieple.

Obok Forella stoi jego worek, z otwartym wiązaniem, bo z bałaganu wyciągnął zniszczoną koszulę, by założyć opatrunek.

- Dawaj!

- Co takiego?

- Twój worek!

- Potrzebujesz czegoś?

- Rzeczywiście czegoś potrzebuję - mówi z uśmiechem typ z zaschniętą krwią na rękach i zaczyna grzebać w manatkach Forella. - Żeby nie powstała między nami pomyłka ani złudzenie, mój drogi Piotrze Jakubowiczu, ta rzecz tutaj nigdy nie była twoją własnością.

- Nie? Jeśli mam ją w moim worku, to zapewne jest moją. Pokaż, Grigorij.

Forell nie potrafi sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek widział podłużny pakunek w brudnej wełnianej szmacie i by kiedyś uważał go za swój. Chce go wziąć do ręki i ocenić wagę, ale Grigorij szarpie gwałtownie brudny kłębek do siebie.

- Dlaczego, jak myślisz, Siemion leży zastrzelony tam w dole? I dlaczego musieliśmy stać każdej nocy na warcie? Anastas wiedział. I jest martwy. Siemion wiedział. Jego musiałem zastrzelić, bo inaczej zastrzeliłby mnie. Widziałeś przecież.

Grigorij cofa się z uśmiechem i opowiada z widoczną przyjemnością.

- Wiesz, zapłata w kopalni złota była zła. Dostawaliśmy bicie i kopniaki. W płucce mieliśmy mokre nogi, a do jedzenia na wpół zgniłe ryby. Siemion często mówił: „Zwiejemy”. Anastas mówił: „Zwiej z nami, tchórze!”. Długo mnie namawiali i zachęcali. Ale nie chciałem, nie mogłem, bałem się życia potem i śmierci. Wtedy znalazłem rybepremię. Och! Inni też łapali rybypremie. Nigdy nie pracowałeś w płucce złota. Skąd masz wiedzieć, jakich podłości się dopuszczano, żeby wysyłać do Moskwy wciąż więcej złota!

Nerwowe dłonie, brudne i oblepione krwią, odwij aj ą materiał. Forell musi przełknąć ślinę, żeby znów złapać oddech. Grigorij widzi, jak wytracony z równowagi gapi się na bryłę w szmacie. Jest uformowana jak dziecięcy bucik.

- Daj popatrzeć!

- Masz! Ale tylko popatrzeć! Gdyby ci przyszła ochota na coś więcej, to strzelę. Dla ostrożności pozwolę sobie przez ten czas trzymać lufę przy twojej skroni.

Forell stara się pozostać tak spokojny, jak to możliwe. Lufa flinty jest nieprzyjemnie zimna. Grigorij naciśnie spust, jeśli kompan wykona choćby jeden chciwy ruch. Musiałby już teraz pociągnąć, gdyby wiedział, co Forell myśli, trzymając kawałek złota na dłoni.

- Są takie kawały złota?

- Dlaczego nie? Wysyłaliśmy o wiele większe.

- Czy podobne egzemplarze występują w takim piasku jak ten, który płukaliśmy latem?

- Nasza płuczka była zła. Nie jesteśmy geologami. Potrzebowaliśmy trochę złota, żeby zamienić je na rzeczy, których w tej okolicy za nędzne ruble dostać nie można. A teraz oddawaj! Zapatrzysz się i najdzie cię pokusa, żeby kolbą flinty walnąć mnie w łeb.

Forell niechętnie oddaje kawał złota.

- To coś ma swoje tysiąc dwieście gramów - konstatuje Grigorij. Gdzieś tutaj, w odległości może dwóch dni marszu, Siemion zostawił sanie z futrami. Pełną zdobycz dobrej myśliwskiej zimy podzieli teraz na pół - jedna połowa przypadnie Grigorijowi, druga Forellowi. Ale tysiąc dwieście gramów złota Grigorij zachowa tylko dla siebie. Duża bryła i trzy części złotego piasku. Grigorij czyta każde słowo w myślach Forella.

- Gdybyś miał pokusę, żeby te rzeczy inaczej podzielić, musiałbym ci już w nocy zdusić gardło. Zróbmy lepiej tak - dasz mi pod ochronę twój woreczek złotego piasku.

- Nie.

- To może być ze szkodą dla ciebie.

- Możemy się rozstać po drodze. Wtedy ty miałbyś wszystko, a ja nic.

- Bardzo dobrze cię rozumiem, Piotr. Jesteś tym, który chce mieć wszystko. A ja mam być tym, który nie będzie miał nic. Nawet takiej drobnostki jak życie.

Szary jak kurz kamień w kształcie dziecięcego buta zawinięty zostaje w szmaty i zasznurowany małym rzemykiem. Grigorij wtyka zawiniątko do prawej kieszeni pod wierzchnim futrem.

Będzie szedł z pewnością stale po prawej stronie. Forell jeszcze nigdy nie odczuwał takiego pożądanego. Przez tydzień nieświadomie nosił bryłę złota w swoim bagażu. Siemion zaczął ich ścigać po tym, jak niczego nie znalazł w rzeczach Grigorija. Z powodu tej bryły co noc trzymali warty, bojąc się i strzelając w zielone oczy drapieżników, których nie było. Z powodu worka pierwszy strzał oddał Siemion do Forella. I gdyby Grigorij nie strzelił, to po Anastasie przyszlaby ostatecznie kolej na niego. Wtedy Siemion zrzuciłby w przepaść trzy ciała: Anastasa, Grigorija i Piotra. I żyłby tylko jeden - Siemion. A tak żyją jeszcze dwaj. Kto jest zbędny? Kiedy minie kilka dni, pozostanie tylko jeden. Bryłę złota nikt nie podzielił na dwie części.

A w ogóle dlaczego ją dzielić? Obaj mężczyźni analizują ewentualne scenariusze. Forell myśli, że tego złodzieja Grigorija, który z ludzkimi zwłokami obszedł się gorzej niż z zabita zwierzyną trzeba mieć po drodze przed sobą tak żeby nie widział zdejmowania odwróconej flinty, a potem wałnąć kolbą w łeb. Grigorij z kolei planuje ukraść Forellowi woreczek ze złotym piaskiem, a potem zostawić go samego w dziczy. Trzeba mu tylko zabrać broń, bo z flintą będzie się przedzierał całymi miesiącami, a potem znów się pojawi, żeby zawracać głowę sądowi jakąś niedorzeczną próbą rabunku. Grigorij raczej sam poszuka sań, które Siemion gdzieś zostawił. Z reniferami, które w tym czasie z pewnością powędrowały dalej ku dolinie, będą niejako trudności. Dlatego Piotr będzie jeszcze potrzebny. On umie się z nimi obchodzić. Ale potem przyjdzie pora, żeby go przypadkowo zastrzelić podczas polowania.

Mężczyźni myślą też o zabezpieczeniu zwłok Anastasa i Siemiona przed zwierzętami. Ale każdy z nich boi się jako pierwszy schodzić po skalistym urwisku. Gdy Forell pójdzie przodem, Grigorij obluźuje za nim kamień. A gdy Grigorij, któremu na sercu nie leży troska o zwłoki, znajdzie się niżej, będzie musiał się liczyć z tym, że Piotr na górze wyceluje i wpakuje mu ładunek śrutu w kark. Ostatecznie nie podejmują żadnych działań.

Dwóch skazanych na siebie mężczyzn, z których na razie żaden nie wie, kto jest ofiarą a kto katem, wyrusza w drogę, by szukać pozostawionych przez Siemiona sań.

- Może byśmy obaj rozładowali nasze flinty? - pyta Grigorij.

- Rozsądna propozycja - odpowiada Forell i wytrząsa oba naboje z lufy.

Gdy zatrzymują się na odpoczynek, umawiają się inaczej. Forell proponuje towarzyszowi, że poniesie rozładowane strzelby, podczas gdy Grigorij weźmie całą amunicję. Nie przychodzi mu to łatwo, bo ma przecież swój bagaż, a ten drugi idzie bez obciążenia. Jednak Grigorij jest zdania, że Forell ukrył gdzieś w kieszeniach jakiś nabój i w którejś chwili podstępnie go użyje. Wymusza więc na Niemcu, by dał mu obie strzelby, a sam opróżnia kieszenie, wywracając je na lewą stronę.

- Weź ty całą amunicję. Bez strzelby nie może się zdarzyć, że nabój ci wypali! A ja nie mogę bez amunicji strzelać, kiedy całą oddałem tobie.

Na twarzach mają wypisane, co myślą, choć bardzo się starają wyglądać obojętnie i paplać o nieważnych sprawach. Obaj kulą się ze strachu o własne życie i obserwują pełni nieufności wzajemne ruchy.

Do spania kładą się głodni, bo Grigorij chce zachować strzelby, a Forell naboje. Głód nie pozwala na głęboki sen, a z płytkiej drzemki budzi ich każdy ruch sąsiada. Rano muszą zdobyć coś do jedzenia i Grigorij dostaje jeden nabój śrutowy. Kiedy strzela, Forell cały drży. Zaraz potem obaj piechurzy rozbierają zastrzelone sarniátko, jak w najlepszych czasach, przed historią ze złotem. Nie musi przecież być tak, że się nienawidzą i nie ufają sobie. Zima była dobra. Czasy, które nadchodzą, wymagają jeszcze dość trudu. Dwóch mężczyzn przetrzyma wszystko łatwiej, a w takiej guszy są siłą. Oczywiście inaczej będzie, kiedy zacznie się niebezpieczna gra z władzami. Jeden mężczyzna być może zdobędzie propusk. Kiedy zamacha bryłą złota, znajdzie się przecież ktoś, kto zmięknie i gotów będzie do fałszerstwa. Grigorij bardzo niechętnie wyda złoto. Błyśnie nim i znów je schowa, kiedy dostanie swój propusk. W każdym razie musi być sam. Ten Piotr mówi marnie po rosyjsku, choć dobrze rozumie. Takiego towarzysza Grigorij nie potrzebuje. Będzie więc musiał się go pozbyć. Piotr powinien nabrać zaufania. Przyjazne rozmowy z pewnością się do tego przyczyniają. Broni nie potrzebuje.

Nie. W żadnym wypadku. Nieść dwie strzelby na ramieniu jest dość niewygodnie, ale zapewnia to bezpieczeństwo.

Ale dopiero teraz Grigorij przypomina sobie, że Piotr ma nagan. Ach, dlatego tak chętnie odstąpił flintę! Magazynek nabojów to nie dużo, ale robi osiem dziur w ciele! Przeklęta sprawa!

Forell zastanawia się nad tym samym i decyduje, że w najbliższą noc wyjmie nagan ze spodniego ubrania, żeby mieć go na podorędziu w fufajce. Magazynek nabojów to mało, ale można się tym długo bronić.

Czwartego dnia trafiają na ślady reniferów.

Następnego ranka Niemiec stwierdza, że nie ma pistoletu. Grigorij musi być niezwykle sprawnym złodziejem. Tego dnia natykają się na renifery. O pistolecie nie rozmawiają. Tam, skąd prowadzą ślady zwierząt, stoją gdzieś sanie. Jutro, najpóźniej pojutrze obaj mężczyźni odnajdą swoje sanie, futra i namiot.

Grigorij, który z powodu opornych zwierząt pilnie potrzebuje jeszcze Forella, ma bystrzejszy wzrok niż Niemiec. Tak dobrze zna zarys dziczy, że od razu zauważa każdą zmianę tego, co naturalne. Pozostawione przez ludzi sanie są taką zmianą.

Nie używając pistoletu i w takim pośpiechu, że Forell nie zdążyłby go nawet użyć, Grigorij pozbywa się swego towarzysza. Urwisko, przy którym pędzą zwierzęta, nie opada bardzo stromo, ale za to dwieście metrów w dół.

- Tak jest lepiej - mówi Grigorij mimochodem.

- Jak jest, jak mówisz, lepiej?

- Tak - odpowiada Grigorij.

Pchnięcie, jakie wymierza Forellowi całym ciałem, nie jest nawet bardzo silne, ale idący jest na nie zupełnie nieprzygotowany, a rakiety śnieżne nie dają twardego oparcia. Forell spada dwa metry prosto w dół, a potem ciało przewraca się i zaczyna toczyć. Worek uderza go w głowę. Przywieszony długi nóż wpada między nogi, lewą golenią kaleczy się o kamień, plecy bołą, a worek zdaje się być zawieszony na piersiach zamiast na plecach, bo przeszkadza ręką chwycić się czegokolwiek. Forell jest pewien, że nic już nie uchroni go od pewnej śmierci. Gdy biodro uderza o dużą przeszkodę, zamyka mocno oczy. Nie chce widzieć ostatniego śmiertelnego upadku w pustkę. Ale wielki upadek nie następuje, więc znów otwiera oczy. Widzi nad sobą rumowisko, a zupełnie na górze Grigorija, który stoi wyprostowany i spogląda w dół.

- Przykro mi - krzyczy Grigorij.

- Łajdak!

- Piotr, możesz jeszcze chodzić?

- Chciałeś mnie zabić!

- Zrobię to tylko wtedy, kiedy wstaniesz i spróbujesz na przykład wspiąć się do góry.

- Nie mogę. Pomóż mi, Grigorij.

- To byłby błąd. Mógłbym wtedy darować sobie zrzucanie cię w dół.

Forell jęczy. Rana z ostatniego razu znów się rozerwała, boli go lewa goleń, ciało wydaje się gdzieś w połowie odłamane.

- Co ci zrobiłem, Grigorij? Byłem w porządku wobec ciebie. Nie chcesz przecież, żebym tu zginął.

- Naturalnie, że tego chcę. A ty chcesz mojego złota, prawda? Gdybym tego nie zrobił, ty może wpadłbyś na to samo. Nie. Wiesz co, Piotr, chcę zacząć przyzwoite życie. Z tym złotem. Kiedy będę miał papiery na przyzwoite nazwisko, znów będę przyzwoity.

- Ja chciałem tylko do domu - jęczy Forell.

- Co? - krzyczy Grigorij, który go nie zrozumiał.

- Do domu chciałem. Chcę do domu. Musisz mi pomóc, Grigorij! Dwoje dzieci. I moja żona...

- Nie rozumiem cię.

- Zginę tutaj.

- Ach tak? Nie jesteś pierwszy, któremu się to zdarza. Ale pomogę ci.

Potem postać Grigorija w górze na skraju skały znika.

Forell próbuje usiąść. Na całym ciele zdaje się nie być miejsca, które nie byłoby poobijane. Samo odwracanie się powoduje ból w kręgosłupie, po prawej stronie piersi, na lewym biodrze, lewej nodze, na kostkach palców i na głowie. Czoło krwawi. Jest strasznie. Ani pomyśleć, co będzie. Ale nie jest zimno. Jest ciepło. Przyjemnie ciepło. Tylko w czasie piłowanie od tyłu. Ale jest ciepło. Ciepło.

I ktoś krzyczy.

Głos, tak, Forell zna ten głos. Grigorij krzyczy.

Forell prostuje się mozolnie, osuwając z bólu i zaczyna przypominać sobie przebieg zdarzeń. Grigorij zepchnął go stamtąd, z góry. I Grigorij ciągle jeszcze nie zostawia go w spokoju.

- Żebyś nie zginął z głodu! - Co?

- Jestem dobrym człowiekiem. Nie możesz temu zaprzeczyć.

Grigorij nie stoi u góry na krawędzi, lecz w połowie wysokości, oddalony od leżącego Forella najwyżej o jakieś osiemdziesiąt metrów. A obok Niemca jest jeszcze inne ciało. Dzika owca. Maca ją dłonią i stwierdza, że wciąż ciepła.

Że też człowiek może być taki, jak ten Grigorij. Najpierw zrzuca kolegę, z którym spędził długi i dziki rok, w dół skalnego urwiska, potem przynosi mu dopiero co ustrzeloną dziczyznę.

- Nie powinieneś umrzeć z głodu, bo byłeś porządnym kolegą. Na koniec już nie. Nie możesz umrzeć z głodu. Co zrobisz poza tym, nie moja sprawa. Zanim znów zaczniesz chodzić, będę daleko stąd. Ale wspominaj swego kolegę Grigorija tak, żebyś go nie przeklinał. Niepotrzebne mi przekleństwo. Życie jest dostatecznie ciężkie.

Forell wie, że nie ma już sensu prosić o pomoc.

- Kiedy znów będziesz mógł wstać, pilnuj, żeby gdzieś się zaszyć, Piotr! Do Niemiec nie dotrzesz tak czy tak. Rosja jest piękniejsza. A ludzie u nas są dobrzy. Tylko ty w to nie wierzysz.

Grigorij wdrapuje się płytkimi zakosami pod górę. Potem staczają się kamienie, a Forell kuli się, żeby go nie trafiły. Co Grigorij mówi na górze, odchodząc, tego już nie rozumie.

Zwariował. Winna jest bryła złota.

Dopiero wiele dni później Forell kojarzy wszystkie szczegóły. Nie można zakładać, że podczas upadku z rumowiska z worka z rzeczami wypadła sakiewka ze złotym piaskiem. Żeby wejść w posiadanie wszystkiego, co koledzy Grigorija mieli z mizernego wydobywania, zszedł po urwisku w dół, przeszukał Niemca i zabrał woreczek. Aby tę obrzydliwość załagodzić, ustrzelił dziką owcę i sturlał po urwisku, żeby nieszczęśnik nie umarł z głodu.

Gdyby jednak Forell ocknął się z omdlenia, kiedy Grigorij jeszcze szukał, z pewnością rozwaliby mu czaszkę kamieniem albo użył jego własnego pistoletu do zakończenia sprawy raz na zawsze.

Jakież znaczenie mogłaby mieć ta odrobina złotego piasku dla człowieka, który skazany jest tu na śmierć?

Był kiedyś taki czas, gdy pewien mężczyzna na syberyjskich nartach dzień i noc szedł przez śnieg i liczył kroki, porządkując je co tysiąc, żeby po całej przewędrowanej nocy wiedzieć o ile kroków, o ile tysięcy kroków, o ile kilometrów jest bliżej swojej ojczyzny.

Ale Syberia zatrzymuje swoich ludzi dla siebie. Zabiega o nich, zachwyca straszliwą surowością, a nienawiść i strach przemienia w dziwaczną miłość. Pochwyceni nią zapominają o swej tęsknocie. Jeśli jednak człowiek nie chce znosić tej brutalnej miłości, Syberia zatrzymuje go martwego.

Już od miesięcy Forell nie sprawdza kierunku marszu, czy prowadzi ku ojczyźnie czy od niej oddala. Nie wie, gdzie jest. Nie martwi go to. Jest mu obojętne, jak daleko zaprowadzi błądząca droga i gdzie się skończy.

Nie! Nie jest mu wszystko jedno.

I nawet się nie wstydzi, że temu złodziejowi, temu draniowi Grigorijowi płaczkliwie wspomniął o dwójce swych dzieci i opowiedział o tęsknocie za żoną. To była żalosna prośba o litość. Ale Syberia nie zna litości.

Ciężko i boleśnie wstaje się z kamienistego podłoża. Próba zajmuje godziny, ale kiedy mężczyzna znów stoi na własnych nogach, wprawdzie skurczony, jakby kości źle zostały podwieszane na więzadłach, to wie, że dzikie zwierzęta nie dopadną go żywcem jak bezradną kupę mięsa, że może trzymać kandrę, że będzie mógł dowlec się aż do miejsca, gdzie uda mu się rozpalić ogień.

Grigorij jest świnią. Ale zrzucił mu dziką owcę. Może chciał człowiekowi, który jeszcze przed tygodniem był jego kolegą, podsunąć szansę na życie. On właśnie jest Sybirakiem.

Forell chwyta się życia, które ma litość jedynie dla tego, kto z ostatnich strzępków nadziei zdolny jest na nowo upleść liny. Jeśli przejdą tędy ludzie, póki Forell jeszcze żyje, może będzie dobrze. Przyjdą za późno, znajdą martwego. Jeśli minie dziesięć lat, zanim będą przechodzić obok, to nie starczy tego nawet na litość, a jedynie na zdziwienie, że kiedyś szedł tu człowiek, szedł i zginął, jak to bywa podczas twardej włóczęgi. Od tych, co zginęli, inni uczą się odwagi.

Nóż i ręce dostatecznie długo uczyły się, jak zdejmować skórę ze zwierzęcia. Grigorij zastrzelił owcę perfekcyjnie. Zna się na sztuce zabijania. Czymże strzelał? Zakładając, że już znalazł sanie, pewnie stamtąd wziął amunicję. Prawdopodobnie też nie oddał Forellowi wszystkich naboí. Niczego nie robi do końca. Niemiec w swoich kieszeniach wyczuwa pełno amunicji. Ale bez flinty są niczym. Rozsądnie będzie je wyrzucić, bo ciężar gorzko doskwiera człowiekowi, który ledwie może się powlec z miejsca i musi zostawić bagaż, by dopełznąć osiemdziesiąt metrów do miejsca, w którym jest kilka gałęzi. Drewno i tak będzie mokre. Z użyciem prochu z rozciętego naboju łatwiej da się je rozpalić. A więc lepiej nie wyrzucać zbędnych naboów.

Wieczorem Forell znajduje miejsce zdadne na ognisko, ale nie będzie to duży ogień, ponieważ nie zdoła przynieść wiele drewna. Mały ogień oznacza półsurowe mięso i ciepło tylko do późnego wieczora. Później samotny człowiek będzie marzł.

Jak przetrwał noc, tego Forell nie wie. Grigorij, szeroko rozparty na saniach, zapewne jedzie teraz ze swym łupem w nowe życie, a on rozgląda się za kolejnym miejscem do spania, które nie może być zbyt oddalone, najwyżej czterysta metrów. Potem będzie musiał przynieść, a raczej dociągnąć swój worek. Bóle w zranionych miejscach stają się coraz

gwałtowniejsze i mocniejsze. Przeguby, wczoraj jeszcze tylko słabe, dziś nie dają się zgiąć, tak grube, nabrzmiałe i ciężkie zrobiły się przez noc.

Rozbity człowiek wlecze się do swego worka z rzeczami, odpoczywa na nim, potem ciągnie go kawałek, znów odpoczywa i ciągnie dalej, nie w jakimś wyraźnie obranym kierunku, lecz w miejsce, które obiecuje drewno do palenia.

Kiedy po południu sądzi, że nie ma już sił, znosi jeszcze drewno, a potem jest z siebie o wiele bardziej dumny niż w czasie pierwszych nocy ucieczki, gdy sądził, że przeszedł sześćdziesiąt kilometrów.

Musiał minąć rok i jedna zima, jeśli dobrze liczy, od ucieczki. Ludzie mu pomagali, choć zdaje mu się, jakby uprawiali z nim handel i dopuszczali się nadużyć, wszyscy, także renifery. Musi iść, marznąć, głodować, nastawiać sidła, jeść surowe mięso, ale iść codziennie, aż wreszcie skończy się ten niesamowity i potworny kraj.

Ale dokąd, jeśli kiedyś będzie znów mógł chodzić? Wieczorem widzi drzewo, za którym staje słońce. Następnego dnia spróbuje dojść do tego drzewa.

Do domu! Tylko do domu! Ale drzewo, nawet jeśli Forell je osiągnie, nie oznacza nawet odległości dwóch kilometrów. Pięć tysięcy kilometrów to dwa tysiące pięćset dni. A więc siedem lat. Później z pewnością znów będzie szedł szybciej!

Tylko do domu! A z tych siedmiu lat wytargować, co los zechce oddać!

Do upatrzonego drzewa następnego dnia nie dociera. Nie docenił odległości.

Kolejnego dnia udaje mu się, a nawet wlecze się jeszcze kilkaset metrów, bo przecież musi dojść do domu.

Gdyby tylko nie było worka z rzeczami. Ale bez tego worka zginie. A z workiem pokona tylko połowę odległości, którą przeszedłby bez obciążenia.

Czasami kładzie się wyczerpany płasko na ziemi i patrzy na drogę, którą przyszedł. Tym wypatrywaniem męczy oczy i nie wie, co miałby ujrzeć. Prześladowcę? Siemiona czy Grigorija?

Forell nie wie, co go niepokoi. Jednak z powodu niepokoju idzie coraz szybciej.

I właściwie ze strachu i z uporu idzie już całkiem dobrze.

Noce nie są dobre dla człowieka, który nawet we śnie patrzy wstecz. Przebudzenie jest równie złe, bo nagle zrywa się i sądzi, że są na niego skierowane tysiące oczu.

Forell nie ma sił, żeby usiąść. Łokcie osuwają mu się pod ciężarem ciała. Wilgoć przechodzi przez futro. Zawsze tak jest, gdy ciało ze swoim ciepłem dotyka zimna pod sobą. Nie wie, co go wystraszyło.

Jest jeszcze tak ciemno, że oprócz kilku marnych drzew niczego nie widać na tle nieba. Niczego nie ma. Nie ma nikogo, kto się w niego wpatruje. Ale tak spętać oczami, których nawet nie można zobaczyć, potrafi tylko najpaskudniejsza bestia pod niemiłosiernym niebem - człowiek.

Bolą dwa złamane zebra. Płuca pracują pospiesznie urywanym rytmem. Cicho tak, jak to tylko możliwe. Forell wysuwa kandrę z drewnianej pochwy i czuje, jak paraliżuje mu rękę bezwład przerażenia, jakby został zakłęty.

Szczególny jest ten czarny cień przemykający przez linię między nocą a nadchodzącym dniem. Jeśli są to ludzie, czemu tak tchórzliwie pełzają wokół niego? Nie muszą się go obawiać, bezbronno, zdradzonego człowieka, który może jedynie trzymać przed sobą kandrę.

Oddech Forella jest krótki, ale wywołuje ciche echo. Niemiec zmusza się, by przez kilka sekund nie oddychać.

Jednak echo jest dookoła niego.

I echo śmierdzi. Ma żrący, ostry zapach. Wtedy nagle w żyłach człowieka zastyga krew. Czuje wyraźnie, jak od dłoni do wnętrza ciała, przez ramiona i plecy, zastyga w nim lód.

Zna przecież to wołanie! Tak przeciągle wołać potrafią psy w czasie pełni, kiedy w okresie rui wzywają partnera. Wilki!

Czterech mężczyzn nie musi tak zastygać w przerażeniu, ale jeden człowiek nie wart jest nawet wielkiej taktyki. Napada się na niego otwarcie, kiedy tylko zostanie zwołane stado.

Głuche, płacząco wycie układa się szerokim kręgiem jak horyzont wokół legowiska Forella. Z tego wołania dowiaduje się, że otoczony jest ze wszystkich stron.

Właśnie robi się dzień. Tyle dnia, że Forell zaczyna rozróżniać, co wokół niego nadaje się do ukrycia, co może mu pomóc. Plamy śniegu, ciemne pasma między zaśnieżonymi miejscami i ani jednego drzewa. Musiałby mieć w pobliżu drzewo, wtedy spróbowałby wspiąć się na nie, poza zasięg pysków i wytrzymać tam przez godzinę.

Zmarznięty przez noc śnieg skrzypi pod jego stopami. Tam z przodu jest wątła grupa drzew, jednak żadne z nich nie wydaje się dość wysokie i mocne, żeby mężczyzna mógł się na nie wspiąć. Od rozprawy z Grigorijem Forell jeszcze nigdy nie biegł. Wie, że nie zdoła. Ale jeszcze nigdy, od czasu kiedy jest bez broni, nie goniły go wilki. Oczywiście biegnie i nie myśli zupełnie, że jego ciało tego nie zniesie. Niebezpiecznie byłoby wyciągnąć nóż z drewnianej pochwy, żeby nadziać pierwszego napastnika. Na gładkich od śniegu miejscach,

które w ciągu nocy pokryły się lodem, futrzane buty zbyt łatwo mogą się poślizgnąć. Wilki czekają już na upadek. Tych kilka chwil, zanim znów się podniesie, może wystarczyć.

Pośród kilku cherlawych drzew uciekający człowiek instynktownie odnajduje dokładnie to, które jest dość mocne, by wspiąć się na nie na wysokość około trzech metrów. Futrzane buty ześlizgują się jednak z pnia, a wredny kikut gałęzi zaplątuje się w fufajkę. I Forell jeszcze raz musi się zsunąć, aby ostatecznie spróbować z drugiej strony.

Cztery chwytury oburącz. Cztery podciągnięcia nóg, które nie chcą się mocno zamknąć wokół cienkiego pnia. To teraz już dwa metry. Dwa i pół. A wilki już są. Jeden odpycha się jak żelazna sprężyna od ziemi i rzuca skosem na drzewo. Dobra. Odpadł. Ale znów się przystawił. Najeżony kłęb padając, odwrócił się i mocniej odbija się od ziemi.

Nietrudno jest wyliczyć, kiedy wilki osiągną dobrze wyliczony wyskok, żeby uchwycić przynajmniej buty. Forell musi się podciągnąć o długość połowy ciała, inaczej już przegrał, zanim opuszczą go siły. Gałęzie niczego przecież nie utrzymają. Drzewo jest niczym więcej niż belką tak długo dającą bezpieczeństwo, jak długo ręce i nogi wytrzymają uchwyt. To krótki czas. Teraz jednak, na tej wysokości, drzewo nie chce już utrzymać wagi człowieka. Zaczyna się pochylać. Oznacza to, że wilki niebawem znów sięgną do jego nóg, w zwisie nie do nóg, a do pleców. Trzy wilki, które próbują równocześnie, wpadają na siebie i przewracają się, biorą nowy rozbieg, ale znów przeszkadzają sobie wzajemnie w powietrzu.

Jest tu - o ile wystraszony człowiek może jeszcze oceniać - dwadzieścia pięć wilków, dwadzieścia pięć paszczy ziejących oddechem widocznym w porannym chłodziu. A drzewo się pochyla. Forell wie aż za dobrze, jak łatwo łamie się zamrożone drewno, kiedy sieje zbyt naciągnie. Teraz wrzeszczy. Teraz już tylko ręce trzymają się mocno, a ciało zwisa odchylone od wygiętego drzewa. Opuszcza się, a rozpacz wypycha nogi w dół, żeby odbić się od ziemi, kiedy do niej dosięgną. Buty kopią wilka, który wydaje z siebie krótkie wycie. Forell oddycha z ulgą. Odepchnięcie się wyniosło go w górę. Pień prostuje się, ale zaraz leniwie pochyla w drugą stronę. Wilki przechodzą wokół drzewa na to miejsce, gdzie człowiek musi teraz zwisnąć w dół. W drzewie huknęło.

Forell jeszcze raz, waląc rozpaczliwie obu nogami, odpycha się, tym razem od ziemi, podjeżdża w górę i krzyczy przeraźliwie w powietrze poranka. Przechylone drzewo wykonuje jedynie senny ruch kołowy, podczas gdy na dole wilki naśladują taniec drzewa.

Huk drewna. Krótki i twardy.

Forell zaciska z całych sił powieki i czeka już tylko na to, jaki będzie koniec. Jak go dosięgną? Czy umieranie pod długimi pyskami wilków będzie bardzo bolesne? Ale co one

robią? Jeden padając, chyba złamał kark, a cztery inne łączywie go rozrywają. Drzewo dalej leniwie się kiwa, a wilki skaczą jeden przez drugiego i rozlega się ujadanie.

Drzewo znów huknęło.

Nie drzewo.

Stado wilków kłębi się.

Jeszcze raz ten huk. Tak, nie pęka drewno.

Ale ręce już nie wytrzymują i Forell czuje, jak palce niechętnie otwierają się wokół pnia. Ach, to nie takie straszne być rozerwanym przez wilki.

Nad leżącym na ziemi człowiekiem stoją dwaj odziani w futra mężczyźni, którzy urządzają sobie żarty z wytrzepywania śniegu z jego ubioru. Hałaśliwie i dużo gestykulując, opowiadają długą historię, której najwidoczniej sami są bohaterami. Forell rozgląda się. Obaj mężczyźni urządzili wśród wilków straszliwą jatkę. A czego nie dokonały ich pukawki, dokończyły same wilki, jak się wydaje.

Wiele z tej gadatliwości nie da się zrozumieć, poza tym, że Sybiracy nie trafili w to miejsce przypadkiem, lecz od jakiegoś czasu mieli stado na oku.

Forell wstaje powoli. Nic już nie ma. Jego worek z rzeczami leży koło powiązanych drzewek. Ooo! To znów jest ciekawe. Wśród głośnego śmiechu mężczyźni idą z nim, kiedy chce zabrać kilka swych drobiazgow z miejsca obozowania. Oceniają jego sposób rozkładania obozu, jaki zdradza doświadczenie. Ale w tej okolicy spotyka się jedynie doświadczonych ludzi. Innych się nie widuje, ponieważ giną, zanim ktoś na nich trafi.

Gadatliwi ludzie chcą wiedzieć, skąd przybywa.

- A, stamtąd - Forell pokazuje kierunek.

Starszy i ważniejszy przedstawia się, kładąc rękę na piersi.

- Kolka.

A więc Rosjanie. Ale typ jest inny, nie rosyjski.

- Alosza - przedstawia się młodszy.

Gdzie Forell natknął się już na imię Alosza? Pajęczyna w lazarecie nazwała tak małego Matterna. Mattern nie żyje.

Między ludźmi tak skorymi do śmiechu trzeba być uprzejmym. Forell pochyła się nieco i kładzie dłoń na piersi.

- Piotr.

Ci z wystającymi kośćmi policzkowymi twierdzą o sobie, że są Jakutami. Nieco zmartwiony Forell pyta, czy są w pobliżu Jakucka. Nie. Dzieli ich odległość około tysiąca wiorst. Kolka pokazuje, gdzie biegnie droga do Jakucka. Od morza.

- A gdzie jest to morze?

- Nie bardzo daleko - odpowiada Kolka i pokazuje kciukiem. Wybawcy Forella chcą się o nim dowiedzieć czegoś więcej.

Na Syberii człowiek nie tylko się przedstawia.

- Nie jesteś Rosjaninem! - mówi Kolka obcemu prosto w twarz.

Forell zastanawia się, na ile oszczędnie może obchodzić się z prawdą, żeby nie zostać za kilka porcji machorki sprzedanym. Decyduje się jednak nie kłamać.

- Jestem wojennoplennyj. Giermanskij!

Jakuci w żadnej mierze nie dają po sobie poznać, że odebrało im mowę.

- Dobrze! - mówi Kolka. - Już dobrze.

Jakuci jeszcze raz dokładnie przyglądają się Niemcowi. Nie śmieją się już. I tylko klepią go po plecach: „Dobrze!”. Opowiadają, że na wilki polowali już od wielu dni. Gdzieś wydarzyło się coś z reniferami, a o tym stadzie mówiono, że jest niezwykle duże. Wilki nie są tu codziennością. Coś musiało je przywabić. Oni obaj, Kolka i Alosza, sprawili sobie rozrywkę, wybierając się na wilki.

- Przyszliście na czas.

- Tak, tak. Człowiek nie jest polatuchą.

- Dziękuję wam.

Dużo się śmiejąc, Kolka wyjaśnia, jak wilki atakują człowieka. Rysuje w śniegu porządek bitwy. Jego palce pokazują jak wilki podkradają się, tworzą wielkie U i zaczynają wyścig z zaprzęgiem, nim nadejdzie czas, żeby uderzyć. Potem pokazuje polowanie na człowieka w śniegu - gwiaździsty chód wilków ku centralnemu bezradnemu punktowi.

Forell bierze swój worek i rusza za myśliwymi. Mężczyźni widzą jak powłóczy lewą nogą

- Czy mocno upadłeś? - pyta młodszy.

- Nie - wyjaśnia Forell. - To już dawniej.

Ciekawi są jak sroki i ciągle wypytyują. Czy dobrało się do niego zwierzę, czy spadł z nawisu śnieżnego, czy kuleje od czasu wojny, czy na polowaniu ktoś wypalił w niego ładunek śrutu.

- Spadłem. Opuścił mnie mój towarzysz.

- Z reniferami?

- Tak. Ten typ zabrał mi wszystko.

- Tacy są Europejczycy.

- Ja też jestem Europejczykiem - śmieje się Forell. - Ale ty nie polujesz. Oni polują na ciebie.

Są na miejscu. Kiedy przekraczają załom terenu, wita ich radosne ujadanie psów, które tańczą wokół swych panów. Kolka z widoczną przyjemnością głaszcze na zmianę wszystkie psy, daje im kuksańce, a przy tym chwali i klnie.

- Ty bydlaku! Ty nic niewarty, ty synu najbrudniejszej suki! Będziesz w końcu spokojny, żebym cię mógł zaprzęgnąć! O ty mój najlepszy pieseczku! Ty delikatna mordko! I nóżki masz śliczne. Tak, tak. Bydle niewarte ściągnięcia skóry żywcem! Ty jesteś śliczne zwierzątko!

Psy przyjmują wszystko jako pieszczotę. Potem opiekunowie rzucają im suszone ryby. Kiedy wszystko jest już zjedzone, jęczory oblizują pyski.

Kolka zaprasza na sanie. Są wprowadzić małe dla trzech mężczyzn, ale dobrze nakarmione i wypoczęte psy poradzą sobie. Ruszają. Sanie z reniferami są w porównaniu z takimi sankami luksusowym pojazdem. Po południu docierają do kołchozu, w którym stoi siedem namiotów. Rozpięte są na wygiętych podpórkach i z zewnątrz celowo przysypane śniegiem, żeby powstało ciepło mieszkalnego igloo.

Głosem wędrownego kaznodziei Kolka opowiada nadchodzącym zewsząd ludziom o okolicznościach spotkania z przywiezionym mężczyzną. Nie ma w tym ani słowa po rosyjsku. Wtrącane są pytania i rozlega się śmiech. Forell wielokrotnie słyszy dwa słowa: Friic i Willem.

Niemiec, należący do podziwu godnego narodu, który wynalazł małpę, to w życzliwym ujęciu językowym Rosjan Friic lub Wilhelm. Kolka polując na wilki, odnalazł tego długiego i nieprawdopodobnie interesującego Friica czy Willema.

Forell zastanawia się, jak niebezpieczna może być dla niego gadatliwość rzekomych Jakutów. Jeśli pogłoska o Friicu wędrującym przez kraj przejdzie przez pasma górskie, to o jego egzystencji usłyszy ucho rosyjskiego państwa policyjnego, a wspaniale rozrośnięty system może już w kilka dni zareagować.

Niemiec ciągnie za rękaw Kolkę, by mu powiedzieć o swoich obawach, ale ten nie słucha, za to pokazuje największy i najbardziej imponujący namiot wójta wioski. Mówi z dumą: „To mój dom” i zaprasza do środka. Nie mógłby zaprawdę serdeczniej powiedzieć: „Jesteś pod moją ochroną”.

Aby wejść, Forell musi pochylić się głębiej niż inni. Ach, ten szacowny dom najwspanialszego człowieka ma też najwspanialszy smród w swych ścianach. Niemiec cofa się jak znarowiony koń. Wie, że obrazi gospodarza, jeśli nie zbierze w sobie odwagi do

wejścia. Odsuwa więc drzwi ze skór, ale na początek nic nie widzi. W wąskim przejściu miesza się dym ze światłem. I dymu jest więcej.

Czuje, że wokół niego jest dużo ludzi. Wszyscy w ciszy siedzą na skórach na podłodze. Rozlega się głos starej kobiety, która w wysokiej tonacji mówi słowa powitania lub zaklęcia. Forell nic z tego nie rozumie i nadal niewiele widzi.

Tylko nic do jedzenia!

Kobieta w nieokreślonym wieku podchodzi z miseczką i jakby w zakłopotaniu stawia ją przed gościem. - Pan - woda!

Patrzy na niego co najmniej dwanaście par oczu, a on nie wie, co ma się stać z wodą. Pić? Nie. Pije się z inaczej uformowanych naczyń. Z tyłu za nim ktoś stawia worek z jego rzeczami.

Forell siada tak, jak siedzą wszyscy inni, na podłodze. Wtyka czubki palców do miseczki, tylko odrobinę, żeby cokolwiek zrobić. Coraz lepiej widoczne twarze wkoło okazują zadowolenie. Woda jest do mycia rąk i twarzy. Jej ilość wskazuje jednak na symboliczne znaczenie tego gestu. I rzeczywiście nigdy już, jak długo tu zostanie, nie podadzą mu wody. Na rozrzutność tego typu pozwalają sobie jedynie na powitanie gościa. Jeśli w przyszłości będzie chciał się umyć, może poszukać sobie wody na zewnątrz. Nie jest to zakazane, ale wzbudza wielkie zdziwienie.

Kolka, dla którego nie istnieje nic i nikt w namiocie poza gościem, podaje napój. Koloru w glinianej butelce nie można rozpoznać. Przypuszczalnie jest mętny. Jednak smak, którego obcy doszukuje się dopiero po czwartym, piątym łyku, nie jest przykry. Lekko musujący produkt fermentacji jest napojem alkoholowym, co Forell niebawem czuje w głowie. Potem dowiaduje się, że jest fermentowany z mleka reniferów i suk, na szczęście wtedy nie psuje mu to już apetytu. Znakomicie przygotowana jest ryba, którą Kolka i gość dostają do jedzenia.

W namiocie jest dla Forella miejsce do spania. Kładzie się w futrzanym ubraniu zaraz po posiłku. Człowiek, którego rano ścigało trzydzieści wilków, nie potrzebuje modlić się o zdrowy sen. Gdyby wieczorem nie zasnął tak od razu ze zmęczenia, dziwiłby się brakowi wstydu ludzi, którzy po dwoje nadzy wślizgują się do śpiworów.

Kto jest gościem u Kolki, zażywa we wsi uznania i respektu.

Napojem ze sfermentowanego mleka reniferów i psów częstują w każdym namiocie. Zwierząt dostarczających surowca do przyjacielskiego pijaństwa jest mnóstwo.

Trzymają tu dziwnie małe renifery. Ludzie mówią na nie karab. Forell przekonuje się, jak wybornie smakuje zupa z ich mięsa. Renifery wymykają się wszelkiemu liczeniu,

porządkowi, kontroli i kolektywizacji poprzez brak porządku, co jednak ludzi z wioski w żadnym razie nie pozbawia orientacji. Naturalnie, tacy włóczędzy jak Friic i jego towarzysze, o których jedynie niechętnie opowiada, żywią się z zasobów należących do wioski, co jednak dalece nie ma takiej wagi jak fakt, że nikt nigdy nie może zwierząt policzyć i zaksięgować. Tam, gdzie tak myśli się o kontaktach ze zwierzchnością, zbiegły wojennoplennyj może spokojnie osiąść na kilka dni.

Osobliwością kolchozu są jednak sabaki, psy pociągowe hodowane przez Jakutów. Dobrobyt, jakiego nie zdoła całkiem przykryć gruba warstwa brudu, pochodzi właśnie z hodowli psów. Jest ona oficjalnym szyldem wioski. Ręka państwa, jak opowiada Kolka, już od dawna chce się tu wmieszać. Ale jeśli zwierzchność staje się zbyt natarczywa, zwijają namioty i wioska wędruje gdzie indziej. Siedemset psów, oprócz najcenniejszych samców i koniecznego stada suk, jest wybijanych, a cenna reszta rusza w drogę.

Jak tysiąc kłębków wełny rozrzuconych chłopięcą ręką szaleją psy w potężnych czworokątnych klatkach. Znają swych opiekunów, wiedzą, kto przynosi zarcie. Ujadają we wspaniałym koncercie, kiedy pokaże się Kolka. I wściekają się, jakby ten ich hałas był wystudiowany, kiedy po raz pierwszy pokazuje się obcy człowiek. Kolka może sobie wyjaśniać, ile chce. Wśród pobudzonego ujadania Forell nie rozumie ani słowa, ani jednej liczby z rachunku, jaki tu się otwiera dla wartości i ceny zaprzęgu z jedenastu, trzynastu czy piętnastu psów. Ceny wydają się być wysokie, bo Kolka promienieje na twarzy. Dobry pies prowadzący wart jest najwięcej. Ale psy prowadzące mają też bardzo ciężko u ludzi Kolki, póki po wielomiesięcznej pracy wolno im nareszcie złożyć egzamin dojrzałości.

Cóż to za człowiek ten Kolka? Nie tylko kobiety są mu posłuszne na jedno skinienie. Kiedy przychodzi i rozkazuje, milkną wszystkie psy.

- Jutro - opowiada Kolka obcemu - muszę na krótko udać się w drogę. Ze śniegiem jest już marnie. Nie da się tego odsunąć. Jednak czuj się w namiocie jak w domu i w żadnym razie nie wyjeżdżaj, zanim nie wrócę.

- Wyjechać? Czymże?

- O! Będziesz miał dobrą podróż.

Forell uważa, że to miłe, iż nie postawiono mu tak od razu butów przed wejściem do namiotu. Co z nim będzie dalej, nie ma odwagi myśleć. Kolka zaprzęga trzynaście zwinnych jak łasice psów do furki. Na odjezdnym poleca, by Friic także w czasie jego nieobecności był traktowany w sposób, jaki należy się gościowi.

Mężczyźni są dobrzy. Uczą go zakładania wnyków i zabierają ze sobą na ryby. Lód jest już łamliwy i niebezpieczny, ale Jakuci wchodzą na niego zuchwale i z dziur w lodzie

wyciągają ryby, jakby sięgali do wypełnionej nimi beczki. Kiedy pogoda nie zaprasza do wyjścia, siedzą na pokrytej skórą podłodze i gadają. Godny podziwu jest ich stale dobry humor i mocne głowy. Podczas gdy mężczyźni cudownie otaczają się słowami, kobiety ustawicznie zszywają skóry.

Forell każdego dnia jest gościem w innym namiocie. Wielkodusznie pobłażają mu, że jest inny, ponieważ przy psach, przy rozbieraniu mięsa renów i przy rybaczeniu oszczepem obcy wykazuje tyle syberyjskiego doświadczenia, że można mu spokojnie pozwolić pracować. Kto umie pracować, wart jest szacunku, nawet jeśli ze swych umiejętności nie robi użytku na co dzień. Ważne, że w decydującym momencie da z siebie wszystko.

Kiedy mężczyźni siedzą wokół glinianego dzbana, może nawet przyjść burza i zwalić namiot, a oni zauważą to dopiero po wielu godzinach. Są skorzy do śmiechu, kobiety też gruchają. Forell nie ma pojęcia, jak są ze sobą powiązani, bo kobiet jest co najmniej trzy razy tyle co mężczyzn. W namiocie Kolki jest jedna pięćdziesięcioletnia, która nie może być jego matką i zwracają się do niej jak do żony, ale Kolka sypia z młodszą. Pięćdziesięcioletnia jest niewidoma. W kołchozie jest więcej takich kobiet. Ludzie mówią, że to z powodu dymu w namiocie i ustawicznej ciemności, bo kobiety rzadko wychodzą z namiotu. Forell ma inne zdanie, ale wspólne życie z tymi ludźmi i jedzenie z nimi ze wspólnej miski lepiej smakuje, gdy gość nie zajmuje się zbyt intensywnie takimi zależnościami.

Wszędzie jest dużo dzieci. Byłoby ich jeszcze więcej, uważa Alosza, ale wiele umiera zaraz po urodzeniu. A kiedy jedno z nich przychodzi na świat, nawet Friic, który akurat siedzi w namiocie i popija z innymi mężczyznami, nie jest wypraszany na zewnątrz. Po pewnym czasie, kiedy już nie ma wątpliwości, co się dzieje, jest za późno, by salwować się ucieczką. Kobieta odsuwa zszywaną właśnie skórę i wzdycha. Mężczyzna, który pewnie jest jej mężem, o coś ją pyta. Po odpowiedzi wydaje polecenia dwóm innym kobietom mieszkającym w namiocie. Wtedy wyprowadzają tłoczące się dzieci. W namiocie stoi mniej więcej metrowej wysokości drewniany słup. W innych namiotach odwiedzanych przez Forella takiego słupa nie ma, a także dwóch niskich kołków.

Friic nie powinien się przejmować. Tak to już jest. Ale Forell nigdy nie widział porodu, bo przez cały czas swego małżeństwa jest żołnierzem. W surowych warunkach obyczaje też są surowe. Nikt tchórzliwie nie unika zdarzenia. Rozmowa staje się bardziej przytłumiona. Mężczyzna, do którego należy kobieta, jest wzruszająco troskliwy. To słyhać w każdym słowie, którego sens leży w kochającej melodii. Mężczyzna nie chce być pomocnikiem. To robią kobiety. W miarę możliwości zasłaniają widok tego, co się dzieje. Dwa grubo odziane ciała kobiet tworzą zasłonę, która nie chroni jednak przed spojrzeciami.

Rodząca kobieta rozbiera się, potem bierze do rąk rzemienią pętlę od wysokiego słupa. Mężczyźni rozmawiają. Forell nie rozumie z tego ani słowa. Zazdrości siedzącym plecami. Choć nie chce patrzeć, kątem oka widzi, jak rodząca kiwa ręką żeby podać jej rzemienią pętlę, bo wysunęła się z ręki. Potem zapiera się ze wszystkich sił nogami o małe kołki.

Forell wyciera sobie rękawem pot z czoła.

Jęk rodzącej jest zawsze tylko krótkim, niemal gniewnym mruknięciem, jakby złościła się z powodu bólu. Nagle robi się głośniejszy, odstępy są krótsze, a mężczyźni przestają mówić. Obie kobiety kipią od gadatliwości, by po chwili głośno zawiadomić siebie i innych, że na skórach leży już dziecko. Ale teraz mężczyźni zaczynają się przechwalać, przekonani o swej męskiej przewadze, że to chłopiec. A potem dziwią się temu, że spośród dzieci niewiele tylko poznaje dzikie szczęście reniferów i psów, i namiotów!

Rzemyki do podwiązania pępowiny nie sączyściejsze niż futrzana torba, z której zostają wyciągnięte, a nóż do odcięcia może być tym, którym wczoraj rozcinano cielaka renifera. Zręczne ręce zwijają resztkę pępowiny w ślimak. Szeroki na dwa palce pasek futra zawiązany zostaje wokół noworodka tak, że węzeł wciska pępek w ciało. Każdemu mężczyźnie w namiocie wolno szybko rzucić spojrzenie na malca. Potem jedna z kobiet wynosi go z namiotu, gołego, nie licząc futrzanego rzemyka. Forell wciąż ma jeszcze ochotę uciec. Teraz jednak rozwrzeszczani z zachwytu mężczyźni odczuwają potrzebę puszczenia w krąg glinianej butelki. Po mniej więcej dwóch godzinach przynoszą czystego noworodka. Mężczyźni twierdzą że obtarto go jagnięcymi skórami. Na oczach wszystkich odbywa się poród łożyska. Potem następuje sprzątanie miejsca porodu, a kobiecie podają dziecko.

Matce trudno podnieść się po wysiłku ostatnich godzin. Jest bardzo zmęczona. Jej palce skubią skórę, którą zaczęła zszywać przed rozwiązaniem. Wzdycha. Ale kiedy po raz pierwszy przystawia dziecko do piersi, każdy ruch wykonuje z taką delikatnością że mężczyźni na palcach wychodzą z namiotu.

Po jedenastu dniach wraca Kolka.

Psy pędzą przez śnieg dumniej niż konie, a Kolka prawdziwie wspaniałym gestem wskazuje kobietom, by wniosły do namiotu rzeczy, które kupił lub wymienił. I opowiada, jak było pięknie, a psy zrobiły tak znakomite wrażenie, że zapłacono za nie jeszcze więcej niż poprzedniej jesieni. Potem dostrzega gościa. Przy tym wzroście nie można go przeoczyć. Nagle na zwykle uśmiechniętej twarzy pojawia się zmarszczka niezadowolenia. Forell rozumie, że przeszkadza. Kolka widocznie przez całą podróż już o nim nie myślał i pewnie miał nadzieję, że go po powrocie nie spotka, jakkolwiek przy odjeździe powiedział wyraźnie, że Forell ma zostać.

Następnego dnia są u psów. Kolka tłumaczy, że jeśli psy sprzedaje się jako szczeniaki, to nie jest to dobry interes. Ale za dorosłe psy, które już nie zdechną po kastracji lub na zarazę i które widziały Syberię także w zimie, płaci się wielokrotnie wyższą cenę.

- Teraz chcą hodować konie, ci głupcy! Jakby dla tego olbrzymiego zwierzęcia było u nas miejsce na drogach, których trzeba samemu szukać! - śmieje się Kolka i udaje junaka.

Forell czuje, że mężczyzna celowo zabrał go ze sobą, rezygnując z innego towarzystwa. Czas na pożegnanie. Tak przecież musi być. Nagle Kolka odwraca się do niego.

- Jak nazywał się człowiek, który pozostawił cię samego? - Grigorij.

- Może nie nazywał się Grigorij.

- Można założyć. - I polowaliście?

- Całą zimę.

- Bardzo dużo zdobyczy, jak mi mówiono.

- Wiesz coś o tym?

- I co razem ukradliście? Złoto!

Forell opowiada, jak to było ze złotem, jak przez całe lato płukali je, niewiele znajdując. Potem mówi o bryle złota Grigorija, ze wszystkimi szczegółami. To jest prawda i dla ucha Sybiraka brzmi ona wiarygodnie.

- Nie zostaniesz już u nas długo - konstatuje Kolka.

- Pójdę dalej. Tu nie jest mój dom.

- Mówi się wprawdzie, że już nie żyjesz. Ale szukają cię. Byłem w mieście. Wiesz przecież.

- Jakież tu jest miasto?

- Nie tutaj. Tam - pokazuje. - Ajan.

- Gdzie to jest?

- Nad morzem.

- Szukają mnie?

- To źle. Jeśli będą ciekawi, sami zechcą zobaczyć, co robią nasze psy. Wtedy bardzo szybko się dowiedzą że byłeś u nas. Tak czy tak znam lepsze miejsce. Pójdziemy z wodą.

Jak trzeba rozumieć to „pójście z wodą”, Forell już się nie dopytuje. Może to być celowo fałszywa wskazówka, na wypadek gdyby Rosjanie pewnego dnia dostali go i próbowali wycisnąć bardzo zręcznie kilka informacji.

Tymczasem Kolka ciągnie rozmowę dalej.

- Powiedziałeś mi prawdę. To dla mnie miłe. Wszystko już wiedziałem. Rosjanie też to wiedzą. Wszystko od tego Grigorija, czy jak się tam nazywa.

Forell robi się biały.

- Możesz dziękować Grigorijowi, że zabrał ci wszystko i pozostawił wilkom. Musiał być głupim człowiekiem.

- Być?

- Rozstrzelali go, kiedy usłyszeli to, co chcieli wiedzieć. Musiał być bardzo głupim człowiekiem. Czyż idzie się do Rosjan, jeśli zbiegło się z kopalni złota?

- Miał przecież na podorędziu papier, że jest myśliwym. A papier podpisany był przez towarzysza Lederera.

- To kosztowało go życie. Nie ma już towarzysza Lederera. Jako skazaniec pracuje w kopalni złota. Jeśli ktoś powołuje się na martwego człowieka, łatwo sam może nie żyć. Dopytywałem się o to tylko dlatego, że Rosjanie chcieli wiedzieć, czy widzieliśmy myśliwych, wśród których był Niemiec. Możesz być spokojny. Nie widzieliśmy żadnego Niemca. Rosjanie także właściwie nie wierzą, że jeszcze żyjesz. Rozstrzelali tego Grigorija, czy jak on się nazywał, ponieważ zabił kilku ludzi, także ciebie, ponieważ działał wspólnie z Ledererem, ponieważ uprawiał sabotaż, ponieważ ukradł złoto, ponieważ uciekł ze złotonośnego pola.

- Był wrednym typem, ale właściwie na koniec zachował się wobec mnie przyzwoicie.

- Możesz później nad nim zapłakać. Kiedy chcesz odejść?

- Jutro.

- Pojutrze. Najpierw potrzebujesz nowych rzeczy.

- Jakiego kierunku mam się trzymać, żeby nie wpaść Rosjanom w ręce?

Kolka już nie odpowiada. Zajęty jest myśleniem. Przechodzą obok psów i przyglądają się przez chwilę odprowadzanej parze. Kolka objaśnia, jaki jest najlepszy typ psów. Rozmawiają o wiosnie. Forell odzyskuje kolory na twarzy i z zainteresowaniem bada z Kolką psy.

Kiedy znów są wszyscy razem przy namiotach, Niemcowi zdaje się, że ludzie zachowują wobec niego większy dystans. Już nie wołają ze wszystkich stron Friic, kiedy się pojawia. Kolka pewnie już opowiedział. Nastrój nie jest wrogi, na twarzach widać raczej współczucie, kiedy Forell mówi, że pojutrze pójdzie w swoją drogę, żeby niebawem dotrzeć do granicy.

W namiocie Forell rozkłada swoje rzeczy, by wyrzucić to, co mogłoby go niepotrzebnie obciążać. Są wśród nich wleczone dotąd bez żadnego celu naboje śrutowe. Z braku zaufania podzielili się przecież bronią - Grigorij niósł puste strzelby, żeby nie ulec pokusie morderstwa, a Forell amunicję.

- Mogą ci się przydać - mówi do Kolki, podając mu pierwszą garść naboju.

Twarz Jakuta rozjaśnia szeroki uśmiech. Rosjanie bardzo skąpią hodowcom psów amunicji. Strzelać mają tylko myśliwi.

- Masz tego jeszcze więcej?

- Obawiam się, że już nigdy nie będę miał strzelby. - Nie. Broni palnej z pewnością już nie dostaniesz.

Ze wszystkich zakamarków i kieszeni ubrania Forell wydobywa z sześćdziesiąt naboju i ku zadowoleniu Kolki wysypuje wszystkie na skórę.

- Masz zupełną rację, Piotr. Ciebie zastrzeliliby zupełnie tak samo jak twego przyjaciela, Grigorija, bo takich rzeczy nie wolno ci mieć. Wojennoplennyj i amunicja. Nie wolno. Baliby się, że wojennoplennyj zrobi nabojami śrutowymi rewolucję na Syberii.

Zadowolony z bogatego podarunku Kolka, obiecuje w zamian wszelką pomoc. Każę Piotra wyposażyć jak księcia, chociaż kolchoz, ze strachu przed rosyjskim węszeniem, musi udać się na wędrowną.

Forell dostaje wszystko, na co tylko może zdobyć się wioska hodowców psów. W przyszłości będzie także nosił futrzaną koszulę i wysokie buty wiązane rzemieniem nad kolanami. Jego odzienie jest szmatławe i nędznie wykonane, męska robota. Człowiek nie może chodzić w takich ciężkich rzeczach, lecz musi nosić dobrze wyprawione ubranie, które jest bardzo ciepłe w czas zimowy, ale w letniej spiekocie nie jest uciążliwe. Futrzana koszula, jak mu wyjaśnia Kolka, to najcieplejsze i najchłodniejsze, co istnieje. A potoki, których podeszwy wytrzymują chodzenie przez dwa lata, są w cholewach tak miękkie jak skóra nowo narodzonego jagnięcia. Jakkolwiek przesadnie Kolka to przedstawia, słowa dotrzymuje.

Naboje czynią cuda, ale amunicja w żadnym razie nie waży tak wiele u człowieka mądrości Kolki. We wszystkim skłonny jest do przesady - w śmiechu, gościnności, przedstawianiu biedy, jakiej napytano siebie ukrywaniem uciekiniera i w przedstawianiu wspaniałego wyposażenia, jakie podaruje obcemu. Wszystko to nie jest tak cenne, co mu nakładają. Skóry nie znaczą niemal nic. Szyć muszą kobiety. Jedzenia mają pod dostatkiem, tak więc pojedynczemu człowiekowi można z przyjemnością coś zapakować na podróż, zwłaszcza pałami. Smakuje dobrze i jest pożywne. Suszone na powietrzu placki z siekanego mięsa, ryby, prosa i mąki nie zajmują wiele miejsca i nie ważą zbyt dużo w bagażu. Mimo to worek, który szyją kobiety, puchnie.

- Jesteś dobry w chodzeniu?

- Będę próbował.

- Do granicy jest daleko. Możemy ci tylko pomóc w tym, żebyś poszedł.

- Za to jestem wam wdzięczny.

- Robi się lato. Boisz się strumieni, rzek. Wiem. Ale bez wody nie ma ryb. A bez ryb długo nie pożyjesz. Zanim zwierzyna wpadnie ci w sidła, sto razy złapiesz rybę. Z wodami jest tak: nim ryba chwyci, już przyjdzie ci pomysł, jak przedostać się przez wodę. Kiedy mocno popada, rzeki są szerokie. Wtedy będziesz musiał czekać. Na czekanie masz zawsze czas.

- W ten sposób minie lato, a ja przecież chcę do domu.

- Piotr, dlaczego tak szybko? Jeśli nie możesz czekać, będzie z tobą źle.

- Co mam robić, jeśli natknę się na ludzi?

- Pozdrowić i iść dalej.

- Syberia jest nieufna.

Kolka patrzy na gościa tak tajemniczo, jakby miał go dopuścić do nieznanego dziedzictwa.

- Syberia jest krainą której nie znasz. Jest nieufna. Masz rację. Syberia jest miłosierdziem.

Śmiejący się, hałaśliwy Kolka pozwala obcemu zajrzeć w zakamarek swego serca. Ma jeszcze dziesięć tysięcy takich nieotwartych zakamarków. Ten długaśny facet, na którego musi patrzeć do góry, zdobył jego sympatię.

- Idź tylko tak, jak chcesz iść, Piotr! Nawet jeśli cię wyszykujemy na nowo, niedługo będziesz wyglądał jak biedak. Kiedy prześpisz pięćdziesiąt nocy wśród mchów i w lesie, będziesz znów wyglądał jak przedtem. To dobrze. Jeśli ktoś cię zapyta, dokąd idziesz, a pytający będzie miał złą twarz, to nie podawaj mu kierunku! Będzie cię pytał, co robisz. To mu powiedz, że jesteś skazańcem i musisz tam czy tam do pracy. Nawet jeśli człowiek będzie miał bardzo złą twarz, pozwoli ci odejść i będzie patrzył za tobą ze współczuciem. Żadna kraina nie jest tak miłosierna jak Syberia. Ale nigdy nie mów, że jesteś wolnym człowiekiem! Inaczej nie będziesz już długo wolny. Syberia jest nieufna.

- Wiem.

- Niczego nie wiesz.

- Masz kamień do mojej puszki? Mój się kończy.

- Trzeba mieć puszkę do rozpalenia ognia, wędkę do łowienia ryb, kilka sideł, żeby mieć też mięso. A każdemu musisz mówić, że jesteś tu za karę. To da ci chleb do twojej ryby.

Kolka daje mu knot i krzemień, zanim kładą się spać. Rano przed namiotem ujada piętnaście psów. Kolka rozgląda się badawczo po okolicy, gdzie leży już niewiele śniegu. Daje Aloszy wskazówki na drogę, każąc załadować worek z rzeczami Niemca na furkę.

- Jestem gotów, Kolka - Forell jest smutny.

- No to w drogę! Alosza przeprowi cię przez rzekę. Nie gadaj wiele z ludźmi! Twój rosyjski jest słaby. Ale kolor twojej twarzy jest dobry. I zawsze musisz tak smutno spoglądać ludziom w twarz. Smutek jest lepszym życiem.

Mężczyźni z namiotów śmieją się z tego, jak wyszykowali Friica. Wczoraj jeszcze obcięli mu brodę i skrócili włosy. Spod zaniechanego runa wyłoniła się twarz, która samemu Forellowi jest obca. Niemiec żegna się z ludźmi i razem z Aloszą wsiada na sanki. Śnieg jest zlodowaciały, gruboziarnisty, niebezpieczny dla psów. Jednak te radzą sobie całkiem dobrze.

Po południu na drodze przybywa śniegu. Forell musi zejść i biec za sunącą. Później także Alosza zeskakuje z sań i obaj mężczyźni udeptują miękkiego śnieg przed zaprzęgiem. I tak na każdym wznoszącym się odcinku trasy. Gdy Alosza każe psom zatrzymać się, by móc rozłożyć biwak, Forell ocenia, że przejechali najwyżej pięćdziesiąt wiorst.

Następnego dnia Alosza budzi Niemca bardzo wcześnie. Po niecałej godzinie dojeżdżają do rzeki. Woda głośno napływa przez potężny skalny nawis i bulgocze w głębokim wcięciu doliny. Kanion ma czterdzieści metrów szerokości, których na drugi brzeg nie ma czym pokonać. Nie. Nie ma najmniejszej możliwości, żeby dostać się na tamten brzeg i kontynuować podróż. Alosza rozkoszuje się bezradnością Niemca, bo dobrze wie, jak przejść przez rzekę. Piętnaście kilometrów wyżej w zalesionym jarze, gdzie woda jest niemal nieruchoma, znajduje się ciągle tyle starego lodu, że nie tylko człowiek z bagażem przejdzie na drugi brzeg, lecz przeprowi się nawet zaprzęg z dwoma ludźmi.

Cała wielka płyta lodowa kołysze się i ustępując, wyciska z jednej strony trochę wody na wierzch. Alosza jednak ubezpiecza, znajdując na drugim brzegu miejsce, gdzie przeskoczenie na ląd nie będzie niebezpieczne.

- Weź to! - mówi Alosza, podając parę myśliwskich nart. - Pójdiesz na nich lepiej, zwłaszcza po grząskim.

- Dzięki, Alosza.

Forell zna takie narty. Ale nigdy dotąd nie były tak lekkie jak piórko. Całość nie waży nawet kilograma.

- Tu są twoje rzeczy. Kolka kazał życzyć ci szczęśliwej podróży. Ale czekaj jeszcze! - Alosza wraca i wypręga psa, który do tej pory biegł jako drugi za psem przewodnikiem. - Tego daje ci Kolka na drogę. Nie musisz się bać, Piotr. Pies zjada głowę i ości od ryby, podczas gdy cała reszta zostaje dla ciebie. Pies zawsze da ci znak, gdzie jest niebezpiecznie. Tak powiedział Kolka. I kazał ci życzyć szczęśliwej drogi.

Alosza daje znak psu, że ma iść z Piotrem, a sam zawraca zaprzęgiem. Po kwadransie słyhać ostatnie echo okrzyków poganiających psy.

Gdy człowiek i pies są już do siebie przyzwyczajeni, Forell rozpoczyna cudowną podróż ku latu.

Spadek po wiosce hodowców Niemiec nazywa Willemem, bo pies musi mieć imię. Friic i Willem wędrują więc razem. Dobór imienia jest dobry, choć Willem jako pospolity bastard - co do jego pochodzenia Forell nie ma wątpliwości - jest zwierzęciem warkliwym i opornie przyzwyczajają się do współżycia z jednym tylko człowiekiem.

Kierunek na zachód powinien być właściwy, a małe odchylenie na południe nie zaszkodzi. Forell próbuje najkrótszej drogi. Pies jest za osiągamy dwudziestokrotnymi i wciąż biega wkoło człowieka. Potem wsuwa pysk pod rękę: „Możesz mnie trochę podrapać, dwunogi, skoro dzień jest taki piękny, a leśne zarośla tak ciekawe”. Wtedy Forell drapie trochę łeb i opowiada Willemowi, co myśli, jak znajduje dzień, jak nieprzyjemnie wpijają się w ramiona rzemienie worka, że nie jest pewien kierunku, jaki trzeba obrać, a na kolację nic nie ma, poza odrobiną palemi.

- Ale z połowy placka palemi i ty będziesz chciał dostać połowę. To niedobrze.

Pies w odpowiedzi parska i zrywa się, by przeszukać okolicę.

Wieczorem zmęczony człowiek musi, choć tak pięknie byłoby poleżeć leniwie na mchu, zrobić jeszcze jedną rundę z psem i wyłożyć kilka wnyków tam, gdzie Willem węszył z takim zapalem. Dla pewności, że potem nie przeoczy swoich siatek, Forell zakłada znakowanie. Kiedy się budzi, jest jasny dzień. Nadające się do upolowania zwierzęta dawno poszły się paść. A pętle są puste.

- To źle, Willem. Kalendarz znów przewiduje post. Czy mamy wielki tydzień, że dni postu następują jeden po drugim? Pilnuj, żebyś coś znalazł! To mój palemi starczy na jeden dzień dłużej.

Willem rzeczywiście coś potem znajduje.

Odkrycie koło wybiegającego daleko korzenia drzewa poprzedziła, jak się zdaje, nocna tragedia. Forell przeszedłby o dwadzieścia metrów obok, nie zauważając sprawy, gdyby nie obszczekiwanie psa. Długie jak ręka zwierzę futerkowe, unieruchomione przez ogryzienie lub uderzenie, bo kilka krwawych kręgow wystaje z ciała, broni się przed Willemem ostatnimi siłami i wściekle ukazuje zęby. Pies zachowuje się jak oszalały i nie wie, jak podejść, by nie oberwać pazurami przednich łap. Psy pociągowe kształcą się w innych dyscyplinach. Forell przytrzymuje psa i laską cztery razy uderza zwierzę w głowę. Potem ostrożnie podnosi cuchnące ostro ścierwo.

Futro jest nic niewarte już choćby z powodu późnej pory roku. Zostaje zdjęte w kawałkach i wyrzucone, gdy Forell wydobywa dla psa użyteczne mięso.

Jeśli tylko bydlę odrobinę mniej przenikliwie śmierdziało, Forell zastanowiłby się, czy nie przygotować z tego posiłku na ognisku. Skąpi swych palemi, ale tym razem nie zaoszczędzi własnych zapasów. Nawet Willem nie bierze się za to z przekonaniem.

Miejmy nadzieję, że rano coś znajdą w pętli.

Ale rano pętla znów są puste. Niech sobie będą.

Forell budzi się przed świtem. Ponieważ zapowiada się dzień z czystym niebem, wskazane jest zebrać wnyki zupełnie rano, zarzucić worek i iść. W taki dzień, gdy ostatnie resztki śniegu pośpiesznie zastępuje susza, powietrze już przed południem robi się bardzo gorące. Z tym chłodem, jaki Kolka wychwalał, w futrzanym ubraniu nie jest jednak tak znakomicie. Idzie się przyjemniej, ale nie w samo południe.

Teraz, godzinę przed wschodem, jest dobry czas.

Przy strumieniu szeleści sucha trawa z poprzedniego lata, przez którą od kilku dni wychyla się młoda. Forell wędruje w dół. Przed sobą ma równinę tak daleko, że nie widać, w co przechodzi teren. Willem biega obok swego pana, rozglądając się badawczo wokół. Świt się rozplywa, podnosząc po kolei wszystkie zasłony. Pierwszy ukazuje się zakurzony fiolet, jak ze starych paramentów. Od dołu zasnuwa go ołowiany cień. A nad wędrującym człowiekiem rozlewa się płonąca siarka.

- Że też pozwala się na tyle kiczu naraz - śmieje się Forell, patrząc na niebo.

Potem śmiech znika mu z ust, które nie domykają się ze zdziwienia.

Sucha trawa z zeszłej jesieni płonie!

Równie przestraszony co Forell jest pies. Ogień pędzi po buszu jak rozdmuchiwany potwornym oddechem. Piekielny ogień, który samotny człowiek przegapił, śmiejąc się z miłego boskiego obrazka. W jednej chwili zapala się wszystko, co wyrosło. Wędrowiec cofa się o krok i patrzy szeroko otwartymi oczami na płonąca trawę, jakiej jeszcze nigdy nie widział. Pali się niespokojnym płomieniem aż po skraj horyzontu.

Forell na chwilę wstrzymuje oddech. Ogień wystrzelający nad trawą przybiera naturalne i dające się pojąć barwy, kiedy krwawa tarcza słońca zawisa tak wysoko, że pożar jest już zaledwie rozplywającym się wschodem słońca, który przez kilka sekund rozpałił w sobie samym ogień. Budzi się żółtomosiężny dzionek.

Następnego dnia człowiek i pies znów wyruszają przed świtaniem, aby dać się pobudzić przez pożar traw.

Potem nadchodzi czas, kiedy pada deszcz, długo i obficie.

Bywają dni, które nagle są tak przepełnione duchotą, że pod futrzanym odzieniem Forell czuje spływający po plecach pot. Zna już te gwałtowne burze, które suną wzdłuż łańcuchów wzniesień. Jeśli wtedy nie zetnie kilku kijów i nie zrobi ze swego futra dachu nad skulonym ciałem, to w kwadrans jest tak przemoknięty, że cały dzień musi wszystko suszyć na słońcu. Strumień, który przed burzą dałoby się przeskoczyć, wzbiera brudną wodą i całe dni nie można przejść. Wtedy najkorzystniej jest zejść w dół z jego biegiem, nawet jeśli w ten sposób trudno utrzymać kierunek.

Niekiedy nocami, gdy wszystko wokół zdaje się być spokojne, Willem niespodziewanie wpycha śpiącemu wilgotny nos w dłoń. Chrapanie milknie. Forell kładzie psu rękę na grzbiecie. To gest pytający: „Co jest?”. Willem przestępuje z łapy na łapę. Zmiany są tym szybsze, im bliżej jest obca istota, ale nagle w ciemności zawisa tyle napięcia, że wszelki ruch ustaje.

Forell rzadko dowiadyuje się, co to jest. Willem nie zdradza ani siebie, ani swojego pana. Dostatecznie często napominano go, że ma się zachowywać cicho. Więc tylko nasłuchuje i patrzy w kierunku, z którego może coś nadejść. Dopiero jak niebezpieczeństwo przestaje zagrażać, kładzie się płasko na ziemi, a potem znów śpi.

Pewnego dnia po dwóch godzinach marszu Forell wychodzi z lasu i dostrzega stojące poniżej domy. Jest ich szesnaście, i jeszcze kilka długich budynków.

Tak wyglądają kołchozy.

W kołchozach żyją zorganizowani i wytresowani ideologicznie ludzie. Spotkanie z nimi oznacza zagrożenie. Gdyby w tych dniach łowienie ryb w strumieniu nie było tak konieczne, Forell wróciłby do lasu i obrał mniej niebezpieczny kierunek.

Ale cóż to takiego? Ziemiaki? Czy można je uprawiać w tak nieprzyjaznej strefie klimatycznej?

Będzie się jednak opłacało podejść bliżej osiedla, ale trzeba to zrobić, póki teren daje wystarczające ukrycie. Willem zdaje się rozumieć, że skoro człowiek idzie ostrożnie, niewskazane jest przedsięwzięcie dodatkowych wycieczek. Pozostaje obok Forella i nie wysuwa się ani o krok.

Ludzie mają tu krowy, które pasą się na prawdziwej trawie, a nie jak renifery na mchu. A psy szczekają bezsensownie w powietrze deszczowego dnia, bardziej z przyzwyczajenia niż z prawdziwej nieufności. W takim miejscu nie zbiera się bogactw, ale na dużych powierzchniach rosną ziemiaki. A te zagony tam na zewnątrz wyglądają, jakby uprawiano warzywa. Takiego rolniczego ryzyka nie podejmuje się w dolinie bez powiązań z innymi osiadłymi w okolicy ludźmi. Forell nie chce iść do kołchozu, ale im dalej chyli się

dzień, tym podchodzi bliżej, uważnie obserwując psa, który da znać, jeśli ludzie pracują także poza polem. Pies jest nadal spokojny. A człowiek postanawia kraść.

To jego prawo.

Zupełna ciemność każe długo na siebie czekać.

Tam, po tamtej stronie domów, jest ślad, który przypomina wyjeżdżoną drogę. To jest pępowina, która łączy kołchoz z większą wspólnotą ludzi. Tam jest niewątpliwie najniebezpieczniejsze miejsce.

Zwariowany kraj, gdzie na pustelni największych bezdroży ludzie próbują w ciągu trwającego trzy miesiące lata wycisnąć z ziemi zbiory. Ale gdy ziemia daje, to daje wszystkim, także człowiekowi, którego sprowadził tu jedynie przypadek. Jeden jedyny raz Forell chce ziemniaków. Mięso, choć zawsze go było zbyt mało, już mu się przejadło i od dawna odczuwa skutki jedностajnego odżywiania. Ziemniaki, ten jeden jedyny raz!

Pies, nieoceniony prezent Kolki, zachowuje się spokojnie, gdy Forell w ciemności podkłada się do zagonu ziemniaków. Jednak w ziemi, skoro łąty są wysokie dopiero na pięćdziesiąt centymetrów, może nie być nic, jak tylko sadzeniaki z wyrosniętymi oczkami, o których wie, że jesienią wydobywane są z ziemi czarne, wodniste i nadgniłe, dla ludzi niejadalne. Ponieważ pora roku jest wczesna, złodziej może liczyć na to, że sadzeniaki nadają się jeszcze do jedzenia. Zaczyna kopać rękoma i trafia na pierwszy ziemniak. O! Twardy. Nie wolno tylko plądrować z brzegu, gdzie od razu będzie widoczny.

Po przeoraniu pazurami trzydziestometrowego odcinka Forell ma w owczej skórze tyle ziemniaków, że wystarczą na trzy razy. Beztrąsko wraca tą samą drogą i w połowie wysokości stoku szykuje legowisko, ciesząc się, na jawie i we śnie, na posiłek, który przygotowuje sobie za dnia, gdy ogień go nie zdradzi. Rano chwilę szuka odpowiedniego miejsca, a potem przyrządza ziemniaki.

Soli ma niewiele, a ziemniaki są słodkie. Ale i tak smakują wspaniale. A Willem ma o tym nowym jedzeniu takie samo zdanie co jego pan, choć dostaje tylko zwęglone łupiny.

- Ale smakuje, co, Willem?

Pies potwierdza.

- Mamy jeszcze na dwa razy. My w domu nie żyjemy tak bogato jak wy na Syberii, mój drogi. Reguła jest u nas mały sznycelek i dużo ziemniaków.

Forell postanawia zostać kilka dni w tej dobrej okolicy. Przed wieczorem jeszcze raz piecze ziemniaki i syty nie czuje w sobie żadnego pociągu do przygód. Ale chcąc się zaopatrzyć na dłużej, musi znów wyruszyć w stronę kołchozu. Cały dzień przyglądał się, jak

odwiedzane są poszczególne budynki i wie, gdzie umieszczone są narzędzia i maszyny, a także gdzie leżą zapasy.

Psy w kołchozie ujadają dniem i nocą nie zwraca więc szczególnej uwagi wzmagająca się z powodu nieproszonego gościa wrzawa. Willem zapomina o wszystkich razach, jakie dostał w czasach nauki, kiedy otwiera się wspaniała możliwość bójki. Ktoś wymyśla walczącym psom przez okno i zabijaki kontynuują awanturę po drugiej stronie budynku, ku zadowoleniu złodzieja, który dopiero po długim szukaniu znajduje wejście. Hałas psów bardzo się przydaje, żeby nie ściągnąć na siebie pogoni. W ciemności Forell potyka się o próg i pada jak długi. Na co mu mąka? Pełno jej tutaj.

Aha! Piekarnia!

Myszy uciekają. Kiedy gryzonie muszą zadowolić się mąką to smaczniejsze rzeczy są szczelniej zamknięte. Na pewno jest magazyn, gdzie znajduje się także słonina i masło do chleba. Forell odstawia swój worek, żeby drugi raz nie upaść tak niemiło na plecy. Kiedy próbuje otworzyć drzwi prowadzące, jak się domyśla, do szlachetniejszych bogactw, okazują się zamknięte. Długi nóż jest dobrym kluczem, ale za jego pomocą nie da się otworzyć bez śladów. Kiedy zastanawia się, czy użyć siły, czuje przeciąg. Ktoś wchodzi. Szybko odstawia worek na bok i tak wciska się między wysokie worki a ścianę, że nawet przy świetle nie od razu można go zobaczyć.

Ale ten drugi w magazynie zachowuje się dziwacznie. Forell widzi, jak manipuluje przy tych samych drzwiach, które on próbował otworzyć długim nożem. Człowiekowi obeznanemu z miejscem udaje się to po jakimś wysiłku. Unosi po prostu drzwi w zawiasach. A teraz, będąc w pozbawionym okien pomieszczeniu, zapala małą lampkę tranową. Przez szparę w drzwiach widać to dokładnie.

Ach, on też kradnie!

Niemiec przygląda się wszystkiemu, co tutaj nagromadzono. W świetle widać błyszczące solą boki słoniny, faski masła, olej, beczki z rybą ser i machorkę. Ciekawość za szeroko popycha jednak drzwi i naraz plądrujący magazyn czuje, że ktoś za nim stoi. Odwraca się i patrzy bezradnie na wysokiego mężczyznę.

- Stoj! Kto?

Złodziej ma w obu rękach pełno kradzionych rzeczy.

- Co ci przyszło do głowy, żeby tu kraść? - Forell postanawia zachowywać się tak, jakby pilnował porządku.

- Litości, gospodin*!

Z przepełnionych rąk wypada kilka puszek.

- Kradłeś?

- Tak, panie.

- Pracujesz w kołchozie?

- Tylko latem. W zimie pracuję gdzie indziej. Budowa dróg.

- Jesteś sztrafnikiem?

- Tak, panie.

Forell, choć bardzo już obszarpany w czasie wędrówki, wygląda ze wszech miar korzystniej od starego ze skradzionymi

* Tak w oryginale. W tym czasie zwrot oznaczający „pana” nie był jednak używany - przypis tłumacza. rzeczami. Nie jest pewien, jak wyjść z tej sytuacji. Ale nie zamierza rezygnować ze swych zamiarów.

- Oddawaj wszystko!

Skazaniec posłusznie podaje skradzione rzeczy, a Forell odsuwa je na bok.

- Jesteś głodny?

- Teraz nie, panie. Później. W zimie.

- No to weź kilka rzeczy!

Mężczyzna nie od razu rozumie. Forell go zachęca, więc powoli, oglądając się lękliwie, coś sobie wybiera.

- Gdzie śpicie?

- Tam, w pomieszczeniu magazynowym obok stacji traktorów.

- Ilu?

- Czterdziestu ludzi.

- Dlaczego dziś w nocy poszedłeś kraść?

- Psy były takie głośne. Więc sądziłem, że może się udać. Jest tu, jak mi się zdaje, obcy pies.

- Mój.

Może temu roztrzęsionemu strachem człowiekowi Forell powinien opowiedzieć, co naprawdę tu robi i kim jest. Lepiej nie. Gadatliwość nie popłaca.

- Niezapowiedziana rewizja - mówi Forell od niechcenia. - Tam na zewnątrz jest mój pies. Przytrzymam go, żeby cię nie zaatakował. Bierz te rzeczy i zjeżdżaj!

- Sądząc po mowie, jesteś Niemcem - uśmiecha się skazaniec.

- Zamknij pysk! Nic ci do tego.

- Znam to. Zagraniczni komuniści, szkoleni tu i trzymani w gorszych warunkach niż nasi ludzie. Macie też dość, towarzyszu?

Już po respekcie. Skazaniec ma instynkt ściganego. Odkłada rzeczy, żeby mieć wolne ręce i zamknąć drzwi. Stoją w ciemności. Forell słyszy, jak typ podnosi wszystko z podłogi.

- Niech Bóg ci błogosławi, że byłeś dobry! Dziś jeszcze jesteś rewizorem i musisz nam patrzeć na ręce. Może jutro będziesz w Dalstroju. Wtedy niech Bóg ci także ześle miłosiernego, bo byłeś litościwy.

Drzwi zamykają się powoli. Forell jest sam. Pakuje do worka, co skazaniec odłożył, ale przy takiej ilości zdobyczy część musi trzymać pod pachami. Willem jest na miejscu z całą bandą psów kołchozowych i wita go, machając ogonem. Psy idą za nim, kiedy przechodząc ostrożnie obok kwatery skazańców, oddala się w kierunku kładki nad strumieniem. To bez wątplenia niebezpieczna droga, ale jedyna, która prowadzi na drugą stronę rzeki. Długo szuka przejścia. W końcu je znajduje.

Między domami ktoś gwizdże na psy. Wracają niechętnie, bo ten obcy pies wniósł rozrywkę w nudną noc. Willem zachował się po hultajsku. Ale odciągnął bandę od swego pana i za to rano, gdy Forell poczuje się wreszcie bezpiecznie, dostanie kilka pasków skóry od słoniny.

Dobrze mieć zapas.

Następnego dnia, po nieźle przespanej nocy, Forell układa wszystko w worku. To bogactwo, z którego da się żyć przez kilka tygodni. Trudno to jednak nieść, nie można również z niczego zrezygnować, dlatego postanawia przez jakiś czas pozostać na miejscu. Najedzony do syta napawa się latem przez trzy najbardziej leniwe dni. Ale nie jest całkiem spokojny. Wstydzi się swojej kradzieży i zastanawia nad słowami ewangelii o nieuczciwym zarządcy*.

Willem ma pełne zrozumienie dla swego pana, gdy ten czwartego dnia wypchany worek zarzuca na plecy i rusza w drogę.

Wraz z codziennym opróżnianiem worka pokonywane odcinki stają się znaczniejsze. I zgodnie ze starym doświadczeniem idą najdalej, gdy znów głód napędza nogi.

Lato na Syberii nie jest takie złe, jak opinia o nim. Oczywiście wędrowiec, który trzyma się jedynie kompasu, często ze znośnych dróg wchodzi na bezdroża, ale skoro marnuje trzy dni na wyjadanie nadmiernych zapasów, nie popada też w rozpacz, gdy człapie przez trzy dni po okrężnych drogach.

Każdy prawdziwy Sybirak przejdzie tam, gdzie zamierzy. Forell jest na to zbyt niezręczny. Bardzo rzadko udaje mu się złapać zwierzynę. W rybaczeniu ma więcej szczęścia. Ale wody są jego

* Łuk... wrogami. Mimo to od czasu do czasu musi trzymać się jakiejś rzeki, ponieważ raczej tam niż gdziekolwiek indziej znajdzie drogę do uporządkowanych osiedli w dolinie. Potrzebuje ich, żeby znów odejść z pełnym workiem.

Ludzie, którzy zbliżają się do wybranej przez niego ustronnej drogi, nie są warci, by ich okradać.

Gdzieś tam umundurowany Rosjanin komenderuje grupą robotników wbijających rzędy pali w bagnisty teren. Uwaga! Zabezpiecza się bagniste miejsce pod projektowaną drogę. Odcinkami może ona już istnieć. Forell nie chce wyjść na jakąś grupę roboczą albo zostać odwiedzionym przy nieostrożnie rozpalonym ognisku, robi więc szeroki łuk wokół budowlańców i wchodzi do lasu. Kiedy jest już w gęstwinie, nagle otwiera się polana pełna ludzi.

- Hej!

Forell kiwa ręką na przyjazne powitanie. Niech diabli wezmą ludzi, którzy tu karczują drzewa. Willem nie ostrzegł go dość wcześnie.

- Dokąd to?

Forell wskazuje kierunek.

Ludzie wstrzymują pracę i otaczają go.

- Coś ty sobie za drogę wyszukał?

- Zabłądziłem.

- Dokądże zmierzasz?

Trudno odpowiedzieć na postawione bez nieufności pytanie tak, żeby nieufności nie wzbudzić. Choć Forell mozolnie przypomina sobie wszystkie nazwy miast mogących leżeć w bliskości jakiegoś tysiąca kilometrów, nic nie przychodzi mu do głowy. I mówi głupio:

- Do Czyty.

- To jeszcze daleko. Koleją? - Rosjanin, który go przepytuje, wskazuje kciukiem przez ramię.

Forell pospiesznie kiwa głową. Tak. Naturalnie. Koleją.

- Służbowo?

Tak dziwnie go jeszcze nie przepytowano. Co to ma znaczyć?

Stary Kolka dał mu dzień przed odjazdem radę, z której Forell jeszcze nigdy nie korzystał. Teraz robi żalną minę.

- Jeśli już musicie wiedzieć, to osiem lat pracy przymusowej. Odsłużyłem i zostałem zwolniony, ale tylko tak, że muszę się zameldować w Czycie u szefa rejonu MWD. Człowiek już nigdy nie będzie zupełnie wolny. Dlatego muszę do Czyty.

- No, to oczywiście kolejną - mówi pytający.

Jeszcze nigdy i nigdzie Forell nie był tak serdecznie przyjmowany. Na dole, dwadzieścia minut od miejsca wycinki, stoi porządny blokhauz. Mężczyźni mieszkają w nim przyzwoicie i mają dobre wyżywienie, którym gościnnie częstują obcego. Jest wieczór, a kontroler przybędzie dopiero za sześć dni, by sprawdzić wydajność. Kiedy pojawia się ktoś obcy, jest to na tyle ciekawe, że można raz skończyć wcześniej. Siedzą więc razem, a Forell dowiaduje się wszystkiego o ich pracy i życiu. Nie są sztrafnikami. O nie! Mają tu pracować tylko dwa lata. Zapłata jest dobra, ale zatrudnienie nie nastąpiło tak całkiem dobrowolnie, więc mężczyźni liczą się z tym, że ich umowy będą przedłużone. Zawsze ochoczo przedłużane jest to, co obywatel robi jedynie niechętnie.

- Jako kto pracowałeś, Piotr Jakubowicz?

- Szosa. - Aha!

- Było znośnie.

- Ale nie jesteś Rosjaninem?

- Bałtem - burczy Forell.

- Aha, stąd ta dziwna wymowa rosyjska.

Forell zachowuje czujność, żeby bezpiecznie ominąć każdą rafę w rozmowie. Robotnicy leśni są ufni i chcą mu pomóc. Syberia jest miłosierdziem.

Ze zdziwieniem słucha o kolei, która ma odwozić całe drewno, jakie jest tu ścinane, obrabiane, splawiane kawałek w dół rzeki, a potem ładowane. Na Syberii wszystko jest możliwe, także kolej tam, gdzie wczoraj błękitne lisy czuły się jeszcze bezpieczne w niedostępnej tajdze. Pociągi towarowe trasę do Czyty pokonują przez najwyżej trzy dni. Jeśli tak jest rzeczywiście, Forell musiał znacznie odejść od swego kierunku i być już blisko Amuru. Niepotrzebnie pozwolił obwiesiom zniszczyć swoją mapę!

Dopiero po czasie okazuje się, że Niemiec i ludzie z lasu nie mówią o tej samej kolei. Ale kiedy pojmuje, że chodzi o nową linię kolejową, wszelkie niepotrzebne pytania zachowuje dla siebie, bo mogłyby obnażyć jego podejrzaną niewiedzę.

Kontroler przybędzie dopiero za sześć dni, żeby odebrać drewno. Do tego momentu Forell musi zniknąć. Dobrze robi, jeśli przemilczy swój zamiar i pewnego dnia przed południem, kiedy wszyscy mężczyźni będą w pracy, po prostu zapakuje do pełna worek i wyruszy z przewagą połowy dnia. Przy okazji nakradnie zapasów jedzenia, bo od czasu sprawy z obwiesiami niewiele ma skrupułów w walce o przetrwanie. Do ucieczki skłania go także zamiar robotników leśnych, którzy dosłownie traktują jego służbowe polecenie stawiennictwa w Czycie i chcą załatwić z kontrolerem, żeby przydzielił Piotra jako

konwojenta transportu - wtedy szybko będzie na miejscu. A tak szybko Forell nie chce tam być.

Nowi znajomi rozumieją że ktoś, kogo pewnie znów czeka praca przymusowa, nie chce się spieszyć, ale nie przyjmą dobrze tego, że ten ktoś nadużył ich gościnności i napakował swój worek rzeczami, które nie należą do niego. No cóż, skoro nie ma innego wyjścia.

Ostatniego wieczora przed ucieczką w drzwiach staje nagle kontroler. Skrócił swój objazd, a teraz służbowym tonem zwraca się do pracowników:

- Wiecie, że nie wolno wam nikogo nocować. Kto to, ten tam?

- Nikogo nie nocujemy. A ten to Piotr Jakubowicz, osiem lat robót i przy zwolnieniu z rozkazem do Czyty, do szefa rejonu MWD. Pomyśleliśmy, że to się dobrze składa, jakby chłopaka od razu przydzielić do konwojowania transportu, żeby szybciej dotarł do Czyty.

- Jak wy już pomyślicie! - ruga ich kontroler.

Zawsze uprzejmy naczałnik robotników drzewnych jest samą uniżonością.

- Wiem, nie jesteśmy tu od myślenia tylko od roboty. I obrobiliśmy sześćset metrów drewna, co leży nad wodą. Jeśli uważacie, towarzyszu kontrolerze, że mamy tego człowieka wygonić, wyrzucimy go.

- Niech się schroni pod dachem!

Zdaje się, że ten ostry w gębie towarzysz kontroler jeszcze nikogo nie pożał. A sześćset metrów to dobra wydajność.

- Papiery, Piotrze Jakubowiczu... jakże się nazywacie?

- Lemengin - sapie Forell. Jeszcze nigdy nie musiał przybierać sobie nazwiska i w zdenerwowaniu całkiem niedobrze wybiera.

- Lemengin, nie jesteście Rosjaninem?

- Bałt - to z Bałtami ma już przećwiczone.

- W ciągu sześciu lat robót mieliście czas nauczyć się po rosyjsku. Wasze dokumenty.

Jeszcze rok temu w takich okolicznościach zrobiłby się podejrzenie biały na twarzy. W międzyczasie nauczył się zachowywać więcej zimnej krwi. Może sobie wyliczyć, jaki będzie jego los, jeśli się nie powiedzie. Jednak bez poruszenia mówi głupawym tonem rekruta:

- Papiery odeszły jak zwykle na drodze pocztowokurierskiej do Czyty, żeby był bez propusku i nie mógł na własną rękę pójść swoją drogą.

- Znamy was, łajdaki. Trockista, tak?

- Nie. Aresztowany w Rydze w czterdziestym.

- Bałt, też niewiele lepszy.

Jak Forell siebie nazwał? Lemengin. Musi to zapamiętać, żeby jutro rano nie powiedzieć inaczej. Imię Piotr Jakubowicz wpoił sobie już dawno.

Towarzysz kontroler, lubiący sprawiać wrażenie surowego, jest wspaniale próżny i dumny z dziwnego tworu, jakim jest motorówka, na której latem odbywa swoje podróże kontrolne. Gdy rozmowa schodzi z tonu służbowego na prywatny i oglądane jest drewno, Forell wydaje z siebie westchnienie tęsknego respektu na widok łodzi. Nie wie, że dotknął najczulszej struny. Wolno mu nawet pociągnąć za rzemień od kółka zamachowego zapalającego silnik, żeby jego podziw był pełny. Towarzysz kontroler potrafi, rozwodząc się szeroko, opowiadać, że tą wspaniałą łodzią w każdej chwili może popłynąć aż do Oceanu Lodowatego i opłynąć Przylądek Dieżniewa.

Przylądek Dieżniewa!

I to kiedyś było. Od tego czasu już sto razy powodzenie ucieczki spisywał bez nadziei na straty. I nawet podczas wędrówki po pożegnaniu z mądrym Kolką nigdy nie nabrał pewności, czy droga w ogóle zmierza do wolności. A teraz zjawia się człowiek udający ważniaka i podejmuje pomysł, by Forella wsadzić do pociągu towarowego jadącego do Czyty jako konwojenta transportu. Czyta była stacją wyjściową północnosyberyjskiej nędzy. Od Czyty do granicy jest tylko krótka droga.

Późnym wieczorem obaj mężczyźni upijają się wódką. Towarzysz kontroler zachowuje postawę, nawet kiedy już tylko bełkocze. Skazaniec Piotr Jakubowicz wcześniej osuwa się pod ławę i zasypia, obejmując swego psa Willema. Dobrze, że w pijanym widzie nie wyduka już wyraźnie ani słowa, przemawiając do swego psa po niemiecku: „Co powiesz o tych pijanych świniach, Willem? Wybaczam ci wszystko, co kiedykolwiek kłusowałeś i ukradłeś mi z worka, bo w całej Rosji ty jesteś jedyny dobry i przyzwoity. Jesteś bastarden i stary Kolka mnie oszukał, kiedy wychwalał cię pod niebiosa. Ale ciebie zabiorę aż do domu. I niech się dzieci z tobą bawią. Nie gryź! To znaczy, dzieci nie gryź! Sądziysz, głupi psie, że kiedykolwiek wrócimy do domu? Nigdy. To już minęło. Nauczyłem się już żyć jak zbój. Kłamać jak Ormianin. Kraść jak łajdak na warunkowym. A kiedy znajdę kogoś, kto wygląda jak bryła złota, rozwalę mu czaszkę. Zszedłem na psy, psie. Rzygać się chce. Mnie się chce rzygać”.

Pozostali nie zwracają uwagi na to, że Bałt jest w pożałowania godnym stanie. Niech odeśpi swój rausz, a jutro pojedzie z towarzyszem kontrolerem do Czyty, gdzie koniec jego ośmiu lat będzie początkiem nowej rachuby. Biedaczysko!

Śmieszna motorówka towarzysza kontrolera z działu drewna niesie bladego Bałta w dół rzeki, ku miejscu, gdzie splawiane drewno chwyta się i wyciągane na brzeg przez grabie. Tartak z sześcioma trakami pionowymi tnie drewno, a na rampie załadunkowej pracuje około dwudziestu ludzi ładujących belki, bale i deski na wagony.

Jeśli los i towarzysz kontroler zechcą, zaopatrzonego w legitymację Piotr Jakubowicz przejmie nadzór nad dwunastoma wagonami kłonicowymi i pojedzie w budce hamulcowej, przeglądając obowiązkowo na wszystkich większych stacjach łańcuchy łączące kłonicy i troszcząc się o to, by podczas postoju w szerym polu nie dosiadali się „wolni łowcy” drewna. Pociąg towarowy jest dobry. Nie kontroluje go MWD.

A pies? Kolejarze z miłym zapachem znoszą wszystko, co może mu pomóc przetrwać kilka dni podróży. Forell segreguje te rzeczy, wybierając pierwszy sort dla siebie.

Około północy po ostatnim dniu załadunku wjeżdża pociąg towarowy. Pracownicy głośno się sprzecają, czy wagony z drewnem wziąć w środek, czy przyłączyć na końcu pociągu. Mają jechać do Ułan Ude. Forell wie to z nalepionych kartek i próbuje sobie przypomnieć, gdzie mniej więcej na jego mapie znajdowało się to miejsce. Pamięta jeszcze dźwięk tej nazwy. Gdzieś w nieuporządkowanych wspomnieniach utkwiło tylko tyle. Więc pamięć stała się tak pusta? Czyżby to był skutek upojenia alkoholowego? Towarzysz kontroler opowiada robotnikom ładującym drewno, jak ten Bałt upił się wódką do granicy zatrucia, a to ciągle jeszcze w Rosji nobilituje mężczyznę. Gdzie tylko go zobaczą, okazują zrozumienie i podziwiają, że tak wspaniale potrafi chlać. Rozumieją, że zwolniony po ośmiu latach obozu karnego nie wypuści z rąk butelki. Ale rausz, od którego minęło już kilka dni, nie może przecież być powodem takiego zaniku pamięci? Forell morduje się, aż mu pot wychodzi, ale po wysiłonej pracy umysłowej nie wie już nawet, jak nazywa się miejscowość, którą podano jako docelową stację dla wagonów z drewnem. I musi na nowo odczytać z kartki. Ułan Ude. Teraz sobie zapamięta.

Wagony załadowane drewnem ostatecznie wpinane są w środek pociągu. Potem ktoś wielosylabowym przekleństwem wzywa Forella, żeby przywołał swego psa i zajął przeznaczone dla niego miejsce w budce hamulcowej. Pociąg rusza w noc.

Rozkład jazdy jest w dużym stopniu kwestią szczęścia, więc pociąg wjeżdża do Czyty dopiero pięć dni później.

Forell zna dokładnie tę płataninę torów, rzucający się w oczy jasny dach po tamtej stronie, obrzydliwie zakopcony budynek, przejścia z belek, po których prowadzono więźniów. Nic się wyraźnie nie zmieniło. Pamięć także nie. Pamiętajesz obrzydliwie

dokładnie, jak w Osmicie pojawili się żołnierze konwojenci i zaczęło się panowanie pejcza. Nigdy więcej Czyty.

Podczas długiej podróży Forell wymyślił sobie, że na tej stacji będzie siedział w swej budce hamowniczej i czekał na odjazd pociągu. Ułan Ude jest przecież dalej na zachód, gdziekolwiek leży. Wszelka jazda daje nadzieję na życie tylko wówczas, gdy prowadzi na zachód. W zwyczaju jest, do czego Forell już przywykł, przetaczanie pociągu i rozdzielanie go na torach rozrządowych. Wagony z drewnem toczą się kawałek dalej, a potem przesuwane są przez lokomotywę. Zupełną głupotą byłoby, gdyby Forell zamknął teraz swoją budkę i chciał się ukryć z psem przed kolejarzami. Gra w chowanego może budzić tylko podejrzenia. Przetaczający powinni już z daleka widzieć, jak stoi na swoim miejscu i wychylony oczekuje na rozkazy.

- Co tam robisz na górze?
- Jestem konwojentem wagonów z drewnem do Ułan Ude.
- Czy do tego potrzebny jest pies?
- Tyle drewna kradną po drodze.
- No to z łaski swojej odblokuj hamulec. Podjeżdżamy.
- Już otwarty.

Willem obwąchuje przetaczającego i pozwala mu się podrapać po grzbiecie. Robi wycieczkę przez kilka torów. A co wolno psu, nie będzie zakazane i dla człowieka. Pracownicy kolei są przystępni, chociaż szorstcy w obejściu. Tylko nie robić uników! Tylko się nie bać! I nie gadać za wiele!

- Śmiesznie wyglądasz.
- Jak to?
- Twoje ubranie.
- Las to nie biuro. Popracujcie kiedy w lesie!

Gdy zestawiony na nowo pociąg gotowy jest do odjazdu, nadchodzi straszliwa burza.

- Zamknij swój chlew tam na górze! Bo cię zaleje.

Deszcz zjawia się nagle i bije mocno w drewniane ściany. Dookoła leje się strumieniami, jakby pociąg jechał przez wodę. Nie słychać hałasu jazdy, ale znajome kołysanie nie pozostawia wątpliwości, że znów jest w drodze. Deszcz jak niespodzianie się zaczął, tak się kończy. Forell uchyla drzwi i dostaje mokre chluśnięcie w kark. Jasna gromada chmur odpływa w dal. Potem znów nawet w otwartej budce jest tak gorąco, że można się ugotować. A gdy pociąg zatrzymuje się dla nabrania wody do lokomotywy, Forell podstawia brezentowy kubek pod wylew, by móc się napić, Willem zaś harcuje w kałuży.

Straszna bieda w te gorące dni, kiedy nic nie chroni przed wściekle palącym dach słońcem. Ale dni mijają a noce są przyjemne. Forell je przesypia, chociaż musi spać na siedząco.

Pociąg przybywa do Ułan Ude nocą. Otwiera się budka hamulcowa. Personel konwojujący pociąg zna śpiącego. Drzwi znów zostają zamknięte. Nad ranem wagony z drewnem zostają wyciągnięte, a Forell budzi się dopiero za dnia.

- Możecie wagony znów odesłać. Ani myślę odbierać drewno - ktoś wrzeszczy.

- Musimy odebrać, co nam z drewna przydzielono. A drewno jest bez wątpienia doskonałym towarem - odpowiada drugi.

- Fracht obciąża nas. Nie mogę go przyjąć - znów słycać głos oponenta.

- No więc zameldujemy o sprawie, sporządzimy protokół, a winny zostanie pociągnięty do odpowiedzialności - mówi ten drugi.

- Co za osioł w komisariacie państwowym mógł wpaść na pomysł, żeby dostarczyć nam drewno obciążone kosztami transportu na odległość sześciuset wiorst, kiedy mamy tuż pod nosem drewno w dowolnej ilości i jakości?

- Ciii i! Mogą nas słyszeć.

- To mi obojętne. Za to stąd drewno dostarcza się zapewne do Chabarowska. Najbliższa droga. Jedno tam. Drugie tu. Przeciążać koleje. Powodować bezsensowne koszty transportu. Tych biurokratów należałoby wypalić smolnymi pochodniami. Powinno się kiedyś takiemu sabotażystce urządzić proces!

Forell kopie w drzwi.

- Czego on tu chce? Jeździ na gapę, co?

Wrzeszczący mężczyzna stoi przed budką hamulcową i spogląda z wściekłością.

- To tylko konwojent ładunku - uspokaja ten drugi.

- Konwojent? Także nowy wymysł.

- Inaczej po drodze kradną wiele drewna - odzywa się Forell.

- Gdybyż tylko ukradli wszystko!

Forell przygląda się nowemu otoczeniu. Najwidoczniej wagony zostały skierowane na bocznicę przemysłową na terenie ogromnej fabryki. Panowie, którzy mają tak pogardliwe zdanie o biurokracji, nie wyglądają strasznie. Wielki krzykacz jest całkiem niewielkim mężczyzną z łysą czaszką pewnie na dość znaczącym stanowisku, że pozwala sobie na złe słowo o biurokracji. Drugi, fizycznie wyższy, zdaje się mieć mniejsze prawa lub jest bardziej bojaźliwy.

- Wsiądź wreszcie, ty tam na górze!

- Czy już jesteśmy na miejscu? - Forell udaje głupka.

- Jeśli wszyscy w lesie jesteście tacy głupi, to mnie już nie dziwi ignorancja Komisariatu Leśnictwa.

- To już Czyta?

- Czyta? - ten z potężnym głosem śmieje się.

Forell idzie z obu znacznymi towarzyszami z workiem na ramieniu i psem u boku od rampy do monstrualnego budynku administracyjnego. Rozwrzeszczany mężczyzna nie przestaje wymyślać na biurokrację i pokazuje wszystkim brodatego z budki hamulcowej jako głuptaka z lasu.

Zgodnie z przedstawionym dokumentem leśny skrzat ma się zameldować w Czycie, ale w swym zidioceniu przyjechał aż tutaj. No dobra! Uzupełni się jego papiery dokumentem przejazdu na powrót do Czyty. Zajmujący się sprawami socjalnymi w fabryce w śmiechu towarzysza dyrektora odgadują swój obowiązek zatroszczenia się o leśnego głupka odzianego jak nomada i okazują mu wszelką urzędowo dopuszczalną uprzejmość. Forell orientuje się, że traktują go jako niecałkiem poczytalnego i zupełnie udanie odgrywa swoją rolę, gdy ląduje pod prysznicem. Ileż dałby za taką kąpiel wtedy, gdy hodowcy psów ofiarowali mu miseczkę wody do nawilżenia palców i twarzy! A tu musi się zachowywać tak, jakby się bronił przed myciem. Potem zaś nie chce opuścić łaźni. Już takie są te leśne osły!

Obcinają i golą mu brodę. Skracają włosy na milimetr. Dają jeść. Kiedy palą jego dobrą futrzaną koszulę, podnosi wielkie larum. Oczywiście dostaje w zamian kilka nowych koszul, ale tę futrzaną chciał zachować i opór stawia na poważnie. Pod prysznicem, kiedy zabierają wszystko do odwszenia, pomocnicy sanitariusza widzą jego zmaltretowane ciało. Powiadają o tym przełożonych i lekarz każe Forellowi jeszcze raz rozebrać się do naga. Tak wyglądają skazańcy po wielu latach pracy przymusowej. Forell czuje, że wzbudza podejrzenie.

W jego legitymacji jest tylko informacja, iż zatrudniono go jako konwojenta transportu do Czyty, gdzie ma się zgłosić do szefa rejonu MWD. W takim uporządkowanym zakładzie pracy nie osiągnie się nic blagą. Będzie więc jeszcze raz opowiadał o zwolnieniu po ośmiu latach pracy przymusowej i konieczności zameldowania się - z powodów formalnych - u szefa rejonu. Prostudusznie jak dziecko wypowiada swoją kwestię, dając do zrozumienia, że jego najgorętszym życzeniem jest szybko znaleźć się w Czycie, by potem wreszcie napawać się wolnością.

Jeśli ktoś jest tak głupi, że ma nadzieję otrzymać tam wolność, to niepotrzebna mu eskorta.

Do dotychczasowych dokumentów Forella dołącza się jeszcze jeden, który towarzyszyć będzie podróznemu do Czyty. Któż nie miałby współczucia dla takiego głupiego biedaka po ośmiu latach kary!

Odprowadzają nierozgarniętego konwojenta na dworzec i proszą kolejową straż MWD, by miała specjalne oko na tego prostaka. Ma wsiąść do właściwego pociągu.

MWD nie wydaje się groźne człowiekowi, który w tej chwili jest pod daleką ochroną szefa rejonu. Mężczyźni poproszeni o pomoc są uprzejmi. Współczucie i litość wyrastają wszędzie pod surowym niebem Syberii, także w wartowniach MWD.

- Ale czy na pewno dojadę do Czyty bez przesiadki? - pyta Forell, opróżniając swój talerz kaszy.

Obok Niemca siedzi Willem, świeżo odpchlony, bo w fabryce bardzo przestrzegają czystości. Zachowuje się tak porządnie, że i on dostaje miskę kaszy. Żarł już lepiej, ale i gorzej.

- Dojedziesz prosto do Czyty i nie musisz się przesiadać.

- Ale czy z całą pewnością nie ma niebezpieczeństwa, że znów pojedę w złym kierunku?

- Nie da się zupełnie.

- Musicie mnie odstawić do pociągu. Inaczej znów się nie uda.

- Boisz się, co?

- Tak. Jazda koleją jest taka trudna, kiedy się jedzie samemu.

- Specjalnie dla ciebie damy przewodnika!

Pyta jeszcze o wiele bzdur i już wie, jak korzystny i wspaniały byłby niewłaściwy pociąg. Nawet niekoniecznie ten na zachód, lecz każdy inny. Mapa, pod którą siedzi, podaje dokładne informacje. Forell odnosi talerz i korzysta z okazji, żeby rzucić okiem na mapę. Nadepnął Willemowi na łapę i musi go uspokoić. To udaje się o wiele lepiej, gdy klęka koło niego na podłodze. Wstając, znów ma przed oczyma mapę. Studiuje ją pod osłoną i nadzorem swych prześladowców. Mongolska granica jest tak blisko, a pociągiem można by ją przejechać. Ale on musi wracać do oddalonej od granicy Czyty.

Uprzejmy żołnierz, któremu człowiek i pies zawdzięczają gościnę, odprowadza go potem do pociągu. Życzenia na podróż są szczerze. Z mrugających oczu Forella patrzy prostota granicząca z idiotyzmem, kiedy macha na pożegnanie.

Podczas całej jazdy do Czyty Niemiec nie mówi ani słowa do swych towarzyszy podróży. Pies ma dobrą podróż, bo żaden Rosjanin i żaden Sybirak nie może się powstrzymać od okazywania mu sympatii.

Tydzień później Forell znów jest w Ułan Ude. Jego zapadnięte głęboko oczy mrugają niespokojnie ze strachu i nienawiści. Obok stoi drugi pociąg. Forell czyta napis i przesiada się. Siedzi w samym kącie, pies tuż koło niego pod ławką. Czekają, aż po drodze będzie kontrola. W czasie ostatnich kilku dni podróży tak dalece podupadł, że inni podróżni z obawą odsuwają się od niego. Kontroler nie przychodzi. To dobrze, bo przy pytaniu o propusk Forell rzuciłby się na niego i przeciągnął długim syberyjskim nożem przez gardło.

Brak mu wszelkiej kontroli nad tym, co robi i myśli. Winna jest odgrywana przez wiele dni postać błazna. Nie. Winna jest mapa rejonu z wartowni MWD na dworcu w Ułan Ude. Nie. To strach. To zszarpane nerwy. Zużyte siły. Przewrzenie, że opuszcza go pamięć. Panika, że teraz, gdy jest tak blisko granicy, mógłby potknąć się na jakimś drobiazgu. Zwierzęcość, która wszystko, co zniósł dla wolności, przemienia w bezmyślną nienawiść.

Forell nagle wysiada z pociągu w Ułan Ude i jak pijany, który wziął sobie psa, by go prowadził, zatacza się po torach. Ktoś z oddali wrzeszczy na niego. Nie ogląda się, tylko przeklina paskudnie. Głos zrobił mu się ochrypły i głuchy.

Tam pod zadaszeniem MWD ma swoją wartownię. Z pewnością kilku przeszukuje obiekty dworcowe. Niech sobie szukają!

Nikt nie patroluje. To lepiej dla niego.

Wyczerpany potrzebuje snu i śpi za pierwszym kawałkiem muru, na jaki się natyka. Potem wstaje i podobny do lunatyka szuka po drogach swojego celu. O! Bardzo dokładnie wie, jaki ma cel. Był na mapie w MWD. Kiachta* nazywa się to miasto. Z pewnością dobre miasto, bo ma kolej i drogę tam, dokąd on chce dotrzeć.

Za błądzącym stale oglądają się ludzie. Idzie w niezwykłym odzieniu z niedbale zapakowanym workiem na ramieniu i czyta napisy na tabliczkach.

- Jesteś obcy. Dokąd to chcesz?

- Do Kiachty.

- Jesteś stamtąd? - Tak.

- Tam jest droga dla samochodów. Nie chcesz przecież iść pieszo?

- Nie.

Potem Forell nie wie, jak wyglądał człowiek, który go pytał i pokazał kierunek.

Ułan Ude to znaczne miasto. Niepiękne, ale duże. Lepiej jednak z miasta wyjść i pojechać tam, gdzie droga prowadzi do Kiachty.

W domu - cieszy się, że jego pamięć teraz nie zawodzi - podnosiło się rękę, kiedy przejeżdżała obok ciężarówka jadąca w tym samym kierunku co podróżujący.

Dwie przejechały, nie zwracając na niego uwagi. Trzy.

Czwarta się zatrzymała. O tyle uprzejmiejsi są rosyjscy kierowcy ciężarówek niż niemieccy.

- Do Kiachty!

- Chodź!

Kiachta - miasto w Rosji przy granicy z Mongolią.

Na Forella patrzy żółta twarz z lekko skośnymi oczami. To Chińczyk. Zresztą czarujący. A najbardziej czarujące jest w nim to, że mówi po rosyjsku o wiele gorzej niż Forell. Kiedy próba rozmowy się nie udaje, Chińczyk śmieje się, jakby spotkała go największa przyjemność.

Chiński kierowca zdaje się Forellowi zbyt przyjacielski i nie wierzy w jego szczerść. Po jakimś czasie zupełnie zwariowanej jazdy, podczas której niemalże zagotowała się chłodnica, Chińczyk zatrzymuje się, otwiera drzwi szoferki i wysadza swojego pasażera w zarośniętym krzakami miejscu.

- Tak, tak! Wysiadać!

Forell rozumie, że Chińczyk nie chce mieć go koło siebie w pobliżu granicy. Kiedy trzeba, no to się wysiada. Uprzejmość nakazuje, żeby podziękować za podwiezienie.

- Szczęśliwej podróży! - mówi Forell, zarzucając sobie worek na ramię.

- Bolszij rekomandantura! - uśmiecha się Chińczyk, dumny, że wypowiedział takie trudne pożegnanie.

Ciężarówka odjeżdża, ciągnąc za sobą czarną chmurę spalin.

Autostopowicz stoi i rozgląda się za drogą która doprowadzi go do granicy. Okolica zdaje się raczej niebezpieczna i nie oferuje żadnego schronienia. Na początek Niemiec musi odważyć się tylko na małą akcję, na obserwację granicy. Potem zastanowi się nad możliwościami jej bezpiecznego przekroczenia. Jeśli tu, gdzie ze skąpych zarośli wyszedł na suchą pustą przestrzeń, jest już obszar przygraniczny, to łatwo może się zdarzyć, że natknie się na oddział, który obchodzi teren.

Na głód musi wystarczyć Forellowi to, co w worku. I musi też starczyć dla psa. Wody nie ma. Poranna rosa na suchych trawach to cała wilgoć. Teraz tylko nie wolno znów popaść w fatalizm, który gotów jest wszystko porządkować pchnięciem noża

Pies zatacza bardzo ciasne kręgi wokół człowieka i jako pierwszy spostrzega sztuczny twór, który postawili w okolicy ludzie. Forell widzi wieżę, kiedy jest już niebezpiecznie blisko. Pada plackiem. Z tego miejsca widoczne są cztery wieże. Stoją w najwyższych punktach nagiej okolicy. To granica. Najbliższa z wież jest obsadzona. Na następnych nie można dostrzec żołnierzy między krokwiemi. Naturalnie i one są obsadzone.

Willem kładzie się płasko koło swego pana. Spogląda na niego, spogląda ku wieżom, a potem kieruje oczy na ludzi. Sprawa rzeczywiście jest interesująca. Wieże, ludzie, a między wieżami w regularnych odstępach słupy dwukrotnie wyższe od człowieka. Gołym okiem nie widać, czy rozpięty jest między nimi drut. Ale jeśli ktoś, tak jak Forell, leżał kiedyś pod takimi drutami i przecinał granicę nożycami, nawet jeśli było to dziesięć lat temu, wie, że pomiędzy dwiema palisadami wydzielona jest martwa przestrzeń, której nikt nie przekracza.

Nadchodzi zmiana.

Wszystko się zgadza. Ludzie idą między palisadami i zmieniają obsadę również tam, gdzie Forell dotąd nie mógł dostrzec sylwetki człowieka. Każda wieża jest obsadzona.

Gdyby był wieczór, mógłby opuścić swoje miejsce, ponieważ każda próba zbliżenia zainicjowałaby terkot pistoletów maszynowych. Teraz, gdy jest jeszcze jasno, nie waży się nawet wracać. Musi z tym poczekać do nocy. Dostatecznie lekkomyślne było już podchodzić tak blisko.

Z wielką ostrożnością jako że zasieki graniczne mogą sięgać w głąb kraju, uciekinier cofa się głęboko w noc. Tutaj przejście jest niemożliwe. Dwa lata szaleńczej wędrówki od przylądka aż do granicy, żeby potem zawiesić swoje zwłoki jak siano do suszenia - nie.

Następnego dnia Forell staje nad wspaniałą wodą. Willem szoruje zadowolony zygzakiem w dół spadzistego brzegu i opija się bez umiaru. Potem wraca na połowę drogi do swego pana. I jeszcze raz zbiega napić się. Dopiero później wyszukują razem miejsce, gdzie także pan może zejść aż do wody. Tam zostają. Forell wkłada opuchnięte stopy do wody. Ogląda ożywiony i zmieniony przez rosnące drzewa obraz. Podziwia piękno natury, myśląc o tym, że czeka go znowu przemýkanie koło palisady, jeśli wielka podróż nie ma się tu skończyć na zawsze.

Rzeka nie jest rwąca, ale niebezpiecznie szeroka. Pływie chyba stamtąd, z Mongolii. A więc gdzieś musi przekroczyć rzekę, jeśli ma się odważyć przejść granicę w miejscu dającym największe szanse powodzenia.

- Umiesz pływać, Willem? Twój dom to śniegi. To coś innego. Pływanie, wiesz. Wiosłowanie nogami, powoli, z namysłem, bez pośpiechu, bo woda jest szeroka. Będziemy się musieli odważyć.

Tylko tu nie chcą się na to ważyć. Lepiej pójść kawałek dalej w dół rzeki.

Ale po trzech godzinach marszu zaprzestają. Przeklęty raj!

Kiedy tylko wyschnięta na siano trawa staje się zielona, przestrzeń wypełnia się tysiącami zwierząt i ludźmi. Gdzie bogactwo nie jest jeszcze obfite, pasą się stada owiec. Tam gdzie zieleń rozpościera się jak dywan, owce zastępuje wspaniałe bydło. Ale wszelkie

możliwości chaosu zastępowane są przez oznaki systematycznego użytkowania. Bogata, piękna, słoneczna Syberia ściele przyzwyczajonemu do dzikości człowiekowi kobierzec, po którym z trudem może stąpać. Las i tajga tolerują tego, który chodzi w ubraniu Jakutów i z psem, ale szeroko rozpościerający się raj z wędrującymi stadami i plamami wapna od domów jest dla człowieka z przeszłością Forella i jego planami nieprzystępny.

Będzie musiał kraść. Tego się nauczył.

Forell ostrożnie podchodzi nocą do kołchozu, który wypatrzył za dnia. Wystarczy tylko jagnię. Nie udaje się, a Willem ma po tej przygodzie naderwane ucho, bo psy w kołchozie są czujne. Człowieka przed dwoma goniącymi psami ratuje tylko to, że ktoś je w końcu przywołuje.

Już się nawet nie daje kraść na Syberii!

Rozgniewany na samego siebie, że nie ważył się na więcej, szuka miejsca, w którym da się przepłynąć rzekę. On sam podoła, ale pies też musi dać radę. Z zarośli na brzegu wycina nożem wiązkę gałęzi, które wiąże ze sobą. Może ta tratwa wystarczy do uniesienia bagażu i ubrania, kiedy będzie płynął.

Związuje bagaż, ubranie i bieliznę. Przechodzi go mimowolny dreszcz, kiedy zanurza się w wodzie po piersi. Jest nieprzyjemnie zimno.

- Willem! Chodź!

Ale pies robi to, czego robić nie powinien. Ustawia się na wyprostowanych łapach przy brzegu i szczeka. Sierść na grzbiecie mu się jeży. Jest wściekły. Forell musi popłynąć z powrotem i przekonać go do niepewnego eksperymentu. Kiedy wreszcie zwierzę wchodzi do wody, traktując to jak zabawę, tratwa jest już w odległości pięćdziesięciu metrów. Forell próbuje dogonić pakunek. Willem płynie za nim, skowycząc i zbyt szybko tracąc siły.

- Powoli, Willem! Nie jesteśmy nawet jeszcze na połowie rzeki. Płyn zupełnie miarowo, jak ja!

Wśród chlapania i zadyszki Forell nie słyszy, że w górę rzeki płynie statek. Popycha przed sobą złapany nareszcie węzełek ze swym dobytkiem i oblicza, czy starczy mu sił do brzegu. Wtem kątem oka dostrzega padający z ukosa cień. Obraca się gwałtownie.

Na prawo przed nim znajduje się wielki parowiec, jakich używa się w ojczyźnie do niedzielnych wycieczek po jeziorach. Willem też widzi potwora i nadgania dystans pośpiesznym chlapaniem. Forell rzuca się do przodu, popychając tratwę. Wtedy głucho wyje syrena statku. Forell nie potrzebuje ostrzegawczego gwizdu. I tak wie, że zaleją go fale dziobowe. Gorzej, że ostre falowanie przewróci tratwę z gałęzi i wyrzuci do wody wszystko, co mu potrzebne, żeby nie stać nago na drugim brzegu.

Syrena jeszcze raz daje sygnał ostrzegawczy. Potem Forell sądzi, że parowiec skręca.

Jeszcze nigdy w swoim życiu tak się nie wstydził. Nie ma już mowy o strachu. Parowiec podpływa, a ze dwudziestu wychylonych mężczyzn śmieje się na całe gardło z nagiego mężczyzny, psa i dryfującego zawiniątka. Nadchodzą fale. Pływak kurczowo trzyma swą tratwę, żeby się nie przewróciła. Pies wyje ze strachu, a mężczyźni nabijają się z bezradności biednego człowieka w wodzie. Sternik parowca płynie na szczęście łukiem, aby z powodu tego cudu techniki nie musiał utonąć człowiek albo pies.

Blady, wychudzony na kość mężczyzna wychodzi na brzeg, wyciągając z wody węzełek i psa. Rzeczy namokły po wierzchu, ale mają czas, żeby wyschnąć, bo Forell siada nagi nad zakolem rzeki na wiązce badyli z wędką w ręce.

Ryby zjada na surowo. Są słodkawe i obrzydliwe, Willemowi jednak smakują. Niewskazane jest rozpalanie ognia tak blisko granicy. Po tym posiłku Forell odczuwa uskrzydlające rozbawienie, które w niczym do niego nie pasuje. Melonów, ogórków i kukurydzy nie strzeże się przecież tak jak mięsa stojącego na pastwiskach. Następnego dnia spożywa zatem wegetariański zestaw. Niestety, nic z tego nie smakuje psu. Nocą Forell znów idzie pładrować u właścicieli melonów, i to tak skutecznie, że worek robi się ciężki.

Przez podejrzenie piękny las idzie teraz szukać granicy. Sądzi, że wie, jaki musi obrać kierunek. Las robi się coraz gęściejszy. Mimo manowców nie wierzy drzewostanowi w jego dziewiczość.

Coś tu jest łągarstwem. Nawoływania ptaków. Daleki odgłos rąbania drew. Skrawek czystego nieba. Uczucie, że jest sam. Spokój. Pызata chłopska uroda jagód koło przecinki - coś tu łąe. I doświadczonemu człowiekowi, z którym nie można się już drażnić małymi strachami, lęk jak oślizły ślimak wędruje wzdłuż grzbietu. Z większym namysłem wybiera ścieżki. Chwilami ma uczucie, że granicę zostawił już za sobą.

Sztucznie wycięta przecinka powinna być mu ostrzeżeniem. Sam nie wie, dlaczego bez zastanowienia wszedł, tylko na cztery czy pięć metrów, w głąb szerokiego wyrębu wystawionego na widok co najmniej trzech wież strażniczych, które przecież stale oglądają goły pas ziemi.

Strażnik na wieży jest odwrócony od Forella i spogląda na drugą mongolską stronę. Nudzi się. Zaraz się odwróci, równie znudzony, bo przecież nic się nie porusza. Forell musiałby, trzymając go na oku, zrobić cztery kroki wstecz. I nagle czuje, że nie ma żadnej władzy w nogach. Człowiek taki jak on musiał przecież już dawno przestać wpadać w panikę w obliczu zagrożenia. Ale nie da się. Żołnierz na górze przechodzi między barierkami na lewo. Teraz spojrzysz w tę stronę. Odzież z futra, odwrócona na zewnątrz skórą jest tak jasna,

że wyraźnie odbija się od tła lasu. A Forell zupełnie nie ma siły, żeby się poruszyć. Jeśli strażnik zwróci na niego karabin maszynowy, Forell zastygnie nieruchomo.

Czy to możliwe? Czy żołnierz patrzy przez niego na wskroś?

Willem stoi obok Forella jak skamieniały. Jest zdyscyplinowany albo pojmuję, że musi być krzakiem lub szarym pniakiem. Żołnierz odwraca się powoli - tam na górze ma kilka metrów kwadratowych do dyspozycji - w kierunku dłuższego boku przecinki.

Wtem ciało psa pręży się. Skierowane ku górze oczy nie widzą tego, co zobaczył lub zwęszył Willem.

Jest drugi żołnierz. Idzie w górę przecinki, nie sam, lecz z psem. Pies Rosjanina złapał wiatr i gna przez pas bez drzew.

Czy przyrodzona chęć do bójki, czy instynkt obrony swego pana popycha go do tego - Willem stawia się dwa razy większemu psu i wściekle szczeka. Pies Rosjanina szczeka jeszcze przeraźliwiej. Teraz Forell nie ma już chwili do stracenia. Karabin maszynowy na wieży zamiata serią. Niemiec ukrywając się pomiędzy drzewami, widzi, jak oba psy padają od pocisków, nie dalej jak dziesięć metrów od miejsca, na którym stał zdrętwiały i niezdolny do ruchu.

Czyżby obaj Rosjanie nie widzieli stojącego mężczyzny?

Przewodnik psa pochyła się nad martwymi zwierzętami.

To ostatnia rzecz, jaką Forell jeszcze świadomie dostrzega.

Widzieli go. Będą szukać. W godzinę zbiorą całą sforę psów i wypuszczą ją na trop. Willem jest martwy. Jakieś drzewo wali uciekającego Niemca gałęzią w twarz. Wyczuwa krew. Będzie jeszcze więcej krwi. Psy skoczą człowiekowi do gardła i skończą z nim. Takie jest ich zadanie. Strażnik na wieży zastrzelił tym samym nabojem Willema i psa strażnika. Pierwszy i najniebezpieczniejszy prześladowca jest załatwiony. Sprowadzenie drugiego psa potrwa godzinę.

Godzinę. Forell biegnie.

Godzinę. To niewielkie wyprzedzenie śmierci.

Biegnie tam, gdzie las jest otwarty, bo to daje odrobinę przewagi. Dla psa tropiącego najgęstsze poszycie nie jest przeszkodą.

Godzinę.

Ale może następny pies tropiący jest tylko w odległości dwóch wież strażniczych. Wtedy pół godziny.

Forell już nie wie, że biegnie. Nie czuje fizycznego wysiłku. Tylko biegnie. Tak da się pokonać dwadzieścia pięć kilometrów w godzinę. Lekko. Trzydzieści. Ile właściwie

przebiegają maratończycy? Mniej. Więcej. Pies biegnie cztery razy szybciej, jak najlepszy sprinter.

Kiedy minie pół godziny...

Nagle las całkiem się otwiera. Gołe miejsce jest złe. Zawrócić? To byłaby strata czasu.

Gołe miejsce staje się głębsze. Na dole płynie woda.

Myśl zostaje dokończona dopiero, gdy Forell po kolana w wodzie biegnie w dół strumienia. To właśnie musi być ratunek. Tu pies straci ślad. Woda płynie szybko i niesie śpieszącego się człowieka do przodu, ale kroki w niej nie są łatwe, jeszcze bardziej męczą.

Ani kawałek ubrania nie jest suchy, bagaż jest przemoczony, a Forell ciągle jeszcze biegnie w zimnej wodzie. Aż daleko w noc.

A jutro znów pobiegnie wodą póki nie zrobi się większa, nie dając mu być może gruntu pod nogami. Drzewa rosną luźno. Drzewa. Spogląda w górę obdartego pnia.

Szeroko zwisające gałęzie pozwalają na wejście w koronę niemal bez wysiłku. Korona ochroni przed widocznością.

Odruchowo wyszukuje dwie odchodzące blisko siebie od pnia gałęzie, które pozwalają wygodnie usiąść. Spanie na siedząco nie jest już dla niego żadną sztuką. Jest mokry. Bagaż też jest mokry. Wszystkie zapasy przemokły. Ale zbyt jest zmęczony, żeby teraz jeść. Będzie musiał spać. Spać. Wszystkimi rzemieniami, jakie ma w worku i na worku, przywiązuje się do drzewa, by nie spaść podczas snu.

Kiedy się budzi, marznie. Marznięcie nie jest dla niego takie niezwykle. Dzień jeszcze się nie rozświetlił. Pospiesznie zjada kilka kęsów, łapiąc się na tym, że chciał odłożyć kawałek dla psa. Willem nie żyje. Willem na sekundę skierował uwagę pogranicznika na siebie i został zastrzelony.

Rozstrzelanie Forell ma jeszcze przed sobą jeśli ten dzień dotrzyma wczorajszej groźby. Grigorij rozstrzelany. Willem zastrzelony.

O granicy i jej przekraczaniu nie ma już mowy.

Najpilniejsze teraz to wysuszyć na sobie mokre rzeczy. Forell rusza z rozmachem w dzień.

Nie idzie tam, gdzie okolica jest otwarta, lecz tam, gdzie las jest gęściejszy.

Unika tego, co łatwe i proste, przez porządnie zalesione i częściowo zagospodarowane zbocza przedziera się w górę, aż po tereny niegościnne, poznaje tu inne różnice wysokości niż kiedykolwiek dotąd na swej drodze i dopiero po jedenastu dniach powoli odważa się uwolnić od troski, że jest tropiony. Dokąd idzie, tego już od dawna nie wie. Nie chce przecież obierać

żadnego kierunku, a jedynie z każdym dniem odchodzić dalej od granicy, którą z takim trudem odnalazł. I wciąż na nowo szuka życia, a przynajmniej szansy na nie.

Pierwsi ludzie, których przez nieostrożność spotyka, należą do nadzoru leśnego. Dwaj mężczyźni pytają go skąd i dokąd idzie. Pytania nie brzmią inkwizytorsko, ale dla człowieka, który nawet w największym przybliżeniu nie ma pojęcia, gdzie się znajduje, pogawędka robi się trudna. Opowiada, że zwerbowano go do pracy w lesie, ale z powodu choroby nie mógł zacząć w umówionym czasie. Teraz chyba się zgubił.

- Chorych ludzi nie posyła się do lasu - mruczy starszy z nadzorców.

- Też to mówiłem. Ale co mam robić? A teraz szukam już od trzech dni.

- Do jakiej kadry cię posłali?

- Oblenow - mówi Forell, żeby cokolwiek powiedzieć.

- Oblenow? Nie ma takiego. Może Oresoj?

Forell wyciąga swoje papiery kierujące go do Czyty.

- Tak, Oresoj - mówi. - Oresoj. Gdzie to jest? - szybko chowa dokumenty.

- Tam musisz iść co najmniej jeszcze jeden dzień. Dlaczego nie zawieźli cię kolejką linową? Dociera do wszystkich sześciu kadr.

- Ach, ta nasza głupia organizacja. Nic nie działa.

- Bardzo dobrze działa - poprawia go tamten. - To czy owo jest wprawdzie przeorganizowane. Przyznaję. Pójdiesz dalej w tym kierunku, gdzie trzydziestoletni drzewostan graniczy z obszarem do wycinki. Po jakichś piętnastu wiorstach dojdiesz do drogi nadającej się jako tako do wywózki drewna. Pójdiesz nią na lewo, pod górę. Tam niebawem trafisz na pierwsze grupy robocze.

- Zobaczymy.

Forell jest zmęczony i wyczerpany. Nie musi wcale opowiadać o chorobie, bo czuje, że długo już tak nie przetrzyma.

- Gdybym mógł zostać przez noc u was, byłbym wdzięczny.

- Oczywiście zostań.

Nadzór leśny ma dwa porządne drewniane domy i saunę. Sześciu mężczyzn, wliczając w to starego, kiedy już wraca z obchodu terenu, prowadzi stosunkowo przyjemne życie. Porządek musi być. A dla porządku wszędzie w Rosji i na Syberii wyznaczeni są ludzie, żeby sprawy pozostawały w ciągłym ruchu.

Stary uważa, że obcy powinien się wykąpać. Napalono w saunie. Pomocą służy Michaił, mężczyzna może dwudziestosiedmioletni, który wylewa wodę na kamienie.

- Marnie wyglądasz, Piotr.

- Tak. Byłem chory.
- W takim stanie daleko się nie zajdzie.
- Co znaczy daleko?
- Tylko tak - burczy Michaił.

Po kąpeli Niemiec najada się do syta i dostaje trochę z zapasów żywności do swojego worka. Mężczyźni pozwalają mu też spać do woli. Jest sobota. Niech się chłop wyśpi. Godny pożałowania człowiek.

Kiedy Forell w poniedziałek wyrusza, stary jeszcze raz wskazuje mu drogę. Michaił chce go kawałek odprowadzić. Byle nie za daleko!

Idą już kwadrans, kiedy Michaił zatrzymuje się, kładąc Forellowi rękę na ramieniu.

- Bądź ostrożny!
- Bo co? - Forell czuje, jak przerażenie ściska mu serce.
- Tylko tak - to zdaje się być jego stałe powiedzenie.
- Znajdę już teraz kierunek - Forell próbuje uprzejmie pozbyć się towarzystwa.
- Nie sądzę, że chcesz go znaleźć.

Forell staje. Jeszcze nie całkiem pozbył się dawnej beczelności. Chciałby się oburzyć, ale nie wie, jak ma rozumieć uszczypliwość.

- Nie jesteś ani Rosjaninem ani Sybirakiem. Nie udawaj! Mam ci powiedzieć, kim jesteś? Niemcem, i to z południowych Niemiec, być może Austriakiem.

Forell rezygnuje z jakiegokolwiek gniewnego protestu wobec takiego podejrzenia.

- Mój ojciec jest z pochodzenia Tyrolczykiem. Zgadza się. Jestem Niemcem. Też się zgadza.

- I jesteś zbiegłym jeńcem wojennym. Czy inni uwierzyli twojej mizernej ruszczyźnie, tego nie wiem. Nasz stary to sama dobroduszość. Podlega, jak my wszyscy, MWD. To sobie mogłeś przecież wykalkulować. Nie musisz się z tego powodu bać.

- W żadnym wypadku się nie boję.
- Źle jest z twoim zdrowiem. To widać. Jakże chcesz przejść przez granicę?
- Pod Kjachcą próbowałem, a potem jeszcze raz.
- Jesteś idiotą. Nie ma po co iść do Mongolii. Wydadzą cię, nawet jeśli będziesz już tysiąc wiorst w głębi kraju. Taka próba to dziecinada. Czy na mongolskiej granicy, czy gdzie indziej - ze Związku Sowieckiego w żadnym miejscu nie wyjdiesz.
- To mogę spokojnie tu zdechnąć.
- Zdechniesz tak czy tak. Z jak daleka już idziesz? Od Bajkału?
- Nie. Od Przylądka Dieżniewa.

- Co?

- Półwysep Czukocki.

- I tak tu przyszedłeś? - na twarzy Michała odbija się prawdziwy szacunek. - No to jesteś zdolny, jak sądzę, do niejednego. Naturalnie nie pójdziesz do drwali. Na drodze wyjazdowej pilnuj się, żebyś zniknął niezauważony! Trzymaj kierunek na północny zachód! Bądź bardzo ostrożny! Wiesz, gdzie jest Abakan? Nie? Jeszcze daleko. Jeszcze bardzo daleko. Jeśli tam dotrzesz, to odwiedź mojego ojca. Jest naczelnikiem w piekarni. Zapytaj po prostu o towarzysza Leopolda MeBmera!

- Więc ty nazywasz się Michał MeBmer?

- Mój ojciec to dobry człowiek. Z pewnością równie chętnie wróciłby do domu, do Wiener Neustadt, jak ty do Innsbrucka czy gdziekolwiek indziej. Jeśli go spotkasz, sam możesz go o to spytać - Michał śmieje się. - Abakan nazywa się to miasto, zakładając, że tam będziesz. Leopold MeBmer, piekarnia przy ulicy Rewolucji Październikowej.

Potem jeszcze odwraca się ze śmiechem.

- I nie mów już takim austriackim rosyjskim! Nie każdy ma ojca z Wiener Neustadt, ale i inni zauważą śkąd jesteś. Miasto nazywa się Abakan.

Forell przekracza ostrożnie drogę wyjazdową, która faktycznie jest tylko nieco lepszą drogą polną. Kuli się pod grubą jak ręka liną kolejki, jakby ta mogła zameldować na dole, że kręci się tu obcy. Żeby wyglądać bardziej swojsko kradnie siekierę drwala. Następnego dnia natyka się na kobiecy obóz karny.

Z osłoniętego przed spojrzzeniami miejsca przygląda się, jak blisko czterdzieści kobiet rąbie drewno. Jest przy nich dwóch strażników. Choć ze względu na duży obszar miejsca pracy łatwo byłoby nawiązać z którąś z nich kontakt, nie uznaje tego za dobry pomysł. Kobieta mogłaby podnieść alarm przy nieoczekiwanym spotkaniu z obcym. Mimo to mężczyzna tkwi godzinami w pobliżu pracujących więźniarek, nie bacząc na niebezpieczeństwo, jakie może nieść ze sobą wredny przypadek. I nie zna nawet powodów swego zachowania, wsłuchiwanie się w niezrozumiałe najczęściej rozmowy i głośny śmiech, który tak cudownie łączy się z lasem. Pod wieczór piękna radość przycicha. Przed nocą rozpala się jeszcze raz.

A potem, dalej w noc, Forell podchodzi do sterczących surowo w niebo baraków i wysadza swoją siekierą okno z ram. Kradnie żywność na kilka najbliższych tygodni, by wyruszyć z pełnym workiem. Idzie przez całą noc i dopiero o brzasku układa się do spania w bezpiecznym miejscu.

W następnych dniach pojawia się nieco opadów i śnieg nie znika, jakby to był październik. Może już rzeczywiście jest październik?

Pośród karłowatych drzew i krzewów kryjących go przed wzrokiem rozpościera się miękki krajobraz, któremu potrzeba tylko trochę więcej białego puchu, aby narciarze przemierzali jego idealne zjazdy. Widzi trzydzieści cztery domy. Żaden nie większy niż szalas na hali. Dachy posypane śniegiem jak cukrem. Wszystko uśpione. Mieszkańcy zapewne pociągnęli w doliny, gdy zjawiła się zima.

Długo obserwuje, czy jednak nie otworzą się drzwi, czy sąsiadka nie pójdzie do sąsiadki. Jeśliby w ostatnich dniach ktoś tędy szedł, byłyby widoczne ślady. Forell wciąż się waha, czy zejść w dół. Wreszcie przekracza martwą jasność przestrzeni między karłowatym buszem a pierwszym domem.

Wzdryga się ze strachu na dźwięk zardzewiałych zawiasów, gdy popycha przymknięte jedynie drzwi. Przez szparę nawiało śniegu do środka. Forell rozgląda się i widzi ślady własnych kroków przez całe zbocze.

- Hej! - woła. Brzmi to głucho. Drzwi otwierane jeszcze bardziej znów obrzydliwie skrzypią

Nikogo nie ma.

Pomieszczenie po lewej jest puste. Dookoła leży kilka połamanych mebli. Tutaj spano. Pomieszczenie po prawej ma palenisko i ławę pod ścianą. Okna są szare, zmatowiałe od kurzu i pajęczyn. Chaty na halach, w których ludzie zamieszkują tylko czasowo, są inaczej zbudowane. Tutaj mieszkano przez cały rok.

Forell domyka skrzypiące drzwi i idzie do następnego domu. Każdy jest wyludniony. W dwóch podłużnych budynkach, które najwidoczniej przyjmowały zbiory ze wspólnego gospodarowania, są stada szczurów, które uciekają z głośnym piskiem. Szczury nie żywią się drewnem i kamieniami. Musiały tu zostać zapasy. Ale teraz to wszystko plewy i łuski.

W domach jest przytulniej. Dach nad głową nawet jeśli sen nie będzie całkiem spokojny, jest lepszy niż rzadkie krzaki. Forell rozpała w jednym z domów ogień w piecu. Resztki umeblowania dadzą opał na wiele dni. Ale z samego ciepła ciężko wyżyć, a zapasy w worku są już niewielkie. Aby nie zostać do cna objedzonym przez gryzonie, zawiesza swój pakunek na rzemieniu pod sufitem i szykuje sobie spanie na ławie.

Na zewnątrz przez całą noc śwista monotonnie wiatr. Stuka luźnymi kawałkami drewna i lamentuje wokół narożników. Czasem przewraca się zardzewiały blaszany sprzęt, gdy przebiegną po nim szczury. Mężczyzna nie może zasnąć. Nagle spada na niego pakunek. Szczury przegryzły cienki rzemień, próbując od góry ataku na ludzkie zapasy. Forell wstaje,

dokłada drewna na ogień i rozmyśla. Postanawia jak najszybciej wyruszyć dalej. Ktoś taki jak on nie ma tu czego szukać.

Co mogło najść tych ludzi, że opuścili swoją wioskę? Spieszyli się albo ich do pośpiechu popędzano. Nikt w całej Rosji nie zostawia lekkomyślnie kawałka mebla, choćby był stary i uszkodzony. Między frontami, pośród postępującego ataku wielokrotnie widział kobiety ciągnące z wysiłkiem zdobyty mebel, aby mieć coś takiego, czego państwo nie dostarcza albo dostarcza rzadko. Dlaczego ludzie z tej wsi uciekli? Forell też ucieka.

Dusi go tu przerażenie. Jeszcze przed brzaskiem jest w drodze. Po świtaniu ogląda się lękliwie na swoje ślady na śniegu. Byłe dalej stąd, gdzie całymi dniami można śledzić jego kroki! Kraj jest martwy, jakby przeszła tędy dżuma.

Około południa schodzi w dół ku dolinie i staje przed kolejną martwą wioską. Już nie jest tak ostrożny, jak był wczoraj. Jeśli z żadnego komina nie wydostaje się dym, a przez pół godziny obserwacji nikt nie przechodził uliczką, to nie ma tu życia. Dokładnie tak jak wczoraj wszystkie drzwi są otwarte. Widok, jaki przedstawiają domy od wewnątrz, też nie jest inny. Przebiegłszy przez cztery domy, Forell znajduje pustą długą stajnię. Ostatnia podściółka leży jeszcze przegniła.

Wtem staje naprzeciw mężczyzny. Człowiek ten ma brodę i włosy jeszcze dłuższe niż Forell, jest siwy i zabrudzony, a na przybysza spogląda wzrokiem szaleńca. Pasuje do tej martwej wioski.

- Czego tu chcesz? - pyta pustym głosem.
- Zgubiłem się - Forell nie wie, jak inaczej odpowiedzieć.
- Chcę wiedzieć, skąd przyszedłeś!

Forell dyskretnie sprawdza, gdzie ma nóż. Chudy, kościsty starzec nie może być dla niego niebezpieczny, ale nie wiadomo, czy jest sam.

- Jestem w drodze do Abakanu i zabłądziłem.
- Abakan? - mężczyzna zastanawia się. - Och, Abakan! - coś świta mu w głowie. - Pięćset wiorst. Ale idź już! Zostaw mnie samego! Abakan jest tam. Daleko, promem albo przez most kolejowy. Idź już wreszcie! Nie potrzebuję cię tutaj. To niebezpieczne - mówi i wymachuje ręką.

Podczas gdy starzec pokazuje kierunek, w oddali rozlega się jednostajny warkot. Zanim Forell orientuje się w sytuacji, mężczyzna łapie go za obie ręce i ciągnie za sobą do najbliższego budynku.

- Myśliwiec - stwierdza Niemiec.

Starzec kiwa intensywnie głową na potwierdzenie. W domu przytula się do ściany, jak kobiety w strachu przed padającymi bombami. Forell ostrożnie wygląda przez okno. Po hałasie poznaje, że myśliwiec całkiem nisko robi pętlę nad wsią.

- Cóż to znaczy?

- Przylatują co kilka dni, żeby zajrzeć, czy tu nie ma ludzi.

- Dlaczego?

- Tu nikomu nie wolno być. Wszystko puste. Wszystko opróżnione.

- Zabrano stąd ludzi?

- Tak, daleko, ale nie wiem dokąd. Wróciłem. Tu był mój dziadek, w tym domu była moja mamuszka. Moja żona, ja. Moje dzieci. Ja wróciłem. Raz już strzelali, rzucali bomby, bo zobaczyli moje owce.

Mężczyzna odsuwa drzwi. W bocznym pomieszczeniu stoją cztery owce, a na żerdzi siedzi kilkanaście kur.

- Znow tu jestem i nie odejdę. Bomby rzucali i strzelali. Wcale nie byłem na zewnątrz, tylko moje owce.

- Co to wszystko znaczy? Dlaczego zabrali stąd ludzi? Starzec trzyma dłoń na ustach, żeby nie wyrwało mu się ani słowo.

- Nie wiem - mówi, kiedy Forell naciska. - Nie wiem. Wszystkie wioski są puste. Opróżnione. Tannu Tuwa. Tannu Tuwa.

- Kim jest Tannu Tuwa*?

Szaleniec pokazuje rękoma, żeby dać mu już spokój z pytaniami. Oferuje Forellowi sześć brudnych jajek, które leżą jako zapasy w zardzewiałym sicie. Gość przyjmuje. Kiedy jajka ugotuje się na twardo, będzie można usunąć brud ze skorupki. Nie są już także świeże. Ale zawsze to coś do jedzenia. Owczy ser nie jest bardziej apetyczny. Stary dałby jeszcze więcej, gdyby Forell nareszcie zdecydował się odejść.

* Obejmuje pagórkowate i góryste tereny wyżyn Sangilen i Wschodniotuwńskiej, a także Kotlinę Tuwińską otoczoną wysokimi łańcuchami Sajanu Zachodniego, Altaju, TannuOła i Akademika Obruczewa. Klimat jest tam umiarkowanie chłodny, wybitnie kontynentalny. Główna rzeka to Jenisej. W kotlinach występuje roślinność stepowa, a w górach iglaste lasy tajgi oraz tundra wysokogórska. Główne ośrodki miejskie to Kyzyl, Czaban i AkDowurak.

- Jak mam iść?

- Tam. Same puste wioski aż do pojutra.

Forell jeszcze dwa razy dociera do osad bez mieszkańców.

W górach trafia na małe samotne stado owiec. Może wreszcie zaspokoi głód. Zwierzęta wbiegają jednak na strome urwisko. Człowiek tam nie wejdzie. Trzeba przegonić zwierzęta w inne miejsce. Forell rzuca w nie kamieniami. Wreszcie dwie sztuki stoją pod nim i musi tylko obluźować kawałek skały, by spadł na owce.

Pewnie zabił zwierzęta, ale stoczyły się razem z kamieniami w dół urwiska. Tego dnia Forell nie ma już widoków na ich znalezienie, bo będzie potrzebował godzin, żeby zejść w dół do swych ofiar.

Poszukiwanie zajmuje cały dzień. Kiedy wreszcie dociera, odnajduje tylko postrzępione kawałki mięsa zostawionego przez dzikie zwierzęta.

Mało zręczny jest w polowaniu i przyroda nie godzi się na jego kłusownictwo. Raczej nadaje się na złodzieja, gdy znajdą się znowu ludzie, których będzie można okraść.

Wchodzenie do spichlerzy żalosnych kołchozów jest jednak niebezpieczne, ponieważ i najbiedniejsi pilnują swego dobytku. Ze złodziejskim łupem trzeba zniknąć jak najszybciej, zanim zrobi się dzień. Ale na zewnątrz jest zimno i Forell czuje czasem pokusę, by zostać dłużej w spiżarni, pozwolić sobie na kwadrans snu, kwadrans ciepła, zanim zacznie iść pod wiatr i mokry śnieg.

Wiara w to, że kiedyś jeszcze wróci do domu, jest już tylko mrocznym snem w nim samym. Dlaczego więc nadal idzie? Przecież musi być sposób, by żyć bez marzeń. Wystarczy dojść do znośnej egzystencji prostego robotnika, dostać papiery i bez wszelkich ambicji siadać trzy razy dziennie do posiłku. Michaił jest inteligentnym młodym człowiekiem, który zna Rosję - nie ma żadnego miejsca na granicy, w którym można by zbiec z Syberii lub Rosji.

Forell od dwóch lat żyje jak zwierzę. Rozwinął instynkt wobec zagrożeń i coraz bardziej otępieła szuka jedynie pokarmu i schronienia. Jest włóczęgą i osiągnął w tym pewną doskonałość.

Wędrując dalej, wpada na linię szyn kolejowych i postanawia iść obok torowiska. Jeśli jakiś napotkany człowiek odzywa się do niego, on nie odpowiada, ale w każdej chwili gotowy jest na to, by zabić. Nie potrzebuje jednak na swej drodze takiego ponurego śladu, bo jeżeli musi pozostać w tym kraju na zawsze, to chce wyciągnąć czyste ręce do nowych papierów, do nowego życia, które i tak będzie tylko powolnym obumieraniem.

Zapyta tego Leopolda MeBmera, jak można znosić Rosję, zapominając o Niemczech.

- Hej ty! Jak daleko do Abakanu?

- Niedaleko. Idź do promu!

Kiedy przewoźnik przeprowia go promem przez rzekę, Forell siedzi skulony bez słowa na ławce łódki. A na drugim brzegu nie wie, jak rozumieć, co znaczy wyciągnięta dłoń.

Ach tak! Tu trzeba płacić.

Przez całe ostatnie dwa lata nie rozstał się z resztą swych pieniędzy. Przewraca w bagażu i wyciąga mały banknot. Przewoźnik robi się zły.

- Czego chcesz z tym tutaj? Te ruble już dawno są nieważne. No to nie może zapłacić.

Przewoźnik nie upiera się przy swoim żądaniu. Pasażer jest pewnie od zmarłych, z przeszłości, z obcego świata, gdzie życie toczy się upiornie i wstydliwie.

- Odejdź!

Idzie więc dalej. Mówią mu, gdzie jest Abakan.

Miejscowość ani duża, ani radosna. Nie żądają od niego przepustki. Wygląda na to, że podszedł do miasta od niewłaściwej strony.

Mówią mu, gdzie jest piekarnia. O tak, znają towarzysza Meßmera.

Przyjmuje go chłodno i bojaźliwie siwy człowieczek, niepodobny do dziarskiego Michaiła.

- Czego chcesz?

A więc tak wygląda się na koniec życia, owego życia, z którym Forell chce się pogodzić.

- Mam ci przekazać życzenia od twego syna Michaiła, którego spotkałem po drodze.

Twarz rozciąga się w bezzębny uśmiech. Potem znów robi się poważna i bojaźliwa.

- Wejź!

- To w gruncie rzeczy wszystko, co mam przekazać - mówi Forell po niemiecku, kiedy zamykają się za nim drzwi.

Leopold Meßmer ogląda się.

- Od pierwszego twojego słowa wiedziałem, na czym stoję. Tyrolczyk?

- Bawarczyk. Tyrolczyk w połowie. Żeby szybko to powiedzieć - przed dwoma laty uciekłem z kopalni na Przylądku Dieżniewa. Od tego czasu w drodze. Chcę do domu.

- Też chciałem.

- Dlaczego zostałeś? I jak się to robi, że się tu zostaje i można egzystować?

- Też chciałem do domu. Byłem piekarzem w Wiener Neustadt. A teraz pracuję tutaj, w znośnych warunkach. Tak, też chciałem do domu. Najpierw biali na Syberii. Potem czerwoni. Przerzucano nas tu i tam. Zbędni. Nieważni. Przeszkadzający. W dziewiętnastym chciałem do domu. W dwudziestym chciałem do domu. Myślę, że o mnie zapomnieli. W dwudziestym pierwszym przyjąłem pracę. W lesie. Potem w ogóle nie pamiętali, że jestem dawnym jeńcem wojennym. Później jeszcze ludzie Nansena szukali na Syberii byłych

jeńców. Zgłosiłem się do transportu powrotnego. Ale nie doszedł do skutku. Dwudziesty drugi rok minął. Dwudziesty trzeci. Zapomnieli o mnie.

- Trzydzieści lat?

- Wtedy pewnego dnia przyjechał na inspekcję Albrecht. Wiesz, komisarz do spraw lasów. Niemiec. Prowadził inspekcję, przepchnąłem się do niego. Ponieważ mówiłem po niemiecku, zwrócił na mnie uwagę. Pozwolił opowiedzieć moją historię. Powiedział mi: „Kiedy tylko będę w Moskwie, zajmę się tą sprawą. Wrócisz do domu”. Tak powiedział. Kiedy po dwóch latach nic się nie zmieniło, wystąpiłem o sowieckie obywatelstwo. To była sprawa na pół roku. Zostałem Rosjaninem. Rok później przyszła decyzja, że mogę wracać do domu. Na Albrechcie można było polegać. Dobrze. Biegałem od jednego urzędu do drugiego, a wtedy powiedzieli mi, że jako sowiecki obywatel nigdy nie dostanę pozwolenia na wyjazd. I też nigdy go nie dostałem.

Stary zamyśla się. Potem rozgląda lękliwie, jakby obawiając słuchaczy.

- Nie mów nikomu, że rozmawiałeś ze mną! Wiedzie mi się tu znośnie. Stałem się towarzyszem MeBmerem, jestem tu naczelnikiem, mam dorosłe dzieci i pozostanę towarzyszem MeBmerem.

Forell przytakuje skinieniem głowy. Cóż ma zresztą na to powiedzieć.

- Chcesz do domu? - pyta MeBmer. - Tak.

- To najlepiej idź od razu dalej.

- Dokąd?

- To zupełnie obojętne. Nigdy nie dojdiesz do domu. Bo właściwie jesteś martwy.

Kiedy chcesz być pochowany, to twoja sprawa.

- Bardzo pocieszające! - szydzi Forell.

- W tym opakowaniu nie zajdziesz daleko.

- Masz pojęcie, jak daleko już zaszedłem?

MeBmer potrząsa głową. I za chwilę znosi ubrania, które pasują na Forella. Michaił jest podobnego wzrostu.

- Potrzebuje jeszcze swoich starych rzeczy. Ale zarabia dobrze. Przymierz! - mówi mężczyzna i podaje Forellowi części garderoby syna.

- Michaił to wspaniały chłop. Pomógł mi - rewanżuje się dobrym słowem obdarowany.

- I to jeszcze jak wspaniały! - odpowiada dumny ojciec.

MeBmer daje jednak nie z gotowości do niesienia pomocy, lecz chce się wykupić, przez daninę dla potrzebującego chce odzyskać na nowo spokój. Ale ani duma, ani poczucie

wspólnoty z człowiekiem z tej samej ojczyzny nie skłaniają towarzysza MeBmera do tego, by zatrzymać uciekiniera na noc, choć Forell usilnie daje mu to do zrozumienia. Musi odejść.

- Dokąd mam iść, żeby dojść do granicy?

- Próbuj do Iranu! Nie mów mi tylko, którądy chcesz iść. Czego nie wiem, tego nie wypaplam.

Forell żegna się tuż po zmierzchu. Bojaźliwy piekarz z Wiener Neustadt oddycha z ulgą. Uciekinier wymyka się z miasta, żując ciepły chleb, który stary podarował mu na drogę.

Nocami śpi tam, gdzie ludzie najczęściej nie sypiają. Jada to, za co nie płaci. Na strach napotyka częściej niż na dobroć. Ale z dobroci czerpie szorstko, bo skoro Syberia jest krainą litości, to godny litości ma takie prawo.

Filemon i Baucis, mamuszka i muž, w ostatniej małej chałupie kołchozu przyjmują Forella, gdy tylko słyszą pukanie w okno. Kiedy jest syty i ogrzany, zapraszają by zajął na piecu miejsce do spania.

- Jesteś zbiegłym calinnikiem? - pyta mamuszka, kiedy gość żegna się rano.

- Nie. Wojennoplennyj.

- Boże cię chroń! Nasz syn jest calinnyj na złotonośnych polach. Szczęśliwej drogi do twojej ojczyzny!

W mężczyźnie, który ciągnie na sankach swój worek, świat wielkich nie dostrzega nic wartego uwagi. Pozbawiony znaczenia przechodzi obok zagrożeń i nikt go nie zatrzymuje. Zbyt mało znaczy, by wymagać od niego dokumentu na uprawnienie do życia.

Gdy tak idzie otwartą drogą jest tylko śmiesznym obrazem nędzy. Bieda wspaniale maskuje. I Forell bezwstydnie wykorzystuje tę bezpieczną charakteryzację. Za dnia zebrze. Nocą kradnie. Już od dawna wydaje mu się niestosowne i niebezpieczne spać pod odkrytym niebem. Wielkoduszni dają mu kwaterę. Niesympatycznych nie pyta o pozwolenie i sam wchodzi do jakiegoś budynku.

Gdy nie chce mu się wędrować dzień za dniem trasą bez kierunku, bezczelnie prosi o podwiezienie na otwartej ciężarówce, nie obawiając się braku przepustki. Dziewięciu na dziesięciu kierowców odmawia. Zawsze jednak znajdzie się taki, który go zabierze i wtedy Forell ochoczo ładuje na pakę swoje saneczki. Te jazdy są zimne, mężczyzna cały sztywnieje, ale póki może poruszać palcami, przeszukuje ładunek samochodu i wypycha swój worek tym, co wydaje mu się wartościowe. Tak odpłaca za uprzejmość.

Nadporucznik Clemens Forell, mężczyzna z dobrego domu, żonaty, ojciec dwojga dzieci, wychowany w uczciwości, gotów niegdyś zrobić wszystko dla rodziny i powrotu do

ojczyzny, jest coraz bardziej zdeprawowany. Żyje jak motłoch, z odpadów porządku i nadużywając dobroci innych.

Tuż przed Bożym Narodzeniem nocuje na kupie siana w Kupcowie. Krótco potem pęta się po Semipałatyńsku, gdzie zręcznie ucieka funkcjonariuszom MWD. Tam też próbuje bez powodzenia kraść żywność na rynku. Czego nie dostanie dziś, dostanie jutro. Znów ktoś będzie współczujący lub nieuważny.

W Uspienski dopytuje się o kierunek na Kazalińsk. Nazwa ta ciągle chodzi mu po głowie, chociaż nieostro i być może cel ten jest równie nieużyteczny jak wszystkie miejsca, których kiedyś dotknął. To wina Danhorna, który zakończył swoją mapę na zachodzie miastem Kazalińsk, jako ostatnim punktem wszelkich możliwości. Zakładał, że jeśli zbieg dotrze do Jeziora Aralskiego, nie przekraczając granicy, nie będzie potrzebował dalszej części mapy, bo zniknie wszelka nadzieja na powodzenie ucieczki. Danhorn miał chyba rację.

Forell wsiada do pociągu towarowego, ale opuszcza go przed stacją główną. Sypiący śnieg ogranicza widoczność. Niemiec stoi na wietrze przed słabo oświetlonym dworcem i godzinami obserwuje niewielki ruch. Podchodzi do okna, żeby zobaczyć, czy dworzec nie ma czegoś do zaoferowania włóczędze i widzi urzędników zamykających kasę towarową. Jeden z kolejarzy liczy pieniądze w blaszanej kasecie i wkładają do znoszonej skórzanej teczki.

Tę skórzaną teczkę widzi Forell za chwilę w ręce urzędnika opuszczającego dworzec. Aby nie zostać zauważonym, cofa się. Pozwala mężczyźnie najpierw wybrać kierunek, potem idzie za nim wzdłuż torów po wydeptanej ścieżce. To zapewne krótsza droga do miejscowości. Kiedy w śniegu i wietrze nie słychać już wyraźnych kroków, a jedynie stłumione człapanie kolejarza, pojawia się napastnik. Bez zastanowienia powala mężczyznę i zabiera mu pieniądze.

Forell trzyma brudną skórzaną teczkę z kasetą ale zostawił swój worek, ponieważ trafiony niegroźnie laską w skroń urzędnik zaczął wrzeszczeć. Oznacza to, że za dziesięć minut kolejarz z dołu, gdzie zepchnął go rabuś, dotrze na górę nasypu, a za pół godziny będą tu psy tropiące. Forell wie, iż nie może zbiec. Nie wie tylko, dlaczego to zrobił, jak mógł stać się takim łotrem.

Po raz kolejny biega tam i z powrotem, jak kiedyś na granicy. Złapią go. Biegnie pod wiatr, z wiatrem, chciałby odrzucić teczkę, żeby nie utrudniała ruchów, ale musi ją zachować, by nie zostać z niczym. Teraz biegnie po nasypie, przeskakując wielkimi skokami po dwa podkłady naraz.

Wtem nadjeżdża pociąg. Z daleka widzi czerwone światła i uskakuje przez śnieg i szuter w bok. Nonsens! Pociąg go nie przejedzie. Przecież zwalnia.

Forell biegnie poniżej nasypu wzdłuż pociągu i wdrapuje się mniej więcej w połowie znowu na górę. Minutę później leży skulony na dachu wagonu załadowanego maszynami, wciska się pod olbrzymią plandekę i czuje, jak pociąg dojeżdża, wtaczając się na stację.

Wszędzie wielkie poruszenie. Palą się wszystkie światła. Czterej mężczyźni otaczają kolejarza z sumiastym wąsem i brodą, którego właśnie obrabowano. Mężczyzna ciągle pokazuje, gdzie musiał uciec ten złodziej, rabuś, sukinsyn, włóczęga, darmozjad, zbrodniarz...

Pociąg z towarami dla dobra i odbudowy Związku Sowieckiego nie może być długo zatrzymywany z powodu takiego zdarzenia. W otwartym samochodzie nadjeżdża grupa funkcjonariuszy MWD. Ale podniesiono sygnał i pociąg towarowy wyjeżdża z dworca.

Wałkoń! Próźniak! Rozbójnik!

W hałasie jadącego pociągu schowany pod brezentem Forell przez całą noc słyszy obelżywe słowa. Wstydzi się po raz pierwszy od dawna. Zmarznięty i głodny pozostaje jednak w ukryciu. Chce odjechać jak najdalej od miejsca swej nikczemności.

Życie staje się o wiele trudniejsze, od kiedy brak mu wszelkiego wyposażenia. Rozbija kasetę i znajduje marne tysiąc sto rubli.

Znowu kradnie po drodze, bo uważa to za swoje prawo. Wałkoń! Próźniak! Rozbójnik!

Trzy tygodnie później jest w Kazalińsku.

Włóczy się po ogrodzonym płotem bazarze. Wyciąga ostrożnie kilka banknotów z kieszeni, by sobie coś kupić. Potrzebuje jedzenia, uczciwie kupionego jedzenia za nieuczciwie zdobyte pieniądze.

Musi mieć machorkę. I wleje w siebie szklankę wódki. Wódki nie pił już dawno, a pora jest zimna. Jeszcze jedną szklankę!

- Ty, Niemiec! Chodź ze mną!

W przestachu Forell wylewa połowę wódki na zasmarowane ubranie. Czy to do niego?

- Chodź ze mną, Niemiec!

Odwraca się powoli i widzi Żyda z zakupami pod pachą, który patrzy na niego spokojnymi niebieskimi oczami. Czy są Żydzi o niebieskich oczach?

- Tak, o ciebie chodzi. Chodź ze mną! - mężczyzna mówi po niemiecku z silnym akcentem jidysz.

- Jakim językiem mówisz? - pyta Forell.

- Niemieckim, jak ty. Nie zwracaj na siebie uwagi! Mam dobre zamiary wobec ciebie, kiedy mówię, że masz pójść ze mną.

Żyd jest uparty i po tych rzeczach, jakie spotkały Żydów w Rosji, może być niebezpieczny, gdy dostanie Niemca w ręce. Forell znów po długim czasie wie, co znaczy strach. Wypija pozornie obojętnie swoją wódkę i wychodzi z bazaru.

- Lepiej tu nie rozmawiać! Chodź!

Wędrówka trwa dwadzieścia minut. Na smętnym przedmieściu przed niskim domkiem Żyd wyciąga klucz i otwiera drzwi.

- Tu mieszkam. Proszę!

Domek, który z zewnątrz wygląda jak chałupa, jest bardzo czysty i bogato wyposażony. Na podłodze leżą dywany, na ścianach wiszą kilimy, wiele sprzętów jest z miedzi i mosiądzu.

- Nazywam się Igor. - Aja Piotr.

- Jak siebie nazywasz, jest mi obojętne. Gdzie się urwałeś z niewoli, też może mi być obojętne. Przy pierwszym słowie wiedziałem, że jesteś Niemcem. Chcesz się przedostać przez granicę?

- Tak.

Gospodyni Igora przynosi chleb i sól.

- Przecież to nie żydowski zwyczaj.

- Chciałem ci tylko pokazać, że jesteś moim gościem.

- Dziękuję.

- Jestem Żydem z Armenii, żyję tu jako tako i chcę ci pomóc. Mogę ci pomóc.

Gospodyni przynosi jedzenie. Ale Forell nadal jest nieufny. Za każdym razem, gdy na uliczce pada głośniejsze słowo, oczekuje, że otworzą się drzwi. Żyd pomaga Niemcowi w takim położeniu? Nie.

- Zostań u mnie, jak długo chcesz!

Forell zastanawia się, jak zniknąć z tego domu, uwolnić się od gościnności, która jest przecież tylko podejrzaną formą więzienia. Igor wychodzi na dwie godziny. Ale gdy tylko Clemens chce się podnieść i odejść, między grubymi zasłonami bezszelestnie pojawia się gospodyni, pytając gościa o życzenia.

Niemiec pozostaje w domu Żyda przez dziesięć dni. Przez cały ten czas daremnie próbuje się wymknąć. Dziesiątego dnia, gdy odzyskuje godny człowieka wygląd, ubrany tak, jak się ubierają w Związku Sowieckim - nie elegancko, ale ciepło - Igor mówi mu, że musi ruszyć w podróż.

- Pojedziesz pociągiem do Uralska.

- Co miałbym robić w Uralsku?

- Nie ma innej drogi jak przez Kaukaz.

A potem niebieskooki Żyd wprowadza swego gościa w sprawy, które Forellowi wydają się tak zadziwiające, że po raz pierwszy, choć z mnóstwem zastrzeżeń, zaczyna wierzyć.

Nigdy jeszcze nie słyszał o ruchu „Kułaki” i znów wietrzy podstęp, kiedy Żyd podaje mu adres w Uralsku, polecając zameldować się tam pod hasłem starszoj. Tam zatroszczą się o niego dalej.

- Adresu nie zapisuj, lecz tylko wbij go sobie w pamięć: Michaił Iwanowicz Słatin, ulica Stranskaja czterdzieści dwa, Uralsk.

Następnego dnia Forell rusza w swoją drogę. Jest zadowolony, że uwolnił się od pełnego tajemnic przebąkiwania o rzekomym ruchu oporu i obrał drogę na południe.

Na początku czerwca, po czterech miesiącach tułaczki, Forell stoi oberwany i brudny w przepięknej izbie małego domku na skraju Kazalińska.

Pod wieczór przychodzi Igor. Nawet nie dziwi go powrót Niemca.

- Więc mi nie wierzyłeś i chciałeś na własną rękę spróbować przez irańską granicę?

- Tak.

- Któż by wierzył armeńskiemu Żydowi, zwłaszcza jeśli jest się Niemcem? Przeczuwałem to.

Forell opowiada przez pół nocy, że był bliższy śmierci niż granicy.

Przez trzy tygodnie gospodyni pielęgnuje ze świętą troskliwością poobijanego człowieka. Potem Igor uznaje, że już czas i Forell może wyruszyć w dalszą podróż.

- Kolejną niestety teraz nie można. Bardzo dużo kontrolują. Idź na piechotę albo postaraj się zabrać niezauważony!

W tym Forell ma pewne doświadczenie. Na jego twarzy pojawia się uśmiech.

- Zostałem nawet rabusiem.

- Tylko nie to! - ostrzega Igor. - Żadnego zła! Nie możesz liczyć, że spotka cię szczęście, jeśli ciąży na tobie zło.

Jest pałący zarem lipiec, kiedy Forell, wyglądając teraz jak miliony innych Rosjan, zaczyna swoją wędrówkę na północny zachód. Wie, że jego drogą będzie linia kolejowa. Nauczył się sztuki wsiadania i wysiadania we właściwej chwili. Odcinek pięciuset kilometrów rozkłada na tuzin pojedynczych kawałków, co daje prawdziwą mieszaninę gry szczęścia, nerwów, napawania się krajobrazem i niosących odpoczynek przerw w podróży. Tych nie odczuwa jako zbyt spokojnych, bo w fundamentalnej dla życia technice kradzieży nic się w czasie jazdy do Uralska nie zmienia.

Forell chodzi ulicą Stranską w górę i w dół pięć razy obok numeru czterdzieści dwa, zanim decyduje się wejść.

- Czy mogę mówić z towarzyszem Michaiłem Słatinem? Kobieta nie jest nadmiernie uprzejma, a dom nie wygląda na bogaty. Prosi, żeby usiadł, zanim przyjdzie Michaił Iwanowicz. Towarzysz Michaił jest prostym człowiekiem. - Co jest?

- Przysłała mnie towarzysz Igor, mam przekazać: starszój. Na twarzy Michaiła pojawia się grymas. Zamyka powoli okna.

- Igor przykazał mi powiedzieć wszystko zgodnie z prawdą. Byłem niemieckim jeńcem wojennym, uciekam i szukam możliwości przekroczenia granicy.

Twarz Michaiła nie robi się bardziej przyjazna. Nie jest skłonny do mówienia i uważnie wysłuchuje gościa, jakby się upewniał, że Igor nie został oszukany. Potrzeba długiego przesłuchania, zanim uznaje, że Forell jest w porządku.

- Dobra. Jutro pójdziesz dalej, do Aleksandrowska. Przed miastem, gdzie drogi się rozwidlają, leży kołchoz „Klara Zetkin”. Filip Bonin jest synem naczelnika kołchozu. Starszój to twoje hasło.

Słatinowie goszczą obcego, ale nie przesadzają z przyjaźnią. Dają mu materac do spania i robią dla niego zakupy. Ponieważ Forell chce uniknąć westchnień swego gospodarza na temat niedostatku pieniędzy, daje mu na zakupy ruble zdobyte w napadzie.

Kiedy następnego dnia rano żegna się, nie może sobie darować, by nie popatrzeć przez chwilę na kolorowy tłum na bazarze.

Przeklęty Uralsk!

Nigdy nie chciał tam iść. To była wola Igora, brzmiąca jak rozkaz rada po groźnej dla życia próbie przejścia irańskiej granicy.

A teraz, od chwili, kiedy kupił pudełko zapalek, stale ktoś za nim idzie. Śledzi go jakaś kobieta, której nie potrafi zgubić w tłumie. Wabik MWD? Czy jest tak słaby w rosyjskim, że za każdym razem zdradza się przy pierwszym słowie?

Nie udaje mu się pozbyć śledzącej, a na następnym rogu kobieta podchodzi tak blisko, że może mu spojrzeć w twarz, kiedy się do niego odzywa.

- O przepraszam!

- O co chodzi? - za późno się orientuje, że wpadł, odpowiadając po niemiecku.

- Tak sobie pomyślałam, widząc pana kupującego zapalki.

- Niech pani nie mówi głupstw i zostawi mnie w spokoju.

- Nie jest pan uprzejmy. Mogę zrozumieć. Można być nieufnym, jeśli sądzi się, że na każdym kroku jest się obserwowanym, skoro się ucieka. O, przepraszam!

Dziewczyna mówi to rzeczywiście szarmancko. Jej głos brzmi zachwycająco i może skusić do niebezpiecznej poufałości. Forell próbuje się uwolnić, ale po wielu wymówkach jest tak bezbronny, że idzie bez sprzeciwu.

- Nazywam się Ljuba - mówi kobieta, wpuszczając go do małego, nieco skromnie urządzonego pokoju, w którym mieszka.

- Nazywam się Piotr Jakubowicz.

- A nazwisko? - pyta Ljuba z uśmiechem.

- Uljanow.

- Potrzebujemy nazwiska. Uljanow jest dobrym nazwiskiem. Występuje u nas niemal tak często jak u was Huber czy Meier.

- Czego właściwie pani ode mnie chce?

- Czy jadł pan już? Jest pan głodny?

- Tak. To znaczy nie.

- Więc gotujmy.

Ljuba zawiązuje sobie fartuch i zaczyna żonglować trzema garnkami oraz kilkoma lekko zdobionymi talerzami. Ładnie wygląda, a zręczne i żwawe ruchy przypominają kota.

- Pan się dziwi, Piotrze Jakubowiczu?

Nagle z szuflady, w której panuje przyjemnie zaplanowany nieporządek, dziewczyna wyciąga fotografię i kładzie ją na stole.

- To jest Georg.

Forell wzdryga się. Fotografia pokazuje miło wyglądającego mężczyznę w wieku około dwudziestu ośmiu lat w niemieckim mundurze, sierżanta sanitariusza.

- Ostatni raz widziałam go w Charkowie. - To był...?

- Tak - pada mocno i jasno.

Ljuba chowa zdjęcie. Forell dostrzega kilka małych zmarszczek w kącikach oczu dziewczyny. Tak całkiem młoda Ljuba już nie jest. Charków, to był czterdziesty czwarty, jeśli w chwili ostatniego szczęścia z Georgiem miała choćby tylko dziewiętnaście lat, to dzisiaj ma dwadzieścia osiem.

- Jeśli się zgromadzi ludność całego miasta i powie mi, że jest tam jeden jedyny Niemiec, to go znajdę. Nie kocham was, Niemców. Nie. Ale kiedy pomyślę, że Georg był Niemcem...

- Co wtedy?

- Niech pan dziś śpi tutaj. Ja wyjdę i będę spać u mojej przyjaciółki. Jutro pozostanie pan przez cały dzień cicho w tym pokoju. Moje łóżko jest pańskim łóżkiem. Niech pan śpi! Niech pan robi to, co panu skróci dzień! O siódmej wieczorem znów tu będę.

O siódmej wieczorem następnego dnia Ljuba jest z powrotem. Kładzie przed Forellem dowód osobisty.

- Niech pan tu podpisze! Ale bez błędu! Potrafi pan pisać bezbłędnie cyrylicą, nie myląc liter? No więc: Piotr Jakubowicz Uljanow.

Forell po raz pierwszy od ucieczki z obozu ma propusk, bez zdjęcia, upoważniający do opuszczenia miasta i podróżowania w promieniu ośmiuset wiorst. Do dalszych podróży potrzebna jest specjalna legitymacja.

Nigdy się nie dowie, jak Ljuba zdobyła ten dokument.

- Towarzysz Małachow podpisał. Ale Georg dostał się do sowieckiej niewoli. Jest to ostatnia rzecz, którą wiem na pewno. Niechaj jemu pomoże to, co dla pana robię!

Forell stoi wstrząśnięty. Jest tak zmieszany, że nie znajduje właściwego słowa na pożegnanie. Tacy są Niemcy. Był tylko jeden jedyny wyjątek. Oczy Ljuby są zimne, ale dziewczyna się śmieje.

Zaczyna się podróż do Aleksandrowska. Forell jest niespokojny. Wie, że droga do wolności jest jeszcze daleka i może bardziej niebezpieczna niż cała droga ucieczki od Przyłądka Dieżniewa do Uralska. Instykt każe mu jednak działać zgodnie z planem i poruszać się w przestrzeni misternie rozpiętych nici - od człowieka do człowieka, od Uralska do Aleksandrowska, od Aleksandrowska do Urdy, od Urdy do Groźnego, stamtąd do Machaczkały, ze wszelkimi możliwościami błędzenia i niepowodzenia, które syberyjską włóczęgę mogą na nowo uczynić niepewną.

Forell nie wierzy w swoją szansę, jaką podarował mu armeński Żyd, nawet wtedy, kiedy w listopadzie wspina się po niemożliwych ścieżkach przez Kaukaz u boku znajdującego drogę towarzysza. I podejrzewa podstęp, gdy dwa tygodnie później przewodnik przekazuje go czterem ciemnym postaciom, które przez granicę, zarówno na rosyjską, jak i na irańską stronę, potrafią przeprowadzić wszystko - od bydła po prawdziwy rum „Jamajka”, od pistoletu maszynowego po całe bele tkanych materiałów, od ozdób z tombaku po kompletny zaprzęg. Inkasują od Niemca resztę jego pieniędzy. To dodatek w gotówce do nagrody nieba, jakiej spodziewają się za to, że przeprowadzają przez granicę człowieka. Nie robią tego po raz pierwszy.

Podczas przeprowy przez bystrą wodę granicznej rzeki mężczyźni biorą Forella z obu stron pod ramiona. O mój Boże! To przecież bród, bezpieczny i wypróbowany przez tysiące

sztuk bydła. Wpada się najwyżej po biodra. Woda jest obrzydliwie zimna i dokucza człowiekowi, ale nie stanowi żadnego zagrożenia. No, chyba że dla takiego chudzielca, któremu bieda niewiele już pozostawiła na kościach.

Forell nie wierzy bandytom, kiedy mówią, że jest na irańskim terytorium. Dlaczego w takim razie idąjesz z nim?

- Musimy poczekać na dzień - mówi z uśmiechem szef przemytników. - Ale nie wyobrażaj sobie za wiele! Nie jesteś teraz bezpieczny! Granica jest tu płynna. Na dwadzieścia kilometrów w głąb możesz w każdej chwili natknąć się na rosyjski patrol. To nasz wielki kłopot. Więc bądź malutki! Idź co najmniej przez trzy dni, zanim pozwolisz się zobaczyć! Masz co jeść?

- Już nie.

Dają mu chleb i wieprzowy pęcherz pełen tłuszczu.

- Nie mogę zapłacić.

- Już zapłacone.

Odchodząc, śmieją się do niego. Forellowi po plecach spływa lodowaty pot. Po raz kolejny boi się, że nie grają z nim czysto. Ale grzmiący śmiech ciemnych typów przekraczających granicę zdaje się należeć do ich mowy. Być może jest wyrazem miłosierdzia.

Po dwóch dniach marszu uciekinier zaczyna kierować się w stronę ludzi. Miasto, do którego wkracza czwartego dnia, pozwala takiemu człowiekowi jak on zniknąć w tłumie. Nagle jego oczom, ku wielkiemu przerażeniu, ukazuje się coś, przed czym uciekał przez trzy lata.

Na imponującym budynku przymocowany jest sierp i młot, a pod nim litery: CCCP.

Forell pyta przechodnia, jak się nazywa miasto. Mężczyzna go nie rozumie. Zaczyna biec w górę placu, możliwie jak najdalej od znaku potęgi, od której, jak wierzył, zbiegł. Przed budynkiem publicznym stoi dwóch wartowników, jeden od strony placu, drugi od strony bocznej ulicy. Inne mundury. Inne nakrycia głów. Wbiega obok strażników do budynku i pyta głośno:

- Policja?

- Policja? Tak. Tutaj - jakiś pan pokazuje drzwi.

Młody i zadbany mężczyzna w stopniu nadporucznika wstaje i zadaje pytanie dziwacznie ubranemu petentowi. Forell nie rozumie.

- Mówi pan po rosyjsku? - pyta Niemiec po rosyjsku. - Tak.

- Ma pan niemieckiego tłumacza? Młody oficer wychodzi zza biurka.

- Ja jestem niemieckim tłumaczem - odpowiada nieco koczowniczą niemczyzną.

- Proszę o azyl - nieśmiało przedstawia swoją prośbę Forell. Oficer zdaje się nie rozumieć.

- Co pan powiedział?

- Proszę o azyl. Od trzech lat uciekam z Syberii i nielegalnie przekroczyłem granicę.

- Komu pan to mówi? - spokój oficera działa drażniaco.

- Jako niemiecki jeńiec wojenny byłem we wschodniej Syberii, skąd uciekłem i przekroczyłem bez pozwolenia granicę pańskiego kraju.

- A tu miał pan nieszczęście wpaść prosto w ręce policji.

- Taki miałem zamiar. Chciałem się oddać w ręce policji. Tam na zewnątrz na placu zobaczyłem sowiecką placówkę, w najbliższym sąsiedztwie. Proszę, nie wydawajcie mnie Rosjanom!

- Mamy tu w Tabrizie sowiecki sztab łącznikowy. Być może wyszedł pan tam drzwiami i pomyłkowo wszedł tymi drzwiami tutaj. Mówi pan, że jest Niemcem? Jaki ma pan dokument?

- Żadnego.

- Rozumie pan, że muszę pana aresztować.

- Liczyłem się z tym. Ale proszę jeszcze raz. Niech mnie pan nie wydaje Rosjanom!

- Jeśli jest pan niemieckim jeńcem, to nie. Jeśli jest pan, co bardziej prawdopodobne, rosyjskim szpiegiem, to tym bardziej nie.

Pośród podwładnych w pokoju pojawia się poruszenie. Oficer wydaje polecenie, by zaprowadzić Forella do celi.

Dostaje jeść i prosi o kąpiel. Po takiej podróży chciałby wreszcie zdjąć ubranie, a jeśli po drodze złapał robactwo, to najwyższy czas, żeby się go pozbyć. Oficer wysłuchuje prośby i wydaje zgodę.

Forell jest wielokrotnie przesłuchiwany Mijającztery dni. Potem w drzwiach celi staje nadporucznik ubrany jak do podróży.

- Niech pan idzie ze mną! Zostanie pan odtransportowany. Nie ma chyba już wątpliwości, że jest pan rosyjskim szpiegiem. Przygotować się!

To przygotować się pada bardzo ostro. Ze związanymi rękoma doprowadzają Forella do zamkniętego samochodu. Żołnierz czy policjant siedzi przez całą drogę obok niego, a podróż jest tak długa, że eskortujący wreszcie lituje się nad sponiewieranym człowiekiem i na czas jazdy samochodu otwiera kajdany.

W Teheranie skuty Forell prowadzony jest do policyjnego więzienia. Ponad dachem łapie pospiesznie widok innego budynku - powiewają na nim dwie białe chorągwie, jedna z czerwonym krzyżem, a druga z czerwonym półksiężycem. Jeśli one są tu oficjalnie uznawane, to więzień nie musi się obawiać.

Jak gorzko można się pomylić!

Podczas przesłuchań okazuje się, że nikt nie wierzy w ani jedno jego słowo. Cela jest czysta, a jedzenie dobre. Jednak więźnia męczą kilkunastoma przesłuchaniami dziennie. Pułkownik policji koniecznie chce udowodnić, że Forell nie jest zbiegłym jeńcem wojennym, lecz przysłanym przez sowieckich Rosjan szpiegiem. Im dokładniej Niemiec opowiada, tym większa jest nieufność. W pierwszych dniach w roli tłumacza występuje nadporucznik z Tabrizy. Kiedy odjeżdża, zastępuje go kobieta.

Mijają tygodnie, a śledztwo nie posuwa ani o krok.

Forell prosi o lekarza. Jest chory. Nie ma co do tego wątpliwości. Pomimo to dopiero po odegranym przez niego napadzie kolki nerkowej zostaje wezwany medyk.

Lekarz jest Turkiem i mówi po niemiecku.

- Musi mi pan pomóc - pojękuje Forell.

- To mój zawód - uśmiecha się zdawkowo lekarz. Honorarium za leczenie więźniów nie pobudza do ożywionej uprzejmości.

- Musi mi pan oddać przysługę!

- Zrobię, co należy do moich obowiązków.

Kiedy Forell zaczął wrzeszczeć, wartownik powiadomił oficera, który pozwolił na sprowadzenie lekarza. Teraz stoi jak posąg i przygląda się badaniu.

- Niech pan jutro pójdzie do Czerwonego Krzyża i Czerwonego Półksiężycy. Niech przekażą wiadomość do Ankar, Tureckie Ministerstwo Gospodarki, Zarząd Budowy Dróg, żeby pan Erich Baudrexel zrobił wszystko, by stwierdzić moje personalia. Pan Baudrexel jest moim wujem. Nazywam się Clemens Forell.

Oficer robi się nieufny.

- O czym się mówi?

Lekarz jest zalękniony. Szeptem opowiada, czego więzień od niego oczekuje. Oficer zastanawia się. Potem kiwa potakująco głową. Gdyby Forellowi wcześniej przypomniał się wuj w Ankarze, pułkownik z pewnością nie odmówiłby spełnienia tej prośby. Ale on pomyślał o tym dopiero, gdy zobaczył tureckiego lekarza. Medyk podaje pacjentowi spasmolitycum i zostawia kilka tabletek. Obiecuje zająć się sprawą i zajrzeć jeszcze raz innego dnia.

Sześć dni później strażnik otwiera celę o niezwyklej porze i pokazuje więźniowi, żeby szedł na przesłuchanie.

Pokój jest ten sam co zwykle. Pułkownik siedzi przy stole, po jego prawej stronie szpakowaty pan po cywilnemu, obok niego tłumaczka, po lewej stronie pułkownika porucznik, wyraźnie także w funkcji tłumacza.

- Proszę! - mówi pułkownik.

Forell widział swojego wuja po raz ostatni latem roku. Tak, to on. Postarzał się. Bardzo mocno posiwiął. Twarz bez uśmiechu. Forell wie o ciosach losu, które zrobiły z niego zgorzkniałego człowieka.

Przyjrząwszy się Forellowi przez chwilę, wuj Erich Baudrexel patrzy zatroskany na stos książek i papierów leżących przed nim.

- Dostałem kuriozalne zlecenie, żeby zidentyfikować pana jako mojego siostrzeńca - patrzy jeszcze raz badawczo na więźnia. - Jeśli pan nim jest, będzie pan umiał odpowiedzieć mi na kilka pytań.

Forell przetyka nerwowo ślinę. To nie ma sensu! Ustawiona scena ze świadkami. To tchórzostwo ze strony wuja, że barykaduje się za wyszukаныmi słowami, zamiast po prostu powiedzieć głośno: „Naturalnie, to jest mój siostrzeniec Clemens Forell”.

Pan Baudrexel otwiera staromodny album rodzinny, odwraca go w kierunku Forella, żeby fotografie widoczne były bez trudu, i z palcem na zdjęciu pyta.

- Kto to jest?

- Całe stado Forellów! - tak miał zwyczaj wyrażać się ojciec.

- Studnia, przed którą zrobiono zdjęcie, stoi w Kufstein. Ojciec. Matka. Egon. Lena. Ten dopiero co wyrosły ze śpiochów chłopak, tam na brzegu studni, to ja.

Kobieta tłumaczy. Pułkownik kiwa głową.

- Co przedstawia to zdjęcie?

- Wejście do starego Ogrodu Botanicznego w Monachium. Mężczyzna przy kolumnie to mój ojciec.

Przewracane są kolejne zdjęcia i czytane wyjątki ze starej korespondencji. Forell z fragmentów listów musi umieć wyjaśnić powiązania z określonymi rodzinnymi wydarzeniami. Wuj Erich patrzy na niego coraz dłużej i coraz bardziej badawczo, jakby chciał powiedzieć: „Zręczny oszust!”.

- Ta fotografia? - Baudrexel podsuwa siostrzeńcowi zdjęcie żołnierza.

- Reichenhall, rok.. Pułk Strzelców Górskich. Szeregowiec Forell.

- Zgadza się.

- Może warto byłoby wyjąć fotografię z albumu, żeby zobaczyć, co jest napisane na odwrocie. Fotografii nie miał nikt poza moją matką. Posłałem jej to zdjęcie, jeśli sobie dobrze przypominam, na urodziny, października.

Baudrexel wyjmując fotografię, czyta napisane atramentem dwie linijki, patrzy na Forella i podaje kartkę tłumacze, która odczytuje: „Mojej kochanej mamie, z wielką miłością: Clemens. października roku!”.

- A więc jednak ty jesteś Clemens! - mówi cicho Baudrexel.

- Nie poznałem cię, w nic z tego nie wierzyłem i nie poznaję cię także teraz. Ale nie ma wątpliwości.

Tłumaczka przekłada. Młody oficer obok pułkownika aż się zachłystuje. Scena identyfikacji sprawia mu przyjemność. Potem mówi pułkownik, a kobieta tłumaczy z uśmiechem:

- To wystarczy. Dziękuję panu, panie Baudrexel. Pan, panie Forell, jest oczywiście od tej chwili wolnym człowiekiem. Ubolewam, że z powodu naszego bezpieczeństwa musieliśmy pana aresztować i tak długo trzymać w areszcie. Zechce pan, proszę, wybaczyć nieprzyjemności! Mam nadzieję, że postępowano z panem poprawnie i przyzwoicie. Ale przede wszystkim proszę przyjąć przed swoim powrotem do domu, do Niemiec, moje najlepsze życzenia!

Oficer wychodzi zza stołu i podaje Forellowi rękę.

Jeszcze w celi przywołany fryzjer przycina mu włosy i brodę. W ciągu dwóch godzin na polecenie wuja do więzienia przynoszą kompletny ubiór, od bielizny po miękki kapelusz.

Forell nie umie się zachować i poruszać, kiedy idą do hotelu. A Baudrexel wciąż zagląda w twarz temu wysokiemu wychudłemu mężczyźnie u swego boku.

- Wiem, że to ty. Znów słyszę dokładnie tę melodię i tę gardłowość, na ile to tyrolskie dziedzictwo. Ale gdybym cię miał rozpoznać z postawy i z twarzy? Nie.

Mijają cztery dni, zanim przez poselstwo załatwione zostają wszelkie formalności, mężczyźni mają więc czas, by się do siebie przyzwyczaić. Baudrexel po raz pierwszy uśmiecha się, kiedy widzi, jak siostrzeniec męczy się, by używać noża i widelca odpowiednio do europejskich zwyczajów.

Przez Ankarę, Stambuł i Ateny Forell leci do Rzymu. Pozostali pasażerowie dziwią się takiemu towarzysowi podróży. W Rzymie przesiada się na następny samolot.

grudnia roku Forell będzie w Monachium, trzy lata i dwa miesiące od ucieczki z Przylądka Dieżniewa.

Właściwie mógłby nadać z Rzymu telegram. Ale rezygnuje, bo musi przyjąć, że Kathrin też po tym wszystkim go nie pozna i że się rozminą.

POSŁOWIE

Tak jak zaplanował sobie w Omsku, w czasie przypadkowego i zimnego postoju, na początku swej długiej podróży, Clemens Forell obchodzi wszystkie kościoły, których piękno dostrzegać nauczył go ojciec.

Zdumiewa go, że nic już nie jest takie, jak ma w swej pamięci. Pomieszczenia się nie zmieniły, a w kościele w Ettal nadal czuje, jak jego głos ulatuje w próżnię, ale od czasu, gdy wędrował przez Syberię, już się temu nie dziwi. Taka jest po prostu akustyka w przestrzeniach wieczności.

Dziwi go natomiast, że złoto sztukaterii stało się srebrem, na dodatek matowym, że czerwony zamsz i brokat niebieskiej barwy zbladł do mdłej żółci, że niebu brak błękitu, jakby zastąpiono je szarym ekranem, że to rzeczowe stulecie zlikwidowało owe sto półtonów między zielonym a zielonym, jakie tata Forella pokazywał dzieciom podczas niedzielnych wędrowek.

Lekarze wyjaśniają że daremnie szuka rzeczy znanych mu z dawnych czasów, bo nie wrócił taki, jakim był przedtem. Po latach życia w ołowiu stracił zdolność rozróżniania kolorów. A długie miesiące spędzone w samotności i wśród dzikich zwierząt zmieniły jego sposób odbierania świata.

Straszne jest to, że z tego, co przeżył, nie pamięta treści, a jedynie okoliczności. Tak więc opowiada o swych syberyjskich latach od drobiazgu do drobiazgu i wszystko mu się płacze. Wpatruje się uparcie w swoje dłonie, jakby próbując wskrzesić to, co odłożył już do spraw zapomnianych, co tylko odbija się jak jasność i ciemność na niebie nad lodowatym morzem. Ale to potworna rzecz przerywać łaskę zapomnienia. Clemens Forell nie musi pamiętać minionych przeżyć i lepiej, by ich sobie nie przypominał.

Znalazłszy Niemcy podzielone, Forell nie wyrusza w podróż do Magdeburga. Pisze do pani Stauffer list, w którym informuje ją że ma do przekazania posłanie od jej męża. Odpowiedź kobiety jest krótka i prosta: „Wiem, że mój mąż nie żyje, proszę mi powiedzieć, kiedy umarł i gdzie jest jego grób”. Wszystko odbywa się więc na drodze listownej.

Forell jest wolny, ale pozostały mu blizny na ciele i na duszy, ślady po ołowiu i ciągła obawa. I z tej przyczyny nie chce, by podawać jego prawdziwe nazwisko.

SDK poleca

UCIECZKA Z BERLINA

Wiosną r. III Rzesza leżała w gruzach. W berlińskim bunkrze Adolf Hitler i Ewa Braun postanawiają popełnić samobójstwo. Czy zwłoki znalezione w ogrodzie kancelarii Rzeszy należały do Ewy Braun?

Na to pytanie odpowie nam sensacyjna powieść, która będzie trzymała czytelnika w napięciu do ostatniej strony.

„() Ib Melchior utrzymuje szybkie tempo fabuły i nieustannie trzyma czytelnika w napięciu. Ewa z pewnością spodoba się amatorom Ludluma, MacLeana i Folletta.(...)”

Library Journal

Jeden z najlepszych i najbardziej ekscytujących w literaturze opis pościgu (...)”

West Coast Review of Hooks

„(...)W tej samej chwili spoza łodzi wyskoczył Willi. Wyrwał karabin pierwszemu volkssturmwowcowi, którego dopadł, i odwracając się w kierunku następnego przeciwnika, kopnął go w krtani. Człowiek runął na wznak, rżąc zmiażdżoną tchawicą i czyniąc nadludzkie wysiłki, by wciągnąć do płuc powietrze, wbijał konwulsyjnie palce w ziemię, zaś oczy odpłynęły mu w tył. Willi błyskawicznie znalazł się obok drugiego mężczyzny. Uderzył go kolbą karabinu w tył głowy, łamiąc nieszczęśnikowi kark. Oszołomiony dowódca patrolu podnosił się szukając na ślepo broni, gdy Willi zawinął w powietrzu karabinem wymierzył mu potężny cios kolbą w podbródek, miażdżąc szczękę, której fragmenty wbiły się w podniebienie. (...)” (fragment książki)

IB MELCHIOR